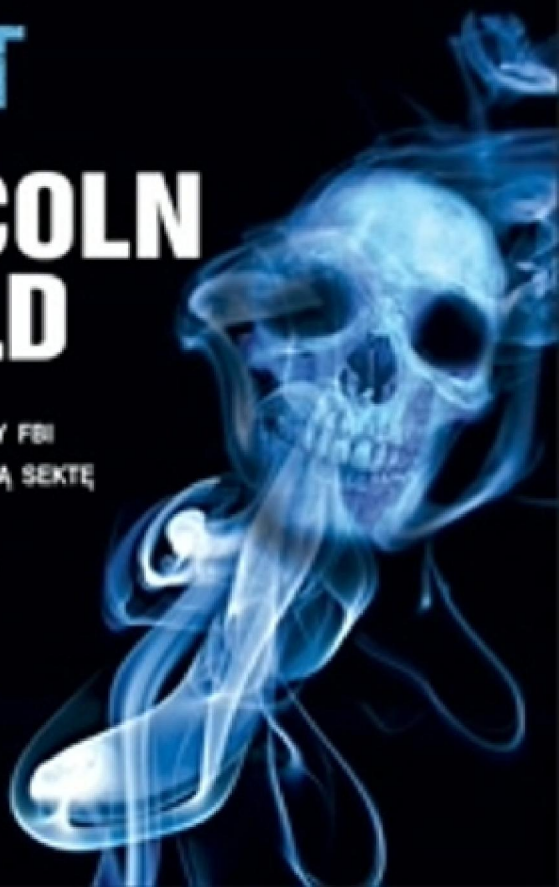


**DOUGLAS
PRESTON**

KULT

**LINCOLN
CHILD**

AGENT SPECJALNY FBI
TROPI MORDERCZĄ SEKTĘ
W CENTRUM
NOWEGO JORKU...



**DOUGLAS
PRESTON**

KULT

**LINCOLN
CHILD**

Z angielskiego przełożyła
DANUTA GÓRSKA



Tytuł oryginału: CEMETERY DANCE

Copyright © Splendide Mendax Inc. & Lincoln Child 2009

All rights reserved

Published by arrangement with Grand Central Publishing, New York, USA

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kurytowicz 2012

Polish translation copyright © Danuta Górską 2012

Redakcja: Jacek Ring

Ilustracja na okładce: Maciej Oleksy/Shutterstock

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kurytowicz

Skład: Laguna

ISBN 978-83-7659-634-1

Dystrybutor

Firma Księgarska Olesiejuk sp, z o.o, sp, k.-a.

Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

t./f. 22.535.0557, 22.721.3011/7007/7009

www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe

www.merlin.pl

www.empik.com

www.amazonka.pl

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS A. KURYŁOWICZ

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com

2012. Wydanie I Druk: Opolgraf S.A., Opole

*Lincoln Child dedykuje tę książkę
swojej córce Veronice*

*Douglas Preston dedykuje tę książkę
Karen Copeland*

Podziękowania

Za liczne i rozmaite przysługi chcielibyśmy podziękować następującym osobom: Jaime Levine, Jamie Raab, Kim Hoffman, Kallie Shimek, Mariko Kaga, Jonowi Couchowi, Claudii Rülke, Ericowi Simonoffowi, Matthew Snyderowi oraz wszystkim w wydawnictwie Grand Central Publishing i spoza wydawnictwa, którzy pomagają dostarczać nasze książki do rąk czytelników.

Jesteśmy ogromnie wdzięczni tym, którzy pomogli stworzyć stronę internetową Pendergasta Corrie Swanson, włącznie z Carmen Elliott, Nadine Waddell, Cheryl Deering, Ophelia Julien, Sarah Hanley, Kathleen Munsch, Kerry Opel, Mauren Shockey i Lewem Lashmittem. Wznosimy toast dwudziestojednoletnim lagavulinem za wasz wyjątkowy talent i gust literacki.

I jak zawsze wyrażamy nieskończoną i nieprzemijającą wdzięczność naszym rodzinom za ich miłość i wsparcie.

Czytelnicy znający górny Manhattan zauważą, że pozwoliliśmy sobie na pewne zmiany w Inwood Hill Park.

Rozumie się samo przez się, że wszystkie osoby, miejsca, publiczne i prywatne instytucje, korporacje i urzędy państwowe oraz organizacje

religijne opisane w *Kulcie* są albo fikcyjne, albo wykorzystane w fikcyjnym charakterze. W szczególności wierzenia i rytuały przedstawione na kartach powieści stanowią całkowitą fikcję i pod żadnym względem nie miały przypominać religii czy kultów istniejących w rzeczywistości.

Douglas Preston, Lincoln Child

1.

– Nie mogę w to uwierzyć, Bill. A ty? Powiedzieli mi prawie dwa-
naście godzin temu i wciąż nie wierzę.

– Lepiej uwierz, skarbie. – William Smithback junior rozplątał
tyczkowate kończyny, wyciągnął się na kanapie w salonie i objął żonę.
– Zostało jeszcze trochę porto?

Nora napełniła mu kieliszek. Podniósł go do światła, podziwiając
głęboką purpurową barwę. Wino kosztowało go sto dolarów i z pewno-
ścią było tyle warte. Łyknął i odetchnął.

– Jesteś wschodzącą gwiazdą w muzeum. Tylko poczekaj. Za pięć
lat zrobią cię dziekanem nauk ścisłych.

– Nie wygłupiaj się.

– Noro, to trzeci pełny rok cięć budżetowych... a oni dają twojej
ekspedycji zielone światło. Ten twój nowy szef nie jest głupi.

Smithback zanurzył nos we włosach żony. Nawet po tak długim
czasie ciągle podniecał go ten zapach – odrobina cynamonu, szczypta
jałowca.

– Tylko pomyśl: następnego lata wrócimy do Utah na wykopki. To
znaczy jeśli możesz się zwolnić.

– Mam cztery tygodnie urlopu. W „Timesie” zapłaczą się z tęskno-
ty, ale muszą beze mnie wytrzymać. – Pociągnął następny łyk, posma-
kował wina. – Nora Kelly: ekspedycja numer trzy. Nie mogłaś dostać
lepszego prezentu na rocznicę. Popatrzyła na niego ironicznie.

- Myślałam, że dzisiejsza kolacja to był prezent na rocznicę.
- I słusznie.
- Wspaniały prezent. Dzięki.

Smithback mrugnął do niej. Zabrał Norę do swojej ulubionej restauracji, Café des Artistes na Zachodniej Sześćdziesiątej Siódmej. To było idealne miejsce na romantyczną kolację. Miękkie, uwodzicielskie oświetlenie; przytulne łóżce; podniecające obrazy Howarda Chandlera Christy'ego i jako ukoronowanie tego wszystkiego – boskie jedzenie.

Smithback zorientował się, że Nora na niego patrzy. W jej oczach i nieśmiałym uśmiechu odczytał obietnicę następnego rocznicowego prezentu. Pocałował ją w policzek i przyciągnął bliżej.

Westchnęła.

- Dali mi każdego centa, o którego prosiłam.

Smithback mruknął coś w odpowiedzi. Z zadowoleniem przytulał się do żony i w myślach przeprowadzał autopsję posiłku, który właśnie skonsumował. Zaostrzył sobie apetyt dwoma dirty martini*, po których zamówił półmisek wędlin. A jako danie główne zawsze wybierał stek béarnaise, słabo wysmażony, z frytkami i smakowitą porcją kremu szpinakowego... i oczywiście Nora hojnie podzieliła się z nim swoim combrem z sarniny...

* Dirty martini – koktajl martini, w którym wermut zastąpiono częściowo lub całkowicie solanką z oliwek, zwykle przybrany trzema oliwkami dla podkreślenia dodatkowego oliwkowego smaku.

– I wiesz, co to znaczy? Będę mogła dokończyć analizę rozszerzania się kultu Kaczynów** na południowym zachodzie.

** Kaczyni (*Kaczina, Kachina, Katsind*) – mitologiczne nadprzyrodzone istoty z legend Indian Hopi, Zuni i innych Indian Pueblo, duchy natury.

- To fantastycznie.

Na deser podano im czekoladowe fondue na dwoje, a kolację zakończył talerz rozkosznie śmierdzących francuskich serów. Smithback wolną ręką lekko pogładził się po żołądku.

Nora umilkła i leżeli przez chwilę, ciesząc się swoją bliskością. Smithback zerknął ukradkiem na żonę. Ciepłe uczucie zadowolenia otuliło go jak koc. Chociaż właściwie nie był religijny, miał ochotę dziękować Bogu, że mieszka w eleganckim apartamencie w najwspanialszym mieście świata i ma pracę, o jakiej zawsze marzył. A w Norze znalazł idealną towarzyszkę. Wiele przeszli przez te lata, odkąd się poznali, ale kłopoty i niebezpieczeństwa jeszcze bardziej ich zbliżyły. Nora była nie tylko piękna, smukła, inteligentna, wrażliwa, niezależna i pracująca zawodowo – okazała się też bratnią duszą, a raczej siostrzaną duszą. Patrząc na nią, nie mógł powstrzymać uśmiechu. Była po prostu za dobra, żeby była prawdziwa.

Nora się podniosła.

– Nie mogę się za bardzo rozleniwiać. Przynajmniej na razie.

– Dlaczego?

Wyplątała się z jego objęć i poszła do kuchni po torebkę.

– Muszę jeszcze coś załatwić.

Smithback zamrugął.

– O tej porze?

– Wróć za dziesięć minut. – Podeszła do kanapy, pocałowała go i przyglądała kosmyk spadający mu na czoło. – Nie ruszaj się stąd, wielkoludzie.

– Żartujesz? Będę trwał na posterunku niezłomnie jak skała.

Uśmiechnęła się, pogłaskała go jeszcze raz i ruszyła do drzwi.

– Uważaj na siebie! – zawołał za nią. – Pamiętaj o tych dziwnych paczuszkach, które dostajemy.

– Nie martw się. Jestem już dużą dziewczynką.

Po chwili drzwi się zamknęły i szczęknął zamek.

Smithback założył ręce za głowę i wyciągnął się z westchnieniem. Słyszał kroki Nory cichnące w korytarzu; brzęknęła winda. Potem zapadła cisza, którą mąciły tylko odgłosy miasta.

Domyślał się, dokąd poszła Nora – do cukierni za rogiem. Robili

tam jego ulubione ciasta i zamykali dopiero o północy. Smithback przepadał zwłaszcza za ich pralinkowym biszkoptem z kremem śmietankowym z calvadosem; miał nadzieję, że właśnie to ciasto Nora zamówiła na dzisiejszy wieczór.

Rozwalony na kanapie w przyćmionym świetle słuchał, jak oddycha Manhattan. Koktajle, które wcześniej wypił, leciutko spowolniły upływ czasu. Przypomnił sobie wers z opowiadania Thurbera: „sennie zadowolony, mgliście zadowolony”. Zawsze żywił niewytłumaczalny sentyment do utworów kolegi dziennikarza Jamesa Thurbera, oraz tego pisarza fantasy Roberta E. Howarda. Jeden w jego opinii za bardzo się starał, drugi za mało.

Z jakiegoś powodu jego myśli pomknęły spiralą do tamtego letniego dnia, kiedy poznał Norę. Powróciły wszystkie wspomnienia: Arizona, jezioro Powell, rozpalony parking, wielka limuzyna, w której przyjechał. Pokręcił głową i zachichotał. Myślał wtedy, że Nora Kelly to kawał suki: świeżo upieczona pani doktor, przeczulona na punkcie własnej ważności. No, ale on też nie zrobił najlepszego wrażenia, zachował się jak kompletny palant i kropka. To było cztery lata temu czy może pięć... o rany, jak ten czas leci!

Za drzwiami rozległo się szuranie, potem klucz szczęknął w zamku. Nora tak szybko wróciła?

Czekał, aż drzwi się otworzą, ale zamiast tego klucz znowu szczęknął, jakby Nora nie mogła sobie poradzić z zamkiem. Może jedną ręką przytrzymała ciasto? Chciał już wstać, żeby jej pomóc, kiedy drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem i w przedpokoju rozległy się kroki.

– Ciągle tu jestem, zgodnie z obietnicą – zawołał. – Niezlomny jak skała. I twardy jak skała. Wszystko dla ciebie.

Następny krok. I następny. Jakoś nie przypominały kroków Nory: zbyt powolne i ciężkie, i chwiejne, jakby ktoś się zataczał.

Smithback usiadł prosto. W małym holu majaczyła jakaś postać obrysowana światłem padającym z korytarza. Była za wysoka i za szeroka w ramionach jak na Norę.

– Kto ty jesteś, do cholery? – zapytał Smithback.

Szybko włączył lampę na podręcznym stoliku. Rozpoznał przybysza niemal natychmiast. Albo zdawało mu się, że rozpoznał. Twarz wyglądała jakoś nie tak: szara, napuchnięta, niemal gąbczasta. Jakby facet był chory... albo gorzej.

– Colin? – powiedział Smithback. – To ty? Co robisz w moim mieszkaniu?

Wtedy zobaczył rzeźniczy nóż.

W jednej chwili zerwał się z kanapy. Postać, szurając nogami, zaatakowała go. Nastąpiła krótka, okropna chwila zawieszenia. Potem nóż skoczył do przodu z przerażającą szybkością i przebił powietrze w miejscu, które Smithback zajmował przed niecałą sekundą.

– Co jest, kurwa!? – wrzasnął dziennikarz.

Nóż znowu śmignął w powietrzu i Smithback przewrócił się na stół do kawy, rozpaczliwie próbując się uchylić przed ciosem. Pozbierał się z podłogi i odwrócił przodem do napastnika, na ugiętych nogach, z rozłożonymi rękami, z rozczapierzonymi palcami. Szybko rozejrzał się za jakąś bronią. Nic. Przybysz stał pomiędzy nim a kuchnią; gdyby go ominął, mógłby złapać nóż, wyrównać szanse.

Lekko przechylił głowę, wystawił łokieć i zaatakował. Postać zatonęła się do tyłu od impetu natarcia, ale w ostatniej chwili nóż trafił w ramię Smithbacka i ciął głęboko od łokcia do barku. Smithback skulił się z okrzykiem bólu i zdziwienia i w tej samej chwili poczuł w krzyżu przeraźliwie zimną stal.

Wbijająca się niemal przez wieczność, docierała do jego najbardziej wewnętrznych narządów, przeszywała go bólem, jakiego doznał przedtem tylko raz w życiu. Zachłysnął się, upadł na podłogę, próbował uciec; poczuł, że nóż się wysuwa i ponownie zagłębia w ciele. Plecy nagle zrobiły się mokre, jakby ktoś go oblewał ciepłą wodą.

Zbierając resztki sił, dźwignął się na nogi i desperacko natarł na przeciwnika, okładając go gołymi pięściami. Nóż raz i drugi ciachnął go po knykciach, ale Smithback już tego nie czuł. Postać cofnęła się

pod nawałą ciosów. Smithback dostrzegł okazję i odwrócił się, żeby uciec do kuchni. Ale podłoga przekrzywiła się szaleńczo pod nogami, a w piersiach przy każdym oddechu coś dziwnie bulgotało. Zatoczył się do kuchni, łapiąc powietrze i walcząc o utrzymanie równowagi. Śliskimi palcami namacał szufladę z nożami. Ale chociaż zdołał ją otworzyć, zobaczył cień padający na blat kuchenny... a potem następny straszliwy cios trafił go głęboko między łopatki. Próbował się wyrwać, ale nóż ciągle wznosił się i opadał, wznosił się i opadał, szkarłatne ostrze lśniło coraz słabiej w miarę, jak dogasało światło...

„Wszystko odeszło, na stos mnie składają; uczta skończona, lampy dogasają...”*

* *All fled, all gone, so lift me on the pyre; the feast is over and the lamps expire* – ostatnie słowa Roberta E. Howarda, który popełnił samobójstwo w wieku 30 lat, kiedy dowiedział się o śmiertelnej chorobie matki.

Drzwi windy rozsunęły się i Nora wyszła na korytarz. Szybko się uwinęła, przy odrobinie szczęścia Bill będzie jeszcze leżał na kanapie, może czytając tę powieść Thackeraya, którą się zachwycał przez cały tydzień. Ostrożnie balansowała pudełkiem z ciastem, sięgając po klucze; na pewno się domyślił, dokąd poszła, ale trudno zrobić komuś niespodziankę w pierwszą rocznicę...

Coś było nie tak. Pochłonięta własnymi myślami dopiero po chwili się zorientowała, o co chodzi: drzwi mieszkania były szeroko otwarte.

I ktoś stamtąd wyszedł. Rozpoznała go. Ubranie miał zakrwawione, przesiąknięte krwią. W ręku trzymał duży nóż. Przystanął i spojrzał na nią. Krew z noża kapłała obficie na podłogę.

Instynktownie, bez namysłu Nora upuściła ciasto i klucze i rzuciła się na niego. Sąsiedzi wychodzili teraz z mieszkań, słyszała ich podniesione, przerażone głosy. Napastnik podniósł nóż, ale Nora odtrąciła jego rękę i walnęła go pięścią w splot słoneczny. Odepchnął ją, aż poleciała na ścianę naprzeciwko i uderzyła głową o twardy mur. Upadła na podłogę, mroczki zatańczyły jej przed oczyma. Mężczyzna zbliżył

się, powłócząc nogami i unosząc nóż. Rzuciła się w bok, kiedy nóż opadł; mężczyzna kopnął ją złościwie w głowę i znowu zamierzył się nożem. W korytarzu rozległy się krzyki. Ale Nora ich nie słyszała; nie docierały do niej żadne dźwięki, tylko rozmazane obrazy. A potem one też znikły.

2.

Porucznik Vincent D'Agosta stał w zatłoczonym korytarzu przed drzwiami dwupokojowego mieszkania. Poruszył ramionami pod brązową marynarką, próbując odkleić od ramion poliestrową koszulę. Był wściekły, a wściekłość mu nie pomoże. Wpływie na jego postępowanie i zmniejszy jego zdolności obserwacyjne.

Wziął głęboki oddech i wypuścił powietrze, próbując się pozbyć gniewu.

Drzwi mieszkania się otworzyły i wyszedł chudy, przygarbiony człowieczek z kępką włosów na tyśej czaszce. Taszczył torbę ze sprzętem i popychał przed sobą aluminiową walizkę przypiętą pasami do wózka na bagaże.

– Skończyliśmy, poruczniku.

Chudzielec wziął podkładkę od innego funkcjonariusza i podpisał wyjście, a po nim jego asystent.

D'Agosta spojrział na zegarek. Trzecia rano. Kryminaliści poświęcili dużo czasu na badanie miejsca przestępstwa. Specjalnie się starali, bo wiedzieli, że on i Smithback znali się od dawna. Irytowało go, że mijali go ze spuszczoneymi głowami, rzucali mu ukradkowe spojrzenia, próbowali odgadnąć, jak to przyjął. I czy zrezygnuje z tej sprawy. Wielu detektywów z wydziału zabójstw tak by zrobiło – choćby dlatego, że coś takiego powodowało komplikacje na procesie. Nie wyglądało dobrze, kiedy obrona wzywała cię na świadka. „Zmarły był pańskim przyjacielem? No, no, co za interesujący zbieg okoliczności?”. Departament

policii nie lubił, kiedy takie rzeczy się zdarzały.

Ale D'Agosta nie zamierzał tego zostawić. Nigdy. Poza tym sprawa była oczywista. Sprawca był już skazany, przyłapali go na gorącym uczynku. Musieli tylko znaleźć drania.

Ostatni członkowie ekipy kryminalistycznej wyszli z mieszkania i podpisali się na formularzu. D'Agosta został sam ze swoimi myślami. Stał przez chwilę w pustym holu, próbując uspokoić roztrzęsione nerwy. Potem z trzaskiem nałożył lateksowe rękawiczki, naciągnął siatkę na rzednące włosy i ruszył do otwartych drzwi. Trochę go mdliło. Ciało oczywiście zabrano, ale niczego innego nie tknięto. Za załomem korytarza widział niewielki fragment pokoju w głębi i jezioro krwi na podłodze; krwawe odciski palców; rozmazany odcisk ręki na kremowej ścianie.

Ostrożnie przestąpił nad plamą krwi i zatrzymał się w wejściu do salonu. Skórzana sofa, dwa fotele, przewrócony stolik do kawy, kolejne skrzepy krwi na perskim dywaniku. Przeszedł na środek pokoju, powoli stawiając stopy w butach na kauczukowych podszewkach, przystanął, obrócił się, odtwarzając w wyobraźni scenę, która tu się rozegrała.

D'Agosta poprosił ekipę, żeby zebrała jak najwięcej próbek z krwawych plam; pragnął rozszyfrować płataninę nakładających się rozbryzgów, rozmazane ślady stóp, zachodzące na siebie odciski dłoni. Smithback walczył jak lew; niemożliwe, żeby sprawca nie zostawił tutaj swojego DNA.

Pozornie zbrodnia była prosta. Niezorganizowane, niechlujne zabójstwo. Sprawca dostał się do mieszkania, posługując się kluczem uniwersalnym. Smithback był w salonie. Zabójca zadał mu brutalny cios nożem, z miejsca zyskując nad nim przewagę, a potem walczyli. Walka przeniosła się do kuchni – Smithback próbował znaleźć broń: szuflada z nożami była do połowy otwarta, krwawe odciski dłoni widniały na uchwycie i kontuarze. Ale nie wyjął noża; cholerna szkoda. Został ponownie dźgnięty z tyłu, kiedy po niego sięgał. Znowu walczyli. Wtedy

już Smithback był ciężko ranny, na podłodze pełno krwi, ślady ślizgania się bosych stóp. Ale D'Agosta miał pewność, że sprawca też krwawił. Tracił krew, włosy i tkanki, prychał i sapał z wysiłku, może przyskała śliną i flegmą. Wszystko tu było i wiedział, że ekipa kryminalistyczna to znalazła. Nawet wycięli kilka desek z podłogi, zwłaszcza te ze śladami noża; wycięli kawałki tynku, zdjęli odciski z każdej powierzchni, zebrali wszelkie włókna, kłaczkę i drobinki brudu.

Spojrzenie D'Agosty wędrowało dalej, przed oczyma duszy przewijał się film ze zbrodni. W końcu Smithback stracił tyle krwi, że osłabł wystarczająco, by zabójca zadał *coup de grâce*: według lekarza sądowego nóż przebił serce na wylot i zagłębił się na pół cala w podłodze. Sprawca gwałtownie przekręcił narzędzie zbrodni, żeby je wyrwać, aż drewno pękło. Na tę myśl D'Agosta znowu poczerwieniał z gniewu i żalu. Tę deskę również zabrano.

Nie żeby ta dbałość o szczegóły robiła jakąś różnicę – i tak znali tożsamość sprawcy. Jednak zawsze lepiej zebrać dowody. Nigdy nie wiadomo, na jakiego sędziego się trafi w tym zwariowanym mieście.

No i te dziwaczne śmiecie, który zostawił zabójca. Zgnieciony pęczek piór związanych zielonym szpagatem. Strzęp materiału naszywanego jarmarcznymi cekinami. Maleńki pergaminowy woreczek kurzu ozdobiony dziwnym deseniem. Zabójca utopił je w kałuży krwi, niczym ofiary. Oczywiście chłopcy z ekipy wszystkie zabrali, ale te rzeczy utkwily mu w pamięci.

Jednego chłopcy z ekipy nie mogli zabrać: pospiesznie nabazgranego rysunku na ścianie, dwa węże zwinięte wokół jakiejś dziwnej, kolczastej niby-rośliny, z gwiazdami, strzałkami i skomplikowanymi liniami i literami tworzącymi słowo DAMBALA. Najwyraźniej zostało to narysowane krwią Smithbacka.

D'Agosta wszedł do głównej sypialni, obejrzał łóżko, biurko, lustro, okno wychodzące na południowy wschód, na West End Avenue, dywan, ściany, sufit. Na drugim końcu pokoju znajdowały się drzwi do drugiej łazienki, zamknięte. Dziwne, wcześniej były otwarte.

Usłyszał jakiś dźwięk z łazienki. Odkręcanie i zakręcanie wody. Ktoś z ekipy policyjnej nadal znajdował się w mieszkaniu. D'Agosta podszedł do drzwi, chwycił klamkę. Zamknięte.

- Hej, ty tam! Co ty wyprawiasz, do cholery?
- Chwileczkę – odpowiedział stłumiony głos.

Zdumienie D'Agosta przerodziło się we wściekłość. Ten idiota korzystał z łazienki. W zaplombowanym miejscu przestępstwa. Kurwa, nie wierzę.

- Otwieraj drzwi, człowieku. No już.

Drzwi się otworzyły i w progu stanął agent specjalny A.X.L. Pendergast, ze stojakiem na próbówki w jednym ręku, z pęsetą w drugim, z lupą jubilerską przymocowaną do opaski na głowie.

– Vincent – rozległ się znajomy gładki głos. – Tak mi przykro, że spotykamy się ponownie w takich nieszczęśliwych okolicznościach.

D'Agosta wytrzeszczył oczy.

- Pendergast... nie miałem pojęcia, że wróciłeś do miasta.

Agent specjalny zręcznie wsunął pęsetę do kieszeni, schował próbówki i lupę do torby lekarskiej.

– Zabójca nie wszedł tam ani do sypialni. Raczej oczywisty wniosek, ale chciałem się upewnić.

– To jest teraz sprawa FBI? – zapytał D'Agosta, idąc za Pendergastem do salonu.

- Nie całkiem.
- Więc znowu działasz jako wolny strzelec?
- Można tak powiedzieć. Byłbym wdzięczny, gdyby na razie tego nie rozgłaszano. – Odwrócił się. – Twoja opinia, Vincent?

D'Agosta streścił swoją rekonstrukcję zbrodni, podczas gdy tamten aprobująco kiwał głową.

– Chociaż to i tak bez różnicy – podsumował detektyw. – Wiemy już, kim jest ten śmieć. Musimy tylko go znaleźć.

Pendergast pytająco uniósł brwi.

– On mieszka w tym budynku. Mamy dwóch naocznych świadków, którzy widzieli wejście zabójcy, i dwóch, którzy widzieli, jak wychodził, cały we krwi, ściskając nóż. Po drodze zaatakował Norę Kelly... właściwie próbował zaatakować, ale odgłosy walki przyciągnęły sąsiadów i facet uciekł. Dobrze mu się przyjrzeni, to znaczy sąsiedzi. Nora jest teraz w szpitalu... lekkie wstrząśnienie mózgu, ale nic jej nie będzie. Zwążywszy na okoliczności.

Kolejne lekkie pochylenie głowy.

– Gnojek nazywa się Fearing. Colin Fearing. Bezrobotny brytyjski aktor. Mieszkanie dwieście czternaście. Raz czy dwa napastował Norę w westybulu. Dla mnie to wygląda na nieudaną próbę gwałtu. Pewnie liczył, że zastanie Norę samą w domu, ale zamiast na nią, natknął się na Smithbacka. Możliwe, że zwędził klucz z szafki portiera. Kazałem komuś to sprawdzić.

Tym razem nie doczekał się kiwnięcia głową. Napotkał tylko jak zwykle nieprzeniknione spojrzenie głębokich srebrzystych oczu.

– Tak czy owak sprawa jest oczywista – podjął D'Agosta, który z niewiadomego powodu poczuł się zepchnięty do defensywy. – Nie tylko dzięki identyfikacji Nory. Mamy go też na taśmach z ochrony budynku, występ godny Oscara. Jak wchodził i jak wychodził. Mamy pełne zdjęcie z przodu, kiedy wychodził, z nożem w ręku, zakrwawiony, taszczył swój nędzny tyłek przez cały westybul i jeszcze groził portierowi, zanim się zmył. Pięknie będzie wyglądało przed sądem. Skurwiel jest załatwiony.

– Sprawa oczywista, mówisz?

D'Agosta poczuł się jeszcze bardziej nieswojo, słysząc nutę powątpiewania w głosie Pendergasta.

– Tak jest – oświadczył stanowczo. – Oczywista. – Spojrzał na zegarek. – Zatrzymali na dole portiera, czekają na mnie. On będzie głównym świadkiem, solidny, godny zaufania ojciec rodziny... znał sprawcę od lat. Chciałbyś mu zadać parę pytań, zanim go odeślemy do domu?

– Z rozkoszą. Ale zanim zjedziemy na dół... – Agent zawiesił głos. Dwoma cienkimi białymi palcami sięgnął do wewnętrznej kieszeni czarnej marynarki i wyjął złożony dokument. Teatralnym gestem podał go detektywowi.

– Co to jest? – D'Agosta rozłożył papier, zobaczył czerwoną pieczętkę notarialną, Wielką Pieczęć Nowego Jorku, eleganckie tłoczenia, podpisy.

– To akt zgonu Colina Fearinga. Podpisany i datowany dziesięć dni temu.

3.

D'Agosta wszedł do pomieszczenia ochrony budynku 666 przy West End Avenue, wyprzedzając widmową sylwetkę Pendergasta. Portier, pulchny dżentelmen z Republiki Dominikany Enrico Mosquea, siedział na metalowym stołku z rozstawionymi masywnymi nogami. Miał cienki wąsik i loczki. Kiedy weszli, zaskakująco zwinnie poderwał się na nogi.

– Wy znajdźcie tego skurwysyna – powiedział z przejęciem. – Wy go znajdźcie. Smithback, on był dobry człowiek. Mówię wam...

D'Agosta łagodnie położył dłoń na ramieniu mężczyzny okrytym schludnym brązowym uniformem.

– To jest agent specjalny Pendergast z FBI. Będzie nam pomógł. Portier spojrzał na Pendergasta.

– Dobrze. Bardzo dobrze.

D'Agosta wziął głęboki oddech. Jeszcze nie dotarli do niego wszystkie konsekwencje wynikające z dokumentu, który mu pokazał agent. Może mieli do czynienia z bliźniakiem. Może istniało dwóch Colinów Fearingów. Nowy Jork to duże miasto i chyba połowa miejscowych Brytoli miała na imię Colin. Albo lekarz sądowy popełnił paskudny błąd.

– Wiem, że już pan odpowiedział na wiele pytań, panie Mosquea – podjął D'Agosta – ale agent Pendergast ma jeszcze kilka.

– Nie kłopot. Odpowiem na pytania dziesięć razy, dwadzieścia razy, jeśli to pomoże złapać tego skurwysyna.

D'Agosta wyciągnął notes. Tak naprawdę chciał, żeby Pendergast usłyszał, co facet ma do powiedzenia. Był bardzo wiarygodnym świadkiem.

Pendergast odezwał się cichym głosem:

– Panie Mosquea, proszę opisać, co pan widział. Od początku.
– Ten Fearing, on przyszedł, kiedy wsadzałem kogoś do taksówki. Widziałem, jak wchodził. Nie wyglądał za dobrze, jakby po bójce. Twarz spuchnięta, może podbite oko. Skóra dziwny kolor, za blada. I chodził też jakoś dziwnie. Powoli.

– Kiedy ostatnio pan go widział... przedtem?

– Ze dwa tygodnie. On chyba wyjeżdżał.

– Proszę dalej.

– Więc przeszedł obok mnie i do windy. Trochę później pani Kelly wraca do budynku. Może pięć minut mija. Potem on znowu wychodzi. Nie do wiary. On cały we krwi, trzyma nóż, zatacza się, jakby ranny. – Mosquea zamilkł na chwilę. – Próbuję go złapać, ale on zamachuje się na mnie nożem, potem odwraca się i ucieka. Wzywam policję.

Pendergast przesunął po podbródku dłonią barwy kości słoniowej.

– Przypuszczam, że kiedy pan wsadzał tamtą osobę do taksówki... kiedy on przyszedł... zerknął pan na niego przelotnie.

– Przyjrzałem mu się długo i porządnie. Nie przelotnie. Jak mówiłem, on chodził powoli.

– Mówił pan, że miał spuchniętą twarz. Czy to mógł być ktoś inny?

– Fearing mieszka tutaj sześć lat. Otwieram drzwi temu skurwysynowi trzy, cztery razy dziennie.

Pendergast milczał przez chwilę.

– A potem, kiedy wyszedł, przypuszczam, że twarz miał zakrwawioną.

– Nie twarz. Nie miał krwi na twarzy, może trochę. Krew wszędzie na rękach, na ubraniu. Na nożu.

Pendergast znowu zrobił przerwę.

– A gdybym panu powiedział, że ciało Colina Fearinga znaleziono w rzece Harlem dziesięć dni temu?

Mosquea zmrzążył oczy.

– Wtedy mówię, że pan się myli!

– Niestety, nie, panie Mosquea. Identyfikacja, autopsja, wszystko się zgadza.

Portier wyprostował się na pełne pięć stóp trzy cale wzrostu.

– Jeśli mi nie wierzycie, obejrzyjcie taśmę – odparł z godnością. – Człowiek na taśmie to Colin Fearing. – Rzucił Pendergastowi wyzywające spojrzenie. – Nie obchodzi mnie żadne ciało w rzece. Morderca to Colin Fearing. Ja to wiem.

– Dziękuję panu, panie Mosquea – powiedział Pendergast.

D'Agosta odchrząknął.

– Jeśli będziemy jeszcze pana potrzebowali, dam znać.

Portier kiwnął głową, spoglądając podejrzliwie na Pendergasta.

– Zabójca to Colin Fearing. Znajdźcie skurwysyna.

Wyszli na ulicę, na chłodne październikowe powietrze orzeźwiający po okropnej scenie zabójstwa. Pendergast wskazał rolls-royce'a silver wraith z 1959 roku stojącego przy krawężniku z pracującym silnikiem. D'Agosta dostrzegł za kierownicą stateczną sylwetkę Proctora, szofera Pendergasta.

– Podwieźć cię do miasta?

– Czemu nie? Już wpół do czwartej, i tak nie będę dzisiaj spać.

D'Agosta wsunął się do wnętrza pachnącego skórą, a Pendergast usiadł obok niego.

– Obejrzyjmy nagranie z kamer ochrony.

Agent nacisnął guzik na poręczy fotela i z sufitu zjechał ekran LCD.

D'Agosta wyjął z teczki płytę DVD.

– To jest kopia. Oryginał pojechał już do centrali.

Pendergast włożył płytę do napędu. Po chwili na ekranie pojawił się szerokokątny widok westybulu w budynku 666 West End, z kamery rybie oko obejmującej przestrzeń od windy do drzwi frontowych. Znacznik czasu w rogu odliczał sekundy. D'Agosta patrzył – po raz chyba dziesiąty – jak portier wychodzi z jednym z lokatorów, prawdopodobnie żeby wezwać taksówkę. Podczas gdy przebywał na zewnątrz, jakiś mężczyzna przecisnął się przez drzwi. Coś w jego ruchach budziło nieokreśloną odrazę – stapał ciężko, powłócząc nogami, bez śladu pośpiechu, niemal jakby bez celu. Raz podniósł wzrok na kamerę – szkliste oczy, jakby niewidzące. Nosił dziwaczny strój, krzykliwy, naszywany cekinami żakiet w różnobarwne wzory na czerwonym tle, zawijasy, serca i kościane grzechotki. Twarz miał napuchniętą, zniekształconą.

Pendergast przewinał nagranie do przodu, aż w polu widzenia kamery pojawiła się nowa osoba: Nora Kelly niosąca pudło z ciastem. Podeszła do windy, znikła. Następne przewinięcie i Fearing wytoczył się z windy, nagle oszalały. Ubranie miał podarte i zaplamione krwią, w prawej ręce ścisnął masywny, dziesięciocalowy nóż płetwonurka. Portier podbiegł i próbował go złapać; Fearing zamierzył się na niego, chwiejnie przepchnął się przez podwójne drzwi i zniknął w ciemności.

– Bydlak – powiedział D'Agosta. – Chciałbym mu wyrwać flaki i wepchnąć do gęby.

Spojrzał na Pendergasta, który sprawiał wrażenie głęboko zamyślnego.

– Musisz przyznać, że obraz jest bardzo wyraźny. Na pewno z Harlemu wyłowiono Fearinga?

– Jego siostra zidentyfikowała zwłoki. Miał znamiona i tatuaże, które potwierdziły tożsamość. Lekarz sądowy, który prowadził sprawę, jest godny zaufania, chociaż trochę trudny we współpracy.

– Jak zginął Fearing?

– Samobójstwo.

D'Agosta chrząknął.

- Żadnej innej rodziny?
- Matka jest niepoczytalna, przebywa w domu opieki. Nikogo innego.
- A siostra?
- Wróciła do Anglii po identyfikacji zwłok. – Zamilkł i D'Agosta usłyszał, jak mruknął *sotto voce*: – Ciekawe, bardzo ciekawe.
- Co?
- Mój drogi Vincencie, w tej zagadkowej sprawie szczególnie uderzyła mnie jedna rzecz związana z filmem. Czy zauważyłeś, co on zrobił, kiedy wszedł do westybulu po raz pierwszy, przez drzwi frontowe?
- No co?
- Podniósł wzrok na kamerę.
- Wiedział, że tam jest kamera. Mieszkał w tym budynku.
- Właśnie. – I agent FBI ponownie zapadł w kontemplacyjne milczenie.

4.

Caitlyn Kidd siedziała na przednim fotelu swojej toyoty RAV4, balansując w jednym ręku śniadaniową kanapką z Subwaya, a w drugim dużą czarną kawą. Nos wetknęła w rozłożone wydanie „Vanity Fair”, oparte o kierownicę. Na Zachodniej Siedemdziesiątej Dziewiątej Ulicy w porannych godzinach szczytu samochody trąbiły i wyły w nieprzyjemnym ostinato.

Policyjne radio wmontowane w tablicę rozdzielczą zatrzeszczało i Caitlyn natychmiast podniosła wzrok.

– ...Centrala do dwa pięć dwa siedem, interweniuj dziesięć-pięćdziesiąt na rogu Sto Osiemnastej i Trzeciej...

Zainteresowanie Caitlyn zgąsło równie szybko, jak się zbudziło. Ponownie ugryzła kanapkę i wolnym czubkiem palca przewróciła stronicę czasopisma.

Jako reporter, obsługujący kryminalną tematykę Manhattanu, Caitlyn spędzała dużo czasu w swoim samochodzie. Przestępstwa często zdarzały się w odległych zakątkach wyspy i jeśli się znało miasto, własny samochód bił na głowę jazdę metrem czy łapanie taksówki. W tym biznesie chodziło o sensację, liczyły się minuty. A radio nastawione na częstotliwość policyjną pomagało jej namierzać najbardziej interesujące historie. Jedna porządna sensacja – na tym jej zależało. Jeden naprawdę sensacyjny materiał.

Na siedzeniu pasażera zabręczczała komórka. Caitlyn podniosła ją i umieściła pomiędzy ramieniem a podbródkiem, wykonując skomplikowany żonglerski numer z komórką, kawą i kanapką.

- Kidd.
- Caitlyn. Gdzie jesteś?

Rozpoznała głos: Larry Basington, autor nekrologów w „West Sider”, nędznej brukowej gazecie, gdzie oboje pracowali. Ciągle się do niej przystawiał. Pozwoliła mu się zaprosić na lunch, głównie dlatego, że z kasą było krucho, a wypłatę miała dostać dopiero pod koniec tygodnia.

- W terenie – powiedziała Kidd.
- Tak wcześnie?
- Najlepsze wezwania odbieram o świcie. Wtedy znajdują sztywniaków.

– Nie wiem, po co się fatygujesz... „West Sider” to nie „Daily News”. Hej, nie zapomnij...

- Zaczekaj. – Kidd ponownie skupiła uwagę na policyjnym radiu.
- ...Centrala do trzy jeden trzy trzy, zgłoszenie dziesięć-pięćdziesiąt trzy na Broadwayu tysiąc pięćset siedemdziesiąt dziewięć, proszę o interwencję.
- Trzy jeden trzy trzy do centrali, dziesięć-cztery... Przciszyła radio, podjęła rozmowę.

- Przepraszam. Co mówiłeś?
- Mówiłem, żebyś nie zapomniała o naszej randce.
- To nie randka, tylko lunch.
- Pozwól mi pomarzyć, okay? Dokąd chcesz pójść?
- Ty stawiasz, ty wybierasz.

Przerwa.

- Co powiesz na tę wietnamską knajpę na Trzydziestej Drugiej?
- Hm, nie, dzięki. Jadłam tam wczoraj i żałowałam tego przez całe popołudnie.

- Okay, a Alfredo?

Ale Kidd znowu słuchała radia policyjnego.

- ...Dyspozytor, dyspozytor, tu siedem cztery siedem siedem w

sprawie tego zabójstwa dziesięć-dwadzieścia dziewięć, zawiadamiam, że ofiara, Smithback William, jest obecnie w drodze do biura lekarza sądowego. Prowadzący opuszcza miejsce zbrodni.

– Dziesięć-cztery, siedem cztery-siedem siedem...

O mało nie upuściła kawy.

– Jasna cholera! Słyszałeś to?

– Co słyszałem?

– Właśnie poszło na kanale radiowozów. Popelniono morderstwo.

A ja znam ofiarę: Bill Smithback. To ten facet, który pisuje do „Time-sa”... Spotkałam go na tej konferencji dziennikarzy w Kolumbii w zeszłym miesiącu.

– Skąd wiesz, że to ten facet?

– Ilu znasz ludzi o nazwisku Smithback? Słuchaj, Lany, muszę lecieć.

– O rany, to straszne. A w sprawie lunchu...

– Chrzanić lunch.

Brodą zamknęła telefon, upuściła go na kolana i uruchomiła silnik. Sałata, pomidor, zielona papryka i jajecznica pofrunęły przez okno, kiedy puściła sprzęgło i gwałtownie przyspieszając, włączyła się do ruchu.

Potrzebowała tylko pięciu minut, żeby dojechać na róg West End Avenue i Dziewięćdziesiątej Drugiej. Caitlyn była ekspertem od jazdy po mieście, a jej toyota miała dostatecznie dużo wgnieceń i zadrapań, żeby odstraszyć każdego, kto mógł pomyśleć, że jedno więcej ma znaczenie. Wcisnęła samochód na wolne miejsce przed hydrantem pożarowym – przy odrobinie szczęścia zdobędzie materiał i odjedzie, zanim jakiś gliniarz z drogówki zauważy wykroczenie. A jeśli nie, chrzanić to, wisiała za mandaty więcej, niż ten samochód był wart.

Szybko przeszła za róg, wyciągając z kieszeni magnetofon cyfrowy. Przed numerem 666 na West End Avenue parkowało w dwóch rzędach kilka samochodów: dwa radiowozy, nieoznakowany ford crown vic

i ambulans. Furgonetka z kostnicy właśnie odjeżdżała. Dwaj mundurowi stali na najwyższym stopniu schodów przed wejściem do budynku i wpuszczali tylko mieszkańców, ale poniżej na chodniku zebrała się grupka ludzi, którzy w napięciu rozmawiali szeptem. Twarze mieli jednakowo blade i ściągnięte, zupełnie jakby – zauważyła kwaśno Kidd – wszyscy zobaczyli ducha.

Z wypraktykowaną zręcznością wśliznęła się pomiędzy niespokojnych, mamroczących ludzi, słuchając kilku rozmów naraz, wprawnie odfiltrowując nieistotną gadaninę i skupiając się na tych, którzy chyba coś wiedzieli. Wybrała łysogo, masywnie zbudowanego mężczyznę z twarzą barwy skórki granatu. Pomimo jesiennego chłodu w powietrzu pocił się obficie.

– Przepraszam – zwróciła się do niego. – Caitlyn Kidd, prasa. Czy to prawda, że William Smithback został zabity?

Facet kiwnął głową.

– Ten reporter?

Ponownie przytaknął.

– Tragedia. Był taki miły, przynosił mi darmowe gazety. Pani jest koleżanką?

– Pracuję w dziale kryminalnym „West Sidera”. Dobrze pan go znał?

– Mieszkałem obok. Dopiero wczoraj go widziałem. – Pokręcił głową.

Tego potrzebowała.

– Właściwie co się stało?

– To było wczoraj w nocy. Jeden facet zadźgał go nożem. Słyszałem wszystko. Okropna historia.

– A morderca?

– Widziałem go, rozpoznałem, gość mieszka w tym budynku. Colin Fearing.

– Colin Fearing – powtórzyła Kidd powoli, do magnetofonu.

Wyraz twarzy rozmówcy zmienił się w sposób, którego nie potrafiła określić.

– Tylko widzi pani, jest jeden problem.

– Tak? – podchwyciła skwapliwie Kidd.

– Podobno Fearing nie żyje prawie od dwóch tygodni.

– Ach tak? Jak to?

– Znaleźli jego ciało pływające obok Spuyten Duyvil. Identyfikacja, autopsja, wszystko.

– Jest pan pewien?

– Policja powiedziała o tym portierowi. A on nam.

– Nie rozumiem – wyznała Kidd.

Łysy pokręcił głową.

– Ani ja.

– Ale na pewno mężczyzna, którego pan widział w nocy, to był Colin Fearing?

– Nie mam cienia wątpliwości. Niech pani zapyta Heidi, ona też go widziała. – Wskazał myszowatą kobietę, która stała obok niego z przestraszoną miną. – Portier też go widział. Bił się z nim. O, to on, wychodzi z budynku.

Wskazał niskiego, eleganckiego mężczyznę w hiszpańskim typie, który pojawił się w drzwiach.

Caitlyn szybko zapisała ich nazwiska i kilka innych przydatnych szczegółów. Już sobie wyobrażała, co z tego zrobi facet od nagłówków w „West Siderze”.

Zaczęli się pojawiać inni reporterzy, zlatywali się jak sępy, wyklócali z gliniarzami, którzy ocknęli się i zaczęli zaganiać mieszkańców z powrotem do budynku. Kiedy Kidd dotarła do samochodu, znalazła mandat zatknięty za wycieraczkę.

Miała to w nosie. Zdobyła swoją sensację.

5.

Nora Kelly otworzyła oczy. Była noc i wszędzie panowała cisza. Lekki wietrzyk wpadał przez okno szpitalnego pokoju i szeleścił zasłonami zaciągniętymi wokół sąsiedniego pustego łóżka.

Otępienie po środkach przeciwbólowych minęło i Nora zrozumiała, że sen nie powróci. Leżała bez ruchu, walcząc z zalewającymi ją falami zgrozy i rozpacz. Świat był okrutny i kapryśny, nawet oddychanie wydawało się bez sensu. Próbowwała jednak opanować żal, skupić się na bolesnym pulsowaniu zabandażowanej głowy, na otaczających ją odgłosach wielkiego szpitala. Stopniowo drżenie kończyn ustało.

Bill – jej mąż, kochanek, przyjaciel – nie żył. Nie tylko widziała jego śmierć; czuła ją w kościach. Czuła pustkę, nieobecność. Bill odszedł.

Szok i zgroza narastały coraz bardziej z każdą upływającą godziną, jasność myśli sprawiała nieopisany ból. Jak to się mogło stać? To był koszmar, brutalny postępek bezlitosnego Boga. Jeszcze wczoraj wieczorem obchodzili pierwszą rocznicę ślubu. A teraz... teraz...

Nora jeszcze raz spróbowała odepchnąć falę nieznośnego cierpienia. Sięgnęła do przycisku, którym wzywała pielęgniarkę, żeby poprosić o następną dawkę morfiny, ale zrezygnowała. Nie tędy droga. Zamknęła oczy w nadziei na dobroczynne objęcia snu, ale wiedziała, że sen nie nadejdzie. Może już nigdy.

Usłyszała jakiś hałas i ulotne wrażenie *déjà vu* podpowiedziało jej, że taki sam hałas ją obudził. Gwałtownie otworzyła oczy. To było

stęknienie, dochodziło z drugiego łóżka w dwuosobowym pokoju. Panika opadła; widocznie kogoś jej dokwaterowali, kiedy spała.

Odwróciła głowę w tamtą stronę i próbowała zobaczyć, kto leży za zasłoną. Teraz słyszała cichy oddech, urywany i charczący. Zasłony zakolysały się i zrozumiała, że nie poruszał nimi wiatr, tylko osoba leżąca na łóżku. Westchnienie, szelest wykrochmalonych prześcieradeł. Półprzezroczyste zasłony podświetlał od tyłu blask padający z okna i Nora dostrzegła ciemną, niewyraźną sylwetkę. Sylwetka powoli podniosła się z kolejnym westchnieniem, rżąc z wysiłku.

Ręka lekko dotknęła zasłony od wewnątrz.

Nora widziała nikły zarys dłoni, gładzącej fałdy gazy, przesuwającej się po zasłonie, która kołysała się pod tym dotykiem. Dłoń znalazła otwór, wysunęła się na zewnątrz i uchwyciła brzeg zasłony.

Nora wytrzeszczyła oczy. Dłoń była brudna. Plamiły ją ciemne, mokre smugi – niemal jak krew. Im dłużej patrzyła w słabym świetle, tym większej nabierała pewności, że to jest krew. Może to był ktoś świeżo po operacji albo szwy mu się otworzyły. Ktoś bardzo chory.

– Nic panu nie jest? – zapytała. Jej głos zabrzmiał zbyt głośno i ochryple w ciszy.

Następne stęknienie. Dłoń zaczęła bardzo powoli odsuwać zasłonę. Stalowe kółka przesuwały się po pręcie z jakąś przerażającą celowością. Wybrzękiwały zimną, drżącą kadencję. Nora znowu pomacała poręcz łóżka, szukając przycisku.

Zasłony rozsunęły się i ukazała się ciemna postać odziana w obszarpane łachmany pokryte ciemnymi plamami. Lepkie, zmierzwiłone włosy sterczały na głowie. Nora wstrzymała oddech. Postać powoli odwróciła głowę i spojrzała na nią. Usta otworzyły się i wydobył się z nich gardłowy dźwięk, jakby wody wsysanej do odplywu.

Nora znalazła guzik i zaczęła go rozpaczliwie naciskać.

Postać spuściła nogi na podłogę, odczekała chwilę, jakby zbierała siły, po czym chwiejnie wstała. Przez chwilę kołysała się w przód i w

tył w półmroku. Potem zrobiła mały, jakby eksperymentalny kroczek w stronę Nory. Przy tym ruchu twarz znalazła się w smudze blasku padającego z naświetla nad drzwiami. Przez mgnienie Nora widziała tępe, rozmyte rysy, opuchnięte i rozmiękłe. Coś w tych rysach, w niepewnych ruchach wydało się jej ohydnie znajome. Kolejny chybotliwy krok do przodu, drżąca ręka wyciąga się do niej...

Nora wrzasnęła, zamłóciła rękami i rzuciła się do tyłu, jak najdalej od stwora, ale nogi jej się zaplątały w prześcieradła. Z krzykiem dźgała przycisk i usiłowała się wygrzebać z pościeli. Czemu pielęgniarki tak długo nie przychodzą? Uwolniła się brutalnym szarpnięciem, spadła z łóżka, z trzaskiem przewróciła stojak z kroplówką i przetoczyła się po podłodze w oszołomieniu i panice...

Po długiej chwili zamroczenia usłyszała głosy i tupot stóp. Zapaliło się światło, pielęgniarka pochylała się nad nią, delikatnie podnosiła ją z podłogi, wyszeptwała jej kojąco do ucha.

– Spokojnie – mówił głos. – Miała pani zły sen...

– On tu był! – krzyknęła Nora i próbowała się wyrwać. – Był tutaj!

Chciała podnieść rękę i pokazać, ale pielęgniarka objęła ją ramionami i unieruchomiła łagodnie, lecz stanowczo.

– Wracajmy do łóżka – powiedziała. – Koszmary zdarzają się bardzo często po wstrząsie.

– Nie! On był prawdziwy, przysięgam!

– Oczywiście, że wydawał się prawdziwy. Ale teraz już w porządku.

Pielęgniarka położyła ją do łóżka i nakryła prześcieradłem.

– Tam! Za zasłoną! – W głowie ją łupało i ledwie mogła myśleć.

Wbiegła następna pielęgniarka ze strzykawką w ręku.

– Wiem, wiem. Ale teraz jest pani bezpieczna...

Pielęgniarka lekko osuszyła jej czoło chłodnym kompresem.

Nora poczuła przelotne ukłucie igły na przedramieniu. Weszła trzecia pielęgniarka, podniosła stojak z kroplówką.

– ...za zasłoną... w tamtym łóżku... – Wbrew sobie Nora poczuła, że całe jej ciało się odpręża.

– Tutaj? – zapytała pielęgniarka, wstając. Odsunęła zasłonę jedną ręką, odsłaniając schludnie zaścielone łóżko z prześcieradłem napiętym jak bęben. – Widzi pani? To tylko sen.

Nora opadła na poduszkę, ręce i nogi zrobiły się ciężkie. Czyli jednak to jej się przyśniło.

Pielęgniarka pochyliła się, otuliła ją i wygładziła nakrycie. Nora niewyraźnie widziała, jak druga pielęgniarka zawiesza nową butelkę soli fizjologicznej i ponownie podłącza kroplówkę. Wszystko odpłynęło bardzo daleko. Nora czuła się zmęczona, taka zmęczona. Oczywiście, że to był sen. Przestała się przejmować i pomyślała, jak cudownie jest się nie przejmować...

6.

Vincent D'Agosta przystanął w otwartych drzwiach szpitalnego pokoju i nieśmiało zapukał. Poranne słońce wlewało się z korytarza i zło-ciło lśniący sprzęt medyczny ustawiony pod kafelkowymi ścianami.

Nie spodziewał się takiego silnego głosu, który odpowiedział:

– Proszę wejść.

Wszedł, czując się niezręcznie. Położył kapelusz na jedynym krze-sle, po czym musiał go zabrać, żeby usiąść. Nigdy nie radził sobie za dobrze w takich sytuacjach. Z pewnym wahaniem spojrzął na Norę i zdziwił się. Zamiast zbolalej, zrozpaczonej, pogrążonej w żalobie wdowy, jakiej się spodziewał, zobaczył kobietę zadziwiająco opanowa-ną. Oczy miała zaczerwienione, ale bystre i zdecydowane. Bandaż za-krywający część głowy i cień sińca pod prawym okiem stanowiły jedy-ne ślady napaści sprzed dwóch dni.

– Noro, tak mi przykro, tak cholernie przykro... – Głos go zawiódł.

– Bill uważał cię za dobrego przyjaciela – odpowiedziała. Dobiera-ła słowa powoli, starannie, jakby wiedziała, co należy powiedzieć, ale nie całkiem to rozumiała.

Milczeli przez chwilę.

– Jak się czujesz? – zapytał i od razu się zorientował, jak kulawo to zabrzmiało.

Nora tylko pokręciła głową i odpowiedziała tym samym pytaniem:

– A jak ty się czujesz?

– Parszywie – wyznał szczerze D'Agosta.

- On byłby zadowolony, że ty prowadzisz... sprawę.
- D'Agosta kiwnął głową.
- Lekarz przyjmie mnie w południe i jeśli wszystko jest w porządku, od razu mnie wypiszą.
 - Noro, chcę ci coś powiedzieć od razu na wstępie. Znajdziemy tego drania. Znajdziemy go, zamkniemy i wyrzucimy klucz.
- Nora milczała.
- D'Agosta potarł ręką łysinę.
- Żeby to zrobić, muszę ci zadać jeszcze parę pytań.
 - Pytaj. Rozmowa... rozmowa nawet pomaga.
 - Okay. – Zawahał się. – Czy jesteś pewna, że to był Colin Fearing?
 - Równie pewna jak tego, że leżę teraz w łóżku – odparła obojętnie. – Tak, to był Fearing.
 - Jak dobrze go znałaś?
 - Gapił się na mnie w westybulu. Raz zaprosił mnie na randkę, chociaż wiedział, że jestem mężatką. – Zadygotała. – Skończona świnia.
 - Czy zdradzał jakieś objawy nie zrównoważenia psychicznego?
 - Nie.
 - Opowiedz mi, jak to było, kiedy, hm, zaprosił cię na randkę.
 - Przypadkiem razem wsiedliśmy do windy. Odwrócił się do mnie z rękami w kieszeniach i zapytał... tym swoim lepkiem brytyjskim akcentem... czy chcę wpaść do niego na chatę, żeby obejrzeć kolekcję znaczków.
 - Naprawdę tak powiedział? Kolekcję znaczków?
 - Pewnie uważał, że to bardzo dowcipne.
- D'Agosta pokręcił głową.
- Widziałaś go w ciągu, dajmy na to, ostatnich dwóch tygodni?
- Nora nie odpowiedziała od razu. Najwyraźniej próbowała sobie przypomnieć i D'Agosta pożałował jej z całego serca.

- Nie. Dlaczego pytasz?
- D'Agosta nie był jeszcze gotowy, żeby podjąć ten temat.
- Czy on miał dziewczynę?
- O ile wiem, nie miał.
- Spotkałaś kiedyś jego siostrę?
- Nawet nie wiedziałam, że miał siostrę.
- Czy Fearing miał jakichś bliskich przyjaciół? Innych krewnych?
- Nie znalazłam go aż tak dobrze. Sprawiał wrażenie samotnika. Wychodził o dziwnych porach... no wiesz, aktor, pracował w teatrze.

D'Agosta zajrzał do notesu, gdzie nagryzmolił kilka rutynowych pytań.

– Jeszcze tylko parę formalności, do protokołu. Jak długo ty i Bill jesteście małżeństwem? – Nie potrafił się zmusić, żeby zadać pytanie w czasie przeszłym.

– To była nasza pierwsza rocznica.

D'Agosta próbował zachować spokojny, neutralny ton. Poczł ucisk w gardle, więc przełknął ślinę z wysiłkiem.

– Jak długo Bill pracuje w „Timesie”?

– Cztery lata. Przedtem pracował w „Post”. A jeszcze wcześniej był wolnym strzelcem, pisał książki o muzeum i bostońskim Akwarium. Przyślę ci kopię jego życiorysu... – Jej głos przycichł. – Jeśli chcesz.

– Dziękuję, to by pomogło. – D'Agosta zrobił notatkę. Potem znowu podniósł wzrok na kobietę. – Noro, przepraszam, ale muszę zapytać. Czy masz jakieś przypuszczenia, dlaczego Fearing to zrobił?

Nora pokręciła głową.

– Żadnych zatargów? Pretensji?

– O niczym takim nie wiem. Fearing to był po prostu ktoś, kto mieszkał w tym budynku.

– Wiem, że to trudne pytania, i doceniam...

– Trudna jest świadomość, poruczniku, że Fearing wciąż jest na

wolności. Pytaj, o co chcesz.

– Okay. Czy myślisz, że zamierzał cię napastować?

– Możliwe. Chociaż źle wyliczył czas. Wszedł do mieszkania zaraz po moim wyjściu. – Zawahała się. – Mogę o coś zapytać?

– Oczywiście.

– O tej porze mógł się spodziewać, że zastanie nas oboje w domu, prawda? Ale miał tylko nóż.

– Zgadza się, tylko nóż.

– Nikt nie włamuje się do cudzego mieszkania tylko z nożem, jeśli spodziewa się zastać dwie osoby. W naszych czasach łatwo zdobyć broń.

– Całkiem słusznie.

– No więc co myślisz?

D'Agosta sporo się nad tym zastanawiał.

– Dobre pytanie. I jesteś pewna, że to był on?

– Już drugi raz mnie o to pytasz.

D'Agosta pokręcił głową.

– Chciałem tylko się upewnić.

– Ale szukacie go, prawda?

– No jasne. – Na przykład w grobie. Rozpoczęli już starania o zezwolenie na ekshumację. – Jeszcze kilka pytań.

Czy Bill miał wrogów?

Po raz pierwszy i jedyny Nora się roześmiała. Ale bez wesołości; tylko krótkie, wymuszone parsknięcie.

– Reporter „New York Timesa”? Jasne, że miał wrogów.

– Kogoś konkretnego? Zastanawiała się przez chwilę.

– Lucas Kline.

– Kto?

– Prowadzi firmę software'ową w mieście. Lubi bzykać swoje sekretarki, a potem każe im trzymać gębę na kłódkę. Bill go zdemaskował.

– Czym się wyróżnił?
– Przysłał list do Billa. Z pogrózkami.
– Chciałbym go zobaczyć.
– Proszę bardzo. Ale Kline nie jest jedyny. Na przykład artykuły o prawach zwierząt, nad którymi Bill pracował. Robię spis w głowie. I te dziwne paczuszki...

– Jakie dziwne paczuszki?
– W zeszłym miesiącu dostał dwie. Małe pudełeczka z dziwnymi rzeczami w środku. Małeńkie laleczki zszyte z flaneli. Kości zwierząt, mech, cekiny. Kiedy wrócę do domu... – Głos jej się załamał, ale odchrząknęła i podjęła z uporem: – Kiedy wrócę do domu, przejrzę jego wycinki i pozbięram wszystkie niedawne artykuły, które mogły kogoś rozzłościć. Powinieneś porozmawiać z jego redaktorem przydziałowym w „Timesie”, żeby się dowiedzieć, nad czym pracował.

– Mam to na liście.

Milczała przez chwilę, patrząc na niego z determinacją zaczerwieńnionymi oczami.

– Poruczniku, czy to ci się nie wydaje wyjątkowo nieudolną zbrodnią? Fearing wszedł i wyszedł, nie przejmując się świadkami, nawet nie próbował unikać kamer ochrony czy się maskować.

D'Agosta zastanawiał się również nad tą kwestią: czy Fearing naprawdę był taki głupi? Zakładając, że to jednak był on.

Nora jeszcze przez chwilę wytrzymała jego spojrzenie. Potem spuściła wzrok na kołdrę.

– Czy mieszkanie ciągle jest zapieczętowane?

– Nie. Od dziesiątej dzisiaj rano.

Zawahała się.

– Wypisują mnie po południu i... chcę tam wrócić jak najszybciej.

D'Agosta rozumiał.

– Kazałem już... kazałem wszystko przygotować na twój powrót. Jest firma, która wykonuje takie zlecenia od ręki.

Nora kiwnęła głową, odwróciła wzrok.

D'Agosta potraktował to jak sygnał do odejścia i wstał.

– Dziękuję ci, Noro. Będę cię informował o postępach. Jeśli coś jeszcze ci przyjdzie do głowy, dasz mi znać?

Ponownie kiwnęła głową, nie patrząc na niego.

– I pamiętaj, co powiedziałem. Znajdziemy Fearinga... masz moje słowo.

7.

Agent specjalny Pendergast sunął bezgłośnie przez długi, mroczny centralny hol swojego apartamentu przy Zachodniej Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy. Minał elegancką bibliotekę; salę zawierającą renesansowe i barokowe obrazy olejne; klimatyzowane pomieszczenie wypełnione od podłogi do sufitu rocznikowymi winami na tekowych regałach; salon ze skórzanymi fotelami, kosztownymi jedwabnymi dywanami i terminalami podłączonymi twardym łączem do baz danych pół tuzina agencji rządowych.

To były publiczne pokoje apartamentu Pendergasta, chociaż widziało je najwyżej dziesięć osób. Teraz kierował się do prywatnych pomieszczeń, które znał tylko on i Kyoko Ishimura, głuchoniema gospodyni, mieszkająca na miejscu i opiekująca się apartamentem.

W ciągu kilku lat Pendergast dyskretnie nabył dwa dodatkowe sąsiednie mieszkania, kiedy pojawiły się na rynku, i połączył je z własnym. Teraz jego rezydencja ciągnęła się prawie przez cały fronton budynku Dakota od strony Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy i część frontonu od strony Central Park West: ogromne, przestronne, a jednak wyjątkowo prywatne lokum.

Dotarłszy do końca korytarza, Pendergast otworzył drzwi czegoś, co wyglądało jak szafa. Zamiast tego znajdował się tam mały pokój, całkowicie pusty, jeśli nie liczyć drugich drzwi w ścianie naprzeciwko. Pendergast odłączył zabezpieczenie, otworzył drzwi i wszedł do prywatnej części apartamentu. Przeszedł szybko również przez te

pomieszczenia, skinąwszy głową pannie Ishimura, która stała w przestronnej kuchni i przygotowywała zupę z rybich wnętrzności na wysokiej klasy profesjonalnej kuchence. Podobnie jak wszystkie pomieszczenia w Dakocie kuchnia miała niezwykle wysoki sufit. W końcu Pendergast dotarł do końca drugiego korytarza, do następnych niewinnie wyglądających drzwi. Za nimi znajdował się cel jego wędrówki: trzeci apartament, sanctum sanctorum, do którego nawet panna Ishimura wchodziła tylko okazjonalnie.

Otworzył drzwi drugiego pokoiku wielkości szafy. Tutaj na drugim końcu nie znajdowały się drzwi, tylko *shoji*, przesuwane przepierzenie z drewna i arkuszy papieru ryżowego. Pendergast zamknął za sobą drzwi, zrobił krok do przodu i delikatnie odsunął *shoji*.

Za przepierzeniem znajdował się spokojny ogród. Łagodne pluskanie wody i śpiew ptaków wypełniały powietrze ciężkie od zapachu sosen i eukaliptusów. Przyćmione, rozproszone światło sugerowało późne popołudnie albo wczesny wieczór. Gdzieś w zielonym gąszczu gruchał gołąb.

Wąska ścieżka ułożona z płaskich kamieni wiła się wśród wiecznie zielonych roślin, obramowana kamiennymi latarniami. Pendergast zasunął z powrotem *shoji*, przekroczył obramowanie z kamyków i ruszył ścieżką. To był *uchi-roji*, wewnętrzny ogród herbaciarni. Całkowicie prywatne, niemal sekretne miejsce emanowało spokojem, zachęcało do kontemplacji. Pendergast tak się z nim zżył, że niemal przestał zauważać, jakie to niezwykle: kompletny, samowystarczalny ogród w głębi masywnego bloku mieszkalnego na Manhattanie.

Przed nim spomiędzy krzewów i karłowatych drzew wyłonił się niski drewniany budynek, prosty i pozbawiony ozdób. Pendergast przeszedł obok stylowej sadzawki do wejścia herbaciarni i powoli odsunął *shoji*.

Herbaciarnia urządzona była z oszczędną elegancją. Pendergast stał przez chwilę w wejściu, chłonąc wzrokiem zwój wiszący w niszy,

formalną dekorację kwiatową chabana^{*}, półki ze skrupulatnie wyczyszczonymi pędzelkami do ubijania, czerpakami i innymi przyborami do zaparzania herbaty. Potem, zamknąwszy przesuwane drzwi, usadowił się na macie tatami w pozycji *seiza* i rozpoczął rygorystyczny rytuał samej ceremonii.

* *Chabana* – odmiana ikebany w swobodnym stylu, stosowana do dekoracji pomieszczeń podczas ceremonii herbaty, wyróżniająca się prostotą i minimalizmem.

Ceremonia herbaty uosabia wdzięk i doskonałość; to rytuał podawania herbaty małej grupce gości. Chociaż Pendergast był sam, odprawiał ceremonię dla gościa: takiego, który nie mógł się zjawić.

Starannie napełnił imbryczek, odmierzył porcję sproszkowanej herbaty, ubił ją do pożądaney konsystencji, potem nalał do dwóch przepięknych siedemnastowiecznych czarek. Jedną postawił przed sobą, drugą zaś umieścił po przeciwnej stronie maty. Siedział przez chwilę, wpatrując się w smużki pary unoszące się nad jego czarką. Potem – powoli, w zamyśleniu – podniósł czarkę do ust.

Popijając, pozwolił, żeby w jego umyśle uformowały się pewne wspomnienia, i zatrzymywał się przy każdym po kolei, zanim przeszedł do następnego. Wszystkie wspomnienia dotyczyły tej samej osoby. William Smithback junior pomaga mu w wyścigu z czasem, żeby wysadzić drzwi grobowca Tenef i uwolnić uwięzionych tam ludzi. Smithback leży przerażony na tylnym siedzeniu ukradzionej taksówki, którą Pendergast lawiruje w ruchu ulicznym, uciekając przed swoim bratem Diogenesem. Teraz jeszcze wcześniej, Smithback patrzy z oburzeniem i konsternacją, jak Pendergast pali przepis na Arcanum na grobie Mary Greene. I jeszcze wcześniej, znowu Smithback stoi przy jego boku podczas straszliwej walki z dziwacznymi mieszkańcami Diabelskiego Poddasza, głęboko pod ulicami Nowego Jorku.

Wreszcie czarka była pusta i nie zostało już więcej wspomnień do rozpamiętywania. Pendergast odstawił czarkę na matę i na chwilę zamknął oczy. Potem znowu je otworzył i spojrzął na drugą czarkę,

wciąż pełną, stojącą naprzeciwko. Westchnął cicho.

– *Waga tomo yasurakami* – powiedział. – Żegnaj, przyjacielu.

8.

Południe. D'Agosta ponownie nacisnął guzik windy ze stłumionym przekleństwem. Spojrzał na zegarek.

– Dziewięć minut. Bez jaj... sterczymy tutaj przez dziewięć cholernych minut.

– Musisz nauczyć się dobrze wykorzystywać wolny czas, Vincent – mruknął Pendergast.

– Tak? Mam wrażenie, że ty też przestępujesz z nogi na nogę.

– Wręcz przeciwnie. Ostatnie dziewięć minut poświęciłem na refleksję... bardzo przyjemną... nad inwokacją Milтона w trzeciej księdze *Raju utraconego*; powtórzyłem sobie drugą deklinację łacińskich rzeczowników... pewne łacińskie deklinacje mogą dostarczyć zajęcia na całe życie i ułożyłem w głowie nader nieparlamentarny list do inżynierów, którzy zaprojektowali tę windę.

Skrzypiący rumor obwieścił przyjazd windy. Drzwi rozsunęły się z jękiem i zatłoczona kabina wypluła swój ładunek lekarzy, pielęgniarek i – na końcu – zwłoki na wózku. Weszli do środka i D'Agosta nacisnął guzik oznaczony B2.

Po długim oczekiwaniu drzwi zamknęły się z łoskotem. Winda zaczęła zjeżdżać tak wolno, że nie dało się wyczuć ruchu. Po następnym niekończącym się czekaniu drzwi rozwarły się ze skrzypieniem, odsłaniając wyłożony kafelkami piwniczny korytarz, skąpany w zielonkawym świetle jarzeniówek. Cuchnęło tu formaldehydem i śmiercią. Strażnik za przesuwającym szklanym przepierzeniem pilnował

zamkniętych stalowych drzwi. D'Agosta podszedł, wyjmując odznakę.

– Porucznik D'Agosta, wydział zabójstw Nowojorskiego Departamentu Policji, agent specjalny Pendergast, FBI. Jesteśmy umówieni z doktorem Wayne'em Hefflerem.

– Dokumenty na tacę – odparł lakoniczny głos.

Obaj położyli odznaki na przesuwanej tacy. Po chwili wróciły razem z przepustkami. Stalowe drzwi otwały się z metalicznym szczęknięciem.

– Przez hol, drugi korytarz, w lewo na rozgałęzieniu. Zgłosić się do sekretarki.

Sekretarka była zajęta i upłynęło następne dwadzieścia minut, zanim lekarz ich przyjął. Kiedy wreszcie drzwi się otworzyły i wprowadzono ich do eleganckiego gabinetu, D'Agosta rwał się do bitki. I jak tylko zobaczył arogancką, zirytowaną twarz zastępcy lekarza sądowego, wiedział, że jego życzenie się spełni.

Lekarz wstał zza biurka i ostentacyjnie nie zaproponował, żeby usiedli. Był to przystojny starszy pan, szczupły i żyłasty, ubrany w rozpinany sweter, muszkę i wykrochmaloną białą koszulę. Tweedowa marynarka wisiała na oparciu krzesła. Rzednące siwe włosy miał szesnane do tyłu z wysokiego czoła. Ten wygląd pana Rogersa* kończył się na oczach, niebieskich i zimnych jak lód za szklami okularów w rogowej oprawce. Na ścianach pokrytych drewnianą boazerią wisiały sztychy myśliwskie, a w dużej oszklonej gablocie stała kolekcja porożców z regat jachtowych. Cholerny wiejski dżentelmen, pomyślał kwaśno D'Agosta.

* Fred Rogers (1928-2003) – gospodarz popularnego amerykańskiego edukacyjnego programu telewizyjnego dla dzieci nadawanego w latach 1968-2001.

– Czym mogę panom służyć? – zapytał lekarz bez uśmiechu, z rękami na biurku.

D'Agosta demonstracyjnie sięgnął po krzesło, przesunął je kilka razy tam i z powrotem i rozsiadł się wygodnie, bez pośpiechu. Pendergast

wśliznął się gładko na sąsiednie krzesło. D'Agosta wyłuskał z teczek dokument i przesunął go po półakrowym blacie biurka.

Lekarz nawet nie spojrzął na papier.

– Poruczniku... ee, D'Agosta, proszę mnie zapoznać ze szczegółami. Nie mam czasu na czytanie raportów.

– Chodzi o autopsję Colina Fearinga. Pan nią kierował. Pamięta pan?

– Oczywiście. Ciało znalezione w rzece Harlem. Samobójstwo.

– Właśnie – przeciągnął D'Agosta. – Ale pięciu wiarygodnych świadków przysięga, że to on popełnił morderstwo na West Avenue wczoraj w nocy.

– To całkowicie wykluczone.

– Kto zidentyfikował ciało?

– Siostra. – Heffler niecierpliwie przekartkował otwarte akta leżące na biurku. – Carmela Fearing.

– Nie miał żadnej innej rodziny?

Znowu niecierpliwe kartkowanie.

– Tylko matkę. Niepoczytalna, w stanowym domu opieki.

D'Agosta zerknął na Pendergasta, lecz agent specjalny oglądał sportowe sztychy z widocznym niesmakiem i jakby nie zwracał uwagi na przebieg rozmowy.

– Znaki szczególne? – kontynuował D'Agosta.

– Fearing miał bardzo niezwykły tatuaż hobbita na lewym mięśni naramiennym i znamię na prawej kostce. Sprawdziliśmy to pierwsze w salonie tatuażu... zrobione bardzo niedawno. To drugie sprawdziliśmy w świadectwie urodzenia.

– Karta dentystyczna?

– Nie mogliśmy znaleźć jego karty dentystycznej.

– A to dlaczego?

– Colin Fearing dorastał w Anglii. Potem, zanim się przeniósł do Nowego Jorku, mieszkał w San Antonio w Teksasie. Jego siostra

zeznała, że wszystkie zabiegi dentystyczne przeprowadzał w Meksyku.

– Więc nie zadzwoniliście do klinik w Meksyku albo w Londynie? Ile czasu zajmuje zeskanowanie i przesłanie e-mailem zestawu zdjęć rentgenowskich?

Lekarz wydał długie, pełne irytacji westchnienie.

– Znamię, tatuaż, zaprzysiężone i poświadczone naoczne rozpoznanie przez wiarygodnego najbliższego krewnego... zadośćuczyniliśmy wymogom prawa zawiązka, poruczniku. Nigdy nie skończyłbym pracy, gdybym sprawdzał zagraniczne karty dentystyczne każdego cudzoziemca, który popełni samobójstwo w Nowym Jorku.

– Czy zachowaliście próbki krwi albo tkanki Fearinga?

– Robimy tylko prześwietlenie i przechowujemy tkanki i krew, jeśli dany przypadek budzi wątpliwości. To było oczywiście samobójstwo.

– Skąd pan wie?

– Fearing skoczył z obrotowego mostu naprzeciwko Spuyten Duyvel do rzeki Harlem. Jego ciało znalazła policyjna motorówka w Spuyten Duyvel. Skok spowodował pęknięcie płuc i wgniecenie czaszki. A na szynach został list samobójczy. Ale pan to wszystko wie, poruczniku.

– Czytałem o tym w protokole. To nie to samo, co wiedzieć.

Lekarz ciągle stał i teraz manifestacyjnie zamknął teczkę na biurku.

– Dziękuję panom, to wszystko? – Spojrzał na zegarek.

Dopiero wtedy Pendergast się wyprostował.

– Komu pan przekazał ciało? – zapytał powoli, niemal sennym głosem.

– Siostrze, oczywiście.

– Jaki dowód tożsamości okazała siostra? Paszport?

– O ile pamiętam, nowojorskie prawo jazdy.

– Czy zachował pan kopię tego prawa jazdy?

– Nie.

Lekkie westchnienie wyrwało się agentowi.

– Jacyś świadkowie samobójstwa?

– O ile mi wiadomo, nie.
– Czy przeprowadzono grafologiczne badanie listu samobójczego, żeby potwierdzić, że rzeczywiście został napisany przez Colina Fearinga?

Wahanie. Teczka ponownie została otwarta. Lekarz przerzucił kartki.

– Chyba nie.

D'Agosta podjął wątek.

– Kto znalazł list?

– Policjanci, którzy wyłowili ciało.

– A siostra... czy pan ją przesłuchał?

– Nie. – Heffler odwrócił się od D'Agosty, niewątpliwie w nadziei, że zamknie mu usta. – Panie Pendergast, czy mogę zapytać, dlaczego FBI interesuje się tą sprawą?

– Nie może pan, doktorze Heffler.

D'Agosta podjął:

– Proszę posłuchać, doktorze. W pańskiej kostnicy leży ciało Billa Smithbacka i jeśli mamy kontynuować dochodzenie, potrzebujemy szybkiej autopsji. Potrzebujemy również testów DNA z próbek krwi i włosów, równie szybko. I testu DNA matki Fearinga dla porównania, skoro przez pańskie niedbalstwo nie zachowano żadnych próbek z autopsji.

– Jak szybko to ma być?

– Najwyżej cztery dni.

Lekki uśmiezek pogardliwego triumfu przemknął po wargach lekarza.

– Przykro mi, poruczniku, ale to niemożliwe. Jesteśmy zawaleni robotą, zresztą i tak cztery dni to wykluczone. Na autopsję potrzeba co najmniej dziesięciu dni, może nawet trzech tygodni. Co do testów DNA, to nawet nie leży w mojej jurysdykcji. Musi pan uzyskać nakaz sądowy, żeby pobrać krew od matki, co może potrwać kilka miesięcy.

A przy kolejkach w laboratorium DNA będziecie mieli szczęście, jeśli otrzymacie końcowe wyniki w ciągu pół roku.

– Jakie to niewygodne – odezwał się ponownie Pendergast. Odwrócił się do D'Agosty. – Więc będziemy musieli poczekać. Chyba że doktor Heffler przeprowadzi tę autopsję... jak to się mówi?... w trybie pilnym.

– Gdybym pracował w trybie pilnym na żądanie każdego agenta FBI i detektywa od zabójstw... a wszyscy tego żądają... nie miałbym czasu na nic innego. – Przesunął raport z powrotem w stronę D'Agosty. – Przykro mi. A teraz mogę panów przeprosić?

– Oczywiście – powiedział Pendergast. – Bardzo przepraszamy, że zabraliśmy panu cenny czas.

D'Agosta patrzył z niedowierzaniem, jak agent wstaje. I co, pozwolą tak się splawić?

Pendergast ruszył do drzwi, potem przystanął.

– Dziwne, że potrafił pan tak szybko pracować przy zwłokach Feringa. Ile dni to zajęło?

– Cztery. Ale to było zwykłe samobójstwo. Brakuje nam miejsca na ciała.

– No właśnie! Skoro brakuje wam miejsca, chcielibyśmy, żeby autopsję Smithbacka przeprowadzono w cztery dni.

Krótki śmiech.

– Panie Pendergast, pan nie słuchał. Zawiadomię pana, kiedy znajdziemy miejsce w harmonogramie. A teraz panowie wybaczą...

– W takim razie trzy dni, doktorze.

Heffler wytrzeszczył na niego oczy.

– Słucham?

Pendergast odwrócił się do niego przodem.

– Powiedziałem: trzy dni. Heffler zmrużył oczy.

– Pan oszalał.

– A pan wykazuje skandaliczny brak etyki.

- O czym pan mówi, do cholery?
- Szkoda by było, gdyby wszyscy się dowiedzieli, że pana instytucja sprzedaje mózgi ubogich zmarłych.

Zapadło długie milczenie. Kiedy lekarz sądowy ponownie się odezwał, głos miał zimny jak lód.

- Panie Pendergast, czy pan mi grozi?

Pendergast się uśmiechnął.

- Jaki pan bystry, doktorze.

– To, do czego pan robi aluzję, jak zakładam, jest całkowicie legalną i usankcjonowaną praktyką. Cel jest szlachetny: badania medyczne. Pobieramy z bezpiecznych zwłok wszystkie narządy, nie tylko mózgi. Ich ciała ratują życie i wspomagają rozwój medycyny.

– Kluczowym słowem jest „sprzedaż”. Dziesięć tysięcy dolarów za mózg... taka jest aktualna cena? Kto by pomyślał, że mózg jest taki cenny?

– Na litość boską, my ich nie „sprzedajemy”, panie Pendergast. Żądamy tylko zwrotu poniesionych kosztów. Wydobywanie i przechowywanie narządów sporo kosztuje.

– Różnica, której czytelnicy „New York Post” mogą nie zrozumieć.

Twarz lekarza zbieleła.

- „Post”? Chyba o tym nie piszą?
- Jeszcze nie. Ale wyobraża pan sobie nagłówki?

Teraz oblicze Hefflera pociemniało, a muszka zadrżała z furii.

– Wie pan doskonale, że ta działalność nikomu nie szkodzi. Pieńiądze są dokładnie rozliczane i finansują naszą pracę. Mój poprzednik robił to samo, podobnie jak lekarz przed nim. Utrzymujemy to w tajemnicy tylko dlatego, żeby ludzie nie czuli się nieswojo. Doprawdy, panie Pendergast, ta groźba przekracza wszelkie granice. Przekracza wszelkie granice.

- Istotnie. A więc trzy dni?

Lekarz spojrział na niego twardymi, błyszczącymi oczami. Krótkie kiwnięcie głową.

– Dwa dni.

– Dziękuję, doktorze Heffler. Jestem ogromnie zobowiązany. – Pendergast odwrócił się do D'Agosty. – A teraz naprawdę nie powinniśmy już zabierać panu doktorowi cennego, bardzo cennego czasu.

Kiedy wyszli z budynku na Pierwszej Alei i zbliżali się do rollsa czekającego na jałowym biegu, D'Agosta nie mógł się powstrzymać od chichotu.

– Jakim cudem wyciągnąłeś tego królika z kapelusza?

– Nie wiem, dlaczego tak jest, Vincencie, ale pewni ludzie mający władzę czerpią przyjemność z utrudniania życia innym. Niestety, ja czerpię również niską przyjemność z drażnienia takich ludzi. Wiem, że to zły nawyk, ale w moim wieku trudno się wyzbyć drobnych wad.

– On był rzeczywiście cholernie drażliwy.

– Obawiam się jednak, że doktor Heffler miał rację w kwestii wyników DNA. Przyspieszenie tego procesu przerasta jego możliwości, moje zresztą też, zwłaszcza kiedy wymagany jest nakaz sądowy. Toteż konieczne jest inne rozwiązanie. Dlatego dzisiaj po południu wybierzemy się do Willoughby Manor w Kerkhonkson, żeby złożyć kondolencje niejkiej Gladys Fearing.

– Po co? Ona jest niespełna rozumu.

– A jednak, drogi Vincencie, mam przeczucie, że pani Fearing może się okazać zadziwiająco elokwentna.

9.

Nora Kelly cicho zamknęła drzwi swojego laboratorium antropologicznego w piwnicy i oparła się o nie, zamykając oczy. W głowie łupało ją miarowo, gardło miała suche i obolałe.

To było znacznie gorsze, niż sobie wyobrażała: znosić szczerze kondolencje kolegów, ich współczujące spojrzenia, oferty pomocy, propozycje, żeby wzięła kilka dni wolnego. Kilka dni wolnego? Po co? Żeby wrócić do mieszkania, gdzie został zamordowany jej mąż, i siedzieć tam w towarzystwie tylko własnych myśli? Ze szpitala poszła prosto do muzeum. Chociaż w rozmowie z D'Agostą mówiła co innego, po prostu nie mogła się zmusić, żeby wrócić do mieszkania – przynajmniej nie od razu.

Otworzyła oczy. Laboratorium wyglądało tak, jak je zostawiła dwa dni temu. A jednak inaczej. Od czasu morderstwa wszystko wydawało się inne. Zupełnie jakby cały świat się zmienił – nieodwracalnie.

Z gniewem odsunęła te myśli. Spojrzała na zegarek: druga po południu. Jedyne, co mogło ją teraz uratować, to praca. Pochłaniająca bez reszty praca.

Zamknęła na klucz drzwi laboratorium i włączyła swojego maca. Kiedy komputer odpalił, otworzyła bazę danych swoich skorup. Wysunęła szufladę z tacami i wyciągnęła jedną zawierającą dziesiątki plastikowych torebek z ponumerowanymi skorupami. Otworzyła pierwszą torebkę, ułożyła skorupy na filcowej podkładce i zaczęła je klasyfikować według typu, daty i lokalizacji. Była to żmudna, bezmyślna praca,

ale tego właśnie potrzebowała. Bezmyślnego zajęcia.

Po półgodzinie zrobiła przerwę. W podziemnym laboratorium było cicho jak w grobie, słabe syczenie systemu wymuszonego obiegu powietrza brzmiało jak nieustanny szept w ciemnościach. Koszmar w szpitalu porządnie nastraszył Norę – wydawał się taki realny. Sny na ogół zacierają się z czasem, ten jednak jakby nabierał jeszcze większej wyrazistości.

Nora pokręciła głową zirytowana, że jej myśli wciąż krążą wokół tych samych okropności. Stukając w klawisze mocniej niż trzeba, skończyła wprowadzać bieżącą partię danych, zapisała plik, po czym zaczęła pakować skorupy, żeby zrobić miejsce na następną torbę.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi.

Tylko nie następna wizyta kondolencyjna. Nora spojrzała przez małe okienko osadzone w drzwiach, ale w korytarzu było tak ciemno, że nic nie zobaczyła. Po chwili wstała, podeszła do drzwi i położyła rękę na klamce. Potem się zawahała.

– Kto tam?

– Primus Hornby.

Z uczuciem bliskim konsternacji Nora otworzyła drzwi i ujrzała niskiego, beczkowatego kustosza antropologii z poranną gazetą wsuniętą pod tłuste ramię. Pulchną dłonią nerwowo pocierał łysinę.

– Cieszę się, że cię zastałem. Mogę wejść?

Nora niechętnie odsunęła się, żeby wpuścić kustosza. Niechlujny mały człowieczek odwrócił się do niej.

– Noro, tak mi okropnie przykro.

Ciągle nerwowo pocierał ręką łysinę. Nora nie odpowiedziała – nie mogła odpowiedzieć. Nie potrafiła znaleźć słów.

– Cieszę się, że wróciłeś do pracy. Wierzę, że praca to uniwersalne lekarstwo.

– Dziękuję za pamięć.

Może teraz on wyjdzie. Ale miał taką minę, jakby coś mu leżało na sercu.

– Straciłem żonę kilka lat temu, kiedy prowadziłem badania terenowe na Haiti. Zginęła w wypadku samochodowym w Kalifornii, w czasie mojej nieobecności. Wiem, jak się czujesz.

– Dziękuję, Primus.

Kustosz wszedł dalej w głąb laboratorium.

– Skorupy, jak widzę. Jakie piękne. Przykład ludzkiego dążenia, żeby nadać piękno nawet najpospolitszym przedmiotom.

– Tak, to prawda.

Kiedy on wyjdzie? Nora nagle poczuła wyrzuty sumienia z powodu takiej reakcji. On tylko próbował być miły... na swój sposób. Ale Nora nie mogła w taki sposób przeżywać żałoby: całe to gadanie, składanie kondolencji i wyrazów współczucia.

– Wybacz mi, Noro... – zawahał się. – Ale muszę zapytać. Zamierzasz pochować swojego męża czy poddać kremacji?

To dziwaczne pytanie całkowicie zaskoczyło Norę. Świadomie starała się o tym nie myśleć, chociaż wiedziała, że wkrótce będzie musiała podjąć decyzję.

– Nie wiem – odparła trochę zbyt szorstko.

– Rozumiem. – Hornby z niewiadomego powodu wydawał się skonsternowany. Nora zastanawiała się, z czym jeszcze kustosz wyskoczy. – Jak mówiłem, prowadziłem badania terenowe na Haiti.

– Tak.

Hornby zdradzał coraz większy niepokój.

– W Dessalines, gdzie mieszkałem, czasami używali formalazenu jako płynu balsamującego zamiast zwykłej mieszanki formaliny, etanolu i metanolu.

Rozmowa przybierała dziwnie nierealny obrót.

– Formalazen – powtórzyła Nora.

– Tak. Jest znacznie bardziej trujący i trudniejszy w użyciu, ale preferują go... no, z pewnych powodów. Czasami rozpuszczają w nim trutkę na szczury, żeby jeszcze bardziej zwiększyć jego toksyczność. W

pewnych niezwykłych przypadkach... w pewnych rodzajach śmierci... proszą również przedsiębiorcę pogrzebowego, żeby zaszył usta. – Pownownie się zawahał. – I wtedy grzebią zmarłych twarzą do dołu, z ustami przy ziemi, z długim nożem w jednym ręku. Czasami strzelają w serce trupa albo przebijają je żelazem, żeby... no, żeby zabić go jeszcze raz.

Nora zagapiła się na małego kustosza. Zawsze uważała go za ekscentryka, który za bardzo przesiąknął swoją pracą ale teraz palnął taką gafę, że ledwie mogła w to uwierzyć.

– Bardzo interesujące – bąknęła.

– W Dessalines przywiązują wielką wagę do tego, jak chowają swoich zmarłych. Przestrzegają określonych zasad, ponosząc wielkie nakłady finansowe. Odpowiedni pogrzeb może kosztować dwuletnie albo trzyletnie zarobki.

– Rozumiem.

– Chciałbym powtórzyć, że okropnie mi przykro.

Po tych słowach kustosz rozłożył gazetę, którą trzymał pod pachą i położył na stole. Był to egzemplarz porannego wydania „West Sidera”.

Nora spojrzała na nagłówek:

REPORTER „TIMESA” ZABITY PRZEZ ZOMBIE?

Hornby stuknął w nagłówek serdelkowatym paluchem.

– Zajmowałem się właśnie tą dziedziną. Voodoo. Obeah. Zombie... oczywiście pisane poprawnie przez dwa „i”, nie jak tutaj. Oczywiście „West Sider” wszystko przekręca. – Prychnął.

– Co...? – Nora zaniemówiła wpatrzona w nagłówek.

– Więc jeśli postanowisz pochować swojego męża, mam nadzieję, że będziesz pamiętać o tym, co powiedziałem. Gdybyś miała jakieś pytania, Noro, zawsze jestem na miejscu.

I z pożegnalnym smutnym uśmiechem mały kustosz wyszedł, zostawiwszy gazetę na stole.

10.

Rolls-royce mruczał, sunąc gładko przez nędzną mieścinę Kerhonkson, po spękanej asfaltowej jezdni, obok zamkniętego hotelu Borscht Belt, a potem krętą drogą przez mroczną, wilgotną dolinę rzeki ocienioną gęstymi drzewami. Ostatni ostry zakręt i ukazał się zniszczony wiktoriański dom połączony z kompleksem niskich ceglanych budynków otoczonych siatkowym ogrodzeniem. Tabliczka ukryta w popołudniowym cieniu oznajmiała, że wjeżdżają do Ośrodka Długoterminowej Opieki Willoughby Manor.

– Jezu – powiedział D'Agosta. – Wygląda jak więzienie.

– To jedna z najbardziej osławionych umieralni dla starych i zniechęconych w stanie Nowy Jork – odparł Pendergast. – Ich rejestr wykroczeń w Departamencie Zdrowia piętnaście cali grubości.

Przejechali przez otwartą bramę, obok nieobsadzonej budki strażnika i dalej, przez rozległy, pusty parking dla gości, gdzie chwasty wyrastały z pajęczyny pęknięć. Proctor podjechał przed główne wejście i D'Agosta wygramolił się z samochodu, żałując już wygodnych siedzeń. Pendergast wysiadł za nim. Weszli do ośrodka przez porysowane drzwi z pleksiglasu i znaleźli się w holu, gdzie cuchnęło wilgotnymi dywanami i nieświeżymi tłuczonymi ziemniakami. Ręcznie wypisana tabliczka na drewnianym stojaku pośrodku holu ostrzegała:

Goście MUSZĄ się meldować!

Nabazgrana strzałka wskazywała kąt, gdzie za biurkiem siedziała kobieta czytająca „Cosmopolitan”. Ważyła co najmniej trzysta funtów.

D'Agosta wyjął odznakę.

– Porucznik D'Agosta, agent specjalny...

– Godziny odwiedzin są od dziesiątej do drugiej – odpowiedziała kobieta, nie odrywając wzroku od magazynu.

– Przepraszam. Jesteśmy z policji. – D'Agosta nie zamierzał wysłuchiwać więcej żadnych pierdoł, nie w tej sprawie.

Kobieta wreszcie odłożyła magazyn i spojrzała na nich. D'Agosta pozwolił jej przez chwilę podziwiać swoją odznakę, potem schował ją z powrotem do kieszeni.

– Przyjechaliśmy do pani Gladys Fearing.

– W porządku. – Kobieta nacisnęła guzik interkomu i wrzasnęła do głośnika: – Gliny do Fearing! – Odwróciła się do nich z miną już nie nabzdyczoną, tylko nagle przejętą. – Co się stało? Ktoś popełnił przestępstwo?

Pendergast nachylił się do niej konfidencjonalnie.

– Prawdę mówiąc, tak.

Oczy jej się rozszerzyły.

– Morderstwo – szepnął Pendergast.

Kobieta zachłysnęła się i przycisnęła rękę do ust.

– Gdzie? Tutaj?

– W Nowym Jorku.

– Czy to był syn pani Fearing?

– Chodzi pani o Colina Fearinga?

D'Agosta zerknął na Pendergasta. Co on wyprawia, do cholery?

Pendergast wyprostował się, poprawił krawat.

– Zna pani Colina Fearinga?

– Nie za dobrze.

– Ale on odwiedzał matkę regularnie, prawda? Na przykład w zeszłym tygodniu?

– Wątpię. – Kobieta wyciągnęła księgę rejestracyjną, przekartkowała strony. – Nie.

– Więc widocznie tydzień wcześniej. – Pendergast przechylił się, żeby zajrzeć do księgi.

Kobieta dalej przerzucała kartki, srebrzyste oczy Pendergasta skakały po stronicach.

– Też nie. Ostatni raz odwiedzał matkę w... lutym. Osiem miesięcy temu.

– Doprawdy!

– Niech pan sam zobaczy.

Obróciła księgę, żeby Pendergast łatwiej widział. Agent dokładnie obejrzał nagryzmołony podpis, potem zaczął wertować księgę z powrotem do początku, sprawdzając każdą stronę. Wyprostował się.

– Zdaje się, że nie przyjeżdżał zbyt często.

– Nikt nie przyjeżdża często.

– A jej córka?

– Nawet nie wiedziałam, że ma córkę. Nigdy jej nie odwiedzała.

Pendergast łagodnie położył rękę na masywnym ramieniu kobiety.

– W odpowiedzi na pani pytanie, tak, Colin Fearing nie żyje.

Oczy jej się zrobiły jeszcze większe.

– Zamordowany?

– Jeszcze nie znamy przyczyny jego śmierci. Więc nikt nie zawiadomił jego matki?

– Nikt. Chyba nikt tutaj nie wiedział. Ale... – Zawahała się. – Chyba nie przyjechaliście jej zawiadomić?

– Nie całkiem.

– Uważam, że nie powinniście. Po co psuć jej ostatnie krótkie miesiące życia? To znaczy, on prawie jej nie odwiedzał i nigdy nie zostawał długo. Nie będzie za nim tęskniła.

– Jaki on był? Kobieta się skrzywiła.

– Nie chciałabym mieć takiego syna.

- Doprawdy? Proszę wyjaśnić.
- Niegrzeczny. Niemiły. Nazywał mnie Grubą Bertą. – Zaczerwieniła się.
- Oburzające! A jak pani ma na imię, moja droga?
- Jo-Ann. – Zawahała się. – Nie mówcie pani Fearing o jego śmierci, dobrze?
- Jest pani bardzo współczującą osobą, Jo-Ann. A teraz czy możemy się zobaczyć z panią Fearing?
- Gdzież jest ta pomocnica? – Chciała ponownie nacisnąć guzik interkomu, ale się rozmyśliła. – Sama was zaprowadzę. Proszę za mną. Ale muszę was ostrzec: pani Fearing jest nieźle stuknięta.

– Stuknięta – powtórzył Pendergast. – Rozumiem.

Kobieta z trudem dźwignęła się z krzesła, bardziej niż chętna do pomocy. Poszli za nią długim, mrocznym korytarzem wyłożonym linoleum atakowani przez kolejne nieprzyjemne zapachy: ludzkie odchody, gotowane jedzenie, wymioty. Każde mijane drzwi prezentowały własną suitę odgłosów: mamrotanie, jęki, gorączkowe głośne gadanie, chrapanie.

Kobieta przystanęła przed otwartymi drzwiami i zapukała.

- Pani Fearing?
- Odejdź – odpowiedział słaby głos.
- Dwóch dżentelmenów do pani! – Jo-Ann siliła się na sztucznie ożywiony ton.
- Nie chcę nikogo widzieć – padła odpowiedź.
- Dziękujemy, Jo-Ann – odezwał się Pendergast swoim najbardziej układnym głosem. – Dalej już sobie poradzimy. Jest pani prawdziwym skarbem.

Weszli do środka. Pokój był mały, zawierał jedynie minimum mebli i rzeczy osobistych. Pośrodku królowało szpitalne łóżko stojące na podłodze pokrytej linoleum. Pendergast zręcznie wśliznął się na krzesło ustawione obok łóżka.

– Odejść – powtórzyła kobieta słabym głosem, bez przekonania.

Leżała w łóżku. Nieuczesane śnieżnobiałe włosy tworzyły wokół jej głowy nastroszoną aureolę, niegdyś błękitne oczy były teraz niemal białe, skóra przezroczysta i delikatna jak pergamin. Pod rozczochranymi włosami D'Agosta widział lśniąca krzywiznę czaszki. Na szpitalnym stoliku na kółkach piętrzyły się naczynia z lunchu, niesprzątnięte od wielu godzin.

– Witaj, Gladys – powiedział Pendergast, biorąc ją za rękę. – Jak się czujesz?

– Parszywie.

– Czy mogę ci zadać osobiste pytanie?

– Nie.

Pendergast ścisnął jej dłoń.

– Czy pamiętasz swojego pierwszego misia?

Wyblakłe oczy spojrzały na niego pytająco.

– Twojego pierwszego pluszowego misia. Pamiętasz?

Powolne, niepewne kiwnięcie głową.

– Jak się nazywał?

Długie milczenie. A potem staruszka powiedziała:

– Molly.

– Ładne imię. Co się stało z Molly?

Kolejna długa pauza.

– Nie wiem.

– Kto ci dał Molly?

– Tatuś. Na Gwiazdkę.

D'Agosta widział, jak w mętnych oczach staruszki zapala się iskierka życia. Nie po raz pierwszy zastanawiał się, do czego zmierza Pendergast z tymi dziwacznymi pytaniami.

– Jaki to musiał być cudowny prezent – powiedział Pendergast. – Opowiedz mi o Molly.

– Była zrobiona ze skarpetek zszytych razem i wypchanych gałganami. Miała namalowaną muszkę. Kochałam tego misia. Spałam z nim

każdej nocy. Z nim byłam bezpieczna. Nikt nie mógł mnie skrzywdzić.
– Promienny uśmiech wykwitł na twarzy starej damy, w jednym oku wezbrała łza i stoczyła się po policzku.

Pendergast szybko podał jej kleenex z paczuszki, którą wyjął z kieszeni. Staruszka wzięła chusteczkę, osuszyła oczy i wytarła nos.

– Molly – powtórzyła odległym głosem. – Co ja bym dała, żeby znowu przytulić tego głupiego wypchanego misia. – Po raz pierwszy skupiła wzrok na Pendergaście. – Kim pan jest?

– Przyjacielem – odparł Pendergast. – Wpadłem tylko na pogawędkę.

Wstał z krzesła.

– Musi pan iść?

– Niestety, tak.

– Niech pan wróci. Lubię pana. Jest pan porządnym młodym człowiekiem.

– Dziękuję. Postaram się.

W drodze do wyjścia Pendergast podał Jo-Ann swoją wizytówkę.

– Jeśli ktoś odwiedzi panią Fearing, zechce pani łaskawie mnie zawiadomić?

– Oczywiście! – Wzięła wizytówkę niemal z szacunkiem.

Po chwili wyszli na pusty, zachwaszczony parking i rolls gładko podjechał, żeby ich zabrać. Pendergast przytrzymał drzwi przed D'Agostą. Piętnaście minut później znaleźli się na autostradzie międzystanowej numer 87 i pędzili z powrotem do Nowego Jorku.

– Zauważyłeś ten stary obraz w korytarzu obok pokoju pani Fearing? – wymamrotał Pendergast. – Podejrzewam, że to oryginalny Bierstadt, tylko wymaga porządnego czyszczenia.

D'Agosta pokręcił głową.

– Powiesz mi, o co tu chodziło, czy wolisz mnie trzymać w niepewności?

Z błyskiem rozbawienia w oku Pendergast wyjął z kieszeni marynarki próbówkę. W środku tkwiła wilgotna chusteczka higieniczna.

D'Agosta wytrzeszczył oczy. Nawet nie zauważył, kiedy Pendergast zabrał używaną chusteczkę.

– Do DNA?

– Naturalnie.

– A ta historia z misiem?

– Każdy kiedyś miał misia. W tym ćwiczeniu chodziło o to, żeby musiała wydmuchać nos.

D'Agosta był zaszokowany.

– To podłe.

– Wręcz przeciwnie. – Pendergast wsunął probówkę z powrotem do kieszeni. – To były łązy radości. Rozjaśniliśmy dzień pani Fearing, a ona w zamian oddała nam przysługę.

– Mam nadzieję, że zdążymy zrobić analizę, zanim Steinbrenner sprzeda drużynę Jankesów.

– Znowu musimy działać nie tylko poza schematem, ale poza całym systemem schematów.

– Co to znaczy?

Pendergast tylko uśmiechnął się enigmatycznie.

11.

– Noro, tak mi przykro! – Portier zamaszycie otworzył drzwi i chwycił jej rękę; poczuła zapach toniku do włosów i płynu po goleniu.
– W twoim mieszkaniu wszystko gotowe. Zamki zmienione. Wszystko naprawione. Mam nowy klucz. Moje najszczerze kondolencje. Najszczerze.

Nora poczuła zimny, płaski klucz wciśnięty w dłoń.

– Gdybyś potrzebowała pomocy, daj mi znać. – Patrzył na nią z prawdziwym smutkiem w czystych brązowych oczach.

Nora przełknęła ślinę.

– Dziękuję ci za życzliwość, Enrico. – Tego zwrotu używała już niemal automatycznie.

– W każdej chwili. Cokolwiek. Tylko zadzwoń i Enrico przybiegnie.

– Dziękuję.

Ruszyła w stronę windy, zawahała się, znowu zaczęła iść. Musiała to zrobić bez zastanowienia.

Drzwi kabiny zamknęły się ze szcękaniem i winda gładko wjechała na szóste piętro. Drzwi się rozsunęły, ale Nora się nie poruszyła. Dopiero kiedy ponownie zaczęły się zamykać, szybko wyszła na korytarz.

Wszędzie panowała cisza. Zza jednych drzwi sączył się stłumiony kwartet Beethovena, zza drugich dochodziła cicha rozmowa. Nora zrobiła krok i znowu się zawahała. Przed sobą, na zakręcie korytarza, widziała drzwi do ich... do jej mieszkania, z przykręconym mosiężnym numerem 612.

Powoli przeszła korytarzem i zatrzymała się przed drzwiami. Judasz był czarny, światło w środku zgaszone. Wkładka i nakładka zamka w drzwiach błyszcząły nowością. Nora rozwarła dłoń i spojrzała na klucz: lśniący, świeżo wycięły. Wydawał się nierzeczywisty. Wszystko wydawało się nierzeczywiste. *Jamais vu* – przeciwieństwo *déjà vu*. Zupełnie jakby widziała wszystko po raz pierwszy.

Powoli włożyła klucz do zamka, przekręciła. Zamek szczęknął i poczuła, że drzwi obluzowały się we framudze. Pchnęła je i otwarły się gładko na świeżo naoliwionych zawiasach. W mieszkaniu było ciemno. Wsunęła rękę do środka i próbowała namacać przełącznik, ale nie mogła go znaleźć. Gdzie on jest? Weszła w ciemność, wciąż macając gładką ścianę, serce nagle zaczęło jej walić. Otoczyły ją zapachy – płynu do czyszczenia, politory do drewna... i czegoś innego.

Za jej plecami drzwi zaczęły się zamykać, odcinając światło z korytarza. Ze zdławionym okrzykiem sięgnęła do tyłu, chwyciła klamkę, szarpnięciem otworzyła drzwi i cofnęła się na korytarz. Oparła głowę o zamknięte drzwi i próbowała stłumić szloch, który nią wstrząsał.

Po kilku minutach jako tako się opanowała. Rozejrzała się po korytarzu wdzięczna, że nikt akurat nie przechodził. Czuła się trochę zażenowana i nieco przestraszona burzą emocji, które w sobie dusiła. Głupio pomyśleć, że mogła tak po prostu wejść do mieszkania, gdzie jej mąż został zamordowany zaledwie czterdzieści osiem godzin wcześniej. Postanowiła iść do Margo Green, zamieszkać u niej na parę dni... ale potem sobie przypomniała, że Margo jest na urlopie naukowym do stycznia.

Musiała wyjść. Zjechała windą z powrotem na parter i przeszła przez hol, nogi miała jak z waty. Portier otworzył przed nią drzwi.

– Jeśli czegoś potrzebujesz, wezwij Enrica! – zawołał, kiedy prawie przebiegła obok niego.

Poszła na wschód Dziewięćdziesiątą Drugą Ulicą w stronę Broadwayu. Był chłodny, lecz przyjemny październikowy wieczór, chodniki

zatłoczone ludźmi, którzy wybierali się do restauracji, wyprowadzali psy albo po prostu wracali do domu. Nora szła szybko; świeże powietrze rozjaśni jej w głowie. Kierowała się w stronę śródmieścia, przyspieszała kroku, wymijała przechodniów. Tutaj, na ulicy, wśród tłumu, znowu odzyskała kontrolę nad myślami i potrafiła spojrzeć z perspektywy na to, co się właśnie stało. Głupia reakcja – przecież prędzej czy później musi wrócić do mieszkania, i to raczej prędzej niż później. Wszystkie jej książki, jej praca, jej komputer – jego rzeczy – wszystko tam zostało.

Przez chwilę żałowała, że jej rodzice nie żyją, że nie może schronić się w ich ciepłych objęciach. Ale to była jeszcze głupsza, jałowa myśl.

Zwolniła. Może jednak powinna wrócić. Właśnie takiej reakcji emocjonalnej miała nadzieję uniknąć.

Przystanąła i rozejrzała się dookoła. Obok niej kolejka ludzi czekała, żeby się dostać do Waterworks Bar. Jakaś para obściskowała się w drzwiach. Kilku typków z Wall Street wracało do domu, same ciemne garnitury i aktówki. Uwagę Nory zwrócił bezdomny mężczyzna, który człapał pod ścianami budynków, dotrzymując jej kroku; on też się zatrzymał, odwrócił się gwałtownie i ruszył w przeciwną stronę.

Coś w jego ukradkowych ruchach, w starannym odwracaniu twarzy sprawiło, że jej wielkomięski instynkt zatrząbił na alarm.

Patrzyła, jak bezdomny oddała się chwiejnym krokiem, okryty brudnymi szmatami. Wyglądał tak, jakby uciekał. Czyżby właśnie kogoś obrabował? Śledziła go wzrokiem, kiedy dotarł do rogu Osiemdziesiątej Ósmej Ulicy, przystanął, po czym skręcił za róg i obejrzał się tylko raz, zanim zniknął.

Serce Nory zamarło. To był Fearing. Miała niemal całkowitą pewność: ta sama pociągła twarz, ta sama chuda sylwetka, te same wąskie usta, rozwichrzone włosy i szyderczy uśmiezek.

Ogarnął ją paralizujący strach, który natychmiast przerodził się we wściekły gniew.

– Hej! – krzyknęła i puściła się biegiem. – Hej, ty!

Lawirowała po zatłoczonym chodniku, ale zatrzymała ją kolejka przed Waterworks. Zaczęła się brutalnie przepychać.

– Wolnego, paniusiu!

– Przepraszam!

Wyrwała się ze ścisku i pobiegła; potknęła się, upadła, podniosła się i podjęła pościg. Skręciła za róg. Osiemdziesiąta Ósma Ulica ciągnęła się na wschód pomiędzy ciemnymi kamienicami z piaskowca, słabo oświetlona, obsadzona miłorzębami. Kończyła się na jasnych światłach Amsterdam Avenue pełnej pretensjonalnych barów i knajpek.

Ciemna postać właśnie skręcała w Amsterdam i kierowała się z powrotem do śródmieścia.

Nora pobiegła ulicą, wyęzając siły, przeklinając swoje osłabienie i spadek formy po wstrząsie mózgu i pobycie w szpitalu. Okrążyła róg i rozejrzała się po Amsterdam, równie zatłoczonej wieczornymi przechodniami.

Był tam: szedł szybko i nagle celowo, pół przecznicy dalej.

Odpychając jakiegoś młodego człowieka, znowu zaczęła biec, aż dogoniła obdartą postać.

– Hej! Ty!

Bezdomny szedł dalej.

Prześliznęła się między przechodniami, wyciągnęła rękę.

– Stój!

Tuż przed Osiemdziesiątą Siódmą Ulicą dopadła go wreszcie, chwyciła brudny materiał na jego ramieniu i okręciła go dookoła. Mężczyzna wyprostował się niepewnie, patrząc na nią wielkimi, przestraszonymi oczami. Nora puściła jego koszulę i cofnęła się o krok.

– Masz jakiś problem?

Stanowczo to nie był Fearing. Po prostu jakiś ćpun.

– Przepraszam – wymamrotała Nora. – Wzięłam pana za kogoś innego.

– Odczep się ode mnie. – Odwrócił się, mruknąwszy pod nosem: „dziwka”, i podjął chwiejną wędrówkę po Amsterdam Avenue.

Nora rozejrzała się gorączkowo, ale prawdziwy Fearing – jeśli w ogóle to był on – zniknął. Stała pośród tłumu, cała drżąca. Z ogromnym wysiłkiem opanowała oddech.

Zatrzymała spojrzenie na najbliższym barze Pokój Neptuna: hałaśliwa, pretensjonalna restauracja rybna, w której nigdy nie była. Nigdy nie chciała tam pójść. Nigdy się nie spodziewała, że tam pójdzie.

Weszła do środka, usiadła na stołku. Barman podszedł natychmiast.

- Co podać?
- Martini befeater, ekstrawytrawne, czyste, ze skórką cytryny.
- Już się robi.

Pociągając ogromnego, lodowatego drinka, besztła się w myślach, że zachowuje się jak wariatka. Sen to tylko sen, a bezdomny nie był Fearingiem. Przeżyła szok; powinna się otrząsnąć, wziąć w garść i jakoś poskładać do kupy swoje życie.

Dokończyła drinka.

- Ile płacę?
- Na koszt firmy. I mam nadzieję – dodał barman z mrugnięciem – że ten duch, którego pani zobaczyła, już sobie poszedł.

Podziękowała mu i wstała, czując uspokajające działanie alkoholu. Duch, powiedział barman. Musiała stawić czoło swoim duchom, i to zaraz. Rozklejała się, miała przywidzenia – to niedopuszczalne, nie w jej stylu.

Po kilku minutach marszu znowu znalazła się przed swoim domem. Energicznie weszła w drzwi, zniosła kolejną nawałnicę podyktowanych dobrymi chęciami propozycji portiera i wsiadła do windy. Jeszcze chwila i stanęła przed swoimi drzwiami. Włożyła klucz do zamka, otworzyła drzwi i pomacała ścianę w poszukiwaniu przełącznika, który natychmiast znalazła.

Zamknąwszy za sobą drzwi na podwójny zamek i zasuwę, rozejrzała się dookoła. Wszystko wyglądało nieskazitelnie czysto, schludnie,

odmalowane, wypolerowane. Szybko, lecz metodycznie przeszukała całe mieszkanie, zajrzała nawet do szaf i pod łóżko. Potem rozsunęła zasłony w salonie i w sypialni i znowu pogasiła światła. Apartament pogrążył się w półmroku, do środka wsączyła się poświata miasta, zmiękczając i zacierając kontury przedmiotów.

Teraz Nora mogła tu zostać na noc; mogła walczyć z duchami.

Dopóki nie musiała na nic patrzeć.

12.

Kelnerka przyniosła ich zamówienia: pastrami na żytnim chlebie z rosyjskim sosem dla D'Agosty i kanapkę z bekonem dla Laury Hayward.

– Jeszcze kawy? – zapytała.

– Poproszę. – D'Agosta patrzył, jak kelnerka o udręczonej twarzy napelnia jego filiżankę. Potem odwrócił się do Hayward. – I na tym stanęliśmy – zakończył.

Zaprosił kapitan Hayward na lunch, żeby przedstawić jej dotychczasowe wyniki śledztwa. Hayward nie pracowała już w wydziale zabójstw – przesunięto ją na równoległe stanowisko do biura komendanta policji, gdzie czekała w kolejce na intratny awans. Kto jak kto, pomyślał z żalem, ale Laura na to zasługiwała.

– No więc – zagadnął – czytałaś to?

Spojrzała na gazetę, którą przyniósł.

– Tak.

D'Agosta pokręcił głową.

– Dasz wiarę, że to wydrukowali? Teraz dostajemy zgłoszenia od różnych kretynów, którzy rzekomo coś widzieli, anonimowe listy, które trzeba sprawdzić, telefony od jasnowidzów i wróżących z tarota... Wiesz, co się dzieje w tym mieście, kiedy wyłazi taka niesamowita historia. Akurat teraz nie potrzebuję tego gówna.

Lekki uśmiech igrał na wargach Hayward.

– Rozumiem.

– A ludzie wierzą w te bzdety. – Odsunął gazetę na bok i pociągnął następny łyk kawy. – No więc... co ty na to?

– Masz czworo naocznych świadków przysięgających, że zabójcą jest Fearing?

– Pięcioro, jeśli liczyć żonę ofiary.

– Nora Kelly.

– Znasz ją, tak?

– Tak. Billa Smithbacka też znałam. Dobry reporter, chociaż stosował trochę nieortodoksyjne metody. Co za tragedia.

D'Agosta ugryzł swoją kanapkę. Pastrami było chude, sos ciepły – dokładnie tak, jak lubił. Zawsze, kiedy jakaś sprawa go wkurzała, zaczynał się objadać.

– No więc – ciągnęła Laura – albo to Fearing, albo ktoś przebrany za niego. Albo on żyje, albo nie żyje. Proste. Macie wyniki analizy DNA?

– Na miejscu zbrodni znaleziono krew dwóch ludzi: Smithbacka i kogoś na razie niezidentyfikowanego. Uzyskaliśmy próbki DNA od matki Fearinga i teraz porównujemy je z nieznaną krwią. – Przerwał, niepewny, czy powinien jej powiedzieć o niezwykłym sposobie zdobywania próbek, ale zdecydował, że nie powie. Może to nielegalne, a Hayward słynęła z rygorystycznego przestrzegania przepisów. – Tylko jeśli to nie był Fearing, dlaczego ktoś miałby go udawać?

Hayward popiła wody.

– Dobre pytanie. Co myśli Pendergast?

– Czy ktoś kiedyś wiedział, co ten facet myśli? Ale powiem ci jedno: on jest bardziej zainteresowany tymi śmieciami voodoo znalezionymi na miejscu zbrodni, niż chciałby przyznać. Poświęca na to mnóstwo czasu.

– Te rzeczy wymienione w artykule?

– Właśnie. Cekiny, pęczek związanych piór, pergaminowy woreczek pełen kurzu.

– *Gri-gri* – mruknęła Hayward.

- Słucham?
 - Amulety voodoo używane do odpędzenia zła. A czasami do wyrażania zła.
 - Proszę. Mamy do czynienia z psychopatą. Zbrodnia nie mogła być gorzej zorganizowana i zaplanowana. Na taśmach z ochrony facet wygląda jak naćpany.
 - Chcesz mojej opinii, Vinnie?
 - Wiesz, że tak.
 - Ekshumujcie ciało Fearinga.
 - Załatwiamy to.
 - Sprawdziłabym również, czy ostatnio w jakimś artykule Smithback nie nadepnął komuś na odcisk.
 - To również załatwiamy. Zdaje się, że w każdym swoim artykule Smithback nadepnął komuś na odcisk. Dostałem listę jego ostatnich zleceń od jego redaktora w „Timesie” i moi ludzie właśnie ją sprawdzają.
 - Dobrze sobie radzisz, Vinnie. Dodam tylko, że zbrodnia może wcale nie była tak źle zorganizowana, jak myślisz... może była starannie zaplanowana i wykonana.
 - Nie przypuszczam.
 - Hej... bez pochopnych sądów.
 - Przepraszam.
 - Jeszcze jedno. – Hayward się zawahała. – Pamiętasz, jak mówiłam, że zanim się przeniosłam do policji kolejowej, przez osiemnaście miesięcy pracowałam w Nowym Orleanie?
 - Jasne.
 - Pendergast pochodzi z Nowego Orleanu.
 - I co?
- Hayward znowu popiła wody.
- Przed chwilą powiedziałam, że Fearing albo żyje, albo nie żyje. No, niektórzy w nowoorleańskiej policji powiedzieliby, że jest jeszcze trzecia możliwość.

– Laura, nie mów mi, że kupujesz te bzdury o zombie.
Hayward dokończyła połówkę kanapki, odsunęła talerz.

– Najadłam się. Chcesz trochę?

– Dzięki, mam dosyć. Nie odpowiedziałaś na moje pytanie.

– Ja nic nie „kupuję”. Pogadaj o tym z Pendergastem. On wie znacznie więcej o tym... temacie niż ty czy ja. Ostrzegam tylko, żebyś nie wyciągał pochopnych wniosków. To jedna z twoich wad, Vinnie. Sam wiesz najlepiej.

D'Agosta westchnął; jak zwykle miała rację. Rozejrzał się po restauracji, popatrzył na zabiegane kelnerki, na klientów czytających gazety, rozmawiających przez telefony komórkowe albo gawędzących ze współbiesiadnikami. Przypomniawszy sobie inne wspólne posiłki z Laurą, w innych restauracjach. Pamiętał zwłaszcza ich pierwszego drinka. To był wyjątkowo kiepski okres w jego życiu – a jednak właśnie wtedy zrozumiał, jak bardzo Laura go pociąga. Dobrze im się razem pracowało. Rzuciła mu wyzwania – w pozytywnym sensie. Ironia tej sytuacji była wręcz bolesna: wygrał dyscyplinarne przesłuchanie, zachował pracę, ale najwyraźniej stracił Laurę.

Odchrząknął.

– Więc powiedz mi o tym awansie, który dostaniesz.

– Jeszcze go nie dostałam.

– Daj spokój, słyszałem plotki. Teraz to tylko kwestia formalności. Przełknęła łyk wody.

– To oddział do zadań specjalnych, który tworzą. Jednoroczny okres próbny. Kilku członków ekipy szefa zostanie wyznaczonych do komunikacji z burmistrzem w sprawach reakcji na terroryzm, zagrożenie życia, tego rodzaju rzeczy. Wielkie publiczne zainteresowanie.

– Jawność?

– Maksymalna.

– Ho, ho! Kolejny sukces. Ani się obejrzyysz, jak sama zostaniesz szefem.

– Wątpię. – Laura się uśmiechnęła.

D'Agosta się zawahał.

– Lauro. Naprawdę za tobą tęsknię.

Uśmiech zbladł.

– Ja też za tobą tęsknię.

Popatrzył na nią ponad stołem. Była taka ładna, aż serce mu się ścisnęło: jasna cera, włosy czarne, niemal granatowe.

– Więc czemu nie spróbujemy jeszcze raz? Od nowa?

Milczała przez chwilę, potem pokręciła głową.

– Po prostu nie jestem gotowa.

– Dlaczego?

– Winnie, niewielu ludziom ufam. Ale tobie ufałam. A ty mnie zraniłeś.

– Wiem i bardzo żałuję. Naprawdę żałuję. Ale wszystko ci wyjaśniłem. Nie miałem wyboru, na pewno teraz to rozumiesz.

– Owszem, miałaś wybór. Mogłeś mi powiedzieć prawdę. Mogłeś mi zaufać. Tak jak ja zaufałam tobie.

D'Agosta westchnął.

– Słuchaj... przepraszam...

Telefon komórkowy w jego kieszeni zadzwonił głośno. Po którymś dzwonku Laura powiedziała:

– Chyba powinienes odebrać.

– Ale...

– Śmiało. Odbierz.

D'Agosta sięgnął do kieszeni, otworzył komórkę.

– Tak?

– Vincent – przeciągnął melodyjnie głos z południowym akcentem.

– Czy ci przeszkadzam?

D'Agosta przełknął ślinę.

– Nie, właściwie nie.

– Doskonale. Jesteśmy umówieni z niejakim panem Kline'em.

– Jadę.

– Dobrze. Och, jeszcze jedno: chcesz ze mną pojechać jutro rano?

– Dokąd?

– Mauzoleum Szepczące Dęby. Przyszło polecenie ekshumacji. Jutro w południe otwieramy kryptę Fearinga.

13.

Digital Veracity, Inc. mieściła się w jednym z gigantycznych szklanych biurowców wznoszących się przy Avenue of Americas przy niższych numerach pięćdziesiątych. D'Agosta spotkał się z Pendergastem w głównym westybulu i po krótkim przystanku w punkcie ochrony wjechali na trzydzieste szóste piętro.

– Wziąłeś kopię tego listu? – zapytał Pendergast. D'Agosta poklepał się po kieszeni marynarki.

– Masz coś o przeszłości Kline'a, co powinienem wiedzieć?

– W istocie mam. Nasz pan Lucas Kline wychował się w ubogiej rodzinie na Avenue J w Brooklynie, dzieciństwo niczym się niewyróżniające, celujące stopnie, zawsze ostatni wybierany do drużyny, „miły chłopiec”. Studia na Uniwersytecie Nowego Jorku, zaczął pracę jako dziennikarz... o czym podobno zawsze marzył. Ktoś mu jednak sprzątnął sprzed nosa ważny materiał... nieuczciwie, jak się wydaje, ale od kąd dziennikarstwo jest uczciwym zajęciem?... i w rezultacie go wylali. Kręcił się tu i tam, w końcu został programistą komputerowym w banku na Wall Street. Najwyraźniej miał do tego talent: kilka lat później założył DVI i nieźle sobie radzi. – Spojrzał na D'Agostę. – Bierzesz pod uwagę nakaz rewizji?

– Pomyślałem, że najpierw zobaczymy, jak pójdzie przesłuchanie. Drzwi windy rozsunęły się na elegancko umeblowany hol. Sofy obite czarną skórą stały na starych perskich dywanach serapi. Dekorację stanowiło kilka dużych okazów afrykańskiej rzeźby – wojownicy z

imponującymi przybraniami głów, maski o szaleńczo skomplikowanych wzorach.

– Zdaje się, że nasz pan Kline radzi sobie lepiej niż „nieźle” – zauważył D'Agosta, rozglądając się dookoła.

Podali swoje nazwiska recepcjonistce i usiedli. D'Agosta daremnie szukał egzemplarza „People” czy „Entertainment Weekly” wśród stosów „Computerworld” i „Database Journal”. Upłynęło pięć minut, potem dziesięć. D'Agosta chciał już wstać i zrobić awanturę, kiedy na biurku recepcjonistki zabrzączał interkom.

– Pan Kline przyjmie teraz panów – oznajmiła, wstała i ruszyła przodem przez nieoznakowane drzwi.

Poszli długim, łagodnie oświetlonym korytarzem, który kończył się przy następnych drzwiach. Recepcjonistka przeprowadziła ich przez zewnętrzne biuro, gdzie wystrzałowa sekretarka pisała na komputerze. Rzuciła im ukradkowe spojrzenie, zanim wróciła do pracy. Miała pokorny, zastraszony wzrok zbitego psa.

Dalej następne drzwi otwarły się na przestronny narożny gabinet. Dwie ściany ze szkła prezentowały oszołamiający widok na Szóstą Aleję. Mężczyzna około czterdziestki stał za biurkiem zastawionym czterema pecetami. Odwrócony do nich tyłem rozmawiał przez bezprzewodowy nagłośniony zestaw telefoniczny, wyglądając przez szybę.

D'Agosta rozejrzał się po gabinecie: następne czarne skórzane sofy, następne dzieła sztuki etnicznej na ścianach. Widocznie Kline był kolekcjonerem. Wypolerowana szklana gabłota zawierała kilka zakurzonych artefaktów, gliniane fajki, sprzączki i skręcone kawałki żelaza opisane jako pochodzące z dawnej holenderskiej osady Nowy Amsterdam. Na regałach wbudowanych w ściany stały książki o finansach i językach programowania komputerowego ostro kontrastujące z wyszczerzonymi szyderczo, niepokojącymi maskami.

Zakończywszy rozmowę telefoniczną, mężczyzna rozłączył się i odwrócił do gości. Miał chudą, niezwykle młodzieńczą twarz, która

wciąż nosiła ślady walki z trądzikiem. Był dość niski, najwyżej pięć stóp i pięć cali wzrostu. Włosy sterczały mu z tyłu głowy jak u dziecka. Tylko oczy miał stare... i bardzo zimne.

Przeniósł wzrok z Pendergasta na D'Agostę i z powrotem.

– Tak? – powiedział cichym głosem.

– Dziękuję, chętnie usiądę – odparł Pendergast.

Usiadł w fotelu i założył nogę na nogę. D'Agosta poszedł w jego ślady.

Mężczyzna uśmiechnął się lekko, ale nic nie powiedział.

– Pan Lucas Kline? – odezwał się D'Agosta. – Jestem porucznik D'Agosta z nowojorskiej policji.

– Domyśliłem się, że to pan. – Kline spojrzał na Pendergasta. – A pan to na pewno ten agent specjalny. Wiecie już, kim jestem. No więc czego chcecie? Tak się składa, że jestem zajęty.

– Czyżby? – zapytał D'Agosta, rozpięrając się na skórzanym siedzisku, które zaskrzypiało w nader satysfakcjonujący sposób. – A czym właściwie pan się zajmuje, panie Kline?

– Jestem dyrektorem generalnym DVI.

– To mi niewiele mówi.

– Jeśli chcecie poznać moją historię „z nędzy do pieniędzy”, przeczytajcie to. – Kline wskazał kilka identycznych książek ustawionych razem na półce. – Jak awansowałem z podrzędnego DBA na kierownika własnej firmy. To lektura obowiązkowa dla wszystkich moich pracowników: genialne i wnikliwe dzieło, za które mają zaszczyt zapłacić czterdzieści pięć dolarów. – Obdarzył ich uśmiechem wyższości. – Moja sekretarka przyjmie od panów gotówkę albo czek, zanim wyjdziecie.

– DBA? – zapytał D'Agosta. – Co to jest?

– Administrator baz danych. Dawno, dawno temu zarabiałem na utrzymanie, masując bazy danych, dbając o ich zdrowie. A na boku pisałem program do automatycznego normalizowania dużych finansowych baz danych.

– Normalizowania? – powtórzył jak echo D'Agosta.

Kline lekceważąco machnął ręką.

– Nawet nie pytajcie. W każdym razie mój program działał bardzo, bardzo dobrze. Okazało się, że istnieje spory rynek na normalizowanie baz danych. Pozbawiłem pracy wielu innych DBA. I stworzyłem to wszystko. – Lekko uniósł podbródek, uśmiezek samozadowolenia wciąż igrał w kącikach jego różowych, dziewczęcych ust.

Egotyzm tego jajogłowego coraz bardziej działał detektywowi na nerwy. D'Agosta postanowił się zabawić. Odchylił się niedbale do tyłu, wywołując kolejne protesty kosztownej skóry.

– Właściwie bardziej nas interesuje pańska nadprogramowa działalność.

Kline przyjrzał mu się uważniej.

– Na przykład?

– Na przykład pańskie upodobanie do zatrudniania ładnych sekretarek, zmuszania ich do seksu, a potem zastraszania ich albo przekupywania, żeby siedziały cicho.

Wyraz twarzy Kline'a się nie zmienił.

– Aha. Więc przyszlście w sprawie morderstwa Smithbacka.

– Nadużywał pan swojej władzy, żeby wykorzystywać i terroryzować te kobiety. Za bardzo się pana bały, za bardzo się bały utraty pracy, żeby się skarżyć. Ale Smithback się nie bał. Zdemaskował pana przed światem.

– Niczego nie zdemaskował – odparł Kline. – Postawiono zarzuty, niczego nie udowodniono, a jeśli wypłacono jakieś odszkodowania, zostały utajnione na zawsze. Pechowo dla pana i Smithbacka nikt nie wniósł oficjalnej skargi.

D'Agosta wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „I tak wyszło szydło z worka”. Pendergast poruszył się na fotelu.

– Jakie to musiało być nieprzyjemne dla pana, że po ukazaniu się artykułu Smithbacka akcje DVI na giełdzie spadły o pięćdziesiąt procent.

Kline zachował pogodną minę.

– Zna pan giełdy. Takie kapryśne. DVI prawie wróciło do początkowego stanu.

Pendergast splótł dłonie.

– Jest pan teraz dyrektorem generalnym i nikt panu nie odbierze zabawek ani nie sygnie piaskiem w oczy. Nikt pana nie będzie bezkarnie znieważał... prawda, panie Kline? – Pendergast uśmiechnął się łagodnie i spojrzął na D'Agostę. – List?

D'Agosta sięgnął do kieszeni, wyjął list i zaczął czytać:

– „Gorzko pożałujesz, że napisałeś ten artykuł, nieważne, ile mnie to będzie kosztowało czasu i pieniędzy. Nie dowiesz się, skąd spadnie cios i kiedy, ale dobrze ci radzę: uważaj”. – Podniósł wzrok. – Czy pan to napisał, panie Kline?

– Tak – odpowiedział Kline z całkowitym spokojem.

– I wysłał pan ten list do Williama Smithbacka?

– Wysłałem.

– Czy pan...

– Poruczniku, ale z pana nudziarz – przerwał mu Kline. – Najlepiej sam zadam te pytania i oszczędzimy sobie czasu. Czy byłem poważny? Absolutnie. Czy jestem odpowiedzialny za jego śmierć? Istnieje taka możliwość. Czy jestem zadowolony, że Smithback nie żyje? Zachwycony, dziękuję. – Mrugnął.

– Pan... – zaczął D'Agosta.

– Chodzi o to – znowu przerwał mu Kline – że nigdy się nie dowiecie. Mam najlepszych prawników w mieście. Wiem dokładnie, co mogę powiedzieć, a czego nie mogę. Nigdy mnie nie tkniecie.

– Możemy pana zamknąć – odparł D'Agosta. – I to zaraz.

– Jasne, że możecie – przyznał Kline. – A ja będę siedział cicho tam, gdzie mnie zabierzecie, dopóki nie przyjedzie mój adwokat, a wtedy wyjdę.

– Możemy pana zapudłować na podstawie prawdopodobieństwa winy.

- Ale pan głędzi, poruczniku.
- Ten list to wyraźna groźba.
- Mogę się wyliczyć z każdej minuty w czasie, kiedy popełniono morderstwo. Najlepsze prawnicze umysły w kraju sprawdziły ten list. Nie ma tam niczego, co by usprawiedliwiało działanie z waszej strony.

D'Agosta wyszczerzył zęby.

– Co tam, cholera, możemy się zabawić, Kline, wyprowadzić pana skutego z westybulu na dole... a przedtem damy znać prasie.

– W gruncie rzeczy to będzie doskonała reklama. Wróć do biura w ciągu godziny, narobię wam wstydu, a moi wrogowie przekonają się, że jestem nietykalny. – Kline znowu się uśmiechnął. – Proszę pamiętać, poruczniku: zostałem przeszkolony na programistę. Moja praca polegała na pisaniu długich, skomplikowanych procedur, w których nieskazitelną logiką miała najwyższe znaczenie. To pierwsza rzecz, której się uczy programista, najważniejsza. Trzeba przemyśleć wszystko, tam i z powrotem. Zabezpieczyć się na wypadek każdego niespodziewanego wyniku. I nie zostawiać luk. Ani jednej.

D'Agosta czuł narastającą wściekłość. W wielkim gabinecie zapadło milczenie. Kline siedział z założonymi rękami i spoglądał na detektywa.

– Dysfunkcyjny – powiedział w końcu D'Agosta. Przynajmniej zetrze zadowolony uśmiešek z gęby tego małego drania.

– Słucham? – zdziwił się Kline.

– Gdybym nie czuł takiego obrzydzenia, prawie bym pana żałował. Żeby zdobyć kobietę, musi pan wykorzystywać władzę i pieniądze, stosować przymus i przemoc. To się panu nie wydaje dysfunkcyjne? Nie? Więc może inne słowo: żalosne. Tamta dziewczyna w zewnętrznym biurze... kiedy pan planuje wymienienie jej na tegoroczny model?

– Pocałuj mnie w dupę – padła odpowiedź.

D'Agosta wstał.

– To znieważenie funkcjonariusza policji, Kline. – Położył ręce na

kajdankach. – Myślisz, że jesteś taki sprytny, ale właśnie przekroczyłeś granicę.

– Pocałuj mnie w dupę, D'Agosta – rozległ się ponownie głos.

D'Agosta uświadomił sobie, że to nie Kline mówił. Głos nieco się różnił. I nie dochodził zza biurka; dochodził zza drzwi w ścianie naprzeciwko.

– Kto to? – zapytał D'Agosta. Ogarnął go taki gniew, że cały się trząsał.

– To? – powtórzył Kline. – Och, to Chauncy.

– Przyrowadź go tutaj. Zaraz.

– Nie mogę.

– Dlaczego? – zapytał D'Agosta przez zaciśnięte zęby.

– On jest zajęty.

– Pocałuj mnie w dupę – rozległ się głos Chauncy'ego.

– Zajęty?

– Tak. Je lunch.

D'Agosta bez słowa pomaszerował do drzwi i otworzył je gwałtownie.

Za drzwiami znajdował się mały pokój, niewiele większy od szafy. Jedyne umeblowanie stanowił drewniany słupek z poprzeczką sięgający do piersi – a na poprzeczce siedziała ogromna papuga łososiowego koloru. W jednej szponiastej łapie trzymała brazylijski orzech. Masywny dziób krył się skromnie wśród piór na policzkach. Popatrzyła spokojnie na detektywa, czubek na głowie uniósł się lekko, pytająco.

– Poruczniku D'Agosta, przedstawiam panu Chauncy'ego – oznajmił Kline.

– Pocałuj mnie w dupę, D'Agosta – powiedziała papuga.

D'Agosta zrobił krok do przodu. Papuga zaskrzeczała przeraźliwie, upuściła orzech i załopotała wielkimi skrzydłami, obsypując porucznika piórami i łupieżem. Czubek nastroszył się i rozpostarł szeroko.

– No i widzi pan, co pan zrobił? – powiedział Kline tonem łagodnej wymówki. – Zepsuł mu pan lunch.

D'Agosta cofnął się, oddychając ciężko. Nagle zrozumiał, że nic nie może zrobić – absolutnie nic. Kline nie złamał prawa. Miał zakuć w kajdanki kakadu molucką i zamknąć w celi? Przecież by go wyśmiali w komendzie. Ten mały gnojek rzeczywiście pomyślał o wszystkim. Zaciśnął dłoń na liście, zgniótł papier. Frustracja i bezsilność doprowadzały go do szału.

– Skąd ona zna moje nazwisko? – mruknął, strzepując pióro z marynarki.

– Och, to – powiedział Kline. – Widzi pan, Chauncy i ja trochę, hm, rozmawialiśmy o panu, zanim pan wszedł.

Kiedy weszli do windy, która miała ich zwieźć do westybulu, D'Agosta zerknął na Pendergasta. Agent specjalny trząśł się z bezgłośnej wesołości. Nachmurzony D'Agosta odwrócił wzrok. W końcu Pendergast się opanował i odchrząknął.

– Myślę, mój drogi Vincencie – powiedział – że postarasz się jak najszybciej zdobyć ten nakaz rewizji.

14.

Caitlyn Kidd wcisnęła samochód w strefę tylko dla autobusów naprzeciwko nowojorskiego Muzeum Historii Naturalnej. Zanim wysiadła, udrapowała na desce rozdzielczej egzemplarz wczorajszego „West Sidera” – z nagłówkiem i swoim nazwiskiem jako autorki. To – w połączeniu z tablicami rejestracyjnymi prasy – może uratuje ją przed drugim mandatem w ciągu dwóch dni.

Energicznie przeszła przez podjazd muzeum, wdychając mroźne jesiennie powietrze. Była za kwadrans piąta i zgodnie z jej podejrzeniami wiele osób wychodziło szybkim krokiem przez nieoznakowane drzwi na parterze ogromnej budowli. Nieśli teczki i torby – pracownicy, nie zwiedzający. Wymijając ich, ruszyła do drzwi.

Znalazła się w wąskim korytarzu prowadzącym do posterunku ochrony. Kilka osób pokazywało muzealne identyfikatory, a para znużonych strażników przepuszczała ich machnięciem ręki. Caitlyn poszperała w torebce, wyjęła legitymację prasową.

Podeszła i pokazała ją strażnikowi.

- Tylko personel – odparł.
- Jestem z „West Sidera” – wyjaśniła. – Piszę artykuł o muzeum.
- Jest pani umówiona?
- Mam wywiad z... – Spojrzała na identyfikator kustosa, który właśnie mijał budkę strażników. Upłynie co najmniej kilka minut, zanim facet dotrze do swojego gabinetu. – Z doktorem Prine'em.

– Chwileczkę. – Strażnik sprawdził w spisie telefonów, podniósł słuchawkę, wybrał numer, odczekał kilka dzwonków. Potem podniósł na nią senne oczy. – Nie ma go. Musi pani tu zaczekać.

– Czy mogę usiąść? – Wskazała ławkę stojącą w odległości kilku jardów.

Strażnik się zawahał.

– Jestem w ciąży. Nie powinnam stać.

– Proszę bardzo.

Usiadła, założyła nogę na nogę, otworzyła książkę, nie spuszczać z oka strażników. Grupka pracowników zgromadziła się przed wejściem – sądząc po wyglądzie, woźni przybywający na nocną zmianę. Kiedy strażnicy zajęli się sprawdzaniem przepustek i odznaczaniem nazwisk na liście, Caitlyn szybko wstała i dołączyła do strumienia pracowników już przepuszczonych przez punkt ochrony.

Pokój, którego szukała, znajdował się w podziemiach – pięć minut grzebania w Internecie wystarczyło, żeby zlokalizować pracownika i poznać rozkład muzeum – ale podziemia stanowiły labirynt krzyżujących się pasaży i nieoznakowanych korytarzy ciągnących się bez końca. Nikt jednak nie sprawdzał jej przepustki, nikt nawet jej nie zauważał, toteż kilka zręcznie sformułowanych pytań wreszcie zaprowadziło ją do długiego, mrocznego holu. Po obu stronach co dwadzieścia stóp znajdowały się drzwi, w których osadzono szybki z mlecznego szkła. Caitlyn powoli szła korytarzem, odczytując nazwiska na drzwiach. W powietrzu unosił się jakiś słaby, nieprzyjemny zapach, którego nie rozpoznawała. Niektóre drzwi były otwarte, za nimi widziała urządzenia laboratoryjne, zagracone gabinety i – dziwaczne – słoje z zakonserwowanymi okazami oraz wypchane bestie o groźnym wyglądzie.

Zatrzymała się przed drzwiami z tabliczką KELLY, N. Drzwi były uchylone, ze środka dochodziły głosy. Jeden głos: Nora Kelly rozmawiała przez telefon.

Caitlyn przysunęła się bliżej, żeby posłuchać.

– Skip, nie mogę – mówił kobiecy głos. – Po prostu nie mogę teraz wrócić do domu.

Nastała chwila ciszy.

– Nie, nie o to chodzi. Jeśli teraz przyjadę do Santa Fe, może już nigdy nie wrócę do Nowego Jorku. Nie rozumiesz? Poza tym muszę się dowiedzieć, co się stało, wytropić zabójcę Billa. Tylko to mnie teraz podtrzymuje na duchu.

Zbyt osobiste. Caitlyn pchnęła drzwi dalej i odchrząknęła. Laboratorium za drzwiami było ciasne, lecz uporządkowane. Kilka ceramicznych skorup leżało na stole roboczym obok laptopa. W kącie kobieta rozmawiająca przez telefon podniosła wzrok. Była smukła, atrakcyjna, o brązowych włosach rozsypanych na ramionach i orzechowych, udreżonych oczach.

– Skip – powiedziała. – Muszę kończyć. Oddzwonię. Tak. Okay, wieczorem. – Rozłączyła się, wstała zza biurka. – Czym mogę służyć?

Caitlyn głęboko nabrała powietrza.

– Nora Kelly?

– Tak.

Caitlyn wyjęła z torebki legitymację prasową, otwarła.

– Jestem Caitlyn Kidd z „West Sidera”.

Nora Kelly nagle poczerwieniała.

– Autorka tej kupy bredni? – warknęła ostrym, gniewnym tonem.

– Panno Kelly...

– Rzeczywiście robota na medal. Jeszcze jeden taki kawałek i otrzyma pani propozycję z „Weekly World News”. Proszę wyjść, zanim wezwę ochronę.

– Czy w ogóle czytała pani mój artykuł? – rzuciła pospiesznie Caitlyn.

Przez twarz Nory przemknął niepewny wyraz. Caitlyn prawidłowo odgadywała: Nora go nie przeczytała.

– To był dobry artykuł, bezstronny i oparty na faktach. Ja nie

wymyślałam nagłówków, ja tylko dostarczam wiadomości.

Nora zrobiła krok do przodu i Caitlyn instynktownie się cofnęła. Przez chwilę Nora wpatrywała się w dziennikarkę płonąącym wzrokiem. Potem odwróciła się w stronę biurka i podniosła słuchawkę telefonu.

– Co pani robi? – zapytała Caitlyn.

– Wzywam ochronę.

– Panno Kelly, proszę tego nie robić.

Nora wybrała numer do końca i czekała na połączenie.

– Tylko pani sobie zaszkodzi. Ponieważ mogę pani pomóc znaleźć mordercę męża.

– Tak? – powiedziała Nora do słuchawki. – Mówi Nora Kelly, laboratorium antropologiczne.

– Obie chcemy tego samego – syknęła Caitlyn. – Proszę, niech mi pani pozwoli pokazać, jak mogę pani pomóc. Proszę.

Milczenie. Nora popatrzyła na nią, potem powiedziała do słuchawki:

– Przepraszam, pomyliłam numer.

Powoli odłożyła słuchawkę.

– Dwie minuty – powiedziała.

– Okay. Noro... mogę ci mówić Nora? Znałam twojego męża. Czy kiedyś o mnie wspominał? Wpadaliśmy na siebie na imprezach dziennikarskich, konferencjach prasowych, miejscach zbrodni. Czasami obrabialiśmy ten sam temat, ale... no wiesz, trudno mi było, początkującej reporterce z takiego szmatławca jak „West Sider”, konkurować z „Timesem”.

Nora milczała.

– Bill był porządnym facetem. Jak mówiłam, ty i ja mamy wspólny cel: znaleźć mordercę. Obie mamy do dyspozycji wyjątkowe możliwości; wykorzystajmy je. Ty znasz go lepiej niż inni. A ja mam gazetę. Możemy połączyć nasze zdolności, pomóc sobie nawzajem.

– Ciągle czekam, żeby się dowiedzieć jak.

– Znasz ten artykuł, nad którym pracował Bill, ten o prawach

zwierząt? Wspominał mi o nim kilka tygodni temu.

Nora kiwnęła głową.

– Powiedziałaś już o tym policji. – Zawahała się. – Myślisz, że istnieje jakiś związek?

– Tak mi mówi przecucie. Ale mam jeszcze za mało informacji. Powiedz mi więcej.

– Chodziło o te ofiary ze zwierząt w Inwood. Pojawiło się mnóstwo artykułów, a potem fala opadła. Ale Bill ciągle się tym interesował. Odłożył to na później, szukał nowych punktów widzenia.

– Opowiadał ci o tym szczegółowo?

– Odniosłam wrażenie, że pewnych ludzi niespecjalnie zachwycało jego zainteresowanie tym tematem, ale to żadna nowina. On był najszczęśliwszy, kiedy wkurzał ludzi. Zwłaszcza niemiłych. A najbardziej nienawidził takich, co się znęcają nad zwierzętami. – Spojrzała na zegarek. – Zostało trzydzieści sekund. Ciągle mi nie powiedziałaś, jak możesz mi pomóc.

– Jestem niestrudzonym researcherem. Zapytaj kogośkolwiek z moich kolegów. Wiem, jak załatwiać materiały z policji, szpitali, bibliotek, archiwów. Dzięki legitymacji prasowej dostanę się tam, gdzie ciebie nie wpuszczą. Poświęcę na to cały czas, dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu. To prawda, chcę mieć artykuł. Ale chcę również sprawiedliwości dla Billa.

– Twoje dwie minuty się skończyły.

– Okay, pójdę sobie. Ale chciałabym, żebyś coś zrobiła... zarówno dla siebie, jak i dla mnie. – Caitlyn poklepała się po głowie. – Znajdź jego notatki do tego artykułu. Artykułu o prawach zwierząt. Pokaż mi je. Pamiętaj: my, reporterzy, trzymamy się razem. Chcę rozwiązać tę sprawę tak samo jak ty. Pomóż mi to zrobić, Noro.

Po czym uśmiechnęła się przelotnie, wręczyła Norze swoją wizytówkę, odwróciła się i wyszła z laboratorium.

15.

Rolls przejechał przez podwójną bramę w murze z fałszywych cegieł, który udekorowano plastikowym bluszczem przymocowanym tu i ówdzie do frontonu. Napis wśród bluszczu informował gości, że przybyli do Mauzoleum i Cmentarza Szepczące Dęby. Za murem rozciągał się bezkresny zielony trawnik obramowany przez świeżo zasadzone dęby, podtrzymywane w pozycji pionowej przez linki namiotowe. Wszystko było nowe i niewykończone. Sam cmentarz był praktycznie pusty i D'Agosta widział nawet miejsca złączeń tam, gdzie rozwijano rolki darni. Pół tuzina gigantycznych nagrobków z polerowanego granitu zgromadzono w jednym rogu. Na wprost pośrodku zielonej murawy wznosiło się mauzoleum, białe jak kość, surowe i pozbawione wdzięku.

Proctor przeprowadził rollsa po asfaltowym podjeździe i zahamował przed budynkiem. Pomimo jesiennej pory wąska rabatka przed mauzoleum kipiała od kwiatów i D'Agosta szturchnął jeden stopą, kiedy wysiadał z samochodu.

Plastik.

Stali na parkingu i rozglądali się dookoła.

– Gdzie są wszyscy? – zapytał D'Agosta, spoglądając na zegarek. – Facet miał tu być w południe.

– Panowie? – Jakiś człowiek wyłonił się zza budynku jak duch. Wyglądał dość niezwykle: smukły, ubrany w dobrze skrojony czarny garnitur, ze skórą nienaturalnie białą. Mężczyzna pospieszył do nich, służalczo zacierając ręce, i skierował się prosto do Pendergasta.

– W czym mogę pomóc, proszę pana?
– Przyjechaliśmy w sprawie zwłok Colina Fearinga.
– Ach tak, ten nieszczęśnik, którego pochowaliśmy, kiedy, prawie dwa tygodnie temu? – Mężczyzna rozpromienił się, mierząc wzrokiem Pendergasta. – Pan na pewno jest z branży. Zawsze poznam człowieka z branży!

Pendergast powoli zanurzył rękę w kieszeni.

– Tak, tak – ciągnął blady mężczyzna – dobrze pamiętam ten pochówek. Biedaczysko, była tylko jego siostra i ksiądz. Zdziwiłem się... młodzi zwykle przyciągają tłum. No! Z jakiej kostnicy panowie jesteście i czym mogę wam służyć?

Dłoń Pendergasta wreszcie wyłoniła się z kieszeni, trzymając skórzany futerał, który się otworzył.

Mężczyzna wytrzeszczył oczy.

– Co... co to jest?

– Niestety, nie jesteśmy „z branży”, jak pan to czarująco ujął.

Mężczyzna zbladł jeszcze bardziej.

D'Agosta wystąpił do przodu i podał mu kopertę.

– Przyjechaliśmy w sprawie sądowego nakazu ekshumacji zwłok Colina Fearinga. Wszystkie papiery są tutaj.

– Ekshumacja? Nic o tym nie wiem.

– Wczoraj wieczorem rozmawiałem o tym z panem Radcliffe'em – oznajmił D'Agosta.

– Pan Radcliffe nic mi nie mówił. On mi nigdy nic nie mówi! – Głos mężczyzny wzniósł się do płaczliwej skargi.

– Szkoda. – Podły nastrój, nieopuszczający D'Agosty od czasu morderstwa, jeszcze się pogłębił. – Biermy się do roboty.

Mężczyzna wydawał się przerażony. Zachwiał się na nogach.

– Ale... my nigdy nie robiliśmy czegoś takiego.

– Zawsze kiedyś jest pierwszy raz, panie...?

– Lilie. Maurice Lille.

Teraz nadjechała z warkotem poobijana furgonetka lekarza sądowego, zostawiając za sobą obłok sinego dymu. Wzięła zakręt zbyt ostro – D'Agosta nie rozumiał, dlaczego oni zawsze jeżdżą jak wariaci – i wyhamowała z piskiem opon, kołyszając się na kiepskim zawieszaniu. Wyszli dwaj technicy medyczni w białych kombinezonach, przeszli do tyłu, otwarli drzwi i wysunęli nosze na wózku, na których leżał pusty worek na ciało. Podeszli do trójki mężczyzn, popychając przed sobą wózek.

– Gdzie denat?! – wrzasnął chudszy z dwóch, piegowaty dzieciak o marchewkowych włosach.

Milczenie.

– Panie Lille? – zapytał po chwili D'Agosta.

– De... denat?

– No wie pan – burknął technik. – Sztywniak. Nie mamy całego dnia.

Lille otrząsnął się z szoku.

– Tak. Tak, oczywiście. Proszę za mną do mauzoleum.

Poprowadził ich do drzwi frontowych, wstukał kod na klawiaturze i drzwi z imitacji brązu rozwarły się z kliknięciem, odsłaniając wysokie, białe pomieszczenie. Wszystkie cztery ściany, od podłogi do sufitu, zajmowały krypty. Dwa ogromne bukiety plastikowych kwiatów wlewały się z bliźniaczych gipsowych urn we włoskim stylu. Tylko kilka krypt nosiło nazwiska i daty wyryte czarnymi literami. D'Agosta mimo woli węszył, szukając zapachu, który znał aż za dobrze, ale powietrze było czyste, świeże, perfumowane. Stanowczo perfumowane. W takim miejscu, pomyślał, na pewno mają świetną klimatyzację.

– Przepraszam. Mówił pan, że chodzi o Colina Fearinga? – Pomimo sprawnie działającej klimatyzacji Lille się pocił.

– Zgadza się. – D'Agosta spojrział z irytacją na Pendergasta, który spacerował z rękami założonymi z tyłu i ściągniętymi ustami, oglądając pomieszczenie. Zawsze znikał w nieodpowiedniej chwili.

– Chwileczkę. – Lille wszedł za szklane drzwi prowadzące do jego biura i wyszedł, niosąc podkładkę. Rozejrzył się po rozległych ścianach krypt, poruszając ustami, jakby odliczał. Po chwili powiedział:

– Tam jest Colin Fearing.

Wskazał jedną z oznakowanych krypt, po czym cofnął się z grymasem wymuszonego uśmiechu.

– Panie Lille? – zapytał D'Agosta. – Klucz?

– Klucz? – Wyraz paniki powrócił na twarz Lille. – Chcecie, żebym to otworzył?

– Na tym polega ekshumacja, prawda? – odparł D'Agosta.

– Ale, widzicie, ja nie mam uprawnień. Jestem tylko sprzedawcą.

D'Agosta odetchnął.

– Znajdzie pan wszystkie dokumenty w tej kopercie. Musi pan tylko podpisać się na górnej kartce... i dać nam klucz.

Lille spuścił wzrok i jakby dopiero teraz odkrył szarą kopertę, którą ścisnął w rękę.

– Ale ja nie mam uprawnień. Muszę zadzwonić do pana Radcliffe'a.

D'Agosta przewrócił oczami.

Lille wrócił do swojego biura, zostawiając drzwi otwarte. D'Agosta nadstawił uszu. Rozmowa zaczęła się cicho, ale wkrótce piskliwy głos Lille'a rozlegał się echem w całym mauzoleum niczym skowytanie bitego psa. Pan Radcliffe najwyraźniej nie był skłonny do współpracy.

Lille wyszedł z biura.

– Pan Radcliffe już jedzie.

– Ile czasu to zajmie?

– Godzinę.

– Nic z tego. Już to wyjaśniałem Radcliffe'owi. Otwieraj pan kryptę. Gazem.

Lille załamał rękę, twarz mu się skurczyła.

– O Boże. Ja po prostu... nie mogę.

– Słuchaj no, kolego, trzymasz w ręku nakaz sądowy, a nie prośbę o pozwolenie. Jeśli nie otworzysz tej krypty, oskarżę cię o utrudnianie wykonywania obowiązków oficerowi policji.

– Ale pan Radcliffe mnie zwolni! – zaskomlał Lille.

Pendergast zawrócił ze swojej wycieczki i niedbałym krokiem podszedł do grupki mężczyzn. Stał przed kryptą Fearinga i przeczytał na głos:

– „Colin Fearing, lat trzydzieści osiem”. Smutne, kiedy umierają tak młodo, nie uważa pan, panie Lille?

Lille jakby nie słyszał. Pendergast oparł dłoń na marmurze niemal pieszczotliwym ruchem.

– Mówi pan, że nikt nie przyszedł na pogrzeb?

– Tylko siostra.

– Jakie to smutne. A kto zapłacił?

– Chyba... nie wiem dokładnie. Siostra uregulowała rachunek, chyba z majątku matki.

– Ale matka jest niespełna rozumu. – Agent odwrócił się do D'Agosty. – Ciekawe, czy siostra ma pełnomocnictwo? Warto sprawdzić.

– Dobry pomysł.

Białe palce Pendergasta dalej gładziły marmur, odsunęły małą, ukrytą płytkę, odsłoniły zamek. Druga ręka sięgnęła do kieszonki na piersi i wyjęła mały przedmiot przypominający grzebień, który miał tylko kilka krótkich zębów na jednym końcu. Agent wsunął go do zamka, pokręcił.

– Przepraszam, co pan wyprawia...? – zaczął Lille, ale głos mu zamarł, kiedy drzwiczki krypty rozwarły się cicho na naoliwionych zawiasach. – Nie, zaczekajcie, nie wolno wam...

Technicy medycy przysunęli wózek i podnieśli go na wysokość krypty. W ręku Pendergasta pojawiła się mała latarka, którą skierował w ciemność i zajął do środka.

Zapadło krótkie milczenie. Potem agent powiedział:

– Chyba nie będziemy potrzebować noszy.

Dwaj technicy wymienili niepewne spojrzenia.

Pendergast wyprostował się i odwrócił do Lille'a.

– Proszę mi powiedzieć, kto ma klucze do tych krypt?

– Klucze? – Lille dygotał. – Ja.

– Gdzie?

– Trzymam je zamknięte w moim biurze.

– A drugi komplet?

– Pan Radcliffe trzyma je poza terenem. Nie wiem gdzie.

– Vincent? – Pendergast odstał do tyłu i wskazał otwartą kryptę.

D'Agosta podszedł i zajrzał w ciemny otwór, podążając wzrokiem za wąskim promieniem latarki.

– To cholerstwo jest puste! – zawołał.

– Niemożliwe – wymamrotał Lille drżącym głosem. – Na własne oczy widziałem, jak wkładano tu ciało... – Zakrztusił się i sięgnął do węzła krawata.

Marchewkowowłosy technik też zajrzał do środka.

– No, niech mnie wydymają dwa razy w niedzielę – parsknął.

– Nie całkiem puste, Vincent – sprostował Pendergast.

Z trzaskiem naciągnął lateksową rękawiczkę i sięgnął w głąb. Ostrożnie wydobył jakiś przedmiot i zademonstrował pozostałym na otwartej dłoni. Była to maleńka trumna, prymitywnie sklecona z papiermâché i strzępków tkaniny, z uchylonym papierowym wiekiem. W środku spoczywał wyszczerzony szkielet zrobiony z pomalowanych na biało wykałaczek.

– Jednak coś tu pochowano... w pewnym sensie – zauważył Pendergast swoim melodyjnym głosem.

Rozległo się westchnienie, a potem miękki szmer upadku. D'Agosta się odwrócił. Maurice Lille zemdlął.

16.

Północ. Nora Kelly szybko przemierzała ciemne podziemia w sercu muzeum, obcasy jej pantofli stukwały cicho na wypolerowanej kamiennej podłodze. Jak zawsze po godzinach pracy w korytarzach zgaszono połowę światła i z każdych otwartych drzwi ziała ciemność. Nikogo nie było: nawet najbardziej hardcore'owy kustosz poszedł do domu wiele godzin wcześniej, a trasy obchodu strażników prowadziły głównie przez publiczne rejony muzeum.

Nora zatrzymała się przed drzwiami z nierdzewnej stali oznaczonymi tabliczką LABORATORIUM PCR*. Tak, jak miała nadzieję, zabezpieczone siatką okienko w drzwiach było ciemne. Odwróciła się do klawiatury zamka, wstukała sekwencję liczb. Dioda w klawiaturze zmieniła kolor z czerwonego na zielony.

* PCR (*Polymerase Chain Reaction*) – reakcja łańcuchowa polimerazy, metoda powielania łańcuchów DNA w warunkach laboratoryjnych polegająca na sekwencji wielokrotnego podgrzewania i oziębiania próbki; liczne zastosowania, m.in. w kryminalistyce.

Nora pchnęła drzwi, zanurkowała do środka i zapaliła światło. Drzwi zatrzasnęły się za nią automatycznie. Rozejrzała się dookoła. Wcześniej była w tym laboratorium tylko parę razy, kiedy wpadała podrzucić próbki do testów. Termocykler do PCR stał na nieskazitelnie czystym stole ze stali nierdzewnej nakryty płachtą plastiku. Nora podeszła, ściągnęła plastik, poskładała i odłożyła na bok. Aparat – Eppendorf-Mastercycler 5330 – miał brzydką, białą, plastikową obudowę,

której prymitywny wygląd maskował skomplikowane wnętrze. Nora poszperała w torebce i wyjęła wydruk instrukcji obsługi, którą ściągnęła z Internetu.

Odetchnęła głęboko, potem jedną ręką pomacała wokół urządzenia, znalazła przełącznik i przekręciła. Instrukcja podawała, że trzeba odczekać całe piętnaście minut, zanim aparat się rozgrzeje.

Nora położyła torebkę na stole, wyjęła styropianowy pojemnik, zdjęła pokrywę i zaczęła ostrożnie wyjmować cienkie jak ołówek próbówki, które ustawiała w stojaku. Jedna próbówka zawierała włos, inna włókno, jeszcze inna strzępek chusteczki higienicznej, kolejna – zamrożone drobinki krwi. Wszystkie dostała od Pendergasta.

Przetarła czoło i przy tym zauważyła, że palce lekko jej drżą. Próbowwała nie myśleć o niczym poza laboratoryjną pracą. Powinna skończyć i wyjść długo przed świtem. W głowie ją łupało; była wyczerpana; nie zmrużyła oka, odkąd wróciła do domu przed dwoma dniami. Ale gniew i żal dodawały jej energii, karmiły ją, podtrzymywały na siłach. Pendergast potrzebował jak najszybciej rezultatów testu DNA. Była wdzięczna, że mogła się na coś przydać – cokolwiek – jeśli to pomoże złapać mordercę Billa.

Z lodówki laboratoryjnej wyjęła pasek ośmiu peceerówek: maleńkich opływowych, zapieczętowanych plastikowych tubek napełnionych już roztworem buforowym, polimerazą Taq, dNTPs i innymi reagentami. Z najwyższą ostrożnością, używając sterylnych szczypczyków, przeniosła minimalne próbki materiału biologicznego z probówek do peceerówek, szybko zakręcając każdą tubkę. Zanim aparat brzęknął na znak gotowości, napełniła trzydzieści dwie: maksymalną liczbę, jaką cykler mógł pomieścić naraz.

Wsunęła do kieszeni kilka dodatkowych tubek na później, po czym po raz trzeci przeczytała instrukcję. Otworzyła cykler, włożyła tubki w otwory, potem zamknęła i zabezpieczyła wieko. Nastawiła wskaźniki i nieśmiało nacisnęła guzik startu.

Wiedziała, że potrzeba czterdziestu cykli termicznych, każdy trwający trzy minuty, żeby zakończyć reakcję PCR. Dwie godziny. Potem musiała przeprowadzić na wynikach żelową elektroforezę, żeby zidentyfikować DNA.

Maszyna wydała kolejne miękkie brzęknięcie i ekran pokazał, że trwa pierwszy cykl termiczny. Nora usiadła wygodniej i czekała. Dopiero teraz uświadomiła sobie, jaka grobowa cisza panuje w laboratorium. Nie słyszała nawet zwykłego szumu powietrza nawiewanego przez system wentylacyjny. W pomieszczeniu pachniało kurzem, pleśnią i słodkawym para-dichlorobenzenem z pobliskich magazynów.

Spojrzała na zegarek: dwunasta dwadzieścia pięć. Powinna była zabrać książkę. W cichym laboratorium znalazła się sam na sam z własnymi myślami – okropnymi myślami.

Wstała i przespacerowała się po laboratorium, wróciła do stołu, usiadła, znowu wstała. Pogrzebała w szafkach, szukając czegoś do czytania, ale znalazła tylko instrukcje obsługi. Pomyślała, żeby wrócić do siebie, ale zawsze istniało niebezpieczeństwo, że wpadnie na kogoś i będzie musiała się tłumaczyć ze swojej obecności w muzeum o tak późnej porze. Nie miała prawa wstępu do laboratorium PCR. Nie zgłosiła takiej prośby, nie wpisała się do rejestru. Zresztą i tak nie miała uprawnień, żeby używać aparatury...

Nagle zamarła i wyężyła słuch. Usłyszała hałas, przynajmniej tak jej się zdawało. Za drzwiami.

Obejrzała się na małe okienko, ale pokazywało tylko mroczny korytarz oświetlony przez żarówkę w metalowej oprawie. Dioda na klawiaturze przy drzwiach wciąż świeciła czerwono: drzwi były zablokowane.

Z jękiem zacisnęła pięści. To było beznadziejne: straszne obrazy napływały nieproszone, wdzierały się bez ostrzeżenia w obszar świadomości. Zamknęła oczy, zacisnęła pięści jeszcze mocniej, próbując myśleć o czymkolwiek, byle nie o tamtym pierwszym spojrzeniu... o czymkolwiek...

Gwałtownie otworzyła oczy. Znowu rozległ się ten dźwięk i tym razem go umiejscowiła: ciche skrobanie w drzwi laboratorium. Szybko podniosła wzrok i dostrzegła jakiś kształt znikający za szybą. Wyraźnie czuła, że ktoś jej się przyglądał.

Jeden z nocnych strażników? Możliwe. Zaniepokoiła się, że zgłoszą jej bezprawne wtargnięcie. Potem pokręciła głową. Gdyby cokolwiek podejrzewali, weszliby do środka i zapytali ją. Skąd mieli wiedzieć, że nie powinna tu przebywać? Ostatecznie miała przepustkę i była kustoszem. Po prostu nie myślała jasno. Miała zamęt w głowie od czasu... Odwróciła spojrzenie od okna. Może naprawdę zwariowała.

Dźwięk znowu się rozległ i jej spojrzenie pomknęło do szyby. Tym razem zobaczyła ciemny kształt głowy w korytarzu, trochę chwiejny, oświetlony z tyłu i niewyraźny. Głowa wypełniła małe okienko – a potem przycisnęła się do szkła i światło z laboratorium oświetliło rysy twarzy.

Nora wstrzymała oddech, zamrugła i znowu spojrzała.

To był Colin Fearing.

17.

Nora odskoczyła z okrzykiem przerażenia. Twarz znikła.

Serce jej waliło w przyspieszonym rytmie, łomotało o żebra. Tym razem nie miała wątpliwości. To nie był sen.

Zatoczyła się do tyłu, rozglądając się rozpaczliwie za jakąś kryjówką. Przykucnęła za stołem laboratoryjnym, łapiąc oddech.

Nic nie słyszała. W laboratorium i w korytarzu panowała całkowita cisza. To głupie, pomyślała. Drzwi są zamknięte na klucz. On nie może wejść. Upłynęła minuta. Nora siedziała skulona, oddychając szybko. I stała się dziwna rzecz. Strach, który początkowo nią owładnął, teraz odpłynął. Jego miejsce zajęła furia.

Nora powoli wstała. Okienko pozostało puste.

Przesunęła ręką po stole, chwyciła menzurkę z pyreksu i wyjęła ze stojaka. Potem nagłym ruchem trzasnęła nią o kant stołu i rozbiła koniec. Teraz już szybciej podeszła do drzwi i trzęsącymi się palcami próbowała wstukać kod. Udało jej się za trzecim razem. Otworzyła drzwi i wyszła na korytarz.

Zza dalekiego załomu korytarza dobiegł odgłos zamykanych drzwi.

– Fearing! – krzyknęła.

Rzuciła się biegiem, błyskawicznie pokonała korytarz i skrzyła za róg. Po obu stronach korytarza znajdowały się drzwi, ale tylko jedno w pobliżu skrzyżowania. Chwyciła klamkę, szarpnęła. Nie były zamknięte na klucz, otworzyły się szeroko.

Pomacała ścianę, natrafiła na rząd przełączników i dwoma ruchami

ręki zapaliła wszystkie światła.

Przed sobą miała pomieszczenie, o którym słyszała, ale którego nigdy nie widziała, jeden z najbardziej legendarnych muzealnych magazynów. Dawniej była to stara elektrownia; obecnie przestronna sala zawierała kolekcję wielorybich szkieletów. Ogromne kości i czaszki, niektóre wielkości miejskich autobusów, zwisały na łańcuchach z sufitu; gdyby je ustawiono na podłodze, zdeformowałyby się i połamały pod własnym ciężarem. Każdy z podwieszonych szkieletów okrywały płachty plastiku, które sięgały prawie do podłogi – pejzaż udrapowanych kości. Rzędy jarzeniówek na suficie okazały się niewystarczające na tak wielkie pomieszczenie i światło wydawało się przyćmione, niemal jak pod wodą.

Nora rozejrzała się, trzymając w pogotowiu obtłuczoną menzurkę. Po lewej stronie płachty się kołysały, jakby niedawno poruszone.

– Fearing!

Jej głos zbudził upiorne echo w wysokiej hali. Podbiegła do najbliższych płacht, prześliznęła się między nimi. W rozproszonym świetle wielkie szkielety rzucały dziwaczne cienie, plastikowe płachty, sztywne i brudne, tworzyły labirynt, który ograniczał widoczność do kilku stóp. Nora dyszała z napięcia, wysiłku i wściekłości.

Wyciągnęła rękę i gwałtownie odrzuciła zasłonę. Nic.

Zrobiła krok, odsunęła następną płachtę i następną. Teraz plastikowe całuny, otaczające ją ze wszystkich stron, kołysały się szaleńczo, jakby gigantyczne szkielety pod nimi budziły się do niespokojnego życia.

– Pokaż się, draniu!

Szelest – a potem zobaczyła cień przesuwający się szybko po plastiku. Rzuciła się do przodu, ciachnęła menzurką. Nic.

Nagle nie mogła już tego znieść i z krzykiem pobiegła przed siebie, odtrącając zasłonę za zasłoną, wymachując dziko przed sobą rozbitą szklaną rurką, aż zaplątała się w ciężkim plastiku i musiała walczyć, żeby się oswobodzić. Paroksyzm strachu minął. Zrobiła jeszcze kilka

kroków, nad słuchując. Początkowo słyszała tylko własny przyspieszony oddech. Ale potem całkiem wyraźnie dotarło do niej szuranie z prawej strony. Skoczyła w tamtym kierunku, zamierzając się do ciosu, gotowa znowu krzyknąć.

Potem nagle się zatrzymała. Głos rozsądku zaczął przebijać się przez czerwoną mgiełkę furii. To było głupie, bardzo głupie. Pozwoliła, żeby gniew przyćmił jej rozum.

Znowu wyczuła słuch. Skrobanie, ulotny cień, rozkołysane zasłony. Obróciła się w tamtą stronę. Potem zamarła, oblizując wargi, które nagle wyschły. W półmroku, otoczona przez niezliczone, ogromne, okryte całunami szkielety, zadała sobie pytanie: kto tu jest myśliwym... a kto ofiarą?

Teraz już gniew całkiem się rozwiął zastąpiony przez narastający niepokój. Zrozumiała wreszcie, co się stało. Fearing nie mógł się dostać do zamkniętego laboratorium, więc wywabił ją na zewnątrz. A teraz pozwoliła się wciągnąć w ten labirynt.

Nagle nóż przebił najbliższą zasłonę i wyciął długą szparę. Przez rozcięcie zaczęła się przeciskać jakaś postać. Nora zamachnęła się, dźgnęła obtłuczonym końcem menzurki, częściowo trafiła. Ale postać odtrąciła nożem na bok jej broń i szklana rurka roztrzaskała się na podłodze.

Nora cofnęła się, wytrzeszczając oczy.

Fearing miał na sobie podarte łachmany, śmierdzące, sztywne od zakrzepłej krwi. Jedno sine oko łypało na nią; drugie wyglądało jak martwe, zasnutę bielą. Rozdziawione usta odsłaniały czarne, zepsute zęby. W brudnych włosach tkwiły liście i żdzbla trawy. Skóra miała ziemisty odcień i cuchnęła grobem. Z wilgotnym, rzęzącym odgłosem zrobił krok do przodu i nóż – nóż, który znała aż za dobrze – zatoczył lśniący łuk w powietrzu.

Nora odskoczyła w bok, straciła równowagę i upadła. Podniosła się pospiesznie, złapała duży odłamek rozbitego szkła i cofnęła się przed nacierającą postacią.

– Odejdź ode mnie! – wrzasnęła, wymachując kawałkiem szkła.

Postać sunęła do przodu, niezdarnie dźgając nożem. Nora odwróciła się i rzuciła do ucieczki, przedzierając się przez płachty. Kierowała się w głąb pomieszczenia. Na pewno znajdzie jakieś tylne drzwi. Słyszała, jak za jej plecami nóż rozcina plastik, jak zgrzyta przeraźliwie, zaważając o zwisające kości.

Szszszllluuurrppp. Postać wydawała okropne dźwięki, wciągając powietrze nierównymi haustami przez wilgotną tchawicę. Nora krzyknęła ze strachu i odrazy, jej głos obudził dziwaczne echa w ogromnej sali.

Straciła już orientację, nie wiedziała, czy idzie we właściwym kierunku. Szarpała się z plastikiem, walczyła o oddech, znowu się zaplątała, wreszcie rzuciła się na ziemię i pełzła gorączkowo pod szeleszczącymi, falującymi zasłonami. Zupełnie się zgubiła.

Szszszllluuurrppp, rozległ się ohydny odgłos wysysania za jej plecami.

W desperacji wstała pod plastikowym okryciem nisko zawieszzonego szkieletu, sięgnęła w górę i chwyciła żebro wieloryba. Podciągnęła się i wpełzła w głąb klatki piersiowej, jakby ćwiczyła na jakichś monstrualnych drabinkach. Wdrapywała się gorączkowo, wysuszone kości chwiały się i szczękały, aż dotarła na szczyt klatki piersiowej. Tu mogła się precyzyjnie przemieszczać przez odstęp pomiędzy żebrami. Kawałkiem szkła wycięła dziurę w zasłonie, potem usunęła się między żebra i przez otwór wygramoliła się na grzbiet szkieletu. Pomimo wszystko na chwilę zniechęciła uderzona niesamowitym widokiem: morze wielorybich szkieletów, małych i dużych, wiszących wszędzie dookoła tak gęsto, że prawie się dotykały.

Szkielet pod jej nogami znowu zaczął się chwiać. Spojrzała w dół. Fearing wspinał się do niej po drabinkach z kości.

Z jękiem strachu przebiegła najszybciej, jak się odważyła, po grzbiecie szkieletu, przykucnęła i przeskoczyła na następny. Z trudem utrzymała równowagę, kiedy zakotłosał się pod nią dziko. Przebiegła po

drugim kręgosłupie, przeskoczyła na trzeci szkielet. Stąd widziała już drzwi na drugim końcu sali.

Proszę, niech nie będą zamknięte na klucz.

Ohydna postać pojawiła się na grzbiecie wieloryba, wyłoniwszy się z rozdarcia w plastiku. Truchcikiem przebiegła po grzbiecie i przeskoczyła na następny szkielet. Pomimo niezdarnych ruchów okazała się zadziwiająco zręczna i Nora zrozumiała, że wdrapując się na szkielety, jedynie odsłoniła się przed przeciwnikiem.

Wycięła następną dziurę w płachcie pod sobą, zlazła na dół i zeskończyła na podłogę. Jak najszybciej poczołgała się w stronę tylnych drzwi. Za sobą słyszała Fearinga szarpiącego się z plastikiem, okropne odgłosy zasysania brzmiały coraz głośniejsze.

Nagle wydostała się spod masy kości. Przed nią, w odległości najwyżej dziesięciu stóp, znajdowały się drzwi: ciężkie i staroświeckie, bez klawiatury elektronicznego zamka. Podbiegła do nich, chwyciła za klamkę.

Zamknięte na klucz.

Ze szlochem przerażenia odwróciła się, oparła plecami o drzwi i ściśnęła odłamek szkła gotowa bronić się do końca.

Szkielety kołysały się na skrzypiących łańcuchach, płachty niespokojnie szurały o podłogę. Nora czekała, zbierając siły do ostatniej walki.

Upłynęła minuta, potem druga. Fearing się nie pokazał. Stopniowo kołysanie i szelesty ustały. Cisza powróciła do magazynu.

Nora odetchnęła z drżeniem, raz i drugi. Czyżby Fearing przerwał pościg? Czyżby odszedł?

Po drugiej stronie magazynu rozległo się skrzypnięcie drzwi, szurające kroki. Znowu cisza.

Nie, nie. On nie odszedł.

– Kto tam? – zawołał jakiś głos, lekko drżący od źle ukrywanej obawy. – Pokaż się!

To był nocny strażnik. Nora mało się nie rozpląkała z ulgi. Fearing

widocznie usłyszała kroki, które go spłoszyły. Ale wstrzymała oddech. Nie mogła teraz się ujawnić, dopóki trwa analiza DNA.

– Jest tam kto?! – zawołał znowu strażnik, który wyraźnie nie miał ochoty zapuszczać się w las wielorybich szkieletów. Wątki promyk latarki wędrował po słabo oświetlonej sali.

– Ostatnia szansa, zamykam drzwi na klucz.

Nora się nie przejmowała. Jako kustosz znał kod bezpieczeństwa do drzwi frontowych.

– No dobrze, sam tego chciałeś.

Szuranie, światła zgasły, trzask zamykanych drzwi.

Nora powoli opanowała oddech. Uklękała i zajrzała pod płachty w nikłym świetle sączącym się z okienka w drzwiach.

Czy on też nadal przebywał w tej sali? Czy czekał gdzieś w zasadzce? Czego chciał: dokończyć zadanie, którego nie wykonał w jej mieszkaniu?

Nora na czworakach i wpełzła pod nieruchome teraz płachty, powoli, możliwie najciszej, kierując się do drzwi frontowych. Co kilka minut zatrzymywała się, żeby się rozglądać i słuchać. Ale nie słyszała żadnych odgłosów, nie widziała żadnych cieni – tylko wielkie szkielety wielorybów okryte całunami.

Kiedy dotarła na środek sali, zrobiła przerwę. W półmroku słabo połyskiwały odłamki szkła. Reszta jej broni rozbita na kawałki. Dostrzegła niewyraźną ciemną smużkę biegnącą wzdłuż lśniącej krawędzi jednego dużego odłamka. Więc jednak dosięgnęła Fearinga... i skaleczyła go. To była krew... jego krew.

Wzięła oddech, potem drugi, starając się jasno myśleć. Potem drżącymi palcami wyciągnęła z kieszeni jedną z zapasowych tubek reakcyjnych. Ostrożnie złamała sterylne zamknięcie, podniosła odłamek, zanurzyła w płynie i ponownie zamknęła tubkę. Pendergast dał jej próbki DNA matki Fearinga, a mitochondrialne DNA matki i syna zawsze jest identyczne. Teraz mogła sprawdzić jego DNA i porównać bezpośrednio z nieznanym DNA znalezionym na miejscu zbrodni.

Wsunęła tubkę z powrotem do kieszeni i po cichu, ostrożnie dotarła do drzwi. Zareagowały na kod i otworzyły się. Zamknęła je szybko za sobą, potem na uginających się nogach poszła korytarzem do laboratorium PCR. Nie widziała ani śladu Fearinga. Wstukała kod na klawiaturze, wśliznęła się do laboratorium, zamknęła drzwi za sobą i zgasła górne światło. Dokończy pracę przy poświacie aparatury.

Termocykler wykonał już połowę cyklu. Z sercem wciąż walącym Nora wstawiła tubkę z krwią napastnika do stojaka obok innych, gotowych do następnej tury.

Do jutra będzie wiedziała na pewno, czy to naprawdę Fearing zabił jej męża... i dwukrotnie próbował ją zabić.

18.

D'Agosta wszedł do poczekalni przy aneksie kostnicy, starając się oddychać przez usta. Pendergast wszedł za nim, obrzucił pokój szybkim spojrzeniem, potem wśliznął się jak kot na jedno z brzydkich plastikowych krzeseł ustawionych pod ścianą po obu stronach stołu, na którym leżały w nieładzie czasopisma o oślich uszach. Agent wybrał najmniej wyświechtane, przekartkował je i zaczął czytać.

D'Agosta okrążył pokój raz, potem drugi. Nowojorska miejska kostnica stanowiła dla niego miejsce pełne okropnych wspomnień i wiedział, że wkrótce do kolekcji dołączy następny koszmar – może najgorszy ze wszystkich. Irytowała go nadnaturalna obojętność Pendergasta. Jak ten facet mógł się zachowywać tak nonszalancko? Obejrzał się i zobaczył, że agent czyta „Mademoiselle” z wyraźnym zainteresowaniem.

– Po co to czytasz? – warknął z rozdrażnieniem.

– Tu jest artykuł instruktażowy o nieudanych pierwszych randkach. Przypomina mi sprawę, którą kiedyś prowadziłem: wyjątkowo niefortunna pierwsza randka, która zakończyła się morderstwem i samobójstwem. – Pendergast pokręcił głową, wspominając to zdarzenie, i czytał dalej.

D'Agosta wzdrygnął się, potem zrobił jeszcze jedno kółko po pokoju.

– Usiądźże, Vincencie. Wykorzystaj konstruktywnie czas.

– Nienawidzę tego miejsca. Nienawidzę tego zapachu. Nienawidzę

tego wszystkiego!

– Doskonale cię rozumiem. Tutaj trudno jest ignorować... jakby to ująć?... oznaki śmiertelności. „Myśli, co leżą głębiej, niż lzy sięgnąć mogą”^{*}.

^{*} William Wordsworth, *Oda: Przeczucia nieśmiertelności czerpane ze wspomnień o wczesnym dzieciństwie*, przeł. Zygmunt Kubiak.

Stronice zaszeleściły, kiedy Pendergast powrócił do lektury. Upłynęło jeszcze kilka okropnych minut, zanim drzwi kostnicy wreszcie się otworzyły. W progu stanął jeden z lekarzy sądowych Beckstein. Dzięki Bogu, pomyślał D'Agosta: ściągnęli Becksteina na autopsję. Należał do najlepszych i – niespodzianka – był prawie normalny.

Beckstein ściągnął maskę i rękawiczki i wrzucił je do kosza.

– Poruczniku. Agencie Pendergast. – Skinął głową na powitanie, nie podając ręki; w kostnicy nie wymieniano uścisków dłoni. – Jestem do waszej dyspozycji.

– Doktorze Beckstein – zabrał głos D'Agosta – dziękuję za poświęcenie nam czasu.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

– Prosimy o podsumowanie możliwie przystępnym językiem.

– Oczywiście. Chcieliby panowie obejrzyć trupa? To czasami pomaga... Prosektor jeszcze przy nim pracuje.

– Nie, dziękujemy – odparł stanowczo D'Agosta.

Poczuł na sobie spojrzenie Pendergasta. Mam to gdzieś, pomyślał z determinacją.

– Wedle życzenia. Zwłoki miały czternaście głębszych i płytszych ran od noża, przedśmiertnych, niektóre na rękach i nogach, kilka w dolnej części pleców i ostatnia, również zadana od tyłu, która przebiła serce. Chętnie przedstawię panom wykres...

– Nie trzeba. Jakież rany pośmiertne?

– Żadnych. Śmierć nastąpiła niemal natychmiast po ostatnim, zabójczym ciosie w serce. Nóż wszedł poziomo, pomiędzy drugim a

trzecim tylnym zębem, pod kątem osiemdziesięciu stopni od pionu, przebił lewy przedsionek, tętnicę płucną i rozdarł stożek tętniczy na szczycie prawej komory, powodując silne krwawienie.

– Rozumiem.

– W porządku.

– Czy pana zdaniem zabójca zrobił, co trzeba, żeby zabić ofiarę, ale nie więcej?

– Takie twierdzenie jest zgodne z faktami, tak.

– Broń?

– Ostrze długości dziesięciu cali, szerokości dwóch cali, bardzo sztywne, prawdopodobnie nóż kuchenny wysokiej jakości albo nóż pletwonurka.

D'Agosta kiwnął głową.

– Coś jeszcze?

– Toksykologia krwi wykazała poziom alkoholu w granicach dozwolonych prawem. Żadnych narkotyków czy innych obcych substancji. Zawartość żołądka...

– Nie muszę tego wiedzieć.

Beckstein zawahał się i D'Agosta zobaczył coś w jego oczach. Niepokój, niepewność.

– Tak? – ponaglił. – Coś jeszcze?

– Tak. Nie napisałem jeszcze raportu, ale ekipa policyjna pominęła jedną rzecz, dość dziwną.

– Proszę mówić dalej.

Patolog znowu się zawahał.

– Chciałbym to wam pokazać. Nie usunęliśmy tego... jeszcze.

D'Agosta przełknął ślinę.

– Co to jest?

– Proszę, wolałbym wam pokazać. Nie mogę... no, nie potrafię tego opisać.

– Oczywiście – powiedział Pendergast, wysuwając się do przodu. –

Vincent, jeśli wolisz tutaj zaczekać...?

D'Agosta zacisnął zęby.

– Idę.

Przeszli przez podwójne drzwi z nierdzewnej stali do dużego pomieszczenia oświetlonego na zielono i wyłożonego kafelkami. Nałożyli maski, rękawiczki i fartuchy pobrane z pojemników, po czym ruszyli dalej, do jednego z gabinetów autopsji.

D'Agosta natychmiast zobaczył prosectora zgarbionego nad trupem. Piła Strykera w jego rękach brzęczała jak rozdrażniony moskit. Laborant sekcyjny kręcił się w pobliżu, zajądając bajgla z wędzonym łososiem. Na drugim stole sekcyjnym leżały różne oznakowane narzędzia. D'Agosta znowu przełknął ślinę, z większym trudem.

– Hej – powiedział laborant do Becksteina. – Przyszedłeś w samą porę. Właśnie mieliśmy wyciągać flaki.

Surowe spojrzenie Becksteina przywołało go do porządku.

– Przepraszam. Nie wiedziałem, że masz gości.

Uśmiechnął się znacząco, przeżuając śniadanie gumowymi wargami. Pokój cuchnął formaliną, rybą i fekaliami. Beckstein zwrócił się do prosectora:

– John, chciałbym pokazać porucznikowi D'Agostie i agentowi specjalnemu Pendergastowi ten, eee, obiekt, który znaleźliśmy.

– Żaden problem.

Prosector wyłączył piłę i odstąpił od zwłok. D'Agosta, przełamując wewnętrzny opór, podszedł bliżej i spojrział.

To wyglądało znacznie gorzej, niż sobie wyobrażał. Gorzej niż w jego najgorszych koszmarach. Bill Smithback: nagi, martwy, rozkrojony. Skalp ściągnięty do tyłu, brązowe włosy zebrane na karku, krwawa czaszka obnażona, świeże ślady piły biegnące półkoleście wokół ciemienia. Jama ciała otwarta, żebra rozgięte, narzędzia usunięte.

Detektyw pochylił głowę i zamknął oczy.

– John, możesz włożyć rozwieracz do ust?

– Proszę bardzo.

D'Agosta nie otwierał oczu.

– Gotowe.

Otworzył oczy. Usta zostały przemocą rozwarłe przez jakiś przyrząd ze stali nierdzewnej. Beckstein poprawił górną lampę, żeby oświetlić wnętrze. W język Smithbacka wbito haczyk na ryby, do którego przy-mocowano piórka, jak w przynęcie zwanej „suchą muchą”. Wbrew własnej woli D'Agosta pochylił się, żeby obejrzeć przedmiot z bliska. Haczyk miał węzeł z jasnego szpagatu, na którym namalowano minia-turową, wyszczerzoną czaszkę. Do trzonka haczyka przymocowano woreczek wielkości pigułki.

D'Agosta zerknął na Pendergasta. Agent wpatrywał się w otwarte usta trupa, w jego srebrzystych oczach malowało się niezwykle napięcie. Porucznik miał wrażenie, że dostrzega w tych oczach nie tylko napięcie. Także żal, smutek, niepewność... i niedowierzanie. Ramiona Pendergasta wyraźnie obwisły. Zupełnie jakby agent przez cały czas miał nadzieję, że się myli... i ku swojemu ogromnemu rozczarowaniu przekonał się, że jednak miał rację.

Milczenie przeciągnęło się na całe minuty. Wreszcie D'Agosta odwrócił się do Becksteina. Nagle poczuł się bardzo stary i zmęczony.

– Chcę, żeby to sfotografowano i zbadano. Wyjmijcie to razem z językiem... zostawcie wbite. Chcę, żeby w laboratorium przeprowadzo-no analizę, otworzono ten woreczek i poinformowano mnie o zawarto-ści.

Laborant zajął detektywowi przez ramię, żując bajgla.

– Zdaje się, że mamy tu niezłego psychopatę. Wyobraźcie sobie, co by z tego zrobił „Post”!

Rozległ się głośny chrzęst, a potem odgłosy przeżuwania. D'Agosta odwrócił się do niego.

– Jeśli „Post” coś zwęszy – warknął – osobiście dopilnuję, żebyś do końca życia wypiekał bajgle, zamiast jeść.

– Hej, stary, przepraszam. Coś taki nerwowy? – Laborant cofnął się szybko.

Pendergast przeniósł spojrzenie na D'Agostę. Wyprostował się i odstąpił od zwłok.

– Vincencie, przyszło mi do głowy, że nie odwiedzałem mojej drogiej ciotki Cornellii od wieków. Zechcesz mi towarzyszyć?

19.

Nora przekreśliła klucz w zamku i otworzyła drzwi swojego mieszkania. Była druga po południu, promienie stojącego nisko słońca wlewały się przez żaluzje i bezlitośnie oświetlały każdy najdrobniejszy fragment jej wspólnego życia z Billem. Książki, obrazy, ozdoby, nawet niedbale rzucone czasopisma – wszystko budziło bolesne, niechciane wspomnienia. Nora zamknęła drzwi na podwójną zasuwę i ze spuszczonego wzrokiem przeszła przez salon do sypialni.

Zakończyła pracę na aparacie PCR. Każda z próbek DNA dostarczonych przez Pendergasta została powielona miliony razy. Nora schowała tubki w głębi laboratoryjnej lodówki, gdzie nikt ich nie zauważy. Następnie odbębniła normalny dzień pracy w laboratorium antropologicznym. Nikt nie miał jej za złe, że wyszła wcześniej. Dzisiaj w nocy, o pierwszej, zamierzała wrócić, żeby przeprowadzić drugi i końcowy etap: test elektroforezy żelowej. Na razie jednak rozpaczliwie potrzebowała snu.

Bezceremonialnie upuściła torebkę na podłogę, rzuciła się na łóżko i nakryła głowę poduszkami. A jednak, chociaż leżała bez ruchu, sen nie chciał przyjść. Upłynęła godzina, potem druga. Wreszcie Nora dała za wygraną. Równie dobrze mogła zostać w muzeum. Może powinna tam wrócić.

Spojrzała na automatyczną sekretarkę: dwadzieścia dwie wiadomości. Niewątpliwie dodatkowe wyrazy współczucia. Po prostu nie mogła już tego słuchać. Z westchnieniem nacisnęła guzik odtwarzania

i kasowała każdą wiadomość, jak tylko usłyszała nutę troski w głosie dzwoniącego.

Siądła wiadomość była inna. Od reporterki „West Sidera”.

– Doktor Kelly? Mówi Caitlyn Kidd. Słuchaj, właśnie się zastanawiałam, czy znalazłaś coś więcej o tych zwierzęcych artykułach, nad którymi pracował Bill. Czytałam te, które opublikował. Są mocno demaskatorskie. Ciekawi mnie, czy znalazł coś nowego, czego nie zdążył opublikować... a może ktoś nie chciał mu na to pozwolić. Zadzwoń, kiedy będziesz mogła.

Zaczęła się następna wiadomość i Nora nacisnęła stop. Przez chwilę patrzyła z namysłem na urządzenie. Potem wstała z łóżka, wróciła do salonu, usiadła przy biurku i włączyła laptop. Nie знаła Caitlyn Kidd i niespecjalnie jej ufała. Ale gotowa była współpracować z samym diablem, gdyby pomógł jej wytropić ludzi stojących za śmiercią Billa.

Spojrzała na ekran, wzięła głęboki oddech. Potem – szybko, zanim zdążyła się rozmyślić – zalogowała się na prywatne konto swojego męża w „Timesie”. Hasło zostało przyjęte; konta jeszcze nie zablokowano. Po chwili wpatrywała się w indeks artykułów, nad którymi Bill pracował przez ostatni rok. Posortowała je chronologicznie, odsunęła myszą kilka miesięcy, potem zaczęła przewijać do przodu, sprawdzając tytuły. Zdziwiająco, jak wiele brzmiało nieznajomo. Teraz gorzko pożałowała, że nie interesowała się bardziej pracą męża.

Pierwszy artykuł traktujący o ofiarach ze zwierząt ukazał się jakieś trzy miesiące wcześniej. Był to raczej ogólny kawałek o tym, jak składanie zwierząt w ofierze bynajmniej nie należy do odległej przeszłości, tylko nadal jest aktywnie – chociaż sekretnie – praktykowane w mieście. Nora przewinęła dalej do przodu. Znalazła kilka innych artykułów: wywiad z jakimś Alexandrem Estebanem, rzecznikiem Stowarzyszenia Ludzie dla innych Zwierząt; śledczy kawałek o walkach kogutów w Brooklynie. Potem natrafiła na najnowszy artykuł, opublikowany przed dwoma tygodniami, zatytułowany: „Zwierzęta składane w

ofierze pod nosem mieszkańców Manhattanu”.

Wywołała tekst i przejrzała go szybko, zatrzymując wzrok na jednym akapicie:

Najczęstsze doniesienia o ofiarach ze zwierząt pochodzą z Inwood, najdalej wysunięte na północ części Manhattanu. Na policję i do agencji obrony praw zwierząt wpłynęło kilka skarg z okolic Indian Road oraz Zachodniej Dwieście Czternastej Ulicy, tamtejsi mieszkańcy twierdzą, że słyszeli głosy dręczonych zwierząt. Te zwierzęce wrzaski, które mieszkańcy opisują jako beczenie kóz i owiec oraz gdakanie kur, dochodzą podobno z dekonsekrowanego kościoła, zbudowanego w centrum izolowanego osiedla w Inwood Hill Park, potocznie nazywanego „Village”. Niestety, nie udało się porozmawiać z mieszkańcami Ville ani z przywódcą wspólnoty Eugene'em Bossongiem.

Po tym odkryciu Bill najwyraźniej uzyskał poparcie gazety dla dalszego śledztwa, ponieważ artykuł kończył się notatką napisaną kursywą:

To jest pierwszy z serii artykułów dotyczących składania ofiar ze zwierząt w Nowym Jorku.

Nora usiadła prosto. Teraz sobie przypominała, że pewnego wieczoru, mniej więcej przed tygodniem, Bill rzeczywiście wrócił do domu cały w skowronkach z powodu jakiegoś drobnego sukcesu, który udało mu się osiągnąć w związku z artykułem o ofiarach ze zwierząt.

Może ten sukces wcale nie był taki drobny.

Nora zmarszczyła brwi. Właśnie wtedy zaczęli dostawać pocztą te dziwne artefakty, a na podłodze przed drzwiami pojawiły się niesamowite wzory nakreślone kurzem.

Nora zamknęła indeks artykułów i otworzyła program zarządzania informacjami, gdzie zawsze przechowywał notatki do przyszłych artykułów. Szukała najnowszych wpisów.

Skupić się na Ville – pójść tym tropem w następnym artykule. CZY TO NAPRAWDĘ OFIARY ZE ZWIERZĄT? Trzeba to UDOWODNIĆ – żadnych domysłów. Przejrzeć akta policyjne. ZOBACZYĆ na własne oczy.

Spisać wywiad z Pizzettim. Inni sąsiedzi, którzy się skarżyli? Umówić się na drugi wywiad z Estebanem, facetem od praw zwierząt? Miejskowa sekcja PETA* itd.

* PETA, People for the Ethical Treatment of Animals (*Ludzie na rzecz Etycznego Traktowania Zwierząt*) – międzynarodowa organizacja broniąca praw zwierząt.

Skąd biorą zwierzęta?

Jaka jest historia Ville? Kim oni są? Sprawdzić w archiwum „Timesa” przeszłość Ville. Dobry koloryt: plotki o zombi (zombiie?)/kultach/itd. (Sprawdzić w redakcji poprawną pisownię zombie/zombiie.)

Możliwy tytuł artykułu: „Ville d'Evil”? Nie, „Times” odwali.

* Pierwsza rocznica – nie zapomnieć o rezerwacji w Café des Artistes i biletach na weekend na *Człowiek, który przyszedł na obiad!!!*

Ten ostatni wpis był taki nieoczekiwany, tak wyrwany z kontekstu, że zaskoczona i bezbronna Nora poczuła gorące łzy napływające do oczu. Natychmiast zamknęła program i wstała od biurka.

Przespacerowała się raz po salonie, potem spojrzała na zegarek: piętnaście po czwartej. Mogła złapać kolejkę na skrzyżowaniu Dziewięćdziesiątej Szóstej Ulicy i Central Park West i dojechać do Inwood w czterdzieści minut. Uruchomiła nowy program na komputerze, pisała chwilę, sprawdziła ekran, potem wysłała dokument do drukarki. Weszła do sypialni, podniosła torebkę z podłogi; rozejrzała się szybko; potem ruszyła do drzwi.

Przed kwadransem czuła się zagubiona, pozbawiona celu. Teraz – nagle – wypełniła ją przemożna wola działania.

20.

D'Agosta zabrał ze sobą cały oddział – dwunastu uzbrojonych, umundurowanych funkcjonariuszy – i winda pękała w szwach. Naciśnął guzik trzydziestego szóstego piętra, potem przeniósł spojrzenie na wyświetlacz nad drzwiami. Był spokojny i chłodny. Nie, poprawka: był zimny. Zimny jak lód.

Uważał się w zasadzie za porządnego człowieka. Jeśli ktoś go traktował choćby z odrobiną szacunku, odwzajemniał się tym samym. Ale kiedy ktoś się zachowywał jak kutas, to inna sprawa. Lucas Kline zachował się jak kutas – kutas nad kutasy, kutas wszech czasów, pierwsze miejsce w konkursie. A teraz miał się dowiedzieć, że naprawdę nie warto zadzierać z gliniarzem.

D'Agosta odwrócił się do oddziału.

– Pamiętajcie, co mówiłem na odprawie – powiedział. – To ma być dokładne. Dokładne i chamskie. Pracujcie w dwuosobowych zespołach... nie chcę żadnych problemów z łańcuchem dowodów. A jeśli traficie na jakieś gówno, jakieś przeszkody, cokolwiek, zamykajcie szybko i bez dyskusji.

W grupie rozległ się twierdzący pomruk, a potem seria trzasków i kliknięć, kiedy sprawdzano latarki Maglite i wkładano baterie do bezprzewodowych śrubokrętów.

Drzwi windy otworzyły się na przestronny hol Digital Veracity. Było późne popołudnie – czwarta trzydzieści – ale D'Agosta zauważył, że

kilku klientów siedziało jeszcze na skórzanych sofach, czekając na przyjęcie.

Dobrze.

Wyszedł z windy na środek holu, oddział otoczył go w luźnym szyku.

– Jestem porucznik D'Agosta z policji miasta Nowy Jork – oznajmił donośnym, czystym głosem. – Mam nakaz rewizji tego lokalu. – Spojrzał na czekających klientów. – Radziłbym przyjść kiedy indziej.

Wstali szybko, z pobladłymi twarzami, zgarnęli teczki i marynarki i z wdzięcznością podreptali do wind. D'Agosta odwrócił się do recepcjonistki.

– Może pani zjedzie na dół na kawę?

Po piętnastu sekundach w holu został tylko D'Agosta z oddziałem.

– Tutaj urządzimy punkt zbiórki – oznajmił. – Zostawcie pudła na dowody i zaczynamy. – Wskazał na sierżantów. – Wasza trójka ze mną.

Po sześćdziesięciu sekundach dotarli do sekretariatu przed gabinetem Kline'a. D'Agosta spojrzał na zastraszoną sekretarkę.

– Koniec pracy na dzisiaj – powiedział cicho, uśmiechając się do niej. – Może pani urwać się wcześniej.

Zaczekał, dopóki nie wyszła. Potem otworzył drzwi do wewnętrznego gabinetu. Kline znowu rozmawiał przez telefon, z nogami na szerokim biurku. Na widok D'Agosty i umundurowanych funkcjonariuszy kiwnął głową, jakby bez zdziwienia.

– Oddzwonię później – powiedział do słuchawki.

– Zabierzcie wszystkie komputery – rozkazał D'Agosta sierżantom. Potem odwrócił się do producenta software'u. – Mam tu nakaz rewizji. – Podsunął papier pod nos Kline'owi, potem umyślnie upuścił go na podłogę. – Ups. Proszę bardzo, może pan to przeczytać w wolnej chwili.

– Tak myślałem, że pan wróci, D'Agosta – powiedział Kline. – Pogadałem z moimi prawnikami. Ten nakaz rewizji musi określać, czego szukacie.

– Ależ określa. Szukamy dowodów, że pan zaplanował, popełnił albo przynajmniej opłacił morderstwo Billa Smithbacka.

– A dlaczego właściwie miałbym zaplanować, popełnić albo opłacić taki czyn?

– Z powodu psychotycznej nienawiści do znanych dziennikarzy... takich jak ten, przez którego pana wylali z pierwszej posady w gazecie.

Kline zmrużył oczy nieznacznie.

– Informacja może być ukryta w każdym z tych biur – ciągnął D'Agosta. – Musimy przeszukać cały lokal.

– Może być wszędzie – odparł Kline. – Nawet w moim domu.

– Tam pójdziemy w następnej kolejności. – D'Agosta usiadł. – Ale pan ma rację: to może być wszędzie. Dlatego muszę skonfiskować wszystkie CD, DVD, twarde dyski, PDA, wszystko, na czym można zapisać informację. Ma pan blackberry?

– Tak.

– Teraz to dowód. Proszę oddać.

Kline włożył rękę do kieszeni, wyjął urządzenie, położył na biurku.

D'Agosta rozejrzył się dookoła. Jeden sierżant zdejmował obrazy ze ścian pokrytych boazerią z czereśni, starannie oglądał je z tyłu, po czym kładł na podłodze. Drugi wyciągał książki z półek, chwycił za grzbiety i potrząsał, po czym rzucał na rosące stosy. Trzeci związał byle jak kosztowne dywaniki, sprawdzał podłogę, a dywany zostawiał spiętrzone w kącie. Przyglądając im się, D'Agosta pomyślał, jakie to wygodne, że żaden przepis nie nakazuje sprzątać po rewizji.

Z innych biur w korytarzu dochodziły trzaski otwieranych szuflad, zgrzyty i szuranie, krzyki, głosy podniesione w proteście. Sierżant skończył z dywanikami i zabrał się do segregatorów: otwierał je, wyciągał kartonowe teczki, kartkował zawartość, potem rzucał papiery na podłogę. Sierżant, który wcześniej sprawdzał obrazy olejne, teraz rozłączał pecety na biurku.

– Potrzebuję ich do pracy – oświadczył Kline.

– Teraz są moje. Mam nadzieję, że pan robił kopie. – D'Agosta coś sobie przypomniał: coś, co mu doradził Pendergast. – Zechce pan poluzować krawat?

Kline zmarszczył brwi.

– Co?

– Proszę mi zrobić tę uprzejmość.

Kline zawahał się, potem powoli podniósł rękę i rozluźnił krawat.

– Teraz proszę rozpiąć górny guzik koszuli i rozchylić kołnierzyk.

– O co ci chodzi, D'Agosta? – zapytał Kline, wypełniając polecenie.

D'Agosta popatrzył na chuderlawą szyję.

– Ten przewód... proszę go wyciągnąć.

Jeszcze wolniej Kline wyciągnął kabelek. I rzeczywiście na jego końcu dyndał mały pendrive.

– Zabiorę to, za pozwoleniem.

– Jest zakodowany – odparł Kline.

– I tak zabiorę.

Kline spojrział nieruchomym wzrokiem.

– Pożaluje pan tego, poruczniku.

– Dostanie pan to z powrotem.

D'Agosta wyciągnął rękę. Kline zdjął przewód przez głowę i położył na biurku obok blackberry. Wyraz jego twarzy oraz zachowanie niczego nie zdradzały. O tym, co się działo w jego głowie, mogło świadczyć jedynie lekkie zaróżowienie policzków pokrytych bliznami po trądziku.

D'Agosta znowu się rozejrzył.

– Musimy zabrać także niektóre afrykańskie maski i rzeźby.

– Dlaczego?

– Mogą mieć związek z pewnymi... eee... egzotycznymi aspektami sprawy.

Kline zaczął mówić, przerwał, znowu zaczął:

– To niezwykle cenne dzieła sztuki, poruczniku.

– Niczego nie rozbijemy.

Sierżant skończył z książkami i teraz odkręcał elektrycznym śrubokrętem zaślepki przewodów wentylacyjnych w suficie. D'Agosta wstał, podszedł do szary, otworzył drzwi. Dzisiaj nie było Chauncy'ego. Porucznik obejrzał się na Kline'a.

– Czy pan ma sejf?

– W ostatnim biurze.

– Przejdziemy się?

Wędrując korytarzem, oglądali kolejne sceny zniszczenia. Ludzie D'Agosty odłączali monitory, świecili latarkami w głąb segregatorów, wyciągali szuflady z biurka. Pracownicy Kline'a zebrali się w holu, gdzie obok pudeł na dowody piętrzyła się nieustannie rosnąca sterta papieru. Kline spojrział w prawo i w lewo spod opuszczonych powiek. Różowy odcień jego twarzy nieco się pogłębił.

– Vincent D'Agosta – powiedział, idąc obok porucznika. – Czy kumple nazywają pana Vinnie?

– Niektórzy.

– Vinnie, chyba mamy wspólnych przyjaciół.

– Wątpię.

– No, osoba, o której mówię, właściwie jeszcze nie jest przyjaciółką. Ale mam wrażenie, jakbym ją znał. Laura Hayward.

D'Agosta musiał wezwać na pomoc całą siłę woli, żeby nie zgubić kroku.

– Widzi pan, trochę się przyjrzałem tej pana dziewczynie. Czy raczej byłej dziewczynie. Co się stało, viagra już nie działa?

D'Agosta patrzył prosto przed siebie.

– Ale moje źródła podają, że wy dwoje wciąż jesteście blisko. Ranny, ale ona robi karierę. Pewnego dnia może nawet zostać komendantem, jeśli odpowiednio rozegra swoje karty...

Wreszcie D'Agosta przystanął.

– Coś panu powiem, panie Kline. Jeśli pan myśli, że może zastraszyć kapitan Hayward, to się pan grubo myli. Ona pana rozdepcze jak robaka. A jeśli w swojej nieskończonej łaskawości pana oszczędzi, gwarantuję panu, że ja nie daruję. A teraz proszę mnie zaprowadzić do sejfu.

21.

Nora wyszła z kolejki podziemnej na stacji przy Dwieście Siódmej Ulicy. Przeszła na północny koniec peronu i wspięła się po schodach na poziom ulicy, gdzie znalazła się u zbiegu trzech ulic: Broadwayu, Isham i Zachodniej Dwieście Jedenastej. Nigdy jeszcze nie była w tej okolicy, na najbardziej wysuniętym na północ czubku Manhattanu, toteż rozglądała się z ciekawością. Domy przypominały jej Harlem: przedwojenne, bez wind, atrakcyjne i solidnie zbudowane. Zauważyła kilka miejskich rezydencji oraz kamienic z elewacją z piaskowca; dolarowe sklepiki, bodegi i salony manikiuru sąsiadowały z ekstrawagancjami restauracjami i piekarniami ze zdrową żywnością. Wiedziała, że niedaleko znajduje się Dyckman House: ostatni na Manhattanie duński kolonialny dom farmerski. To miejsce zawsze zamierzała odwiedzić z Billem pewnego słonecznego niedzielnego popołudnia.

Odsunęła od siebie tę myśl. Sprawdziwszy dokument, który wydrukowała wcześniej – satelitarny widok okolicy z podanymi nazwami ulic – ustaliła swoje położenie i ruszyła na północny zachód, ulicą Isham, wspinając się pod górę w stronę Seaman Avenue i zachodzącego słońca.

Przecięła szeroką, ruchliwą Seaman Avenue i poszła dalej asfaltową ścieżką, mając po lewej korty tenisowe, a po prawej duże boisko do baseballu. Przystanęła. Przed nią, za polami leżało coś, co wyglądało jak pierwotny las. Mapa pokazywała przedłużenie Indian Road przecinające północny koniec Inwood Hill Park, który łączył się z małym,

ciasnym, nieoznakowanym osiedlem, zapewne Ville. Ścieżka prowadziła prosto i wydawała się bardziej bezpieczna. Przecinała pole i znikła w ciemnej gęstwinie dębów czerwonych i tulipanowców, których długie cienie przeplatały się na kamienistym podłożu. Liście płonące jesiennymi barwami, rdzawą i żółtą, z plamkami krwistej czerwieni tworzyły niemal nieprzebytą ścianę. Nora słyszała, że to ostatni dziki las na Manhattanie i na taki wyglądał.

Spojrzała na zegarek: piąta trzydzieści. Wieczór zapadał szybko i powietrze stało się chłodne, niemal mroźne. Zrobiła krok do przodu i znowu się zatrzymała, spoglądając niepewnie na mroczny las. Nigdy jeszcze nie była w Inwood Hill Park – nawet żaden z jej znajomych tam nie był – i nie miała pojęcia, czy tam jest bezpiecznie po zmroku. Czy nie tam kilka lat temu zamordowano faceta uprawiającego jogging...?

Zacisnęła zęby. Przejechała taki kawał drogi nie po to, żeby teraz zawrócić. Zostało jeszcze sporo światła. Niecierpliwie pokręciła głową i ruszyła przed siebie, pochylając się w stronę ściany drzew, niemal jakby rzucała im wyzwanie, żeby ją zatrzymały.

Dróżka skręcała łagodnym łukiem w prawo i omijała niedużą łąkę, zanim zanurzała się pomiędzy pierwsze masywne pnie. Nora szła szybko w cieniu rzucanym przez masywne konary. Dróżka rozgałęziała się raz i drugi, krzaki po obu stronach wdzierały się na asfalt pokryty siatką pęknięć, z których wyrastała trawa, wytapetowany opadłymi liśćmi. Od czasu do czasu Nora mijała latarnie gazowe, niegdyś z pewnością eleganckie, teraz jednak zardzewiałe i dawno nieużywane. Wśród dębów i tulipanowców – pnie niektórych miały dobre pięć stóp średnicy – trafiły się derenie i miłorzęby. Tu i tam kamienisty grzbiet wystawał z leśnej ściółki niczym ostrze noża.

Wkrótce asfalt ustąpił miejsca ubitej ziemi. Ścieżka wiała się pomiędzy drzewami, prowadząc wciąż pod górę. Przez odstępy pomiędzy pniami Nora widziała strome zbocze opadające do mulistego basenu pływowego, gdzie tłoczyły się hałaśliwe ptaki morskie. Ich krzyki

dobiegały do niej coraz słabiej, kiedy wspinała się krętą ścieżką, brodząc w stosach opadłych liści.

Po jakichś piętnastu minutach zatrzymała się przed starym, rozsypanych się murem oporowym. Huk Manhattanu ucichł i tylko wiatr szeptał w koronach drzew. Słońce zniknęło za szczytem wzgórza, gniewny pomarańczowy poblask zabarwił październikowe niebo. Nadchodził chłód nocy. Nora popatrzyła na otaczające ją potężne drzewa, na głązy narzutowe i zdradliwe jeziora polodowcowe. Wydawało się nieprawdopodobne, że dwa akry takiej dziczy zachowały się tutaj, na najbardziej zurbanizowanej wyspie. Wiedziała, że w pobliżu znajdują się pozostałości starej rezydencji Strausów. Isidor Straus był kongresmanem i współwłaścicielem sieci sklepów Macy's. Kiedy razem z żoną zginął na „Titanicu”, ich wiejski dom w Inwood Hill Park stopniowo popadł w ruinę. Może właśnie ten mur stanowił kiedyś część posiadłości.

Ścieżka prowadziła dalej na zachód, a ten kierunek nie odpowiadał Norze. W zamierającym świetle spojrzała na mapę satelitarną, wahała się tylko przez chwilę, po czym postanowiła iść na przełaj na północ. Zeszła ze szlaku i zaczęła się przedzierać przez rzadkie poszycie.

Teren wznosił się ostro w górę, tu i ówdzie widać pokłady odsłoniętych gnejsów. Nora wdrapywała się po skalnych półkach, chwytając się krzaków i gałęzi, żeby nie stracić równowagi. Palce miała już lodowate i gorzko żałowała, że nie zabrała rękawiczek. Pośliznęła się i upadła na żłobkowany skalny występ. Podniosła się z przekleństwem, otrzepała z liści, zarzuciła torbę z powrotem na ramię i nasłuchiwała. Nie słyszała żadnych ptaków ani wiewiórek, tylko łagodne westchnienia wiatru. Pachniało gnijącymi liśćmi i wilgotną ziemią. Po chwili ruszyła dalej, czując się coraz bardziej samotnie w leśnej ciszy.

To wariactwo. Ściemniało się znacznie szybciej, niż przypuszczała. Ostatnie barwy zmierzchu rozplynęły się już w światłach Manhattanu, które rzucały upiorny odbłask na niebo. Na tym niesamowitym tle

rysowały się czarne sylwetki drzew, nadając całej scenerii nierealny posmak jak z Magritte'a: jasne na górze, ciemne na dole. Dalej Nora widziała linię grzbietu wzgórza pokreślona widmowymi drzewami. Szybko, prawie biegiem wdarła się na sam szczyt. Tam przystanęła na chwilę, żeby złapać oddech. Zaniedbane, zardzewiałe ogrodzenie z siatki przecinało wzgórze ze wschodu na zachód, ale siatka obwisła i powyginała się ze starości, toteż Nora wkrótce znalazła obluźowany fragment i bez trudu przecisnęła się pod spodem. Zrobiła kilka kroków, okrążyła grupę masywnych głazów... i nagle znowu przystanęła.

Widok, który ujrzała przed sobą, zaparł jej dech w piersiach. Pod jej stopami grunt się urywał i skaliste klify opadały stromo we wzburzoną wodę. Dotarła do najdalszego krańca Manhattanu. W dole czarna rzeka Harlem płynęła na zachód wokół Spuyten Duyvil, w stronę rozległego akwenu rzeki Hudson, która w zamierającym świetle przybrała ciemno-stalową barwę – bezkresny wodny pejzaż pod wschodzącym niepełnym księżycem. Za rzeką Hudson wysokie klify Jersey Palisades odcinały się czernią na tle ostatnich blasków zachodzącego słońca; pośrodku autostrada Henry'ego Hudsona przeskakiwała pięknym łukiem nad rzeką Harlem po pełnym wdzięku moście i pędziła na północ do Bronksu. Płynął po niej nieprzerwany strumień światła samochodów – ludzie wracali po pracy do domu ze śródmieścia. Dokładnie na wprost znajdowała się Riverdale, tutaj niemal równie gęsto zalesiona jak sam Inwood Park Hill. A na wschodzie, za rzeką Harlem, leżały zadymione bastiony Bronksu, przebite tuzinem mostów, płonące milionem światła. Krajobraz przypominał oszołamiający, dziwaczny i wspaniały spektakl geologiczny: ogromne tableau, gdzie kapryśnie łączyły się elementy pierwotne i kosmopolityczne przez stulecia, kiedy rozrastało się miasto.

Ale Nora podziwiała je tylko przez chwilę. Ponieważ kiedy znowu spojrzała w dół, dostrzegła – w odległości ćwierć mili i sto stóp niżej – na wpół ukrytą w gęstwinie drzew grupkę ponurych ceglanych budynków, upstrzoną migotliwymi żółtymi światłkami. Stały na płaskiej

skalnej półce, przycupnięte w połowie drogi pomiędzy kamienistą, nierówną, zaśmieconą plażą nad rzeką Harlem a punktem obserwacyjnym Nory na krawędzi urwiska. Z góry nie dało się do nich dotrzeć – zresztą w ogóle wydawały się niedostępne, chociaż Nora wypatrzyła pomiędzy drzewami wstążkę asfaltu, która widocznie łączyła się z Indian Road. Patrząc tak, zorientowała się, że zagajnik drzew osłaniał osiedle niemal ze wszystkich stron: od strony autostrady, brzegu rzeki, klifów na drugim brzegu. Pośrodku zabudowań wznosiła się znacznie większa konstrukcja, najwyraźniej stary kościół, który powiększono bez ładu i składu tak długo, aż stracił resztki architektonicznej spójności. Wokół niego skupiły się małe, wiekowe, drewniane domki oddzielone głębokimi alejkami.

Ville: temat ostatniego artykułu Billa. Miejsce, które uważał za główny ośrodek kultu składającego ofiary ze zwierząt. Patrzyła na nie z odrazą i fascynacją. Ogromna budowla w centrum wydawała się niemal równie wiekowa jak sam akt zakupienia Manhattanu: ostentacyjnie zaniedbana, wzniesiona częściowo z cegły, częściowo z drewna brązowego jak czekolada, z prymitywną, przysadzistą wieżą wystającą zza masywnego mansardowego dachu. Dolne okna były zamurowane, natomiast w popękanych szybach na górnych piętrach migotał blady żółty odblask, z pewnością światła świec. Osada, na pozór uśpiona, tonęła w srebrzystej księżycowej poświacie i tylko od czasu do czasu pograżała się w głębszych ciemnościach, kiedy po niebie przepływały chmury.

Nora wpatrywała się w migotliwe światełka i stopniowo zaczęło do niej docierać, jakie głupstwo zrobiła. Właściwie po co tu przyszła? Żeby popatrzeć na kilka budynków? Co chciała osiągnąć w pojedynkę? Dlaczego wbiła sobie do głowy, że właśnie tam kryje się klucz do tajemnicy morderstwa jej męża?

Ville spoczywała pograżona w ciszy, tylko chłodny nocny wiatr poruszał liśćmi drzew.

Nora zadrżała. Potem ciasniej otuliła się płaszczem, odwróciła się i jak najszybciej ruszyła z powrotem przez ciemny las, w stronę przyjaznych ulic miasta.

22.

– Dziwne, że tu zawsze jest mgła – zauważył D'Agosta, kiedy wielki rolls sunął z pomrukiem po jednopasmowej szosie przecinającej Little Governor's Island.

– Widocznie napływa z bagien – mruknął Pendergast.

D'Agosta wyrzał przez okno. Rzeczywiście w mroku rozciągały się bagna wydzielające opary, które kłębiły się wśród trzciny i sitowia. W tle wznosiły się nocne sylwetki wieżowców Manhattanu, które tutaj wydawały się nie na miejscu. Minęli rząd wyschniętych drzew i podjechali do podwójnej żelaznej bramy oznaczonej tablicą z brązu:

SZPITAL MOUNT MERCY

DLA PSYCHICZNIE CHORYCH PRZESTĘPCÓW

Samochód zwolnił przed małą stróżówką, z której wyszedł umundurowany strażnik.

– Dobry wieczór, panie Pendergast – powiedział, wcale niezadowolony późną porą. – Przyjechał pan do panny Corneli?

– Dobry wieczór, panie Gott. Tak, dziękuję. Jesteśmy umówieni. Zahurgotało i brama zaczęła się otwierać.

– Życzę miłego wieczoru – powiedział strażnik.

Proctor wprowadził samochód przez bramę i podjechał pod główny budynek: ogromne neogotyckie gmazysko z brązowej cegły stojące niczym ponury wartownik wśród ciemnych, wiekowych jodeł

zgarbionych pod ciężarem obwisłych gałęzi.

Proctor wjechał na parking dla gości. Po kilku minutach D'Agosta szedł już za lekarzem przez długie, wyłożone kafelkami korytarze szpitala. Mount Mercy był dawniej największym nowojorskim sanatorium dla gruźlików. Teraz zmieniono je w ściśle strzeżony szpital dla morderców i innych groźnych przestępców, którzy zostali uznani za niepo czytalnych.

– Jak ona się czuje? – zapytał Pendergast.

– Tak samo – padła zwięzła odpowiedź.

Dołączyli do nich dwaj strażnicy i dalej szli przez rozbrzmiewające echem korytarze. Wreszcie zatrzymali się przed stalowymi drzwiami z zakratowanym okienkiem. Strażnik otworzył kluczem drzwi i weszli do małego „cichego pokoju”. D'Agosta pamiętał ten pokój ze swojej pierwszej wizyty z Laurą Hayward, w styczniu. Zdawało mu się, że od tamtego czasu upłynęło wiele lat, ale pokój nie zmienił się ani trochę: te same plastikowe meble przykręcone do podłogi i zielone ściany bez obrazków i ozdób.

Dwaj strażnicy zniknęli za ciężkimi metalowymi drzwiami w głębi pokoju. Po jakiejś minucie D'Agosta usłyszał słabe, zbliżające się skrzypienie. Jeszcze chwila i jeden ze strażników wepchnął do pokoju fotel inwalidzki. Stara dama nosiła głęboką żałobę, jej surowa wiktorianańska suknia z czarnej tafty i czarne koronki szeleściły przy każdym ruchu, ale pod spodem D'Agosta dostrzegł białe płócienne pasy krępujące ręce, nogi i tułów.

– Podnieście mi woalkę – zażądała płacząco dama.

Jeden ze strażników spełnił rozkaz i odsłonił twarz pooraną zmarszczkami, ożywioną złością. Małe czarne oczka wwierciły się w D'Agostę. Przypominały mu paciorkowate oczy węża. Lekki, ironiczny uśmiezek świadczył, że go rozpoznała. Potem błyszczące oczka przeniosły się na Pendergasta.

Agent zrobił krok do przodu.

– Panie Pendergast! – rozległ się nerwowy głos lekarza. – Chyba nie muszę panu przypominać o zachowaniu dystansu.

Na dźwięk tego nazwiska stara dama jakby się wzdrygnęła.

– Ależ – wykrzyknęła nagle mocnym głosem – jak się masz, Diogenesie, mój drogi! Cóż za uroczą niespodzianka! – Odwróciła się do najbliższego strażnika i rzuciła piskliwie: – Wyjmijcie najlepsze amontillado. Diogenes złożył nam wizytę. – Odwróciła się z szerokim uśmiechem, który groteskowo pomarszczył jej twarz. – A może wolałbyś herbatę, najdroższy Diogenesie?

– Nic, dziękuję – odparł chłodno Pendergast. – Jestem Aloysius, ciociu Cornelio, nie Diogenes.

– Nonsens! Diogenesie, niedobry chłopaku, przestań się droczyć ze starą ciotką. Myślisz, że nie znam własnego siostrzeńca?

Pendergast wahał się przez chwilę.

– Nigdy nie potrafiłbym cię oszukać, ciociu. Byliśmy w okolicy i pomyślałem, że wpadniemy z wizytą.

– Jak miło. Tak, widzę, że przyprowadziłeś mojego brata Ambergisa.

Pendergast zerknął przelotnie na D'Agostę i kiwnął głową.

– Mam kilka minut, zanim zacznę się przygotowywać do proszonego obiadu. Wiesz, jaka jest służba w tych czasach. Powinam wszystkich zwolnić i sama to robić.

– W istocie.

D'Agosta czekał, kiedy Pendergast prowadził z ciotką niezobowiązującą pogawędkę, która ciągnęła się bez końca. Stopniowo agent kierował rozmowę na własne dzieciństwo w Nowym Orleanie.

– Nie wiem, czy pamiętasz tę, ach, nieprzyjemność z Marie LeBon, jedną ze służących na dole – powiedział wreszcie. – My, dzieci, nazywaliśmy ją panną Marie.

– Ta, która wyglądała jak kij od miotły? Nigdy jej nie lubiłam. Miałam przed nią stracha. – Ciotka Cornelia zadrżała rozkosznie.

– Pewnego dnia znaleziono ją martwą, prawda?
– To wyjątkowo niefortunne, kiedy służba wywołuje skandale w domu. A Marie była najgorsza ze wszystkich. Oczywiście z wyjątkiem tego okropnego, okropnego monsieur Bertina. – Staruszka pokręciła głową z niesmakiem i mruknęła coś pod nosem.

– Powiesz mi, co się stało z panną Marie? Byłem wtedy dopiero dzieckiem.

– Marie pochodziła z *bajou*, rozwiązała kobieta, jak wielu mieszkańców bagien. Mieszanka francuskich Akadyjczyków i Indian Micmaców, i Bóg wie czego jeszcze. Uganiała się za stajennym, który był żonaty... pamiętasz tego stajennego, Diogenesie, który zadzierał nosa i pozował na dżentelmena? Zwyczajny prostak.

Rozejrzała się.

– Gdzie jest mój drink? Gaston!

Jeden ze strażników podniósł do jej ust styropianowy kubek i staruszka wytwornie pociągnęła łyk przez słomkę.

– Wolę gin, jak wiecie – oświadczyła.

– Tak, pszepani – powiedział strażnik i uśmiechnął się drwiąco do kolegi.

– Co się stało? – zapytał Pendergast.

– Żona stajennego, Boże jej błogosław, nie była zachwycona, że Marie LeBon uwodzi jej męża. Zemściła się. – Stara dama zarechotała. – Załatwiła ją tasakiem. Nie wiedziałam, że jest do tego zdolna.

– Zazdrosna żona nazywała się Ducharme.

– Ducharme! Wielka baba z bicepsami jak połcie szynki. Ta to potrafiła się zamachnąć tasakiem!

– Panie Pendergast? – odezwał się lekarz. – Ostrzegałem już pana przed tego rodzaju przesłuchaniami.

Pendergast go zignorował.

– Czy nie pamiętasz czegoś dziwnego w związku z... trupem?

– Dziwnego? O co ci chodzi?

- O... aspekty *vôdou*.
 - *Vôdou*? Diogenesie! To nie było *vôdou*, tylko *obeah*. Jest różnica, wiesz? No, ale ty przecież wiesz. Dużo więcej od brata, he? Chociaż jemu także to nie jest obce, nieprawdaż? – I staruszka zaczęła złośliwie chichotać.
 - Mówiliśmy o trupie... – podjął zachęcająco Pendergast.
 - Rzeczywiście było coś dziwnego. Do języka miała przypięte małe *gri-gri*... *oanga*.
 - *Oanga*? Chyba sporo wiesz o *obeah*, ciociu Cornelio.
- Nagle ciotka Cornelia stała się czujna.
- Słyszysz się, jak służba gada. Poza tym zabawne, że akurat ty to mówisz. Myślisz, że zapomniałam o twoim małym... powiedzmy, eksperymencie?... i niefortunnej reakcji, którą wywołał w *mobile vulgus*...
 - Opowiedz mi o *oanga*. – Przerwał jej Pendergast, rzuciwszy przelotne spojrzenie w stronę D'Agosty.
 - Proszę bardzo. Podobno *oanga* to fetysz przedstawiający szkielet lub trupa, nasączony wywarem sporządzonym z popiołu otrzymanego w Środę Popielcową, żółci maciory, wody z kuźni, w której hartowano żelazo, krwi dziewiczej myszy i mięsa aligatora.
 - W jakim celu?
 - Żeby wyciągnąć duszę ze zmarłego, zmienić go w niewolnika. Zombie. Kto jak kto, ale ty powinienesz to wiedzieć, Diogenesie!
 - Jednak wolałbym to usłyszeć od ciebie, ciociu Cornelio.
 - Po pogrzebie zmarły ma powrócić jako niewolnik osoby, która założyła *oanga*. I wiesz co? Sześć miesięcy później tamten chłopiec zmarł na Iberville Street... znaleziono go uduszonego w zawiązanym worku... i ludzie mówili, że dopadł go zombie panny Marie, bo chłopiec zwędził pranie pani Ducharme. A wtedy otworzyli grób panny Marie i zobaczyli, że jest pusty, podobno. Nie muszą dodawać, że Ducharme'owie zostali zwolnieni. Nie można pozwolić, żeby służba przynosiła wstyd w porządnym domu.

– Czas się skończył, panie Pendergast. – Lekarz wstał z wymowną miną. Strażnicy zerwali się na nogi i zajęli miejsca po obu stronach fotela inwalidzkiego. Lekarz skinął głową, a strażnicy zaczęli obracać fotel.

Nagle ciotka Cornelia odwróciła głowę i wbiła spojrzenie w D'Agostę.

– Byłeś dzisiaj strasznie milczący, Ambergis. Kot ci odgryzł język? Następnym razem koniecznie przygotuję ci trochę moich pysznych kanapeczek z rzeżuchą. Twoja rodzina zawsze za nimi przepadała.

D'Agosta mógł tylko kiwnąć głową. Lekarz otworzył drzwi przed strażnikami.

– I miło było znowu cię zobaczyć, Diogenesie – rzuciła ciotka Cornelia przez ramię. – Zawsze byłeś moim ulubieńcem, wiesz? Tak się cieszę, że w końcu coś zrobiłeś z tym swoim okropnym okiem.

Kiedy wyjechali za bramę i reflektory rolls-royce'a przebijały się przez dryfujące warstwy mgły, D'Agosta nie mógł dłużej wytrzymać.

– Przepraszam, Pendergast, ale muszę zapytać: ty chyba nie wierzysz w te kawałki z *oanga* i zombie?

– Mój drogi Vincencie, ja w nic nie wierzę. Nie jestem księdzem. Zajmuję się dowodami i możliwościami, nie wiarą.

– Tak, wiem. Ale sam rozumiesz, Noc Żywych Trupów? Wykluczone.

– To dość kategoryczne stwierdzenie.

– Ale...

– Ale co?

– Dla mnie to jasne, że ktoś próbuje nam zamydlić oczy tymi bzdurami voodoo, żebyśmy szukali wiatru w polu.

– Jasne? – powtórzył jak echo Pendergast, lekko unosząc prawą brew.

D'Agosta rzucił z irytacją:

– Słuchaj, ja tylko chcę wiedzieć, czy według ciebie istnieje choćby najmniejsza możliwość, że mamy do czynienia z prawdziwymi zombie. To wszystko.

– Wolałbym się nie wypowiadać na ten temat. Jednak pragnąłbym ci przypomnieć pewien cytat z *Hamleta*.

– A jaki?

– „Więcej jest rzeczy na ziemi i w niebie...”*. Czy muszę kontynuować?

– Nie. – D'Agosta rozsiadł się wygodnie w miękkim skórzanym fotelu, rozmyślając, że czasami lepiej zostawić Pendergasta w spokoju, zamiast go naciskać, żeby wyraził swoją opinię.

* Szekspir, *Hamlet*, przeł. Józef Paszkowski.

23.

Następnego ranka o dziewiątej Nora szybko przeszła długim korytarzem na czwartym piętrze muzeum, ze starannie spuszczonej oczami mijając drzwi do pokoiów kolegów. Czuła się jak pod pręgierzem, ale przynajmniej nie wybiegali już do niej wszyscy, jak w poprzednich dniach.

Dotarła do swojego gabinetu, przekręciła klucz w zamku, weszła i zamknęła za sobą drzwi. Odwróciła się i na tle okna zobaczyła sylwetkę agenta specjalnego Pendergasta, który niedbale kartkował jakąś monografię. W kącie w wyściełanym fotelu siedział D'Agosta z podkrążonymi oczami.

Agent podniósł wzrok.

– Proszę wybaczyć to najście, ale nie chciałem, żeby mnie widziało, jak kręcę się po korytarzach muzeum. Ze względu na pewne dawne historie komuś mogłaby nie odpowiadać moja obecność.

Nora rzuciła plecak na biurko.

– Mam wyniki.

Pendergast powoli odłożył monografię.

– Wyglądasz na bardzo zmęczoną.

– Mniejsza z tym.

Po wyprawie do Inwood zdążyła złapać parę godzin niespokojnego snu, ale i tak musiała wstać w środku nocy, żeby dokończyć elektroforezę żelową DNA.

– Można? – Pendergast wskazał drugie puste krzesło.

– Proszę.

Pendergast usiadł.

– Powiedz mi, co znalazłaś.

Nora wyciągnęła z plecaka teczkę i położyła na stole.

– Zanim to wam dam, muszę coś powiedzieć. Coś ważnego.

Pendergast skłonił głowę.

– Poprzedniej nocy, kiedy wykonywałam wstępne badanie PCR, Fearing pokazał twarz w oknie laboratorium. Ścigałam go przez korytarz do jednego z magazynów.

Pendergast przyjrzał jej się uważnie.

– Jesteś pewna, że to był Fearing?

– Mam dowód.

– Nie powinnaś go ścigać – oświadczył ostro agent. – Postąpiłaś nierozsądnie. Co się stało?

– Wiem, że to było strasznie głupie. Zareagowałam instynktownie, bez zastanowienia. On chciał mnie wywabić z laboratorium PCR. Miał nóż i dopadł mnie w magazynie. Gdyby nie przyszedł strażnik... – Nie dokończyła zdania.

D'Agosta poderwał się z krzesła jak na sprężynach.

– Skurwysyn – warknął przez zęby.

– A ten dowód? – zapytał Pendergast.

Nora uśmiechnęła się ponuro.

– Skaleczyłam go kawałkiem szkła i zbadalam próbkę krwi. Owszem, to Fearing. – Otworzyła teczkę, wyjęła zdjęcia z elektroforezy i pchnęła w stronę agenta. – Popatrz.

Pendergast wziął zdjęcia i zaczął je przeglądać.

– Podsumowując – podjęła Nora – krew dwóch osób znajdowała się w próbkach uzyskanych z... mojego mieszkania.

Jedna to mojego męża. Drugą nazwę X. Próbka X idealnie pasowała do mitochondrialnego DNA matki Fearinga. I była identyczna z próbką krwi osoby, która napadła na mnie w magazynie. Co dowodzi, że X to Fearing.

Pendergast powoli kiwnął głową.

– Cały czas to mówiłem – oświadczył D'Agosta. – Ten skurwysyn ciągle żyje. Siostra albo się pomyliła, albo raczej skłamała przy identyfikacji zwłok... nic dziwnego, że zniknęła. A lekarz sądowy dał plamę.

Pendergast w milczeniu oglądał zdjęcia.

– Możesz je zatrzymać – powiedziała Nora. – Mam drugi komplet. I mam próbki schowane na dnie lodówki w laboratorium PCR, gdybyście potrzebowali jeszcze czegoś. Oczywiście z fałszywymi oznaczeniami.

Pendergast wsunął zdjęcia z powrotem do teczki.

– Noro, ogromnie nam pomogłaś. A ja robię sobie gorzkie wyrzuty, że naraziłem cię na niebezpieczeństwo. Nie przewidziałem tego ataku, zwłaszcza w muzeum, i bardzo cię przepraszam. Odtąd przestajesz się zajmować tą sprawą. Sami to załatwimy. Dopóki morderca nie zostanie schwytany, musisz bardzo na siebie uważać. Koniec z przesiadaniem po nocach w muzeum.

Nora spojrzała w srebrzyste oczy agenta.

– Mam dla was więcej informacji.

Jedna brew uniosła się pytająco.

– Przejrzałam ostatnie artykuły Billa. Pracował nad serią o maltretowaniu zwierząt w Nowym Jorku: walki kogutów, walki psów... i ofiary ze zwierząt.

– Doprawdy?

– W Inwood jest małe osiedle nazywane Ville. Położone w głębi Inwood Hill Park, odcięte od reszty miasta. Podobno kilku mieszkańców Indian Road skarżyło się, że słyszą głosy torturowanych zwierząt w Ville. Zaalarmowano Stowarzyszenie Ludzie dla innych Zwierząt... ich rzecznik, niejaki Esteban, kilkakrotnie wypowiadał się przeciwko takim praktykom. Policja przeprowadziła pobieżne dochodzenie, ale niczego nie udowodniono. W każdym razie Bill badał tę sprawę. Napisał jeden artykuł i pracował nad następnymi. Zdaje się, że swój... no,

ostatni wywiad przeprowadził z mieszkanką Inwood, jedną z osób, które zgłaszały skargi. Nazywa się Pizzetti.

D'Agosta robił notatki.

Niemal entuzjastyczny błysk w oku Pendergasta zdradził jej, że te nowiny wzbudziły jego wielkie zainteresowanie.

– Ville – powtórzył.

– Wygląda na to, że przyda się następny nakaz rewizji – mruknął D'Agosta.

– Pojechałam tam wczoraj wieczorem – wyznała Nora.

– Jezu, Nora! – zawołał D'Agosta. – Nie możesz robić takich rzeczy. Pozwól nam to załatwić.

Nora ciągnęła, jakby nie usłyszała:

– Nie weszłam do samego osiedla, które chyba ma tylko jedną drogę dojazdową. Podeszłam od południa, od wysokiej grani w parku z widokiem na Ville.

– Co zobaczyłaś?

– Nic, tylko grupkę rozsypujących się budynków. Oprócz kilku światełek żadnych śladów życia. Upiorne miejsce.

– Sprawdzę to, pogadam z tą Pizzetti – obiecał D'Agosta.

– W każdym razie ponieważ skojarzyłam sobie, że te dziwne rzeczy: małe fetysze, napisy wykonane kurzem... zaczęły się pojawiać pod naszymi drzwiami właśnie w tym czasie, kiedy Bill opublikował swój pierwszy artykuł o Ville. Nie wiem dokładnie jak i dlaczego, ale podejrzewam, że mieszkańcy tego osiedla są w to zamieszani.

– Do rzekomego samobójstwa Fearinga doszło niedaleko tamtego miejsca – zauważył D'Agosta. – Na moście zwodzonym w Spuyten Duyvil, obok Inwood Hill Park.

– To niezwykle ważna informacja, Noro – oświadczył Pendergast, wpatrując się w kobietę. – Teraz posłuchaj. Bardzo cię proszę, żebyś zaprzestała dalszych dochodzeń. Zrobiłaś już więcej niż dosyć. Popęniłem okropny błąd, kiedy cię poprosiłem o pomoc przy sprawdzaniu

DNA... chyba śmierć twojego męża odebrała mi rozsądek.

Nora odwzajemniła spojrzenie.

– Przepraszam, ale już jest o wiele za późno, żeby mnie powstrzymać.

Pendergast się zawahał.

– Nie możemy jednocześnie chronić cię i rozwiązywać sprawy morderstwa twojego męża.

– Potrafię sama się o siebie troszczyć.

– Nalegam, żebyś posłuchała mojej rady. Straciłem już jednego przyjaciela w Billu... nie chcę stracić następnego.

Jeszcze przez chwilę patrzył jej w oczy. Potem podziękował jej ponownie za wyniki testu DNA, kiwnął głową na pożegnanie i wyszedł za D'Agostą.

Nora stała przy biurku i słuchała, jak ich kroki cichną w oddali. Przez chwilę nic nie robiła, tylko w roztargnieniu stuknęła ołówkiem o blat biurka. Potem podniosła słuchawkę telefonu i wybrała numer Caitlyn Kidd.

– Mówi Nora Kelly – powiedziała, kiedy reporterka odebrała telefon. – Mam dla ciebie kilka informacji. Spotkajmy się dzisiaj o północy na rogu Indian Road i Zachodniej Dwieście Czternastej Ulicy.

– Dwieście Czternastej? – zdziwiła się reporterka. – Co tam jest?

– Pokażę ci sensację... wielką sensację.

24.

D'Agosta rozsiadł się w głębokim skórzanym fotelu rollsa, kiedy Proctor wyjechał z Museum Drive i ruszył na północ Central Park West. Pendergast wyjął coś z kieszeni czarnego garnituru i detektyw ze zdumieniem rozpoznał iPhone'a.

– Chryste, ty też?

Agent zaczął szybko stukać w ekran długimi białymi palcami.

– Okazał się zadziwiająco przydatny.

– Co zrobimy z Norą? – zapytał D'Agosta. – To oczywiste, że cię nie posłucha.

– Zdaje sobie z tego sprawę. To bardzo zdecydowana osoba.

– Nie rozumiem, dlaczego ten facet... Fearing czy nie... napastuje Norę. W końcu już raz się wywinął po zabiciu Smithbacka. Po co ryzykować drugi raz?

– Najwyraźniej Fearing zamierzał zabić ich oboje. Moim zdaniem wiadomość jest całkiem jasna: jeśli się wtrącasz w nasze sprawy, zabijemy nie tylko ciebie, ale też twoją rodzinę. – Pochylił się do przedniego siedzenia. – Proctor? Proszę na Wschodnią Sto Dwudziestą Siódmą Ulicę dwieście czterdzieści cztery.

– Dokąd jedziemy? – zapytał D'Agosta. – To hiszpański Harlem.

– Zrobimy coś w sprawie Nory.

D'Agosta chrząknął.

– Zaczęliśmy pracować nad materiałem dowodowym Kline'a.

– Ach – powiedział Pendergast. – No i?

– Zdoylem parę rzeczy obciążających Kline'a... okazuje się, że całe to afrykańskie gównno, które wytaszczyliśmy z jego biura, pochodzi z osiemnastego i dziewiętnastego wieku, z kultury Joruba, jest warte majątek. Wyobraź sobie: wszystko jest związane z wymarłą religią Sevi Lwa, bezpośrednim przodkiem voodoo, która dotarła na wyspy razem z niewolnikami z Afryki Zachodniej.

Pendergast nie odpowiedział. Przez jego twarz przemknął wyraz zaskoczenia, zanim powróciła wystudiowana obojętność.

– To nie wszystko. Komendant zainteresował się naszym śledztwem w sprawie tego drania. Chce się ze mną widzieć dziś po południu.

– Ach.

– Co to znaczy „ach”? Z tego wynika, że Kline dużo wie o voodoo... tak dużo, że wydaje miliony na sztukę voodoo. Masz swój związek!

– Istotnie – przytaknął enigmatycznie Pendergast.

Zirytowany D'Agosta opadł na oparcie fotela. Dziesięć minut później rolls skręcił z Lenox Avenue i pojechał Sto Dwudziestą Siódmą Ulicą w stronę East River. Zatrzymał się przed maleńką witryną sklepową z szyldem ręcznie wymalowanym odblaskowymi farbami, zwieńczonym wizerunkiem otwartego oka.



Blanche de Grimoire la Magie

Niżej wisiały na hakach małe drewniane tabliczki:

LES POUPÉES VAUDOU

MAGIE NOIR

MAGIE ZWARTE, MAGIE ROUGE
SORCELLERIE, HEXEREI MAGIE
RITUEL DE PROSPÉRITÉ FORMULES ET POTIONS MAGIQUES

Przez brudną szybę wystawową bieгло długie pęknięcie zalepione taśmą klejącą. Resztę wystawy niemal całkowicie przesłaniały dziwaczne wiszące przedmioty – pęczki włosów, piór, skóry, płótna, słomy oraz innych, trudniejszych do rozpoznania i dość obrzydliwych substancji.

D'Agosta popatrzył na sklep.

- Żartujesz, no nie?
- Prowadź, drogi Vincencie.

D'Agosta wysiadł pierwszy, Pendergast za nim. Drzwi sklepu otworzyły się ze skrzypieniem zardzewiałych zawiasów, wprawiając w ruch dzwoneczki. Nozdrza detektywa natychmiast wypełnił duszący, przesłodzony zapach paczuli, drewna sandałowego, ziół i zepsutego mięsa. Wiekowy Afroamerykanin podniósł na niego wzrok zza kontuaru. Miał mocno skręcone siwe włosy i pomarszczoną twarz poznaczoną śladami po ospie. Na widok Pendergasta w czarnym garniturze mężczyzna przybrał nieprzenikniony wyraz twarzy, jakby zatrzasnął drzwi.

– Czym mogę służyć? – Bezbarwny ton i puste spojrzenie bynajmniej nie wyrażały gotowości do służenia.

– Czy pan jest monsieur Ravel, mistrz *obeah*?

Starzec nie odpowiedział.

– Jestem Aloysius Pendergast z nowoorleańskich Pendergastów. Bardzo mi miło pana poznać – oświadczył agent swoim najlepszym nowoorleańskim akcentem.

Podszedł z wyciągniętą ręką. Starzec popatrzył na jego dłoń niewzruszony.

– Pendergast, dawniej z Maison de la Rochemoire, Dauphine Street – ciągnął agent. Jego wyciągnięta dłoń nawet nie drgnęła. D'Agosta patrzył z podziwem, jak szybko Pendergast potrafi przybrać zupełnie

nową osobowość. Teraz sprawiał wrażenie życzliwego, ekscentrycznego nowoorleańskiego arystokraty.

– Maison de la Rochenoire? – Błysk rozpoznania mignął w przekrwionych oczach. – Ten, którego spalono w siedemdziesiątym pierwszym?

Pendergast pochylił się do przodu i powiedział zniżonym głosem:

– *Oi chuso! Dios aei enpiptousi.*

Długie milczenie, a potem Ravel podniósł ogromną rękę. Pendergast uściśnął mu dłoń.

– Witam.

– To mój znajomy, pan D'Agosta.

Starzec skłonił głowę.

– Tamci... to oszuści – podjął Pendergast. – Złodzieje i naciągacze. Pan... pan jest inny. Wiem, że mogę polegać na pańskim doświadczeniu i towarze.

Starzec przytaknął bez słowa, ale D'Agosta widział, że komplement został przyjęty z niechętnym zadowoleniem.

– Mogę? – Pendergast gestem bladej dłoni wskazał wewnątrz sklepu.

– Proszę oglądać, ale nie dotykać.

– *Naturellement.*

Kiedy Pendergast rozpoczął zwykłą niespieszną przechadzkę, z rękami splecionymi za plecami, zaglądając wszędzie, D'Agosta rozejrzał się po sklepie. Wypełniały go zawieszane na haczykach zawiniątka; szafki sięgające od podłogi do sufitu z setkami małych szufladek; flaszeczki perfum; puszki i pudełeczka; półki z butelkami i słoiczkami zawierającymi zioła, kolorowe ziemie, płyny, skręcone korzenie i zasuszone owady. Wszystko opatrzone maleńkimi etykietkami starannie wykaligrafowanymi po francusku.

Pendergast zwrócił się do sklepiarza.

– Imponujące. A teraz, monsieur Ravel, muszę dokonać zakupu. Dość niefortunnego zakupu. Niestety, mój przyjaciel stał się celem *magie noir*. Pragnę się przygotować, sporządzić *arrêt*.

– Proszę wymienić składniki, a ja je przyniosę. – Ravel postawił na kontuarze ciasno pleciony koszyk.

– Liść *bois-caca*.

Starzec wyszedł zza kontuaru, sięgnął wysoko do szuflady, wyciągnął ją, wyjął pomarszczony liść i włożył do koszyka. Okropnie zaśmierdziało.

– Kości białego kogucika i ciało dorosłego koguta zmiażdżone razem z piórami.

Następna szybka dostawa z ciemnego kąta sklepu.

D'Agosta obserwował ten proces z narastającym niedowierzaniem. Pendergast zachowywał się trochę dziwnie. Detektyw zastanawiał się, czy to miało coś wspólnego z przedłużoną wycieczką agenta do Tybetu zeszłego lata albo trudnym rejssem oceanicznym. A może po prostu objawiła się jeszcze jedna ukryta strona osobowości Pendergasta, której D'Agosta wcześniej nie poznał.

– Zęby aligatora i *champagne verte*.

Mała fiolka płynu została dodana do rosnącej kupki.

– Sproszkowane ludzkie kości.

Ravel zawahał się, wyszedł na zaplecze i wrócił z małą rozkładaną drabiną. Sięgnął nad jedną szafkę i wy dobył celofanową paczuszkę z rodzaju tych, jakich używają handlarze narkotyków. Wypełniał ją proszek barwy kości słoniowej. Ravel włożył ją do koszyka, nie odrywając spojrzenia od Pendergasta.

– Woda, w której obmywano trupa.

Dłuższa przerwa, zanim Ravel wrócił z żądanym przedmiotem.

– Woda święcona.

Ravel przystanął i popatrzył na Pendergasta. Potem znowu wyszedł na zaplecze i przyniósł małą ampulkę.

– To wszystko, mam nadzieję?

– Jeszcze jedna rzecz.

Ravel czekał.

– Poświęcona hostia.

Ravel posłał mu długie, twarde spojrzenie.

– Monsieur Pendergast, zdaje się, że pański przyjaciel... ma do czynienia z czymś trochę bardziej niebezpiecznym niż zwykła czarna magia.

– To prawda.

– Chyba to dla mnie za wiele, monsieur.

– Tak bardzo liczyłem, że pan mi pomoże. Życie mojego przyjaciela jest w niebezpieczeństwie... poważnym niebezpieczeństwie.

Ravel ze smutkiem popatrzył na Pendergasta.

– Zdaje pan sobie sprawę z konsekwencji, monsieur, jeśli zastosuje pan *envoi morts arrêté*?

– Zdaję sobie sprawę.

– Widocznie ten przyjaciel jest panu bardzo drogi.

– Przyjaciółka.

– Ach, rozumiem. Ta... hostia, o którą pan prosił, będzie kosztować.

– Cena nie gra roli.

Ravel spuścił oczy i jakby namyślał się przez długą chwilę. Potem z przeciągłym westchnieniem odwrócił się i zniknął w bocznych drzwiach. Po kilku minutach wrócił, niosąc mały szklany dysk wykonany z dwóch dużych szkiełek do zegarków złączonych i spojonych srebrną obwódka. W środku znajdował się pojedynczy opłatek. Ravel ostrożnie włożył dysk do koszyka.

– To będzie tysiąc dwieście dwadzieścia dolarów, monsieur.

D'Agosta patrzył z niedowierzaniem, jak Pendergast wsuwa rękę do kieszeni, wyjmuje gruby plik szeleszczących banknotów i odlicza należność.

Kiedy tylko znaleźli się z powrotem w rollisie, Pendergast z koszykiem na kolanach, D'Agosta wybuchnął:

– Co to miało znaczyć, do cholery?!

– Ostrożnie, Vincencie, nie potrać zakupów.

– Nie wierzę, że właśnie wyrzuciłeś tysiąc dolców na te kretyńskie czary-mary.

– Mam wiele powodów i jeśli opanujesz emocje, wszystko ci wytłumaczę. Po pierwsze, potwierdziliśmy naszą *bona fide* wobec monsieur Ravela, który w przyszłości może się okazać ważnym źródłem informacji. Po drugie, osobnik prześladowający Norę może wierzyć w *obeah*, toteż *arrêt*, który zrobimy, może go odstraszyć. Po trzecie – zniżył głos – nasz *arrêt* może zadziałać.

– Zadziałać? To znaczy jeśli Norę ściga prawdziwy zombi? – D'Agosta z niesmakiem pokręcił głową.

– Preferuję nazwę *envoi mort*.

– Wszystko jedno. Przecież to śmieszne. – D'Agosta popatrzył na Pendergasta. – Powiedziałeś temu facetowi, że twój dom w Nowym Orleanie został spalony przez motłoch. Twoja ciotka Cornelia też o tym wspominała. Czy tam się dowiedziałeś o voodoo i *obeah*? Zajmowałeś się tym głównem w młodości?

– Wolałbym nie odpowiadać. Zamiast tego zadam ci pytanie: słyszałeś kiedyś o zakładzie Pascala?

– Nie.

– Zdeklarowany ateista leży na łożu śmierci. Nagle prosi o księdza, żeby się wyspowiadać i otrzymać rozgrzeszenie. Czy zachowuje się logicznie?

– Nie.

– Przeciwnie: nie ma znaczenia, w co on wierzy. Ateista nagle uświadamia sobie, że jeśli istnieje choćby najmniejsza szansa, iż się mylił, powinien postępować tak, jakby Bóg istniał. Jeśli Bóg istnieje, Pascal pójdzie do nieba zamiast do piekła. Jeśli Boga nie ma, Pascal nic nie traci.

– Wydaje mi się to dość wyrachowane.

– To zakład z nieskończoną wygraną i bez przegranej. Dodam, że każdy człowiek musi wziąć udział w tym zakładzie. Nie ma wyboru. Zakład Pascala: logika jest nieskazitelna.

- Co to ma wspólnego z Norą i zombie?
- Z pewnością zauważysz logiczny związek, jeśli przez chwilę się zastanowisz.

D'Agosta skrzywił się, pomyślał przez chwilę i wreszcie chrząknął.

- Chyba rozumiem, o co ci chodzi.
- W takim razie: doskonale. Zwykle nie mam zwyczaju się tłumaczyć, ale dla ciebie czasami robię wyjątek.

D'Agosta wyjrzał przez okno na hiszpański Harlem przesuwaną się za szybą. Potem znowu odwrócił się do Pendergasta.

- Co takiego powiedziałeś?
- Słucham?
- Do sklepikarza. Powiedziałeś coś do niego w obcym języku.
- Ach tak. *Oi chusoi Dios aei enpiptousi...* Bóg zawsze gra obciążonymi kośćmi.

I agent, uśmiechając się kącikiem ust, rozparł się w fotelu.

25.

Rocker przyjął D'Agostę natychmiast, po niecałej minucie, jak tylko detektyw zjawił się w sekretariacie gabinetu komendanta na najwyższym piętrze głównego posterunku policji. D'Agosta wziął to wezwanie za dobry znak. Zabójstwo Smithbacka stało się głośne – bardzo głośne – i nie wątpił, że Rocker śledzi z zainteresowaniem jego postępy w tej sprawie. Mijając Alice, asystentkę Rockera, sympatyczną babcię ze strzechą siwych włosów, uśmiechnął się do niej i mrugnął. Nie odwzajemniła uśmiechu.

D'Agosta wkroczył do okazałego, wyłożonego dębową boazerią gabinetu, wyposażonego we wszystkie atrybuty władzy: ogromne mahoniowe biurko obite zieloną skórą, perski dywan, meblowanie solidne i tradycyjne. Jak sam Rocker.

Rocker stał już przy oknie i nie odwrócił się po wejściu D'Agosty. Ani też, co nietypowe, nie zaprosił detektywa do zajęcia miejsca na jednej z miękkich sof foteli ustawionych wdzięcznym półkolem naprzeciwko biurka.

D'Agosta odczekał chwilę, zanim zaryzykował ciche:

– Panie komendancie?

Rocker odwrócił się z rękami splecionymi za plecami. Na widok jego poczerwieniałej twarzy D'Agosta poczuł nagły ucisk w żołądku.

– Więc co to za historia z Kline'em? – zapytał nagle.

D'Agosta szybko uzbroidł się wewnątrz.

– Jest związana z zabójstwem Smithbacka, panie komendancie.

– Zdaję sobie z tego sprawę – warknął przełożony. – Chciałbym wiedzieć, po co to brutalne przeszukanie? Zdemolowaliście biuro tego człowieka.

D'Agosta odetchnął głęboko.

– Pan Kline zastosował bezpośrednie, udowodnione groźby wobec Smithbacka krótko przed jego śmiercią. Jest pierwszy na liście podejrzanych.

– Więc dlaczego pan go nie oskarżył o grożenie zmarłemu?

– Groźby sformułowano bardzo ostrożnie, żeby nie naruszyć granicy prawa.

Komendant popatrzył na detektywa.

– I tylko tyle macie przeciwko Kline'owi? Zawołowane groźby wobec dziennikarza?

– Nie, panie komendancie.

Rocker czekał z ramionami założonymi na piersiach.

– Podczas nalotu zgarnęliśmy kolekcję sztuki zachodnio-afrykańskiej Kline'a... sztuki, którą można bezpośrednio powiązać ze starą religią voodoo. Podobne przedmioty znaleziono na miejscu zbrodni i ciele ofiary.

– Podobne? Myślałem, że to były maski.

– Tak, maski, ale z tej samej tradycji. Zwróciliśmy się do eksperta z muzeum nowojorskiego, żeby je zbadał.

Przełożony wpatrywał się w detektywa zmęczonymi, zaczerwienionymi oczami. Zwykle nie bywał taki opryskliwy. Jezu, pomyślał D'Agosta, Kline dobrał się do Rockera. Jakimś sposobem do niego dotarł.

Wreszcie Rocker się odezwał:

– Pytam jeszcze raz: to wszystko?

– Facet rzucał groźby, kolekcjonuje sztukę voodoo... uważam, że to solidne podstawy.

– Solidne? Poruczniku, powiem panu, co macie. Gównu macie.

– Z całym szacunkiem, panie komendancie, nie zgadzam się. – D'Agosta nie zamierzał ustąpić. Cały jego zespół go popierał.

– Nie rozumie pan, że mamy do czynienia z jednym z najbogatszych ludzi na Manhattanie, przyjacielem burmistrza, filantropem znanym w całym mieście, zasiadającym w radach nadzorczych tuzina największych firm? Nie może pan demolować jego biura bez cholernie ważnego powodu!

– To dopiero początek. Uważam, że mamy wszelkie podstawy, żeby kontynuować dochodzenie. – D'Agosta starał się mówić tonem spokojnym, neutralnym, ale stanowczym.

Komendant spiorunował go wzrokiem.

– Powiem tyle: dopóki nie przyłapiecie faceta z dymiącym pistoletem w ręku... dosłownie dymiącym... musicie się wycofać. Ta rewizja była niepotrzebna. To było nękanie. I niech pan nie udaje niewiniątka. Ja też kiedyś pracowałem w zabójstwach tak jak pan. Wiem, dlaczego wyróciliście mu biuro do góry nogami, i nie pochwalam takich metod. Nie robi się nalotów na znanego, szanowanego członka społeczeństwa.

– To gnojek.

– Właśnie o takiej niewłaściwej postawie mówię, D'Agosta. Nie zamierzam pana pouczać, jak prowadzić śledztwo w sprawie zabójstwa, ale zanim następnym razem wyciągnie pan coś takiego na Kline'a, radzę się zastanowić. – Zmierzył detektywa długim, twardym spojrzeniem.

– Tak jest, panie komendancie. – D'Agosta powiedział już, co miał do powiedzenia. Nie ma sensu dalej prowokować szefa.

– Nie odsuwam pana od zabójstwa Smithbacka. Jeszcze nie. Ale będę miał pana na oku. I proszę więcej nie szaleć.

– Tak jest.

Komendant odprawił go gestem i odwrócił się znowu do okna.

– Wynos się pan.

26.

Chociaż nowojorską bibliotekę publiczną zamknięto przed dziećmi, Pendergast miał specjalne przywileje i nigdy nie przejmował się oficjalnymi godzinami otwarcia. Rozejrzył się z aprobatą po pustych rzędach stołów w rozległej głównej czytelni; kiwnął głową strażnikowi przy drzwiach, który wsadził nos głęboko w *Mont Saint Michel and Chartres*; potem zanurkował do recepcji i zszedł po stromych metalowych stopniach. Pokonał cztery kondygnacje i znalazł się w niskiej piwnicy, która zdawała się ciągnąć bez końca, zapelniona od podłogi do sufitu szeregami książek ustawionych na regałach z kutego żelaza. Skręcił w poprzeczny korytarz i otworzył obskurne szare drzwi bez żadnych oznaczeń. Za nimi następne schody – wąskie i jeszcze bardziej strome – prowadziły dalej w dół.

Jeszcze trzy kondygnacje i Pendergast ujrzał przed sobą dziwaczny, na wpół zrujnowany księgozbiór. W słabym świetle stopy wiekowych, rozsypanych się książek wspierały się o siebie, żeby nie upaść. Wszędzie stały stoły zaśmiecone nieoprawionymi stronicami, żyłkami, słoikami kleju drukarskiego i innymi parafernaliami książkowej chirurgii. Ze wszystkich stron zasypane zadrukowanymi kartkami ciągnęły się w nieodgadnioną dal, tworząc labirynt literatury. Panowała głęboka cisza. Duszne, nieruchome powietrze pachniało kurzem i stęchlizną.

Pendergast położył zawiniątko, które przyniósł ze sobą, na najbliższym stosie i odchrząknął.

Cisza trwała jeszcze przez chwilę. Potem skądś z daleka dobiegło pospieszne dreptanie. Dźwięk powoli narastał. Wreszcie spomiędzy dwóch kolumn książek wyłonił się niziutki, przeraźliwie wychudzony staruszek. Górniczy hełm wieńczył strzechę jego siwych włosów.

Staruszek podniósł rękę i wyłączył lampę na czole.

– *Hypocrite lecteur* – powiedział głosem suchym i cienkim jak brzoza kora. – Spodziewałem się ciebie.

Pendergast skłonił się lekko.

– Interesujące nakrycie głowy, Wren – zauważył, wskazując na hełm. – Rozumiem, że to ostatni krzyk mody w kopalniach Wirginii Zachodniej.

Staruszek zaśmiał się cicho.

– Bawiłem się w grotolaza, jeśli można tak powiedzieć. A tam na dole, na antypodach, ciągle się trafia na przepalone żarówki.

Czy Wren naprawdę był zatrudniony w bibliotece publicznej, czy po prostu postanowił zamieszkać tutaj, na najniższym podpoziomie – trudno zgadnąć. Miał jednak niekwestionowany talent do ezoterycznych badań.

Pożądlivy wzrok Wrena spoczął na zawiniątku.

– A jaki prezencik mi dzisiaj przyniosłeś?

Pendergast wziął zawiniątko i wręczył staruszkowi. Wren chwycił je łapczywie, rozerwał opakowanie i odsłonił trzy książki.

– Wczesny Arkham House * – prychnął. – Niestety, nigdy nie przepadałem za literaturą grozy.

* Arkham House – wydawnictwo specjalizujące się w horrorach, założone w 1939 roku po śmierci H.P. Lovecrafta i nazwane na cześć fikcyjnego miasta opisanego przez tego autora, Arkham w Nowej Anglii.

– Przypatrz się uważniej. To najrzadsze, najcenniejsze wydania.

Wren obejrzał książki jedną po drugiej.

– Hm. Przedwydanie *Outsidera* * z próbną zieloną obwolutą. *Always Comes Evening...* ** – zdjął obwolutę, żeby obejrzeć okładkę – ...z

innym grzbietem. I oprawny w skórę *Shunned House...*^{***} z podpisem Barlowa na frontowej wklejce. Datowany w Mexico City, niedługo przed jego samobójstwem. Niezwykły egzemplarz. – Wren uniósł brwi i ostrożnie odłożył książki. – Ocenilem zbyt pochopnie. To naprawdę szlachetny dar.

* *The Outsider and Others* H.P. Lovecrafta – pierwsza książka wydana przez Arkham House w 1939 roku.

** *Always Comes Evening* – zbiór poezji Roberta E. Howarda wydany w 1957 roku przez Arkham House.

*** *The Shunned House (Nawiedzony dom)* – opowiadanie H.P. Lovecrafta, które miało być jego pierwszą opublikowaną książką. W 1928 roku Recluse Press wydrukowała 250 egzemplarzy, których jednak nie oprawiono. W 1959 roku do Arkham House trafiło około 150 egzemplarzy, z czego 50 sprzedano w takim stanie, a pozostałe oprawiono i wystawiono na sprzedaż w 1961 roku. *The Shunned House* uznawany jest za najrzadszą książkę wydawnictwa Arkham House.

Pendergast kiwnął głową.

- Cieszy mnie twoja aprobata.
- Od twojego telefonu zdążyłem zrobić wstępne rozeznanie.
- I?

Wren zatarł ręce.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że Inwood Hill Park ma taką interesującą historię. Czy wiesz, że do tej pory pozostał pierwotną puszcza? Albo że dawniej Isidor Straus miał tam swoją letnią posiadłość... dopóki nie zginął razem z żoną na „Titanicu”?

– Tak słyszałem.

– Niezła historia. Stary nie chciał wejść do szalupy ratunkowej przed kobietami i dziećmi, a pani Straus nie chciała opuścić męża. W zastępstwie wsadziła do szalupy swoją pokojówkę i małżonkowie utonęli razem. Po ich śmierci „domek” w Inwood popadł w ruinę. Ale moje badania wykazują, że w poprzednich latach zamordowano dozorcę i doszło do innych nieszczęśliwych wypadków, które odstraszyły Strausów...

– A Ville? – wtrącił delikatnie Pendergast.
– To znaczy Ville des Zirondelles. – Wren się skrzywił. – Trudno sobie wyobrazić bardziej utajnione, zamknięte towarzystwo. Niestety, moje dochodzenie wciąż jest w powijakach... i szczerze wątpię, czy zdołam się dużo więcej dowiedzieć na ich temat.

Pendergast machnął ręką.

– Po prostu powiedz mi, co odkryłeś do tej pory.
– Proszę bardzo. – Wren złączył czubki dwóch kościstych palców, jakby zamierzał odliczać kolejne punkty. – Pierwszy budynek w Ville, jak teraz to nazywają, został podobno wzniesiony na początku lat czterdziestych osiemnastego wieku przez sektę religijną, która uciekła z Anglii, żeby uniknąć prześladowań. Wylądowali na północnym Manhattanie, gdzie znajduje się teraz park. Jak to się często zdarzało, ta grupka pielgrzymów miała więcej idealizmu niż pragmatyzmu. Byli mieszczuchami... pisarze, nauczyciele, jeden bankier... i bardzo naiwnie wyobrażali sobie, że mogą przeżyć na łonie natury. Zdaje się, że wyznawali dość szczególne poglądy na temat życia w społeczeństwie. Wierzyli, że cała społeczność powinna żyć i pracować razem jak jedna całość, więc kazali cieślom okrętowym zbudować ogromną konstrukcję z desek i miejscowego kamienia. Służyła jednocześnie za mieszkanie, miejsce pracy, kaplicę i fortecę.

Dotknął następnego palca.

– Ale kraniec wyspy, który wybrali na swoją osadę, okazał się skalisty i niegościnnie, nieodpowiedni pod uprawę ziemi czy hodowlę zwierząt... nawet gdyby osadnicy się na tym znali.

W okolicy nie było miejscowych Indian, żeby im doradzać... Wec-kquaesgeek i Lenapowie wynieśli się dużo wcześniej... a najbliższe europejskie osiedle znajdowało się na drugim końcu Manhattanu, w odległości dwóch dni drogi. Nowi osadnicy okazali się zaledwie przeciętnymi rybakami. W pobliżu znalazło się kilku farmerów, którzy zajęli już najlepsze ziemie, ale chociaż chętnie sprzedawali część plonów za

żywą gotówkę, nie zamierzali utrzymywać za darmo całej społeczności.

– Więc szybko zrozumieli głupotę swojego planu – mruknął Pendergast.

– Właśnie. Zaczęły się szemrania i wewnętrzne spory. Po kilku latach kolonia się rozproszyła, koloniści przenieśli się w inne miejsca Nowej Anglii albo wrócili do Europy, porzuciwszy budynek – świadectwo zawiedzionych nadziei. Ich przywódca... nie udało mi się ustalić jego nazwiska, ale to on wynajął statek i zakupił ziemię... przeprowadził się na południowy Manhattan i został farmerem džentelmenem.

– Co dalej? – ponaglił Pendergast.

– Przewijamy do przodu o sto lat. W roku tysiąc osiemset pięćdziesiątym ósmym albo pięćdziesiątym dziewiątym banda wyrzutek dotarła do Nowego Jorku z południa. Zgodnie z ówczesnymi relacjami była to różnorodna zbieranina. Przewodził im charyzmatyczny kaznodzieja z Baton Rouge, wielebny Misham Walker, który zebrał wokół siebie niewielką liczbę francuskich Kreolów, rzemieślników usuniętych poza nawias społeczności z powodów, których nie odkryłem, a także kilku niewolników z Indii Zachodnich. W drodze przyłączali się inni: Cajuni, kilku portugalskich heretyków oraz pewna liczba mieszkańców *bayou*, którzy uciekli z Brytanii oskarżeni o pogaństwo, druidyzm i czary. Nie praktykowali voodoo ani *obeah* w żadnym tradycyjnym sensie. Przeciwnie, to wyglądało na całkiem nowy system wierzeń, zbudowany z różnych kawałków dawnych kultów. Podróż z głębokiego południa do Nowego Jorku była najeżona trudnościami. Gdziekolwiek chcieli się osiedlić, miejscowi protestowali przeciwko rytuałom religijnym grupy; zmuszano ich, żeby jechali coraz dalej. Rozpuszczano ohydne plotki: że przybysze kradli dzieci, składali zwierzęta w ofierze, ożywiali zmarłych. Grupa była skryta z natury; traktowana w ten sposób stała się zamknięta. Wreszcie Walker i jego banda natrafili na odosobnioną budowlę na północnym krańcu Manhattanu, porzuconą przez religijnych pielgrzymów przed wiekiem, i przywłaszczyli ją sobie.

Zamurowali okna, wzmocnili ściany. Mówiono o wykurzeniu ich stamtąd, ale nic z tego nie wyszło poza kilkoma dziwaczными starciami opisanymi z zakłopotaniem przez miejscową prasę. Z biegiem lat Ville stawała się coraz bardziej odosobniona. Pendergast powoli skinął głową.

– A w bardziej współczesnych czasach?

– Od lat oskarżano ich o składanie zwierząt w ofierze. – Wren przerwał i po jego ustach przemknął ironiczny uśmiešek. – Podobno przestrzegali... przestrzegają celibatu. Jak szejkerzy*.

* Szejkerzy (*Shakers*) – protestancka grupa religijna propagująca celibat.

Brwi Pendergasta podjechały w górę ze zdziwienia.

– Celibat? A jednak przetrwali przez lata.

– Nie tylko przetrwali, ale najwyraźniej utrzymują tę samą liczebność: sto czterdzieści cztery osoby. Sami mężczyźni, wszyscy dorośli. Podobno rekrutują nowych członków. Dość energicznie w razie potrzeby i zawsze nocą. Rzekomo polują na ludzi zniechęconych do życia, niestabilnych psychicznie, wegetujących na obrzeżach społeczeństwa: idealnych kandydatów do przymusowej rekrutacji. Kiedy jeden członek umiera, muszą znaleźć następnego. No i są jeszcze plotki. – Ciemne oczy Wrena zabłyśły.

– Jakie plotki?

– Morderczy stwór grasujący po nocach. Zombie, jak mówią. – Syknął z rozbawieniem.

– A historia ziemi i budynków?

– Okoliczne grunty zostały zakupione przez nowojorski zarząd parków w tysiąc dziewięćset szesnastym roku. Zburzono kilka innych rozpadających się budynków w parku, ale Ville jakoś przeoczono. Zda się, że zarząd parków nie chce forsować tej sprawy.

– Rozumiem. – Pendergast spojrział na Wrena z dziwnym wyrazem twarzy. – Dziękuję, zrobiłeś doskonały początek. Tak trzymaj, jeśli można prosić.

Wren odwzajemnił spojrzenie, w jego ciemnych oczach płonęła ciekawość.

– O co właściwie chodzi, *hypocrite lecteur*? Dlaczego się tym interesujesz?

Pendergast nie odpowiedział od razu. Przez chwilę wydawał się nieobecny. Potem podniósł wzrok.

– Na razie przedwcześnie o tym mówić.

– Przynajmniej powiedz mi: czy interesujesz się tym... jakoś specjalnie?

Pendergast złożył następny lekki ukłon.

– Zawiadom mnie, kiedy odkryjesz coś więcej.

Po czym odwrócił się i rozpoczął długą wspinaczkę z powrotem na powierzchnię.

27.

Nora dodała ostatni wpis do swojej bazy danych próbek, potem zamknęła program, zapieczętowała torebkę ze skorupami i odłożyła na bok. Przeciągnęła się i spojrzała na zegarek. Dochodziła dziesiąta wieczorem, muzealne gabinety były ciche i czujne.

Rozejrzała się po swoim laboratorium: półki z artefaktami, teczki i papiery, drzwi zamknięte na klucz. Dzisiaj po raz pierwszy mogła się naprawdę skoncentrować i trochę popracować. Częściowo dlatego, że strumień współczujących kolegów pukających do jej drzwi wreszcie wysechł. Ale chodziło o coś więcej. O to, że robiła coś – coś konkretnego – w sprawie śmierci Billa. Sekwencjonowanie DNA dla Pendergasta stanowiło początek. Teraz jednak, tego wieczoru, zamierzała stanąć do walki z wrogiem.

Głęboko odetchnęła i powoli wypuściła powietrze. Dziwne, ale nie czuła strachu. Tylko ponurą determinację, żeby wyjaśnić do końca śmierć Billa, żeby przywrócić odrobinę ładu i spokoju w swoim rozbitym świecie.

Podniosła torbę ze skorupami i odłożyła na regał. Wcześniej po południu spotkała się ze swoim nowym szefem Andrew Getzem, kierownikiem wydziału antropologii. Zażądała pisemnej gwarancji – którą otrzymała – że muzeum sfinansuje jej ekspedycję do Utah następnego lata. Chciała mieć jakiś długoterminowy plan, cokolwiek, żeby ją podtrzymało na duchu podczas nadchodzącej długiej, mrocznej zimy.

Do jej uszu dobiegło bardzo słabe echo dziecięcych okrzyków w

korytarzu. Muzeum zaczęło przyjmować grupy uczniów na weekendowe imprezy z noclegiem w kilku ściśle strzeżonych salach. Nora pokręciła głową: zrobią wszystko, byle zarobić parę dolarów.

Echo zamarło i zastąpił je inny dźwięk: pojedyncze stuknięcie w drzwi.

Nora zeszywniała i odwróciła się w stronę dźwięku. Zadziwiające, jak szybko jej serce zaczęło łomotać o żebra. Ale niemal równie szybko napomniała się: Fearing by nie pukał.

Pukanie rozległo się ponownie. Nora odchrząknęła.

– Kto tam?

– Pendergast.

Tak, to był jego głos. Szybko podeszła do drzwi i otworzyła je. Agent stał w korytarzu, oparty o framugę, ubrany w czarny kaszmirowy płaszcz narzucony na zwykły czarny garnitur.

– Mogę wejść?

Kiwnęła głową i odsunęła się, żeby go przepuścić. Agent wśliznął się do środka i bladymi oczami szybko zlustrował laboratorium, zanim odwrócił się do niej.

– Jeszcze raz chciałem ci podziękować za pomoc.

– Nie dziękuj. Zrobię wszystko, żeby oddać zabójcę w ręce sprawiedliwości.

– Istotnie. O tym właśnie chciałem z tobą porozmawiać. – Zamknął drzwi i znowu odwrócił się do niej. – Chyba nie zdołam cię powstrzymać przed prowadzeniem śledztwa na własną rękę.

– Zgadza się.

– Prośby, żebyś zostawiła te sprawy zawodowcom... ostrzeżenia, że narażasz się na śmiertelne niebezpieczeństwo... zostaną puszczone mimo uszu.

Przytaknęła.

Przez chwilę przyglądał się jej uważnie.

– W takim razie musisz coś dla mnie zrobić.

– Co takiego?

Pendergast sięgnął do kieszeni, wyjął coś i wcisnął jej w rękę.

– Noś to na szyi przez cały czas.

Nora spuściła wzrok. Był to jakiś amulet sporządzony z piór i kawałeczka giemy zszytego w kulkę i przymocowanego do cienkiego złotego łańcuszka. Lekko nacisnęła giemzę: w środku wyczuła jakiś proszek.

– Co to jest? – zapytała.

– To *arrêt*.

– Co?

– Potocznie mówiąc, amulet odpędzający wroga.

Popatrzyła na niego.

– Chyba nie mówisz poważnie.

– Bardzo skuteczny przeciwko wszystkim z wyjątkiem najbliższej rodziny. I coś jeszcze. – Sięgnął do drugiej kieszeni i wyjął woreczek z czerwonej flaneli ściągnięty ciasno sznurkiem splecionym z różnokolorowych nici. – Noś to przy sobie, w kieszeni lub w torebce.

Nora zmarszczyła brwi.

– Agencie Pendergast... – Pokręciła głową. Nie wiedziała, co powiedzieć. Kto jak kto, ale Pendergast zawsze sprawiał wrażenie niezruszonej skały logiki i pragmatyzmu. A teraz wręczał jej amulety?

Patrzył na nią z błyskiem w oku, jakby czytał w jej myślach.

– Jesteś antropologiem – powiedział. – Czytałaś *Las symboli* Victora Turnera?

– Nie.

– A *Elementarne formy życia religijnego* Emile Durkheim?

Kiwnęła głową.

– Więc wiesz, że pewne rzeczy można analizować i kodyfikować... a pewnych rzeczy nie można. A skoro studiowałaś antropologię, z pewnością rozumiesz koncepcję fenomenologii.

– Tak, ale... – Urwała. – Ponieważ nasze umysły uwięzione są w

ciałach, nie możemy określić, co jest ostateczną prawdą... albo nieprawdą. Możemy najwyżej opisać, co widzimy.

– Mącisz mi w głowie...

– Na tej ziemi istnieje mądrość, Noro, tajemnicza, bardzo stara, której nie możemy kwestionować. Czy jest prawdziwa? Nieprawdziwa? Nie wiemy. Zatem zrobisz, o co cię proszę? Będziesz to nosić przy sobie?

Nora spojrzała na przedmioty, które trzymała w ręku.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Powiedz „tak”, proszę. Ponieważ to jedyny warunek, jaki dopuszczam.

Powoli kiwnęła głową.

– Doskonale. – Odwrócił się, żeby odejść, ale znowu obejrzał się na nią. – Doktor Kelly?

– Tak?

– Nie wystarczy tylko mieć te rzeczy. Trzeba jeszcze wierzyć.

– Wierzyć w co?

– Że podziwiają. Ponieważ osoby, które źle ci życzą, z pewnością wierzą.

I po tych słowach wyśliznął się z laboratorium, zamykając za sobą drzwi.

28.

Północ. Nora przystanąła na rogu Indian Road i Dwieście Czternastej Ulicy, żeby spojrzeć na mapę. Chłodne powietrze pachniało jesienią. Za niskimi blokami mieszkalnymi ciemne wierzchołki drzew w Inwood Hill Park rysowały się na tle rozgwieżdżonego nocnego nieba. Z braku snu kręciło jej się w głowie, niemal jakby wypiała coś mocniejszego.

Kiedy ślęczała nad mapą, Caitlyn Kidd z ciekawością zajrzała jej przez ramię.

Nora wepchnęła mapę z powrotem do kieszeni.

– Następna przecznica.

Ruszyły dalej po Indian Road. Była to spokojna ulica w dzielnicy mieszkalnej skąpana w żółtym świetle lamp sodowych. Po obu stronach wznosiły się ceglane budynki, brzydkie i ponure. Powoli przejechał jakiś samochód i skręcił w Dwieście Czternastą Ulicę, przesywając reflektorami ciemność. Od miejsca, gdzie Indian Road łączyła się z Dwieście Czternastą, odchodziła nieoznakowana droga, niewiele więcej niż opuszczony podjazd, prowadząca na zachód pomiędzy blokiem mieszkalnym a zamkniętą pralnią chemiczną. Przegradzał ją zardzewiały żelazny łańcuch przymocowany do starych żelaznych słupków wbitych po obu stronach. Nora powiodła wzrokiem wzdłuż wąskiej drogi, która mijała boiska baseballowe i znikwała w ciemnościach. Popękany asfalt odchodził całymi płatami od nawierzchni. Tu i ówdzie ze szpar wyrastały kępki trawy, a nawet młode drzewka. Nora jeszcze raz

spojrzała na świeżo wydrukowaną mapę – dzięki wcześniejszej wycieczce dobrze poznała najlepszą trasę.

– To tutaj.

Pochylone przelazły pod łańcuchem. Przed nimi stara droga mijala boiska, przecinała rozległą połąć nieużytków i znikala w lesie zarastającym Inwood Hill Park. Zachowało się tylko parę ulicznych latarni z kutego żelaza, niezapalonych; Nora podniosła wzrok i dostrzegła w szklanych kloszach dziury jakby po kulach.

Gdzieś w ciemnościach przed nimi leżała Ville.

Nora ruszyła przed siebie, a Caitlyn szybko ją dogoniła. Brukowana droga zwężała się, drzewa napierały z obu stron. Zapach wilgotnych liści przesycał powietrze.

– Zabrałaś latarkę, prawda? – upewniła się Caitlyn.

– Tak, ale wolałabym jej nie używać.

Alejka wznosiła się, początkowo łagodnie, potem stromo, aż na wzgórzu, skąd rozciągał się widok na autostradę Henry'ego Hudsona i Columbia's Baker Field. Przystanęły, żeby zorientować się w okolicy. Przed nimi ścieżka opadała w stronę zatoczki na rzece Harlem. Kiedy poszły dalej, Nora dostrzegła za zasłoną drzew skupisko nikłych żółtych światełek, odległe o jakieś ćwierć mili.

Caitlyn szturchnęła ją w bok.

– To jest to?

– Chyba tak. Chodź, sprawdzimy.

Po chwili wahania podjęły schodzenie ze wzgórza dróżką, która zataczała łuk, wykorzystując ukształtowanie terenu. Las zgęstniał, przesłaniając odległe światła miasta. Ucichł stłumiony pomruk samochodów na szosie. Dróżka znowu zakręciła i z przodu zamajaczyło coś ciemnego: wiekowe, powyginane ogrodzenie z siatki zagradzało dalszą drogę. Duża dziura w siatce została załatana drutem kolczastym. Pośrodku znajdowała się brama, do której przymocowano niezdarnie narzeczony ostrzeżenie:

Własność prywatna
Zakaz wstępu
Nie wchodzić

– To miejska ulica – oświadczyła Nora. – To nielegalne. Nie zapomnij o tym napisać w artykule.

– Chociaż właściwie to żadna ulica – zauważyła Caitlyn. – Zresztą cały ten kompleks nie jest do końca legalny. To dzicy osadnicy.

Nora obejrzała bramę z kutego żelaza. Czarna farba obłaziła, metal pod spodem miał wżery i bąble od rdzy. Górna krawędź bramy była najeżona kolcami, ale połowa kolców odpadła albo się ułamała. Nora zauważyła, że pomimo pozorów zaniedbania zawiasy są dobrze naoliwione, a kłódka i łańcuch całkiem nowe. Żaden dźwięk nie dochodził spomiędzy drzew.

– Łatwiej przeleźć przez siatkę niż przez bramę – oceniła Nora.

– Aha.

Żadna się nie poruszyła.

– Naprawdę myślisz, że to dobry pomysł? – zagadnęła Caitlyn.

Nora przejęła inicjatywę, zanim zdążyła się rozmyślić. Chwyliła zardzewiałą siatkę obiema rękami i zaczęła się wspinać jak najszybciej, wciskając palce nóg w otwory. Ogrodzenie miało około dziesięciu stóp wysokości. Wsporniki przy górnej krawędzi świadczyły, że niegdyś siatkę wieńczyły pasma drutu kolczastego, które już dawno znikły.

W ciągu pół minuty znalazła się po drugiej stronie. Zdyszana zeskończyła na miękkie liście.

– Twoja kolej – powiedziała.

Caitlyn wsunęła palce w oka siatki i rozpoczęła wspinaczkę. Nie była w takiej dobrej formie jak Nora, ale zdołała się wgramolić na szczyt i zjechała po drugiej stronie z cichym brzękiem metalu.

– Uff – sapnęła, strzepując z siebie liście i rdzę. Nora spojrzała w ciemność.

- Lepiej chodźmy przez las zamiast drogą – szepnęła.
- Nie zgłaszam sprzeciwu.

Ostrożnie, starając się nie hałasować, Nora zeszła z drogi na prawo, gdzie mroczny parów prowadził w dół wśród dębów aż na skraj polany. Słyszała za plecami niepewne kroki Caitlyn. Parów wkrótce zrobił się stromy i Nora zatrzymywała się kilkakrotnie, żeby się rozejrzeć. W lesie było ciemno, wiedziała jednak, że nie powinna używać latarki. Podejrzewała nie bez powodu, że mieszkańcy Ville mieli się na baczności przed intruzami i światło podskakujące w lesie zwróciłoby ich uwagę.

Spadek stopniowo złagodniał i wreszcie wyszły na płaski teren na skraju pola graniczącego z samą Ville. Drzewa nagle się skończyły. Dalej rozciągał się jałowy ugór, aż do tylnej ściany masywnego, wiekowego kościoła otoczonego – może nawet podtrzymywanego – przez mnóstwo chaotycznie nagromadzonych przybudówek. Zimny wiatr hulał na polu i Nora słyszała szelest zeschniętych chwastów.

- Mój Boże – wymamrotała Caitlyn stojąca obok.

Tym razem Nora podeszła do Ville z drugiej strony. Z bliska dziwaczna budowla wyglądała jeszcze bardziej prymitywnie. W bladym świetle odbitym od nocnego nieba Nora niemal rozróżniła ślady toporka na grubych belkach tworzących szkielet fortecy. Centralny kościół najwyraźniej budowano warstwa po warstwie, przy czym każda kolejna wysuwała się nieco nad poprzednią, tworząc odwrócony ziggurat, który wyglądał perwersyjnie i złowrogo. Okna w większości znajdowały się na wyższych piętrach. W te niezamurowane wstawiono szyby ze starego bladezielonego szkła okrętowego, chociaż niektóre zakryto ceratą albo woskowanym papierem. Z tak bliska Nora wyraźnie widziała za oknami pełgający odbłask świec. Jedno okienko – małe i kwadratowe – umieszczono na poziomie oczu, jakby akurat dla nich.

- Trudno uwierzyć, że takie miejsce wciąż istnieje na Manhattanie – zauważyła Nora.

- Trudno uwierzyć, że takie miejsce w ogóle istnieje. Co robimy?
- Czekamy. Zobaczymy, czy ktoś jest w pobliżu.
- Jak długo?
- Dziesięć, piętnaście minut. Wystarczy, żeby strażnik zrobił obchód, jeśli w ogóle jakiś jest. Potem możemy podejść bliżej. Zapisuj wszystko. Chcemy, żeby czytelnicy „West Sidera” dostali pełny obraz.

- Dobra – odparła Caitlyn drżącym głosem, ściskając w rękę notes.

Nora przygotowała się na czekanie. Kiedy zmieniła pozycję, zadrapał ją szorstki amulet na szyi. Wyciągnęła go i obejrzała. Wyglądał równie dziwnie jak fetysze, które zostawiano pod drzwiami jej mieszkania: pęczki piór, zawiniątka z giemy. Pendergast wymusił na niej obietnicę, że będzie go nosiła, że zawsze będzie miała przy sobie flanelowy woreczek. Chociaż pochodził z Nowego Orleanu, nie wyglądał na kogoś, kto wierzy w voodoo... prawda? Wsunęła amulet z powrotem pod koszulę, czując się trochę głupio, zadowolona, że reporterka nie zauważyła.

Słaby dźwięk obudził jej czujność. Rozległ się w ciemnościach, niskie buczenie jakby monstrialnej cykady, i dopiero po chwili się zorientowała, że dochodził z kościoła. Nabierał siły i wyrazistości: chóralny śpiew. Nie, nie śpiew, raczej śpiewna recytacja.

- Słyszysz to? – zapytała Caitlyn głosem pełnym napięcia.

Nora kiwnęła głową.

Dźwięk narastał, rozbrzmiewał coraz głośniejszy, nabierał coraz głębszej barwy. Wibrował, wznosił się i opadał w skomplikowanym rytmie. Nora zobaczyła, że Caitlyn zadrżała i ciasniej otuliła się kurtką.

Stopniowo melorecytacja przyspieszyła, stała się natarczywa. Dźwięk wznosił się coraz wyżej.

- Cholera, wcale mi się to nie podoba – poskarżyła się Caitlyn.

Nora objęła ramieniem reporterkę.

- Po prostu siedź cicho. Nikt nie wie, że tu jesteśmy. Nikt nas nie zobaczy w ciemności.

– Nie powinnam się zgodzić na tę wyprawę. To był zły pomysł.

Nora czuła, że reporterka dygocze. Zadziwiające, że sama się nie bała. Odkąd Bill zginął, była nie tyle nieustraszona, ile martwa dla strachu. Po jego śmierci co gorszego mogło ją spotkać? Własna śmierć byłaby dla niej tylko wyzwoleniem.

Recytacja nabierała coraz szybszego tempa, coraz większej gwałtowności. A potem w chór głosów wdarł się nowy dźwięk – beczenie kozy.

– O nie – jęknęła Nora. Mocniej objęła ramiona Caitlyn.

Następne żalosne beczenie. Chór skandował teraz szybko i głośno jak maszyna, jak ogromne buczące dynamo.

Jeszcze dwukrotnie przez chór przebiło się beczenie – bardziej piśkliwe, przestraszone. Nora wiedziała, na co się zanosi; chciała zatkać sobie uszy, ale nie mogła.

– Potrzebujemy świadka.

Zaczęła się podnosić, ale Caitlyn ją przytrzymała.

– Nie. Zaczekaj, błagam.

Nora odtrąciła ją.

– Przecież po to przyszliśmy.

– Błagam. Zobaczą cię.

– Nikt mnie nie zobaczy.

– Czekaj...!

Ale Nora już wstała i pędziła skulona przez pole. Stopy jej się ślizgały na wilgotnej trawie. Przywarła płasko do tylnej ściany starego kościoła; podkrađła się do małego żółtego okienka; odczekała chwilę, potem z walącym sercem zajrzała do środka.

Porcelanowy zlew, brązowy ze starości; stłuczony porcelanowy nocnik; sedes z popękanego drewna. Stara pusta wygódka.

Cholera. Zsunęła się w dół, twarzą do zimnych, szorstkich desek. Drewno, z którego zbudowano kościół, wydzielalo jakąś dziwną woń, dymu i piżma. Głosy ze środka dobiegały o wiele wyraźniej. Przyłożyła

ucho do ściany i wytrzymała słuch.

Nie mogła rozróżnić słów, nie potrafiła nawet określić, co to za język, chociaż na pewno nie angielski. Francuski? Kreolski?

Oprócz skandowania słyszała też miękki tupot bosych stóp, szybki i rytmiczny. Pojedynczy głos wzniosł się ponad natrętne ostinato: drżący, piskliwy, niemelodyjny, lecz wyraźnie należący do rytuału.

Kolejne przeciągłe, przerażone beczenie. Potem nagła, kompletna cisza.

A później powietrze przeszył wrzask, czysta zwierzęca manifestacja zdumienia i bólu. Ucichł niemal natychmiast zdławiony przez głuche bulgotanie; potem nastąpiło długie, rżące westchnienie i wreszcie zapadła cisza.

Nora nie musiała patrzeć, żeby dokładnie wiedzieć, co się stało.

Równie nagle skandowanie powróciło, szybkie, triumfalne, a ponad chór wzniosł się pojedynczy głos kapłana przepelniony radością. W tle rozlegały się inne odgłosy – stękające i zdyszane.

Nora przełknęła haust powietrza, bo nagle ogarnęły ją mdłości. Ten dźwięk zranił ją do żywego i niespodziewanie przypomniał tamtą straszliwą chwilę, kiedy zobaczyła męża leżącego bez ruchu w kałuży krwi na podłodze salonu. Ogarnął ją paraliż. Świat wirował wokół niej, przed oczami tańczyły mroczki. Caitlyn miała rację: to był zły pomysł. Ci ludzie nie potraktują intruzów łagodnie. Przez minutę czy dwie opierała się o ceglana ścianę, dopóki nie minął zawrót głowy. Potem podjęła decyzję: muszą wracać – natychmiast.

Kiedy się odwróciła, dostrzegła jakiś ruch w ciemności, za rogiem najdalszego budynku. Chwiejny, niepewny ruch; błysk ziemistej skóry w upiornym świetle księżycy, a potem nic.

Z dreszczem zgrozy mocno zacisnęła powieki i znowu otworzyła oczy. Wszędzie ciemność i cisza; skandowanie ustało. Czy naprawdę coś widziała? Kiedy już doszła do wniosku, że tylko jej się zdawało, coś pojawiło się ponownie: bezwłose, dziwnie rozdęte, odziane w

łachmany. Posuwało się w jej stronę ruchami, które wydawały się przypadkowe i zarazem pełne ohydnej celowości.

Nieodparcie przypominało jej stwora, który ścigał ją przez salę ze szkieleciami wielorybów dwie noce wcześniej. Ze zdławionym okrzykiem poderwała się na nogi i pobiegła przez pole.

– Caitlyn! – wydyszała, kiedy wpadła na reporterkę; płuca ją paliły. – Musimy się stąd zmywać!

– Co się stało? – Strach Nory natychmiast udzielił się reporterce, która skuliła się na ziemi.

– Chodź! – Nora złapała ją za kurtkę i dźwignęła na nogi. Caitlyn potknęła się i mało nie upadła, ale Nora ją podtrzymała.

– O mój Boże – szepnęła Caitlyn, patrząc przed siebie nagle sparaliżowana. – Dobry Boże.

Nora obejrzała się. Stwór – z twarzą spuchniętą i zniekształconą, niemożliwą do rozpoznania w nikłym świetle – zbliżał się do nich niezgrabnymi, nieskoordynowanymi ruchami.

– Caitlyn! – wrzasnęła Nora i szarpnęła reporterkę. – Uciekaj!

– Co...?

Ale Nora już biegła w górę ciemnego parowu, ciągnąc towarzyszkę za ramię. Caitlyn, półprzytomna ze strachu, ślizgała się i przewracała na mokrych liściach, raz po raz oglądając się za siebie.

Teraz stwór poruszał się szybciej, zbliżał się podskakującym krokiem, ze złowrogim zdecydowaniem. Nora słyszała jego charkoczący oddech.

– Goni nas – powiedziała Caitlyn. – Dogania nas.

– Zamknij się i biegnij!

O Boże, myślała Nora. O mój Boże. To nie może być Fearing... prawda?

Ale miała niezachwianą pewność, że to on.

Dotarły na szczyt parowu. Przed sobą miały bramę i ogrodzenie.

– Bierz tyłek w troki! – krzyknęła Nora, kiedy Caitlyn pośliznęła

się i mało nie upadła. Szlochała i rozpaczliwie chwyciła powietrze. Z tyłu odgłos człapiących kroków zbliżał się szybko w ciemności. Nora pomogła Caitlyn się wyprostować.

– O Jezu...

Nora skoczyła do siatki, pociągnęła Caitlyn za sobą, pchnęła ją na ogrodzenie i podsadziła, na ile jej wystarczyło sił. Reporterka przejechała rękami po siatce, złapała się i podciągnęła w górę. Nora ruszyła za nią. Przelazły na drugą stronę, zeskoczyły na liście, znowu zaczęły biec.

Coś trzasnęło w ogrodzeniu za ich plecami. Nora przystanęła i obejrzała się. Pomimo łomotania serca musiała wiedzieć. Musiała wiedzieć.

– Co ty robisz?! – krzyknęła Caitlyn, wciąż biegnąc ile sił w nogach.

Nora wepchnęła rękę do torebki, wyszarpnęła latarkę, włączyła, skierowała na ogrodzenie...

...Nic, tylko wyrzucenie w zardzewiałej siatce, tam, gdzie uderzył stwór, i lekkie poskrzypywanie ogrodzenia kołyszącego się coraz wolniej, coraz wolniej, dopóki nie powróciła cisza.

Stwór odszedł.

Nora słyszała tupot nóg Caitlyn cichnący w starej alejce.

Ruszyła za nią truchtem i wkrótce dogoniła zdyszana, wyczerpaną reporterkę. Caitlyn zgięła się wpół, łapiąc powietrze, a potem zwymiotowała. Nora przytrzymała ją za ramiona, dopóki torsje nie ustąpiły.

– Co... co to było? – zdołała wreszcie wykrztusić reporterka.

Nora bez słowa pomogła jej się podnieść. Dziesięć minut później szły po Indian Road, z powrotem na znanym Manhattanie, ale Nora – bezwiednie dotykając amuletu na szyi – nie mogła się otrząsnąć ze zgrozy, kiedy myślała o stworze, który ich ścigał, i o śmiertelnym rżeniu nieszczęsnej kozy. Wciąż powracała jedna okropna myśl, jedna irracjonalna, niepotrzebna, nieznośna myśl:

Czy Bill też tak rżęził, kiedy umierał?

29.

Porucznik D'Agosta siedział w swoim ciasnym biurze w komendzie policji i wpatrywał się w rozjarzony ekran komputera. Przecież był pisarzem, wydał dwie powieści. Obie książki otrzymały świetne recenzje. Więc dlaczego tak cholernie trudno napisać ten raport? Wciąż jeszcze się wściekał z powodu ochrzanu, który dostał od komendanta poprzedniego dnia. Kline dotarł do niego, z całą pewnością.

D'Agosta odwrócił się od ekranu, przecierając oczy. Słabe poranne światło wpadało przez jedyne okno, za którym dostrzegał skrawek nieba. Pociągnął łyk z trzeciego kubka kawy i usiłował się skupić. Po przekroczeniu pewnego progu kawa tylko potęgowała zmęczenie.

Czy naprawdę upłynął dopiero tydzień od morderstwa Smithbacka? Porucznik pokręcił głową. Teraz powinien być w Kanadzie, odwiedzić syna i podpisać papiery rozwodowe. Zamiast tego tkwił w Nowym Jorku, przykuty do sprawy, która z dnia na dzień robiła się coraz bardziej dziwaczna.

Telefon na biurku zadzwonił. Tego tylko mu brakowało: znowu ktoś przeszkadza. Podniósł słuchawkę, wzdychając w duchu.

- Zabójstwa, mówi D'Agosta.
- Vincent? Fred Stolfutz.

Stolfutz był asystentem prokuratora federalnego i pomagał porucznikowi napisać podanie o wystawienie nakazu rewizji w Ville.

- Cześć, Fred. I co myślisz?

– Jeśli próbujesz się tam dostać żeby szukać dowodów w sprawie zabójstwa, nie uda ci się. Dowody są za słabe, żaden sędzia nie wystawi nakazu. Zwłaszcza po tym, jak załatwiłeś Kline'a.

– Chryste, skąd się dowiedziałeś?

– Vinnie, wszędzie o tym gadają. W dodatku komendant...

D'Agosta przerwał mu niecierpliwie:

– To jakie mam możliwości?

– No, mówiłeś, że to miejsce jest głęboko w lesie, tak?

– Zgadza się.

– To wyklucza proste sposoby: nie możesz podejść dostatecznie blisko, żeby, dajmy na to, zobaczyć na własne oczy dowód przestępstwa albo wywęszyć dym marihuany. I nie będzie żadnych okoliczności wymagających natychmiastowej interwencji, wołania o pomoc ani niczego takiego.

– Zwierzęta wołały o pomoc.

– No widzisz, tak właśnie myślałem. Nigdy się tam nie dostaniesz na podstawie zarzutu morderstwa, ale chyba dam radę coś wymyślić o okrucieństwie wobec zwierząt. Możemy się powołać na ustawę. Jeśli tam wejdiesz z urzędnikiem biura ochrony zwierząt, możesz się rozejrzeć za innymi dowodami, których szukasz.

– Interesujące. Myślisz, że to przejdzie?

– Tak myślę.

– Fred, jesteś genialny. Zadzwoń, jak będziesz wiedział więcej.

D'Agosta odłożył słuchawkę i wrócił do bieżących problemów.

Z pozoru sprawa była prosta. Wiarygodni świadkowie, znakomici świadkowie widzieli, jak Fearing wchodził do budynku i wychodził. I chociaż nieoficjalnie uzyskanych wyników nie można wykorzystać w sądzie, DNA tego człowieka znaleziono na miejscu zbrodni, co w końcu potwierdzi oficjalne dochodzenie. Fearing napastował Norę i ponownie uzyskano próbkę jego DNA. Jego grób okazał się pusty – brak ciała. Tak się przedstawiały poszlaki z jednej strony.

Z drugiej strony? Przepracowany, niedbały, niechlujny lekarz sądowy, który nie potrafił się przyznać do błędu. Tatuaż i znamię, które można sfalszować albo pomylić, biorąc pod uwagę, jak długo ciało przebywało w wodzie. Zidentyfikowała je siostra, ale błędne identyfikacje się zdarzają, kiedy członek rodziny jest zbyt zrozpaczony albo ciało zbyt zmienione. Może chodziło o oszustwo ubezpieczeniowe, w którym siostra brała udział. Fakt, że znikła zaraz potem, tylko wzmacniał podejrzenia.

Nie, Colin Fearing żył, co do tego D'Agosta nie miał wątpliwości. I nie był żadnym cholernym zombie. Czy za tym stał Kline, czy Ville? Porucznik zamierzał się tego dowiedzieć.

Sięgnął po kawę, zajrzał do kubka, potem wylał zawartość do kosza na śmiecie i wrzucił tam kubek. Dosyć tego gówna. Pomyślał o samej zbrodni. Nie wyglądało to na nieudaną próbę gwałtu. I facet gapił się w kamerę, kiedy przechodził. Wiedział, że jest nagrywany, ale się nie przejmował.

Pendergast miał rację. To nie było przypadkowe zabójstwo. Za tym krył się plan. Ale jaki plan? Porucznik zaklął pod nosem.

Telefon znowu zadzwonił.

- D'Agosta.
- Vinnie? Tu Laura. Czytałeś dzisiejszego „West Sidera”?
- Nie.
- Lepiej kup egzemplarz.
- Co tam napisano?
- Kup egzemplarz. I...
- I co?
- Spodziewaj się wezwania od komendanta. Nie mów im, że cię ostrzegłam, ale się przygotuj.
- Cholera jasna, znowu?

D'Agosta odłożył słuchawkę. Potem wstał i ruszył do najbliższych wind. Pewnie mógłby wysepić egzemplarz od kogoś na tym samym

piętrze, ale jeśli Laura miała rację, potrzebował trochę czasu, żeby przetrwać to, co tam napisano, przed wezwaniem na dywanik.

Winda brzęknęła i drzwi się rozsunęły. Po kilku minutach D'Agosta podszedł do kiosku z gazetami w westybulu. „West Sider” wisiał w widocznym miejscu na górnym lewym stojaku, jak zwykle. Porucznik rzucił dwie monety na ladę, wyciągnął jedną gazetę ze stosu i wsunął pod ramię. Wstąpił do Starbucksa po drugiej stronie westybulu, zamówił pojedyncze espresso, zaniósł je do stolika i otworzył gazetę. Artykuł wstępny dosłownie wrzasnął na niego:

Ofiary ze zwierząt!

Rytualna śmierć w Ville!

Możliwe związki z voodoo i morderstwem Smithbacka

Napisała Caitlyn Kidd

D'Agosta popatrzył na espresso, które ledwie zakrywało dno papierowego kubka. Gdzie się podziały ogrzewane filiżanki, w których dawniej je podawano? Przełknął kawę, prawie nie czując jej smaku, zgniótł papierowy kubek i zaczął czytać.

Musiał przyznać, że jak na takiego brukowca historyjka była efektywna. Nora Kelly i reporterka poszły w nocy do Ville, przeskoczyły przez płot i wszystko słyszały. Potem zostały odpędzone – przez kogo lub co, nie wyjaśniono dokładnie, ale reporterka dała do zrozumienia, że to wyglądało jak zombie. Dalej rozpisywała się, jak miasto mogło pozwolić na zagrozenie publicznej drogi i okrucieństwo wobec zwierząt. Cytowała artykuł Smithbacka na temat Ville, opisywała *vévé* podrzucane pod drzwiami jego mieszkania przed morderstwem oraz dziwaczne przedmioty znalezione na miejscu zbrodni. Przytoczyła też związłą wypowiedź rzecznika Stowarzyszenia Ludzie dla innych Zwierząt. Wprawdzie nie twierdziła niczego wprost ani nie wskazywała

na powiązania pomiędzy Ville a morderstwem Smithbacka, niemniej wymowa artykułu była jednoznaczna: Smithback zaczął pisać o ofiarach ze zwierząt i planował więcej. Szczególnie wkurzyło go jedno zdanie typowe dla tego rodzaju reportażu: „Wielokrotne próby skontaktowania się z porucznikiem detektywem D'Agostą, prowadzącym śledztwo w sprawie zabójstwa Smithbacka, spелzły na niczym”.

„Wielokrotne próby”. Miał komórkę włączoną przez całą cholerną dobę, a telefon w biurze przekierowywał połączenia po godzinach pracy. Teraz sobie przypomniał, że może ta Kidd dzwoniła raz czy dwa, ale kto ma czas odpowiadać na każdy telefon? Wielokrotne próby, akurat. Raczej dwukrotne. No, może trzykrotne.

Teraz doskonale rozumiał, dlaczego Laura Hayward zadzwoniła.

Poprzedni artykuł o voodoo był żartem. Ale ten zawierał sporo konkretnych, a żalostny opis beczenia zabijanej kozy naprawdę robił wrażenie. D'Agosta wiedział, że miłośnicy zwierząt potrafią się wściec.

W kawiarni rozbrzmiał temat muzyczny z westernu *Dobry, zły i brzydki*. D'Agosta szybko złapał komórkę, otworzył ją i wyszedł do westybulu.

Komendant.

- Znowu rozmawiamy.
- Tak, panie komendancie.
- Zakładam, że czytał pan ten artykuł w „West Siderze”?
- Tak, czytałem. – D'Agosta starał się mówić tonem pełnym szacunku, jakby wczorajsza rozmowa nigdy się nie odbyła.
- Zdaje się, że z Kline'em trafił pan jak kulą w płot, co, poruczniku? – Głos zwierzchnika tchnął chłodem.
- W tym śledztwie nie wykluczam żadnych możliwości. Chrząknięcie.
- Więc jak pan myśli? Ville czy Kline?
- Jak mówiłem, badamy oba tropy.
- Zrobiła się z tego prawdziwa bomba. Burmistrz się martwi.

Właśnie odebrałem telefony z „News” i „Post”. Ten zarzut, że jest pan nieosiągalny... Proszę zrozumieć, pan musi się udzielać, uspokajać ludzi, odpowiadać na pytania.

– Zwołam konferencję prasową.

– Dobry pomysł. Najlepiej na drugą po południu. Niech pan się skupi na Ville... i wyłączy z tego Kline'a.

Trzasnęło i połączenie zostało przerwane. D'Agosta zawrócił do Starbucksa.

– Dajcie mi cztery małe espresso – zażądał. – Na wynos.

30.

Nawet w najlepszych chwilach D'Agosta nienawidził konferencji prasowych. A ta chwila bynajmniej nie była najlepsza. Niewiele miał do powiedzenia... i nawet to niewiele z trudem mieściło się w głowie. Kiedy zajrzał przez uchylone drzwi do sali odpraw – wszystkie krzesła zajęte, reporterzy, kamerzyści i urzędnicy przekrzykujący się nawzajem – za nim pojawił się komendant Rocker.

- Oświadczenie gotowe, poruczniku?
- Tak jest.

D'Agosta spojrzął na komendanta. Rocker jak zawsze nosił ciemny garnitur z małym znaczkim Nowojorskiego Departamentu Policji w klapie. Wydawał się jeszcze bardziej zmęczony niż zwykle.

- Proszę pamiętać, co mówiłem: ani słowa o Klinie.

D'Agosta przełknął ślinę. Do diabła z kawą – teraz przydałaby mu się podwójna porcja bourbona. I tak nie zamierzał wspominać o Klinie; nie chciał zostać pozwany za zniesławienie.

Kiedy weszli do sali odpraw i wspięli się na podium, gwar jeszcze się wzmógł. W różnych miejscach błysnęło tuzin fleszów. Komendant podszedł do pulpitu i podniósł rękę, prosząc o ciszę. Upłynęło dobrych trzydzieści sekund, zanim tłum się uspokoił. W końcu Rocker odchrząknął.

– Detektyw porucznik D'Agosta, który prowadzi sprawę zabójstwa Smithbacka, powie kilka słów na temat bieżącego stanu śledztwa. Następnie odpowiemy na pytania. Zanim porucznik D'Agosta zabierze

głos, chciałbym prosić wszystkich państwa o rozważne i odpowiedzialne przedstawienie tej sprawy na forum publicznym. To wyjątkowo sensacyjna zbrodnia i miasto już wrze. Wywoływanie dodatkowych niepokojów spowoduje tylko dalsze szkody. A teraz, poruczniku, bardzo proszę.

– Dziękuję. – D'Agosta z obawą zbliżył się do mikrofonu. Popatrzył na morze twarzy, przełknął ślinę. – Jak wszystkim wiadomo – zaczął – William Smithback, zamieszkały na Upper West Side, przed tygodniem padł ofiarą zabójstwa. Przedstawiciele sił porządkowych pod moim kierownictwem energicznie badają tę sprawę. W rezultacie pojawiły się liczne wątki śledztwa. Badamy kilka tropów i mamy pewność, że sprawcy zostaną zidentyfikowani i aresztowani w najbliższej przyszłości. Tymczasem zwracamy się z prośbą, żeby osoby mające informacje istotne dla śledztwa natychmiast się z nami skontaktowały. – Przerwał. – Teraz proszę zadawać pytania.

Natychmiast wybuchł hałas. D'Agosta podniósł ręce, żeby uciszyć tłum.

– Cisza! – zawołał. – Proszę o ciszę!

Cofnął się o krok i czekał, aż zapanuje względny spokój.

– Dziękuję. Pani, proszę. – Wskazał kobietę w średnim wieku w żółtej bluzce.

– Co pan nam może powiedzieć o Ville? Naprawdę składają ofiary ze zwierząt?

– Otrzymaliśmy kilka skarg na zwierzęce głosy dobiegające z tamtego miejsca. Prowadzimy aktywne śledztwo w tamtej okolicy. Dodam, że nie wykryliśmy żadnego bezpośredniego powiązania pomiędzy Ville a zabójstwem Smithbacka.

– Skoro mowa o zabójstwie Smithbacka – ciągnęła kobieta – czy są już wyniki autopsji? Co było przyczyną śmierci?

– Przyczyną śmierci była rana kłuta serca.

Obrzucił wzrokiem tłum: ręce wyciągnięte w powietrze, flesze,

aparaty fotograficzne i magnetofony cyfrowe. Dziwnie się czuł, nie widząc wśród ożywionych twarzy Smithbacka, krzyżącego i gestykułującego, z kosmykiem podskakującym na czole.

– Tak – powiedział, wskazując mężczyznę w trzecim rzędzie z dużą, krzykliwą muszką.

– Czy potwierdziliście tożsamość zabójcy Smithbacka? Czy to był Fearing, jego sąsiad?

– Fearing nie był sąsiadem. Mieszkał w tym samym budynku. Testy nadal trwają, ale w chwili obecnej wszystkie dowody wskazują, że, istotnie, zbrodni dokonał Fearing. Podejrzany przebywa na wolności i uznany jest za zbiega. – O ile sztywniak może być uznany za zbiega, pomyślał.

– Jaki jest związek Fearinga z Ville?

– Nie odkryliśmy żadnych powiązań pomiędzy Fearingiem a Ville.

Szło lepiej, niż się spodziewał w tych okolicznościach; prasa zachowywała się spokojnie, niemal z szacunkiem. Skinął na następną uniesioną rękę.

– Co z rewizją biura Kline'a? Czy on jest podejrzany?

– Obecnie nie jest podejrzany. – D'Agosta starał się nie patrzeć na Rockera. Jezu, jakim sposobem prasa zawsze wszystko wie?

– Więc po co ta rewizja?

– Przepraszam, nie mogę omawiać tego aspektu śledztwa.

Zaczął wskazywać innego reportera, nagle jednak jakiś głos wybił się ponad inne. D'Agosta spojrział w tamtą stronę, marszcząc brwi. Jakiś mężczyzna wstał w jednym z pierwszych rzędów: wysoki i wymuskaniny, z krótkimi piaskowymi włosami, rypсовym krawatem i przedziałkiem w brodzie, w którym dałoby się zaparkować ciężarówkę.

– Chcę znać prawdziwe postępy śledztwa – oświadczył donośnym, stentorowym głosem.

Pytanie było tak ogólne, a przy tym tak agresywne, że D'Agosta na chwilę zaniemówił.

– Słucham? – bąknął w końcu.

– Nazywam się Bryce Harriman – oznajmił mężczyzna. – Z „Timesa”. Kolega dziennikarz... mój dobry przyjaciel Bill Smithback... został brutalnie zamordowany. Upłynął tydzień. Więc zapytam inaczej: dlaczego dotąd poczyniono tak małe postępy?

Przez tłum przebiegł pomruk. Kilka głów kiwnęło na znak poparcia.

– Poczyniliśmy znaczne postępy. Oczywiście nie wolno mi zdradzać żadnych szczegółów.

D'Agosta zdawał sobie sprawę, jak kulawo to zabrzmiało, ale nie potrafił wymyślić nic lepszego. Harriman jednak nie zwracał na niego uwagi.

– To był atak na dziennikarza, który wykonywał swoją pracę – ciągnął teatralnym tonem. – Atak na nas wszystkich, na naszą profesję.

Szmerzy aprobaty przybrały na sile. D'Agosta próbował wskazać następną osobę, ale Harriman nie dał się uciszyć.

– Co się dzieje w Ville? – zapytał podniesionym głosem.

– Jak mówiłem, nie mamy dowodów świadczących, że Ville...

Harriman mu przerwał.

– Dlaczego pozwala im się jawnie torturować i zabijać zwierzęta... a może nie tylko zwierzęta? Poruczniku, pan chyba jest świadom, że wielu nowojorczyków zadaje sobie to samo pytanie: Dlaczego policja absolutnie nic nie robi?

W jednej chwili tłum wybuchnął – ludzie krzyczeli, gestykulowali, wygrażali. A kiedy coraz więcej osób zrywało się na nogi, Harriman usiadł z powrotem i triumfalne zadowolenie odmalowało się na jego patrycjuszowskiej twarzy.

31.

Rolls przejechał przez dużą białą bramę i sunął dalej brukowanym podjazdem biegnącym wśród wiekowych dębów. Nagle otworzył się widok na wspaniałą rezydencję otoczoną przez przybudówki: po wozownię, belweder, cieplarnię i przestronną, krytą gontem stajnię zbudowaną na starych kamiennych fundamentach. Dalej rozległy, wypielegnowany trawnik opadał ku wodom cieśniny Long Island roziskrzonym w porannym słońcu.

D'Agosta zagwizdał.

– Jezu, ale chałupa.

– Istotnie. A stąd nie widzimy nawet domku dozorczy, lądowiska dla helikopterów i hodowli pstrągów.

– Przypomnij mi, dlaczego tutaj jesteśmy – poprosił D'Agosta.

– Pan Esteban to jeden z ludzi, którzy najbardziej wymownie skarżyli się na Ville. Chciałbym usłyszeć jego opinię.

Na polecenie Pendergasta Proctor zatrzymał samochód przed stajnią, której drzwi były szeroko otwarte. Agent bez słowa wysiadł z rollsa i znikł w ogromnej budowli.

– Hej, dom jest tam... – zaczął D'Agosta i głos mu się załamał. Rozejrzył się nerwowo. O co tym razem chodzi Pendergastowi?

Słyszał odgłosy rąbania drzewa. Teraz ucichły i po chwili zza drewni wyszedł mężczyzna z siekierą w ręku. Jednocześnie Pendergast wyłonił się z ciemnego wnętrza stajni.

Mężczyzna z siekierą podszedł bliżej.

– Mamy tu prawdziwego Paula Bunyana* – mruknął D'Agosta, kiedy agent do niego dołączył.

* Paul Bunyan – mitologiczna postać z amerykańskiego folkloru, drwał obdarzony olbrzymim wzrostem i niezwykłymi umiejętnościami.

Mężczyzna był wysoki, z krótką szpakowatą brodą, dość długimi włosami spadającymi na kołnierz i łysiną na czubku głowy. Pomimo hiszpańskiego nazwiska wyglądał na Anglosasa w każdym calu – gdyby nie fryzura, wyglądałby wręcz jak chodząca reklama brytyjskiego ziemianina, ubrany w starannie wyprasowane drelichowe spodnie, kraціastą koszulę i robocze rękawice, szczupły i wysportowany. Strzepnął z koszuli kilka wiórów, oparł siekiere na ramieniu i zdjął rękawicę, żeby podać rękę przybyszom.

– Czym mogę służyć? – zapytał melodyjnym głosem, bez śladu akcentu.

Pendergast wyjął odznakę.

– Agent specjalny Pendergast, Federalne Biuro Śledcze. Porucznik Vincent D'Agosta policja, wydział zabójstw.

Mężczyzna zmrużył oczy i zacisnął wargi. Dokładnie obejrzał odznakę, potem podniósł wzrok i popatrzył na rollsa.

– Ładny macie służbowy wóz.

– Cięcia budżetowe – wyjaśnił Pendergast. – Trzeba sobie jakoś radzić.

– Jasne.

– Pan jest Alexander Esteban? – zapytał D'Agosta.

– Zgadza się.

– Chcielibyśmy panu zadać parę pytań, jeśli pan pozwoli.

– Macie nakaz?

– Szukamy pomocy w sprawie zabójstwa Williama Smithbacka, dziennikarza z „Timesa” – wyjaśnił Pendergast. – Bylibyśmy wdzięczni, gdyby zechciał pan odpowiedzieć na nasze pytania.

Mężczyzna kiwnął głową i pogładził się po brodzie.

- Znałem Smithbacka. Postaram się wam pomóc.
- Pan robi filmy, zgadza się?
- Dawniej. Obecnie przez większość czasu zajmuję się filantropią.
- Czytałem artykuł o panu w „Mademoiselle”. Ten, w którym nazwano pana „współczesnym DeMille'em”.

– Historia to moja pasja. – Esteban zaśmiał się lekko, z fałszywą skromnością. Nie podziało.

D'Agosta nagle sobie przypomniał: to Esteban robił te tandetne, sensacyjne historyczne eposy. Wybrał się z Laurą Hayward na najnowszy, *Ucieczka z Sing Singu*, o słynnej ucieczce trzydziestu trzech więźniów na początku lat sześćdziesiątych. Ani jemu, ani jej film się nie spodobał. Mętnie przypominał sobie jeszcze jeden: *Ostatnie dni Marii Antoniny*.

– Ale nas bardziej interesuje organizacja, którą pan zarządza. Ludzie dla innych Zwierząt, zgadza się?

Esteban kiwnął głową.

– LIZ, tak. Chociaż jestem raczej rzecznikiem. Znane nazwisko przypisane do sprawy. – Uśmiechnął się. – Rich Plock wszystkim kieruje.

– Rozumiem. I kontaktował się pan z panem Smithbackiem w sprawie serii artykułów, które zamierzał napisać o Ville des Zironnelles znanej potocznie jako Ville?

– Nasza organizacja martwiła się doniesieniami o składaniu ofiar ze zwierząt w Ville. To trwało od dawna i nikt nic nie robił. Kontaktowałem się ze wszystkimi gazetami, włącznie z „Timesem”, i wreszcie pan Smithback się do mnie odezwał.

– Kiedy to było?

– Niech pomyślę... jakiś tydzień przedtem, zanim opublikował swój pierwszy artykuł.

Pendergast kiwnął głową i jakby przestał się interesować przesłuchaniem. D'Agosta przejął pałeczkę.

– Proszę nam o tym opowiedzieć.
– Smithback zadzwonił do mnie i spotkaliśmy się na mieście. Zebrałiśmy trochę informacji o Ville... skargi sąsiadów, zeznania naocznych świadków o dostarczaniu żywych zwierząt, faktury sprzedaży, tego rodzaju rzeczy... i dałem mu kopie.

– Czy zawierały jakiś materiał dowodowy?

– Mnóstwo! Mieszkańcy Inwood od lat słyszą torturowane i zabijane zwierzęta. Miasto nie kiwnęło palcem z powodu jakichś poprawnych politycznie bzdur o wolności religijnej czy innych takich. Nie zrozumcie mnie źle, jestem całkowicie za wolnością religii... ale jeśli to nie oznacza zabijania i torturowania zwierząt.

– Czy Smithback narobił sobie wrogów przez opublikowanie tego pierwszego artykułu o ofiarach ze zwierząt?

– Na pewno... podobnie jak ja. Ci ludzie z Ville to fanatycy.

– Czy ma pan jakieś konkretne informacje na ten temat? Ktoś coś mu powiedział, telefony z pogrózkami albo e-maile do niego czy do pana?

– Raz dostałem pocztą jakiś amulet czy coś takiego. Wyrzuciłem go. Nie wiem, czy go wysłano z Ville... chociaż na paczce był stempel z górnego Manhattanu. Ci ludzie trzymają się razem. Bardzo, bardzo dziwna grupa. Zamknięta i odizolowana, mówiąc łagodnie. Mieszkali tam od zawsze, na tym kawałku ziemi.

D'Agosta szurał nogą po bruku i zastanawiał się, o co jeszcze zapytać. Facet mówił im głównie to, co już wiedzieli. Nagle Pendergast znowu się odezwał.

– Ma pan przepiękny dom, panie Esteban. Czy pan trzyma konie?

– Absolutnie nie. Nie akceptuję niewolnictwa zwierząt.

– Psy?

– Zwierzęta powinny żyć w lesie, nie ponizać się w służbie człowiekowi.

– Czy pan jest wegetarianinem, panie Esteban?

– Naturalnie.

- Jest pan żonaty? Dzieci?
- Rozwiedziony, bezdzietny. Co to ma...
- Dlaczego pan jest wegetarianinem?
- Zabijanie zwierząt dla zaspokojenia naszego apetytu jest nieetyczne. Nie mówiąc o tym, że złe dla planety, marnujące energię i odrażające moralnie, kiedy miliony głodują. Jak ten pana wstrętny samochód... przepraszam, nie chciałem pana obrazić, ale nic nie usprawiedliwia takiego samochodu.

Esteban zacisnął usta w wyrazie potępienia i przez chwilę przypominał porucznikowi jedną z zakonnice, które tłukły go po łapach linką za rozmawianie na lekcji. Zastanawiał się, jak Pendergast to przyjmie, ale twarz agenta pozostała pogodna i niewzruszona.

- W Nowym Jorku mieszka sporo ludzi wyznających religie, które mogą wymagać składania zwierząt w ofierze – powiedział agent. – Dlaczego skupiacie się na Ville?

- To najbardziej jaskrawy i długoletni przykład. Od czegoś musimy zacząć.

- Ile osób należy do waszej organizacji?

Esteban wydawał się zakłopotany.

- No, Rich może panu podać dokładną liczbę. Przypuszczam, że mamy kilkuset członków.

- Czytał pan ostatnie artykuły w „West Siderze”, panie Esteban?

- Czytałem.

- I co pan myśli?

- Myślę, że ta reporterka na coś wpadła. Jak mówiłem, ci ludzie to szaleńcy. Voodoo, *obeah*... O ile mi wiadomo, nawet nie mieszkają tam legalnie, to dzicy lokatorzy. Miasto powinno ich usunąć.

- Dokąd mają pójść?

Esteban zaśmiał się krótko.

- Jeśli o mnie chodzi, mogą iść do diabła.

- Więc pan uważa, że można torturować ludzi w piekle, ale nie zwierzęta na ziemi?

Śmiech zamarł Estebanowi na ustach. Gospodarz spojrział niepewnie na agenta.

- To tylko takie wyrażenie, panie...?
- Pendergast.
- Panie Pendergast. Czy już skończyliśmy?
- Raczej nie.

D'Agosta ze zdziwieniem usłyszał ostry ton w głosie Pendergasta.

- No, ja skończyłem.
- Czy pan wierzy w *voodoo*, panie Esteban?
- Pyta pan, czy wierzę, że ludzie praktykują voodoo, czy że voodoo naprawdę działa?
- Jedno i drugie.
- Wierzę, że ci fanatycy w Ville praktykują voodoo. Czy wierzę, że ożywiają zmarłych? Kto wie? Wszystko mi jedno. Ja tylko chcę się ich pozbyć.

- Kto finansuje pańską organizację?
- To nie jest moja organizacja. Jestem tylko członkiem. Dostajemy mnóstwo małych dotacji, ale prawdę mówiąc, głównie ja ją wspieram.

- Czy to organizacja zwolniona od podatków?

- Tak.

- Skąd pan bierze pieniądze?

- Dorobiłem się w przemyśle filmowym... ale szczerze mówiąc, to nie pana interes. – Esteban zdjął siekiere z ramienia. – Pańskie pytania wydają się chaotyczne i bez sensu, panie Pendergast, i zmęczyła mnie ta rozmowa. Więc niech pan łaskawie wsiada z powrotem do swojego węglowodorowego potwora i wynosi się z mojej posiadłości.

- Z największą przyjemnością.

Pendergast wykonał półukłon i z lekkim uśmiechem wsiadł do rollsa. D'Agosta poszedł w jego ślady.

Kiedy wyjechali za bramę, D'Agosta poprawił się na fotelu i zmarszczył brwi.

– Co za zadufany w sobie palant. Założę się, że wbija zęby w krwisty stek, kiedy nikt nie patrzy.

Pendergast wyglądał przez okno pogrążony we własnych myślach. Na te słowa się odwrócił.

– No, Vincencie, to chyba najbardziej wnikliwy komentarz, jaki dzisiaj od ciebie usłyszałem.

Wyciągnął z kieszeni cienką styropianową tackę, zdjął pokrywkę i podał tackę porucznikowi. Wewnątrz znajdowała się podwójna warstwa zakrwawionej ligniny oraz etykieta przyklepiona do podartego plastikowego opakowania. Cuchnęła zepsutym mięsem.

D'Agosta wzdrygnął się i pospiesznie zwrócił tackę agentowi.

– Co to jest, do cholery?

– Znalazłem to w śmieciach w stajni. Według etykiety zawierała pieczone żeberka jagnięce, dwanaście dziewięćdziesiąt dziewięć za funt.

– Nie gadaj.

– Doskonała cena za taki kawałek. Kusiło mnie, żeby poprosić pana Estebana o adres rzeźnika.

Pendergast nakrył tacę, położył ją na skórzanym siedzeniu, odchylił się na oparcie i znowu zajął się podziwianiem mijanych krajobrazów.

32.

Nora Kelly skręciła za róg Piątej Alei i ruszyła po Zachodniej Pięćdziesiątej Trzeciej Ulicy coraz bardziej przerażona. Wiatr rozganiał żółte i brązowe liście przed wejściem do Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Zapadał zmierzch i w ostrym powietrzu wyczuwało się zapowiedź nadchodzącej zimy. Nora pojechała z muzeum okrężną drogą – najpierw miejskim autobusem przez park, potem metrem – w duchu licząc na awarię, korek uliczny, cokolwiek, byleby pozwoliło jej uniknąć tego, co się zbliżało. Ale transport publiczny działał przygnębiająco sprawnie.

A teraz znalazła się tutaj, zaledwie parę kroków od celu.

Jakby obdarzone własną wolą jej nogi poruszały się coraz wolniej, aż znieruchomiały. Sięgnęła do torebki i wyjęła kremową kopertę ręcznie zaadresowaną. WILLIAM SMITHBACK, JR. I OSOBA TOWARZYSZĄCA. Wyłuskała ze środka sztywny kartonik i przeczytała chyba po raz setny.

*Serdecznie zapraszamy
na Sto Dwudziestą Siódmą
Doroczną Ceremonię Wręczania Nagród Prasowych
Klub Prasowy Gotham
25 Zachodnia 53 Ulica, Nowy Jork
15 października, 19.00*

Zaliczyła sporo takich przyjęć – typowa manhattańska impreza z mnóstwem picia, plotkowania i zwykłego dziennikarskiego zadzierania nosa. Nigdy nie zdołała ich polubić. A to będzie gorsze niż zwykle – nieskończenie gorsze. Ściskanie rąk, szeptane kondolencje, współczujące spojrzenia... na samą myśl robiło jej się niedobrze. Właśnie takich rzeczy za wszelką cenę starała się uniknąć w muzeum.

A jednak musiała tam pójść. Bill otrzymał... otrzymałby... honorową nominację do jednej z nagród. Bill uwielbiał takie pijackie spędy. Opuszczenie tej ceremonii stanowiłoby ujmę dla jego pamięci. Nora głęboko zaczerpnęła powietrza, wepchnęła zaproszenie z powrotem do torebki i ruszyła dalej. Wciąż jeszcze przeżywała przedwczorajszą wizytę w Ville: okropne beczenie kozy, stwór, który ich ścigał. Czy to był Fearing? Nora nie miała pewności, więc nie poinformowała o tym D'Agosty. Ale prześladowało ją wspomnienie i nerwy miała w strzępach. Może właśnie tego potrzebowała: wyjść między ludzi, zagłuszyć ponure myśli.

Klub Prasowy Gotham był wąskim budynkiem o ekstrawaganckiej rokokowej fasadzie z marmuru. Nora wspięła się po schodach i weszła przez drzwi z kutego brązu. Przy stanowisku kontrolnym oddała płaszcz i otrzymała w zamian numerek. Od strony sali bankietowej Horacego Greeleya dochodziła muzyka, śmiechy i brzęk szkła. Przerazenie Nory narastało. Poprawiła pasek torebki na ramieniu, przeszła po czerwonym pluszowym dywanie i znalazła się w sali wykładanej dębową boazerią.

Impreza rozpoczęła się przed godziną i ogromne pomieszczenie pękało w szwach. Panował ogłuszający hałas, wszyscy mówili jeden przez drugiego, żeby żaden dowcip nie przeszedł bez echa. Pod ścianami ustawiono kilka barów: dziennikarskie imprezy zawsze przeradzały się w bachanalia. Pod ścianą z prawej strony wzniesiono prowizoryczną scenę, a na niej podium obwieszane mikrofonami.

Nora przeciskała się przez tłum, kierując się w głąb sali.

Gdyby schroniła się gdzieś w kącie, mogłaby obejrzeć spokojnie całą ceremonię bez narażania się na...

Jak na zawołanie jakiś zamaszycie gestykulujący facet wpakował jej łokieć w żebra. Odwrócił się i przez chwilę mierzył ją gniewnym wzrokiem, ale rozpogodził się, kiedy ją rozpoznał. To był Fenton Davies, szef Billa w „Timesie”. Wokół niego stali półkołem współpracownicy Billa.

– Nora! – zawołał. – Jak to dobrze, że przyszałaś. Wszyscy tak strasznie, strasznie ubolewamy nad twoją stratą. Bill był jednym z najlepszych... doskonały reporter i wybitny człowiek.

Krąg reporterów wyraził chóralne poparcie dla tych słów.

Nora przenosiła wzrok z jednej współczującej twarzy na drugą. Najwyższym wysiłkiem woli powstrzymywała się od ucieczki. Zdobyła się na wymuszony uśmiech.

– Dziękuję. To wiele dla mnie znaczy.

– Próbowaliśmy się z tobą skontaktować. Nie odbierałaś moich telefonów?

– Przepraszam. Musiałam załatwić tyle spraw...

– Oczywiście, oczywiście! Rozumiem. Nie ma pośpiechu. Chodzi tylko o to, że... – Davies zniżył głos i przysunął usta do jej ucha – ...zwracała się do nas policja. Chyba uważają, że to miało coś wspólnego z jego pracą. Jeśli tak, „Times” musi o tym wiedzieć.

– Na pewno do ciebie zadzwonię, kiedy... kiedy trochę lepiej się pocuję.

Davies wyprostował się i kontynuował normalnym tonem:

– Mówiliśmy również o zorganizowaniu czegoś, żeby upamiętnić Billa. Nagroda imienia Williama Smithbacka za najlepsze osiągnięcia czy coś w tym stylu. O tym również chcielibyśmy z tobą pomówić przy najbliższej okazji.

– Oczywiście.

– Próbujemy nadać rozgłos tej sprawie, zabiegamy o dotacje. Może nawet włączymy ją do tej dorocznej ceremonii.

– To naprawdę wspaniale. Bill by to docenił.
Davies dotknął ręką łysiny i kiwnął głową zadowolony.
– Pójdę po drinka – powiedziała Nora. – Dołączę do was później.
– Pozwól, że... – odezwało się kilka głosów.
– Poradzę sobie, dziękuję. Zaraz wracam. – I rzuciwszy jeszcze jeden uśmiech, Nora wśliznęła się w tłum.

Zdołała dotrzeć na koniec sali, nie spotykając więcej znajomych. Stała przy barze i próbowała uspokoić oddech. Nie powinna była tu przychodzić. Chciała już zamówić drinka, kiedy ktoś dotknął jej ramienia. Z zamierającym sercem odwróciła się, ale zobaczyła tylko Caitlyn Kidd.

- Nie wiedziałam, czy tu przyjdiesz – odezwała się reporterka.
- Doszłaś już do siebie po tej wycieczce?
- Jasne.

Jednak Caitlyn nie wyglądała najlepiej – twarz miała bladą i trochę ściągniętą.

– Prezentuję pierwszą nagrodę w imieniu „West Sidera” – oznajmiła – więc muszę już iść. Spróbuję cię złapać, zanim wyjdiesz. Mam pomysł na nasz następny ruch.

Nora kiwnęła głową. Reporterka uśmiechnęła się, pomachała dyskretnie i zniknęła w ruchliwym tłumie.

Nora odwróciła się z powrotem do barmana i zamówiła drinka. Potem wycofała się do spokojnego miejsca pod regałami zajmującymi tylną ścianę. Tam, stojąc pomiędzy popiersiem Washingtona Irvinga a podpisaną fotografią Ringa Lardnera, obserwowała zgiełkowe zgromadzenie i sączyła koktajl.

Spojrzała na scenę. Ciekawe, że „West Sider” sponsorował jedną z nagród. Niewątpliwie podrzędny brukowiec próbował kupić sobie trochę szacunku. Ciekawe również, że to Caitlyn prowadziła prezentację...

Usłyszała swoje nazwisko wykrzykiwane wśród kakofonii głosów. Ze zmarszczonymi brwiami zaczęła przepatrywać tłum, szukając źródła. Mężczyzna około czterdziestki machał do niej energicznie. Przez

chwilę nie mogła go skojarzyć. Potem nagle przypomniała sobie patrycjuszowskie rysy i japiszonowską garderobę Bryce'a Harrimana. Bryce był nemezis jej męża przez wszystkie lata, kiedy Bill pracował w „Post”, a potem w „Timesie”. Dzieliło ich co najmniej tuzin osób i upłyne minuta albo dwie, zanim Bryce do niej dotrze.

Gotowa była dużo znieść, ale tego było już za wiele. Odstawiła niedopitego drinka na pobliski stół, schowała się za jakimś korpulentnym mężczyzną i zanurkowała w tłum, żeby zejść z oczu Harrimanowi.

Akurat wtedy światła przygasły i jakiś człowiek wszedł na scenę. Muzyka urwała się i tłum przycichł.

– Panie i panowie! – zawołał mężczyzna, przytrzymując się podium. – Witam w Klubie Prasowym Gotham na dorocznej ceremonii wręczenia nagród. Nazywam się McGeorge Oddon i jestem przewodniczącym tegorocznej komisji nominacyjnej. Cieszę się, że was tu widzę. Przygotowaliśmy dla was wspaniały wieczór.

Nora uzbroidła się z cierpliwość, czekając na nieuniknione rozwlekłe przemówienie naszpikowane zakamuflowanymi przechwałkami i kulawymi dowcipami.

– Z rozkoszą sterczałbym tutaj do rana, opowiadał kiepskie dowcipy i zanudzał wszystkich – ciągnął Oddon. – Ale dziś wieczorem mamy wiele nagród do rozdania. Więc przejdźmy do rzeczy! – Wyciągnął kartkę z kieszeni marynarki i przejrzał ją szybko. – Nasza pierwsza nagroda jest nowa w tym roku: Nagroda Imienia Jacka Wilsona Donahue za Dziennikarstwo Śledcze sponsorowana przez „West Sidera”. W imieniu „West Sidera” nagrodę w wysokości pięciu tysięcy dolarów wręczy wzór dziennikarstwa we własnej osobie: Caitlyn Kidd!

Caitlyn wspięła się na scenę wśród burzy oklasków, hałaśliwych wiwatów i przeciągłych gwizdów. Uścisnęła rękę Oddona, potem wyciągnęła jeden mikrofon ze stojaka.

– Dziękuję, McGeorge – powiedziała.

Wydawała się trochę zdenerwowana, gdy tak stała przed tłumem, ale głos miała silny i czysty.

– „West Sider” jest równie młody, jak ten klub jest stary – zaczęła.
– Niektórzy uważają, że zbyt młody. Ale nasza gazeta ogromnie się cieszy, że może uczestniczyć w tym wieczorze. A dzięki tej nowej nagrodzie wspieramy naszą sprawę! Grzmot oklasków.

– Wiele jest nagród za osiągnięcia w dziennikarstwie – kontynuowała. – Większość skupia się na jakości drukowanego słowa. Albo ponadczasowości. Albo, nie bójmy się powiedzieć, politycznej poprawności.

Wrzaski, jęki, gwizdy.

– Ale co z nagrodą za czystą odwagę? Za czysty upór w zdobywaniu materiału do artykułu, ważnego materiału, aktualnego materiału. Za... och, no dobra... za jaja ze stali!

Tym razem sala zatrzęsa się od krzyków i oklasków.

– Ponieważ po to istnieje „West Sider”. Pewnie, jesteśmy nową gazetą. I dlatego mamy jeszcze większy apetyt.

Zanim umilkły ostatnie oklaski, na jednym końcu sali wybuchło kolejne zamieszanie.

– I dlatego słuszne jest, żeby „West Sider” sponsorował tę nową nagrodę!

Fala dziwnych odgłosów – ni to westchnień, ni to jęków – przetoczyła się przez salę bankietową. Nora zmarszczyła brwi, spojrzała ponad morzem głów. Przy wejściu tłum się rozstępował, robił miejsce. Rozbrzmiały okrzyki zaskoczenia i strachu.

Co jest, do cholery?

– Co powiedziawszy... – Caitlyn urwała w połowie zdania, kiedy dotarło do niej, że coś się dzieje. Spojrzała w stronę wejścia. – Hm, chwileczkę...

Tłum falował coraz mocniej, rozstępował się. Pośrodku coś się poruszało, postać, od której ludzie się odsuwali jakby z obrzydzeniem. Kolejne niezrozumiałe wrzaski. Potem – co najdziwniejsze – w całej sali zapadła cisza.

W tej ciszy Caitlyn Kidd zapytała:

– Bill? Smithback?

Postać chwiejnie podeszła do stóp sceny. Nora spojrzała... i zatoczyła się do tyłu z niedowierzania.

To był Bill. Ubrany w luźną, zieloną szpitalną koszulę, otwartą z tyłu. Skórę miał ohydnie siną, twarz i ręce pokryte zakrzepłą krwią. Zmienił się okropnie, przerażająco, wyglądał jak zjawa z zaświatów – zjawa koszmarnie podobna do stwora, który ścigał ją w Ville. A jednak rozpoznała kosmyk sterczący z masy zmierzwionych włosów; rozpoznała długie, chude kończyny.

– Boże – usłyszała własny jęk. – O Boże...

– Smithback! – zawołała Caitlyn piskliwym głosem.

Nora nie mogła się ruszyć. Caitlyn wrzasnęła – ostry wrzask przeciął powietrze jak brzytwa.

– To ty!

Postać wspinała się na scenę. Ruchy miała nieskoordynowane, nierówne. Ręce zwisały luźno po bokach. Jedna ręka trzymała ciężki nóż, z ostrzem ledwie widocznym spod warstw zakrzepłej krwi.

Caitlyn odskoczyła, krzycząc z czystej zgrozy.

Nora patrzyła, jak jej mąż, powłócząc nogami, wdrapuje się na ostatnie stopnie i wtacza się na scenę.

– Bill! – krzyknęła Caitlyn, cofając się do podium; jej głos utonął w narastającej wrzawie tłumu. – Czekaj! Boże, nie! Nie mnie! NIE...!

Drżąca ręka z nożem zawisła na chwilę w powietrzu. Potem opadła – nóż wbił się w pierś Caitlyn, wzniosł się i znowu uderzył, nagła fontanna krwi ochlapała brudne ramię, które dźgało raz po raz. A potem postać odwróciła się i uciekła za scenę. Nora poczuła, że kolana się pod nią uginają, ogarnęła ją ciemność, pochłonęła, wymazała wszystko.

33.

W korytarzu śmierdziało kotami. D'Agosta szedł przed siebie, aż znalazł mieszkanie 5D. Nacisnął brzęczyk i słuchał donośnego echa w środku. Rozległo się szuranie kapci, potem otwór judasza pociemniał, kiedy przyłożono do niego oko.

- Kto tam? – zapytał drżący głos.
- Porucznik Vincent D'Agosta. – Pokazał odznakę.
- Niech pan przysunie bliżej, nie mogę odczytać.

Przysunął odznakę do judasza.

- Niech pan stanie na widoku, chcę pana zobaczyć.

D'Agosta ustawił się przed judaszem.

- Czego pan chce?

– Pani Pizzetti, rozmawialiśmy już wcześniej. Badam sprawę zabójstwa Smithbacka.

- Nie mam nic wspólnego z żadnymi morderstwami.

– Wiem, pani Pizzetti. Ale zgodziła się pani ze mną porozmawiać o panu Smithbacku, który przeprowadzał z panią wywiad do „Timesa”. Pamięta pani?

Długie oczekiwanie. Potem szczęknęła zapadka zamka, jedna, druga, trzecia, zabrzączał zdejmowany łańcuch i zgrzytnęła zasuwa. Drzwi uchyliły się, ale przytrzymał je drugi łańcuch.

D'Agosta znowu pokazał odznakę i para paciorkowatych oczu obejrzała ją dokładnie.

Z brzękiem opadł ostatni łańcuch i drzwi się otworzyły. Przed pocznikiem zmaterializowała się drobna starsza pani, jaką sobie wyobrażał, krucha jak filiżanka z najcieńszej porcelany, ściągająca poły szlafroka pożyczowaną niebiesko dłonią, z zaciśniętymi ustami. Oczy, czarne i bystre jak u myszy, zlustrowały go od stóp do głów.

Szybko wszedł do środka, żeby nie zatrzaśnięto mu drzwi przed nosem. Był to staroświecki apartament, ogrzany do tropikalnej temperatury, duży i zagracony: miękkie fotele o wysokich oparciach nakrytych koronkowymi pokrowcami, lampy z frędzlastymi abażurami, ozdóbki i bibeloty. I koty. Oczywiście.

– Mogę usiąść? – zapytał D'Agosta.

– Kto panu zabrania?

D'Agosta wybrał na oko najmniej wyściełany fotel, ale i tak zapadł się niewygodnie jak w ruchomych piaskach. Natychmiast na poręcz wskoczył kot i zaczął głośno mruczeć, wyginając grzbiet.

– Złaź, Nicpoń, i zostaw pana w spokoju – rozkazała pani Pizzetti ciężkim akcentem z Queens.

Naturalnie kot nie posłuchał. D'Agosta nie lubił kotów. Odepchnął go lekko łokciem. Kot tylko zamruczał głośniej, myśląc, że zaczynają się pieszczoty.

– Pani Pizzetti – powiedział D'Agosta, wyjmując notes i próbując ignorować kota, który zostawiał sierść na jego nowiutkim garniturze od Rothmana – rozumiem, że rozmawiała pani z Williamem Smithbackiem w dniu... – Sprawdził w notatkach. – Trzeciego października.

– Nie pamiętam, kiedy to było. – Pokręciła głową. – Robi się coraz gorzej.

– Czy może mi pani powiedzieć, o czym rozmawialiście?

– Nie miałam nic wspólnego z żadnym morderstwem.

– Wiem. Z pewnością nie jest pani podejrzana. Wróćmy do spotkania z panem Smithbackiem.

– Przyniósł mi mały prezent. Zaraz, zaraz...

Zaczęła myszkować po pokoju i wreszcie chwyciła drżącą dłońią małego kotka z porcelany. Pokazała go porucznikowi i upuściła mu na kolana.

– Przyniósł mi to. Chińskie. Można je dostać na Canal Street.

D'Agosta obrócił bibelot w rękę. Nie znał Smithbacka od tej strony, Smithbacka przynoszącego prezenty starszkom, nawet takim zrzedliwym jak pani Pizzetti. Oczywiście na pewno chodziło mu o wywiad.

– Bardzo ładny. – Postawił maskotkę na podręcznym stoliku. – O czym rozmawialiście, pani Pizzetti?

– O tych okropnych zabójcach zwierząt. – Wskazała w stronę najbliższego okna. – Tam, w Ville.

– Proszę mi powtórzyć, co mu pani powiedziała.

– No! Po nocach słyhać wrzaski, kiedy wiatr wieje od rzeki. Okropne odgłosy, kiedy oni mordują zwierzęta, podryniają im gardła! – Podniosła głos i ostatnie słowa wypowiedziała z pewną lubością. – Ktoś powinien im samym poderznąć gardła!

– Czy zaszło coś szczególnego, jakiś incydent?

– Opowiedziałam mu o furgonetce.

Na te słowa serce D'Agosty uderzyło szybciej.

– O furgonetce?

– W każdy czwartek, jak w zegarku. Wyjeżdża o piątej. Przyjeżdża o dziewiątej wieczorem.

– Dzisiaj jest czwartek. Widziała ją pani dzisiaj?

– No pewnie, jak w każdy czwartek.

D'Agosta wstał i podszedł do okna. Wychodziło na zachód, na tyły budynku. Sam się tamtędy przespacerował, kiedy robił szybkie rozpoznanie okolicy przed przesłuchaniem. W dole stara droga – najwyraźniej prowadząca do Ville – biegła wśród pól i znikwała w lesie.

– Z tego okna? – zapytał.

– Widzi pan tu jakieś inne okno? Pewnie, że z tego okna.

– Jakieś oznaczenia na furgonetce?

– Nie widziałam żadnych. Zwykła biała furgonetka.

– Model, marka?
– Nie znam się na tym. Biała, brudna. Stara. Kupa złomu.
– Widziała pani kiedyś kierowcę?
– Stał? Jak mogłam z góry widzieć kogoś w środku? Ale kiedy wieczorem mam otwarte okno, czasami słyszę odgłosy z tej furgonетки. Dlatego w ogóle ją zauważyłam.

– Odgłosy? Jakiego rodzaju?
– Meczenie. Skomlenie.
– Zwierzęce głosy?
– Pewnie, że zwierzęce.
– Czy mogę? – Wskazał na okno.
– Żeby wpuścić zimne powietrze? Powinien pan zobaczyć moje rachunki za ogrzewanie.

– Tylko na chwilę.

Nie czekając na odpowiedź, podniósł dolną część podwójnego okna – otworzyła się łatwo – i wychylił się na zewnątrz. W spokojnym powietrzu wisiał chłód jesieni. Pani Pizzetti rzeczywiście mogła coś usłyszeć, jeśli zwierzęta w furgonetcie hałasowały.

– Słuchaj pan, jeśli pan potrzebuje świeżego powietrza, niech pan się przewietrzy na własny rachunek.

D'Agosta zamknął okno.

– Czy pani ma dobry słuch, pani Pizzetti? Nosi pani aparat słuchowy?

– A pan ma dobry słuch? – zripostowała. – Ja na swój nie narzekam.

– Pamięta pani, co jeszcze pani powiedziała Smithbackowi... albo coś jeszcze o Ville?

Jakby się zawahała.

– Ludzie mówią, że coś tam chodzi, za ogrodzeniem.

– Coś? Zwierzę?

Wzruszyła ramionami.

– No i czasami wyjeżdżają w nocy. Furgonetką. Wyjeżdżają na całą noc i wracają rano.

– Często?

– Dwa, trzy razy do roku.

– Nie wie pani przypadkiem, po co?

– No pewnie. Werbują. Do swojego kultu.

– Skąd pani wie?

– Miejscowi tak mówią. Starsi ludzie.

– Konkretnie jacy ludzie, pani Pizzetti?

Wzruszyła ramionami.

– Może mi pani podać nazwiska?

– O nie. Nie będę w to wciągała sąsiadów. Zabiliby mnie.

D'Agosta zaczynał już tracić cierpliwość do tej upartej starszej pani.

– Co jeszcze pani wie?

– Nie pamiętam nic więcej. Oprócz kotów. On bardzo lubił koty.

– Przepraszam, kto lubił koty?

– Ten reporter, Smithback. A kto?

„Lubił koty”. Smithback był dobry w swoim zawodzie, potrafił zdobyć zaufanie ludzi, nawiązać z nimi kontakt. D'Agosta przypominał sobie, że Smithback nie cierpiał kotów. Odchrząknął, spojrzął na zegarek.

– Więc furgonetka powinna wrócić za godzinę?

– Nigdy się nie spóźnia.

D'Agosta wyszedł z budynku i głęboko odetchnął wieczornym powietrzem. Cisza, zieleń. Trudno uwierzyć, że to nadal wyspa Manhattan. Znowu spojrzął na zegarek: minęła ósma. Zobaczył jadłodajnię po drugiej stronie ulicy; postanowił zamówić kawę i zaczekać.

Furgonetka przyjechała punktualnie, chevy express z 1997 roku z oknami tylko z przodu, mocno przyciemnionymi, i drabiną sięgającą dachu. Powoli zjechała z Zachodniej Dwieście Czternastej na Indian

Road, przejechała kawałek i skręciła w boczną drogę prowadzącą do Ville. Zatrzymała się przed łańcuchem zamkniętym na kłódkę. D'Agosta wyliczył kroki tak, że przeszedł za furgonetką dokładnie wtedy, kiedy otworzyły się drzwi po stronie kierowcy. Wysiadł jakiś mężczyzna, podszedł do kłódki i otworzył ją. D'Agosta nie widział go wyraźnie w słabym świetle, ale mężczyzna wydawał się niezwykle wysoki. Nosił długi płaszcz, wyglądający niemal anachronicznie, jakby żywcem wzięty z westernu. D'Agosta przystanął, żeby wyjąć i zapalić papierosa, odwracając twarz. Opuściwszy łańcuch, mężczyzna wrócił do kabiny, przejechał na drugą stronę łańcucha i znowu zahamował.

D'Agosta rzucił papierosa i skoczył do przodu, pod osłonę furgonetki. Słyszał, jak mężczyzna znowu podnosi łańcuch, zamyka kłódkę i wraca do kabiny. Nisko schylony, D'Agosta prześliznął się do tyłu, wszedł na zderzak i chwycił się drabiny. To było miejsce publiczne, teren miasta. Przedstawiciel prawa mógł tam wejść w każdej chwili, pod warunkiem że nie wtargnął do prywatnego budynku.

Furgonetka pełzła naprzód, kierowca prowadził ostrożnie i powoli. Zostawili za sobą odległe światła górnego Manhattanu i zanurzyli się pomiędzy ciemne, milczące drzewa Inwood Hill Park. Chociaż okna były szczelnie zamknięte, D'Agosta aż nazbyt wyraźnie słyszał odgłosy, o których mówiła pani Pizzetti: chóralne skomlenie, beczenie, miauczenie, szczekanie, gdakanie i – jeszcze bardziej przejmujące – przerażone rżenie nowo narodzonego żrebaka. Na myśl o tej żalostnej menażerii, którą czekał wiadomy los, D'Agosta poczuł wzbierającą w środku furję.

Furgonetka wjechała na wzgórze, zjechała i zahamowała. D'Agosta usłyszał, że kierowca wysiada. Zeskoczył z tylnego zderzaka, wbiegł pomiędzy drzewa i zanurkował w ciemne zarośla. Przetoczył się, kucnął i zerknął w stronę furgonetki. Kierowca otwierał starą bramę w ogrodzeniu z siatki i przednie światła na mgnienie oświetliły jego twarz. Skórę miał bladą, rysy niezwykle subtelne, niemal arystokratyczne.

Furgonetka przejechała przez ogrodzenie; mężczyzna znowu wysiadł i zamknął bramę; potem wrócił za kierownicę i odjechał. D'Agosta wstał i otrzepał się z liści. Ręce mu się trzęsły z furii. Teraz już nic nie mogło go powstrzymać, skoro w grę wchodziło życie tylu zwierząt. Był policjantem wypełniającym swoje obowiązki. Jako detektyw z wydziału zabójstw zwykle nie nosił munduru, więc wyjął odznakę i przypiął do kłapy. Przelazł przez siatkę i pobiegł drogą za znikającymi tylnymi światłami furgonetki. Minął zakręt i w oddali ujrzał niewyraźną, toporną sylwetkę wielkiego kościoła otoczonego przez chaotyczne skupisko nikłych światełek.

Po chwili przystanął na środku drogi i obejrzał się za siebie, w ciemność. Instykt gliniarza ostrzegł go, że nie jest sam. Wyciągnął latarkę i oświetlił pnie drzew, zeschnięte krzaki, szeleszczące liście.

– Kto tam?

Cisza.

D'Agosta zgasił latarkę i włożył ją z powrotem do kieszeni. Dalej wpatrywał się w mrok. Księżyc w pierwszej kwadrze dawał niewiele światła, pnie buków jakby unosiły się w ciemności niczym długie, pokryte strupami nogi. Porucznik wytężył słuch. Coś tam było. Wyczuł to – a teraz słyszał. Cichy chrzęst wilgotnych liści, trzask gałązki.

Sięgnął po służbowy pistolet.

– Jestem oficerem policji Nowego Jorku – rzucił. – Proszę wyjść na drogę.

Nie zapalał latarki – bez niej dalej sięgał wzrokiem.

Teraz coś dostrzegł, ledwie, ledwie: bład kształt przesuwający się pomiędzy drzewami. Poruszał się dziwnym, chwiejnym krokiem. Wszedł w kępę gęstych krzaków i zniknął. Z gęstwiny dobiegło niesamowite zawodzenie, upiorne i nieartykułowane, jakby płynęło z rozdziawionych, rozdartych ust:

– Aaaaahhhhhuuuu...

D'Agosta wyjął latarkę, włączył, poświecił pomiędzy drzewa. Nic. Bzdura. Jakież dzieciaki robią mu kawał.

Pomaszerował w stronę krzaków, przyświecając sobie latarką. Gąszcz przerośniętych azalii i kalmi wielkolistnej rozciągał się na setki stóp. D'Agosta zaczął się przeciskać przez gałęzie.

W odpowiedzi usłyszał szelest z prawej strony. Błysnął latarką, ale snop światła zatrzymał się na ciasno upakowanych gałęziach i ograniczył pole widzenia. D'Agosta zgasił latarkę i czekał, aż wzrok mu się przyzwyczai. Powiedział spokojnie:

– Jestem funkcjonariuszem policji... pokaż się albo oskarżę cię o stawianie oporu przy aresztowaniu.

Pojedynczy trzask gałązki rozległ się ponownie z prawej strony. Porucznik odwrócił się i zobaczył postać wyłaniającą się z paproci: blada, chorobliwie zielonkawa skóra; zwiotczała twarz umazana krwią i śluzem; ubranie zwisające w strzępach z guzowatych kończyn.

– Hej, ty!

Postać zatoczyła się do tyłu, jakby chwilowo straciła równowagę, potem pochyliła się do przodu i zaczęła się zbliżać z niemal diabolicznym głodem wypisanym na twarzy. Jedno oko obróciło się w kierunku D'Agosty, po czym przesunęło się dalej; drugie kryło się pod zaskorupiałą warstwą krwi, a może błota.

– Aaaahuuuu...

– Jezu Chryste! – wrzasnął D'Agosta, odskoczył do tyłu, upuścił latarkę i sięgnął po służbową broń, glocka 19.

Stwór nagle przyspieszył, przedarł się z trzaskiem przez gąszcz i rzucił się na porucznika. Ten podniósł broń, ale w tej samej chwili poczuł ogłuszające uderzenie w głowę, usłyszał brzęczenie i wszystko znikło.

34.

Monica Hatto gwałtownie otworzyła oczy, wyprostowała się za biurkiem, ściągnęła do tyłu ramiona i przybrała uważny wyraz twarzy. Rozejrzała się nerwowo. Duży zegar na pokrytej kafelkami ścianie naprzeciwko wskazywał wpół do dziesiątej. Poprzednia nocna recepcjonistka w aneksie kostnicy wyleciała za spanie w pracy. Monica poprawiła papiery na biurku, rozejrzała się ponownie i trochę się odprężyła. Fluorescencyjne świetlówki jak zwykle zalewały zimnym blaskiem kafelki ściany i podłogę, powietrze jak zwykle cuchnęło chemikaliami. Wszędzie panowała cisza.

Ale coś ją obudziło.

Hatto wstała i przesunęła rękami po bokach, wygładzając uniform na obfitym biuście, starając się wyglądać przytomnie, schludnie i przyzwoicie. Nie mogła sobie pozwolić na utratę tej pracy. Płacili dobrze i co więcej, zapewniali świadczenia zdrowotne.

Gdzieś na górze rozległ się stłumiony hałas, jakieś zamieszanie. Pewnie wiozą następnego sztywniaka. Hatto uśmiechnęła się do siebie z dumą, że coraz lepiej włada tutejszym żargonem. Wyjęła z torebki lusterko do makijażu, poprawiła usta, kilkoma wprawnymi ruchami przyglądziła włosy i sprawdziła, czy nos jej się nie błyszczy.

Usłyszała drugi dźwięk, słabe „bum” zamykanych drzwi windy. Jeszcze jeden rzut oka, kropelka perfum i lusterko powędrowało z powrotem do torebki, torebka z powrotem na oparcie krzesła, papiery znowu zasłaly biurko.

Teraz dotarł do niej odgłos kroków, nie od strony wind, ale z klatki schodowej. Dziwne.

Kroki zbliżały się szybko. Potem drzwi klatki schodowej rozwarły się z trzaskiem i na korytarz wybiegła kobieta w czarnej koktajlowej sukience, z rozwianymi miedzianymi włosami, w pantoflach na wysokich obcasach.

Hatto tak się zdumiała, że nie wiedziała, co powiedzieć.

Kobieta zatrzymała się na środku aneksu. W upiornym świetle jażrzeniówek jej twarz wydawała się szara.

– Czym mogę służyć...? – zaczęła Hatto.

– Gdzie to jest? – wrzasnęła kobieta. – Chcę to zobaczyć! Monica Hatto wytrzeszczyła oczy.

– To?

– Ciało mojego męża! Williama Smithbacka!

Hatto cofnęła się przerażona. Ta kobieta oszalała. Zalana łzami czekała na odpowiedź. Rozległ się łoskot windy powoli jadącej do góry.

– Nazwisko Smithback! Gdzie to jest?

Z interkomu na biurku nagle dobiegł podniesiony głos:

– Naruszenie bezpieczeństwa! Mamy naruszenie bezpieczeństwa!

Hatto, słyszysz?

Głos wytrącił Monice z odrętwienia. Nacisnęła guzik.

– Jest...

Głos z interkomu ją zagłuszył.

– Jakaś wariatka idzie do ciebie! Może być niebezpieczna! Nie zbliżaj się do niej! Ochrona jest w drodze!

– Ona już...

– Smithback! – krzyknęła kobieta. – Ten dziennikarz, który został zamordowany!

Monica odruchowo obejrzała się na Kostnicę 2, gdzie pracowano nad zwłokami słynnego reportera. To była duża sprawa, z telefonem od komendanta policji i artykułami na pierwszych stronach gazet.

Kobieta popędziła do drzwi Kostnicy 2, które nocna ekipa sprzątarek zostawiła otwarte. Hatto za późno się zorientowała, że powinna je była zamknąć na klucz.

– Chwileczkę, tam nie wolno wchodzić...!

Kobieta zniknęła za drzwiami. Hatto stała jak wrośnięta w podłogę, sparaliżowana strachem. Podręcznik pracownika nie podawał, co należy zrobić w takiej sytuacji.

Ding! Drzwi windy rozsunęły się ze skrzypieniem. Dwaj korpulentni, zasapani ochroniarze wytoczyli się do aneksu.

– Hej – wy dyszał jeden – gdzie ona jest...?

Hatto bez słowa wskazała Kostnicę 2.

Dwaj ochroniarze stali przez chwilę i próbowali złapać oddech. Z kostnicy dobiegł trzask, brzęk stali, przeraźliwy zgrzyt wysuwanej metalowej szuflady. Odgłos rozdzierania, a potem krzyk.

– O Jezu – jęknął drugi ochroniarz.

Ruszyli się wreszcie i ciężko poczępali przez aneks w stronę otwartych drzwi Kostnicy 2. Hatto poszła za nimi na uginających się nogach, pchana niezdrową ciekawością.

Ujrzała scenę, której miała nie zapomnieć do końca życia. Kobieta stała na środku pomieszczenia i wyglądała jak czarownica: rozwiane włosy, wyszczerzone zęby, błyskające oczy. Za sobą miała wysuniętą szufladę na zwłoki. Potrząsała workiem na ciało trzymanym w jednej ręce, pustym i zakrwawionym; w drugim ręku ścisnęła coś, co wyglądało jak mały pęczek piór.

– Gdzie jest ciało? – wrzeszczała. – Gdzie jest ciało mojego męża? I kto to tutaj włożył?

35.

D'Agosta zaparkował radiowóz pod portykiem rezydencji 891 przy Riverside Drive, wysiadł i załomotał do ciężkich drewnianych drzwi. Po trzydziestu sekundach otworzył mu Proctor, przyglądał mu się przez chwilę w milczeniu, po czym usunął się na bok.

– Znajdzie go pan w bibliotece – mruknął.

D'Agosta chwiejnie przeszedł przez refektarz i salę recepcyjną do biblioteki, przez cały czas przyciskając mocno opatrunek do rozciętej głowy. Zastał Pendergasta oraz dziwnego starego archiwistę nazwiskiem Wren w skórzanych fotelach z wysokimi oparciami przed kominkiem, w którym płonął ogień. Pomiędzy nimi stał stolik dźwigający stosy papierów i butelkę porto.

– Vincent! – Pendergast wstał pośpiesznie i podszedł. – Co się stało? Proctor, ten człowiek potrzebuje krzesła.

– Sam sobie znajdę krzesło, dziękuję. – D'Agosta usiadł, ostrożnie obmacując głowę. Krwawienie wreszcie ustało. – Miałem mały wypadek w Ville – wyznał zniżonym głosem.

Sam nie wiedział, co go bardziej złości: myśl o tych zarżniętych zwierzętach czy świadomość, że pozwolił się załatwić jakiemuś pijaczkowi. Przynajmniej miał nadzieję, że to był pijak. Na razie nie chciał brać pod uwagę innej możliwości.

Pendergast schylił się, żeby obejrzeć skaleczenie, ale D'Agosta go odsunął.

– To tylko zadrapanie. Głowa zawsze krwawi jak zarżynana świnia.

- Mogę ci zaproponować coś do picia? Porto?
- Piwo. Bud light, jeśli masz.

Proctor wyszedł z pokoju.

Wren dalej siedział w fotelu, jakby nic niezwykłego się nie stało. Ostrzył ołówek małym scyzorykiem; obejrzał koniuszek, dmuchnął na niego, zacisnął usta, podostrzył jeszcze trochę.

Wkrótce na srebrnej tacy wjechała oszroniona puszką i schłodzona szklanka. Ignorując szklankę, D'Agosta chwycił puszkę i pociągnął długi łyk.

– Tego mi było potrzeba – oświadczył i łyknął ponownie. Pendergast wrócił do swojego fotela.

- Drogi Vincencie, zamieniamy się w słuch.

D'Agosta opowiedział o przesłuchaniu staruszki na Indian Road i wypadkach, które nastąpiły potem. Nie wspomniał, że powodowany wściekłością o mało nie wszedł do Ville w pojedynkę – czego nigdy by nie zrobił, gdyby się najpierw zastanowił. Pendergast słuchał uważnie. Vincent przemilczał również to, że stracił w napadzie telefon komórkowy i pager. Kiedy skończył, cisza zapadła w bibliotece. Ogień huczał i trzaskał.

Wreszcie Pendergast się poruszył.

- A ten... ten człowiek? Mówisz, że poruszał się chwiejnie?
- Tak.
- I był pokryty krwią?
- W każdym razie tak wyglądał w świetle księżyca.

Pendergast milczał przez chwilę.

- Czy przypominał osobę, którą widzieliśmy na taśmie z ochrony?
- Tak, przypominał.

Następna pauza, tym razem dłuższa.

- Czy to był Colin Fearing?

– Nie. Tak. – D'Agosta pokręcił obolałą głową. – Sam nie wiem. Nie widziałem za dobrze twarzy.

Pendergast długo milczał i na jego gładkim czole pojawiły się lekkie zmarszczki.

– Dokładnie kiedy to się stało?

– Pół godziny temu. Straciłem przytomność tylko na chwilę. Skoro i tak byłem w mieście, przyjechałem prosto tutaj.

– Ciekawe.

Ale twarz Pendergasta nie wyrażała ciekawości. Raczej niepokój. Po chwili Pendergast spojrzął na pomarszczonego staruszka.

– Wren właśnie zamierzał podzielić się owocami swoich ostatnich badań na temat miejsca, gdzie cię zaatakowano. Wren, zechcesz kontynuować?

– Z rozkoszą – odparł Wren. Dwie żylaste dłonie zagłębiły się w stos papierów i zręcznie wydobyły brązową teczkę. – Czy mam odczytać z artykułów...?

– Raczej zwięźle zrekapitulować, z łaski swojej.

– Oczywiście. – Wren odchrząknął, starannie ułożył papiery na kolanach, posortował. – Hm. Zobaczmy... – Przekładanie i przeglądanie papierów, marszczenie brwi, chrząkanie i bębnienie palcami. – Wieczorem jedenastego czerwca tysiąc dziewięćset pierwszego roku...

– „Zwięźle” to kluczowe słowo – mruknął Pendergast przyjaznym tonem.

– Tak, tak! Zwięźle. – Długie odchrząkiwanie. – Wygląda na to, że od pewnego czasu Ville, jakby to ująć, wzbudza kontrowersje. Zgromadziłem serię artykułów z „New York Sun” napisanych na przełomie stuleci... to znaczy dziewiętnastego i dwudziestego stulecia... opisujących skargi sąsiadów, całkiem podobne do współczesnych. Dziwne hałasy i zapachy, bezgłowe trupy zwierząt znajduwane w lesie, tego rodzaju wybryki. Wiele niepotwierdzonych doniesień o „wędrującym cieniu” grasującym w lasach Inwood Hill.

Dłoń pokryta plamami wątrobianymi wyjęła poźółkły wycinek z największą ostrożnością, jak kartę iluminowanego manuskryptu. Wren odczytał:

Według źródeł, z którymi rozmawiali nasi wysłannicy, ta zjawia – opisywana przez naocznych świadków jako powłóczący nogami, pozornie bezmyślny stwór – żeruje na obywatelach Gotham na tyle pechowych czy nieroztropnych, żeby znaleźć się w Inwood Hill po zmroku. Ataki często kończą się śmiercią ofiary. Trupy, które stwór pozostawił, znaleziono spoczywające w dramatycznych pozach, okaleczone w niewyobrażalnie okrutny sposób. Inni po prostu zniknęli – i nikt ich więcej nie widział.

– Dokładnie w jaki sposób okaleczone? – zapytał Vincent D'Agosta.

– Wypatroszone, z obcięzonymi niektórymi palcami... najczęściej środkowymi palcami u rąk i dużymi u stóp, przynajmniej tak podaje gazeta. „Sun”, poruczniku, nie słynęła z nieposzlakowanej rzetelności. Od niej pochodzi termin „żółte dziennikarstwo”. Widzi pan, drukowano ją na żółtawym papierze, najtańszym w tamtych czasach. Wybielanie i powlekanie podnosiło koszt papieru gazetowego o dobre dwadzieścia procent...

– Bardzo interesujące – przerwał gładko Pendergast. – Kontynuuj, Wren.

Więcej szelestu i chrząkania.

– Jeśli wierzyć w te historie, podobno czterech ludzi zostało zabitych przez tak zwanego bezmyślnego stwora.

– Czterech ludzi? To się liczy jako „obywatele Gotham”?

– Jak już mówiłem, poruczniku, „Sun” to był sensacyjny szmatławiec. Przesada stanowiła jego specjalność. Te raporty należy traktować z pewną rezerwą.

– Kim byli zabici obywatele?

– Pierwszy został zdekapitowany i nie ustalono jego tożsamości. Drugim był architekt krajobrazu Phipps Gormly. Trzeci należał do

komisji parków, również szanowany obywatel, który widocznie wybrał się na wieczorną przechadzkę. Niejaki Cornelius Sprague. Morderstwo dwóch prominentnych obywateli z rzędu wywołało spore poruszenie. Czwarte zabójstwo nastąpiło niemal natychmiast po trzecim, ofiarą był dozorca w miejscowej posiadłości: letnim domku Strausów na Inwood Hill. Co najdziwniejsze w tym ostatnim zabójstwie, dozorca zniknął kilka miesięcy wcześniej, zanim znaleziono jego ciało. Ale trup był świeży. D'Agosta zawiercił się na krześle.

– Wypatroszony? I z obciętymi palcami, jak pan mówił?

– Poprzednicy tak. Ale dozorca nie został wypatroszony. Znaleziono go zalanego krwią, z nożem w piersi. Według prasy sam mógł sobie zadać tę ranę.

– Co z tego wynikło? – zapytał D'Agosta.

– Podobno policja zrobiła nalot na Ville i aresztowała kilka osób, które później musieli zwolnić z braku dowodów. Przeszukania niczego nie wykryły i żadnej z tych spraw nigdy nie rozwiązano. Nic konkretnego nie łączyło tych zabójstw z Ville, poza bliskością miejsc zbrodni. Pogłoski o powłóczących nogami bezmyślnych stworach stopniowo ucichły, doniesienia o ofiarach ze zwierząt stały się rzadsze... widocznie Ville się przyczaiła. Aż do teraz, oczywiście. Ale najbardziej interesującą rzecz odkryłem, kiedy porównywałem rozmaite inne stare zapisy. Podobno w tysiąc dziewięćset pierwszym roku rodzina Strausów chciała wykarczować dużą północną część Inwood Hill, żeby uzyskać lepszy widok na rzekę Hudson. Zatrudnili architekta krajobrazu, żeby zaprojektował nową roślinność w najlepszym guście. Zgadnijcie, jak się nazywał?

Zapadła krótka cisza.

– Nie Phipps Gormly? – zapytał Pendergast.

– We własnej osobie. A chcecie zgadnąć, który komisarz parkowy zajmował się załatwianiem niezbędnych formalności?

– Cornelius Sprague. – Pendergast pochylił się do przodu w fotelu i splótł ręce. – Gdyby zrealizowano te plany wykarczowania parku,

czy Ville by ucierpiała?

Wren kiwnął głową.

– Zagradzała drogę. Na pewno zostałyby zrównana z ziemią.

D'Agosta spoglądał to na Wrena, to na Pendergasta.

– Twierdźcie, że mieszkańcy Ville zamordowali tych ludzi, żeby zniechęcić rodzinę Strausów do przekształcania krajobrazu?

– Zamordowali... albo sprawili, że zostali zamordowani. Policja nigdy nie ustaliła związku. Jednakże wiadomość najwyraźniej dotarła do właściwych uszu. Ponieważ zaniechano przekształcania parku.

– Coś jeszcze?

Wren zaszeleścił papierami.

– Artykuły opisujące „diabelski kult” w Ville. Wyznawcy przestrzegają celibatu i utrzymują stałą liczebność poprzez rekrutowanie, dobrowolnie lub siłą, bezdomnych i ubogich.

– Zdziwniej i dziwniej – wymamrotał Pendergast. Odwrócił się do D'Agosty. – Bezmyślny stwór... Podobny do tego, który cię zaatakował, hę, Vincent?

D'Agosta spochmurniał.

Eleganckie białe dłonie splatały się i rozplatały, kiedy Pendergast pogrążył się w myślach. Gdzieś w głębinach ogromnej rezydencji zadźwięczał staroświecki dzwonek telefonu.

Pendergast wstał.

– Przydałoby się rzucić okiem na szczątki którejs z ofiar.

D'Agosta chrząknął.

– Gormly i Sprague pewnie są pochowani w rodzinnych grobowcach. Nigdy nie dostaniesz nakazu.

– Ach. Ale czwarta ofiara, dozorca rodziny Strausów... rzekomy samobójca... możliwe, że nieco chętniej zdradzi swoje sekrety. A wtedy będziemy mieli szczęście. Ponieważ ze wszystkich ciał właśnie jego zwłoki najbardziej nas interesują.

– A to dlaczego?

Pendergast uśmiechnął się lekko.

– A jak myślisz, mój drogi Vincencie?

D'Agosta z irytacją zmarszczył brwi.

– Cholera jasna, Pendergast, głowa mnie boli. Nie mam nastroju do zabawy w Sherlocka Holmesa!

Wyraz urazy przemknął po obliczu agenta.

– No dobrze – mruknął w końcu Pendergast. – Oto wszystkie istotne fakty. W przeciwieństwie do innych ciało nie było wypatroszone. Pokryte krwią, ubranie w strzępach. Możliwe samobójstwo. I odnalezione jako ostatnie. Po jego odkryciu zabójstwa ustały. I przypominam, że dozorca zniknął na kilka miesięcy przed morderstwami... gdzie się podziewał przez ten czas? Prawdopodobnie mieszkał w Ville.

Odchylił się na oparcie fotela.

D'Agosta ostrożnie pomacał guz na czaszce.

– O czym ty mówisz?

– Dozorca nie był ofiarą, tylko sprawcą.

Wbrew sobie D'Agosta poczuł dreszcz podniecenia.

– Mów dalej.

– W wielkich posiadłościach, jak ta Strausów, z reguły służba i robotnicy mają własny cmentarzyk, gdzie chowają zmarłych. Jeśli taki cmentarzyk istnieje przy letnim domu Strausów, zapewne znajdziemy tam grób dozorczy.

– Ale opierasz się tylko na artykule w gazecie. Nie ma żadnych powiązań. Nikt nie wyda nakazu ekshumacji na podstawie takich nikłych poszlak.

– Zawsze możemy popracować na własną rękę.

– Nie mów mi, że zamierzasz go wykopać w nocy.

Lekkie, potwierdzające skinienie głowy.

– Czy ty nigdy nic nie robisz zgodnie z przepisami?

– Rzadko, niestety. Bardzo zły nawyk, którego jednak trudno mi się pozbyć.

W drzwiach pojawił się Proctor.

– Proszę pana? – odezwał się, nadając swojemu głębokiemu głosowi neutralne brzmienie. – Dostałem wiadomość od jednego z naszych informatorów w mieście. Zaistniały nowe okoliczności.

– Zechciej nas oświecić.

– Doszło do zabójstwa w Klubie Prasowym Gotham: ofiarą jest reporterka Caitlyn Kidd. Sprawca zniknął, ale liczni świadkowie przysięgają, że zabójstwa dokonał William Smithback.

– Smithback! – powtórzył Pendergast i szybko wstał.

Proctor przytaknął.

– Kiedy?

– Dziewiętnaście minut temu. W dodatku ciało Smithbacka zniknęło z kostnicy. Żona poszła go tam szukać i urządziła scenę, kiedy go nie znalazła. Podobno na jego miejsce podłożono jakiś, hm, rekwizyt vo-odoo.

Proctor zamilkł, złożyłwszy wielkie dłonie na wysokości środkowego guzika marynarki.

D'Agosta skamieniał ze zgrozy. Tyle się stało – a on nie miał pagera ani telefonu komórkowego.

– Rozumiem – mruknął Pendergast z twarzą nagle poszarzałą jak u trupa. – Co za okropna historia. – Dodał niemal szeptem, do nikogo w szczególności: – Chyba nadszedł czas, żeby zwrócić się o pomoc do monsieur Bertina.

36.

D'Agosta widział szary świt sączący się przez zasłonięte okna Klubu Prasowego Gotham. Był wyczerpany i w głowie go łupało przy każdym uderzeniu serca. Zespół zabezpieczania miejsca zbrodni skończył robotę i poszedł; faceci od włókien i włosów przyszli i poszli; fotograf przyszedł i poszedł; lekarz sądowy zabrał ciało; wszyscy świadkowie zostali przesłuchani albo wręczono im wezwania i teraz D'Agosta został sam w zapieczętowanym miejscu zbrodni.

Słyszał ruch na Pięćdziesiątej Trzeciej Ulicy, furgonetki dostawcze, śmieciarki, taksówkarzy z dziennej zmiany rozpoczynających pracę od rytualnej pobudki klaksonów i przekleństw.

D'Agosta dalej stał spokojnie w kącie sali. To był bardzo elegancki stary Nowy Jork: ściany pokryte ciemną dębową boazerią, kominek z rzeźbionym gzymsem, marmurowa podłoga w czarno-białą szachownicę, kryształowy żyrandol i wysokie wielodzietne okna z udrapowanymi zasłonami haftowanymi złotem. Pachniało zastarzałym dymem, nieświeżymi zakąskami i rozlanym winem. Na podłodze wałało się mnóstwo jedzenia i rozbitego szkła, pozostałości po wybuchu paniki w chwili morderstwa. Ale D'Agosta nie miał już tu czego szukać. Nie brakowało mu ani świadków, ani dowodów. Zabójca popełnił zbrodnię na oczach nie mniej niż dwustu ludzi – ani jeden tchórzliwy dziennikarz nie próbował go powstrzymać – po czym uciekł przez kuchnię na tyłach, drzwiami niezamkniętymi na klucz ze względu na ekipę cateringową, której furgonetka parkowała w alejce za budynkiem.

Czy zabójca o tym wiedział? Tak. Wszyscy świadkowie zeznali, że zabójca poszedł bez wahania – niezbyt szybko, ale zdecydowanie – prosto do drzwi jednego z pomieszczeń służbowych na zapleczu, przez korytarz i kuchnię na zewnątrz. Znał rozkład pomieszczeń, wiedział, że drzwi nie są zamknięte na klucz, wiedział, że bramki blokujące tylną alejkę są otwarte, wiedział, że alejka prowadziła na Pięćdziesiątą Czwartą Ulicę, w stronę anonimowego tłumu. Albo czekającego samochodu. Ponieważ to wyglądało na starannie zaplanowaną zbrodnię.

D'Agosta potarł nos. Starał się oddychać powoli, żeby zmniejszyć łupanie w skroniach. Ledwie mógł zebrać myśli. Te dranie w Ville przekonają się, że popełnili poważny błąd, kiedy napadli na funkcjonariusza policji. Na pewno byli w to zamieszani, tak czy inaczej. Smithback napisał o nich i drogo za to zapłacił; teraz taki sam los spotkał Caitlyn Kidd.

Co on tu jeszcze robił? Niczego więcej nie wyciśnie z miejsca zbrodni; wszystko zostało już zbadane, zarejestrowane, sfotografowane, podniesione, obejrzone, obwąchane, sprawdzone i wciągnięte do protokołu. Czuł się krańcowo wyczerpany. A jednak nie mógł się zmusić, żeby odejść.

Smithback. Wiedział, że dlatego nie może odejść.

Wszyscy świadkowie przysięgali, że to był Smithback. Nawet Nora – będąca pod wpływem środków uspokajających, ale dostatecznie przytomna – którą przesłuchał w jej mieszkaniu. Nora widziała zabójcę z drugiego końca sali, więc na jej zeznaniach nie mógł zbyt wiele polegać – ale inni widzieli go z bliska i zaklinali się, że to on. Sama ofiara wykrzyknęła jego nazwisko, kiedy do niej podszedł. A jednak kilka dni wcześniej D'Agosta widział na własne oczy ciało Smithbacka na noszach, z kłatką piersiową otwartą, z narządami wyjętymi i oznakowanymi, z odpiłowanym wierzchem czaszki.

Ciało Smithbacka zniknęło... Jakim cudem ktoś mógł ot, tak sobie wejść do kostnicy i ukraść zwłoki? Może to nie było takie trudne –

przecież Nora wtargnęła do środka i nikt jej nie zatrzymał. Mieli tylko jednego nocnego portiera, a tacy pracownicy z reguły przysypiają na służbie. Ale ochrona ściagała Norę i w końcu złapała. Zresztą co innego wejść do kostnicy, a co innego wyjść z ciałem.

Chyba że ciało wyszło samo...

Co za bzdury wymyślał! Dziesięć różnych teorii kłębiło mu się w głowie. Miał pewność, że mieszkańcy Ville są w to jakoś zamieszani. Ale oczywiście nie mógł skreślić tego producenta software'u Kline'a, który otwarcie groził Smithbackowi. Jak powiedział Rockerowi, niektóre afrykańskie rzeźby z kolekcji Kline'a zostały zidentyfikowane przez specjalistę z muzeum jako artefakty voodoo o szczególnie mrocznym znaczeniu. Chociaż nasuwało się pytanie, dlaczego Kline chciałby zabić Caitlyn Kidd. Czy o nim też pisała? Albo przypominała mu tamtego dziennikarza, który niegdyś zniszczył jego rozkwitającą karierę? Warto się tym zająć.

No i była jeszcze inna teoria, którą Pendergast pomimo całej swojej skrytości najwyraźniej traktował poważnie: że Smithback, podobnie jak Fearing, został ożywiony.

– Cholera jasna – mruknął D'Agosta.

Odwrócił się i wyszedł z sali bankietowej do foyer. Złożył podpis u gliniarza pilnującego drzwi frontowych i wyszedł w zimny, szary październikowy świt.

Spojrzał na zegarek. Szósta czterdzieści pięć. Miał się spotkać z Pendergastem na mieście o dziewiątej. Zostawiwszy samochód zaparkowany na Piątej, przeszedł Pięćdziesiątą Trzecią do Madison, wstąpił do kawiarni i usiadł.

Zanim nadeszła kelnerka, zasnął.

37.

Dziesięć po dziewiątej D'Agosta zrezygnował z czekania na Pendergasta w westybulu miejskiego ratusza i ruszył do anonimowego biura na jednym z najwyższych pięter, którego szukał przez następne dziesięć minut. W końcu stanął przed zamkniętymi drzwiami i przeczytał plastikową wytłaczaną tabliczkę:

MARTY WARTEK
ZASTĘPCA KIEROWNIKA
ZARZĄD GOSPODARKI LOKALOWEJ MIASTA NOWY JORK
GMINA MANHATTAN

Zastukał dwa razy.

– Proszę wejść – rozległ się piskliwy głos.

D'Agosta wszedł. Biuro okazało się zadziwiająco przestronne i wygodne, z sofą i dwoma fotelami po jednej stronie, biurkiem po drugiej i wnąką, w której urzędowała podstarzała sekretarka. Pojedyncze okno wychodziło na las wież tworzących Wall Street.

– Porucznik D'Agosta? – zapytał użytkownik biura.

Wstał zza biurka i wskazał jeden z foteli. D'Agosta usiadł jednak na sofie; wyglądała na wygodniejszą.

Mężczyzna wyszedł zza biurka i zajął jeden z foteli. D'Agosta przyjrzał mu się szybko: niski, drobny, w źle dopasowanym brązowym garniturze, skóra podrażniona po goleniu, kępki rzadniejących włosów sterzące na środku łysej czaszki, brązowe oczy nerwowo strzelające

na boki, małe, drżące dłonie, zacięte usta, zadufany wyraz twarzy.

D'Agosta zaczął wyjmować odznakę, ale Wartek szybko pokręcił głową.

– Nie trzeba. Od razu widać, że pan jest detektywem.

– Czyżby? – D'Agosta poczuł się lekko obrażony. Uświadomił sobie, że sam szuka powodu do obrazy. Winnie, chłopie, tylko spokojnie.

Milczenie.

– Kawy?

– Dziękuję. Z cukrem i śmietanką.

– Suzy, poproszę dwie kawy z cukrem i śmietanką.

D'Agosta próbował uporządkować myśli. W głowie miał zamęt.

– Panie Wartek...

– Proszę mi mówić Marty.

Facet stara się być przyjazny, napomniał się D'Agosta. Nie musisz w rewanżu zachowywać się jak dupek.

– Marty, przyszedłem porozmawiać o Ville. W Inwood. Znasz to miejsce?

Ostrożne kiwnięcie głową.

– Czytałem artykuły.

– Chcę wiedzieć, jak to do cholery możliwe, że ci ludzie bezprawnie zajmują tereny miasta i blokują publiczną drogę... i to im uchodzi bezkarnie.

D'Agosta nie chciał się zachowywać napastliwie, ale tak jakoś wyszło. Był za bardzo zmęczony, żeby się przejmować.

– No tak. – Wartek pochylił się do przodu. – Widzi pan, poruczniku, istnieje taki przepis prawny jak „zasiedzenie służebności gruntowej” albo „bezprawne posiadanie prowadzące do zasiedzenia” – zaznaczał cudzysłowy nerwowymi ruchami palców – co oznacza, że jeśli wyodrębniona nieruchomość została zajęta i użytkowana w sposób „jawny i ciągły” przez pewien określony czas bez zgody właściciela, strona użytkująca nabywa pewne legalne prawa do tej nieruchomości.

W Nowym Jorku ten okres wynosi dwadzieścia lat.

D'Agosta patrzył tępo. Słowa Warteka tylko brzęczały mu w uszach.

– Przepraszam, nie bardzo rozumiem.

Westchnienie.

– Wygląda na to, że mieszkańcy Ville zajmują ten teren co najmniej od czasów wojny secesyjnej. Znaleźli opuszczony kościół z licznymi przybudówkami i po prostu wprowadzili się tam na dziko. Wtedy w Nowym Jorku było mnóstwo dzikich lokatorów. Pełno ich było w Central Parku: szopy, budy, małe farmy i tak dalej.

– Teraz ich nie ma w Central Parku.

– Racja, racja... dzikich osadników usunięto z Central Parku, kiedy przeznaczono go na park. Ale północny kraniec Manhattanu zawsze stanowił poniekąd ziemię niczyją. Jest kamienisty i nierówny, nie nadaje się pod uprawę czy hodowlę. Inwood Hill Park powstał dopiero w latach trzydziestych. Do tej pory mieszkańcy Ville uzyskali prawo zasiedzenia.

Natarczywy, pełen namaszczenia ton głosu Warteka coraz bardziej działał porucznikowi na nerwy.

– Słuchaj pan, nie jestem prawnikiem. Wiem tylko, że oni nie mają tytułu własności tej ziemi i zablokowali publiczną drogę. Ciągłe czekam na wyjaśnienie, jak to możliwe. – D'Agosta odchylił się do tyłu i skrzyżował ramiona na piersiach.

– Poruczniku, proszę. Właśnie próbuję panu wytłumaczyć. Są tam od stu pięćdziesięciu lat. Nabyli prawa.

– Prawa do blokowania miejskiej ulicy?

– Może.

– Więc to znaczy, że jeśli zechcę, mogę zabarykadować Piątą Aleję? Mam do tego prawo?

– Zostanie pan aresztowany. Miasto zgłosi sprzeciw. Przepis o bezprawnym posiadaniu nie ma tutaj zastosowania.

– No dobrze, więc włamię się do pańskiego mieszkania pod pana nieobecność, będę tam mieszkał przez dwadzieścia lat, nie płacąc

czynszu, i wtedy jest moje?

Pojawiła się kawa, letnia i z mlekiem. D'Agosta jednym haustem opróżnił pół filiżanki. Wartek złożył usta w dzióbek i upił łyk.

– W rzeczy samej – podjął – będzie pańskie, jeśli będzie pan je użytkował jawnie i nieprzerwanie i jeśli nie pozwolę panu tam przebywać. W końcu nabędzie pan do niego prawo przez zasiedzenie, ponieważ...

– Co do cholery... jesteśmy w komunistycznej Rosji czy jak?

– Poruczniku, ja nie ustalam prawa, ale muszę przyznać, że to akurat jest całkiem rozsądne. Ma pana chronić, jeżeli, powiedzmy, przypadkiem zbuduje pan szambo, które zahaczy o grunty sąsiada i ten sąsiad nic nie zauważy ani nie złoży skargi przez dwadzieścia lat... myśli pan, że powinien pan usunąć szambo, jeśli on po takim czasie zauważy?

– Cała wioska na Manhattanie to nie szambo.

Wartek z emocji lekko podniósł głos, na szyi wystąpiły mu czerwone plamy.

– Szambo czy cała wioska, zasada jest ta sama! Jeśli właściciel się nie sprzeciwia albo nie zauważy, a pan jawnie korzysta z nieruchomości, nabywa pan pewne prawa. To tak, jakby pan opuścił posiadłość, podobnie jest w prawie o ratownictwie morskim.

– Więc mówi pan, że miasto nigdy nie wysuwało sprzeciwów wobec Ville?

Milczenie.

– No, nie wiem.

– Taa, więc może jednak miasto się sprzeciwiało. Może w aktach są listy. Założę się...

D'Agosta zamilkł, kiedy postać w czerni wśliznęła się do pokoju.

– Kim pan jest? – zapytał Wartek głosem piskliwym ze strachu. D'Agosta musiał przyznać, że Pendergast na pierwszy rzut oka sprawiał raczej niepokojące wrażenie – cały czarno-biały, ze skórą bladą jak u

nieboszczyka, z oczami srebrnymi jak świeżo wybite dziesięciocentówki.

– Agent specjalny Pendergast, Federalne Biuro Śledcze, do usług.
– Pendergast skłonił się lekko. Sięgnął do kieszeni garnituru i wyjął szarą kopertę, którą położył na biurku i otworzył. Wewnątrz znajdowały się stare listy z nagłówkami Urzędu Miasta Nowy Jork.

– Co to jest? – zapytał Wartek.

– Listy. – Agent odwrócił się do D'Agosty. – Vincencie, przepraszam za spóźnienie.

– Listy? – powtórzył Wartek, marszcząc brwi.

– Listy, w których miasto sprzeciwiało się istnieniu Ville. Datujące się wstecz do tysiąc osiemset sześćdziesiątego czwartego roku.

– Skąd pan je ma?

– Pewien bibliotekarz wyszukał je dla mnie. Znakomity fachowiec, godny polecenia.

– No więc proszę bardzo – powiedział D'Agosta. – Nie ma żadnego cholernego zasiedzenia, czy jak pan mówił.

Czerwone plamy na szyi Warteka pociemniały.

– Poruczniku, nie zamierzamy wszczynać procedury eksmisji wobec tych ludzi tylko dlatego, że pan albo ten agent FBI sobie tego życzy. Podejrzewam, że wasza krucjata ma coś wspólnego z pewnymi religijnymi praktykami, których nie pochwalacie. No, tutaj w grę wchodzi także wolność wyznania.

– Wolność wyznania... żeby torturować i zabijać zwierzęta... albo jeszcze gorzej? – warknął D'Agosta. – Żeby napadać na policjantów wykonujących swoje obowiązki? Żeby zakłócać spokój sąsiadom?

– Trzeba się trzymać właściwej procedury.

– Oczywiście – wtrącił gładko Pendergast. – Właściwa procedura. I tutaj wkracza pańskie biuro... żeby wdrożyć właściwą procedurę. Dlatego przyszliśmy, żeby zasugerować panu przystąpienie do pospiesznego działania.

– Taka decyzja wymaga długich i starannych przygotowań. Konieczne są konsultacje prawne, zebrania personelu i badanie dokumentów. Nie można tego robić na łapu-capu.

– Gdybyśmy tylko mieli czas, drogi panie Wartek! Opinia publiczna zwraca się przeciwko panu nawet podczas naszej rozmowy. Czytał pan dzisiejsze gazety?

Chorobliwy rumieniec rozprzestrzenił się na całą twarz Warteka. Zastępca kierownika zaczął się pocić. Wstał i wyprostował się na pełne metr sześćdziesiąt wzrostu.

– Jak mówiłem, zbadamy tę sprawę – oświadczył, odprowadzając gości do drzwi.

Podczas jazdy na dół zatłoczoną windą, pełną ludzi w smętnych szarych garniturach, Pendergast odwrócił się do D'Agosty i powiedział:

– Jak miło, mój drogi Vincencie, widzieć nowojorską biurokrację rwącą się do działania!

38.

Poczekalnia w terminalu ósmym lotniska JFK znajdowała się przed rozległym szeregiem wind. Pendergast i D'Agosta stali obok grupy korpulentnych mężczyzn w czarnych garniturach trzymających w górze tabliczki z nazwiskami.

– Wytlumacz mi jeszcze raz – poprosił D'Agosta. – Kim jest ten facet? I co on tu robi?

– Monsieur Bertin. Był naszym prywatnym nauczycielem, kiedy byliśmy dziećmi.

– Waszym? To znaczy twoim i...

– Tak. Mojego brata. Monsieur Bertin uczył nas zoologii i historii naturalnej. Bardzo go lubiłem... był czarującym i charyzmatycznym człowiekiem. Niestety, musiał opuścić naszą rodzinę.

– Co się stało?

– Pożar.

– Pożar? To znaczy, kiedy twój dom się spalił? Czy on miał z tym coś wspólnego?

Odpowiedzią Pendergasta było nagłe, lodowate milczenie.

– Więc ten facet jest ekspertem od... zoologii? I ściągasz go do sprawy morderstwa? Czy coś przeoczyłem?

– Wprawdzie monsieur Bertin został zatrudniony, żeby uczyć nas historii naturalnej, ale posiadał też rozległą wiedzę na temat miejscowych legend i folkloru: *vôdou*, *obeah*, magii i zielarstwa.

– Więc rozszerzył ofertę. I uczył was nie tylko robić sekcję żaby.

– Wolałbym nie zagłębiać się w przeszłość. Faktem jest, że monsieur Bertin wie na ten temat najwięcej ze znanych mi ludzi. Dlatego go poprosiłem, żeby przyleciał z Luizjany.

– Naprawdę myślisz, że chodzi o voodoo?

– A ty nie? – Pendergast zwrócił srebrzyste oczy na D'Agostę.

– Myślę, że jakiś gnojek chce nam wmówić, że chodzi o voodoo.

– A jaka to różnica? Ach. Oto on.

D'Agosta odwrócił się i mimo woli wytrzeszczył oczy. Zbliżał się do nich niziutki mężczyzna we fraku. Skórę miał niemal równie białą jak Pendergast i nosił szeroki biały kapelusz z obwisłym rondem. Na szyi dyndał mu przedmiot przypominający zasuszoną ludzką głowę zawieszony na grubym złotym łańcuchu. Jedną ręką ścisnęła wiekową, brudną i zniszczoną torbę lotniczą BOAC; w drugiej trzymał masywną, fantastycznie rzeźbioną laskę i postukiwał nią przed sobą. Słowo „laska” nie oddaje jej sprawiedliwości, pomyślał D'Agosta; to niemal berło, istne dzieło sztuki. Facet wyglądał jak jakiś znachor leczący wiarą z objazdowego pokazu cudownych leków albo jeden z tych świrów, którzy włóczyli się po lotnisku, bo tam było cieplej niż na dworze. Nawet w takim miejscu jak Nowy Jork, gdzie ludzie widzieli już wszystko, ten cudak przyciągał liczne spojrzenia. Za nim kroczył bagażowy objuczony przerażającą liczbą walizek.

– Aloysius! – Staruszek potruchtał do przodu na cienkich nóżkach i ucałował Pendergasta w oba policzki na francuską modłę. – *Quelle plaisir!* Nie postarzałeś się ani o dzień.

Odwrócił się i popatrzył na D'Agostę, szybko zmierzył go od stóp do głów.

– Kim jest ten człowiek?

– Jestem porucznik D'Agosta.

Wyciągnął rękę, ale stary go zignorował. Odwrócił się z powrotem do Pendergasta.

– Policjant?!

– Ja też jestem policjantem, *maître*. – Pendergast wydawał się niemal ubawiony zachowaniem tego pobudliwego człowieczka.

– Phi! – Rondo białego kapelusza opadło z pogardliwą dezaprobatą. W dłoni Bertina pojawiła się paczka cygaretek, palce wyłuskały jedną i osadziły w cygarniczkę z macicy perłowej.

– Przepraszam, *maître*, ale tu nie wolno palić.

– Barbarzyńcy. – Bertin mimo wszystko włożył cygarniczkę do ust. – Zaprowadź mnie do samochodu.

Podeszli do krawężnika, gdzie czekał Proctor.

– Co, rolls-royce? Jakie to wulgarne!

Bagażowy załadował walizki, a Pendergast ku przerażeniu D'Agosty wśliznął się na przednie siedzenie, zostawiając go z tyłu z Bertinem. Gdy tylko staruszek znalazł się w środku, natychmiast wydobył złotą zapalniczkę i zapalił cygaretkę.

– Przepraszam... czy można prosić...? – zaczął D'Agosta.

Staruszek skierował na niego bystre czarne oczy.

– Nie można.

Zaciągnął się głęboko, uchylił okno, posyłając detektywowi kose spojrzenie, i wypuścił przez zaciśnięte wargi cienki strumień dymu. Nachylił się do przodu.

– A więc, Aloysiusie, rozmyślałem nad informacjami, których mi dostarczyłeś. Przysłałeś mi fotografie amuletów znalezionych na miejscu zbrodni... one są *mal, très mal!* Lalka z piór i oplątwy; igły owinięte czarną nicią; imię wypisane na pergaminie; i ten proszek... saletra, jak przypuszczam?

– Zgadza się.

Bertin kiwnął głową.

– Nie ma wątpliwości. Zakłęcie śmierci.

– Zakłęcie śmierci? – powtórzył D'Agosta z niedowierzaniem.

– Znane również jako „zabójczy urok” – ciągnął Bertin tonem wykładowcy. – To tylko hoodoo. Z tym łatwiej sobie poradzić. Ale ten...

ten rewenant, ten chodzący trup. To coś poważnego. To jest porządne *vôdou*. Zwłaszcza teraz... – zniżył głos – ...kiedy ofiara również powróciła. – Spojrzał na Pendergasta. – Mówisz, że on ma żonę?

– Tak.

– Grozi jej poważne niebezpieczeństwo.

– Złożyłem prośbę o policyjną ochronę – wtrącił D'Agosta.

– Phi! – prychnął Bertin.

– Kupiłem dla niej amulet odpędzający wroga – oznajmił Pendergast.

– To mogło się przydać przeciwko pierwszemu, ale nie on mnie martwi. Takie czary nie działają przeciwko rodzinie albo krewnym... włącznie z mężami.

– Przygotowałem też magiczny woreczek i nalegałem, żeby go noсила w kieszeni.

Bertin się rozjaśnił.

– Ręka *mojo!* *Très bien*. Powiedz mi, co zawierała.

– Olej ochronny, korzeń Jana Zdobywcy*, werbenę i piołun.

* Jan Zdobywca (High John the Conqueror) – bohater ludowy z afroamerykańskiego folkloru, afrykański książę sprzedany w niewolę, który jednak potrafił pokonać i oszukać swoich panów; korzeń Jana Zdobywcy – wilec, *Ipomoea purga*, używany w magii jako jeden ze składników woreczka *mojo*.

D'Agosta ledwie wierzył własnym uszom. Spoglądał to na Bertina, to na Pendergasta. Bertin oparł się wygodnie.

– To się nie skończy, chyba że znajdziemy doktora magii. Odwróćmy zaklęcie.

– Próbujemy uzyskać nakaz rewizji w Ville. I wczoraj rozmawialiśmy w urzędzie miasta o ewentualnej eksmisji.

Bertin wymamrotał coś pod nosem i wypuścił następną smugę dymu. D'Agosta dawniej lubił cygara, ale normalnej wielkości, odpowiednie dla mężczyzny. Rolls wypełniał się obrzydliwym dymem o zapachu goździków.

– Słyszałem o jednym facecie – zaczął D'Agosta. – Palił takie cienkie, małe cygaretki.

Bertin popatrzył na niego z ukosa.

– Dostał raka. Musieli mu obciąć wargi.

– Komu potrzebne wargi? – zapytał retorycznie Bertin.

D'Agosta czuł spojrzenie jego paciorkowatych oczu. Otworzył okno po swojej stronie, odchylił się na oparcie, skrzyżował ramiona i zamknął oczy.

Właśnie odpływał, kiedy pisał jego nowy telefon komórkowy. Spojrzał w dół, odczytał wiadomość tekstową.

– Mamy nakaz rewizji w Ville – powiedział do Pendergasta.

– Znakomicie. Jaki zakres?

– Bardzo ograniczony. Publiczne miejsca w samym kościele, ołtarz i tabernakulum... zakładając, że je mają... ale nie zakrystia ani inne niepubliczne miejsca, ani budynki na zewnątrz.

– Doskonale. Wystarczy, żeby tam wejść... i przedstawić się mieszkańcom. Monsieur Bertin będzie nam towarzyszył.

– A jak to wytłumaczymy?

– Zaangażowałem go jako specjalnego konsultanta FBI w tej sprawie.

– Taa, jasne.

D'Agosta przeczesał palcami rzadziejące włosy, westchnął i znowu oparł się wygodnie. Zamknął oczy, licząc na kilkuminutową drzemkę. Nie do wiary. Cholera, po prostu nie do wiary.

39.

Nora wpatrywała się w sufit swojego pokoju, jej wzrok wędrował tam i z powrotem po pękniętym tynku. Tam i z powrotem, tam i z powrotem śledziła meandry szczeliny, jakby oglądała dopływy rzeki na mapie. Pamiętała, jak Bill zaofiarował się, że zagipsuje i pomaluje pęknięcie, bo doprowadzało go do szału, kiedy leżał i próbował się zdrzemnąć w ciągu dnia – często tak robił, żeby odespać nienormowane dziennikarskie godziny pracy. Powiedziała wtedy, że szkoda zachodu, nie warto wyrzucać pieniędzy na wynajęte mieszkanie, a on nigdy więcej o tym nie wspomniał.

Teraz pęknięcie ją samą doprowadzało do szału. Nie mogła od niego oderwać oczu.

Z rozpaczliwym wysiłkiem przekreśliła głowę i spojrzała przez otwarte okno obok łóżka. Za kratownicą schodów pożarowych widziała budynek mieszkalny po drugiej stronie alei, gołębie kroczące dumnie po drewnianym zbiorniku wody na dachu. Odgłosy ulicznego ruchu – klaksony, ryk diesla, zgrzyt skrzyni biegów – dochodziły z sąsiedniej ulicy. Ręce i nogi wydawały się ciężkie, wrażenia zmysłowe nierzeczywiste. Nierzeczywiste. Wszystko się stało nierzeczywiste. Ostatnie czterdzieści cztery godziny były dziwaczne, ohydne, nie do wytrzymania. Zniknięcie zwłok Billa; śmierć Caitlyn, śmierć z rąk... Zacisnęła mocno powieki, odpędzając tę myśl. Przestała już szukać sensu w tym wszystkim.

Skupiła wzrok na budziku stojącym na szafce obok łóżka. Czerwona

dioda błysnęła do niej: trzecia po południu. To głupie leżeć w łóżku w ciągu dnia.

Z ogromnym wysiłkiem usiadła, dźwigając ciało ciężkie i miękkie jak ołów. Pokój przez chwilę wirował wokół niej, potem trochę się ustabilizował. Wstrząsnęła poduszką i znowu się położyła z westchnieniem, niechętnie powracając wzrokiem do pęknięcia w suficie.

Za oknem zaskrzypiał metal. Spojrzała w tamtą stronę, ale zobaczyła tylko jaskrawy blask pogodnego jesiennego popołudnia.

Jutro miał się odbyć pogrzeb Billa. Od kilku dni usiłowała się przygotować na tę ciężką próbę; wiedziała, że to będzie bolesne, ale przynajmniej coś zakończy, może pozwoli jej spojrzeć w przyszłość. Teraz jednak pozbawiono ją nawet tej możliwości. Jak można urządzać pogrzeb bez ciała? Zamknęła oczy i jęknęła cicho.

Odpowiedział jej inny jęk – niski, gardłowy.

Gwałtownie otworzyła oczy. Na schodach pożarowych tuż za oknem kulila się jakaś postać – groteskowa figura, potwór: zmierzwiowane włosy, blada skóra pozszywana byle jak, patykowate ciało okryte zakrwawioną szpitalną koszulą lepką od płynów ustrojowych i skrzepłej krwi. Koścista ręka ścisnęła pałkę.

Twarz, opuchnięta i zdeformowana, pokryta skrzepami, wciąż jednak dawała się rozpoznać. Nora poczuła, że gardło jej się zaciska ze zgrozy: to był jej mąż Bill Smithback.

Dziwny dźwięk wypełnił sypialnię, ciche, piskliwe zawodzenie. Dopiero po chwili Nora uświadomiła sobie, że dźwięk wydobywał się z jej ust. Przepelniała ją odraza... i chorobliwa tęsknota. Bill żyje? Czy to możliwe? Czy to naprawdę on?

Postać powoli zmieniła pozycję, przesunęła się do przodu na zgiętych nogach.

Oblała ją fala ciepła, białe mroczki zatańczyły przed oczami, jakby miała zemdleć albo traciła zmysły. Czy to Bill? Czy to naprawdę możliwe?

Był wychudzony i jego skóra miała błądy, niezdrowy odcień – podobnie do tego stwora, który ścigał ją przez las otaczający Ville. Znowu przesunął się do przodu, wciąż w przysiadzie, uniósł rękę, zastukał jednym palcem w okno. Puk, puk, puk.

Patrzył na nią przekrwionymi, kaprawymi oczami. Rozdziawione usta otworzyły się jeszcze szerzej, szczęka opadła, język zwisał bezwładnie. Z gardła wydobyły się niewyraźne, na wpół uformowane dźwięki.

Czy on próbuje do mnie mówić? Żyje... czy to możliwe?

Puk, puk, puk.

– Bill? – zaskrzeczała; serce jej waliło jak szalone.

Skulona postać drgnęła. Oczy rozwarły się szerzej, obróciły się i znowu skupiły na niej.

– Możesz mówić? – zapytała.

Kolejny odgłos, ni to jęk, ni to skowyt. Szponiaste dłonie zaciskały się i rozwierały, zrozpaczone oczy wpatrywały się w nią błagalnie. Leżała całkowicie sparaliżowana. On był odrażający, dziki, nieludzki. A jednak pod warstwą zaskorupiałej krwi i strzechą skołtunionych włosów rozpoznała spuchniętą karykaturę rysów męża. To był człowiek, którego kochała jak nikogo na ziemi, jej dopełnienie. To był człowiek, którego na jej oczach zamordował Caitlyn Kidd.

– Przemów do mnie. Proszę.

Nowe dźwięki wydobyły się ze zniszczonych ust, coraz bardziej natarczywe. Skulona postać złożyła ręce i uniosła je w proszącym geście. Pomimo wszystko Nora poczuła litość i serce jej się ścisnęło z żalu i tęsknoty.

– Och, Bill – powiedziała i po raz pierwszy od dnia napadu rozplakała się w głos. – Co oni ci zrobili?

Stwór na schodach pożarowych jęknął. Siedział przez chwilę, wpatrując się w Norę prawie nieruchomo, tylko od czasu do czasu wstrząsały nim spazmy. Potem bardzo powoli szponiasta ręka wysunęła się i

uchwyciła dolną krawędź ramy okiennej.

I uniosła ją.

Nora patrzyła ze szlochem zamierającym w gardle, jak – powoli, powoli – dolna połowa okna przesuwa się w górę. Stwór otworzył je do połowy, potem schylił się i przesunął pod framugą. Szpitalna koszula zahaczyła o wystający gwóźdź i rozdarła się z ostrym trzaskiem. Coś w tym nagłym, wężowym ruchu przypominało Norze łasicę wślizgującą się do króliczej nory. Głowa i ramiona znalazły się w środku. Usta rozwarły się jeszcze szerzej, cienka nitka śliny zakołysała się na dolnej wardze. Ręka sięgnęła po Norę.

Instynktownie, bez namysłu Nora się cofnęła.

Wyciągnięta ręka znieruchomiała. Smithback spojrział na żonę, wciąż tkwiąc w oknie. Następny skowyt wypłynął z brudnych ust. Ręka znowu się uniosła, tym razem bardziej zdecydowanie.

Przy tym ruchu do nozdrzy Nory dotarł smród kostnicy. Ogarnięta zgrozą odsunęła się na sam koniec łóżka, podciągając kolana pod brodę.

Oczy w czerwonych obwódkach zmrużyły się. Skowyt przeszedł w niskie warczenie. Nagle, gwałtownym ruchem stwór wpełznął się do pokoju przez uchylone okno. Rozległ się trzask drewna, brzęk rozbijanego szkła. Nora z krzykiem rzuciła się do tyłu, zaplątała się w pościel i spadła z łóżka. Pospiesznie wyswobodziła się z prześcieradeł i wstała. Bill był z nią tutaj, w pokoju.

Wydał ryk wściekłości i natarł na nią, wymachując pałką.

– Nie! – krzyknęła. – To ja, Nora...!

Poruszał się niezdarnie i zdążyła zrobić unik. Tyłem wycofała się do salonu. On poczłapał za nią, znowu unosząc pałkę. Z bliska widziała, że oczy miał mętne, zakryte bielmem, wyschnięte i spękane. Z rozdziawionych ust, spomiędzy popękanych warg buchał ohydny smród, który mieszał się z ostrym odorem formaliny i alkoholu metylowego.

– Nnnngghhhhaaa!

Ciągle cofała się przez salon. On chwiejnie szedł za nią, z jedną ręką wyciągniętą przed siebie, ze spazmatycznie drgającymi palcami. Kuśtykał niezgrabnie, sięgał po nią, coraz bliżej, coraz bliżej.

Zrobiła następny krok do tyłu, łopatkami dotknęła ściany. Stwor jakby groził jej i błagał jednocześnie, z lewą ręką wyciągniętą, żeby jej dotknąć, podczas gdy prawa unosiła pałkę do ciosu. Odrzucił głowę w tył, odsłaniając szyję z wielkimi nacięciami zszytymi szpagatem, skórę szarą i martwą.

– Nnnngggghhhhhhaaaa!

– Nie – szepnęła. – Nie. Nie podchodź.

Drżąca ręka sięgnęła do niej, dotknęła jej włosów, pogładziła. Ogarnął ją zapach śmierci.

– Nie – wykrztusiła. – Proszę.

Usta rozwarły się szerzej, wypłynęło cuchnące powietrze.

– Odejdź! – wrzasnęła piskliwie.

Brudny palec przesunął się pieszczotliwie po jej policzku aż do ust. Przywarła plecami do ściany.

– Nnnga... nnnga... nnnga... – Stwór zaczął dyszeć, drgający konwulsyjnie palec pocierał jej wargi. Potem próbował się wepchnąć do ust.

Zakrztusiła się, odwróciła głowę.

– Nie...

Załomotano do drzwi – widocznie jej krzyki kogoś sprowadziły.

– Nora! – rozległ się stłumiony głos. – Hej, nic ci nie jest? Nora!

Jak na zawołanie ręka ściskająca pałkę zaczęła dygotać.

– Nnnnga! Nnnga! Nnnga! – Dyszenie przeszło w natarczywe, lubieżne stękanie.

Nora zdrętwiała z przerażenia.

Prawa ręka opadła jednym spazmatycznym ruchem, pałka trzasnęła ją w głowę – i świat się skończył.

40.

D'Agosta siedział w radiowozie na miejscu pasażera. Czarny nastrój, który go ogarnął, nie chciał ustąpić. Przeciwnie, pogłębiał się tym bardziej, im bardziej zbliżali się do Ville. Przynajmniej nie musiał siedzieć z tyłu z tym upierdliwym małym francuskim Kreolem. Ukradkiem zerknął na niego w lusterku wstecznym, zaciskając usta z dezaprobatą. A jakże, siedział tam i w tym idiotycznym fraku wyglądał jak portier z Upper East Side.

Kierowca zatrzymał radiowóz w miejscu, gdzie Indian Road skręcała w Dwieście Czternastą Ulicę. Furgonetka techników zahamowała za nimi z grzechotem. D'Agosta spojrział na zegarek: trzecia trzydzieści. Kierowca otworzył bagażnik i D'Agosta wysiadł. Wyciągnął nożyce do metalu, przeciął kłódkę i łańcuch opadł na ziemię. Cisnął nożyce z powrotem do bagażnika, zatrasnął pokrywę i wśliznął się do samochodu.

– Skurwysyny – mruknął do siebie.

Kierowca wcisnął gaz i samochód skoczył do przodu z piskiem opon.

– Panie kierowco – powiedział Bertin, pochylając się do przodu – proszę ruszać ostrożniej, jeśli łaska.

Kierowca – detektyw z wydziału zabójstw o nazwisku Perez – przewrócił oczami.

Zatrzymali się po raz drugi przed żelazną bramą w siatkowym ogrodzeniu i D'Agosta znowu miał trochę radości przy odcinaniu kłódky i wyrzucaniu w krzaki. Potem, żeby porządnie dokończyć robotę,

przeciął zawiasy po obu stronach, kopnięciem przewrócił bramę i odciągnął oba skrzydła z drogi. Wsiadł z powrotem do samochodu lekko zasapany.

– Droga publiczna – wyjaśnił.

Kolejny pisk opon i ford crown vic ruszył z szarpnięciem, które wprasowało pasażerów w fotele. Wjechali na wzgórze, potem zjechali przez mroczny, zmierzchający las i wreszcie wychynęli na jałowe pole. Przed nimi wznosiła się Ville skąpana w krystalicznym świetle jesienno-popołudnia. Nawet w słońcu wydawała się ciemna i koślawa, spowita cieniem: chaotyczna dżungla dachów i wieżyczek przypominająca jakąś koszmarną wioskę Dr. Seussa*. Cała zabudowa skupiła się wokół monstrualnego, niemożliwie starego kościoła z muru pruskiego. Od frontu otaczał ją wysoki drewniany ostrokół, w który wprawiono wąskie dębowe odrzwia wzmocnione żelaznymi płytami, pasami i nitami.

* Dr. Seuss, właściwie Theodor Seuss Geisel (1904-1991) – amerykański autor książek dla dzieci; Wioska Dr. Seussa (*Seussville*) – dziecięca witryna wydawnictwa Random House zaprojektowana w formie kolorowej wioski.

Pojazdy zatrzymały się na placu parkingowym z ubitej ziemi, obok dębowych drzwi. Po drugiej stronie parkowało kilka sfatygowanych samochodów oraz furgonetka, którą D'Agosta widział wcześniej. Na sam jej widok poczuł świeże ukłucie gniewu.

Miejsce wydawało się opuszczone. D'Agosta rozejrzał się, po czym odwrócił do Pereza.

– Przynieś taran i wyważacz. Ja wezmę pojemnik na dowody.

– Jasne, poruczniku.

D'Agosta znowu otworzył drzwi i wysiadł. Furgonetka techników zatrzymała się za nimi i wysiadł urzędnik z biura ochrony zwierząt. Był to nieśmiały facecik z nietwarzowym blond wąsem, czerwoną twarzą, chudymi ramionami i pokaźnym brzuchem. Zdenerwowany jak cholera, nigdy jeszcze nie przeprowadzał rewizji. D'Agosta spróbował wyłowić z pamięci jego nazwisko. Pulchinski.

– Czy uprzedziliśmy ich telefonicznie? – zapytał Pulchinski drżącym głosem.

– Nie uprzedza się telefonicznie o nalocie policji. Przecież nie chcemy, żeby zdążyli zniszczyć dowody. – D'Agosta otworzył bagażnik i wyciągnął pojemnik. – Masz papiery w porządku?

Pulchinski poklepał się po obszernej kieszeni. Zaczął już się pocić. D'Agosta odwrócił się do Pereza.

– Detektywie?

Perez dźwignął taran.

– Wchodzę.

Tymczasem Pendergast i jego dziwaczny mały pomagier Bertin wysiedli z radiowozu. Pendergast jak zwykle miał nieprzeniknioną minę, jego srebrzyste oczy spoglądały chłodno i obojętnie. Bertin – nie do wiary – wachał kwiatki. Dosłownie.

– Wielkie nieba – wykrzyknął – to wspaniałe okazy *Agahnis acuta* Pennella! Zagrożony gatunek! I tak ich dużo! – Ujął kwiat w złożone dłonie i głęboko wciągnął powietrze.

Perez, masywny i krępy, ustawił się przed drzwiami; mocno złapał przednie i tylne uchwyty przenośnego tarana; balansował nim przez chwilę na wysokości bioder; potem ze stęknieniem pchnął go do przodu. Czterdziestofuntowy taran z hukiem rąbnął w drzwi, które zatrzęsły się we framudze.

Bertin podskoczył jak ukąszony.

– Co to jest? – pisnął.

– Przeprowadzamy rewizję – odparł D'Agosta.

Bertin pospiesznie cofnął się za Pendergasta i wyglądał zza niego jak jeden z Manczkinów.

– Nikt mnie nie uprzedził, że użyjecie przemocy!

Bum! Drugie uderzenie, potem trzecie. Nity w starych drzwiach zaczęły puszczać.

– Czekaj. – D'Agosta podniósł łom i wepchnął rozdwojony koniec

pod nit, żeby go wyważyć. Nit wyskoczył z trzaskiem.

Porucznik wyciągnął jeszcze cztery nity, cofnął się i skinął na detektywa.

Perez walił taranem raz po raz, ciężkie drzwi ustępowały pod ciosami. Wstęga metalu odskoczyła i upadła na ziemię z brzękiem. W dębowym drewnie powstała długa, pionowa szczelina, wokół fruwały drzazgi.

– Jeszcze kilka razy i wystarczy – ocenił D'Agosta.

Bum! Bum!

Nagle D'Agosta poczuł za plecami czyjąś obecność. Odwrócił się. W odległości dziesięciu kroków stał mężczyzna, który im się przyglądał. Prezentował się dość niezwykle, ubrany w długi szary płaszcz z aksamitnym kołnierzem i dziwaczną, miękką czapkę w średniowiecznym stylu, z opuszczonymi nausznikami, ocieniającą twarz. Długie, bujne siwe włosy miał związane z tyłu w kucyk. Był bardzo wysoki – co najmniej sześć stóp siedem cali – około pięćdziesiątki, szczupły i muskularny, z niepokojącym spojrzeniem. Skórę miał białą, niemal równie białą jak Pendergast, ale oczy czarne jak węgle, twarz jak wyrzeźbioną, nos cienki i orli. D'Agosta natychmiast rozpoznał w nim kierowcę furgonetki.

Mężczyzna patrzył na D'Agostę oczami nieruchomymi jak marmurowe kulki. Skąd się wziął i jakim cudem podszedł do nich niepostrzeżenie, stanowiło zagadkę. Bez słowa sięgnął do kieszeni i wyjął duży żelazny klucz.

D'Agosta odwrócił się do Pereza.

– Chyba mamy klucz.

Klucz zniknął z powrotem w obszernym płaszczu.

– Pokażcie mi najpierw nakaz – zażądał mężczyzna, podchodząc bliżej, z nieruchomą twarzą. Ale głos miał jak miód i po raz pierwszy D'Agosta słyszał, że ktoś mówi z akcentem podobnym do akcentu Pendergasta.

– Oczywiście – bąknął pospiesznie Pulchinski, sięgnął do kieszeni, wyciągnął plik papierów i zaczął je przerzucać. – Proszę bardzo.

Mężczyzna wziął dokument wielką dłonią.

– „Nakaz rewizji i zatrzymania” – odczytał dźwięcznym głosem. Akcent miał podobny jak Pendergast, a jednak całkiem inny, z odrobiną francuskiego i czegoś jeszcze, czego D'Agosta nie potrafił zidentyfikować.

Mężczyzna spojrzał na Pulchinskiego.

– A pan to kto?

– Morris Pulchinski, ochrona zwierząt. – Nerwowo wyciągnął rękę, ale opuścił ją, kiedy nie doczekał się reakcji. – Mielśmy wiarygodne doniesienia o okrucieństwie wobec zwierząt, torturowaniu zwierząt, może nawet składaniu w ofierze, a ten nakaz pozwala nam przeszukać teren i zebrać dowody.

– Nie teren. Nakaz wymienia tylko sam kościół. A tamci ludzie?

D'Agosta mignął odznaką.

– Wydział zabójstw policji nowojorskiej. Ma pan jakiś dowód tożsamości?

– Nie nosimy kart identyfikacyjnych – odparł mężczyzna lodowatym tonem.

– Tak czy inaczej musi pan podać swoją tożsamość.

– Nazywam się Etienne Bossong.

– Proszę przeliterować. – D'Agosta wyjął notes, przerzucił stronicę.

Mężczyzna przeliterował nazwisko powoli, beznamiętnie, wymawiając każdą literę wyraźnie, jakby zwracał się do dziecka. D'Agosta zapisał je w notesie.

– A pańskie stanowisko tutaj?

– Jestem przywódcą.

– Czego?

– Tej wspólnoty.

– Co to dokładnie za „wspólnota”?

Nastąpiło długie milczenie. Bossong wpatrywał się w D'Agostę.

- Wydział zabójstw policji? W sprawie ochrony zwierząt?
- Przyłączyliśmy się dla rozrywki – odparł D'Agosta.
- Tamci pozostali szturmowcy jeszcze się nie przedstawili.
- Detektyw Perez, wydział zabójstw – oznajmił D'Agosta. – Agent specjalny Pendergast, Federalne Biuro Śledcze. I pan Bertin, konsultant FBI.

Wszyscy po kolei pokazali odznaki oprócz Bertina, który tylko wpatrywał się w Bossonga oczami zwięzonymi w szparki. Bossong drgnął, jakby go rozpoznał, po czym nieugięcie odwzajemnił spojrzenie. Coś przeskoczyło między tymi dwoma, jakby elektryczność. Sprawilo, że włosy na karku D'Agosty stanęły dęba.

- Proszę otworzyć drzwi – rozkazał D'Agosta.

Po długiej chwili napięcia Bossong zerwał kontakt wzrokowy z Berlinem. Wyjął z kieszeni masywny klucz i włożył go do żelaznego zamka. Obrócił go gwałtownym skrętem, aż zapadki szczęknęły głośno, i otworzył pogruchotane drzwi.

- Nie chcemy konfrontacji – oświadczył.
- To dobrze.

Za drzwiami zaczynała się wąska alejka zakręcająca w prawo. Po obu stronach wznosiły się niewielkie drewniane budynki z górnymi piętrami wystającymi ponad dolne. Budynki pochylały się niebezpiecznie ze starości, strome dachy wysuniętych nadbudówek niemal stykały się ponad alejką. Zamierające jesienne światło ledwie tu docierało, puste otwory drzwi i wybite okna tonęły w mroku.

Bossong w milczeniu prowadził grupę alejką. Minęli zakręt i D'Agosta zobaczył przed sobą ogromny kościół obrośnięty przez niezliczone przybudówki, które przywierały do niego jak małże. Z boków sterczały wielkie wiekowe belki, przymocowane do jeszcze grubszych, fantastycznie rzeźbionych bali, które wpuszczono w ziemię niczym prymitywne łuki przyporowe. Bossong wszedł pierwszy pomiędzy dwie

belki otworzył drzwi w zewnętrznym murze kościoła i zniknął w środku. Przedtem jednak zawołał coś w języku, którego D'Agosta nie rozpoznał.

D'Agosta zawahał się w progu. Wnętrze wypełniała nieprzenikniona ciemność. Dochodził stamtąd kwaśny smród łaźni, spalonego drewna, wosku, kadzidła, strachu i niemytych ciał ludzkich. Belki stropu skrzyślały złowieszczo, jakby budynek miał się zawalić.

– Zapalcie światło – polecił D'Agosta.

– Nie ma elektryczności – odparł Bossong z mroku. – Nie pozwalamy nowoczesnym urządzeniom zbrukać wewnętrznego sanktuarium.

D'Agosta wydobyl latarkę, włączył, skierował do środka. Promień światła rozpląnął się w przepastnym wnętrzu.

– Perez, przynieś z furgonetki przenośną lampę halogenową.

– Jasne, poruczniku.

Odwrócił się do urzędnika ochrony zwierząt.

– Pulchinski, wiesz, czego masz szukać, tak?

– Prawdę mówiąc, poruczniku...

– Po prostu rób, co do ciebie należy.

D'Agosta obejrzał się przez ramię. Pendergast rozglądał się, posługując się własną latarką, z Bertinem u boku.

Perez wrócił z halogenem, podłączonym zwiniętym kablem do dużej baterii umieszczonej w brezentowej torbie z paskiem.

– Ja to poniosę. – D'Agosta zarzucił torbę na ramię. – Pójdę pierwszy. Reszta za mną. Perez, weź pojemnik na dowody. Rozumiesz zasady, tak? Jesteśmy tu z ramienia urzędu ochrony zwierząt. – Jego głos ociekał ironią.

Wszedł w ciemność, zapalił światło.

Omał nie odskoczył. Wszędzie pod ścianami stali ludzie i patrzyli w milczeniu, wszyscy ubrani w zgrzebne brązowe szaty.

– Co jest, kurwa?

Jeden z mężczyzn wystąpił do przodu. Był niższy od Bossonga i

równie chudy, ale w przeciwieństwie do pozostałych jego brązową szatę zdobiły białe spirale i skomplikowane zawijasy. Twarz miał popoliczną i ordynarną, grubo ciosaną. Niósł ciężką laskę.

– To jest święta ziemia – oznajmił wibrującym głosem kaznodziei.
– Wulgarny język nie będzie tolerowany.

– Kim pan jest? – zapytał D'Agosta.

– Nazywam się Charrière – niemal wypluł mężczyzna.

– A ci ludzie?

– To jest sanktuarium. To nasza trzódka.

– Och, wasza trzódka? Barany i owieczki?

Pendergast przysunął się z tyłu do D'Agosty i nachylił.

– Vincent? – mruknął. – Pan Charrière jest chyba kapłanem *hungenikon*. Lepiej mu się nie narażać bez potrzeby... ani tym ludziom.

D'Agosta odetchnął głęboko. Irytowało go, że Pendergast udziela mu rad. Ale niepotrzebnie się złościł. Dobry gliniarz nigdy nie powinien się złościć. Co się z nim działo? Od początku tej sprawy ciągle chodził wściekły. Musiał się opanować. Odetchnął głęboko, kiwnął głową i Pendergast się cofnął.

Pomieszczenie było tak ogromne, że pomimo halogenowego oświetlenia czuł napierającą ciemność. Miazmaty unoszące się w powietrzu jeszcze bardziej pogarszały widoczność. Milcząca kongregacja, stojąca pod ścianami i wpatrująca się w niego uporczywie, przyprawiała go o dreszcze. Co najmniej sto osób, może więcej. Sami dorośli mężczyźni, biali, czarni, Azjaci, Hindusi, Latynosi i nie wiadomo kto jeszcze. Wszyscy mieli tępe, nieruchome twarze. D'Agosta poczuł ukłucie niepokoju. Powinni zabrać większe wsparcie. Dużo większe.

– No dobra, słuchajcie, ludzie – odezwał się głośno, żeby wszyscy słyszeli. Udawał pewnego siebie. – Mamy nakaz przeszukania wnętrza tego kościoła, co znaczy, że możemy przeszukać to miejsce oraz zrewidować każdą osobę tu obecną. W ramach nakazu mamy prawo zabrać wszystko, co uznamy za związane ze sprawą. Otrzymacie pełny spis

i wszystko zostanie zwrócone w stosownym czasie. Wszyscy zrozumieli?

Przerwał i słuchał, jak zamiera echo jego głosu. Nikt się nie poruszył. Oczy lśniły czerwono w promieniach latarek, jak ślepie dzikich zwierząt.

– Więc proszę, żeby nikt się nie ruszał i nie przeszkadzał.

Stosujcie się do poleceń funkcjonariuszy. Okay? W ten sposób wszystko załatwimy w miarę szybko.

Ponownie się rozejrzał. Czy tylko mu się zdawało, czy przesunęli się lekko, zacieśnili krąg? Na pewno mu się zdawało. Nie słyszał ani nie widział, żeby się poruszyli. W ciszy wyczuwał nad głową wiekowe belki osiadające ze złowrogim skrzypieniem.

Ludzie nie robili żadnego hałasu. Wcale. A potem słaby dźwięk doleciał z głębi kościoła: żałosne beczenie jagnięcia.

– No dobra – powiedział D'Agosta – zaczynamy od tyłu i przesuwamy się do drzwi.

Przeszli na środek kościoła. Posadzkę ułożono z dużych, kwadratowych bloków kamienia wypolerowanego stopami wiernych. Nie było żadnych ław ani krzeseł. Widocznie swoje ceremonie i rytuały – jakie, D'Agosta nawet nie próbował sobie wyobrazić – odprawiali na stojąco. Albo na klęczkach. Zauważył dziwne wzory wymalowane na ścianach: zawijasy, oczy i liście palmowe połączone skomplikowaną siatką linii. Przypominały mu szatę kapłana – a jeszcze bardziej krwawy deseń wymalowany na ścianie w mieszkaniu Smithbacka.

Skinął na Pereza.

– Zrób zdjęcie tego rysunku.

– Dobra.

Błysnął flesz i Pulchinski podskoczył.

Jagnię znowu zabczało. Obserwowały ich setki oczu i od czasu do czasu D'Agosta dostrzegał błysk ostrej stali ukrytej w fałdach szat.

Wreszcie mała grupka dotarła na koniec kościoła. Tam, gdzie zwykle jest chór, znajdowała się zagroda dla zwierząt otoczona drewnianym

plotem i wyścielona słomianymi matami. Pośrodku stał słup, z którego zwisał łańcuch, a do łańcucha przywiązano jagnię. Podłogę zaścielała wilgotna słoma, którą pokrywały ciemne plamy. Na ścianach zaschły rozbryzgi krwi i odchodów. Słup wyrzeźbiono jak pal totemiczny, ale pokrywała go taka gruba warstwa gnoju i odpadków, że rzeźby stały się prawie niewidoczne.

Za słupem wzniesiono ceglany ołtarz, na którym umieszczono dzbany z wodą, wypolerowane kamienie, fetysze i porcje jedzenia. Wyżej, na niedużym piedestale, leżały jakieś przybory niejasno kojarzące się z żeglarstwem, których jednak D'Agosta nie rozpoznawał: skręcone, zakończone hakami metalowe pręty, osadzone w drewnianych podstawach, podobne do olbrzymich korkociągów. Wypolerowane do połysku, starannie rozmieszczone niczym święte relikwie. Przy ołtarzu stała skrzynia obita końską skórą, zamknięta na kłódkę.

– Ładnie – stwierdził D'Agosta, omiatając światłem latarki całą scenę. – Bardzo ładnie.

– Jeszcze nigdy nie widziałem takiego *vôdou* – wymamrotał Bertin. – Właściwie to nie jest *vôdou*. Och, podstawy oczywiście te same, ale to poszło w całkiem innym, bardziej niebezpiecznym kierunku.

– To jest okropne! – zawołał Pulchinski. Wyjął kamerę wideo i zaczął nagrywać.

Widok urządzenia wywołał nasilający się szmer wśród stłoczonych ludzi, chóralny pomruk.

– To jest święte miejsce – oświadczył najwyższy kapłan głosem, który rezonował w zamkniętej przestrzeni. – Wy je profanujecie. Profanujecie naszą wiarę!

– Niech pan wszystko nagrywa, panie Pulchinski – nakazał D'Agosta.

Szybko jak nietoperz, w nagle rozwianej szacie, najwyższy kapłan doskoczył, zamachnął się laską i wytrącił z ręki Pulchinskiego kamerę wideo, która roztrzaskała się na podłodze. Pulchinski kwiknął z przerażenia i zatoczył się do tyłu.

D'Agosta w mgnieniu oka wydobyl służbowy pistolet.

– Panie Charrière, niech pan trzyma ręce na widoku i odwróci się... powiedziałem, odwrócić się!

Kapłan nawet nie drgnął, jakby się nie przejmował wycelowaną w siebie bronią.

Pendergast – który przemykał dookoła, zdrapywał próbki różnych substancji z artefaktów i z ołtarza i wrzucał do maleńkich probówek – szybko wysunął się przed D'Agostę.

– Chwileczkę, poruczniku – powiedział cicho, po czym odwrócił się do kapłana. – Panie Charrière?

Najwyższy kapłan przeniósł na niego spojrzenie.

– Gorszyciele! – wykrzyknął.

– Panie Charrière– powtórzył Pendergast ze szczególnym naciskiem i mężczyzna zamilkł. – Właśnie zaatakował pan przedstawiciela prawa. – Odwrócił się do urzędnika z ochrony zwierząt. – Nic się panu nie stało?

– W porządku, nie ma problemu – odparł Pulchinski, udając twardego, chociaż jego kolana stukały o siebie. D'Agosta rozejrzał się niespokojnie. Tym razem wcale mu się nie zdawało: tłum naprawdę przysunął się bliżej.

– Postąpił pan bardzo niemądrze, panie Charrière – ciągnął Pendergast głosem niezbyt donośnym, a jednak przenikliwym. – Teraz jest pan w naszej władzy. – Obejrzał się. – Czy nie tak, panie Bossong?

Twarze zgromadzonych rozjaśniły się w uśmiechach. Uśmiech wypłynął również na twarz kapłana, ale go oszpecił, odsłaniając niewidoczną dotąd bliznę.

– Jedyne władza i moc pochodzi od bogów tego miejsca, władza *loa* i ich *hungana*!

Stuknął laską w podłogę, jakby chciał podkreślić swoje słowa. A wtedy, w pełnej napięcia ciszy, z dołu nadeszła stłumiona odpowiedź.

– Aaaaaahuuuu...

D'Agosta drgnął – rozpoznał ten dźwięk, słyszał go w lesie poprzedniej nocy.

– Co to było, do cholery?

Brak odpowiedzi. Tłum wydawał się czekać, zelektryzowany, gotowy do akcji.

– Chcę przeszukać podziemia.

Teraz wystąpił Bossong, przywódca społeczności. Dotąd przyglądał się konfrontacji z boku z nieprzenikniętym wyrazem twarzy.

– Wasz nakaz tego nie obejmuje – oświadczył.

– Mam uzasadnione podejrzenie. Tam na dole jest zwierzę albo coś innego.

Bossong zmarszczył brwi.

– Pan nie przejdzie.

– Akurat, kurwa.

Teraz kapłan Charrière odwrócił się do tłumu i zaintonował:

– On nie przejdzie!

– On nie przejdzie! – odkrzyknęli chórem. Ten nagły, grzmiący okrzyk po długim milczeniu brzmiał niemal przerażająco.

– Najpierw skończymy pracę tutaj – podjął spokojnie Pendergast. – Każda kolejna próba przeszkodzenia nam w wypełnianiu obowiązków zostanie potraktowana z całą surowością.

Charrière dźgnął palcem w płaszcz Pendergasta z grymasem uśmiechu zastygłym na twarzy.

– Ty nie masz nade mną żadnej władzy.

Pendergast odsunął się od niego.

– Poruczniku? Możemy kontynuować?

D'Agosta schował broń do kabury. Jakimś sposobem Pendergast kupił im minutę albo dwie.

– Pulchinski, niech pan weźmie jagnię i słup. Perez, przetnij kłódkę na skrzyni.

Perez przeciął kłódkę na skrzynce obitej końską skórą i podniósł wieko. D'Agosta poświecił do środka. Skrzynkę wypełniały instrumenty

owinięte w kawałki skóry. D'Agosta wyjął jeden, rozwinął – nóż o falistym ostrzu.

– Zabierz skrzynię z całą zawartością.– Tak jest.

Tłum teraz szemrał, ludzie przysuwali się bliżej. Najwyższy kapłan patrzył na nich z twarzą wykrzywioną w grymasie, z wyszczerzonymi zębami, poruszając ustami, jakby bezgłośnie się modlił.

D'Agosta kątem oka zauważył Bertina. Prawie zapomniał o tym dziwnym małym człowieczku. Bertin szperał w niszy przypominającej transept, gdzie z sufitu zwisały dziesiątki skórzanych pasów z przypiętymi fetyszami. Następnie podszedł do dziwacznej konstrukcji z patyków, tysięcy patyków powiązanych w wykrzywiony trójwymiarowy kwinkunks. Twarz miał ściągniętą i zatroskaną.

– To też zabierz – rozkazał D'Agosta, wskazując fetysz leżący na ziemi. – I to, i tamto.

Poświecił po kątach, szukając drzwi i schowków, usiłując coś dojrzeć poprzez tłum ludzi.

– Niech *loa* spuszcza nieszczęścia na nieczystych *baka*, którzy profanują sanktuarium! – wrzasnął najwyższy kapłan.

Teraz trzymał w drugiej ręce dziwaczny amulet – małą, ciemną grzechotkę zwieńczoną zasuszonym guzem wielkości piłeczki golfowej – i potrząsał nim w stronę intruzów.

– Zabierzcie te fetysze z ołtarza – polecił D'Agosta. – I te instrumenty, i tamte paskudztwa. Wszystko.

Perez szybko ładował przedmioty do plastikowego pojemnika na dowody.

– Złodziej! –zagrzmiał Charrière, potrząsając amuletem.

Tłum postąpił do przodu.

– Spokojnie, otrzymacie wszystko z powrotem – zapewnił D'Agosta.

Powinni już tu skończyć – szybko – i sprawdzić na dole.

– Poruczniku, proszę nie zapominać o przedmiotach na *cayemystère*. – Pendergast wskazał następną kapliczkę ukrytą w ciemnej

alkowie, otoczoną przez pasiaste liście palmowe, na których spiętrzone liczne fetysze, garnuszki i ofiary z żywności.

- Racja.
- Świnie *baka!*

Nagle w kręgu akolitów rozległo się jakieś grzechotanie, najpierw w jednym miejscu, potem w drugim, a później rozbrzmiało wszędzie. D'Agosta poświecił latarką i zobaczył, że ludzie – którzy przysunęli się jeszcze bliżej – wystawiają przed siebie rzeźbione kościane uchwyty z przywiązanymi na końcu grzechotkami z ogonów grzechotników.

– To powinno wystarczyć – stwierdził D'Agosta, siłąc się na non-szalancję.

- Rewizja na dole chyba może poczekać – mruknął Pendergast. D'Agosta przytaknął. Jezu, naprawdę powinni się stąd zmywać.
- Psy *baka!* – zawył kapłan.

D'Agosta odwrócił się do wyjścia. Tłum zablokował całą szerokość nawy.

- Hej, ludzie, skończyliśmy. Wychodzimy.

Pulchinski wyraźnie był aż nazbyt gotowy do wyjścia, podobnie jak Perez. Pendergast wrócił do zbierania mikroskopijnych próbek. Ale gdzie do cholery był Bertin?

W tej samej chwili z ciemnego kąta dobiegły odgłosy szamotaniny. D'Agosta odwrócił się i zobaczył, że Bertin rzucił się na najwyższego kapłana, wyjąc jak dzikie zwierzę. Charrière zatoczył się do tyłu i obaj zwarli się w walce o jakiś amulet, który kapłan ścisnął w rękę.

- Hej! – krzyknął D'Agosta. – Co jest, do cholery?

Tłum cisnął się do przodu, grzechotanie zmieniło się w przenikliwy syk.

Dwaj przeciwnicy upadli na podłogę i zaplątali się w szaty Charrière'a. Pendergast doskoczył do nich w mgnieniu oka. Po chwili wyłonił się z kłębowiska, trzymając Bertina za ramiona.

- Puść mnie do niego! – wrzeszczał Bertin. – Zabiję go!

Ty, ty już nie żyjesz, *masisi!*

Charrière tylko poprawił szaty, otrzepał się z kurzu i zaprezentował kolejny ohydny, zniekształcony uśmiech.

– To ty umrzesz – powiedział cicho. – Ty i twoi przyjaciele.

Bossong, przywódca wspólnoty, spojrzął szybko na kapłana.

– Dość tego!

Bertin się wrywał, ale Pendergast trzymał go mocno i szeptał mu coś natarczywie do ucha.

– Nie! – krzyknął Bertin. – Nie!

Tłum się zbliżał, maniacko potrząsając grzechotkami. D'Agosta widział coraz więcej błysków ostrej stali w fałdach ciemnych szat. Bertin nagle zamilkł, twarz miał bladą i drżącą.

Tłum napierał.

D'Agosta przełknął ślinę. Konfrontacja nie wchodziła w grę. Gdyby otworzyli ogień, przy odrobinie szczęścia mogliby utorować sobie drogę, pod warunkiem że nikt z tłumu nie miał broni; ale wtedy spędziliby resztę życia w sądzie.

– Wychodzimy – zdołał wykrztusić. Obejrzał się na pozostałych. – Idziemy.

Charrière zastąpił mu drogę. Tłum zacisnął się wokół nich jak imadło.

– Nie chcemy walki – oświadczył D'Agosta. Lekko oparł rękę na broni służbowej.

– Teraz już za późno – odparł kapłan i jego głos nagle nabrał mocy. – Jesteście profanami, plugastwem. Tylko całkowite oczyszczenie zmyje plamę.

– Oczyszczyć kościół! – krzyknął jakiś głos, a inne podjęły jak echo: – Oczyszczyć kościół!

D'Agosta jednym palcem odpiął zatrząsk kabury, przeprowadzając w myślach szybkie obliczenie. Glock 19 miał magazynek na piętnaście naboji; to wystarczyłoby, żeby wyrąbać sobie drogę przez każdy zwyczajny tłum. Ale ten tłum bynajmniej nie był zwyczajny. Porucznik

mocniej ścisnął kolbę pistoletu i głęboko zaczerpnął powietrza.

Nagle Pendergast zrobił krok w stronę Charrière'a.

– Co to jest?

Jego ręka śmignęła jak błyskawica i wyrwała coś z rękawa najwyższego kapłana. Podniósł ten przedmiot do góry i oświetlił latarką.

– Popatrzcie! *Arrêt* z fałszywym podwójnym skretem, wykonany podwójną spiralą. Amulet przeciwko fałszywym przyjaciołom! Panie Charrière, dlaczego pan to nosi, skoro jest pan kapłanem tych ludzi? Dlaczego pan się ich boi?

Odrzucił się do tłumu, potrząsając małym nastroszonym fetyszem.

– On was podejrzewa! Widzicie?

Obrócił się z powrotem do Charrière'a.

– Dlaczego pan nie ufa tym ludziom?

Z rykiem Charrière skoczył na niego, unosząc laskę; lecz agent FBI tak zwinnie wykonał unik, że kapłan poleciał do przodu i wystarczył krótki kopniak, żeby rozciągnął się na podłodze. Gniewny pomruk wezbrał w tłumie. Bossong szybko podszedł i pomógł kapłanowi się podnieść, z twarzą wykrzywioną gniewem i nienawiścią.

– Ty łajdaku! – rzucił w stronę Pendergasta.

– Z pewnością na nas już pora – mruknął Pendergast. D'Agosta złapał przedni uchwyt podłużnego pojemnika na dowody, Perez podniósł drugi koniec i ruszyli pędem, wybijając sobie przejście pojemnikiem jak taranem. Zaskoczony tłum się rozproszył. Wolną ręką D'Agosta wyciągnął glocka z kabury i strzelił w powietrze, budząc niezliczone echa w sklepionej sali.

– Idziemy! Ruchy!

Włożył broń do kabury, złapał Bertina za kołnierz i powłókł za sobą. Pędzili do wyjścia, roztrzaskując ludzi. Błysnął nóż, ale Pendergast nagłym ruchem obalił niedoszedłego napastnika.

Wypadli za drzwi, a tłum wylał się za nimi. D'Agosta ponownie wystrzelił w powietrze.

– Cofnąć się!

Teraz już dziesiątki noży zabłyśły słabo w gasnącym świetle dnia.

– Do samochodów! – krzyknął D'Agosta. – Już!

Władowali się do środka, wrzuciwszy pojemnik na dowody na tył furgonetki i wepchnąwszy tam jagnię. Furgonetka ruszyła z piskiem opon, zanim zdążyli zamknąć drzwi, radiowóz pomknął za nią, obsypując fontanną żwiru wrzeszczący motłoch. D'Agosta usłyszał jęk dochodzący z tylnego siedzenia. Odwrócił się i zobaczył, że Bertin, blady i roztrzęsiony, ściska klapę marynarki Pendergasta. Agent wyjął coś z kieszeni: jeden z tych dziwnych haczykowatych przyborów, które leżały na ołtarzu. Widocznie zwędził go w trakcie zamieszania.

– Pan jest ranny? – wysapał D'Agosta do Bertina. Serce mu waliło i nie mógł złapać tchu.

– Ten *hungan*, Charrière...

– Co?

– On zebrał próbki...

– Że co?!

– Próbki ode mnie, od nas wszystkich... włosy, ubranie... nie widzieliście? Słyszeliście jego pogrożki. *Maleficia*, zaklęcie śmierci. Poznamy je, poczujemy. Wkrótce. – Francuz wyglądał, jakby umierał.

D'Agosta odwrócił się energicznie. Rany, ile tych bzdur musiał znosić, kiedy pracował z Pendergastem.

41.

– Co podać, złotko? – zapytała przepracowana kelnerka, opierając łokieć na biodrze i trzymając otwarty bloczek i długopis w pogotowiu.

D'Agosta odepchnął menu na bok.

– Kawa, czarna, i owsianka.

Kelnerka spojrzała przez stół.

– A dla pani?

– Naleśniki z jagodami – powiedziała Hayward. – I proszę podgrzać syrop.

– Zrobi się – rzuciła kelnerka, zamknęła bloczek i obróciła się na pięcie.

– Chwileczkę – powiedział D'Agosta.

To wymagało namysłu. Odkąd pamiętał, kiedy mieszkali razem, Laura Hayward zamawiała – albo przyrządzała – naleśniki z jagodami tylko z dwóch powodów. Miała wyrzuty sumienia, że za dużo pracuje i go zaniedbuje. Albo miała ochotę się kochać. Każda z tych możliwości wyglądała nieźle. Czyżby Laura dawała mu sygnał? Ostatecznie śniadanie to był jej pomysł.

– Niech będą dwa razy naleśniki – zwrócił się D'Agosta do kelnerki.

– Proszę bardzo. – I kelnerka odeszła.

– Czytałeś dzisiejszego „West Sidera”? – zapytała Hayward.

– Czytałem. Niestety.

Skandalizujący brukowiec robił wszystko, żeby doprowadzić całe

miasto do hysterii. I nie tylko „West Sider” – inne tabloidy też podniosły wrzawę. Ville przedstawiano w jeszcze bardziej makabrycznych barwach, z mnóstwem niezbyt subtelnych aluzji, że to ludzie stamtąd stoją za morderstwem „najślawniejszej reporterki” „West Sidera” Caitlyn Kidd.

Ale z największą lubością gazety rozpiszywały się o Billu Smithbacku. Głośne morderstwo Kidd popełnione przez Smithbacka, który został uznany za zmarłego i poddany autopsji; zniknięcie ciała Smithbacka z miejskiej kostnicy – to wszystko stanowiło przedmiot drobiazgowych spekulacji. I oczywiście pretekst do kolejnych mrocznych aluzji, że prawdziwymi winowajcami są mieszkańcy Ville.

W opinii D'Agosty rzeczywiście oni byli winni. Jednak pomimo narastającej wściekłości zdawała sobie sprawę, że ostatnia rzecz, jakiej potrzebuje miasto, to samosądy.

Kelnerka przyniosła mu kawę. Łyknął z wdzięcznością i ukradkiem zerknął na Laurę. Napotkał jej spojrzenie. Nie wyglądała na szczególnie roznamiętnioną czy dręczoną wyrzutami sumienia. Wyglądała na zaniepokojoną.

- Kiedy odwiedziłeś Norę Kelly?
 - Wczoraj wieczorem, jak tylko się dowiedziałem. Zaraz po zakończeniu rewizji w Ville.
 - Co się stało z ochroną, którą dla niej załatwiłeś?
- D'Agosta spochmurniał.
- Schrzanili przekazanie. Każdy z dwóch przydzielonych zespołów myślał, że ten drugi jej pilnuje. Cholerni idioci.
 - Jak się czuje Nora?
 - Trochę poobijana, kilka skaleczeń i otarć. Poważniejsze jest drugie wstrząśnienie mózgu, którego doznała. Zatrzymają ją w szpitalu co najmniej kilka dni na obserwacji.
 - Sąsiedzi się włamali?
- D'Agosta pociągnął następny łyk kawy, kiwnął głową.
- Jej krzyki ich sprowadziły. Wykopali drzwi.

- I Nora upiera się, że to był Smithback?
- Gotowa to zeznać w sądzie. Sąsiedzi tak samo.

Hayward wpatrywała się w blat stolika wykonany z imitacji marmuru.

- To jakieś niesamowite. Właściwie co się dzieje?
- Cholerna Ville się dzieje.

Na samą myśl o Norze gniew powrócił ze zdwojoną siłą. Ostatnio D'Agosta ciągle się wściekał: na Ville, na Kline'a i jego zawołowane pogróżki; na komendanta; na cholerne biurokratyczne przepisy, które krępowały mu ręce; nawet na Pendergasta z irytującą skrytością i jego nieznośnym małym kreolskim doradcą.

Hayward znowu na niego patrzyła. Niepokój na jej twarzy się pogłębił.

- Co dokładnie się dzieje w Ville?
- Nie rozumiesz? Oni stoją za wszystkim. Na pewno. Smithback miał rację.

– Czy mogę ci przypomnieć, że jak dotąd nie ustaliłeś wyraźnego związku. Smithback pisał o ich rzekomym zabijaniu zwierząt... to wszystko.

– Nie rzekomym. Słyszałem zwierzęta zamknięte w furgonetce. Widziałem noże, zakrwawioną słomę. Gdybyś to zobaczyła, Lauro... Mój Boże, te szaty, kaptury, inkantacje... Ci ludzie to fanatycy.

– Co nie znaczy, że mordercy. Winnie, potrzebujesz bezpośredniego związku.

– I mają motyw. Ten ich główny kapłan, Charrière... – Pokręcił głową. – To jest dopiero typ. Zdolny do morderstwa? Założę się.

- A ten Bertin, o którym czytałam w raporcie? Kto to jest?
- Pendergast go sprowadził. Ekspert od voodoo czy takich tam. Po mojemu zwykły szarlatan.

– Voodoo?

– Pendergast cholernie się tym interesuje. Udaje, że nie, ale to wiadać. Cholera, dla mnie może nawet wbijać szpilki w laleczki... jeżeli w ten sposób pokona Ville.

Przyniesiono naleśniki przepysznie pachnące świeżymi jagodami. Hayward polala swoją porcję syropem klonowym, wzięła widelec i po chwili go odłożyła. Nachyliła się do przodu.

– Vinnie, posłuchaj mnie. Za bardzo się wściekasz, żeby kierować tą sprawą.

– O czym ty mówisz?

– Nie jesteś obiektywny. Kochałeś Smithbacka. Jesteś wspaniałym gliną, ale powinieneś rozważyć przekazanie tej sprawy komuś innemu.

– Chyba żartujesz. Zasuwał przy tym przez okrągłą dobę, siedem dni w tygodniu.

– Właśnie o tym mówię. Urządzasz polowanie na czarownice, bo jesteś przekonany, że to sprawka ludzi z Ville.

D'Agosta odetchnął głęboko i z rozmysłem powstrzymał się od odpowiedzi, dopóki nie przelknął kęsa naleśnika.

– Czy nie powinniśmy postępować zgodnie z naszymi przekonaniami, słuchać własnych przeczuć? Sprawdzać najbardziej prawdopodobnych podejrzanych?

– Chodzi mi o to, że jesteś tak zaślepiiony gniewem, emocjami, że nawet nie bierzesz pod uwagę innych możliwości.

D'Agosta otworzył usta i znowu zamknął. Nie wiedział, co odpowiedzieć. W głębi duszy czuł, że Laura ma rację. Nie, wiedział, że ma rację. A co najgorsze, właściwie to go nie obchodziło. Śmierć Smithbacka wstrząsnęła nim, zraniła bardziej, niż mógł przypuszczać. I chciał, żeby winowajców spotkała kara.

– I co ty robisz z Pendergastem? Za każdym razem, kiedy on się pojawia, sprowadza kłopoty. On nie jest dla ciebie dobrym towarzyszem, Vinnie... trzymaj się od niego z daleka. Pracuj na własny rachunek.

– To bzdury – warknął D'Agosta. – On jest genialny. Ma wyniki. –

Owszem, ma. A wiesz dlaczego? Bo jest zbyt niecierpliwy, żeby przechodzić przez całą procedurę. Więc działa poza systemem. I ciebie też wyciąga na swoje nielegalne eskapady. A kto za to obrywa? Ty.

– Pracowałem z nim przy niejednej sprawie. Zawsze docierał do sedna, a zabójców spotykała sprawiedliwa kara.

– To znaczy sprawiedliwa według Pendergasta. Zbiera dowody w taki sposób, że wątpię, czy mógłby uzyskać dla swoich zbrodniarzy wyrok skazujący w sądzie. Może wcale nie przypadkiem wszyscy giną przed procesem.

D'Agosta nie odpowiedział. Po prostu odsunął pełny talerz. Śniadanie wyszło nie tak, jak miał nadzieję. Poczul się zmęczony – zmęczony i zagubiony.

Potem Hayward zrobiła coś, czego się nie spodziewał. Sięgnęła przez stół i wzięła go za rękę.

– Słuchaj, Vinnie. Nie chcę ci zatruwać życia. Chcę ci pomóc.

– Wiem. I doceniam to, naprawdę.

– Po prostu tak mało brakowało, żebyś stracił wszystko przy tej ostatniej sprawie Pendergasta, w którą się wpłatałeś. Teraz komendant ma cię na oku. Wiem, ile dla ciebie znaczy kariera zawodowa, i nie chcę, żebyś znowu ją narażał. Obiecuj mi przynajmniej, że nie dasz mu się zaciągnąć na kolejną nielegalną wyprawę. Ty kierujesz tą sprawą. Na koniec to ty staniesz na miejscu dla świadków, żeby zeznawać, co zrobiłeś... i czego nie zrobiłeś.

D'Agosta kiwnął głową.

– Okay.

Z uśmiechem ścisnęła jego dłoń.

– Pamiętasz, jak się poznaliśmy? – zapytał. – Ja byłem zahartowanym weteranem, wielkim złym porucznikiem.

– A ja byłem sierżantem nowicjuszem, świeżo przeniesiona.

– Właśnie. Siedem lat minęło, uwierzysz? Wtedy, na początku, trochę się tobą opiekowałem. Czuwałem nad tobą. Zabawne, jak role się zmieniają.

Wbiła wzrok w blat stolika. Lekki rumieniec zabarwił jej policzki.

– Ale wiesz co, Lauro? To mi się nawet podoba.

Za jej plecami odezwał się natarczywy, zdyszany głos:

– Czy to on?

D'Agosta spojrział ponad ramieniem Laury do sąsiedniego boksu. Chuda kobieta w białej bluzce i czarnej spódnicy odwróciła się i gapiła prosto na niego, przyciskając do policzka telefon komórkowy. Przez chwilę nie rozumiał, do kogo mówiła – do niego, do towarzysza przy stole czy do telefonicznego rozmówcy.

– To on! Poznałam go z wczorajszych wieczornych wiadomości! – Kobieta wrzuciła komórkę do torebki, wyśliznęła się ze swojego boksu i podeszła do D'Agosty. – Pan jest tym porucznikiem, który prowadzi morderstwa zombie, tak?

Kelnerka usłyszała i też podeszła.

– To on?

Chuda kobieta nachyliła się do niego, ściskając wymanikiurowanymi palcami brzeg stołu tak mocno, że knykcie jej zbieleły.

– Niech pan powie, że szybko pan to rozwiąże i wsadzi tych okropnych ludzi za kratki!

Teraz włączyła się starsza kobieta, która podsłuchiwała rozmowę.

– Proszę, panie oficerze – zaczęła błagalnie, tuląc w ramionach koszyk, z którego wyglądał yorkshire terrier wielkości szczura. – Nie mogę spać po nocach. Ani moi przyjaciele. Miasto nic nie robi. Musicie to powstrzymać!

D'Agosta przenosił wzrok z jednej na drugą, zdumiony i oniemiały. Nic takiego nigdy go nie spotkało, nawet przy głośnych sprawach. Nowojorczyki zwykle byli zblazowani, obojętni, lekceważący. Ale ci ludzie... strach w ich oczach i napięcie w głosach nie dawały się ukryć.

Obdarzył chudą kobietę swoim najlepszym krzepiącym uśmiechem.

– Robimy, co w naszej mocy, psze pani. To już nie potrwa długo, obiecuję.

– Mam nadzieję, że pan dotrzyma słowa! – Kobieta cofnęła się, mówiąc z ożywieniem do pozostałych.

D'Agosta zerknął na Laurę. Odwzajemniła spojrzenie równie zaskoczona jak on.

– Ciekawe – powiedziała wreszcie. – Ta sprawa rozkręca się naprawdę szybko, Vinnie. Lepiej uważaj na siebie.

– Idziemy? – zapytał, wskazując drzwi.

– Idź pierwszy. Ja chyba zostanę i dopiję kawę.

Położył dwudziestkę na stole.

– Spotkamy się po południu w aneksie z dowodami?

Kiedy kiwnęła głową, odwrócił się i – jak najdelikatniej – przecisnął się przez tłumek zaniepokojonych ludzi.

42.

D'Agosta nie cierpiał nowego aneksu na dowody w podziemiach komendy głównej policji. To miejsce i wszystkie związane z nim procedury zostały zmodernizowane, kiedy sąd oddalił kolejną sprawę z powodu błędu w zbieraniu materiału dowodowego, i teraz trudniej było się tam dostać niż do Fort Knox.

D'Agosta wręczył dokumenty sekretarce siedzącej za kuloodporną szybą, po czym on, Hayward, Pendergast i Bertin odstali swoje w poczekalni – bez krzeseł, bez czasopism, tylko z portretem gubernatora na ścianie – podczas gdy trwała papierkowa robota. Po piętnastu minutach pojawiła się dziarska kobieta, pomarszczona jak mumia, a jednak tryskająca energią, z krótkofalówką w rękę, rozdała wszystkim plakietki i bawełniane rękawiczki.

– Tędy proszę – rzuciła zwięźle, wyraźnym głosem. – Nie rozdzierać się. Nie dotykać niczego.

Ruszyli za nią przez pusty korytarz, oświetlony jarzeniówkami, pomiędzy szeregami pomalowanych, ponumerowanych stalowych drzwi. Szli i szli bez końca. Wreszcie kobieta zatrzymała się przed którymiś drzwiami, przesunęła kartę przez czytnik zamka i z maszynową precyzją wstukała kod na klawiaturze. Drzwi otworzyły się szeroko. Wewnątrz pod trzema ścianami ustawiono szafki na dowody, a pośrodku stał stół pokryty laminatem i jaskrawo oświetlony. W dawnych czasach dowody wyłożono by już na stole. Teraz leżały tam fotografie obok spisu dowodów. Musieli zgłosić zapotrzebowanie na konkretne pozycje

– koniec ze szperaniem i przerzucaniem.

– Stańcie za stołem – rozkazał energiczny głos.

Weszli gęsiego i zrobili, co im kazano, Hayward, Pendergast i irytujący Bertin. D'Agosta wyczuwał dezaprobatę Laury. Protestowała przeciwko obecności Bertina – frak i laska berło nie zrobiły dobrego wrażenia – ale jego tymczasowe referencje z FBI były w porządku. Mały człowieczek wyglądał niechlujnie, twarz miał bladą, na skroniach krople potu.

– No dobrze – powiedziała kobieta, stając przy stole. – Robiliśmy to już przedtem?

D'Agosta milczał. Reszta wymamrotała:

– Nie.

– Możecie zażądać tylko jednego zestawu dowodów naraz. Tylko ja mogę dotykać dowodów, chyba że chcecie przeprowadzić oględziny z bliska... powinnam dodać, że trzeba wcześniej uzyskać zezwolenie. Testy można zamówić, składając podanie na piśmie. A więc na tej liście znajdują się wszystkie dowody zebrane podczas rewizji, a także inne dowody w tej sprawie. Jak widzicie, zostały sfotografowane. A więc – jej twarz o mało nie popękała w uśmiechu – co chcielibyście obejrzeć?

– Najpierw – powiedział Pendergast – proszę wyjąć dowody, które zabraliśmy z krypty Colina Fearinga.

Po chwili zwłoki pojawiła się maleńka papierowa trumienka zawierająca fałszywy szkielec.

– Co teraz? – zapytała kobieta.

– Chcielibyśmy zobaczyć skrzynię z Ville i jej zawartość – oświadczył D'Agosta. – To zdjęcie, tutaj.

Kobieta przesunęła lakierowanym paznokciem po liście, stuknęła w numer, odwróciła się, podeszła do jednej z szafek na dowody, otworzyła szufladę, wysunęła tacę.

– Trochę dla mnie za duże – orzekła.

D'Agosta zrobił krok.

– Pomogę pani.

– Nie. – Kobieta połączyła się z kimś przez krótkofalówkę. Po kilku minutach wszedł krzepki strażnik i pomógł jej przenieść kufer na stół, po czym stanął w kącie.

– Proszę go otworzyć i wyłożyć zawartość – podjął D'Agosta.

Nie zdążył porządnie go obejrzeć, kiedy go wywozili z Ville.

Z denerwującą ostrożnością kobieta uniosła wieko i zaczęła wyjmować przedmioty owinięte w skóry, które starannie układała na blacie.

– Proszę je rozwinać – zażądał D'Agosta.

Każdy przedmiot rozwinięto pieczołowicie niczym obiekt muzealny. Ukazał się komplet noży, co jeden to dziwniejszy, groźniejszy i bardziej egzotyczny. Ostrza miały wymyślnie zakrzywione, karbowane i ząbkowane, rękojeści z drewna lub kości intarsjowane w dziwaczne wzory i zawijasy. Ostatni rozpakowany przedmiot okazał się nie nożem, tylko grubym kawałkiem drutu, wygiętym w fantastyczny kształt, z kościaną rączką na jednym końcu i hakiem na drugim; czubek haka był ostry jak brzytwa. Przyrząd wyglądał dokładnie jak ten, który Pendergast zwał z ołtarza.

– Noże ofiarne z *vévé* – powiedział Bertin i cofnął się o krok.

D'Agosta obejrzał się na niego z irytacją.

– Wejwej?

Bertin zakaszłał, zakrywając ręką usta.

– Na trzonkach – wyjaśnił słabym głosem – są *vévé*, znaki *loa*.

– A co to jest *loa*?

– Demon albo duch. Każdy nóż reprezentuje jednego z nich. Koliście wzory przedstawiają wewnętrzny taniec albo *danse-cimetière* tego konkretnego demona. Kiedy zwierzęta lub... inne żywe istoty są składane w ofierze *loa*, trzeba użyć noża tego *loa*.

– Krótko mówiąc, pierdoły voodoo – podsumował D'Agosta.

Mały człowieczek wyjął chusteczkę, drżącą ręką osuszył sobie skronie.

– Nie *vôdou*. *Obeah*.

Francuska wymowa Bertina jeszcze bardziej rozdrażniła D'Agostę.

– A co za różnica?

– *Obeah* jest prawdziwe.

– Prawdziwe – powtórzył D'Agosta.

Zerknął na Hayward. Jej twarz niczego nie zdradzała.

Pendergast wyciągnął z kieszeni marynarki skórzane etui, otworzył je i zaczął wyjmować po kolei: mały stojak, próbówki, szczypczyki, szpilkę, kilka buteleczek z zakraplaczami zawierających odczynniki. Wszystko układał na stole.

– Co to jest? – zapytała ostro Hayward.

– Test – padła zwięzła odpowiedź.

– Nie może pan tutaj urządzać laboratorium – warknęła. – I słyszał pan, co pani mówiła: potrzebne jest zezwolenie.

Biała dłoń wśliznęła się do kieszeni czarnego garnituru i pojawiła się ponownie z kartką. Hayward wzięła papier, przeczytała i twarz jej pociemniała.

– To wbrew przepisom... – zaczęła przypominając mumię kobieta.

Zanim zdążyła dokończyć, podsunęto jej następny papier. Wzięła go, przeczytała i nie zwróciła.

– No dobrze – powiedziała. – Od jakich przedmiotów chce pan zacząć?

Pendergast wskazał na druciany hak wygięty w skomplikowane zawijasy.

– Będę musiał to wziąć do ręki.

Kobieta ponownie spojrzała na kartkę, po czym kiwnęła głową.

Pendergast ujął hak dłońmi w rękawiczkach, obrócił, obejrzał dokładnie pod lupą i odłożył. Posługując się szpilką, z najwyższą ostrożnością zdjął kilka drobinek zaskorupałego osadu w pobliżu uchwyty i umieścił w próbówce. Wziął wacik, zwilżył płynem z buteleczki,

przetarł fragment haka i zamknął szczelnie wacik w następnej probówce. Powtórzył te czynności z kilkoma nożami, ostrzami i rękojeściami, każdy wacik powędrował do oddzielnej małej probówki. Potem wkroplił do probówek odczynniki. Tylko w pierwszej z nich wacik zmienił kolor. Wyprostował się.

– Jakie to niezwykle.

Równie szybko, jak się pojawił, sprzęt zniknął z powrotem w skórzanym pokrowcu, który został złożony, zamknięty na suwak i schowany w kieszeni marynarki.

Pendergast wygładził garnitur i skrzyżował ręce na piersiach. Wszyscy wpatrywali się w niego.

– Tak? – zapytał niewinnie.

– Panie Pendergast – syknęła Hayward – jeśli to nie sprawi panu kłopotu, zechce się pan z nami podzielić owocami swoich trudów?

– Obawiam się, że poniosłem porażkę.

– Co za szkoda – mruknęła Hayward.

– Znany jest pani Wade Davis, kanadyjski etnobotanik, i jego książka z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku: *Przejście przez mrok: Etnobiologia haitańskich zombie*?

Hayward dalej wpatrywała się w niego gniewnie, bez słowa, z ramięmi skrzyżowanymi na piersiach.

– Nader interesujące studium – oświadczył Pendergast. – Gorąco polecam.

– Na pewno je zamówię w Amazonie – burknęła Hayward.

– Badania Davisa wykazały, w skrócie, że żywą osobę można poddać zombifikacji, podając jej dwa specjalne środki chemiczne, zwykle poprzez ranę. W pierwszym, *coup de poudre*, głównym składnikiem jest tetrodotoksyna... ta sama trucizna, która występuje w japońskim przysmaku, rybie fugu. Drugi zawiera dysocjant podobny do trucizny znajdującej się w bieluniu dziedzierzawie. Szczególna kombinacja tych dwóch substancji, podawanych w dawkach zbliżonych do LD-50*

może utrzymać danego osobnika przez wiele dni w stanie bliskim śmierci, lecz zdolnego do działania, z minimalną aktywnością mózgu i pozbawionego własnej woli. W skrócie, zgodnie z tą teorią za pomocą określonych chemikaliów można stworzyć prawdziwego zombie.

* LD-50 (*Lethal Dose 50%*) – termin w toksykologii określający dawkę substancji toksycznej, określanej w miligramach na kilogram masy ciała, potrzebnej do uśmiercenia 50% badanej populacji.

– I znalazł pan te chemikalia? – zapytała krótko Hayward.

– To właśnie dziwne. Nie znalazłem... ani tutaj, ani podczas niezależnych testów, które przeprowadziłem w Ville. Muszę wyznaczyć, że jestem zdumiony... i rozczarowany.

Hayward odwróciła się niegrzecznie.

– Proszę o następną partię dowodów. Straciliśmy już na to dość czasu.

– Znalazłem jednak – dodał Pendergast – ludzką krew na tym haku.

Zapadła cisza.

D'Agosta chrząknął i odwrócił się do zasuszonej kobiety.

– Chcę przeprowadzić test DNA na tym haku, wyniki przepuścić przez bazy danych, zbadać też na obecność ludzkiej tkanki. Właściwie chcę, żeby te wszystkie instrumenty zbadać na obecność ludzkiej i zwierzęcej krwi. Proszę dopilnować, żeby z rękojeści zdjęto odciski palców... chcę mieć w protokole, kto ich dotykał. – Zwrócił się do Pendergasta: – Jak myślisz, do czego służył ten paskudny hak?

– Wyznam, że nie mam pojęcia. Monsieur Bertin?

Odkąd weszli do pomieszczenia, Bertin coraz bardziej się denerwował. Teraz odciągnął Pendergasta na bok.

– *Mon frere*, nie mogę dłużej – zaszeptał natarczywie. – Jestem chory, mówię ci... chory! To robota tego *hungana*, Charrière'a. Jego zakłęcie śmierci... jeszcze tego nie czujesz?

– Czuję się świetnie.

Hayward przeniosła spojrzenie z nich dwóch na D'Agostę. Pokręciła głową.

– Musimy wyjść – nalegał Bertin. – Musimy wrócić do domu. Potrzebuję syropu... syropu do picia! Wiem, że masz trochę! Nic innego mi nie pomoże.

– *Du calme, du calme, maître.* Już niedługo. – Potem znowu odwrócił się do grupy i powiedział głośniejszym głosem: – Zechce pan teraz obejrzeć ten hak, monsieur?

Po chwili Bertin niechętnie podszedł, nieufnie pochylił się nad przedmiotem, powąchał. Pocił się teraz obficie, twarz miał ziemistą. Rzęził głośno jak stare dudy.

– Bardzo dziwne. Jeszcze nigdy nie widziałem czegoś takiego.

Kolejne pociągnięcie nosem.

– A ta miniaturowa trumienka, którą wyjęliśmy z krypty Fearinga? Robota tej samej sekty?

Bertin ostrożnie zrobił krok w stronę trumienki. Wieko było teraz zamknięte: zrobione z kremowego papieru, ozdobione wizerunkami czaszek i piszczeli, ręcznie namalowanych czarnym tuszem. Zostało misternie poskładane jak origami, żeby dokładnie pasować na trumienkę z papier-mâché.

– *Vévé* narysowane na wieku – zagadnął Pendergast. – Do którego *loa* należą?

Bertin pokręcił głową.

– W ogóle nie znam tych *vévé*. Domyślam się, że to sekretne, osobiste, stosowane tylko przez jedną sektę *obeah*. Bardzo dziwne. Nigdy nie widziałem niczego podobnego.

Wyciągnął rękę – cofnął ją, kiedy podobna do mumii kobieta cmoknęła wysuszonym językiem – potem znowu sięgnął i zdjął wieko.

– Proszę to odłożyć – natychmiast zażądała kobieta.

Bertin obrócił wieko w palcach, wpatrując się z bliska i mamrocząc pod nosem.

– Panie Bertin – ostrzegła Hayward.

Bertin jakby nie słyszał. Obracał w rękach małą papierową konstrukcję na wszystkie strony i ciągle coś mamrotał. A potem nagłym ruchem przedarł ją na pół.

Szarawy proszek posypał się spomiędzy załamania papieru na spodnie i buty Bertina.

Kilka rzeczy stało się jednocześnie. Bertin zatoczył się do tyłu, kwicząc z zaskoczenia i przerażenia. Wstążki papieru pofrunęły na boki. Zaszuszone staruszka rzuciła się za nimi, wykrzykując przekleństwa. Krzepki strażnik chwycił Bertina za kołnierz i wywlókł z pokoju. Pendergast przyklęknął z szybkością atakującego węża, wyłuskał z kieszeni małą próbkę i zaczął do niej zmiatać drobinki szarego proszku. A Hayward stała pośrodku tego zamieszania z założonymi rękami, spoglądając na D'Agostę, jakby chciała powiedzieć: „A nie mówiłam? A nie mówiłam?”.

43.

Proctor wjechał rollsem na pusty parking za boiskiem baseballowym na skraju Inwood Park Hill i zgasił światła. Pendergast i D'Agosta wysiedli. Proctor też wysiadł, obszedł samochód, otworzył bagażnik i wytaszczył długą brezentową torbę zawierającą narzędzia, plastikowy pojemnik na dowody i wykrywacz metalu.

– Myślisz, że możemy tu zostawić samochód? – zagadnął D'Agosta z powątpiewaniem.

– Proctor go popilnuje. – Pendergast podniósł brezentową torbę i podał detektywowi. – Nie wolno się guzdrać, Vincent.

– Co ty powiesz.

D'Agosta zarzucił torbę na ramię i ruszyli przez boisko baseballowe w stronę lasu. Spojrzał na zegarek: druga w nocy. Co on wyprawia? Dopiero co przyrzekł Hayward, że więcej nie pozwoli się Pendergastowi wyciągnąć na żadne podejrzone eskapady – a teraz uczestniczy w misji porywaczy ciała w publicznym parku, w środku nocy, bez zezwolenia ani nakazu. Słowa Hayward dźwięczały mu w uszach: „Zbiera dowody w taki sposób, że wątpię, czy mógłby uzyskać dla swoich zbrodniarzy wyrok skazujący w sądzie. Może wcale nie przypadkiem wszyscy giną przed procesem”.

– Przypomnij mi jeszcze raz, dlaczego zakradamy się jak hieny cmentarne? – zapytał.

– Bo jesteśmy hienami cmentarnymi.

Przynajmniej Bertina nie ma, pomyślał D'Agosta. Mały człowieczek

wycofał się w ostatniej chwili, skarżąc się na palpacje. Panikował na całego, bo Charrière wyrwał mu kilka włosów. Za to moich włosów raczej najwyższy kapłan nie zdobył, pomyślał D'Agosta z ponurą satysfakcją: jedyna korzyść z łysiny. Przypomniał sobie scenkę, która rozegrała się w aneksie na dowody, i zmarszczył brwi.

– Czego sobie zażyczył ten twój kumpel Bertin? – zapytał. – Syropu?

– To koktajl, który mu pomaga, kiedy jest, ach, nadmiernie podniekcytowany.

– Koktajl?

– Coś w tym rodzaju. Gazowany napój cytrynowo-limonowy, wódka, roztwór kodeiny i syrop Jolly Rancher.

– Co?!

– Bertin najbardziej lubi smak arbuzowy.

D'Agosta pokręcił głową.

– Chryste. Tylko w Luizjanie mogą pić coś takiego.

– Właściwie ta mieszanka pochodzi z Houston.

Za boiskiem przeleźli przez dziurę w niskim ogrodzeniu z siatki, przecięli kawałek ugoru i zanurzyli się w las. Pendergast włączył GPS i słaby błękitnawy odblask ekranu upiornie podświetlił jego twarz.

– Gdzie dokładnie jest grób?

– Nie ma oznaczenia. Ale Wren zdradził mi jego położenie. Ponieważ dozorca właściwie nie miał rodziny i podejrzewano, że popełnił samobójstwo, nie można było pochować jego szczątków w poświęconej ziemi rodzinnego cmentarza. Dlatego pochowano go blisko miejsca, gdzie znaleziono ciało. Według relacji z pogrzebu to się odbyło niedaleko pomnika Shorakkpoch.

– Jakiego?

– To kamień upamiętniający miejsce, gdzie Peter Minuit kupił Manhattan od Indian Weckquaesgeek.

Pendergast prowadził, D'Agosta szedł za nim. Przedzierał się przez gęste zarośla idąc po kamienistym podłożu, coraz bardziej nierównym.

D'Agosta znowu się zdumiał, że nadal znajdują się na wyspie Manhattan. Grunt wznosił się i opadał. Przekroczyli mały strumyczek ledwie ciurkający w wąskim korycie, potem przebrnęli przez skalną wychodnię. Las gęstniał, drzewa zakryły księżyc i Pendergast wyjął latarkę. Jeszcze pół mili po skalistym, stopniowo opadającym terenie i nagle w kręgu żółtego światła zamajaczył duży głaz.

– Pomnik Shorakkopoch – oznajmił Pendergast, sprawdzając na GPS.

Skierował promień światła na tablicę z brązu przykręconą do głazu, informującą, że w tym miejscu w 1626 roku Peter Minuit kupił wyspę Manhattan od miejscowych Indian za świecidełka wartości sześćdziesięciu guldenów.

– Niezła inwestycja – ocenił D'Agosta.

– Fatalna inwestycja – sprzeciwił się Pendergast. – Gdyby te sześćdziesiąt guldenów zainwestować w tysiąc sześćset dwudziestym szóstym roku na pięć procent odsetek składanych, obecna suma znacznie przekroczyłaby wartość gruntów na Manhattanie. – Przerwał i poświecił latarką w ciemność. – Według naszych informacji ciało pochowano dwadzieścia dwa pręty* na północ od tulipanowca, który niegdyś rósł przy tym pomniku.

* 1 pręt = 5,03 m.

– Pniak został?

– Nie. Drzewo wykarczowano w tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim roku. Ale Wren znalazł dla mnie starą mapę, która podaje lokalizację drzewa osiemnaście jardów na południowy zachód od pomnika. Wprowadziłem już te dane do GPS.

Pendergast ruszył na południowy zachód, uważnie wpatrując się w urządzenie.

– Tutaj. – Odwrócił się na północ. – Dwadzieścia dwa pręty. – Nacisnął kilka guzików na GPS. – Chodź za mną.

Zanurzył się w mrok, sam niemal jak zjawa w swoim czarnym garniturze. D'Agosta podążył za nim, poprawiwszy ciężką torbę na ramieniu. Czuł zapach bagna i nadrzecznych błot przy Spuyten Duyvil. Wkrótce dostrzegł przez liście światła wysokiego apartamentowca na skarpie Riverdale, po drugiej stronie rzeki. Nagle drzewa się skończyły i przed nimi otworzyła się łąka porośnięta splątaną trawą, opadająca do kamienistej plaży w kształcie półksiężyca. Dalej woda kłębiła się i wirowała, w górze pędziły łukiem światła autostrady imienia Henry'ego Hudsona, a budynki na drugim brzegu odbijały się w wezbranej rzece, rozmigotane i drgające. Kłęby mgły dryfowały nisko nad powierzchnią, z oddali dobiegał warkot motorówki.

– Zaczekaj chwilę – mruknął Pendergast, przystając na skraju drzew.

Łódź policyjna powoli płynęła po Spuyten Duyvil, prześlizgując się jak duch wśród mgły. Reflektor zamontowany na dachu przeczesywał brzeg. Kucnęli, kiedy snop światła przesunął się nad nimi i zanurzył pomiędzy drzewa.

– Chryste – mruknął D'Agosta – chowam się przed własnymi cholernymi ludźmi. To wariactwo.

– To jedyne rozwiązanie. Masz pojęcie, jak długo by trwało zdobycie zezwolenia na ekshumację ciała, które pochowano nie na cmentarzu, ale na terenie publicznym, i to bez świadectwa zgonu, a jedyny dowód, którym dysponujemy, to kilka artykułów w gazecie?

– Już to przerabialiśmy.

Pendergast podniósł się, wyszedł spomiędzy drzew i brodząc przez morze traw, zszedł na skraj kamienistej plaży. Na wschodzie, w połowie wysokości klifu, D'Agosta widział niewyraźnie ogromną, nieregularną bryłę kościoła w Ville sterzącą jak kiel spomiędzy drzew; w górnych oknach migotało słabe żółte światło.

Pendergast przystanął.

– Dokładnie tutaj.

D'Agosta rozejrzał się po plaży usłanej kamykami.

– Nie ma mowy. Kto chowałby ciało tutaj, na takim odsłoniętym miejscu?

– Łatwiej kopać. A sto lat temu żaden z tych budynków po drugiej stronie rzeki jeszcze nie istniał.

– No, pięknie. Jak mamy wykopać ciało na oczach całego świata?

– Jak najszybciej.

Z westchnieniem D'Agosta zrzucił torbę na ziemię, rozpiął suwak i wyciągnął kilof oraz łopatę. Pendergast skręcił razem drążki wykrywacza metalu, nałożył słuchawki, podłączył je i uruchomił urządzenie. Zaczął omiatać ziemię czujnikiem.

– Sporo tu metalu – zauważył.

Przesuwał wykrywaczem w lewo i w prawo, w lewo i w prawo, po woli idąc przed siebie. Po chwili zawrócił.

– Odbieram stały sygnał tutaj, dwie stopy w głąb.

– Dwie stopy? To strasznie płytko.

– Wren mówi, że ogólna erozja gruntu w tej okolicy wyniosła czterech stóp od czasu pochówku.

Odłożył wykrywacz metalu, zdjął marynarkę i powiesił na najbliższym drzewie, po czym chwycił kilof i z zadziwiającą energią zaczął rozbijać ziemię. D'Agosta, naciągnąwszy robocze rękawice, łopatą wybierał luźne grudy i kamienie.

Kolejny warkot zapowiedział powrót motorówki policyjnej. D'Agosta przypadł do ziemi, kiedy snop światła polizał brzeg, Pendergast szybko zrobił to samo. Kiedy motorówka przepłynęła, wstał i otrząpiał się z kurzu.

– Trochę przeszkadzają – stwierdził, ponownie sięgając po kilof.

Prostokątna jama pogłębiała się – dwanaście cali, osiemnaście. Pendergast odrzucił kilof, ukląkł i zaczął pracować rydlem. Zeskrobywał warstwy gleby, które potem D'Agosta wybierał łopatą. Z dziury buchał mdlący odór słonej morskiej wody i gnijącej ściółki.

Kiedy grób miał około dwudziestu cali głębokości, Pendergast

ponownie zbadał go wykrywaczem metalu.

– Zbliżamy się do celu.

Jeszcze pięć minut pracy i rydel zaskrobał o coś pustego w środku. Pendergast szybko odgarnął luźną ziemię i odkrył tył czaszki. Dalsze skrobanie odsłoniło tylną stronę łopatki i czubek drewnianego uchwytu.

– Nasz przyjaciel chyba został pochowany twarzą do dołu – oznajmił Pendergast. Oczyszczył miejsce wokół drewnianego trzonka, wydobywając z ziemi jelec i zardzewiałe ostrze. – Z nożem w plecach.

– Myślałem, że dostał w klatkę piersiową – powiedział D'Agosta.

Przeniósł wzrok z trupa na Pendergasta. Księżyc właśnie wyłonił się zza chmur. Twarz agenta wydawała się bardzo posepna i blada.

Pracowali razem i stopniowo odsłaniali tył szkieletu. Ukazało się gnijące ubranie: para skurczonych butów odstających od kości stóp, przegniły pas, stara sprzączka i spinki do mankietów. Rozgrzebali grunt wokół szkieletu, odkryli boki, zmiotli pył ze starych brązowych kości.

D'Agosta wstał – jednym okiem zerkając na rzekę w obawie przed powrotem motorówki policyjnej – i poświecił dookoła. Szkielet leżał twarzą do dołu, ręce i nogi schludnie wyprostowane, palce u nóg zagięte do środka. Pendergast po kolei zdejmował zbutwiałe strzępy materiału przywierające do kości. Najpierw obnażył górną część szkieletu, potem ściągnął z nóg kawałki płótna i wszystko układał w pojemniku. Nóż sterczał z pleców, wbity po rękojeść przez lewą łopatkę, dokładnie nad sercem. Przyjrzawszy się z bliska, D'Agosta zauważył spore, wgłębione pęknięcie w tyle czaszki.

Pendergast nachylił się nad zaimprovizowanym grobem i zrobił serię zdjęć szkieletu pod różnymi kątami. Potem się wyprostował.

– Wyjmijmy go – powiedział.

D'Agosta trzymał latarkę, podczas gdy Pendergast podważał kości jedną po drugiej czubkiem rydla, zaczynając od stóp. Podawał je detektywowi, który wkładał je do pojemnika na dowody. Kiedy dotarł do klatki piersiowej, powoli wy dobył nóż z gleby.

– Widzisz to, Vincencie? – zapytał, wskazując.

D'Agosta skierował światło latarki na kawałek kutego żelaza, przypominający długi szpikuliec albo oścień, którego koniec zakrzywił się wokół kości przedramienia ofiary. Drugi koniec szpikulca tkwił głęboko w ziemi.

– Przybity do grobu.

Pendergast powyciągał szpikulce i dołączył je do pozostałych szczątków.

– Ciekawe. A widzisz to?

Teraz D'Agosta poświecił na kark zmarłego. Zobaczył resztki cienkiego, skręconego konopnego sznura, zaciśniętego wokół kręgu szyjnego.

– Uduşony z taką siłą – ocenił D'Agosta – że prawie mu obcięło głowę.

– Istotnie. Kość gnykowa jest niemal całkiem zmiażdżona.

Pendergast kontynuował makabryczną pracę. Wkrótce w ziemi została tylko czaszka spoczywająca twarzą do dołu. Pendergast podważył ją razem z żuchwą małym scyzorykiem, obluzował i wydobyl jako całość. Obrócił czaszkę ostrzem scyzoryka.

– O cholera. – D'Agosta cofnął się o krok.

Czaszka miała zamknięte usta, ale wewnątrz jamy ustnej wypełniała jakaś zbita, zielonkawo-biała substancja o konsystencji kredy. Z zaciśniętych zębów zwisała splątana nitka.

Pendergast podniósł nitkę, obejrzał i starannie umieścił w probówce. Potem nachylił się ostrożnie, powąchał czaszkę, nabrał na czubek palca odrobinę proszku i roztarł między dwoma palcami.

– Arszenik. Napelniono mu usta arsenikiem, a potem zaszyto wargi.

– Jezu. Co to za samobójstwo, skoro go uduşono, wbito mu nóż w plecy i napchano do ust arseniku? Przecież ludzie, którzy go pochowali, musieli zauważyć.

– Ciała pierwotnie nie pochowano w ten sposób. Nikt nie zakopuje krewnych twarzami do dołu. Po pogrzebie ktoś inny... przypuszczalnie ten, kto „reanimował” ciało... wrócił, wykopał je i przygotował w ten specjalny sposób.

– Dlaczego?

– Dość powszechna ceremonia *obeah*. Żeby go zabić drugi raz.

– Po jaką cholerę?

– Żeby na pewno, na pewno umarł. – Pendergast wstał. – Jak już zauważyłeś, drogi Vincencie, to nie był samobójca. Ani ofiara zabójstwa. Jako że został zabity dwukrotnie, po raz drugi za pomocą arszeniku i noża wbitego w plecy, nie ma żadnych wątpliwości. Po pierwszym pogrzebie ten człowiek został wykopany... wykopany w określonym celu... a kiedy osiągnięto ten cel, pochowano go ponownie, twarzą do dołu. Oto „żywy trup” z „New York Sun”, sprawca morderstw w Inwood Hill w tysiąc dziewięćset pierwszym roku.

– Twierdzisz, że ludzie z Ville porwali go albo zwerbowali, zmienili w zombie, kazali mu zabić tego architekta krajobrazu i komisarza parkowego... żeby ocalić swój kościół przed wyburzeniem?

Pendergast wskazał trupa.

– *Ecce signum.*

44.

D'Agosta upił łyk kawy i wzdrygnął się. To była dzisiaj jego piąta filiżanka, a nie minęło jeszcze południe. Nie chciał już się rujnować na Starbucksa, więc przerzucił się z powrotem na czarną smołę wytwarzaną przez prehistoryczny automat stojący w pomieszczeniu socjalnym na końcu korytarza. Popijając, zerkał na Pendergasta, który siedział w kącie zatopiony w myślach, złożywszy palce w wieżyczkę – najwyraźniej wcale niezmużony po nocnych grabarskich wyczynach.

Nagle D'Agosta usłyszał w korytarzu płaczliwy, podniesiony głos – ktoś koniecznie chciał się z nim widzieć. Głos brzmiał znajomo, ale porucznik nie od razu go skojarzył. Wstał i wysunął głowę za drzwi. Mężczyzna w sztruksowej marynarce wyklócał się z jedną z sekretarek.

Sekretarka podniosła wzrok i zobaczyła D'Agostę.

– Poruczniku, tłumaczę temu panu, że musi się zgłosić do sierżanta.

Mężczyzna się obejrzał.

– A, jest pan!

To był ten idealistyczny producent filmowy Esteban. Ze świeżym bandażem na czole.

– Nie może pan się widzieć z porucznikiem, jeśli nie był pan umówiony... – ciągnęła sekretarka.

D'Agosta przywołał go gestem.

– Shelley, przyjmę tego pana. Dzięki.

Wrócił do gabinetu, a Esteban wszedł za nim. Kiedy dostrzegł

Pendergasta siedzącego cicho w kącie, spochmurniał: ci dwaj raczej nie przypadli sobie do serca podczas pierwszego spotkania w posiadłości Estebana na Long Island.

D'Agosta ze znużeniem usiadł za biurkiem, a gość zajął krzesło naprzeciwko. Porucznikowi od początku coś się nie podobało w tym człowieku. Sprawiał wrażenie zadufanego w sobie hipokryty.

– O co chodzi? – zapytał D'Agosta.

– Zostałem napadnięty – oświadczył Esteban. – Proszę spojrzeć! Zaatakowano mnie nożem!

– Zgłosił pan to policji?

– A niby co ja właśnie robię, do cholery?

– Panie Esteban, jestem porucznikiem w wydziale zabójstw. Chętnie skieruję pana do oficera dochodzeniowego...

– Przecież to próba zabójstwa, zgadza się? Zaatakował mnie zombie.

D'Agosta zamarł. Pendergast powoli uniósł głowę.

– Przepraszam... zombie? – zapytał D'Agosta.

– Właśnie. Albo ktoś zachowujący się jak zombie.

D'Agosta podniósł rękę i nacisnął guzik interkomu.

– Shelley? Potrzebuję tu zaraz oficera dochodzeniowego, żeby przyjął zeznanie.

– Jasne, poruczniku.

Gość znowu próbował coś mówić, ale D'Agosta uciszył go gestem. Po chwili wszedł funkcjonariusz z magnetofonem cyfrowym. D'Agosta wskazał mu ostatnie wolne krzesło.

Funkcjonariusz włączył nagrywanie i D'Agosta opuścił rękę.

– W porządku, panie Esteban. Wysłuchajmy pańskiej historii.

– Wczoraj wieczorem pracowałem do późna w biurze.

– Adres?

– Zachodnia Trzydziesta Piąta Ulica pięćset trzydzieści trzy, obok Centrum Konferencyjnego Javitsa. Wyszedłem około pierwszej w nocy.

Ta część miasta jest o tej porze wymarła. Szedłem na wschód Trzydziestą Piątą, kiedy się zorientowałem, że ktoś za mną idzie. Obejrzałem się i on wyglądał jak włóczęga, pijany albo może naćpany, zataczający się, w łachmanach. Wydawał się zamroczony, więc nie zwróciłem na niego uwagi. Dochodziłem już do rogu Dziesiątej Alei, kiedy usłyszałem za sobą hałas; odwróciłem się i dostałem w głowę nożem. Dzięki Bogu ostrze się ześliznęło. Ten człowiek... albo stwór... próbował mnie dźgnąć jeszcze raz. Ale ja dbam o kondycję i na studiach uprawiałem boks, więc sparowałem cios i skontrolowałem. Mocno. Wyprowadził następny cios, ale ja już byłem gotowy i zwałem go z nóg. Podniósł się, złapał nóż i uciekł chwiejnym krokiem.

– Potrafi pan opisać napastnika? – zapytał Pendergast.

– Aż za dobrze. Twarz miał spuchniętą i obrzmiałą. Ubranie podarte, poplamione czymś, może krwią. Włosy brązowe, zmierzwiłone, sterzące na wszystkie strony. Wydawał taki dźwięk, jakby... – Esteban przerwał, zastanowił się. – Prawie jak woda zasysana do odpływu. Wysoki, chudy, kanciasty, niezgrabny. Około trzydziestu pięciu lat. Brudne ręce, ze smugami jakby zaschniętej krwi.

Colin Fearing, pomyślał D'Agosta. Albo Smithback.

– Może pan podać dokładny czas?

– Spojrzałem na zegarek. Była pierwsza jedenaście w nocy.

– Jacyś świadkowie?

– Nie. Poruczniku, ja wiem, kto za tym stoi.

D'Agosta czekał.

– Ci z Ville chcieli mnie dopaść, odkąd tylko poruszyłem sprawę ofiar ze zwierząt. Udzieliłem wywiadu temu reporterowi, Smithbackowi... potem on został zamordowany. Przez zombie albo kogoś przebranego za zombie, jak pisały gazety. Potem udzieliłem wywiadu tej drugiej reporterce Caitlyn Kidd... i ją też zabił tak zwany zombie. A teraz prześladują mnie!

– Prześladują pana zombie – powtórzył D'Agosta możliwie neutralnym tonem.

– Słuchaj pan, nie wiem, czy są prawdziwi, czy fałszywi. Chodzi o to, że pochodzą z Ville! Coś trzeba zrobić... i to zaraz. Ci ludzie nie podlegają żadnej kontroli, podrzynają gardła niewinnym zwierzętom, a teraz wykorzystują pogańskie ceremonie, żeby mordować osoby, które sprzeciwiają się tym praktykom. A tymczasem Nowy Jork nie kiwnie palcem, chociaż ci mordercy zajmują na dziko miejskie tereny!

Teraz podszedł Pendergast, który dotąd siedział niezwykle cicho podczas tej wymiany zdań.

– Tak mi przykro, że pan został ranny – powiedział i nachylił się troskliwie, żeby obejrzeć opatrunek Estebana. – Czy mogę...? – Zaczął odwijać bandaż.

– Wolałbym nie.

Ale bandaż już został zdjęty. Pod spodem znajdowało się dowodowe skaleczenie z kilkoma szwami. Pendergast kiwnął głową.

– Miał pan szczęście, że nóż był ostry, a cięcie czyste. Posmaruje pan to neosporinem i nawet nie zostanie blizna.

– Szczęście? Ten stwór o mało mnie nie zabił!

Pendergast założył z powrotem bandaż i cofnął się za biurko.

– I nic dziwnego, że atak nastąpił właśnie teraz – ciągnął Esteban. – Powszechnie wiadomo, że planuję marsz protestacyjny przeciwko okrucieństwu wobec zwierząt w Ville... mam zezwolenie na demonstrację na dzisiejsze popołudnie i gazety o tym pisały.

– Zdaję sobie z tego sprawę – powiedział D'Agosta.

– Najwyraźniej próbują mnie uciszyć.

D'Agosta nachylił się do przodu.

– Czy ma pan jakieś konkretne informacje wskazujące na związek Ville z tym atakiem?

– Każdy idiota widzi, że wszystko wskazuje na Ville! Najpierw Smithback, potem Kidd, a teraz ja.

– Obawiam się, że to nie jest takie oczywiste – odezwał się Pendergast.

– Jak to?

- Dziwi mnie, dlaczego nie zaczęli od pana.
Esteban rzucił mu wrogie spojrzenie.
- O co panu chodzi?
- Pan od początku był podżegaczem. Na ich miejscu zabiłbym pana od razu.
- Próbuje pan się wymądrzać?
- Ależ skąd. Mówię tylko o rzeczach oczywistych.
- Więc pozwoli pan, że też powiem rzecz oczywistą: macie tam w Inwood bandę dzikich osadników morderców i ani gliny, ani władze miejskie nic z tym nie robią. No, pożałują, że się na mnie porwali. Przyjdźcie po południu, narobimy takiego szumu, że będziecie musieli się ruszyć.

Wstał.

- Musi pan przeczytać i podpisać zeznanie – powiedział D'Agosta.
Z westchnieniem irytacji Esteban zaczekał, aż zeznanie zostało wydrukowane, przeczytał je szybko i nabazgrał podpis. Ruszył do drzwi, potem odwrócił się i wymierzył w nich palec, drżący od gniewu i oburzenia.
- Dzisiaj wszystko się zmieni. Mam już po dziurki w nosie tej bezczynności, podobnie jak wielu nowojorczyków.
Pendergast uśmiechnął się i dotknął czoła palcem.
- Neosporin raz dziennie. Czyni cuda.

45.

D'Agosta i Pendergast stali na rogu Dwieście Czternastej Ulicy i Seaman Avenue, obserwując pochód. D'Agostę zdziwiła niewielka frekwencja – oceniał tłum na jakieś sto osób, może mniej. Harry Chislett, zastępca szefa tego okręgu, pojawił się i kiedy zobaczył rozmiar demonstracji, odjechał. Wszystko przebiegało w uporządkowany sposób, cicho, grzecznie, spokojnie, niemal sennie. Żadnych gniewnych okrzyków, żadnego napierania na policyjne barykady, żadnych kamieni czy butelek wylatujących nie wiadomo skąd.

– Wygląda jak reklama z katalogu L.L. Beana* – zauważył D'Agosta, mrużąc oczy w blasku pogodnego jesiennego dnia.

* L.L. Bean – popularna w Stanach Zjednoczonych sieć sprzedaży wysyłkowej specjalizująca się w taniej odzieży i obuwiu.

Pendergast z założonymi rękami opierał się o latarnię.

– L.L. Bean? Nie znam tej marki handlowej.

Pochód okrążył róg Zachodniej Dwieście Czternastej Ulicy i skierował się do Inwood Park Hill, wymachując transparentami i skandując chórem. Na czele kroczył Alexander Esteban, nadal z bandażem na czole, a obok drugi mężczyzna.

– Co to za facet trzymający się za ręce z Estebanem? – zapytał D'Agosta.

– Richard Plock – odparł Pendergast. – Dyrektor Stowarzyszenia Ludzie dla innych Zwierząt.

D'Agosta z zaciekawieniem przyjrzał się dyrektorowi. Plock był młody, najwyżej trzydziestoletni, biały, miękki i otyły. Maszerował z determinacją, pracowicie przebierał krótkimi nóżkami, stawiając stopy palcami na zewnątrz, wymachiwał pulchnymi ramionami, sztywno prostując dłonie, z twarzą zaciętą w uporze. Pocił się nawet w koszuli z krótkim rękawami, pomimo jesiennego chłodu. W przeciwieństwie do Estebana Plock nie miał ani odrobiny charyzmy. A jednak otaczała go aura żarliwej wiary, która zrobiła wrażenie na detektywie: oto człowiek niezachwianie wierzący w słuszność swojej sprawy.

Za dwoma przywódcami maszerował szereg ludzi trzymających wielki transparent:

VILLE DO EKSMISJI!

Każda grupa miała własne hasło. Wiele transparentów oskarżało mieszkańców Ville o zamordowanie Smithbacka i Kidd. Poza tym zebrali się tu protestujący wszelkich odmian: wegetarianie, przeciwnicy noszenia futer i testowania leków na zwierzętach, religijni ekstremiści potępiający voodoo i zombie, nawet garstka działaczy antywojennych. MIĘSO TO MORDERSTWO, głosił jeden plakat; NIE JEDZ PRZYJACIÓŁ, FUTRO TO ŚMIERĆ, TORTURY ZWIERZĄT ZABIJAJĄ DUCHA. Niektórzy trzymali powiększone fotografie Smithbacka i Kidd, jedną obok drugiej, z podpisem: ZAMORDOWANI.

D'Agosta odwrócił wzrok od niewyraźnych fotografii. Dochodziła pierwsza. W brzuchu mu zaburczało.

– Niewiele się tu dzieje.

Pendergast nie odpowiedział, jego srebrzyste oczy przepatrywały tłum.

– Lunch?

– Proponuję zaczekać.

– Nic się nie stanie... ci ludzie nie chcą sobie zabrudzić nowiutkich półbucików.

Pendergast nie odrywał wzroku od demonstrantów.

– Wolałbym tu zostać, przynajmniej dopóki przemowy się nie skończą.

Pendergast nigdy nie je, pomyślał D'Agosta. Rzeczywiście nie pamiętał ani jednego wspólnego posiłku poza murami rezydencji przy Riverside Drive. Po co w ogóle pytał?

– Chodźmy za tłumem na Indian Road – zaproponował Pendergast.

To nie jest tłum, pomyślał D'Agosta. To cholerna szkółka niedzielna. Zdegustowany ruszył po chodniku za Pendergastem. Tłum zbierał się na polu obok boisk baseballowych, przy drodze do Ville. Na razie wszystko zgodnie z zezwoleniem. Policja obserwowała z daleka; schowali już z powrotem w furgonetkach sprzęt do tłumienia zamieszek, pałki i sprays z pieprzem. Z dwóch tuzinów radiowozów wyznaczonych pierwotnie do pilnowania porządku ponad połowa już odjechała, żeby wrócić do rutynowych patroli.

Demonstranci tłoczyli się, skandowali i machali transparentami. Plock wdrapał się na trybunę baseballową. Esteban stanął za nim, skrzyżował ramiona na piersiach i słuchał pełen szacunku.

– Przyjaciele i inne zwierzęta! – krzyknął Plock. – Witajcie!

Nie używał megafonu, ale jego ostry, piskliwy głos rozlegał się aż nadto wyraźnie.

Tłum przycichł, nierówne skandowanie zamarło. Ta gromada japi-szonów i zamożnych mieszczuchów jest równie skłonna do zamieszek jak babcie z kółka różańcowego, pomyślał D'Agosta. Teraz potrzebował tylko filiżanki kawy i cheeseburgera z bekonem.

– Nazywam się Rich Plock i jestem dyrektorem wykonawczym Stowarzyszenia Ludzie dla innych Zwierząt. Mam zaszczyt i przyjemność przedstawić wam głównego rzeczownika naszej organizacji. Powitajcie serdecznie Alexandra Estebana!

Tłum trochę się ożywił i kiedy Esteban wszedł na trybunę, za-brzmiały okrzyki i oklaski. Esteban z uśmiechem spoglądał na niewielką

grupkę zebranych. Pozwolił, żeby owacja trwała przez jakiś czas, po czym podniósł ręce, prosząc o ciszę.

– Przyjaciele – zaczął głębokim, dźwięcznym głosem stanowiącym całkowite przeciwieństwo głosu Plocka – zamiast wygłaszać mowę, chciałbym dzisiaj spróbować czegoś innego. Nazwijmy to ćwiczeniem kognitywnym.

Wśród tłumu powstało poruszenie oznaczające, że przyszli tu protestować, nie słuchać wykładów. D'Agosta uśmiechnął się krzywo.

– Ćwiczenie kognitywne. Uwaga, zaczynają się zamieszki.

– Chcę, żebyście wszyscy zamknęli oczy, każdy z was. Wyjdźcie na chwilę z waszego ludzkiego ciała.

Cisza.

– I wejdźcie w ciało małego jagniątka.

Znowu poruszenie.

– Urodziliście się wiosną na farmie w północnej części stanu Nowy Jork... zielone łąki, słońce, świeża trawa. Przez pierwsze tygodnie życia jesteście z matką, wolni, otoczeni czułą opieką stada. Codziennie hasacie po polach z matką i rodzeństwem, co noc odprowadzają was do bezpiecznej owczarni. Jesteście szczęśliwi, ponieważ prowadzicie życie, jakie Bóg wam przeznaczył. Na tym polega definicja szczęścia. Nie znacie strachu. Bólu. Grozy. Nawet nie wiecie, że takie rzeczy istnieją.

Potem pewnego dnia przyjeżdża diesłowska ciężarówka... wielka, obca, hałaśliwa. Brutalnie odrywają was od matki. To przerażające, niemal niepojęte doświadczenie. Kijami zaganiają was na tył samochodu. Drzwi się zatraskują. W środku cuchnie łajnem i strachem. Jest ciemno. Ciężarówka rusza z rykiem i szarpaniem. Czy możecie teraz, razem ze mną, wyobrazić sobie strach, jaki odczuwa to małe, bezradne stworzonko?

Esteban przerwał, rozejrzał się. Tłum zamilkł.

– Żałosnym beczeniem wzywacie matkę, ale ona nie przychodzi. Wołacie i wołacie, ale jej nie ma. Nie przyjdzie. Tak naprawdę... nie przyjdzie już nigdy.

Następna pauza.

– Po ponurej podróży ciężarówka się zatrzymuje. Wszystkie jagnięta zabierają z ciężarówki... oprócz ciebie. Ponieważ ty nie staniesz się jagnięcą łopatką. Nie, ciebie czeka coś znacznie gorszego.

Ciężarówka jedzie dalej. Teraz jesteś całkiem sam. W ciemności konasz ze strachu. Samotność jest dojmująca, jest biologiczna w bardzo realnym sensie. Jagnię oddzielone od trzody umiera... zawsze. I czujesz to, czujesz zgrozę silniejszą niż sama śmierć.

Ciężarówka znowu przystaje. Do środka wchodzi człowiek, owija ci szyję cuchnącym, poplamionym krwią łańcuchem. Zaciągają cię w ciemne, ciemne miejsce. To kościół, przynajmniej w pewnym sensie... ale oczywiście ty tego nie wiesz. Pełno tam ludzi i śmierdzi. Prawie nic nie widzisz w mroku. Ludzie tłoczą się wokół ciebie, śpiewają i biją w bębny. Obce twarze wyłaniają się z ciemności. Okrzyki, syczenie, grzechotki potrząsane przed twoją twarzą, tupot nóg. Twoje przerażenie nie ma granic.

Prowadzą cię do słupa i przykuwają łańcuchem. Bicie w bębny, tupot nóg, duszne, martwe powietrze... to wszystko cię otacza. Pobekujesz ze strachu, ciągle wzywasz matkę. Ponieważ tylko to jedno ci zostało: nadzieja. Nadzieja, że matka przyjdzie i zabierze cię stąd.

Zbliża się cień. To mężczyzna, wysoki, brzydki mężczyzna w masce. Trzyma coś długiego i błyszczącego. Podchodzi do ciebie. Próbujesz uciekać, ale łańcuch na szyi cię dławi. Mężczyzna chwyta cię i przewraca na ziemię, przydepnij e twój grzbiet. Inni śpiewają coraz szybciej, coraz głośniej. Wyrwasz się i piszczysz. Mężczyzna chwyta cię za sierść na łbie, szarpie do tyłu, odsłania delikatne podgardle. Błyszcząca rzecz przysuwa się, lśni w nikłym świetle. Czujesz, że naciśka na twoje gardło...

Znowu przerwał, budując napięcie.

– Poproszę was jeszcze raz, żebyście zamknęli oczy i nadal starali się wejść w ciało tego bezbronnego jagnięcia.

Znowu cisza.

– Błyszcząca rzecz naciska na twoje gardło. Nagły ruch, przeraźliwy błysk bólu... dotąd nawet nie wiedziałeś, że taki ból istnieje. Nagle nie możesz złapać tchu, dusisz się gorącą krwią. Twój mały, delikatny mózdzek nie potrafi pojąć tego okrucieństwa. Po raz ostatni żałośnie próbujesz wzywać matkę, utracone stado... te słoneczne, zielone łąki dzieciństwa... wołasz martwych braci i siostry... Ale nic się nie dzieje. Tylko powietrze bulgocze we krwi. I życie wypływa z ciebie na podłogę pokrytą zaskorupiałym łajnem, na brudną słomę. Ostatnia myśl w twojej głowie to nie jest nienawiść ani gniew, ani nawet strach. To po prostu: dlaczego? A potem – miłosiernie – wszystko się kończy.

Przerwał. Tłum milczał jak zakłęty. Nawet D'Agosta poczuł grudę w gardle. To było ckiwe, łzawe, sentymentalne, ale cholernie wzruszające.

Bez słowa – nie dodając żadnego komentarza do przemówienia Estebana, żadnego wezwania do czynu – Rich Plock zszedł z trybuny i ruszył przez pole tym samym zdecydowanym krokiem.

Tłum zawahał się na widok odchodzącego Plocka. Sam Esteban wydawał się zaskoczony, niepewny, co Plock zamierza.

Potem tłum się poruszył, podążył za Plockiem. Niski grubasek przeciął pole i wszedł na drogę do Ville. Skręcił i ruszył drogą, przyspieszając kroku.

– Oho – rzucił D'Agosta.

– Do Ville! – zawołał jakiś głos w nabierającym tempa tłumie.

– Do Ville! Do Ville! – nadeszła odpowiedź, głośniejsza, bardziej nagła.

Szmer w tłumie przerodził się w gwar, który urósł do ryku.

– Do Ville! Precz z mordercami!

D'Agosta rozejrzył się szybko. Gliniarze nadal prawie drzemali. Nikt się tego nie spodziewał. Zdawało się, że w ułamku sekundy tłum zmobilizował się i przeszedł do działania. Mała czy nie, ta grupa nie żartowała.

- Do Ville!
- Zniszczyć Ville!
- Pomścić Smithbacka!

D'Agosta wyjął krótkofalówkę i włączył.

– Mówi porucznik D'Agosta. Obudźcie się, ludzie, łapcie sprzęt! Demonstracja nie ma pozwolenia na wejście do Ville.

Tłum dalej maszerował drogą – jak przyływ, niespiesznie, lecz niepowstrzymanie. A teraz Esteban, z zaniepokojoną miną, dołączył do tłumu i przepychał się, żeby wyjść na prowadzenie.

– Precz z mordercami!

– Jeśli wejdą do Ville – krzyczał D'Agosta do krótkofalówki – głównie naprawdę wpadnie w wentylator. Dojdzie do przemocy!

W eterze wybuchł zgiełk, kiedy garstka policjantów poniewczasie próbowała nałożyć sprzęt do tłumienia zamieszek, zająć pozycje i zatrzymać tłum. D'Agosta widział, że byli zbyt nieliczni i spóźnieni – kompletnie zaskoczeni rozwojem wypadków. Setka czy sto tysięcy, nieważne – w oczach demonstrantów dostrzegał żądzę krwi. Przemówienie Estebana poruszyło ich jak nic do tej pory. Grupa wylewała się na drogę prowadzącą do Ville, coraz szybciej, tak szybko, że radiowozy nie miały szans przedrzeć się na czoło tłumu.

– Vincencie, za mną.

Pendergast ruszył szybkim krokiem przez boisko baseballowe w stronę drzew. D'Agosta natychmiast zrozumiał jego plan – przejść na skróty przez las i wyprzedzić motłoch maszerujący drogą.

- Szkoda, Vincencie, że ktoś rozwalił tę bramę do Ville... no nie?
- Nie wciskaj mi kitu, Pendergast... nie teraz.

Spoza drzew dobiegały okrzyki grupy maszerującej drogą.

Po chwili D'Agosta i Pendergast wyszli na drogę w pewnej odległości przed tłumem. Po lewej mieli ogrodzenie z siatki z rozwaloną bramą. Tłum posuwał się w szybkim tempie, pierwsze szeregi niemal biegły. Płock kroczył na czele. Estebana nigdzie nie było widać. Gliniarze

z oddziału tłumienia zamieszek zostali z tyłu, a żaden radiowóz nie mógł się przecisnąć przez ludzką ciżbę. Prasa natomiast dzielnie dostrzymywała krok demonstrantom: pół tuzina reporterów biegło po bokach z kieszonkowymi kamerami wideo w towarzystwie fotografów oraz dziennikarzy prasowych. Do wieczora katastrofa znajdzie się w dziennikach telewizyjnych i na łamach gazet.

– Zdaje się, że wypadło na nas – rzucił D'Agosta.

Oddechnął głęboko, potem wyszedł na drogę i wyciągnął odznakę. Pendergast stanął obok niego.

D'Agosta odwrócił się przodem do tłumu prowadzonego przez Plocka. Poczul się nieswojo, jakby patrzył na stado szarżujących byków.

– Obywatele! – krzyknął jak najgłośniej. – Jestem porucznik D'Agosta z Nowojorskiego Departamentu Policji! Nie macie zezwolenia, żeby iść dalej!

Tłum się zbliżał.

– Panie Plock, niech pan tego nie robi! To nielegalne i zapewniam, że zostanie pan aresztowany!

– Eksmitować ich!

– Z drogi, do cholery!

– Jeszcze krok i zostanie pan aresztowany!

Złapał Plocka, który nie stawiał oporu, ale ten gest nie zdał się na nic. Inni napływali jak fala, coraz bliżej, a on nie mógł aresztować w pojedynkę setki ludzi.

– Nie daj się – mruknął Pendergast obok niego.

D'Agosta zgrzytnął zębami.

Nagle Esteban pojawił się przy nich jak za sprawą czarów.

– Przyjaciele! – zawołał, stając twarzą do nadciągającego tłumu. – Sympatycy naszej sprawy!

Na te słowa tłum się zawahał, zwolnił.

– Do Ville!

Zaskakującym gestem Esteban objął Plocka. Potem znowu odwrócił się do tłumu i podniósł ręce.

– Nie! Przyjaciele, wasza odwaga wzrusza mnie do głębi... do głębi! Ale błagam was: nie idźcie dalej! – Nagle zniżył głos, mówiąc tylko do Plocka: – Rich, potrzebuję twojej pomocy. To przedwczesne, sam wiesz.

Plock chmurnie spojrział na Estebana. Na widok wyraźnej niezgody pomiędzy przywódcami czoło pochodu zaczęło się łamać.

– Dziękuję wam za wielkie serca! – zawołał znowu Esteban do tłumu. – Dziękuję! Ale proszę, posłuchajcie mnie! Jest czas i miejsce na wszystko. Rich i ja się zgadzamy: to nie jest czas ani miejsce, żeby wystąpić przeciwko Ville! Rozumiecie? Wyraziliśmy nasze przekonania, pokazaliśmy naszą determinację! Zademonstrowaliśmy publicznie nasz sprawiedliwy gniew! Zawstydziliśmy biurokratów i przekazaliśmy ostrzeżenie politykom! Zrobiliśmy to, po co przyszliśmy! Ale bez przemocy. Proszę, bez przemocy!

Plock milczał, z pociemniałą twarzą.

– Przyszliśmy powstrzymać zabójstwa, nie gadać! – krzyknął ktoś.

– I powstrzymamy zabójstwa! – zapewnił Esteban. – Pytam was, co nam da konfrontacja? Nie łudźmy się, ci ludzie stawiają gwałtowny opór. Mogą być uzbrojeni. Czy jesteście na to przygotowani? Jest nas tak niewielu! Przyjaciele, wkrótce nadejdzie czas, kiedy ci oprawcy zwierząt zostaną wygnani, ci mordercy jagniąt i cieląt... i dziennikarzy... zostaną przepędzeni na cztery wiatry! Ale nie dzisiaj... jeszcze nie!

Przerwał. Nagła, wyczekująca cisza sprawiała niezwykle wrażenie.

– Moi pobratymcy – podjął Esteban – zademonstrowaliście odwagę waszych przekonań. Teraz zawróćmy i pomaszerujemy z powrotem na punkt zbiórki. Tam będziemy mówić, będziemy wygłaszać przemówienia i pokażemy całemu miastu, co się tutaj dzieje! Wymierzmy sprawiedliwość... nawet tym, którzy się nie pokazali!

Tłum wyraźnie czekał, żeby Plock wyraził poparcie dla Estebana. W końcu Plock powoli, niemal niechętnie podniósł rękę.

– Powiedzieliśmy swoje! – zawołał. – Wracajmy... na razie!

Prasa cisnęła się do przodu, kamery reporterów wieczornych wiadomości filmowały, mikrofony kołysały się na wysięgnikach, lecz Esteban je odganiał. D'Agosta patrzył ze zdumieniem, jak na komendę Estebana motłoch cichnie, zawraca, odchodzi drogą, stopniowo zmienia się w tę samą spokojną grupkę co przedtem. Niektórzy nawet podnosili transparenty porzucone wcześniej podczas marszu na Ville. Ta szokująca przemiana budziła niemal podziw. Esteban rozpałił tłum i podburzył do działania – a potem w ostatniej chwili oblał go zimną wodą.

– Co jest z tym facetem, Estebanem? – zapytał D'Agosta. – Myślisz, że stchórzył, strach go obleciał?

– Nie – mruknął Pendergast wpatrzony w oddalające się plecy Estebana. – To bardzo dziwne – dodał z namysłem – że nasz przyjaciel je mięso. Jagnięcinę, gwoli ścisłości.

46.

Kiedy D'Agosta zjawił się w biurze Marty'ego Warteka, nerwowo urzędniczyzna tylko raz spojrział na jego gniewną twarz i natychmiast stał się wyjątkowo uprzejmy: pomógł mu zdjąć płaszcz, zaprowadził go na sofę i przyniósł kubek letniej kawy.

Potem wycofał się za biurko.

– Czym mogę panu służyć, poruczniku? – zapytał swoim cienkim, piskliwym głosem. – Dobrze się pan czuje?

Właściwie D'Agosta nie czuł się za dobrze – raczej parszywie. Od rana miał gorączkę, wszystko go bolało i podejrzewał, że łapie go grypa albo coś takiego. Próbował nie myśleć o nieszczęsnym Bertinie ani o urzędniku z biura ochrony zwierząt Pulchinskim, który poprzedniego dnia wyszedł wcześniej, skarżąc się na osłabienie i dreszcze. Ich dolegliwości nie miały nic wspólnego z Charrière'em i jego magicznymi sztuczkami... na pewno. Ale D'Agosta nie przyszedł tu rozmawiać o swoim samopoczuciu.

– Wie pan, co się stało podczas demonstracji wczoraj po południu, tak?

– Czytam gazety.

Rzeczywiście D'Agosta dostrzegł egzemplarze „News”, „Post” i „West Sidera” na biurku zastępcy kierownika, niezręcznie ukryte pod teczkami z urzędowymi dokumentami. Widocznie Wartek śledził na bieżąco, co się dzieje w Ville.

– Byłem tam. O mały włos nie doszło do zamieszek. I nie mówimy o bandzie lewicujących agitatorów, panie Wartek. To normalni, praworządni obywatele.

– Miałem telefon z biura burmistrza – oznajmił Wartek jeszcze bardziej piskliwym głosem. – On też wyraził swoje zaniepokojenie... nie przebierając w słowach... zaognioną sytuacją w Inwood Hill Park.

D'Agosta trochę się udobruchał. Najwyraźniej Wartek wreszcie wziął się do roboty... albo przynajmniej miał taki zamiar. Jeszcze mocniej zacisnął usta, zaognione od golenia policzki lekko drżały. Wyglądał tak, jakby właśnie dostał od szefa porządną opieprz.

– No? I co pan zamierza zrobić?

Administrator kiwnął głową szybko jak kura i wziął z biurka jakiś papier.

– Konsultowaliśmy się z naszymi prawnikami, przeglądaliśmy wcześniejsze precedensy i omawialiśmy tę kwestię na najwyższym szczeblu władz lokalowych. I ustaliliśmy, że przepis o zasiedzeniu nieruchomości nie ma zastosowania w tym wypadku, gdzie naraża się na szwank dobro publiczne. Na poparcie naszego stanowiska możemy też przytoczyć fakt odnotowany w archiwach, że miasto sprzeciwiało się zajęciu tych publicznych gruntów już sto czterdzieści lat temu.

D'Agosta rozparł się wygodniej na sofie. Widocznie telefon od burmistrza wreszcie załatwił sprawę.

– Miło mi to słyszeć.

– W dokumentach nie podano, kiedy dokładnie zaczęło się nielegalne użytkowanie tych gruntów. O ile możemy ocenić, nastąpiło to na krótko przed wybuchem wojny secesyjnej. Zatem pierwotny sprzeciw miasta całkowicie mieścił się w granicach prawa.

– Więc nie ma problemu? Zostaną eksmitowani? – Prawnicza terminologia administratora brzmiała jakoś wykrętnie.

– Oczywiście. I jeszcze nie wspomniałem panu o naszym prawnym wyjściu awaryjnym: nawet gdyby nabyli jakieś prawa do tej nieruchomości, możemy ją przejąć na zasadzie państwowego prawa do

wywłaszczenia. Dobro publiczne trzeba stawiać wyżej od indywidualnych potrzeb.

- Więc jaki mamy termin?
- Termin?
- No. Kiedy ich wyrzucamy?

Wartek z zakłopotaniem zawiercił się na krześle.

– Ustaliliśmy, że prześlemy tę sprawę naszym prawnikom, żeby sporządzili legalny nakaz eksmisji w trybie przyspieszonym.

- Czyli kiedy?
- Hm, przygotowanie podstawy prawnej, następnie proces i apelacja... zakładam, że ci ludzie złożą apelację... według mnie powinniśmy zamknąć tę sprawę za jakieś trzy lata.

W pokoju zapadło długie milczenie.

- Trzy lata?
- Może dwa, jeśli się pospieszymy. – Wartek uśmiechnął się nerwowo.

D'Agosta wstał. Nie wierzył własnym uszom. To jakiś żart.

- Panie Wartek, nie mamy nawet trzech tygodni.

Mały człowieczek wzruszył ramionami.

– Taka jest procedura prawna. Jak mówiłem burmistrzowi, utrzymywanie porządku publicznego należy do policji, nie do władz lokalnych. Odebranie komuś domu w Nowym Jorku to trudny i kosztowny proces prawny. I tak być powinno.

Gniew huczał w skroniach porucznika, mięśnie mu się napinały. Z wysiłkiem zapanował nad oddechem. Chciał powiedzieć: „To się jeszcze okaże”, ale się rozmyślił – nie ma sensu rzucać pogrózek. Zamiast tego po prostu odwrócił się i wyszedł.

Głos Warteka gonił go w korytarzu:

– Poruczniku, zamierzamy zwołać jutro konferencję prasową, żeby zapowiedzieć naszą akcję przeciwko Ville. Może wtedy sytuacja trochę się uspokoi.

- Jakoś w to wątpię – burknął D'Agosta.

47.

Laura Hayward stała w damskiej toalecie na trzydziestym drugim piętrze komendy głównej policji i przeglądała się w lustrze. Poważna, inteligentna twarz odwzajemniła jej spojrzenie. Kostium leżał bez zarzutu. Ani jeden kosmyk granatowoczarnych włosów nie wymknął się z fryzury.

Z wyjątkiem rocznego urlopu na dokończenie studiów magisterskich w nowojorskim uniwersytecie Hayward przez całe życie pracowała w policji – najpierw w policji transportowej, potem w Nowojorskim Departamencie Policji. W wieku trzydziestu siedmiu lat była najmłodszym kapitanem policji... i jedynym płci żeńskiej. Niektórzy nazywali ją karierowiczką i lizusem. Inni twierdzili, że awansowała tak szybko i tak wysoko właśnie dlatego, że była kobietą, egzemplarzem pokazowym dla postępowych frakcji w departamencie. Dawno już przestała się przejmować takim gadaniem. W gruncie rzeczy stopień niewiele dla niej znaczył. Po prostu kochała tę robotę.

Przeniosła spojrzenie z lustra na zegarek. Za pięć dwunasta. Komendant Rocker wezwał ją na dwunastą.

Uśmiechnęła się. Życie aż za często pokazywało zęby. Ale zdarzały się też dobre chwile. Teraz właśnie zapowiadała się jedna z nich.

Wyszła z toalety i ruszyła korytarzem. To prawda, nie zależało jej na awansie, ale tym razem było inaczej. Ten oddział specjalny stworzony przez burmistrza stanowił prawdziwą inicjatywę, nie jakieś bzdury wysmażone dla prasy. Od lat brakowało zaufania pomiędzy biurem

komendanta i burmistrza, brakowało współpracy na najwyższym szczeblu. Oddział specjalny miał to zmienić, jak zapewniono Laurę. Oznaczał dużo mniej biurokracji, szanse na znaczne zwiększenie wydajności departamentu. Jasne, oznaczał też gwałtowny wzlot kariery – szybką drogę do zastępcy inspektora – ale to się nie liczyło. Liczyła się okazja, żeby naprawdę czegoś dokonać.

Hayward weszła przez podwójne szklane drzwi do biura komendanta i zameldowała się u sekretarki. Niemal natychmiast pojawił się asystent i zaprowadził ją obok gabinetów i sal konferencyjnych do komendanta. Rocker siedział za dużym mahoniowym biurkiem, podpisując okólniki. Jak zawsze wydawał się wyczerpany: ciemne kręgi pod oczami zaznaczyły się jeszcze wyraźniej niż zwykle.

– Cześć, Lauro – powiedział. – Usiądź.

Zdziwiona Hayward zajęła jedno z krzesel przed biurkiem.

Rocker sztywno trzymał się protokołu i prawie nigdy nie zwracał się do nikogo po imieniu.

Rocker spojrzął na nią ponad biurkiem. Coś w wyrazie jego twarzy natychmiast wzbudziło jej czujność.

– Nie da się tego przekazać w łagodny sposób – zaczął. – Więc powiem po prostu. Nie przydzielam cię do oddziału specjalnego.

Przez chwilę Hayward myślała, że się przesłyszała. Otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale nie wydobyła z siebie żadnego dźwięku. Przełknęła z trudem, odetchnęła głęboko.

– Ja... – zaczęła i urwała. Czowała się oszołomiona, zbita z tropu, nie potrafiła sformułować składnego zdania.

– Przykro mi – ciągnął Rocker. – Wiem, jak bardzo liczyłaś na tę możliwość.

Hayward wzięła kolejny głęboki oddech. Dziwne ciepło rozlało się w jej wnętrzu. Dopiero teraz – kiedy wymarzony przydział wymknął jej się z rąk – uświadomiła sobie, jak bardzo tego pragnęła.

– Kogo pan wyznaczy na moje miejsce? – zapytała.

Rocker na chwilę odwrócił wzrok, zanim odpowiedział.

Wydawał się nietypowo zmieszany.

– Sancheza.

– Sanchez to dobry gliniarz. – Miała wrażenie, że mówi przez sen, jakby ktoś inny wypowiadał za nią jej kwestie.

Rocker kiwnął głową.

Hayward poczuła, że ręce ją bolą. Spuściła wzrok i zobaczyła, że z całej siły ściska poręczę fotela. Próbowała się uspokoić, zapanować nad sobą – z mizernym skutkiem.

– Czy zrobiłam coś źle? – palnęła.

– Nie, nie, skąd. Nie o to chodzi.

– Czy zawiodłam pana? Nie spełniłam wymagań?

– Jesteś wzorowym oficerem i dumny jestem z ciebie.

– Więc dlaczego? Brak doświadczenia?

– Uważam, że twoje magisterium z socjologii idealnie się nadaje do oddziału specjalnego. Po prostu... no cóż... taki przydział to sprawa polityczna. I okazuje się, że Sanchez ma dłuższy staż.

Hayward nie odpowiedziała od razu. Nie zdawała sobie sprawy, że w grę wchodzi kwestie stażu. W istocie myślała, że przy tym przydziale nie bierze się pod uwagę takich bzdur.

Rocker poruszył się na krześle.

– Nie chcę, żebyś myślała, że to ma jakiś związek z twoimi wynikami w pracy.

– Z pewnością znał pan nasz staż pracy, zanim zrobił mi pan nadzieję – powiedziała cicho Hayward.

Rocker rozłożył ręce.

– Faktem jest, że zasady pierwszeństwa bywają dość zawiłe. Popełniłem błąd w dobrej wierze. Przepraszam.

Hayward nie odpowiedziała.

– Będą inne możliwości... zwłaszcza dla kapitana twojego kalibru. Uwierz mi, że dopilnuję, żeby twoja ciężka praca i poświęcenie zostały odpowiednio nagrodzone.

– Cnota sama w sobie jest nagrodą, panie komendancie. Tak mówi przysłowie, prawda?

Hayward wstała i – widząc po twarzy Rockera, że nie ma jej nic więcej do powiedzenia – wyszła z gabinetu nieco chwiejnym krokiem.

Zanim drzwi windy otworzyły się w holu, Hayward odzyskała panowanie nad sobą. Przestronne, pełne ech pomieszczenie wypełniał hałas i krzątania, jak to w porze lunchu. Hayward przeszła przez punkt kontrolny i przecisnęła się przez drzwi obrotowe na szerokie schody. Nie miała przed sobą żadnego celu; po prostu chciała się przejść. Iść i nie myśleć.

Gwałtownie powróciła do rzeczywistości, kiedy ktoś mocno ją potrącił. Obejrzała się szybko. Mężczyzna, wysoki i młody, z policzkami naznaczonymi trądzikiem.

– Przepraszam – powiedział. Potem zatrzymał się i wyprostował. – Kapitan Hayward?

Zmarszczyła brwi.

– Tak?

– Co za zbieg okoliczności!

Przyjrzała mu się bliżej. Miał ciemne, zimne oczy, zaprzeczające uśmiechowi na twarzy. Szybko przejrzała w pamięci listę znajomych, kolegów, przestępców – i stwierdziła z zadowoleniem, że go nie znała.

– Kim pan jest? – zapytała.

– Nazywam się Kline. Lucas Kline.

– O jakim zbiegu okoliczności pan mówi?

– No, że idę właśnie tam, skąd pani wyszła.

– O? Czyli dokąd?

– Do biura komendanta. Widzi pani, on chce mi podziękować. – I zanim Hayward zdążyła powiedzieć coś więcej, Kline sięgnął do kieszeni, wyjął kopertę, wydobyl z niej list i rozłożył przed nią.

Sięgnęła po list, ale Kline odsunął go poza jej zasięg.

– Nie dotykać.

Hayward ponownie przyjrzała mu się zmrużonymi oczami. Potem przeniosła uwagę na list. Rzeczywiście był od komendanta Rockera, z oficjalnym nagłówkiem, datowany poprzedniego dnia i zawierał podziękowanie dla Kline'a– jako dyrektora Digital Veracity, Inc. – za właśnie ogłoszoną przez niego pięciomilionową dotację na Fundusz Dysona. Fundusz ten, świętość wśród szeregowych funkcjonariuszy Nowojorskiego Departamentu Policji, nazwano imieniem Gregga Dysona, tajniaka zabitego przed dziesięcioma laty przez handlarzy narkotyków. Założono go w celu świadczenia finansowej i emocjonalnej pomocy rodzinom nowojorskich gliniarzy, którzy zginęli na służbie.

Hayward znowu spojrzała na Kline'a. Wymijały ich strumienie ludzi wychodzących z budynku. Kline wciąż się uśmiechał.

– Bardzo się cieszę ze względu na pana – powiedziała. – Ale co to ma wspólnego ze mną?

– Wszystko.

Pokręciła głową.

– Pogubiłam się.

– Jest pani byстрыm gliną. Zgadnie pani. – Ruszył do drzwi obrotowych, potem znowu się obejrzał. – Ale dam pani wskazówkę.

Hayward czekała.

– Niech pani zapyta swojego chłopaka, Vinniego.

I kiedy Kline znowu się odwrócił, uśmiech zniknął.

48.

Nora Kelly gwałtownie otworzyła oczy. Przez chwilę usiłowała zrozumieć, gdzie jest. Potem wszystko wróciło: zapach spirytusu do dezynfekcji i złego jedzenia; brzęczyki i mamrotanie; odległe syreny. Szpital.

Leżała na łóżku, w głowie ją łupało. Kroplówka zawieszona na stojaku kołysała się w blasku księżyca, poskrzypując jak zardzewiała szyld na wietrze. Czy sama wprowadziła ją w ruch? Pewnie pielęgniarka potrąciła stojak, kiedy przed chwilą sprawdzała jej stan, podawała więcej środków uspokajających, chociaż Nora upierała się, że ich nie potrzebuje. Albo gliniarz, którego D'Agosta postawił przed drzwiami, zajrzał do środka. Spojrzała na drzwi: zamknięte.

Butelka z kroplówką kołysała się i skrzypiała niepokojąco.

Stopniowo ogarnęło ją uczucie dziwnego oderwania od rzeczywistości. Nie zdawała sobie sprawy, że jest taka zmęczona. Albo to skutek uboczny drugiego wstrząśnienia mózgu.

Wstrząśnienie mózgu. Nie chciała o tym myśleć. Ponieważ wtedy musiałaby się cofnąć do przyczyny: do ciemnej sypialni, otwartego okna i...

Pokręciła głową – ostrożnie upominała się w duchu; mocno zacisnęła powieki; potem zaczęła wykonywać głębokie, oczyszczające oddechy. Kiedy odzyskała spokój, otworzyła oczy i rozejrzała się dookoła. Znajdowała się w tym samym dwuosobowym pokoju szpitalnym, w którym leżała od trzech dni, na łóżku bliższym okna. Żaluzje w oknie

były opuszczone, a wokół łóżka stojącego przy drzwiach zaciągnięto zasłonę.

Odwróciła się i uważniej popatrzyła na drugie łóżko. Za zasłoną widziała sylwetkę śpiącego pacjenta podświetloną przez odbłask padający z łazienki. Ale czy to naprawdę ludzka sylwetka? Czy tamto łóżko nie było puste, kiedy zasypiała? Spędzała tutaj już trzecią noc – lekarze ciągle zapewniali, że przebywa tylko na obserwacji, że jutro ją wypiszą – i drugie łóżko zawsze było puste.

Stopniowo zaczęło ją ogarniać okropne wrażenie *déjà vu*. Nadsluchiwała i słyszała słaby, nierówny oddech. Rozejrzała się ponownie. Cały pokój wyglądał obco, krawędzie zdawały się wypaczone, ciemny telewizor nad jej łóżkiem wykrzywiony jak na niemieckim filmie ekspresjonistycznym.

Na pewno jeszcze śpię, pomyślała. To tylko sen. Senne odrętwienie owinęło się wokół niej jak koc, otuliło ją miękkim uściskiem.

Sylwetka się poruszyła; rozległo się westchnienie. Ciche bulgotanie flegmy. Potem ręka uniosła się powoli, rysując się na tle zasłony. Z dreszczem zgrozy Nora chwyciła się prześcieradła i próbowała cofnąć. Ale czuła się taka słaba...

Zasłona odsunęła się rozmyślnie powoli, wydając cichutki pisk, kiedy metalowe kółka prześlizgiwały się po zimnej stalowej szynie. Sparaliżowana strachem Nora patrzyła, jak wyłania się ciemna ludzka sylwetka, najpierw w cieniu – potem w blasku księżyca.

Bill.

Ta sama obrzmiała twarz, zmierzwiłone włosy, czarne sińce pod oczami, szare usta. Ta sama zaschnięta krew, brud, plugastwo. Nie mogła się ruszyć. Nie mogła krzyknąć. Mogła tylko leżeć i patrzeć, jak rozwija się ostateczny koszmar.

Postać podniosła się z łóżka, stanęła i patrzyła na nią. Bill... a jednak nie Bill, żywy, a jednak martwy. Zrobił krok do przodu. Otworzył usta pełne robaków. Wyciągnął szponiastą rękę z długimi, połamanymi

paznokciami, powoli nachylił głowę – do pocałunku...

Z krzykiem usiadła w łóżku.

Przez chwilę tylko siedziała, trzęsąc się ze strachu, dopóki nie zrozumiała z ulgą, że to naprawdę był sen. Senny koszmar podobny do ostatniego... tylko gorszy.

Położyła się znowu, złana potem, serce biło coraz wolniej, koszmar odpływał jak fala. Stojak z kroplówką się nie kołysał, telewizor wyglądał normalnie. W pokoju panowała ciemność; księżyc nie świecił za oknem. Wokół drugiego łóżka zaciągnięto zasłonę, ale nie słyszała oddechu. Łóżko było puste.

Na pewno?

Wpatrzyła się w zasłonę. Tkanina leciutko falowała. Była nieprzezroczysta i Nora nie widziała nic po drugiej stronie.

Próbowała się odprężyć. Oczywiście nikogo tam nie było. To tylko sen. A w dodatku D'Agosta zapewniał, że nikogo jej nie dokwaterują. Zamknęła oczy, ale sen nie nadszedł – zresztą właściwie nie chciała spać. Ten koszmar był taki okropny, że bała się zasnąć.

To głupie. Nawet podczas przymusowego pobytu w szpitalu źle spała. Rozpaczliwie potrzebowała wypoczynku.

Zamknęła oczy, jednak czuła się tak rozbudzona, że powieki same jej się otwierały. Upłynęła jedna minuta. Druga.

Z irytacją otworzyła oczy. Mimo woli jej spojrzenie ponownie powędrowało w stronę sąsiedniego łóżka. Zasłony znowu się poruszyły, bardzo leciutko.

Westchnęła. To tylko nadmiernie pobudzona wyobraźnia. Nic dziwnego, po takim koszmarze.

Ale kiedy zasypiała, czy zasłony nie były rozsunięte?

Nie miała pewności. Im dłużej jednak się zastanawiała, tym większego nabierała przekonania, że zasłony były przedtem rozsunięte. Z drugiej strony czuła się oszołomiona, doznała wstrząśnienia mózgu – jak mogła polegać na własnej pamięci? Zdecydowanie odwróciła się do ściany i jeszcze raz zamknęła oczy.

I jeszcze raz zasunięte, lekko falujące zasłony przyciągnęły jej spojrzenie. To tylko prądy powietrza, system wentylacji: powiew tak słaby, że go nie czuła, ale wystarczający, żeby poruszyć zasłony.

Dlaczego zasłony były zasunięte? Czy były zasunięte, kiedy zasnęła?

Usiadła tak nagle, że w głowie ją lupnęło. Głupio się zadręczać, kiedy prosta czynność rozwiąże ten problem raz na zawsze. Spuściła nogi za krawędź łóżka i wstała ostrożnie, żeby nie splątać rurki od kroplówki. Dwa szybkie kroki, wyciągnęła rękę, chwyciła zasłonę... i zawahała się. Serce nagle zaczęło jej walić ze strachu.

– Oj, Noro – powiedziała na głos – nie bądź takim tchórzem.

Szarpnęła zasłonę.

Na łóżku leżał mężczyzna, całkiem nieruchomo. Ubrany był w białą, wykrochmalony uniform sanitariusza, ramiona złożył na piersi, nogi skrzyżował w kostkach, wyglądał prawie jak mumia egipska – tylko że oczy miał szeroko otwarte, błyszczące w świetle. Patrzył prosto na nią. Bawił się nią.

W tej chwili, kiedy Nora zamarła ze strachu, mężczyzna skoczył jak kot, zatkał jej ręką usta, popchnął ją z powrotem na jej łóżko i przycisnął do pościeli.

Wrywała się, kopała, próbowała krzyczeć, ale on był bardzo silny i całkowicie ją obezwładnił. Przekręcił jej głowę na bok i zobaczyła, że w wolnej ręce trzymał szklaną strzykawkę ze stalową igłą do zastrzyków podskórnych, długą i okrutną; na czubku drżała kropelka płynu. Szybki ruch i igła wbiła się głęboko w jej udo.

Ze wszystkich sił próbowała walczyć, poruszyć się, krzyczeć – ale paraliż owładnął ją jak sukub, tym razem nie we śnie, lecz na okropnej i niezaprzeczalnej jawie, zamknął ją w nierozzerwalnym uścisku, a potem spadała, spadała, spadała w studnię bez dna, która skurczyła się do punktu granicznego... i znikła.

49.

Marty Wartek oparł spocone dłonie na krawędziach mównicy i objął spojrzeniem tłum zgromadzony na placu przed Batchelder Building, gdzie mieścił się oddział Nowojorskiego Zarządu Mieszkań. Po raz pierwszy prowadził konferencję prasową i musiał przyznać, że czuł się nieco onieśmielony, ale także przejęty i podniecony. Po prawej i lewej stronie stało kilku podwładnych – których pospiesznie ściągnął dla celów reprezentacyjnych – i kilku umundurowanych gliniarzy. Mównicę ustawiono na dolnych stopniach schodów, kable przymocowano taśmą klejącą do podstawy.

Wartek zerknął na grupkę protestujących demonstrantów, stłoczonych w rogu placu, trzymanyh w szachu przez rozstawionych wokół gliniarzy. Skandowali teraz na inną nutę, toteż liczył, że uciszą się, gdy tylko on zacznie mówić.

Odchrząknął i z satysfakcją usłyszał ten dźwięk wzmocniony przez system nagłaśniający. Rozejrzał się po uciszonym tłumie.

– Dzień dobry – zaczął. – Panie i panowie z prasy, odczytam przygotowane oświadczenie.

Zaczął czytać i nawet demonstranci ucichli. Wyjaśnił, że wszczęto postępowanie prawne. Podejście się uzasadnione działania przeciwko Ville. Niczyje prawa nie zostaną pogwałcone.

Właściwa procedura będzie przestrzegana. Na razie zaleca się spokój i cierpliwość.

Frazesy wygłaszane monotonnym tonem podziały usypiająco na

zgrają dziennikarzy. Oświadczenie było krótkie, nie więcej niż jedna strona, napisane przez komitet i ocenzone przez pół tuzina prawników. Miało tę zaletę, że nie mówiło nic, nie podawało żadnych informacji, nie zawierało żadnych obietnic, a jednocześnie sprawiało wrażenie, że uwzględni interesy wszystkich. Przynajmniej o to chodziło.

W połowie strony Wartek usłyszał od strony demonstrantów wulgarny odgłos wzmocniony przez megafon. Nie zawahał się, tylko brnął dalej, nie podnosząc wzroku. Następnym odgłos.

– Co za stek bzdur!

Podniósł głos, żeby przekrzyczeć wrzaski.

– Co ze zwierzętami?

– Co z zabójstwem Smithbacka?

– Powstrzymać morderców!

Czytał dalej silniejszym, lecz równie monotonnym głosem, z oczami wbitymi w kartkę, z łysą głową pochyloną nad mównicą.

– Gadanie, samo gadanie! Chcemy czynów!

Kątem oka widział, że kamery i mikrofony na wysięgnikach odwracają się od niego w stronę demonstrantów. Jeszcze kilka okrzyków, kłótnia, machanie transparentem odepchniętym przez gliniarza. I tyle. Próbę zakłócenia porządku opanowano; protestujących ujarzmiono. Za mało ich było, żeby zadziałała psychologia tłumu.

Wartek skończył, złożył kartkę na pół i wreszcie podniósł wzrok.

– A teraz odpowiem na pytania.

Kamery i mikrofony ponownie skierowały się w jego stronę. Pytania padały rzadko i były zdawkowe. W powietrzu wisiało rozczarowanie. Demonstranci dalej tkwili w swoim rogu, wymachiwali transparentami i wznosili okrzyki, ale już bez zapału i ruch uliczny na Chambers Street niemal zagłuszał ich głosy.

Pytania były do przewidzenia i odpowiedział na wszystkie. Tak, podejmują działania przeciwko Ville. Nie, to nie nastąpi jutro; termin zostanie określony w ramach procedury prawnej. Tak, zdawał sobie

sprawę z zarzutów zabójstwa ciężących nad grupą; nie, nie ma dowodów, śledztwo jest w toku, nikt nie został oskarżony. Tak, rzeczywiście wydaje się, że mieszkańcy Ville nie mają ważnego aktu własności tego terenu; w opinii miejskich znawców prawa nie uzyskali własności przez zasiedzenie.

Pytań padało coraz mniej. Wartek spojrzął na zegarek: za kwadrans pierwsza. Kiwnął na swoich asystentów i po raz ostatni odwrócił do dziennikarzy łysą głowę ozdobioną rzadkimi kępkami włosów.

– Dziękuję państwu, na tym zamykamy konferencję prasową.

To wywołało kolejne gwizdy i okrzyki demonstrantów:

– Samo gadanie, zero działania! Samo gadanie, zero działania!

Zadowolony z siebie Wartek wsunął kartkę do kieszeni marynarki i wszedł po stopniach. Wszystko odbyło się tak, jak miał nadzieję. Niemal widział już wieczorne wiadomości: kilka słów wyrwanych z jego przemówienia, jedno czy dwa pytania i odpowiedzi, parę chwil poświęconych demonstrantom i koniec. Zabezpieczył się ze wszystkich stron, rzucił ochłap każdej grupie wyborczej i zaprezentował poważne, nudne oblicze nowojorskiej biurokracji. Jak na Nowy Jork ta grupka protestujących była dość anemiczna. Widocznie zrobili tylko rozgrzewkę przed akcją głównej grupy. Słyszał, że zapowiada się drugi protest w sprawie Ville, znacznie większy od pierwszego, ale dzięki Bogu to nie jego działka. Dopóki nie protestowali tutaj, miał to w nosie. Jeśli w końcu spalą Ville... no cóż, to będzie wygodne rozwiązanie problemu.

Dotarł na szczyt schodów i skierował się do obrotowych szklanych drzwi z dwoma asystentami po bokach. Nadeszła pora lunchu, toteż strumienie pracowników administracji miejskiej wylewały się z ogromnego budynku i spływały po schodach. Wartek czuł się tak, jakby płynął pod prąd.

Kiedy razem z asystentami przeciskał się przez ludzką cizbę ktoś mocno go popchnął ramieniem.

– Przepraszam! – Zirytowany Wartek zaczął się odwracać, nagle

jednak poczuł coś bardzo dziwnego w boku. Odskoczył, instynktownie złapał się za brzuch i z jeszcze większym zdumieniem zobaczył, jak bardzo długi nóż wysuwa się z jego ciała, dokładnie pomiędzy zaciśniętymi dłońmi. Doznał wrażenia jednocześnie zimna i gorąca: lód w jego wnętrzu, głęboko w trzewiach; gorąco, które wylewało się na zewnątrz i w dół.

Podniósł wzrok i przelotnie dostrzegł opuchniętą, pokancerowaną twarz; brudne, lepkie włosy; popękane wargi odsłaniające zepsute zęby.

A potem obcy zniknął.

Oniemiały Wartek zatoczył się do przodu, trzymając się za bok. Tłum przepływający obok jakby się zawahał, zwolnił, ludzie wpadali na siebie.

Jakaś kobieta wrzasnęła mu prosto w ucho.

Wartek wciąż nic nie rozumiał, w głowie miał pustkę. Zrobił następny chwiejny krok.

– Auć – powiedział cicho, do nikogo w szczególności.

Następny wrzask, a potem chór podniesionych głosów, jakby ryk Niagary wypełnił powietrze. Pod Wartekiem ugięły się nogi. Słyszał niezrozumiałe krzyki, widział poruszenie wśród graniowych mundurów: policjanci gwałtownie przepychali się przez tłum. Wokół niego znowu wybuchło zamieszanie – ludzie biegali tam i z powrotem, w górę i w dół.

Z najwyższym wysiłkiem zrobił jeszcze jeden krok, a potem zgiął się wpół. Liczne dłonie podtrzymały go i łagodnie opuściły na ziemię. Znowu wrzawa, przez którą przebijało się kilka powracających słów: „Pogotowie! Lekarza! Ranny! Krwawi!”.

Marty Wartek zastanawiał się, o co im chodzi, kiedy układał się do snu. Był bardzo, bardzo zmęczony, a Nowy Jork to takie hałaśliwe miasto.

50.

Powoli dryfowała pomiędzy mrocznym snem a jawą. Przysypiała, budziła się, znowu zapadała w drzemkę. Wreszcie odzyskała całkowitą świadomość. Widziała tylko ciemność, czuła zapach pleśni i wilgotnych kamieni. Leżała przez chwilę oszołomiona. Potem wszystko powróciło i Nora jęknęła z przerażenia. Pomacała wilgotną słomę na zimnej betonowej podłodze. Spróbowała usiąść, ale jej głowa gwałtownie zaprotestowała. Położyła się znowu, walcząc z falą mdłości.

Stłumiła impuls, który nakazywał jej krzyczeć, wrzeszczeć na cały głos. Po kilku chwilach jeszcze raz spróbowała usiąść – powoli – i tym razem jej się udało. Boże, jaka była słaba. Nie widziała żadnego światła, nic, tylko ciemność. Ramię ją bolało w miejscu, gdzie przedtem tkwiła igła od kroplówki, ale żaden opatrunek nie zakrywał miejsca wkłucia.

Zrozumiała, że porwano ją ze szpitala. Ale kto to zrobił? Mężczyzna w stroju pielęgniarza był obcy. Co się stało z policjantem pilnującym jej pokoju?

Niepewnie wstała. Wyciągnąwszy przed siebie ręce, szurając nogami, ostrożnie posuwała się do przodu, aż dotknęła czegoś – wilgotnej, lepkiej ściany. Pomacała dookoła. Ścianę zbudowano z nieobrobionych kamieni połączonych zaprawą, zwietrzałych i kruchych. Widocznie znalazła się w jakiejś piwnicy.

Zaczęła macać wzdłuż ściany, przesuwając stopy po gołej podłodze. Nie natrafiała na żadne przeszkody oprócz kopczyków słomy. Dotarła

do rogu i szła dalej, odmierzając odległość w stopach. Jeszcze dziesięć stóp i natrafiła na niszę, skręciła, uderzyła we framugę, a potem w drzwi. Drewno. Pomacała na górze, potem na dole. Drewno z metalowymi okuciami i nitami.

Przez szparę w drzwiach prześwitywał słabiutki promyczek światła. Przyłożyła oko do szpary, ale konstrukcja na wpust i pióro nie pozwalały niczego zobaczyć.

Uniosła pięść; zawahała się; potem mocno uderzyła w drzwi, raz i drugi. Huk zbudził echo. Potem zapadła długa cisza i wreszcie rozległy się kroki, coraz bliższe. Przycisnęła ucho do drzwi i nasłuchiwała.

Nagle nad głową usłyszała skrobanie. Podniosła wzrok i oślepiło ją światło. Instynktownie zakryła twarz i cofnęła się o krok. Odwróciła się, zmrużyła oczy. Po dłuższej chwili wzrok jej się zaczął przyzwyczajać. Znowu się odwróciła.

– Ratunku – wychrypiała.

Brak odpowiedzi. Przelknęła ślinę.

– Czego chcesz?

Nadal brak odpowiedzi. Ale usłyszała dźwięk – ciche, miarowe terkotanie. Spojrzała w jasność. Teraz dostrzegła mały, prostokątny otwór wysoko w drzwiach. Stamtąd padało światło. I widziała coś jeszcze: obiektyw kamery wideo, gruby i masywny, wsunięty w otwór i wycelowany prosto na nią.

– Kim... jesteś? – zapytała.

Obiektyw nagle się cofnął. Terkotanie ustało. I cichy, jedwabisty głos odpowiedział:

– Nie pożyczysz dostatecznie długo, żeby moje nazwisko coś dla ciebie znaczyło.

Później światło zgasło, otwór zamknął się szczelnie i znowu została w ciemności.

51.

Kenny Roybal, który rzucił szkołę, siedział na trybunie boiska baseballowego i szybko czyścił ziolo, przegarniał, wygrzebywał nasiona. Potem zwinął grubego skręta. Zapalił i zaciągnął się mocno, po czym podał skręta kumplowi Rocky'emu Martinelli.

– W przyszłym roku – powiedział Martinelli, biorąc jointa i wskazując ruchem głowy pole za ciemnym kwadratem boiska – zbierzemy stamtąd trawkę.

– Aha – przytaknął Roybal na wydechu. – Też jest superjakości.

– No, kurwa.

– Słowo, ziomal.

– Słowo.

Roybal wziął następnego macha, przekazał skręta i hałaśliwie wypuścił dym. Czekał, podczas gdy Martinelli się zaciągał. Skręt zaskwierczał i zasyczał, koniuszek rozżarzył się na chwilę, rzucając mętny pomarańczowy odblask na pociągłą, głupkowatą twarz Martinellego. Roybal odebrał jointa, ostrożnie strząsnął popiół i ubił na nowo koniec. Chciał już ponownie przypalić, kiedy w zapadającym zmierzchu dostrzegł radiowóz wślizgujący się na odległy parking niczym rekin na polowaniu.

– Uwaga, psy.

Kucnął za trybunami, Martinelli poszedł w jego ślady. Wyrzeli pomiędzy wspornikami z drewna i metalu. Radiowóz zatrzymał się i snop światła z reflektora zaczął się przesuwać się po boisku.

- Co on robi?
- Kurwa, skąd mam wiedzieć?

Czekali skuleni, podczas gdy światło powoli wędrowało po trybunach. Kiedy ich mijało, jakby się zawahało.

- Nie ruszaj się – ostrzegł Roybal zniżonym głosem.
- Nie ruszam się.

Światło przesuwało się, potem powoli zawróciło. Oślepiało, prześwitując między trybunami. Czy gliny ich widziały, przykucniętych z tyłu? Roybal wątpił, ale jakoś dziwnie się interesowali trybunami.

Usłyszał stęknienie i cholerny Martinelli nagle pędził jak kretyn przez boisko na pole, w stronę lasu. Światło podskoczyło, namierzyło go.

- Kurwa!

Roybal pobiegł za Martinellim. Teraz światło skupiło się na nim. Zupełnie jakby ścigał własny cień. Przeskoczył przez niskie ogrodzenie z siatki i pognął przez pole do lasu, za niewyraźną sylwetką zmykającego Martinellego.

Biegli i biegli, aż już dłużej nie mogli. W końcu Martinelli stracił siły, potknął się i padł ciężko jak kłoda. Roybal padł obok niego, głośno łapiąc powietrze.

- Idą? – wydyszał wreszcie Martinelli.
- Niepotrzebnie tak nas przegoniłeś, człowieku – odparł Roybal. – Ten gliniarz by nas nie zobaczył, gdybyś nie wyskoczył.

- On już nas zobaczył.

Roybal spojrział na ścianę drzew, ale nic nie widział. Przebiegli kawał drogi. Pomacał kieszeń koszuli. Pusta.

- Przez ciebie zgubiłem towar.
- Człowieku, mówię ci, oni nas namierzili.

Roybal splunął. Nie warto było się kłócić. Wyrzebał z kieszeni bibułki i resztkę towaru. Złożył razem dwie bibułki, zlepził i nasypał trochę marychy do rowka.

– Ni cholery nie widzę.

Niemniej przez korony drzew przesączało się dostatecznie dużo księżycowego blasku, żeby mógł wyłowić kilka nasion, zwinąć skręta, zapalić i wziąć macha. Przez chwilę trzymał jointa w ustach, wypuścił dym, znowu się mocno zaciągnął, wydmuchnął i dopiero wtedy przekazał zioło. Wybuchnął rześcącym śmiechem.

– Człowieku, spieprzałeś jak królik przed psami.

– Facet, smerfy nas widziały. – Martinelli wziął skręta i rozejrzał się. – Wiesz co? Gdzieś tutaj jest to odjechane miejsce, Ville.

– To kawał stąd, na bagnach.

– Nie, stary. Jest zaraz tutaj, nad rzeką.

– I co z tego? Znowu chcesz nawiewać? Buu, idą zombie! – Roybal pomachał rękami nad głową. – Zezrą ci móóóóóóóóózg! ! !

– Zamknij się, do kurwy nędzy.

W milczeniu przekazywali sobie jointa. Wreszcie Roybal starannie zgasił peta i schował do blaszanego pudełeczka po pastylkach na kaszel. Nagle w ciemność popłynęły stłumione tony piosenki *Smack My Bitch Up*.

– To na pewno twoja zgredka – powiedział Roybal.

Martinelli wyłowił z kieszeni dzwoniący telefon komórkowy.

– Nie odbieraj.

– Wścieka się, jeśli nie odbieram.

– No to kicha.

– Halo? Taa. Hej.

Roybal słuchał rozmowy z kwaśną miną. On sam już się wyprowadził z domu, miał własną chatę. Martinelli ciągle mieszkał z matką.

– Nie, jestem w czytelnii. Kenny i ja uczymy się do klasówki z trygonometrii... będę uważał... tutaj nie ma bandytów... Rany, mam, dopiero jedenasta!

Zatrzasnął telefon.

– Muszę wracać do domu.

– Jeszcze nawet nie ma dwunastej. Do dupy, człowieku.

Martinelli wstał, więc Roybal też się podniósł. Nogi już mu trochę zeszytywniały po tej głupiej ucieczce. Martinelli ruszył z powrotem między drzewa. Wkrótce przystanął.

– Nie pamiętam tego zwalonego drzewa – powiedział.

– Jak możesz coś pamiętać? Przecież spieprzałeś na całego. – Roybal znowu rzeził.

– Pamiętałbym, gdybym przez to przeskoczył.

– Idź dalej. – Roybal szturchnął go w plecy.

Dotarli do następnego zwalonego drzewa. Martinelli znowu się zatrzymał.

– Teraz wiem na pewno, że tędy nie szliśmy.

– No to co? Idź dalej.

Ale Martinelli się nie ruszył.

– Co tak śmierdzi? Facet, puściłeś trzmiela?

Roybal głośno wciągnął nosem powietrze. Rozejrzał się, ale po ciemku niewiele widział.

– Pójdę pierwszy. – Przesząpił przez kłodę i nadepnął na coś twardego, a jednak uginającego się pod naciskiem. – Co do cholery?

Cofnął stopę i nachylił się, żeby lepiej widzieć.

– Kurwa! – wrzasnął i zatoczył się do tyłu. – Trup! Ja pierdołę! Włazłem na trupa!

Teraz obaj spojrzeli w dół. Smuga księżycowego blasku oświetliła twarz – bladą, zakrwawioną, zmasakrowaną, o szklistych, niewidzących oczach.

Martinelli się zakrztusił.

– O Boże!

– Dzwon pod dziewięćset jednaście!

Martinelli cofnął się, wygrzebał z kieszeni komórkę i zaczął gwałtownie stukać w klawisze.

– Nie wierzę, znaleźliśmy trupa!

– Halo? Hal... – Martinelli nagle zgiął się wpół i obrzygał cały telefon.

– O kurwa, człowieku...!

Martinelli dalej rzygał. Komórka upadła na ziemię, śliska od wymiocin.

– Dzwon...!

Rzyganie.

Roybal zrobił następny krok do tyłu. Z niedowierzaniem usłyszał głos wydobywający się z telefonu.

– Kto mówi? – dopytywał się cienki głosik. – To ty, Rocky? Rocky! Co ci jest?

Kolejne odgłosy rzygania. Roybal znowu spojrzał na trupa leżącego na boku, w poszarpanym ubraniu, z jednym ramieniem wyrzuconym w górę, bladego w świetle księżyca. Wszystko się pojebało. Roybal odwrócił się i zaczął uciekać pomiędzy drzewa, coraz dalej, dalej i dalej...

52.

O czwartej nad ranem D'Agosta i Pendergast zjawili się w poczekalni obok aneksu kostnicy. Doktor Beckstein już na nich czekał z dziwnie radosną miną. Może facet po prostu przyzwyczał się spędzać noce w kostnicy, pomyślał D'Agosta. Sam czuł się okropnie i marzył tylko, żeby wrócić do domu i wpełznąć do łóżka.

A jednak nie mógł sobie na to pozwolić. Ostatnio wydarzenia następowały tak szybko, że niemal się pogubił. Najgorsze – przynajmniej dla niego – było porwanie Nory Kelly, która zniknęła bez śladu. Funkcjonariusz przydzielony do jej ochrony został uspijony kawą ze środkiem nasennym i zamknięty na klucz w łazience Nory. Jeszcze raz D'Agosta ją zawiódł.

A teraz to.

– No, no, panowie – zaczął Beckstein, z trzaskiem naciągając gumowe rękawiczki. – Zagadka się pogłębia. Proszę się obsłużyć. – Wskazał najbliższy pojemnik.

D'Agosta zawiązał fartuch, nałożył maskę, chirurgiczny czepek i rękawiczki. Z wysiłkiem próbował opanować narastający lęk i przygotować się na kolejną ciężką próbę. Nawet w najlepszych okolicznościach fatalnie znosił oględziny trupów w kostnicy. Połączenie zimnego, martwego ciała, klinicznego oświetlenia i lśniącej stali sprawiało, że żołądek mu się wywracał. Jak miał wytrzymać tym razem – skoro nawet opisy faceta, kiedy jeszcze chodził, wystarczyły, żeby każdy zwrócił lunch? Zerknął na Pendergasta, spowitego już w zieleń i biel,

wyglądającego bardziej na klienta kostnicy niż na gościa. Ten czuł się tutaj jak w domu.

– Doktorze, zanim wejdziemy... – D'Agosta silił się na niedbały ton – mam kilka pytań.

– Oczywiście – powiedział Beckstein i przystanął.

– Ciało znaleziono w Inwood Hill Park, zgadza się? Niedaleko Vile?

Beckstein przytaknął.

– Znalazło je dwóch nastolatków.

– I jest pan pewien tożsamości ofiary? Że to zwłoki Colina Fearinga?

– Raczej tak. Zidentyfikował je odźwierny, którego uważam za wiarygodnego świadka. Dwaj mieszkańcy tego samego budynku, którzy znali Fearinga, również zidentyfikowali ciało. Tatuaż i znamię się zgadzają. Na wszelki wypadek zarządziliśmy testy DNA, ale stawiam moją karierę, że to Colin Fearing.

– A ten pierwszy trup... ten samobójca, który skoczył z mostu? Ten, którego doktor Heffler zidentyfikował jako Fearinga? Jak do tego doszło?

Beckstein odchrząknął.

– Widocznie doktor Heffler popełnił błąd... całkiem zrozumiały w tych okolicznościach – dodał pospiesznie lekarz. – Ja z pewnością uznałbym identyfikację siostry za definitywną.

– Intrygujące – mruknął Pendergast.

– Co? – zapytał D'Agosta.

– Powstaje pytanie, czyją właściwie autopsję przeprowadził doktor Heffler.

– No.

– Mylna identyfikacja – podjął Beckstein – czasem się zdarza. Sam widziałem kilka przypadków. Szok i rozpacz bliskich w połączeniu z nieuniknionymi zmianami, jakie powoduje śmierć... zwłaszcza zanurzenie w wodzie albo rozkład w gorącym słońcu...

– Racja, racja – rzucił spiesznie D'Agosta. – Tylko że niezależne dowody wskazują na zamierzone oszustwo. A na dodatek doktor Heffler nie sprawdził również tożsamości siostry.

– Pomyłki się zdarzają – powtórzył kulawo Beckstein.

– Przekonałem się, że arogancja, na której niedostatek nie cierpi doktor Heffler – wyrecytował Pendergast – to nawóz użyźniający winnicę błędów.

D'Agosta wciąż jeszcze analizował ostatnie zdanie, kiedy Beckstein gestem zaprosił ich do pomieszczenia sekcyjnego. W środku na stole leżało ciało Fearinga przykryte białym plastikiem, co D'Agosta przyjął z ogromną ulgą.

– Jeszcze nie zacząłem nad nim pracować – wyjaśnił Beckstein. – Czekamy na patologa i laboranta sekcyjnego. Przepraszam za zwłokę.

– To nic – zapewnił D'Agosta trochę za szybko. – Dziękujemy za ekspresową robotę. Ciało przywieziono dopiero około północy?

– Zgadza się. Wykonałem badania wstępne i odkryłem pewne... hm... ciekawostki dotyczące zwłok. – Beckstein miętosił w palcach skraj płachty. – Czy mogę?

Ciekawostki. D'Agosta już sobie wyobrażał, co to będzie.

– No...

– Z największą przyjemnością! – zapewnił Pendergast.

D'Agosta przygotował się w duchu na straszny widok. Oddychał przez usta i starał się nie skupiać wzroku. To będzie ohydne: rozdęty, poczerniały trup, ciało odchodzące od kości, topiący się tłuszcz, wyciekające płyny ustrojowe... Boże, jak on nienawidził trupów!

Rozległ się krótki szelest, kiedy Beckstein ściągnął płachtę.

– Proszę bardzo – powiedział.

D'Agosta zmusił się, żeby spojrzeć na zwłoki. I zaniemówił ze zdumienia.

Widział normalne ludzkie ciało: czyste, nieskazitelne i tak świeże, jak-by zmarły spał. Twarz starannie ogolona, włosy uczesane i nażelowane.

O śmierci świadczyła tylko brzydka rana od kuli nad prawym uchem oraz trochę liści i gałązek, które przylepiły się do żelu z tyłu głowy.

D'Agosta spojrzął na Pendergasta i zobaczył, że agent FBI wydaje się równie zdumiony.

– No! – powiedział wreszcie D'Agosta z ulgą. – Tyle z twoich zombie i żywych trupów, Pendergast. Jak mówiłem od początku, to jedna wielka mistyfikacja... uknuta przez mieszkańców Ville. Facet pewnie wracał tam po wieczornym występie w roli zombie i jakiś bandzior go stuknął.

Pendergast nic nie mówił, tylko wpatrywał się w trupa błyszczącymi, srebrzystymi oczami. D'Agosta odwrócił się do Becksteina.

– Ma pan czas śmierci?

– Sonda analna wykazała, że denat nie żył od jakichś dwóch i pół godziny, kiedy go znaleziono w Inwood Hill Park. To nastąpiło około jedenastej, więc czas śmierci przypada mniej więcej na ósmą trzydziści.

– Przyczyna śmierci?

– Najprawdopodobniej wyraźna rana postrzałowa nad prawym uchem.

D'Agosta zmrużył oczy.

– Nie widać rany wylotowej. Dostał chyba z dwudziestkidwójki.

– Pewnie tak. Oczywiście nie ma całkowitej pewności, dopóki go nie otworzymy. Według moich badań wstępnych został zastrzelony z tyłu, z bliskiej odległości. Żadnych śladów walki ani przemocy, żadnych sińców, zadrapań czy otarć od więzów.

D'Agosta się odwrócił.

– I co o tym myślisz, Pendergast? Żadne tam voodoo, żadne *obeah*, tylko zwykłe gówniane morderstwo przy użyciu broni palnej, jak połowa w tym mieście. Doktorze Beckstein, czy zabito go *in situ*, czy ciało podrzucano?

– Nie mam informacji na ten temat, poruczniku. Pierwsi wezwani

zawieźli ciało od razu do szpitala, bo było jeszcze ciepłe. Nie robili żadnych założeń.

– Jasne, oczywiście. Musimy sprawdzić u kryminalistyków, jak skończą zabezpieczać ślady. – D'Agosta po prostu nie potrafił ukryć nuty triumfu w głosie. – Dla mnie jest całkiem jasne, że te wszystkie czary-mary, z którymi mamy do czynienia, wykombinowały skurwysyny z Ville, żeby odstraszyć ludzi.

– Wspomniał pan o kilku ciekawych aspektach? – zwrócił się Pendergast do Becksteina.

– Owszem. Pierwsza rzecz pewnie wyda wam się znajoma.

Beckstein wyjął ze słoika dwie szpatułki, zerwał sterylne opakowania i za pomocą szpatulek otworzył usta zmarłego. Do języka przypięto małeńki pęczek piór i włosów, prawie identyczny z tym znalezionym w ustach Billa Smithbacka. D'Agosta gapił się na niego z niedowierzaniem.

– I jest coś jeszcze. Potrzebuję pomocy, żeby obrócić zwłoki. Poruczniku?

Z najwyższą niechęcią D'Agosta pomógł Becksteinowi przewrócić trupa na brzuch. Pomiędzy łopatkami znajdował się skomplikowany, stylizowany rysunek wykonany grubym flamastrem, przedstawiający dwa węże w otoczeniu gwiazd, strzałek, iksów i trumienek. Na dole pleców namalowano niesamowitą, pająkowatą roślinę.

D'Agosta przełknął ślinę. Rozpoznał te rysunki.

– *Vévé* – mruknął Pendergast. – Podobne do tych, które widzieliśmy na ścianie w mieszkaniu Smithbacka. Dziwne... – urwał.

– Co? – zapytał natychmiast D'Agosta.

Zamiast odpowiedzi Pendergast powoli pokręcił głową.

– Szkoda, że monsieur Bertin tego nie widzi – szepnął. Potem się wyprostował. – Mój drogi Vincencie, nie sądzę, że tego dzentelmena „stuknął bandzior”, jak to określiłeś. To było zaplanowane zabójstwo, raczej egzekucja, w bardzo konkretnym celu.

D'Agosta patrzył na niego przez chwilę. Potem wrócił spojrzeniem do ciała na stole.

53.

Alexander Esteban zasiadł dyskretnie za dużym stołem z laminatu w obskurnej sali zebrania Stowarzyszenia Ludzie dla innych Zwierząt na Zachodniej Czternastej Ulicy. Na zewnątrz był rześki jesienny poranek, niewiele światła docierało jednak do pokoju przez jedno brudne okno wychodzące na szyb wentylacyjny. Esteban skrzyżował ramiona i patrzył, jak pozostali członkowie zarządu zajmują miejsca przy akompaniamencie szurania krzeseł, mamrotania powitań, popiskiwania blackberries i iPhone'ów. W powietrzu unosił się zapach dulce latte z cynamonem i korzenno-dyniowych frapuccino crèmes ze Starbucksa, kiedy wszyscy stawiali na stole podwójne kubki z kawą.

Ostatni wszedł Rich Plock w towarzystwie trzech osób, których Esteban nie znał. Plock stanął na drugim końcu pokoju. Splótł ramiona, wysunął do przodu brzuch wielki niemal jak u ciężarnej, opięty niedopasowanym garniturem. Twarz miał czerwoną i pocił się za lotniczymi okularami przeciwsłonecznymi. Natychmiast rozpoczął przemowę swoim piskliwym, zarozumiałym głosem.

– Panie i panowie z zarządu, z przyjemnością przedstawiam państwu troje bardzo wybitnych gości. Miles Mondello, prezes Zielonej Brygady; Lucinda Long-Pierson, przewodnicząca Wegańskiej Armii; i Morris Wyland, dyrektor Amnestii dla Zwierząt.

Troje przybyłych stało i patrzyło na Estebana, jakby przyszli prosto z castingu. Zagorzali idealisci, rozpaczliwie potrzebujący słusznej sprawy, niemający pojęcia o niczym.

– Te trzy organizacje sponsorują dzisiejszą wieczorną demonstrację razem z LIZ. Powitajmy ich na naszym zebraniu.

Oklaski.

– Proszę wszystkich o zajęcie miejsc. Niniejszym otwieram specjalne posiedzenie zarządu LIZ.

Szelest papierów, popijanie kawy, wyjmowanie ołówków, podkładek i laptopów. Stwierdzono, że jest kworum. Esteban przeczekał to wszystko.

– Na porządku dziennym mamy jedną sprawę: marsz protestacyjny dziś wieczorem. Oprócz organizacji założycielskich mamy w zarządzie dwadzieścia jeden nowych grup. Tak jest, panie i panowie, nie przesłyszeliście się: o dwadzieścia jeden więcej! – Rozpromieniony Plock rozejrzał się dookoła. – Reakcje były niewiarygodne. Spodziewaliśmy się około trzech tysięcy demonstratorów... ale jestem w ciągłym kontakcie z innymi zainteresowanymi organizacjami i może przyjdzie więcej ludzi. Znacznie więcej. – Wyciągnął z teczki plik papierów i zaczął je rozdawać. – To są szczegóły. Mała grupka dywersyjna zbierze się na boisku baseballowym. Inne grupy... wszystkie wymienione w spisie... zgromadzą się na boisku futbolowym, w parku przy Zachodniej Dwieście Osiemnastej Ulicy, na promenadzie nad bagnami i w kilku innych pobliskich punktach. Jak wicie, zdobyłem pozwolenie. Inaczej nie dopuszczono by nas w pobliże Ville.

Szmary, kiwanie głowami.

– Ale oczywiście władze miejskie nie mają pojęcia... nie mają zielonego pojęcia, jak wielka grupa zbierze się dzisiaj w mieście. Dopilnowałem tego.

Porozumiewawcze chichoty.

– Ponieważ, panie i panowie, to jest sytuacja alarmowa! Ci chorzy, zdeprawowani ludzie, bezprawnie mieszkający w naszym mieście, nie tylko zabijają zwierzęta, ale z pewnością stoją za brutalnym morderstwem Martina Warteka. Winni są zamordowania dwójki reporterów,

Smithbacka i Kidd, oraz porwania żony Smithbacka. A co robi miasto? Nic. Absolutnie nic! Do nas należy podjęcie działania. Więc wchodzimy dziś wieczorem o szóstej. Położymy temu kres. Natychmiast!

Płock się pocił, miał cienki głos i niepozorną aparycję, a jednak posiadał charyzmę płynącą z głębokiej wiary, pasji i prawdziwej odwagi. Esteban był pod wrażeniem.

– Szczegółowy plan demonstracji macie na kartkach. Pilnujcie ich dobrze... to by była katastrofa, gdyby wpadły w ręce policji. Wracajcie do domu, zaczynajcie dzwonić, e-mailować, organizować! Program jest napięty. Zbieramy się o szóstej. Wyruszamy o szóstej trzydzieści. – Rozejrzał się. – Jakież pytania?

Nikt nie miał pytań. Esteban odchrząknął, podniósł palec.

– Tak, Alexandre?

– Trochę się pogubiłem. Planujesz urządzać marsz na Ville?

– Właśnie. Powstrzymamy to: tu i teraz.

Esteban z namysłem kiwnął głową.

– Tutaj nie napisano, co zamierzacie zrobić, kiedy dojdziecie na miejsce.

– Zamierzamy włamać się do tego osiedla i oswobodzić te zwierzęta. I zamierzamy przepędzić dzikich osadników. Wszystko jest zaplanowane.

– Rozumiem. Oczywiście to prawda, że oni z zimną krwią zabijają... torturują zwierzęta. Pewnie robią to od lat. Ale weź pod uwagę, że na pewno są uzbrojeni. Wiemy już, że zabili co najmniej trzy osoby.

– Jeśli zastosują przemoc, odpłacimy im pięknym za nadobne.

– Planujecie zabrać broń?

Płock założył ręce na piersi.

– Powiem tak: nikogo nie będziemy powstrzymywać od działania w samoobronie... wszelkimi środkami, jakie uzna za stosowne.

– Innymi słowy – podjął Esteban – radzisz ludziom, żeby poszli uzbrojeni.

– Niczego nie radzę, Alexandrze. Stwierdzam tylko fakt: z pewnością może dojść do przemocy... a każdy ma prawo się bronić.

– Rozumiem. A policja? Jak sobie z nimi poradzisz?

– Właśnie dlatego zbierzemy się w kilku różnych miejscach i nadejdziemy z wielu kierunków, jak ośmiornica. Przyciśniemy ich, zanim się zorientują, co się dzieje. Tysiące ludzi maszerujących przez las... jak nas powstrzymają? Nie mogą ustawić barykad ani zablokować dróg. Mają tylko jedną drogę dojazdową, którą ludzie wypełnią od brzegu do brzegu.

Esteban poruszył się niespokojnie.

– Nie zrozum mnie źle... jestem przeciw Ville, wiesz o tym od początku. To nikczemne bestie. Popatrz tylko na nieszczęsnego Fearinga. Przeszedł pranie mózgu, został zmuszony do morderstwa, a potem zastrzelony... pewnie przez kogoś z Ville... kiedy próbował wrócić do tych samych sadystów, którzy zmienili go w zombie. Jeśli mogli zrobić coś takiego Fearingowi, mogą to zrobić każdemu. Ale jeżeli tam wejdziesz tak na żywioł, mogą być ofiary w ludziach. Ranni, nawet zabici. Pomyśleliście o tym?

– Już są ofiary w ludziach. Nie wspominając o zwierzętach... setki, może tysiące z gardłami poderżniętymi w najbardziej okrutny sposób. Nie, proszę pana: robimy z tym koniec. Dziś wieczorem.

– Chyba nie jestem gotowy – powiedział Esteban. – To dość radykalne posunięcie.

– Alexandrze, z radością przyjęliśmy cię do naszej organizacji. Cieszyliśmy się, że tak bardzo zainteresowałeś się naszą pracą. Chętnie wybraliśmy cię na członka zarządu. Doceniamy twoją hojność finansową oraz promowanie naszego wizerunku. Osobiście jednak mocno wierzę, że przychodzi czas, kiedy mężczyzna czy kobieta muszą zająć określone stanowisko. Słowa już nie wystarczą. Ten czas właśnie nadszedł.

– Jak już wtargniecie do Ville i uwolnicie zwierzęta – zapytał Esteban – co dalej?

– To, co powiedziałem. Przepędzimy tych morderców zwierząt na cztery wiatry. Dokąd pójda, to nie nasze zmartwienie.

– A potem?

– A potem spalimy osadę, żeby nie mogli wrócić.

Esteban powoli pokręcił głową.

– W sytuacji, kiedy wokół Ville i w samej Ville kręcą się tysiące ludzi, wielu z nich może zginąć w ogniu. Przecież tam nie można wezwać straży pożarnej. To pułapka. Zabijecie nie tylko ich, ale własnych stronników.

Niezręczne milczenie.

– Usilnie odradzam ogień. Wręcz przeciwnie: wyznaczylbym kilku demonstrantów do ochrony przeciwpożarowej. A jeśli mieszkańcy postąpią jak te czubki w Waco i sami podpalą budynki, kiedy będziecie w środku?

Kolejna pauza.

– Dziękuję ci, Alexandrze – rzekł Plock. – Muszę przyznać, że masz sporo racji. Wycofuję to, co mówiłem o ogniu. Rozwalimy to miejsce gołymi rękami. Chodzi o to, żeby już się nie nadawało do zamieszkania.

Pomruki zgody.

Esteban zmarszczył brwi, potem pokręcił głową.

– Nadal tego nie popieram. Jestem znaną osobistością i muszę dbać o reputację. Przepraszam, ale nie mogę pozwolić, żeby moje nazwisko łączono z takim atakiem.

Szuranie krzeseł i ciche syknięcia.

– Oczywiście masz do tego prawo, Alexandrze – oświadczył chłodno Plock. – I wyznam, że nie jestem zbytnio zdziwiony, zważywszy na to, jak ostudziłeś nasz zapał podczas poprzedniego marszu na Ville. Ktoś jeszcze chce się wycofać za przykładem pana Estebana?

Esteban się rozejrzył. Nikt inny się nie poruszył. W oczach zebranych Esteban odczytywał brak szacunku, nawet pogardę. Wstał i wyszedł.

54.

Poranne słońce wlewało się przez okno. D'Agosta siedział za biurkiem, z palcami na klawiaturze komputera, wpatrzony w ekran. Trwał nieruchomo w tej pozycji od jakichś dziesięciu minut. Czekają na niego milion rzeczy do zrobienia, a jednak ogarnął go jakiś paraliż. Zupełnie jakby znalazł się w oku huraganu: wszędzie wokoło gorączkowa aktywność, ale tutaj, w samym epicentrum wyjącej burzy, pustka i cisza.

Nagle drzwi gabinetu się otworzyły. Obejrzał się i zobaczył, że do środka szybko wchodzi Laura Hayward. Natychmiast wstał.

– Lauro – powiedział.

Zamknęła za sobą drzwi, podeszła do biurka. Na widok jej lodowatej miny D'Agosta poczuł nieprzyjemny skurcz w żołądku.

– Winnie, czasami wyłazi z ciebie samolubny drań – oświadczyła zniżonym głosem.

Przełknął ślinę.

– O co chodzi?

– O co chodzi? W ostatniej chwili sprzątnęli mi awans sprzed nosa. I to twoja wina.

Przez chwilę patrzył na nią, nic nie rozumiejąc. Potem przypomniał sobie rozmowę na korytarzu w Digital Veracity: zamaskowaną groźbę producenta software'u.

– Kline – powiedział, opierając się ciężko o biurko.

– Masz cholerną rację. Kline.

D'Agosta spuścił oczy pod jej wzrokiem.

– Co on zrobił?
– Przekazał pięć milionów dolarów na Fundusz Dysona. Pod warunkiem że pominą mnie przy naborze do oddziału specjalnego.

– Nie może tego zrobić. To przekupstwo. Niezgodne z prawem.
– Och, proszę. Wiesz, jak się załatwia takie rzeczy.

D'Agosta westchnął. Wiedział, co powinien czuć – sprawiedliwe oburzenie, nawet wściekłość – ale nagle poczuł się bardzo, bardzo zmęczony.

– Rocker nie jest głupcem – oświadczyła Hayward z goryczą. – Wie, że nie zostawiliby na nim suchej nitki, gdyby odrzucił taką dotację... zwłaszcza na taką politycznie gorącą sprawę jak Fundusz Dysona. A ja dostałam po tyłku.

– Lauro... tak mi przykro. Na pewno nie chciałem, żebyś przez to ucierpiała. Tylko wykonywałem swoją pracę. Co miałem robić... płaszczyć się przed tym typkiem? On jest podejrzany. Groził Smithbackowi.

– Co miałeś robić? Działać profesjonalnie. Od czasu morderstwa Smithbacka nie panujesz nad sobą. Słyszałam o tym twoim nakazie rewizji szytym grubymi nićmi, słyszałam, jak utarłeś Kline'owi nosa. Wiedziałeś, że facet jest drażliwy, ale i tak go sprowokowałeś. A on podłożył mi świnie, żeby się zemścić.

– To prawda... chciałem go sprowokować, żeby popełnił fałszywy ruch. Ten typ faceta nie może znieść utraty twarzy. Gdybym wiedział, że odegra się na tobie, nigdy bym tego nie zrobił. – Zwiesił głowę, pomasaował palcami skronie. – Co mogę powiedzieć?

– Ta praca była dla mnie najważniejsza ze wszystkiego.

Słowa zawisły w powietrzu. D'Agosta powoli podniósł wzrok, napotkał spojrzenie Laury.

Zastukano w szybę w jego drzwiach. Obejrzał się i zobaczył, że w progu stoi sierżant dyżurny.

– Przepraszam, panie poruczniku – powiedział. – Chyba powinien pan włączyć kanał drugi.

D'Agosta bez słowa podszedł do telewizora zawieszono go wysoko na ścianie, nacisnął przełącznik. Ekran wypełniło amatorskie wideo, ziarniste, drżące – ale natychmiast rozpoznał kobietę w kadrze. Nora Kelly, ubrana w zgrzebną szpitalną koszulę, z poszarzałą twarzą, z rozczochranymi włosami. Znajdowała się w jakimś lochu: nierówne kamienne ściany, słoma rozrzucona na cementowej podłodze. Patrzył, jak podeszła niepewnym krokiem do kamery.

– Ratunku – powiedziała.

Nagle obraz zgasł.

D'Agosta odwrócił się do sierżanta dyżurnego.

– Co do cholery?

– Weszło do sieci jakieś piętnaście minut temu. Właśnie teraz rozsyłają oryginał.

– Chcę do tego naszych najlepszych techników. Natychmiast, jasne? Gdzie to wrzucono?

– Przyszło e-mailem.

– Zlokalizować.

– Tak jest. – Sierżant zniknął.

D'Agosta osunął się z powrotem na krzesło, oparł głowę na rękach, zamknął oczy. Upłynęła minuta, zanim wziął się w garść. Potem oblizał wargi i odezwał się cicho:

– Znajdę ją, Lauro... nawet gdyby to było moje ostatnie zadanie w policji. Bez względu na wszystko... powtarzam, bez względu na wszystko osobiście dopilnuję, żeby Nora Kelly nie umarła. I żeby sprawcy drogo za to zapłacili.

– Znowu zaczynasz – powiedziała Hayward. – Właśnie o tym mówiłam. Jeśli chcesz uratować Norę Kelly, musisz zapanować nad emocjami. Musisz znowu zacząć działać jak profesjonalny glina. Albo następnym razem nie tylko ja ucierpię.

Po czym odwróciła się na pięcie, wyszła i zatrzasnęła za sobą drzwi.

55.

Kiedy poranne słońce wyzłacało kremowe ściany i strzeliste terakotowe żagielki budynku Dakota, przed wejściem od Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy odbywała się dziwaczna procesja. Z czarnej bramy z kutego żelaza wymaszerowali dwaj parkingowi, każdy niósł po trzy walizki. Za nimi pojawiła się kobieta w białym pielęgniarskim uniformie, która wyszła z mrocznego tunelu prowadzącego na dziedziniec i zajęła stanowisko obok klitki odźwiernego. Następnie pojawił się Proctor, który podszedł do rolls-royce'a stojącego przy krawężniku, otworzył tylne drzwi i zastygł obok w wyczekującej postawie. Po długiej chwili z bramy wyłoniła się następna osoba: raczej drobna, spoczywająca na wózku inwalidzkim popychanym przez drugą pielęgniarkę. Pomimo ciepłego babiego lata postać była tak opatulona kocami, szalami i mufkami, że nie dało się rozróżnić jej rysów, a nawet płci. Twarz zasłaniał duży, miękki biały kapelusz. Spod ciemnych okularów wystawała cygarniczka z macicy perłowej.

Pielęgniarka dowiozła inwalidę do czekającego Proctora. Jednocześnie z bramy wynurzył się Pendergast i podszedł do rollsa spacerowym krokiem z rękami w kieszeniach.

– Nie namówię cię, żebyś został dłużej, *maître!* – zapytał.

Osoba na wózku kichnęła potężnie.

– Nie zostałbym ani chwili dłużej, nawet gdyby sam święty Krzysztof mnie prosił! – padła opryskliwa odpowiedź.

– Pomogę panu wsiąść, panie Bertin – odezwał się Proctor.

– Chwileczkę. – Błada dłoń ściskająca spray do nosa wysunęła się spod koca. Buteleczka została przyłożona do jednego drżącego nozdrza, ściśnięta, po czym znowu zniknęła pod kocem. Ciemne okulary zostały zdjęte i schowane do lotniczej torby BOAC, z którą mały człowieczek chyba nigdy się nie rozstawał. – Możesz działać. *Doucement, pour l'amour de ciel... doucement!*

Z pewnym wysiłkiem Proctor i pielęgniarka dźwignęli Bertina z wózka i obrzucani stekiem obelg zapakowali go na tylne siedzenie. Pendergast nachylił się do okna.

– Lepiej się czujesz? – zapytał.

– Nie i nie poczuje się lepiej, dopóki nie wrócę na *bayou*... jeśli w ogóle. – Bertin błysnął spomiędzy zawojów czarnymi paciorkowatymi oczkami, ściskając laskę berło. – A ty musisz uważać, Aloysius... zaklęcie śmierci tego *hungana* jest mocne, stare i mocne.

– W istocie.

– Jak się czujesz?

– Nieźle.

– No widzisz! – zawołał Bertin niemal z triumfem. Ręka pojawiła się ponownie, poszperała w zniszczonej torbie, wydobyła małą kopertę zabezpieczoną kopertę. – Rozpuść to w naparze z sześciu uncji kolcorośli i dodaj trochę oleju lnianego. Dwa razy dziennie.

Pendergast wziął kopertę.

– Dziękuję, *maître*. Przepraszam, że sprawiłem ci tyle kłopotów.

Błyszczące czarne oczka na chwilę złagodniały.

– Eee! Dobrze było cię zobaczyć po tylu latach. Jednak następnym razem spotkamy się w Nowym Orleanie... nigdy więcej nie wrócę do tego siedliska ciemności! – Zadygotał. – Życzę ci wiele szczęścia. Ten *loa* z Ville... jest naprawdę zły. Zły.

– Chcesz mi coś jeszcze powiedzieć przed odjazdem?

– Nie. Tak! – Mały człowieczek zakaszłał, znowu kichnął. – Prawie zapomniałem przez te moje dolegliwości. Trumienka, którą mi pokazałeś... ta z sali dowodów... jest dziwna.

– Ta z krypty Fearinga? Ta, którą... hm... zniszczyłeś?

Bertin przytaknął.

– Zorientowałem się dopiero po jakimś czasie. Ale ułożenie czaszek i piszczeli na wieku... – Pokręcił głową. – Proporcja jest niezwykła, wewnętrznie sprzeczna. Powinna się zgadzać ze Starym Wzorem: dwa na pięć. Subtelna różnica, niemniej różnica. Nie pasuje do reszty. – Pogardliwie strzepnął palcami. – Jest obca, prostacka.

– Przeanalizowałem szary proszek, który był w środku. To zwykły popiół drzewny.

Kolejne lekceważące machnięcie.

– Widzisz? Różni się od *obeah* uprawianego przez Charrière'a i Ville. Jest nieskończenie gorsze. Dlaczego ten jeden przedmiot nie pasuje do wzorca, to zagadka.

– Dziękuję ci, *maitre*. – Pendergast wyprostował się, na jego twarzy pojawiło się zamyślenie.

– Nie ma za co. A teraz *adieu*, drogi Aloysiusie... *adieu!* Pamiętaj: rozpuszczaj w naparze z sześciu uncji kolcorośli, dwa razy dziennie. – Bertin postukał gałką laski w dach samochodu. – Możesz jechać, mój dobry człowieku! I błagam, nie oszczędzaj koni!

56.

Jednostka obsługi multimedialnej w komendzie głównej policji przypominała mostek łodzi podwodnej: duszna, zapchana elektroniką, cuchnąca ludzkimi wyziewami. Co najmniej dwadzieścia osób stłoczonych w niskim pomieszczeniu garbiło się nad terminalami i stacjami roboczymi. Ktoś jadł wczesny lunch i w powietrzu wisiał ostry zapach curry.

D'Agosta przystanął i rozejrzał się dookoła. Największa grupa skupiła się w głębi, gdzie miał swój boks John Loader, szef kryminalistów. Porucznik zaczął się przeciskać w tamtą stronę. Jego frustracja jeszcze bardziej się pogłębiła, kiedy zobaczył, że Chislett już tu jest. Zastępca szefa obejrzał się, zauważył D'Agostę, odwrócił się z powrotem.

Loader siedział przy swojej komputerowej stacji roboczej, z masywnym CPU pod biurkiem i bliźniaczymi trzydziestodwucalowymi płaskimi monitorami na blacie. Pomimo nacisków D'Agosty uparł się, że potrzebuje co najmniej dwóch godzin, żeby przetworzyć i przygotować video. Do tej chwili wykorzystał dziewięćdziesiąt minut.

– Daj mi aktualizację – zażądał D'Agosta, kiedy podszedł bliżej.

Loader odepchnął się od biurka.

– To plik MPEG-cztery przysłany e-mailem do serwisu informacyjnego sieci.

– A lokalizacja?

Loader pokręcił głową.

- Ktokolwiek to zrobił, posłużył się remailerem z Kazachstanu.
- Okay, więc co z wideo?

Technik wskazał na bliźniacze ekrany.

- Jest w policyjnym analizerze.
- Dlatego to trwało dziewięćdziesiąt minut?

Loader zmarszczył brwi.

– Wstawiłem kod czasowy, dopasowałem pola i wyrównałem klatki w całym klipie, usunąłem szum i rozjaśniłem każdą klatkę, i dodałem cyfrową stabilizację obrazu.

- Pamiętałeś, żeby położyć wisienkę na wierzchu?
- Poruczniku, wycyszczenie pliku nie tylko wygładza i wyostrza obraz, ale również redukuje zakłócenia i pozwala wyłapać dowody, które inaczej można przeoczyć.

D'Agosta miał ochotę wytknąć facetowi, że w grę wchodzi ludzkie życie i liczy się każda minuta, ale milczał.

- W porządku. Obejrzyjmy to.

Loader przyciągnął bliżej manipulator jog shuttle* – okrągłe czarne urządzenie wielkości krążka do hokeja – i na lewym ekranie ożył obraz, mniej ziarnisty i jaśniejszy niż wtedy, kiedy D'Agosta oglądał go w wiadomościach. Coś szczęknęło, słaby promyk światła nakłuł ciemność i pojawiła się Nora. Patrzyła w obiektyw; jej twarz, oświetlona reflektorem, wyglądała jak biały duch unoszący się w mroku. Za nią D'Agosta niewyraźnie dostrzegał kopczyki słomy na cementowej podłodze i ścianę z nierównych kamieni spojonych zaprawą.

* Jog shuttle – urządzenie pozwalające na powolne (jog) lub bardzo szybkie (shuttle) przesuwanie nagrania audio lub wideo, zwiększa precyzję i pozwala edytować materiał z dokładnością do jednej klatki.

- Ratunku – powiedziała Nora.

Kamera się zatrzęsła; obraz się rozmył; potem znowu się wyostrzył.

- Czego chcesz? – zapytała Nora.

Cisza, brak odpowiedzi. A potem jakby stłumione skrobanie czy skrzypienie. Światło odjechało, powróciła ciemność i klip się skończył.

– Więc nie możecie tego wyśledzić – powiedział D'Agosta, siląc się na spokojny ton. – Czy możesz mi powiedzieć coś jeszcze o tym pliku? Cokolwiek?

– Nie był multipleksowany.

– To znaczy?

– Nie pochodzi z telewizji przemysłowej. Źródło to prawdopodobnie standardowa amatorska cyfrowa kamera wideo, raczej starszy przenośny model, biorąc pod uwagę drżenie obrazu.

– I do e-maila nie dołączono żadnej wiadomości? Żadnego listu z żądaniem okupu?

Loader pokręcił głową.

– Puść to jeszcze raz.

Kiedy nagranie leciało, D'Agosta wpatrywał się w ledwo widoczne fragmenty pomieszczenia, szukając jakiegoś szczegółu pozwalającego na identyfikację.

– Możesz zrobić najazd na ścianę? – poprosił.

Za pomocą jog shuttle Loader cofnął klip o sekundę czy dwie; podświetlił fragment ściany obok Nory; potem powiększył.

– Za bardzo ziarniste – ocenił D'Agosta.

– Użyję programu pomocniczego z rozmytą kopią jako maską. To powinno wydobyć szczegóły.

Kilka kliknięć myszą i ściana znacznie się wyostrzyła – płaskie kamienie związane cementem.

– Piwnica – stwierdził D'Agosta. – Stara.

– Niestety – odezwał się Chislett po raz pierwszy – brak cech szczególnych.

– Co z geologią kamieni?

– Nie da się dokładnie określić ich struktury mineralnej – odparł Loader. – To może być łupek albo bazalt...

– Puść dalej.

W milczeniu oglądali powtórkę. D'Agosta czuł, że jego gniew

wypełnia pokój. Nie rozumiał, po co w ogóle stara się nad sobą panować: te dranie porwały Norę.

– Ten dźwięk w tle – odezwał się. – Co to jest?

Loader przesunął jog shuttle w jedną stronę.

– Pracujemy nad tym. Wywołam software wzmacniania dźwięku.

Teraz na drugim ekranie wyskoczyło okno, długie, wąskie okienko pokazujące kształt fali dźwiękowej: nierówne, powyginane pasmo, które wyglądało jak sinusoida na sterydach.

– Trochę ciszej proszę! – krzyknął Loader.

W pokoju się uciszyło. Loader kliknął przycisk „play” na dole okna.

Powyginana krzywa popłynęła przez okno jak taśma ze szpuli odtwarzana na magnetofonie. D'Agosta słyszał stłumione odgłosy, kiedy ktoś widocznie niósł kamerę w ciemności, ciche kliknięcie, kiedy zapalił się reflektor kamery, zgrzytanie, jakby kamerę na czymś ustawiano albo obiektyw wsuwano przez kraty czy otwór. Nora odezwała się raz, potem drugi. A potem ten dźwięk. Skrzypienie? Drapanie? Za cichy, za dużo syczenia w tle, żeby go rozpoznać.

– Możesz to wzmocnić? – zapytał. – Wyodrębnić?

– Dodam trochę parametrycznego korektora graficznego do ścieżki sygnału.

Wyskoczyły następne okna, na falę audio nałożyły się skomplikowane grafy. Loader ponownie odtworzył plik dźwiękowy. Brzmiał czyściej, ale wciąż niewyraźnie.

– Zastosuję filtr synchroniczny „brick wall”. Górnoprzepustowy, żeby zablokować te niskie szумы.

Znowu kliknięcia, znowu przeciągania myszą, potem Loader jeszcze raz odtworzył ścieżkę dźwiękową.

– To zwierzęcy głos – oświadczył D'Agosta. – Jakby zwierzęciu podryzano gardło.

– Niestety, ja tego nie słyszę – odparował Chislett.

– Och, nie? – D'Agosta odwrócił się do Loadera. – A ty? Kryminalistyk trochę nerwowo podrapał się po policzku.

- Trudno powiedzieć.
- Otworzył następne okno.
- Według analizera spektrum to mieszanina bardzo wysokich częstotliwości, niektórych niesłyszalnych dla ludzkiego ucha. Myślę, że to skrzywienie zardzewiałych zawiasów w drzwiach.
 - Bzdura!
 - Z całym szacunkiem... – zaczął Loader.
 - Z całym szacunkiem, to jest zwierzęcy wrzask. Piwnica jest stara, prymitywna. Coś wam powiem: ta taśma pochodzi z Ville. Musimy zrobić nalot na to miejsce. Zaraz. – Odwrócił się i spojrzał agresywnie na Chisletta. – Racja, szefie?
 - Poruczniku – zaintonował Chislett głosem stanowiącym uosobienie spokoju i rozsądku – pan raczej zaciemnia sytuację, niż rozjaśnia. Na tej taśmie nie ma żadnego dowodu świadczącego o jej pochodzeniu. Ten dźwięk może oznaczać miliard różnych rzeczy.
 - Raczej zaciemnia, niż rozjaśnia. Miliard różnych rzeczy. Jakie to typowe dla tego pretensjonalnego Chisletta, żeby się popisywać retoryką. D'Agosta próbował się opanować.
 - Szefie, zdaje pan sobie sprawę, że dziś wieczorem odbędzie się demonstracja przeciwko Ville.
 - Mają zezwolenie na paradę, wszystko jest całkowicie legalne. Tym razem wysyłamy mnóstwo ludzi i na pewno utrzymamy porządek.
 - Taak? Nigdy nie ma pewności. Jeśli demonstracja się za bardzo rozkręci, w Ville mogą spanikować... i zabić Norę. Musimy zrobić nalot teraz, dzisiaj, przed demonstracją. Wykorzystać element zaskoczenia, wejść tam siłą i ją wydostać.
 - Poruczniku, pan chyba nie słuchał. Gdzie są dowody? Żaden sędzia nie upoważni nas do nalotu na podstawie jednego dźwięku... nawet jeśli to głos zwierzęcia. Sam pan wie. Zwłaszcza – prychnął – po pańskiej brutalnej rewizji w biurach Kline'a.
 - D'Agosta się wyprostował. Poczul, że tama wreszcie pęka, gniew i frustracja wylewają się z niego strumieniem. Miał to gdzieś.

– Tylko popatrzcie na siebie – powiedział głośno. – Siedzicie tu i bawicie się sprzętem.

Wszyscy przerwali pracę i obejrżeli się na niego.

– Kiedy wy tutaj stukacie w klawisze, kobieta została porwana, dwoje dziennikarzy i urzędnik miejski zamordowani. Potrzebny jest zmasowany, zdecydowany atak SWAT na tych drani.

– Poruczniku – skarcił go Chislett – musi pan bardziej panować nad emocjami. Doskonale zdajemy sobie sprawę z zagrożenia i robimy, co w naszej mocy.

– Nie, nie muszę i nie, nie robicie. – D'Agosta odwrócił się na pięcie i wymaszerował z pokoju.

57.

Pendergast siedział w miękko wyściełanym skórzanym fotelu w salonie swojego apartamentu w budynku Dakota z nogą założoną na nogę i brodą wspartą na palcach złożonych w wieżyczkę. W takim samym fotelu, oddzielnym połączeniem tureckiego dywanu, siedział Wren, którego drobna sylwetka niemal ginęła wśród poduszek obitych skórą barwy burgunda. Pomiędzy nimi stał stolik, na którym ustawiono imbryczek z herbatą A-Li-Shan Jin Xuan, koszyczek z brioszkami, maselniczkę oraz gliniane garnuszki z marmoladą i dżemem agrestowym.

– Czemu zawdzięczam przyjemność tej niespodziewanej wizyty, na dodatek w świetle dnia? – zagadnął Pendergast. – Zakładam, że tylko sprawa wielkiej wagi mogła cię wyciągnąć z kryjówki o takiej porze.

Wren krótko kiwnął głową.

– Rzeczywiście nie przepadam za światłem dziennym. Ale odkryłem coś, o czym chyba powinieneś wiedzieć.

– Na szczęście w moim apartamencie rzadko panuje dzień. – Pendergast nalał dwie filiżanki herbaty, postawił jedną przed gościem, a drugą podniósł do ust.

Wren spojrział na swoją filiżankę, ale jej nie tknął.

– Ciągle zapominam zapytać. Jak tam uroczą Constance?

– Dostaję regularnie wiadomości z Tybetu. Wszystko przebiega zgodnie z harmonogramem... na tyle, na ile takie rzeczy trzymają się harmonogramu. Zamierzam tam pojechać w nieodległej przyszłości. –

Pendergast wziął następny łyk. – Mówiłeś, że coś odkryłeś. Mów zatem, bardzo proszę.

– Badając historię Ville i jej mieszkańców... i poprzedników... naturalnie korzystałem z wielu relacji z tamtego okresu, artykułów w gazetach, map, manuskryptów, inkunabułów i innych dokumentów. A im więcej ich przeglądałem, tym wyraźniej rysowała się ciekawa prawidłowość.

– Czyli jaka?

Wren wyprostował się w fotelu.

– Że nie jestem pierwszą osobą, która odbywa tę podróż w przeszłość.

Pendergast odstawił filiżankę.

– Doprawdy?

– Każdy, kto bada rzadkie albo historyczne dokumenty, otrzymuje z biblioteki numer identyfikacyjny. Zauważyłem, że ten sam numer pojawiał się w bazie dostępów do dokumentów, które sam wypożyczałem. Początkowo myślałem, że to zbieg okoliczności. Ale kiedy to się powtórzyło kilka razy, zajrzałem do bazy danych i odszukałem ten ID. I rzeczywiście: każdy dokument dotyczący Ville, jej mieszkańców, historii, historii poprzednich lokatorów... ze szczególnym naciskiem na założycieli... wypożyczała również tamta druga osoba. Okazała się bardzo sumienna... nawet zajrzała do kilku gazet, których nie przyszło mi do głowy sprawdzić. – Wren zachichotał i z łałem pokręcił głową.

– A kim jest ten tajemniczy badacz?

– Właśnie o to chodzi... jego albo jej plik został wykasowany z rekordów biblioteki. Jakby nie chciał, żeby ktokolwiek wiedział o jego poczynaniach. Zostały tylko ślady, że tamtędy przechodził, jeśli można tak powiedzieć. Wiem, że jest zawodowym researcherem... na to wskazuje prefiks jego numeru identyfikacyjnego. I uważam, że wykonywał pracę na zlecenie, nie coś, co go szczególnie interesowało. Zrobił to za szybko i za porządnie jak na hobby czy osobiste badania.

– Rozumiem. – Pendergast pociągnął łyk. – Kiedy prowadził poszukiwania?

– Zaczął badać materiały biblioteczne jakieś osiem miesięcy temu. Wypożyczał nowe mniej więcej raz na tydzień. A potem trop nagle się urwał jakieś dwa miesiące temu.

Pendergast spojrział na bibliotekarza.

– Zakończył badania?

– Tak. – Wren zawahał się. – Istnieje oczywiście jeszcze jedna możliwość.

– Istotnie. A jaka?

– Szukał czegoś... czegoś bardzo konkretnego. A nagle przerwa w pracy oznacza, że to znalazł.

Po wyjściu gościa Pendergast wstał z fotela, opuścił salon i powędrował głównym korytarzem apartamentu aż do małego, dość staroświeckiego laboratorium. Zdjął czarną marynarkę i powiesił ją na haku za drzwiami. W pomieszczeniu dominował stół ze steatytu, na którym stała aparatura chemiczna oraz palnik Bunsena. Pod ścianami ciągnęły się stare dębowe gabloty, gdzie szklane buteleczki walczyły o miejsce z wystrzępionymi czasopismami i czytanyymi naukowymi publikacjami.

Pendergast wyjął klucz z kieszeni i otworzył jedną szafkę. Wyjął z niej różne przedmioty: lateksowe rękawiczki, pudło z polerowanego orzecha, stojak z próbkami zaopatrzonymi w korki i nalepki oraz szkło powiększające w mosiężnej oprawie. Rozmieszczył wszystko na steatytowym stole. Przeszedł przez laboratorium, naciągnął rękawiczki i otworzył kluczem drugą szafkę. Po chwili trzymał w dłoniach czaszkę – tę samą czaszkę, którą razem z D'Agostą wykopali z grobu nad rzeką. Oczodoły i szczęki wciąż wypełniała ziemia. Pendergast ostrożnie położył czaszkę na stole i otworzył pudło, które zawierało zestaw dziewiętnastowiecznych instrumentów dentystycznych z uchwyty z kości słoniowej. Z najwyższą starannością oczyścił czaszkę, usuwając

drobinki brudu; niektóre wkładał do probówek i oznaczał ponumerowanymi nalepkami. Próbkę białawego proszku oblepiającego zęby i wewnątrz szczęki również powędrowały do probówek razem z fragmentami skóry, włosów i wosku trupiego.

Zakończywszy te czynności, Pendergast odłożył czaszkę i wpatrzył się w nią. Mijały sekundy, potem minuty. W pokoju panowała całkowita cisza. A potem agent powoli wstał. Jego srebrzyste oczy lśniły entuzjazmem. Wziął szkło powiększające i zaczął oglądać czaszkę z bliska. W końcu skupił uwagę na prawej jamie oczodołowej. Odłożył szkło, podniósł czaszkę i zbadał oczodół ze wszystkich stron, pod różnymi kątami. W środku zauważył kilka cienkich, krzywych zadrapań, podobne rysy widniały też po wewnętrznej stronie z tyłu sklepienia czaszki.

Ponownie odłożył czaszkę na stół, podszedł do trzeciej szafki i otworzył ją kluczem. Wyjął dziwaczne narzędzie skradzione z ołtarza w Ville: ostry, skręcony kawałek metalu wystający z drewnianej rękojeści, przypominający ogromny korkociąg. Zaniósł go na stół laboratoryjny i umieścił obok czaszki. Oparłszy się o stół obiema rękami, przez jakiś czas przyglądał się dwóm przedmiotom, nieustannie przenosząc spojrzenie z jednego na drugi.

Potem usiadł przy stole. Wziął czaszkę do prawej ręki, a narzędzie do lewej. Upłynęło jeszcze trochę czasu. Pendergast wciąż spoglądał to na jedną rzecz, to na drugą. Wreszcie nieskończenie powoli przysunął je do siebie i umieścił zakrzywiony koniec haka w oczodole. Powoli, ostrożnie przesunął hak po słabych śladach zadrapań i włożył go w szczelinę oczodołową górną – otwór na dnie oczodołu. Czubek zmieścił się idealnie w dziurze. Jakby rozwiązując zagadkę, Pendergast wprowadził hak do puszeki mózgowej, wepchnął go jeszcze głębiej, znowu zgodnie ze śladami zadrapań na kości, aż karb na metalu zaczepił się w szczelinie oczodołowej, a zakrzywiony koniec tkwił głęboko w mózgo-czaszce.

Nagłym, zręcznym manewrem – lekko przekręcając uchwyt – Pendergast wykonał zakrzywionym końcem kolisty, tnący ruch. Obracał

tam i z powrotem – a wewnątrz czaszki mały, zaostzony hak przesuwiał się po precyzyjnym łuku.

Bezradosny uśmiech wypłynął na twarz agenta specjalnego Pendergasta, a usta wypowiedziały jedno słowo:

– Broca.

58.

Nora Kelly leżała w ciemności i nasłuchiwała. W piwnicy panowała grobowa cisza. Chociaż wytężyła słuch, nie docierały do niej żadne normalne, uspokajające dźwięki zewnętrznego świata: ludzkie głosy, samochody, szum wiatru w gałęziach drzew. Nie słyszała nawet chrobotania myszy ani szczurów.

Kiedy już wzięła się w garść i opanowała strach, przeprowadziła szczegółowe badanie swojego więzienia: najpierw raz, potem drugi. To jej zabrało całe godziny. Mogła się posługiwać wyłącznie dotykiem – widziała swoją celę tylko przez chwilę, kiedy ją filmowano, a wtedy była zbyt zdenerwowana i zdezorientowana, żeby wykorzystać tę sposobność i zapamiętać otoczenie.

Niemniej dotykowe zwiedzanie dało jej dokładny obraz celi – niemal zbyt dokładny. Cementowa podłoga, świeżo wylana, silnie pachniała zaprawą i wilgocią. Tu i ówdzie leżały garście słomy. Więzienie miało wymiary jakieś dziesięć stóp na szesnaście, co skrupulatnie wylczyła kilka razy krokami. Ściany wymurowano z nieociosanego kamienia, prawdopodobnie granitu. Nora nie znalazła absolutnie żadnych otworów oprócz drzwi – wykonanych z grubych belek, okutych żelaznymi płytami i nitami, co stwierdziła, gdy je polizała. Podejrzewała, że to nowe drzwi, zbudowane specjalnie dla tej piwnicy, ponieważ framugę miały węższą i niższą niż standardowe. Sufit tworzył niski łuk z cegieł spojonych cementem, których krawędzie wymacała aż do najwyższej pośrodku. W ścianach i suficie tkwiło kilka zardzewiałych

żelaznych haków, co świadczyło, że prawdopodobnie dawniej używano tego pomieszczenia do suszenia mięsa.

W celi znajdowały się dwa przedmioty: wiadro w kącie, przeznaczone na latrynę, oraz plastikowy kanister z wodą. Odkąd Norę zamknięto w więzieniu, nie dostała nic do jedzenia. W grobowych ciemnościach nie bardzo mogła ocenić upływ czasu, ale miała pewność, że minęły co najmniej dwadzieścia cztery godziny. Co dziwne, głód jej nie przeszkadzał: wyostrzał myśli.

„Nie pożyjesz dostatecznie długo, żeby moje nazwisko robiło jakąś różnicę”. Tylko tyle powiedział jej porywacz i wiedziała, że nie żartował. Nie zadał sobie trudu, żeby utrzymać ją przy życiu, nie zapewnił jej świeżego powietrza, nie zatroszczył się o jej stan, kiedy odzyskała przytomność. Więcej: mówił tonem tak niedbałym, a jednak z taką spokojną pewnością siebie, że od razu mu uwierzyła.

Na ratunek nie mogła liczyć. Współpraca nie wchodziła w grę – tylko przyspieszyłaby jej śmierć. Pozostawała ucieczka.

Równie metodycznie, jak klasyfikowała skorupy, Nora zbadała każdą możliwą drogę ucieczki, jaką zdołała wymyślić. Czy mogła się jakoś przekopać przez nie całkiem stwardniałą betonową podłogę? Plastikowe wiadro i kanister nie stanowiły przydatnych narzędzi. Haki były mocno przytwierdzone do sufitu. Nie miała paska ani pantofli; wciąż nosiła ciekawą szpitalną koszulę. Nie dysponowała niczym oprócz własnych zębów i paznokci, którymi mogła najwyżej poskrobać po betonie.

Następnie wzięła pod uwagę ściany spojone zaprawą. Zbadała je z największą dokładnością, obmacała każdy kamień, sprawdziła zaprawę pomiędzy nimi. Bez rezultatu. Kamienie mocno tkwiły w murze; żaden się nie obluźował. Sufit sprawiał wrażenie świeżo naprawionego, między cegłami nie było nawet jednej szczeliny, w którą mogłaby wcisnąć paznokieć.

Drzwi również nie dawały żadnych szans: masywne i wyjątkowo

mocne. W środku nie miały zamka ani nawet dziurki od klucza; z pewnością po drugiej stronie były zamknięte na zasuwę i kłódkę. Okienko w drzwiach było małe, zakratowane od środka, z metalową okiennicą zamkniętą na klucz. Głęboka cisza panująca w pomieszczeniu świadczyła, że znajdowało się pod ziemią i było dźwiękoszczelne.

Pozostawała tylko jedna możliwość: obezwładnić dozorcę, kiedy wróci. Żeby tego dokonać, potrzebowała planu. I jakiejś broni.

Najpierw pomyślała o zardzewiałych hakach w ścianach i suficie; ale były zbyt grube i mocne, żeby je odłamać albo obluzować. Nawet wiadro nie miało rączki. Jako broń musiały jej wystarczyć ręce, nogi, zęby i paznokcie.

Potrzebował jej żywej, przynajmniej na razie. Dlaczego? Musiał komuś udowodnić, że ona żyje. Dla okupu? Możliwe. Miała posłużyć za zakładniczkę? Nie wiedziała. Zdała sobie jednak sprawę, że kiedy on dostanie, czego chce, zabije ją.

Proste.

Zdumiewał ją własny spokój. Dlaczego nie bała się bardziej? To również było proste. Po śmierci Billa nie miała czego się bać. Najgorsze już się stało.

Usiadła i zrobiła trzydzieści brzuszków, żeby pobudzić krążenie krwi. Nagły wysiłek w połączeniu z głodem i wstrząśnieniem mózgu sprawił, że zakręciło jej się w głowie. Ale po chwili doszła do siebie i myślała jasno jak nigdy dotąd.

Plan. Czy mogła symulować chorobę, zwabić go do środka, udawać nieprzytomną – a potem zaatakować? Nie, to się nie uda: on się nie nabierze na taką marną sztuczkę.

Następnym razem może przyjść, żeby ją zabić. Nie mogła dopuścić, żeby po prostu ją zastrzelił przez otwór w drzwiach. Nie, powinna zająć taką pozycję, żeby musiał otworzyć drzwi i wejść do środka, gdyby chciał wykonać egzekucję. Takie miejsce było oczywiście za drzwiami. Ciemność stanie się jej sprzymierzeńcem. Kiedy porywacz wejdzie –

będzie miała jedyną szansę. Musi czekać w pogotowiu, żeby zaatakować jak błyskawica. Skoczy mu prosto do oczu. Ten człowiek zabił jej męża – na pewno. Pozwoliła, żeby nienawiść do mordercy wypełniła ją energią.

Zaczęła przebiegać w myślach kolejne etapy, wyobrażała sobie otwieranie drzwi, jej skok, jego upadek, jej kciuki w jego oczodołach. A potem odbierze mu broń i go zabije...

Przerwał jej jakiś dźwięk, cichutki, nierozpoznawalny. Jak kot skoczyła do drzwi i przykucnęła w ciemnościach, z jedną stopą wysuniętą do przodu, balansując niemal jak sprinter w bloku startowym, gotowa do ataku. Usłyszała szcęk otwieranej kłódki, zgrzyt odciąganej ciężkiej zasuw. Drzwi uchyliły się lekko i słabe światło wpadło do środka, uderzyły ją w stopę i znieruchomiały.

– Czas na film – powiedział głos. – Wchodzę.

Zapalił się flesz kamwidu, jaskrawe białe światło oślepiło ją na chwilę. Czekala w napięciu, usiłując skupić wzrok.

Jasne światło nagle pomknęło za drzwi i trafiło ją prosto w twarz. Rzuciła się na nie z wystawionymi sztywno kciukami, celując w głowę porywacza. Ale blask ją oślepił i mężczyzna ze stęknieniem zdążył chwycić jej nadgarstki w żelazny uścisk, upuściwszy kamerę. Szarpnął ją w bok z wielką siłą, przewrócił na podłogę i mocno kopnął w brzuch. Kamera potoczyła się po cementie, ale mężczyzna natychmiast ją podniósł i cofnął się kilka kroków.

Leżała na podłodze, dysząc, łapiąc powietrze. Światło znowu skupiło się na niej, obiektyw mrugał; mężczyzna za kamerą pozostał kompletnie niewidoczny w ciemnościach. Ponownie przez jej głowę przemknęła nieznośna myśl: To jest człowiek, który zamordował mojego męża.

Drząc wciągnęła oddech, zerwała się i jeszcze raz z wystawionymi paznokciami rzuciła się na mężczyznę za kamerą, ale nie dał się zaskoczyć. Cios trafił ją w bok głowy i znowu leżała na podłodze, w uszach

jej dzwoniło, mroczki tańczyły przed oczami.

Flesz kamery wideo zgasł; postać odpłynęła; drzwi zaczęły się zamykać. Nora z wysiłkiem uklękła, nagle słaba, z szumem w głowie; ale rygiel szczęknął, zanim zdążyła wstać. Uciepiła się drzwi, mozolnie dźwignęła się na nogi.

– Już nie żyjesz – wydyszała, waląc pięścią w drzwi. – Zabiję cię, przysięgam.

– I nawzajem, mała jędzo – odparł głos. – Spodziewaj się mnie... niedługo.

59.

D'Agosta stał w głębi sali odpraw, z ramionami skrzyżowanymi na piersi, spoglądał na rzędy siedzących przed nim funkcjonariuszy i słuchał, jak Harry Chislett apodyktycznym tonem wydaje instrukcje w kwestii „parady” – tak to nazywał ten nadęty palant – która miała się odbyć przed Ville. Parada, akurat, myślał zniecierpliwiony D'Agosta. Owszem, Plock i Esteban uzyskali zezwolenie na paradę, ale to nie znaczyło, że przemaszują obok Ville miarowym krokiem, śpiewając *Give Peace a Chance*. D'Agosta widział już, jak szybko i paskudnie zmieniła się pierwsza manifestacja. Chislett nie widział – odjechał, zanim praktycznie zaczął się cholerny protest. A teraz teatralnie wskazywał wykresy na tablicy, gadał o ochronie, panowaniu nad tłumem i rozmaitych niuansach taktycznych tak spokojnie, jakby planował bal kotyliionowy Cór Rewolucji.

Słuchając tych niedorzecznych planów, D'Agosta mimowolnie zaciśkał pięści. Próbował wytłumaczyć Chislettowi, że w Ville mogli przetrzymać Norę Kelly, dlatego każdy akt przemocy ze strony demonstrantów mógł oznaczać jej śmierć. Tu chodziło o coś więcej niż logistykę: w każdym dużym zgromadzeniu łatwo dochodziły do głosu przemoc i mentalność tłumu. Życie Nory Kelly zawisnie na włosku. Ale zastępca szefa miał inne zdanie. „Ciężar dowodu spoczywa na pańskich barkach – wyrecytował pompatycznie. – Gdzie dowody, że Nora Kelly jest w Ville?”. D'Agosta ledwie się powstrzymał, żeby nie wbić pięści w tkankę tłuszczową tego wieprza.

– Mamy trzy punkty kontrolne, tutaj, tutaj i tutaj – głądził Chislett, postukując wskaźnikiem. – Dwa w centralnych węzłach wejściowych i wyjściowych, jeden w wejściu do Inwood Hill Park. Łańcuch poleceń przepłynie stąd do posterunków z przodu na polu.

– I wszyscy w koło kręcą się wesoło – mruknął pod nosem D'Agosta.

– Zdaje się, że zastępca szefa Chislett trochę odbiega od tematu – odezwał się znajomy głos.

D'Agosta odwrócił się i zobaczył, że obok niego stoi Pendergast.

– Dzień dobry, Vincencie – rzucił agent.

– Co ty tu robisz? – zapytał zdumiony D'Agosta.

– Szukałem cię.

– Gdzie twój kumpel Bertin?

– Wrócił do swojego bezpiecznego bayou. Znowu zostaliśmy tylko we dwóch.

D'Agosta poczuł przypływ nadziei – coś, czego nie czuł od wielu dni. Pendergast przynajmniej rozumiał powagę sytuacji.

– Więc wiesz, że nie możemy dłużej czekać – powiedział. – Musimy się tam dostać i ratować Norę, natychmiast.

– Zgadzam się w zupełności.

– Jeśli zamieszki wybuchną, a Nora jest w Ville, ryzykujemy, że tamci z miejsca ją zabiją.

– Ponownie się zgadzam... zakładając, że ona jest w Ville.

– Zakładając? A gdzie indziej może być? Kazałem przeanalizować profil dźwiękowy wideo.

– Zdaję sobie z tego sprawę – odparł Pendergast. – Eksperci nie do końca zgadzali się z tobą, że to było zwierzę.

– Więc do cholery z ekspertami. Nie mogę już wytrzymać tego czekania. Wchodzę.

Pendergast kiwnął głową, jakby tego się spodziewał.

– Doskonale. Tylko jedno, Vincent, nie wolno nam rozdzielać sił. Tak, Ville jest w to jakoś zamieszana. Ale jak? Oto zagadka. Coś się tu

dzieje, czego jeszcze nie rozgryzłem... coś jest nie w porządku.

– Masz cholerną rację, że nie w porządku. Nora Kelly ma zginąć.
Agent specjalny pokręcił głową.

– Nie o to mi chodzi. Czy mam twoje słowo, Vincencie... że robimy to razem?

D'Agosta popatrzył na niego.

– Słowo.

– Doskonale. Mój samochód czeka na dole.

60.

Richard Plock stał naprzeciwko zajezdni metra przy Dwieście Siódmej Ulicy, spoglądając na zwarte szeregi wagonów zaparkowanych w popołudniowym słońcu. Zajezdnia wydawała się niemal senna: jakiś robotnik przebrnął przez tory i zniknął w warsztacie kowalskim; mechanik powoli wprowadzał szereg wagonów na bocznice obok baraku inspektora.

Plock spojrział w obie strony ulicy za ogrodzeniem. Zachodnia Dwieście Piętnasta również była pusta. Chrząknął z zadowoleniem, spojrział na zegarek: szósta piętnaście.

Jeden z oznaczonych kolorami telefonów komórkowych w jego marynarce zaczął dzwonić. Wyjął komórkę, zobaczył czerwony pasek. To będzie Traum, przy Cloisters.

Otworzył komórkę.

- Daj mi ostatnie dane.
- Schodzą się od jakichś dwudziestu minut.
- Ilu na razie?
- Dwustu, może dwustu pięćdziesięciu.
- Dobrze. Każ im się rozproszyć, żeby wyglądali na jak najmniej zorganizowanych. Nie chcemy przedwcześnie odkrywać kart.

– Jasne.

– Informuj mnie na bieżąco. Wyruszamy za piętnaście minut.

Plock delikatnie zamknął telefon i wsunął z powrotem do kieszeni. Prawie nadeszła pora, żeby dołączył do własnego oddziału, który zbierał

się po południowej stronie zajezdni.

Zdawał sobie sprawę, że bynajmniej nie wygląda na urodzonego przywódcę. I musiał przyznać, że brakowało mu również przywódczej charyzmy. Miał jednak pasję, wiarę – a to się liczyło najbardziej. Ludzie nie doceniali go przez całe życie. Dzisiaj też go nie docenią.

Rich Plock właśnie na to liczył.

Od czasu pierwszego, przerwane go wiecu Plock pracował bez przerwy, potajemnie docierał do organizacji w całym mieście, stanie, a nawet kraju, gromadził ekipę największych zapaleńców na wieczorną akcję. A teraz zbierał owoce swoich trudów. Ponad dwadzieścia niezależnych organizacji – Ludzie dla Innych Zwierząt, Armia Wegańska, Amnestia Bez Granic, Zielona Brygada – spotykało się właśnie teraz na West Side. Nie tylko wegetarianie i miłośnicy zwierząt: zabójstwo dwojga dziennikarzy i urzędnika miejskiego oraz porwanie Nory Kelly poruszyło ludzi w niespotykany sposób. Zdobywszy taki rozgłos, Plock nakłonił kilka radykalnych grup z naprawdę poważnym programem, żeby wyszły z podziemia. W normalnych okolicznościach niektóre patrzyłyby podejrzliwie na siebie nawzajem – na przykład w akcji uczestniczyły teraz Broń dla Wszystkich i Odzyskać Amerykę – lecz dzięki podlegającej retoryce Plocka wszyscy znaleźli wspólnego wroga w Ville.

Plock nie ryzykował. Starannie opracował choreografię. Żeby uniknąć przedczesnego rozpędzenia albo zapuszkowania przez gliny, poszczególne grupy zbierały się w dziesięciu różnych, wcześniej wyznaczonych miejscach: Stadion Wien, Dyckman House, High Bridge Park. W ten sposób nie przyciągną uwagi władz... dopóki Plock nie wyda rozkazu i wszyscy gładko się nie połączą. A wtedy będzie za późno, żeby ich powstrzymać. Nie cofną się – nie tym razem.

Na wspomnienie pierwszego wiecu twarz Plocka stwardniała. W retrospekcji okazało się nawet korzystne, że Esteban stchórzył. Ten człowiek nie był już potrzebny. Zrobił, co trzeba: występował w roli

symbolicznego przywódcy, zapewnił im zainteresowanie mediów i niezbędne fundusze, co pozwoliło Plockowi zebrać ludzi w sile wystarczającej do tego zadania. Gdyby Esteban dzisiaj tu był, pewnie zalecałby ostrożność, przypominałby wszystkim, że nie ma dowodu na przetrzymywanie zakładników, nie ma dowodu, że to Ville stoi za zabójstwami.

Zajęcze serce Estebana zepsuło poprzednią akcję – ale, na Boga, tej nie zepsuje. Ludzie z Ville zostaną powstrzymani, raz na zawsze. Bezsensowne okrucieństwo, zabijanie bezbronnych zwierząt i mordowanie dziennikarzy sympatyzujących z ich sprawą już nigdy się nie powtórzy.

Plock dorastał na farmie w północnym New Hampshire. W dzieciństwie co roku był wręcz fizycznie chory, kiedy nadchodził czas uboju jagniąt i tuczników. Ojciec nigdy tego nie rozumiał, bił go i wyzywał od wałkoni i maminsynków, kiedy chłopiec próbował się wykręcać od pomagania. Był za mały, żeby się bronić. Pamiętał, jak ojciec tasakiem uciął głowę kurczakowi i potem się śmiał, kiedy nieszczęsny ptak wytańczył na pylistej ścieżce dziwaczny tatuaż krwią tryskającą z szyi. Ten obraz nawiedzał go w sennych koszmarach. Ojciec nalegał, żeby konsumowali własne zwierzęta, mięso do każdego posiłku, i żądał, żeby Rich zjadał swoją uczciwą porcję. Kiedy zabito ulubioną świnię Plocka, ojciec zmusił go do zjedzenia tłustych żeberek; potem chłopiec wymknął się za stodołę i wymiotował bez końca. Następnego dnia odszedł z domu. Nawet się nie spakował, zabrał tylko parę książek – *Nowy wspaniały świat*, *Atlas zbuntowany*, 1984 – i skierował się na południe.

I nigdy nie oglądał się za siebie. Ojciec nie dał mu miłości, wsparcia, wykształcenia – nie dał mu niczego.

To nie całkiem prawda, poprawił się, wracając myślami do Ville. Ojciec nauczył go jednej rzeczy. Nienawiści.

Następny telefon komórkowy zaczął dzwonić. Niebieski: McMoultrie przed Uniwersytetem Jesziwa. Wyjmując go, Plock zauważył coś

dziwnego: limuzynę Lincoln przedzierającą się przez Dziesiątą Aleję na północ, za kierownicą siedział pielęgniarz w pełnym ekwipunku ratownika medycznego. Ale telefon wciąż dzwonił, więc Plock tylko przez chwilę odprowadzał wzrokiem samochód. Odchrząknął cicho, otworzył komórkę i zdecydowanie przyłożył do ucha.

61.

Rolls płynnie zahamował na końcu Zachodniej Dwieście Osiemnaściej Ulicy i wśliznął się na miejsce parkingowe pomiędzy sfatygowaną furgonetką a najnowszym modelem jeepa. Po lewej ciągnął się szereg niskich, przeciętnych spółdzielczych bloków mieszkalnych; po prawej leżał zielony owal stadionu Columbia's Baker Field. Wokół boiska i na trybunach kręciło się ze dwieście osób, na pozór niezorganizowanych, jednak D'Agosta miał pewność, że to uczestnicy zapowiedzianej demonstracji. Gdy jechał przez Inwood, widział też inne podejrzane grupki. Imponująco zadufany w sobie Chislett będzie miał twardy orzech do zgryzienia.

– Podejźmy z boku, przez Isham Park – oznajmił Pendergast, biorąc z tylnego siedzenia brezentową torbę.

Przebiegli boisko do baseballu i dobrze utrzymane pola, po czym zanurkowali w dziki gąszcz Inwood Hill Park. Ville wciąż kryła się za drzewami. Pendergast wybrał dobrą trasę: mieszkańcy Ville skupią uwagę na czym innym, co pozwoli intruzom wśliznąć się niepostrzeżenie. Z południa napływały dźwięki niesione wieczorną bryzą: ryk megafonów, odległe krzyki, trąbki pneumatyczne. Ktokolwiek to zaplanował, wykazał wielki spryt: jedna hałaśliwa grupka przyciąga uwagę policji, żeby pozostałe grupy mogły się zorganizować i uderzyć *en masse*. Jeśli nie wyciągną Nory, zanim główne siły wykonają swój ruch...

Przed nim Pendergast przystanął, położył na ziemi brezentowy worek,

otworzył i wyjął dwie zgrzebne brązowe szaty. D'Agosta już się pocił w kamizelce kuloodpornej, więc cieszył się, że dzień jest zimny. Naciągnął szatę przez głowę i schował twarz pod kapturem. Agent FBI poszedł za jego przykładem. Przejrzał się w kieszonkowym lusterku, potem podsunął je towarzyszowi. Nieźle jeśli trzymam głowę pochyloną, uznał D'Agosta. Patrzył, jak agent wyciąga z worka pozostały sprzęt – małą latarkę z zapasowymi bateriami, nóż, przecinak i młotek, zestaw wytrychów – i wkłada do torby, którą następnie schował pod szatą. D'Agosta poklepał się po własnej talii i sprawdził, czy łatwo może sięgnąć do glocka 19 i zapasowych magazynków.

Pendergast wepchnął pusty worek pod zwaloną kłodę, przykrył liśćmi, po czym kiwnął na D'Agostę i zaczął się wspinać na nasyp, który wznosił się przed nimi. Wczołgali się na strome zbocze i wyjrzeni zza krawędzi. Siatkowe ogrodzenie otaczające Ville stało jakieś dwadzieścia jardów dalej, w tym miejscu zarzewiałe i zaniedbane, z kilkoma wyraźnie widocznymi dziurami. W odległości pięćdziesięciu jardów wznosiło się bezkształtne skupisko budynków, mroczne w zapadającym zmierzchu, zdominowane przez potężną sylwetkę starego kościoła.

D'Agosta przypomniał sobie, jak pierwszy raz zapuścił się do tych lasów i w nagrodę oberwał po głowie. Wyjął glocka i trzymał w ręku, kiedy się podnosił. To już się nie powtórzy.

Razem z Pendergastem podbiegli do siatki, prześliznęli się przez dziury i przypadli do zewnętrznego muru opasującego Ville. Przesuwali się wzdłuż krzywizny, aż dotarli do małych, spróchniałych drzwi osadzonych w murze i zamkniętych na kłódkę. Mocnym uderzeniem przecinaka Pendergast oderwał kłódkę razem z zawiasami. Pchnął drzwi i ukazała się wąska, zaśmiecona alejka, niemal całkowicie zasłonięta od góry przez wystające dachy, biegnąca wzdłuż ściany masywnego kościoła. Agent zanurkował w alejkę, a D'Agosta wskoczył za nim i zamknął drzwi. Pendergast przyłożył ucho do ściany kościoła. D'Agosta zrobił to samo. W środku usłyszał śpiewny głos, który wznosił się i

opadał, nawoływał i gromił drżącym kaznodziejskim tonem – jednak zbyt odległy i stłumiony, żeby rozróżnić słowa, nawet zakładając, że mówił po angielsku. Od czasu do czasu odpowiadał mu wielogłosy chór, niczym bezmyślne brzęczenie roju pszczół, po czym znowu zaczęła się szalona recytacja.

W tle rozbrzmiewało słabe, piskliwe rzenie przerażonego żrebaka.

D'Agosta próbował wyrzucić z myśli ten horror i skupić się na bieżącym zadaniu. Skradał się alejką, depeczęc Pendergastowi po piętach, przemykał od jednych ciemnych drzwi do drugich, z pochyloną głową, kryjąc twarz. Nikogo nie spotkali; prawdopodobnie wszyscy byli w kościele na ohydnej ceremonii. Alejka zakręcała ostrym łukiem w gmatwaninę wiekowych, koślawych budyneczków, po czym mijala większy budynek przylegający do kościoła, który wyglądał na starą plebanię lub probostwo.

Pierwsze drzwi na probostwie, do których podeszli, okazały się zamknięte na klucz, ale Pendergast otworzył je w niecałe pięć sekund. Szybko weszli do środka i znaleźli się w ciemnym, dusznym pomieszczeniu. Kiedy oczy D'Agosty przyzwyczyły się do półmroku, zobaczył jadalnię ze starym dębowym stołem, krzesłami i kandelabrem na wiele świec, grubo oblepionym zaciekami wosku. Jedyne światło padało ze starego monitora CRT, podłączonego do komputera z epoki DOS-u, który wyglądał rażąco nie na miejscu wśród zabytkowych mebli. Drzwi w ścianie wschodniej, zachodniej i południowej prowadziły do jeszcze ciemniejszych pomieszczeń.

Kazanie kapłana rozlegało się tutaj głośniejsz, dochodziło z jakiegoś nieokreślonego kierunku.

Problem, wobec którego stanęli – znalezienie Nory w ogromnym domu wariatów – wydawał się nie do rozwiązania. D'Agosta odpędził od siebie tę myśl. Wszystko po kolei.

– Kuchnie w tych starych domach zawsze mają schody do składów w piwnicy – szepnął Pendergast.

Wszedł w drzwi na wschodniej ścianie, wybrane pozornie na chybił trafił. D'Agosta ruszył za nim. Znaleźli się w spiżarni zastawionej kopnymi workami z ziarnem. Na końcu D'Agosta dostrzegł staroświecką, prymitywną ręczną windę. Ominąwszy Pendergasta, podszedł tam, rozsunął drzwi, zapalił latarkę i spojrzał w dół – daleko w dół.

Nagle usłyszał za plecami głos, donośny i ostry.

– Wy dwaj. Co tu robicie?

62.

Zastępca szefa policji Harry Chislett wysliznął się z tylnego siedzenia nieoznakowanego forda crown vic i szybko podszedł chodnikiem do swojego asystenta, inspektora Minervy, który przez lornetkę lustrował tłum. Tłum to lekka przesada, pomyślał Chislett; najwyżej dwieście, no, może dwieście pięćdziesiąt osób rozproszonych na boisku baseballowym przed wejściem do parku skandowało i wymachiwało transparentami. Wyglądali jak te same typki obściskujące drzewa, które uczestniczyły w poprzedniej demonstracji. Właśnie wznieśli nierówny okrzyk, który zamarł niemal równie szybko, jak się narodził.

– Widzisz gdzieś tego brodatego faceta? – zapytał Chislett. – Tego reżysera filmowego, który ostatnim razem ich podburzył?

Minerva zlustrował tłum przez lornetkę.

– Nie.

– Punkty kontrolne i wysunięte posterunki z przodu?

– Wszędzie mamy zespoły na pozycjach.

– Znakomicie.

Chislett usłyszał następny niemrawy okrzyk. Protestujący sprawiali wrażenie znacznie bardziej apatycznych niż poprzednim razem. A bez prowodyra, który ich podburzał, cała demonstracja na pewno niedługo się rozejdzie. A nawet jeśli nie, był przygotowany.

– Szefie.

Obejrzał się i ku swojemu zdumieniu zobaczył obok kobietę z belkami kapitana na kołnierzu munduru. Była drobna i ciemnowłosa i

odwzajemniła jego spojrzenie z chłodną pewnością siebie, którą natychmiast uznała za irytującą i trochę obraźliwą. Nie należała do jego personelu, ale ją rozpoznała: Laura Hayward. Najmłodszy kapitan płci żeńskiej w policji. I dziewczyna porucznika D'Agosty – albo, jak głosiły plotki, eksdziewczyna. Ani jedno, ani drugie nie wzbudziło jego sympatii.

– Tak, kapitanie? – rzucił oschle.

– Byłam wcześniej na pana odprawie. Potem próbowałam się do pana dostać, ale pan wyszedł.

– I?

– Z całym szacunkiem, biorąc pod uwagę pański plan, nie wiem, czy ma pan dostatecznie duże siły, żeby opanować ten tłum.

– Siły? Tłum? Niech pani sama popatrzy, kapitanie. – Chislett szerokim gestem wskazał boisko baseballowe. – Nie zauważyła pani, jak niewielu jest demonstrantów? Uciekną z podwiniętym ogonem przed pierwszym gliniarzem, który krzyknie na nich „buu”!

Inspektor Minerva wyszczerzył zęby.

– Nie wierzę, że to wszyscy. Na pewno przyjdą inni.

– A niby skąd się wezmą?

– W tej okolicy jest kilka miejsc, gdzie może się zebrać mnóstwo ludzi – odparła Hayward. – I rzeczywiście, kiedy tu jechałam, po drodze widziałam całkiem spore grupy... zwłaszcza jak na jesienny wieczór w środku tygodnia.

– Właśnie dlatego mamy ludzi na wysuniętych pozycjach. Dzięki temu zachowamy elastyczność, gdyby zaszła konieczność szybkiego działania. – Starał się zamaskować nutę irytacji w głosie.

– Widziałam pana diagram. Każdy z tych wysuniętych posterunków obsadziło tylko paru funkcjonariuszy. Jeśli pańskie linie zostaną przerwane, demonstranci uzyskają bezpośredni dostęp do Ville. A jeśli trzymają tam Norę Kelly jako zakładnika... co nie jest wykluczone... porywacze mogą spanikować. Zagrożone będzie jej życie.

Dokładnie tak samo bredził D'Agosta. Pewno właśnie on nakładł jej do głowy tych bzdur.

– Ciesz się mnie pani troska – odparł Chislett, nawet już nie próbując ukryć sarkazmu – chociaż pragnę zauważyć, że jeszcze dzisiaj sędzia uznał, iż nie ma absolutnie żadnych dowodów, jakoby Nora Kelly tam przebywała, i odmówił wydania nakazu rewizji w Ville. A teraz zechce mi pani łaskawie powiedzieć, co pani tutaj robi? Kiedy ostatnio sprawdzałem, Inwood Hill Park nie należał do pani jurysdykcji.

Ale Hayward nie odpowiedziała. Zobaczył, że nie patrzyła już na niego, tylko gdzieś ponad jego ramieniem.

Obejrzał się. Ze wschodu nadchodziła następna grupa demonstrantów. Nie nieśli transparentów, ale sprawiali wrażenie gotowych na wszystko. Szybko i bardzo cicho maszerowali w stronę boiska baseballowego, coraz bardziej zwiernając szeregi. Ta zbieranina wyglądała groźniej niż grupa zgromadzona już na boisku.

– Daj no mi te szkła – powiedział do Minervy.

Przez lornetkę zobaczył, że grupą dowodzi niski, pulchny facet, który poprzednim razem kierował szarżą. Przez chwilę, kiedy Chislett patrzył na twarde wyraz twarzy przywódcy, na zacięte miny jego poleczników, poczuł ukłucie niepokoju.

Ale to minęło równie szybko, jak nadeszło. Co tam setka czy dwie setki więcej! Oddziały Chisletta bez trudu mogły sobie poradzić z czterema setkami demonstrantów. Poza tym jego plan zapobiegawczy stanowił arcydzieło – był ekonomiczny i zarazem uniwersalny.

Oddał lornetkę Minervie.

– Przekaż rozkazy – polecił wojskowym tonem, ignorując Hayward. – Zaczynamy ostateczne rozlokowanie. Uprowadź posterunki na pierwszej linii, żeby się przygotowały.

– Tak jest – powiedział Minerva i wyciągnął radio.

63.

D'Agosta zamarł. Pendergast, z głową zakrytą kapturem, wymamrotał coś i poczłapał w stronę pytającego, chwiejąc się lekko jak zgrzybiały staruszek.

– Co wy tu robicie? – powtórzył mężczyzna z dziwnym, egzotycznym akcentem.

Pendergast wychrypiał:

– *Va t'en, sale bête.*

Mężczyzna cofnął się o krok.

– Tak, ale... nie wolno wam tu być.

Pendergast przyczłapał bliżej i mrugnął do D'Agosty, żeby się przygotował.

– Jestem tylko starym człowiekiem... – zaczął cichym, rzeźącym głosem, żałośnie wyciągając drżącą rękę. – Pomożesz mi...?

Mężczyzna pochylił się do przodu, żeby lepiej słyszeć, a wtedy D'Agosta sprytnie zaszedł go z boku i walnął go w skroń kolbą pistoletu. Nieprzytomny mężczyzna osunął się na ziemię.

– Trafiony i zatopiony – stwierdził Pendergast, zręcznie łapiąc upadające ciało.

W dalszych pokojach D'Agosta słyszał inne głosy, podekscytowane; najwyraźniej nie wszyscy uczestniczyli w kościelnej ceremonii. Spizarnia nie miała tylnych drzwi – zostali uwięzieni w ślepym zaułku z nieprzytomnym człowiekiem.

– Do windy – szepnął Pendergast.

Wpakowali bezwładne ciało do windy, zasunęli drzwi i opuścili windę do piwnicy. Zaledwie się z tym uporali, w drzwiach spiżarni pojawiło się trzech mężczyzn.

– Morvedre, co ty tam robisz? – zapytał jeden z nich. – Chodź z nami. Ty też.

Poszli dalej, a D'Agosta i Pendergast ruszyli za nimi, starając się naśladować ich powolny, cichy chód. D'Agosta czuł narastające napięcie i frustrację. Nie mogli zbyt długo ciągnąć tego oszustwa; musieli się urwać i przeszukać piwnice. Czas uciekał.

Mężczyźni skręcili w długi, wąski korytarz, przeszli przez kilkoro drzwi i znaleźli się w samym kościele. Zapach wosku ze świec i ciężkiego kadzidła przesycił powietrze; tłum przepychał się i mamrotał niecierpliwie, falując jak morze w rytm recytacji najwyższego kapłana Charrière'a stojącego z przodu. Dwa rzędy świec oświetlały czterech mężczyzn trujących się nad płaskim kamieniem osadzonym w podłodze. Za nimi, w woskowym mroku, stali inni, wielu innych, milczący; białka oczu połyskiwały jak perły w ciemnej masie zakapturzonych postaci. A po jednej stronie w cieniu stał Bossong, niemal po królewsku wyprostowany i obserwujący ceremonię z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

Czterej mężczyźni przeciągnęli sznury przez żelazne pierścienie osadzone w rogach dużego, płaskiego kamienia, zawiązali węzły, położyli sznury na kamiennej podłodze i stanęli obok. Zapadła cisza, kiedy najwyższy kapłan podszedł do kamienia, trzymając w jednej ręce mały kandelabr, a w drugiej grzechotkę. Odziany w zgrzebną brązową szatę poruszał się niespiesznie, stawiając jedną bosą stopę przed drugą, z palcami skierowanymi do środka, aż stanął na środku kamiennej płyty.

Lekko potrząsnął grzechotką: raz, drugi i trzeci. Powoli obrócił się wokół, wosk ze świec skapywał mu na ramię i rozpryskiwał się na kamieniu. Jedną ręką sięgnął do kieszeni płaszcza, wyjął mały pierzasty przedmiot i upuścił przy kolejnym obrocie. Następnym cichy grzechot,

Nagle Charrière zastygł w bezruchu. Skandowanie ucichło, echa głosów zamarły w głębi kościoła. Lecz hałasy na dole wciąż trwały, zlewały się ze sobą: jęki, charczące oddechy i niespokojne szuranie. D'Agosta patrzył z zapartym tchem.

– *Envoye!* – zawołał najwyższy kapłan i zszedł z kamienia. – *Envoye!*

Czterej mężczyźni w narożnikach kamiennej płyty chwycili za sznury, odwrócili się, przerzucili sznury przez ramiona i zaczęli ciągnąć. Kamień ze zgrzytem przechylił się, zachybotał i ruszył w górę.

– *Envoye!* – krzyknął ponownie kapłan, unosząc przed sobą wyprostowane dłonie.

Mężczyźni odciągnęli kamień na bok i odsłonili otwór w podłodze prezbiterium. Ustawili kamień w równowadze, rzucili sznury. Krąg wiernych się zacieśnił, wszyscy czekali w milczeniu. Bossong, który nie ruszył się z miejsca, przyglądał im się po kolei ciemnymi oczami. Z otworu wypłynął rzadki opar – perfumy śmierci.

Teraz jamę wypełniły odgłosy niecierpliwych poruszeń; skrobanie i dreptanie; śluzowate, łakome siorbanie.

A potem to wychynęło z ciemności i chwyciło krawędź kamiennej płyty: blada, wyschnięta ręka, wychudzone przedramię, na którym mięśnie i ścięgna wystąpiły jak sznury. Pojawiła się druga dłoń, za nią głowa: włosy skołtunione i wilgotne, twarz wyrażająca tylko nieokreślony głód. Jedno oko obracało się w oczodole, drugie zakrywały skrzepę zaschniętej krwi i ropy. Nagłym podrzutem stwór wydzwignął się z jamy i upadł ciężko na podłogę kościoła, drapiąc paznokciami podłogę. Wśród kongregacji rozległy się westchnienia oraz kilka pomruków aprobaty.

D'Agosta patrzył z niedowierzaniem i zgrozą. To był człowiek... przynajmniej dawniej był człowiekiem. I porucznik miał pewność – całkowitą pewność – że właśnie ten stwór go napadł w pobliżu Ville przed siedmioma dniami. A jednak to nie był Fearing i na pewno nie

Smithback. Czy to żyło... czy też zostało ożywione po śmierci? Ciarki go przechodziły, kiedy patrzył na tę twarz, na ziemistą, pomarszczoną skórę, na wymalowane linie, krzyże i zawijasy widoczne spod brudnych szmat udających ubranie. A jednak przyjrzaawszy się dokładniej, D'Agosta odkrył, że stwór wcale nie nosił łaćmanów, tylko resztki jedwabiu albo satyny, albo innej cennej tkaniny, teraz wystrzępionej i sztywnej od brudu i krwi.

Tłum zaszemrał jakby z szacunkiem, kiedy stwór obracał się niepewnie, oglądał się na kapłana, jakby czekał na rozkazy. Nitka śliny zwisała z grubych szarych ust, oddech świszczał, jakby z mokrego worka wyciskano powietrze. Jedyne całe oko wydawało się martwe – całkowicie.

Charrière sięgnął w fałdy szaty, wydobył mały kielich z brązu. Zanurzył w nim palce i skropił czymś, co wyglądało jak oliwa, głowę i ramiona chwiejącego się stwora. Potem, ku nieskończonemu zdumieniu D'Agosty, najwyższy kapłan padł na kolana przed stworem i pokłonił się nisko. Pozostali poszli w jego ślady. Pendergast pociągnął porucznika za skraj szaty, żeby zrobił to samo. D'Agosta uklęknął i wzorem innych wyciągnął ręce w stronę zombie – jeśli rzeczywiście to był zombie.

– Kłaniamy się naszemu obrońcy! – zaintonował najwyższy kapłan. – Nasz miecz, nasza opoka, witaj nam!

Zgromadzeni powtórzyli jego słowa. Charrière mówił dalej w obcym języku, a inni odpowiadali mu tak samo.

D'Agosta się rozejrzał. Bossong gdzieś zniknął.

– Jako bogowie wzmacniają nasze siły – kapłan przeszedł z powrotem na angielski – niechaj nasza siła teraz wzocni ciebie!

Jak na dany znak rozległo się żalosne rżenie. D'Agosta odwrócił się i dostrzegł w mroku małego kasztanowego żrebaka – najwyżej tygodniowego – prowadzonego za kantar do drewnianego słupa. Długie nogi rozjeżdżały mu się ze stukotem na gładkiej podłodze, kiedy

szarpał się w przód i w tył, szeroko otwierając przerażone brązowe oczy. Wyznawca przywiązał go do słupa i odstąpił.

Kapłan wstał. Poruszając się na wpół tanecznym, na wpół kołyszącym krokiem, wznosił wysoko lśniący nóż, podobny do tych, które skonfiskowali podczas nalotu.

O Boże drogi, nie, pomyślał D'Agosta.

Pozostali odwrócili się w stronę najwyższego kapłana. Ceremonia wyraźnie zbliżała się do punktu kulminacyjnego. Charrière wprawił się w szal, tańcząc coraz bliżej żrebaka; kongregacja kołysała się rytmicznie; błyszczący nóż wznosił się coraz wyżej. Żrebaczek tupał i rżał w narastającym przerażeniu, potrząsał głową i próbował się uwolnić.

Kapłan przyskoczył do niego.

D'Agosta odwrócił wzrok. Usłyszał przeraźliwe rzenie i nagle westchnienie tłumu – a potem wrzask końskiej agonii.

Tłum rozpoczął szybką recytację i D'Agosta znowu się odwrócił. Kapłan dzwignął w ramionach zdychającego żrebaka, którego nogi jeszcze drgały. Ruszył przez nawę, a tłum rozstępował się przed nim. Ponownie podszedł do ohydneho stwora i z okrzykiem cisnął ciało żrebaka na kamienną posadzkę. Kongregacja uklękła jak jeden mąż, D'Agosta i Pendergast pospiesznie zrobili to samo.

Zombie rzucił się na martwego żrebaka z obrzydliwym mlaskaniem, rozdarł go zębami, wywłókł wnętrzności i ze zwierzęcymi pomrukami zadowolenia wpychał sobie do ust.

Skandowanie tłumu przybrało na sile:

– Nakarmić obrońcę! *Envoie! Envoie!*

D'Agosta patrzył ze zgrozą na kucającego stwora. We własnych wnętrznościach poczuł skurecz atawistycznego strachu. Spojrzał na Pendergasta. Błysk srebrzystych oczu spod kaptura skierował uwagę porucznika na boczne drzwi kościoła – uchylone, prowadzące do pustego, ciemnego korytarza. Droga ucieczki.

– *Envoie! Envoie!*

Stwórz jadł z szaleńczą szybkością. A potem się nasycił. Wstał z nieruchomą twarzą, jakby czekał na rozkazy. Tłum również powstał jak jeden mąż.

Na gest kapłana ciżba się rozstała, tworząc ludzki korytarz. W drugim końcu kościoła rozległo się skrzywienie i pisk żelaza, kiedy ktoś otworzył drzwi prowadzące na zewnątrz. Lekki powiew wieczornego wiatru wtargnął do wnętrza kościoła, ponad krawędzią muru granicznego na ciemnym niebie świeciła słabo pojedyncza gwiazda. Charrière położył jedną rękę na ramieniu zombie, uniósł drugą i wskazał długim, kościstym palcem na otwarte drzwi.

– *Envoye!* – szepnął ochryple, drżącym głosem. – *Envoye!*

Stwórz powoli, powłócząc nogami, ruszył w stronę drzwi. Po chwili zniknął za progiem. Drzwi zatrzasnęły się z głuchym hukiem.

Tłum jakby się odprężył, odetchnął, zaczął się wiercić i szurać. Kapłan ładował szczątki żrebaka do skrzyni przypominającej trumnę. Upiorne „nabożeństwo” miało się ku końcowi.

Pendergast natychmiast zaczął się przesuwać w stronę wyjścia. D'Agosta podążał za nim, usiłując się zachowywać jak gdyby nigdy nic. Po chwili Pendergast dotarł do drzwi i położył rękę na klamce.

– Chwileczkę! – Jeden ze stojących w pobliżu odwrócił się od ohydnej sceny i zauważył ich. – Nikt nie może wyjść aż do zakończenia ceremonii... przecież wiecie!

Pendergast wskazał D'Agostę, nie podnosząc głowy.

– Mój przyjaciel zachorował.

– Nie przyjmujemy żadnych wymówek. – Mężczyzna podszedł bliżej i schylił się, żeby zajrzeć pod kaptur Pendergasta. – Kim jesteś, przyjacielu?

Pendergast pochylił głowę, ale mężczyzna zdążył zobaczyć jego twarz.

– Obcy! – wrzasnął i zerwał agentowi kaptur. Zapadła nagła cisza.

– Obcy!

Charrière pospiesznie otworzył frontowe drzwi kościoła.

– Obcy! – krzyknął w ciemność. – *Baka! Baka!*

– Łap go! Szybko!

Nagle we framudze drzwi D'Agosta ujrzał stwora. Zombie przez chwilę stał na progu, kołysząc się lekko. Potem ruszył z dziwnym zdecydowaniem w stronę intruzów.

– *Envoie!* – zaskrzeczał kapłan, wskazując na nich.

D'Agosta zareagował pierwszy: mocnym ciosem powalił donosiciela. Pendergast przeskoczył nad bezwładnym ciałem, szeroko otworzył boczne drzwi. D'Agosta wybiegł na korytarz, agent popędził za nim, zatrzaskał drzwi i zamknął na klucz.

64.

Przystanęli w mrocznym korytarzu, na którego drugim końcu znajdowały się drzwi. Gwałtowne łomotanie w drewno przynagliło ich do działania. Pobiegli korytarzem, ale drugie drzwi okazały się zamknięte na klucz. D'Agosta cofnął się, żeby w nie kopnąć.

– Zaczekaj.

Pendergast szybko pomanipulował wytrychem i zamek ustąpił. Znowu przeszli na drugą stronę i Pendergast zamknął za nimi drzwi.

Znaleźli się na podeście, skąd drewniane schody prowadziły w ciemność, skąd dobiegał hałas. Pendergast zapalił latarkę kieszonkową i poświecił w dół.

– Ten... ten człowiek... – wydyszał D'Agosta. – Co oni robili, do cholery? Oddawali mu cześć?

– To chyba nie jest idealna pora na spekulacje – zauważył Pendergast.

– Powiem ci jedno: ten sam stwór napadł na mnie przy Ville.

Słyszał walenie w drzwi na końcu korytarza, trzask pękającego drewna.

– Ty pierwszy – powiedział Pendergast, wskazując schody.

D'Agosta zmarszczył nos.

– Jaki mamy wybór?

– Niestety, żadnego.

Zeszli po wiekowych schodach, które głośno skrzypiały. Dotarli do następnego podestu, skąd kolejne schody, tym razem kamienne,

prowadziły spiralą w mrok. Na samym dole D'Agosta zobaczył korytarz o wilgotnych ceglanych ścianach pokrytych nalotem mineralnym i obwieszonych pajęczynami. Pachniało tu ziemią i pleśnią. Z góry dochodziły stłumione krzyki i bębnienie w drewno.

D'Agosta wyjął własną latarkę.

– Musimy znaleźć taki mur jak na wideo – oświadczył Pendergast, przesuając promieniem latarki po wilgotnych ścianach. Szybko ruszył przed siebie, powiewając szatą.

– Te dranie na górze lada chwila nas dopadną – ostrzegł D'Agosta.

– Nie oni mnie martwią – mruknął Pendergast – tylko ten stwór.

Minęli kilka łukowych przejść i kamienne schody prowadzące w górę. Dalej tunel się rozgałęział. Po krótkim namyśle Pendergast wybrał lewą odnogę. Chwilę później doszli do dużego, okrągłego pomieszczenia. W ścianach znajdowały się nisze wykute w regularnych odstępach. Każda nisza zawierała ludzkie kości powiązane jak drewno na opał i czaszki dyndające na puszczelach. Na wielu tkwiły jeszcze kępki włosów przylepione do czaszek strzępkami wyschniętej skóry.

– Urocze – mruknął D'Agosta.

Pendergast nagle przystanął.

Wtedy D'Agosta usłyszał to, co zatrzymało agenta: nierówne szuranie dochodzące z ciemności za plecami. Poza kręgiem światła latarki rozległo się donośne, charkotliwe węszenie, jakby ktoś badał powietrze. Szurające kroki, coraz szybsze, przemieszczały się niewidzialnym pasażem, jakby okrążającym komorę. W wilgotnym powietrzu rozszedł się mocny zapach nadpsutej koniny.

– Czujesz to? – zapytał D'Agosta.

– Aż za dobrze.

Pendergast skupił promień latarki na pobliskim łukowym przejściu, skąd płynęła woń niesiona powiewem świeżego powietrza.

D'Agosta wyciągnął glocka, mimo woli ogarnięty strachem.

– Ten stwór jest tutaj. Ty weź lewą stronę, ja prawą.

Pendergast wyciągnął spod szaty swoją czterdziestkę piątkę i podkradli się do drzwi z obu stron.

– Teraz! – krzyknął D'Agosta.

Wpadli do środka. D'Agosta trzymał latarkę wycelowaną razem z pistoletem, ale nie zobaczył nic prócz gołych, wilgotnych ścian z cegły. Pendergast wskazał na podłogę, gdzie krwawe ślady stóp prowadziły w ciemność. D'Agosta przykląkł i dotknął jednego: krew była świeża, jeszcze nie skrzepła.

Detektyw wstał.

– Cholernie dziwne – mruknął.

– I zabiera czas, którego nie mamy. Ruszajmy. Szybko.

Wycofali się z pokoju i przebiegli przez otwartą nekropolię do wejścia naprzeciwko. Wkrótce dotarli do następnej komory przypominającej jaskinię, prymitywnie wyciosanej w surowej skale. Weszli i poświecili dookoła.

– Ściany nadal różnią się od tych na wideo – zauważył Pendergast cicho. – To łupek, nie granit, i obrobiony w inny sposób.

– Tu na dole jest istny labirynt.

Pendergast ruchem głowy wskazał niskie łukowe wejście.

– Spróbujmy w tamtym korytarzu. Pochyleni weszli do niskiego tunelu.

– Jezu, ale smród – jęknął D'Agosta.

W powietrzu wisiała gęsta, słodkawa woń końskiej krwi, z posmakiem żelaza i co najstraszniejsze, wyraźnie świeża. Od czasu do czasu z jakiegoś niewidzialnego otworu wentylacyjnego dmuchał zimny powiew. W oddali rozlegały się echem krzyki i nawoływania ścigających, którzy również dotarli pod ziemię i rozproszyli się, żeby szukać obcych.

Poszli dalej tunelem. Pendergast maszerował tak szybko, że D'Agosta musiał podbiegać, żeby dotrzymać mu kroku, rozchlapując kałuże wody i szlamu. Ociekające wilgocią ściany pokrywał nalot

saletry i warstwa pajęczyn; D'Agosta widział białe pająki umykające do dziur w ceglach. Na skraju ciemności błyskały czerwone ślepiea szczurów, zapalały się i gasły w świetle latarek.

Dotarli do rozgałęzienia, gdzie przecinały się trzy tunele, tworząc heksagonalną komorę. Pendergast zwolnił, przyłożył palec do ust i gestem pokazał, żeby D'Agosta trzymał się jednej strony tunelu, podczas gdy sam przywarł do drugiej ściany.

Zbliżając się do wylotu tunelu, D'Agosta poczuł raczej, niż zobaczył nad sobą nagły ruch. Padł i przetoczył się na bok w tej samej chwili, kiedy coś – zombie – zeskoczyło z łopotem łachmanów, resztek dawnej świetności, które wydymały się wokół sękatych kończyn niczym wystrzępione żagle na silnym wietrze. D'Agosta oddał strzał, ale stwór miał się na baczności i wykonał unik tak nieoczekiwany, że kula przeszła bokiem. Przemknął w polu widzenia, przeciął promień latarki i kiedy D'Agosta rzucił się na ziemię, żeby uniknąć ataku, na jego siatkówce wypalił się okropny widok: jedyne dyndające oko; wiry i zawijasy *vévé* namalowane lub nalepione na skórze; mokre wargi drżące w wyrazie desperackiej wesołości. A jednak ruchy nie miały w sobie ani odrobiny wesołości czy swobody – stwór ścigał ich z upartym, przerażającym zapamiętaniem.

65.

D'Agosta znowu strzelił, ale niepotrzebnie: stwór śmignął z powrotem w ciemność i znikł. Porucznik leżał na ziemi i świecił latarką dookoła, z bronią w pogotowiu.

– Pendergast?

Agent specjalny wyszedł z ciemnego otworu drzwi, na ugiętych nogach, trzymając przed sobą oburącz colta. Zapadła cisza maćona tylko kapaniem wody.

– On ciągle tam jest – mruknął D'Agosta.

Podniósł się do półprzysiadu i zatoczył pełny krąg lufą pistoletu. Wyteżył wzrok.

– W rzeczy samej. Myślę, że on nie odejdzie, dopóki nas nie zabije... albo my jego.

Sekundy rozciągały się w minuty.

Wreszcie D'Agosta wyprostował się i opuścił glocka.

– Nie mamy czasu na zabawę w przeczekiwanie. Musimy...

Zombie wyskoczył z boku jak ciemna błyskawica i trzasnął pajęczą dłonią prosto w latarkę, która wirując, poleciała w mrok. D'Agosta strzelił, ale stwór umknął z powrotem we względnie bezpieczną ciemność. Niemal jednocześnie rozległ się strzał z czterdziestki piątki Pendergasta, ogłuszający podwójny huk – a potem nagły trzask, kiedy latarka agenta rozbiła się o ścianę.

Korytarz pogrzyżył się w nieprzeniknionych ciemnościach i niemal natychmiast D'Agosta usłyszał odgłosy rozpaczliwej szamotaniny.

Skoczył w tamtą stronę, chowając glocka do kabury i wyciągając nóż, lepszy do walki wręcz po ciemku. Nie chciał zranić Pendergasta, który właśnie toczył ze stworem pojedynek na śmierć i życie. Zderzył się z żyłastym ciałem zombie i natychmiast ciachnął go nożem, ale stwór, chociaż powłóczył nogami, okazał się niebezpiecznie silny i szybki. Odwrócił się i zaatakował pazurami jak pantera, roztrzaskując ohydny smród. Wytrącił nóż z ręki porucznika, więc ten rzucił się na stwora z pięściami i starał się trafić w miękki brzuch albo w głowę, jednocześnie odpychając żyłaste ręce, które szarpały i drapały. Ciemność i obszerna szata krępowały mu ruchy, natomiast stwór najwyraźniej znalazł się w swoim żywiole; choćby D'Agosta nie wiadomo jak się wykrczał, przeciwnik utrzymywał przewagę, w czym pomagało mu śliskie ciało zlane potem, krwią i oliwą.

Co do cholery się stało z Pendergastem?

Ramię opasało jego szyję i nagle zacisnęło się jak stalowy kabel. D'Agosta szarpał się na wszystkie strony, dławił się i krztusił, próbując zrzucić napastnika i jednocześnie namacać broń. Ale śliski stwór miał mięśnie twarde jak drewno tekowe; pomimo wszelkich wysiłków porucznika jedna ręka wciąż ścisnęła go za gardło i odcinała dopływ powietrza, a druga przygwoździła jego dłoń sięgającą do pistoletu. Stwór wydał okrzyk triumfu, zawył jak *banshee*:

– Oaahhuuuooooooooo!

W polu widzenia D'Agosty pojawiły się białe mroczki. Wiedział, że zostały mu tylko chwile. Ostatnim rozpaczliwym wysiłkiem wyrwał prawą rękę, wyciągnął broń i strzelił. Błysk oświetlił wnętrze grobowego tunelu, huk zabrzmiał ogłuszająco w zamkniętej przestrzeni.

– Iiiii! – wrzasnął zombie i D'Agosta natychmiast otrzymał mocny cios w głowę. Gwiazdy eksplodowały mu przed oczami. Stwór znowu chwycił go za rękę i walił nią o ziemię, żeby wytrącić mu broń.

– Iiiii! – zapiszczał ponownie.

Chociaż oszołomiony, D'Agosta miał pewność, że trafił stwora – świadczyło o tym jego wzburzenie i piskliwe zawrodożenie – a jednak

zombie wydawał się jeszcze silniejszy, walczył z nieludzką furią. Przydepnął mu przedramię, trzasnęły kości. Niewyobrażalny ból rozkwitł tuż nad nadgarstkiem; broń wyleciała z ręki i stwór znowu złapał go za szyję, tym razem obiema rękami.

Szarpiąc się i wykręcając, tłukąc stwora zdrową ręką, D'Agosta próbował się uwolnić – ale resztki sił szybko go opuszczały.

– Pendergast! – wykrztusił.

Stalowe palce zacisnęły się mocniej. D'Agosta rzucał się jak ryba, ale bez tlenu przegrywał walkę. Czuł dziwne mrowienie, w uszach mu szumiało. Wyciągnął rękę i skrobał podłogę, szukając noża. Zamiast tego natrafił na duży odłamek cegły. Ścisnął go w dłoni, zamachnął się z całej mocy i trzasnął cegłą w głowę potwora.

– Iiiiiiaaaaa! – wrzasnął boleśnie zombie i zatoczył się do tyłu.

D'Agosta zaczerpnął powietrza, zachłysnął się, ponownie uniósł cegłę i zadał drugi cios. Rozległ się następny przenikliwy wrzask i stwór odskoczył.

Kaszłąc, wciągając powietrze, D'Agosta chwiejnie wstał i pobiegł na oślep w ciemność. Po chwili usłyszał, że stwór pędzi za nim, plaskając bosymi stopami po oślizłej kamiennej podłodze.

66.

Z punktu obserwacyjnego przy szerokim rozdarciu w siatce Rich Plock patrzył z zimną satysfakcją, jak tłum wlewa się do środka. Dzieścię początkowych grup, z grubsza dwieście osób w każdej – to oznaczało dwa tysiące zgromadzonych, mniej, niż się spodziewał, ale ich determinacja robiła wrażenie. Jak na nowojorskie standardy nie była to wielka demonstracja, ale różniła się od innych. Ci ludzie mieli zapał. Mieli pasję. Strachajły i panikarze, wygodnicy i nie lubiący ryzyka – typki w rodzaju Estebana – zostali dzisiaj w domu. Tym lepiej. Dostał oczyszczoną grupę, gotową do poświęceń, która nie cofnie się w obliczu przeciwności, nawet przemocy. Chociaż raczej nie dojdzie do przemocy – na jednego mieszkańca Ville przypadało co najmniej dziesięciu demonstrantów. Początkowo ci z Ville mogą stawiać opór, ale szybko zostaną pokonani.

Wszystko działało jak w zegarku, aż przyjemnie popatrzeć. Policja została całkowicie zaskoczona. Pierwsza grupa protestujących, starannie ucharakteryzowanych w taki sposób, żeby wyglądali możliwie niegroźnie, uspiła czujność policjantów, którzy uwierzyli, że odbędzie się mała, nieskuteczna demonstracja, trochę hałasu i koniec. A potem w ciągu kilku minut nadeszły wszystkie pozostałe grupy, cicho, na piechotę, z różnych kierunków – i natychmiast, zgodnie z planem, tłum ruszył jak jeden mąż, złączony wspólnym celem, przez pola i drogą w kierunku Ville. Policja nie zdążyła ustawić barykad, aresztować przywódców, przegrupować posterunków z pierwszej linii czy wezwać

wsparcia. Mogli tylko daremnie wrzeszczeć przez megafony i błagać o zachowanie porządku, podczas gdy samotny policyjny helikopter krążył nad głowami i nadawał niezrozumiałe ostrzeżenia. Plock słyszał syreny i megafony daleko z tyłu, gdzie policja czyniła spóźnione wysiłki, żeby powstrzymać tłum przed wejściem do Ville.

Wsparcie niewątpliwie było w drodze. Z nowojorską policją nie ma żartów. Ale zanim przyjadą, Plock i jego ludzie wejdą już do Ville i zaczną realizować swój cel – rozgromienie morderców i ewentualnie znalezienie porwanej Nory Kelly.

Resztki tłumu przewaliły się przez bramę i ustawiły na polu naprzeciwko wejścia do Ville, sprawnie niczym oddziały szturmowe. Rozstąpili się i Plock wyszedł przed front, żeby powiedzieć ostatnich kilka słów. Sama Ville stała cicha w zmierzchającym świetle dnia, posępna i monolityczna; jedyną oznakę życia stanowił żółty odblask w kilku oknach wysoko w murze kościoła. Drzwi frontowe były zamknięte, ale nie stanowiły przeszkody dla ludzi z taranami, stojących w milczeniu na czele tłumu, gotowych do akcji.

Plock podniósł rękę i tłum ucichł.

– Drodzy przyjaciele. – Zniżył głos, co jeszcze bardziej pogłębiło ciszę. – Po co tu przyszliśmy? – Zrobił pauzę. – Powinniśmy mieć jasność w tej kwestii. Po co tu przyszliśmy?

Rozejrzał się dookoła.

– Przyszliśmy tu, żeby wyłamać te drzwi i przepędzić tych morderców, tych dręczycieli zwierząt. Dokonamy tego poprzez niezłomne potępienie moralne, dzięki naszej liczebności. Wyrzucimy ich i uwolnimy zwierzęta z tego piekła.

Helikopter policyjny krążył w górze, ciągle nadając swoją niezrozumiałą wiadomość. Plock go zignorował.

– To bardzo ważne, co wam powiem: nie jesteśmy zabójcami. Nie odstępimy od zasad moralnych. Ale nie jesteśmy też pacyfistami i jeśli oni wybiorą walkę, będziemy walczyć. Będziemy bronić siebie i zwierząt.

Głęboko zaczerpnął powietrza. Wiedział, że nie jest elokwentny, ale siła jego przekonań podsyciała entuzjazm tłumu.

Policja nadciągała drogą, ale w śmiesznie małej liczbie w porównaniu z demonstrantami, więc Plock się nie przejmował. Wejdą do Ville, zanim policja zdąży się przegrupować.

- Jesteśmy gotowi? – zawołał.
- GOTOWI! – zagrzmiała odpowiedź.

Plock wskazał kierunek.

- Idziemy!

Tłum z rykiem runął w stronę głównej bramy Ville. Drzwi wyglądały na niedawno odnowione i wzmocnione. Dwaj mężczyźni z taranami szli na przedzie i z rozpędu uderzyli w drzwi. Głowice taranów wałnęły w drewno, najpierw jedna, potem druga, drzwi zadrżały i pękły, i po niecałej minucie powstała dziura. Tłum wtargnął do środka, odpychając szczątki. Plock dołączył do masy ludzkiej, która wpłynęła w ciemną, wąską alejkę pomiędzy dwoma szeregami pochylonych drewnianych budynków. Wszędzie było pusto, nie widzieli żadnych mieszkańców. Wrzask tłumu wzniosł się niczym ryk dzikich bestii, wzmocniony w ciasnej przestrzeni; ludzie przyspieszyli, skęcili za róg alejki i stanęli przed prastarym kościołem.

Wtedy się zawahali. Kościół wyglądał groźnie i obco, niczym średniowieczna budowla z obrazów Boscha, zgarbiony i masywny, najeżony prymitywnymi przyporami, które wysuwały się daleko do przodu, zanim wbiły się w ziemię. Podwójne drewniane drzwi kościoła, wzmocnione żelaznymi pasami i nitami, również były zamknięte.

Wahanie trwało tylko chwilę. Potem znowu wybuchnął krzyk, jeszcze silniejszy. Dwaj mężczyźni z taranami stanęli po obu stronach okutych żelazem drzwi i walili w zmiennym, asynchronicznym rytmie: Bum – buum! Bum – buum! Bum – buum! Potężny trzask oznajmił, że stare dębowe drewno zaczyna ustępować pod bezlitosnymi ciosami. Drzwi okazały się znacznie mocniejsze niż poprzednie, ale w końcu

poddały się z przeraźliwym brzękiem odskakujących nitów i żelaznych okuć. Zapadły się do środka, a potem rozległ się ogłuszający huk, kiedy runęły pod własnym ciężarem.

A tam w ciemnościach, blokując wejście, stało dwóch mężczyzn. Jeden był wysoki i imponujący, ubrany w długi brązowy płaszcz z odrzuconym kapturem; ciężkie brwi i masywne kości policzkowe niemal skrywały parę czarnych oczu, blada skóra jaśniała w blasku wschodzącego księżyca, nos ostry i zakrzywiony przypominał klingę noża. Drugi mężczyzna, niższy, o bardziej pospolitych rysach, nosił fantastycznie zdobioną ceremonialną szatę. Najwyraźniej był jakiegoś rodzaju duchownym. Patrzył na intruzów ze złośliwym błyskiem w oczach.

Dzięki swojej wewnętrznej sile wyższy mężczyzna natychmiast zapanował nad tłumem. Wyciągnął rękę i powiedział:

– Dalej nie pójdziecie.

Głos miał cichy, grobowy, ze słabym akcentem, którego Plock nie rozpoznał – a jednak emanujący wielką mocą.

Plock przepchnął się do przodu i stanął naprzeciwko mężczyzny.

– Kim jesteś?

– Nazywam się Bossong. A to moja wspólnota, którą kalacie swoją obecnością.

Plock wyprostował się, boleśnie świadom, że jest znacznie niższy i dwukrotnie szerszy od przeciwnika. Niemniej kiedy się odezwał, w jego głosie brzmiała pewność.

– Owszem, pójdziemy, a ty ustąpisz nam z drogi. Nie masz prawa tu być, wiwisektorze.

Mężczyźni stali niewzruszenie, a za nimi Plock ku swojemu zdumienia zobaczył co najmniej setkę ludzi stojących w czerwonym mroku.

– Nikomu nie robimy krzywdy – ciągnął Bossong. – Chcemy tylko mieć spokój.

– Nie robicie krzywdy? A szlachtowanie niewinnych zwierząt to co?

- To zaszczytne ofiary, główna zasada naszej religii...
- Bzdura! A kobieta, którą porwaliście? Gdzie ona jest? I gdzie są zwierzęta? Gdzie je trzymacie? Powiedz mi!
- Nic nie wiem o żadnej kobiecie.
- Kłamca!

Teraz kapłan nagle podniósł grzechotkę trzymaną w jednej ręce i dziwaczny pęk piór w drugiej, po czym rozpoczął donośną, drżącą inkantację w obcym języku, jakby rzucał klątwę na przybyszów.

Płock wyciągnął rękę i wytrącił kapłanowi pęk piór.

– Zabierz mi sprzed oczu te czary-mary! Odsuńcie się albo was stratujemy!

Kapłan umilkł. Płock zrobił krok, jakby chciał przejść przez niego na wylot, a tłum za jego plecami zaryczał i runął do przodu, popychając Plocka wbrew jego woli na kapłana, i po chwili kapłan upadł, tłum wlewał się do mrocznego kościoła, Bossong został brutalnie odepchnięty na bok, wierni w środku zawahali się na widok powalonego kapłana, wykrzykiwali swój strach, gniew i oburzenie z powodu profanowania świątyni.

– Do zwierząt! – zawołał Płock. – Znajdźcie zwierzęta! Uwolnijcie zwierzęta!

67.

Pendergast miał ubranie podarte i zakrwawione, w uszach wciąż mu dzwoniło od ataku. Podparł się i chwiejnie wstał. Po spotkaniu z człowiekiem bestią na kilka minut stracił przytomność. Ocknął się w ciemnościach. Sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął małą latareczkę, która nosił na wypadek takich sytuacji, i poświecił dookoła. Powoli, metodycznie poszukał na podłodze swojego colta, ale go nie znalazł. Dostrzegł słabe ślady walki i odciski stóp D'Agosty, który najwyraźniej uciekał ścigany przez bosego mężczyznę.

Zgasił latarkę i rozmyślał w mroku. Przeprowadził szybką kalkulację, podjął decyzję. Ten stwór, ten zombie, kierowany przez swoich opiekunów, realizował ich mordercze zamiary. Na wolności stanowił śmiertelne zagrożenie dla obu policjantów. A jednak Pendergast miał zaufanie do D'Agosty – zaufanie graniczące niemal z wiarą. Kto jak kto, ale porucznik potrafi zadbać o siebie.

Ale Nora... Nora wciąż czekała na ratunek.

Pendergast ponownie zapalił światło i obejrzał następne pomieszczenie. Była to istna nekropolia z drewnianymi trumnami ustawionymi w rzędach na kamiennych piedestałach, miejscami po dwie albo trzy jedna na drugiej. Wiele się przewróciło i ich zawartość wypadła na podłogę. Wydawało się, że podziemia Ville, pierwotnie zbudowane do innych celów, teraz służyły głównie do składowania zwłok.

Jednak kiedy Pendergast się odwrócił, gotów podjąć poszukiwania Nory, dostrzegł coś na samym końcu pomieszczenia – niezwykle

grobowiec, który przykuł jego uwagę. Agent podszedł, żeby go obejrzeć z bliska, po czym kierowany impulsem położył na nim rękę.

Była to trumna wykonana z grubego ołowiu. Nie stała na katafalku jak inne, tylko wpuszczono ją w kamienną posadzkę tak, że wystawało jedynie wieko. Przyciągnęła spojrzenie agenta, ponieważ wieko było otwarte, a krypta pod nim najwyraźniej splądrowana... i to bardzo niedawno.

Pendergast obejrzał ją dokładnie. W minionych wiekach często stosowano ołów do pochówku ważnych osób ze względu na jego konserwujące właściwości. Przesunął promieniem światła po bokach i uderzyło go, jak starannie została zapieczętowana trumna, ołowiane wieko przylutowano do krawędzi. Ale ktoś brutalnie rozbił siekierą warstwę uszczelniającą i podważył wieko, aż powstał nierówny, ziejący otwór. Zrobiono to nie tylko niedawno, ale w wielkim pośpiechu. Jasne, błyszczące rysy w miękkim metalu nie zdążyły się zakurzyć ani utlenić.

Pendergast zajrzał do środka. Ciało – które w zamkniętym środowisku uległo mumifikacji – zostało mocno sponiewierane, coś wyrwano z zakrzywionych dłoni, wysuszone palce połamano i porozrzucano, jedno ramię wyszarpięto z zakurzonego stawu.

Pendergast sięgnął do środka i pomacał trupa, oceniając suchość warstwy kurzu. To się stało tak niedawno, że wilgoć w pomieszczeniu nie zdążyła jeszcze przeniknąć do wnętrza trumny. Szabrownik odszedł najwyżej pół godziny temu.

Zbieg okoliczności? Na pewno nie.

Pendergast przeniósł uwagę na same zwłoki. Było to zadziwiająco dobrze zachowane ciało starca z gęstą siwą brodą i długimi siwymi włosami. Dwie złote gwinee przykrywały oczy. Twarz była pomarszczona jak zwiędłe jabłko, wyschnięte wargi odsłaniały zęby, skóra pociemniała do odcienia szlachetnej kości słoniowej. Trup miał na sobie prosty strój w kwakerskim stylu – ciemny surdut, koszulę, brązową kamizelkę i jasne bryczesy – ale ubranie zostało rozdarte i rozchelstane przez szabrownika, guziki i strzępki porozrzucane dookoła podczas

gorączkowego obszukiwania zwłok. Na piersi, na resztkach surduta Pendergast zobaczył odcisnięty ślad jakiegoś małego, kwadratowego pojemnika – skrzynki.

To w połączeniu z połamanymi palcami wystarczało za wyjaśnienie. Szabrownik wyrwał skrzynkę z kościstych rąk trupa.

Na podłodze obok trumny Pendergast dostrzegł połamane szczątki samej skrzynki z oderwanym zmurszałym wieczkiem. Nachylił się i obejrzał je z bliska, obwąchał, zanotował sobie w pamięci rozmiary. Słaba woń welinu potwierdziła jego wstępne podejrzenia, że skrzynka zawierała księgę *in quarto*.

Powoli, ostrożnie Pendergast obszedł wieko trumny. W głowie dostrzegł inskrypcję wytłoczoną w ołowiu, zakrytą przez białawy nalot tlenu. Starł nalot rękawem i przeczytał inskrypcję.

Elijah Esteban
który Odszedł z tego świata 22 listopada 1778
w 55. roku życia
Jakże smutny jest dźwięk,
Jak ulotny dotyk,
który zadaje Śmiertelną Ranę.
Oy, którzy żyjecie,
przyjdźcie zobaczyć Ziemię,
gdzie wkrótce spaczniecie.

Pendergast długo patrzył na nazwisko wryte w ołowianej płycie. A potem nagle wszystko wskoczyło na miejsce i zrozumiał. Twarz mu pociemniała na myśl o katastrofalnym błędzie, który popełnił.

Ta splądrowana trumna nie była przypadkiem ani wybrykiem bez znaczenia – była gwoździem programu.

68.

Stwór zniknął – albo zaniechał pościgu, albo jakimś cudem D'Agosta go wyprzedził. Choć to pierwsze wydawało się nieprawdopodobne: wprawdzie zombie powłóczył nogami, ale wykazywał zajądlność pitbulla. Może jego nieobecność miała coś wspólnego ze stłumionymi hałasami na górze przypominającymi tupot spłoszonego stada. D'Agosta osunął się po wilgotnym kamieniu, półprzytomny, łapiąc powietrze. Szum w głowie stopniowo ucichł. Z góry wciąż dochodziły dalekie odgłosy zamieszania.

D'Agosta usiadł. Przy tym ruchu prawe przedramię przeszył ból. Ostrożnie pomacał je lewą ręką, poczuł kość zgrzytającą o kość. Wyraźne złamanie.

– Pendergast? – rzucił w ciemność.

Cisza.

Próbował się zorientować w otoczeniu, określić swoje miejsce w sieci tuneli, ale podczas ucieczki w ciemnościach całkiem się pogubił. Nie wiedział, jak daleko dotarł ani dokąd. Krzywiąc się z bólu, włożył złamane ramię pod koszulę, zapiął ją pod szyję i popelznął przed siebie, aż zdrową ręką namacał ceglaną ścianę. Dźwignął się na nogi i ogarnęła go fala mdłości. Nad sobą ciągle słyszał głosy, zagłuszane teraz przez inne, znacznie bliższe hałasy: krzyki i wrzaski, które zbliżały się szybko, budząc echa w podziemiach. Czyli jednak go ścigano.

– Pendergast! – zawołał najgłośniejszym głosem, jak się odważył.

Brak odpowiedzi.

Stracił latarkę, ale przypomniał sobie starą zapalniczkę Zippo, którą nosił w kieszeni, nawyk z czasów, kiedy palił cygara. Wyjął ją i zapalił. Znajdował się w niewielkim pomieszczeniu z łukowym przejściem otwierającym się na ceglany tunel. Powoli, żeby nie wywołać kolejnej fali bólu i mdłości, dokuśtykał do przejścia i wyrzwał. Następne ceglane tunele.

Zapalniczka zaczęła parzyć mu palce, więc ją zgasił. Musiał wrócić tą samą drogą, odzyskać broń i latarkę, odszukać Pendergasta. A przede wszystkim musieli znaleźć Norę.

Zaklął głośno i znowu zapalił zapalniczkę. Próbując ignorować rwący ból w ramieniu, opierając się o ceglana ścianę, wszedł do głównego tunelu. Nie rozpoznał go – tunel wyglądał jak inne.

Powoli człapał przed siebie. Czy przyszli tym tunelem? W drżącym świetle zapalniczki widział świeże ślady na mokrej, zabłoconej podłodze, ale czy należały do niego? Potem dostrzegł duży, rozplaszczony odcisk bosej stopy. Zadygotał.

Hałasy na górze się wzmogły: krzyki, trzaski, ryk megafonu. To już nie brzmiało jak nabożeństwo. Raczej jak przybycie demonstrantów.

Czy dlatego stwór zniknął? Inne wytłumaczenie nie miało sensu.

– Pendergast!

Nagle zobaczył światło i przed nim na zakręcie korytarza pojawiła się grupa wyznawców odzianych w szaty z kapturami. Niektórzy trzymali latarki i pochodnie, inni nieśli różną broń – widły, łopaty. Grupa liczyła jakieś dwadzieścia, dwadzieścia pięć osób.

D'Agosta przełknął ślinę i zrobił krok do tyłu, licząc, że go nie zauważą w ciemności.

Z okrzykiem, który zabrzmiał jak jeden głos, grupa ruszyła w jego stronę.

D'Agosta odwrócił się i pobiegł, przyciskając złamane ramię do piersi. Uciekał przez ciemne tunele, przyświecając sobie zapalniczką. Płomyk migotał i błękitniał w przeciagu, a po chwili zgasił. D'Agosta przystanął, żeby go zapalić, rozejrzał się i kontynuował ucieczkę.

Skręcił za róg i znalazł się w ponurej piwnicy wypełnionej stosami gnijących desek. Na drugim końcu zobaczył drzwi. Wbiegł tam, zatrzasnął drzwi za sobą i oparł się o nie, dysząc ciężko. Od bólu złamanej ręki kręciło mu się w głowie. Zippo zgasła podczas ucieczki, a kiedy znowu ją zapalił, zobaczył następny duży magazyn. Spojrzał pod nogi... i zmarł.

Niecałe półtora jarda dalej ział otwór obmurowany kamieniami. Najwyraźniej była to stara studnia o śliskich kamiennych ścianach. Podszedł do niej ostrożnie, potrzymał zapalniczkę nad czarną otchłanią. Wydawała się bezdenna. Wokół piętrzyły się sterty starych mebli, popękanych płytek ceramicznych, zapleśniałych książek i innych śmieci.

Rozejrzał się rozpaczliwie za jakąś kryjówką. Miał wiele do wyboru, ale żadna długo nie przetrwa, jeśli te świry depczące mu po piętach przeszukają każdy kąt. Okrążył starą studnię i pobiegł dalej, i przewrócił podniszczone trzcinowe krzesło, które pękło i zaplątało mu się między nogami. Odtrącił je gwałtownie, po czym zanurkował w łukowe przejście na drugim końcu magazynu. Znalazł się teraz w rozległej sali przypominającej kryptę, z krzyżowym sklepieniem i starymi kamiennymi kolumnami. Poświecił dookoła zapalniczką: rzeczywiście krypta, inna niż tamta pierwsza. Ściany i podłogę wyłożono marmurowymi płytami, rzeźbionymi w krzyże, wierzby płaczące i czaszki, z wyciętymi byle jak datami narodzin i śmierci. Pośrodku stały rzędy prymitywnych drewnianych sarkofagów. Panowała tu atmosfera zaniedbania, wszystko pokrywał kurz, kamienne ściany wypaczyły się i popękały. Krypta wydawała się bardzo stara, starsza o dekady, może stulecia od samej osady Ville. Głosy na górze przybrały na sile: to brzmiało jak początek bójki, jeśli nie zamieszek.

Usłyszał, że drzwi w pomieszczeniu ze studnią otwierają się gwałtownie, usłyszał pospieszny tupot wielu stóp.

Na drugim końcu krypty dostrzegł łukowe przejście i pobiegł tam, przemknął przez korytarz, skręcił na skrzyżowaniu, wybrał na chybił

trafił następny tunel, potem następny. Ten wyglądał bardziej prymitywnie, ale współcześnie, jak katakumby wykopane w ziemi, gdzie nisze wyłobiono w ścianach z twardej gliny oszalowano stare deski. Królowała tutaj symbolika voodoo: woreczki zjedzone przez mole, pęczki spleśniałych piór, dziwaczne konstrukcje i graffiti, tu i ówdzie kapliczki o dziwnych kształtach.

Przeczołgał się pod niskim łukiem i znalazł w komnacie o ścianach od sufitu do podłogi zapełnionych niszami, a każda zawierała co najmniej jeden szkielec. Bez namysłu wcisnął się do największej niszy, chroniąc złamane ramię, odsunął kości na bok, wkręcił się jak najgłębiej, po czym niezdarnie spiętrzył kości wokół nóg, żeby się zasłonić.

A potem czekał.

Szukający się zbliżali, słyszał ich głosy, budzące niesamowite echa w podziemnych tunelach. Niedobrze, w końcu go znajdą. Obejrzał niszę przy świetle zapalniczki i odkrył, że prowadziła w głąb ziemi. Mógł się wcisnąć jeszcze dalej, spychając nogami za siebie kości, które wcześniej odsunął na bok. Na szczęście w wilgotnym pomieszczeniu nie unosił się zdradziecki kurz, chociaż wszystko przenikał nieprzyjemny odór pleśni i rozkładu. Niektóre trupy zachowały jeszcze strzępy ubrania, włosy, sprzączki od pasków, guziki i skurczone buty. Widocznie mieszkańcy Ville składali swoich zmarłych w tych głębokich niszach – i po prostu wpychali starsze trupy głębiej, żeby zrobić miejsce dla nowych.

Przesunął się jeszcze trochę po lekkiej pochyłości, co mu ułatwiły śliskie ściany, wcisnął się jak najgłębiej i czekał. Słyszał, jak głosy jego prześladowców wznosiły się i opadały, coraz bliższe. A potem zabrzmiały aż nazbyt wyraźnie: pościg dotarł do krypty.

D'Agosta tkwił ukryty głęboko w ciemności, zbyt głęboko, żeby dotarło tam światło latarki. Słyszał trzeszczenie i grzechotanie: prześladowcy wtykali kij w nisze grobowe, żeby go wypłoszyć. Po chwili kij

wśliznął się do jego kryjówki, roztrzającą kości, ale go nie dosięgnął. Dźgał na oślep tu i tam, zanim wreszcie się wycofał. Sprawdzali następne nisze. Później nagle w ich głosach rozbrzmiało podniecenie. D'Agosta usłyszał oddalający się tupot stóp i wkrótce głosy ucichły.

Cisza.

Czyżby ich odwołano do obrony Ville? Doszedł do wniosku, że to jedyne możliwe wyjaśnienie.

Odczekał minutę, potem drugą, na wszelki wypadek. Następnie spróbował się wydostać z niszy. Daremnie, odkrył, że w panice wcisnął się bardzo głęboko. Zbyt głęboko. Dopadła go straszliwa klaustrofobia; usiłował ją opanować, uspokoić oddech. Znowu zaczął się szarpać, ale utknął na dobre. Panika powróciła, jeszcze silniejsza.

To niemożliwe. Skoro tam wlaź, na pewno może wyleźć.

Zgiął nogę, wklinał pomiędzy sufit a podłogę i próbował się dźwignąć, podpierając zdrową ręką. Nic z tego. Ściany były śliskie od szlamu i wilgoci, a podłoże lekko się unosiło. Szamotał się i stękał, drapiąc glinę zdrową ręką. W nowym przypiływie paniki wbił paznokcie w wilgotną ziemię i złamał kilka, kiedy próbował się podciągnąć do przodu.

Mój Boże, pomyślał. Jestem żywcem pogrzebany.

Z najwyższym trudem zdołał powstrzymać się od krzyku.

69.

Dopiero po dziesięciu minutach błędzenia i zawracania agent specjalny Pendergast dotarł do ręcznej windy prowadzącej w górę do spiżarni. Wywłókł z niej jęczącego, półprzytomnego mężczyznę, zajął jego miejsce, po czym sięgnął przez górny panel, chwycił kable i podciągnął się w górę. Kiedy winda uderzyła o sufit szybu, Pendergast rozsunął drzwi i wyskoczył. Z kościoła dochodziły odgłosy zamieszania, które przyciągnęło chyba wszystkich mieszkańców Ville. Pendergast wykorzystał okazję do ucieczki. Przebiegł przez zaciemnione pomieszczenia starego probostwa i bocznymi drzwiami wypadł na krętą tylną alejkę. Po niecałych pięciu minutach znalazł się ponownie w lesie Inwood Hill Park. Zrzucił płaszcz z kapturem na ziemię usłaną liśćmi, wyjął telefon komórkowy i wybrał numer.

- Hayward – padła krótka odpowiedź.
- Tu Pendergast.
- Dlaczego twój głos napętnia mnie przerażeniem?
- Czy jesteś w pobliżu Inwood Hill Park?
- Jestem z Chislettem i jego ludźmi.
- Ach tak, Chislett. Dowód na całkowitą nieprzydatność wyższego wykształcenia. Posłuchaj: D'Agosta jest w podziemiach Ville. Możliwe, że ma kłopoty.

Krótkie milczenie.

- Vinnie? W Ville? Po jaką cholerę?
- Chyba się domyślasz... szuka Nory Kelly. Ale właśnie zrozumiałem, że Nory tam nie ma. Znosi się na konfrontację...

– Nie zanosi się, tylko rozpętała się na całego...

Pendergast jej przerwał.

– Vincent chyba potrzebuje twojej pomocy... i to zaraz.

Milczenie.

– A co ty właściwie zamierzasz?

– Nie ma na to czasu, teraz liczy się każda minuta. Posłuchaj: coś jest w Ville, coś, co oni sami uwolnili. Zaatakowało nas.

– Coś jak zombie? – zapytała ironicznie Hayward.

– Człowiek... a przynajmniej stwór, który niegdyś był człowiekiem, teraz zmieniony w coś wyjątkowo groźnego. Powtarzam: Vincent potrzebuje pomocy. Jego życie jest w niebezpieczeństwie. Bądź ostrożna.

Nie czekając na odpowiedź, Pendergast zatrasnął telefon. W oddali za drzewami widział rzekę Harlem lśniąca w blasku księżyca. Zawarczał silnik i reflektor przebił ciemność: policyjna motorówka, krążąca tam i z powrotem, poniewczasie wypatrywała demonstrantów nadchodzących z zachodu lub północy. Pendergast szybko zbiegł między drzewami nad rzekę. Na skraju lasu zwolnił, poprawił podarty garnitur i swobodnym krokiem zszedł przez bagienną trawę na kamienistą plażę. Pomachał w stronę motorówki, wyjął odznakę FBI i oświetlił ją latarką ołówkową.

Motorówka zwolniła, zawróciła i wpłynęła do zatoczki. Zatrzymała się tuż przy kamienistym brzegu, silnik terkotał na jałowym biegu. Była to łódź patrolowa z silnikiem odrzutowym, najnowszy model policyjny. W środku siedział sierżant oraz żołnierz piechoty morskiej.

– Kim pan jest? – zapytał sierżant, pstrykając w wodę niedopałkiem papierosa.

Miał włosy ścięte najeża, mięsistą twarz ze starymi bliznami po trądziku, grube wargi, potrójny podbródek i małe, spiczaste palce. Jego towarzysz przy desce rozdzielczej wyglądał tak, jakby spędzał

większość czasu w sali gimnastycznej. Mięśnie na jego karku napinały się jak liny Mostu Brooklyńskiego.

– Człowieku, wyglądasz, jakby cię przepuścili przez wyżymaczkę.

Pendergast schował odznakę do kieszeni marynarki.

– Agent specjalny Pendergast.

– Taa? FBI? Ciągłe to samo, nie, Charlie? – Trącił swojego partnera. – FBI się zjawia jak zwykle za późno. Jak wy to robicie, chłopaki?

– Sierżancie...? – Pendergast wszedł do wody i położył rękę na nadburciu łodzi.

– Zniszczyłeś sobie buty, kolego – zauważył sierżant, rzuciwszy następne drwiące spojrzenie na swojego partnera.

Pendergast zerknął na plakietkę z nazwiskiem sierżanta.

– Sierżancie Mulvaney, niestety muszę zarekwirować tę łódź.

Sierżant zmierzył wzrokiem agenta, stojącego do pół uda w wodzie, i wyszczerzył zęby.

– Niestety, musi pan załękwiłować tę łódź? – przeciągnął. – No, ja niestety muszę zażądać upoważnienia. Ponieważ nie mogę oddać policyjnej własności nikomu, nawet J. Edgałowi Hoovelowi.

Napakowany partner naprężył mięśnie i parsknął.

– Proszę mi wierzyć, sierżancie, to nagły wypadek. Niniejszym powołuję się na paragraf trzysta dwa b dwa kodeksu wojskowego...

– Ach, mamy tu prawnika! Nagły wypadek. No, no, cóż to za wypadek? – Mulvaney podciągnął pas, aż zabrzęczały kajdanki i klucze, przechylił głowę na bok i czekał.

– Życie. W niebezpieczeństwie. To urocza pogawędka, ale niestety nie mam czasu z panem dyskutować, sierżancie. Pierwsze i ostatnie ostrzeżenie.

– Słuchaj pan, mam swoje rozkazy. Pilnować, żeby nikt się nie zbliżał do Ville od strony morza. I nie oddam mojej łodzi patrolowej tylko dlatego, że pan mi każe. – Sierżant skrzyżował grube ramiona i uśmiechnął się z góry do Pendergasta.

– Panie Mulvaney? – Pendergast przechylił się przez nadburcie w stronę sierżanta, jakby chciał mu coś powiedzieć poufnie na ucho.

Mulvaney kucnął, żeby lepiej słyszeć; szybki ruch, pięść Pendergasta wystrzeliła w górę i trafiła gliniarza w splot słoneczny. Z nagłym sykiem wydychanego powietrza Mulvaney zgiął się wpół. Szarpnięty przez Pendergasta, przewalił się przez burtę i runął do wody z donośnym pluskiem.

– Co jest, kurwa...? – Partner Mulvaneya wyprostował się, szeroko otworzył oczy i sięgnął po broń.

Pendergast dźwignął przemoczonego funkcjonariusza, zabrał mu broń i wycelował w komandosa.

– Rzuć broń na plażę.

– Nie możesz...

Podskoczył na huk wystrzału.

– No dobra! Jezu. – Komandos cisnął swój pistolet na kamienie. – Czy tak robią w FBI?

– Nie martw się o to. – Pendergast wciąż trzymał Mulvaneya, który rozpaczliwie łapał powietrze. – Po prostu wyjdź z łodzi. No już.

Żołnierz ostrożnie opuścił się do wody. Pendergast wskoczył do kokpitu jak błyskawica. Wrzucił wsteczny bieg i cofnął motorówkę od brzegu.

– Strasznie mi przykro, że naraziłem panów na niewygodę – zawołał, obracając ster i przerzucając biegi.

Dodał gazu i z rykiem znikł za załomem rzeki.

70.

Mobilizując resztki zdrowego rozsądku, D'Agosta spowolnił oddech i skupił się na głównym zadaniu. Musiał uwolnić Norę. Kiedy przestał myśleć tylko o swoim położeniu, trochę się uspokoił. Chodziło nie tyle o to, że utknął, ile o śliskie ściany, które nie dawały żadnego oparcia, zwłaszcza że miał jedną zdrową rękę. Połamał sobie paznokcie podczas daremnych prób, ale właściwie potrzebował czegoś ostrego i mocnego, co wgryzie się w ścianę i pomoże mu się podciągnąć.

Wgryzie się...

Tam, nie dalej jak sześć cali od jego dłoni, spoczywała ludzka czaszka mogąca się poszczycić pełnym uzębieniem. Zaczął się rozpaczliwie wykręcać, aż wyciągnął zdrowe ramię na tyle, żeby zaczepić palcem o zuchwę. Potem obrócił się na bok i wbił zęby czaszki w szczelinę w sklepieniu niszy. Jednocześnie wijąc się i podciągając, zdołał wreszcie się wyswobodzić.

Z olbrzymią ulgą wypełznął z niszy i stanął w krypcie, ciężko dysząc. Wszędzie panowała cisza. Widocznie zombie i oddział poszukiwaczy zawrócili, żeby stawić czoło demonstrantom.

Wrócił do głównego korytarza i ostrożnie oświetlił go zapalniczką. Tunel kończył się ślepo. Po obu stronach znajdowały się kolejne prymitywne komory grzebalne, wykopane w ciężkiej glinie i oszalowane deskami, ale żadna nie miała kamiennych ścian jak na filmie wideo. Zresztą nic tutaj nie przypominało tamtej konstrukcji – sam kamień się różnił. Musiał szukać gdzie indziej.

Wrócił tą samą drogą, ominął studnię i znowu znalazł się na terenie sklepionej nekropolii. W ścianach widział liczne żelazne drzwiczki, widocznie rodzinne krypty; sprawdził wszystkie po kolei, ale nie znalazł ani śladu Nory.

Z narastającą frustracją, mozolnie wracał po własnych śladach metodą prób i błędów, aż znowu dotarł do głównego kryptorium. Tam stanął i próbował naszkicować w pamięci mapę podziemi, odtworzyć odcinki, przez które uciekał w popłochu. Czworko drzwi prowadziło w cztery strony świata; jedne otwierały się na katakumby, drugie – jak się zorientował – na ślepy korytarz, z którego właśnie wrócił. Pozostawały dwa kierunki.

Wybrał jedne drzwi na chybił trafił i otworzył.

Zobaczył następny tunel, który natychmiast wydał mu się bardziej obiecujący: ściany z nieobrobionych kamieni, spojonych zaprawą. Nie dokładnie jak na wideo, ale podobnie.

Z korytarza buchnął smród. D'Agosta przystanął i błysnął zapalniczką, starając się oszczędzać paliwo. Było tu brudno, ściany pokrywała pleśń, grzybnia i zacieki błota, podłoga nieprzyjemnie ugięła się pod nogami.

Zapaliwszy światło po raz kolejny, w ciemności przed sobą usłyszał cichy, zdławiony okrzyk – krótki, piskliwy i pełen przerażenia...

...Nora?

Trzymając przed sobą zapalniczkę, pobiegł tunelem w stronę dźwięku.

71.

Demonstranci pod wodzą Plocka szli przez kościół jak burza, przewracając ołtarze i obwieszane fetyszami kapliczki. Po upadku kapłana reszta zakapturzonych wyznawców wycofała się w popłochu pod osłoną ciemności, ustępując przed miażdżącą przewagą liczebną intruzów, chwilowo niezdolna do stawienia oporu. Plock widział, że demonstranci przejęli inicjatywę; teraz chodziło o to, żeby jej nie stracili. Na czele tłumu maszerował w stronę głównego ołtarza. Tutaj wznosił się krwawy, zachlpany posoką słup, gdzie składano zwierzęta w ofierze, oraz świeża kałuża krwi, która spotęguje ich gniew.

– Zniszczyć to miejsce kaźni! – krzyknął Plock.

Tłum zaczął się wdzierać na podwyższenie, gdzie znajdował się ołtarz i zagroda dla ofiar; przewrócono słup, rozbijano skrzynie i rozrzucano relikwie.

– Bluźniercy! – zagrzmiął głęboki głos Bossonga.

Przywódca stał nad ciałem powalonego kapłana, który stracił przytomność i został mocno podeptany przez tłum. Sam Bossong też nie wyszedł bez szwanku; kiedy ruszył środkiem nawy, po jego czole spływał strumyczek krwi.

Głos przywódcy Ville wywarł elektryzujący wpływ na zakapturzonych wyznawców. Przestali uciekać i zamarli jak zahipnotyzowani. W rękach niektórych błysnęły noże.

– Rzeźnik! – wrzasnął do Bossonga któryś z demonstrantów.

Plock zrozumiał, że musi wyprowadzić tłum z kościoła dalej, do

samej osady. Jeśli tutaj utkną, szybko dojdzie do przemocy.

Nagle jakiś wyznawca w długiej szacie krzyknął piskliwie i rzucił się z nożem na demonstranta. Między nimi dwoma rozgorzała krótka, gwałtowna walka, która błyskawicznie przerodziła się w ogólną bijatykę, kiedy z obu stron ludzie pospieszyli bronić swoich. Rozbrzmiał urywany wrzask: ktoś dostał nożem.

– Mordercy!

– Zabójcy!

Tłum szamotał się i kłębił, kopał i walił pięściami, brązowe szaty przemieszane ze strojami khaki i z wysokogatunkowej bawełny. Widok był niemal surrealistyczny. Po chwili kilka osób leżało na kamiennej podłodze, krwawiąc.

– Zwierzęta! – krzyknął nagle Plock. Słyszał je i czuł, stłumione pandemonium za drzwiami z przodu ołtarza. – Tędy! Znajdźmy i uwolnijmy zwierzęta!

Dopał do drzwi, walnął w nie pięściami.

Forpoczta tłumu runęła do drzwi, znowu pojawiły się tarany. Drzwi ustąpiły z rozdzierającym trzaskiem i ludzka fala wlała się do łukowego przejścia zagrodzonego z drugiej strony przez kratę z kutego żelaza. Za nią ujrzeli scenę jak z piekła: dziesiątki młodych zwierząt – jagnięta, koźlęta, cielęta, nawet szczeniaki i kociaki – zamkniętych w wielkiej kamiennej komnacie z podłogą wysypaną cienką warstwą słomy. Zwierzęta wybuchły żalonym lamentem, jagnięta beczały, szczeniaki ujadały piskliwie.

Plock na chwilę zaniemówił ze zgrozy. Nie spodziewał się czegoś tak okropnego.

– Wyłamać bramę! – krzyknął. – Wypuścić zwierzęta!

– Nie! – zaprotestował Bossong i próbował podejść bliżej, ale odepchnięto go i brutalnie przewrócono na podłogę.

Tarany uderzyły w żelazną kratę, która jednak okazała się znacznie solidniejsza niż drewniane drzwi. Waliły w żelazo raz po raz, a zwierzęta cofały się i piszczały z trwogi.

– Klucz! Dajcie klucz! – krzyknął Plock. – On na pewno ma klucz.

Wskazał Bossonga, który już wstał i szamotał się z kilkoma demonstrantami.

Tłum rzucił się na Bossonga, który znikł w kotłowaniu przy odgłosach rozdieranej tkaniny.

– Jest!

Jakiś mężczyzna podniósł żelazne kółko z kluczami. Szybko przekazano je do przodu i Plock zaczął wypróbować po kolei ciężkie staroświeckie klucze. Jeden pasował. Brama otworzyła się szeroko.

– Wolność! – krzyknął Plock.

Awangarda tłumu wpadła do środka, żeby wygonić zwierzęta. Starali się je spędzić razem, ale jak tylko nieszczęsne stworzenia wydostały się za bramę, rozbiegły się w panice. Piski, beczenie i porykiwania wznosiły się do masywnych drewnianych belek sufitu i budziły echa w rozległej przestrzeni.

Wzbił się kurz i kościół zmienił się w piekielną arenę walki, w której demonstranci zdecydowanie wygrywali. Zwierzęta uciekały nawą, uskakiwały przed wyznawcami, którzy próbowali je łapać, szybko zniknęły w pierwszej napotkanej dziurze.

– Teraz nadeszła ta chwila! – wrzasnął Plock. – Wypędzimy tych wiewięktorów! Wypędzimy ich! Teraz!

72.

Motorówka policyjna z Pendergastem za sterem przeorała rzekę Harlem z prędkością pięćdziesięciu węzłów, okrążyła północny czubek wyspy Manhattan i skręciła na południe. Śmignęła pod kolejnymi mostami: most na Zachodniej Dwieście Siódmej Ulicy; most Jerzego Waszyngtona; most Alexandra Hamiltona; Wysoki Most, most Tamy Macomb; most na Sto Czterdziestej Piątej Ulicy; i wreszcie most na Willis Avenue. Tutaj rzeka Harlem rozszerzała się w zatokę, zbliżając się do połączenia z East River. Ale zamiast wpłynąć na East River, Pendergast zawrócił z wyciem silnika i skierował łódź na Bronx Kill, wąski, cuchnący dopływ oddzielający Bronx od Randall's Island.

Zredukował szybkość do trzydziestu węzłów i wpłynął w Bronx Kill – bardziej otwarty ściek i składowisko śmieci niż żeglowną drogę wodną. Motorówka ciągnęła za sobą brązowy kilwater, smród ścieków i gazów bagiennych unosił się nad wodą jak trujące miazmaty. Przepłynęła pod ciemną kolejową estakadą i odrzutowy silnik Diesla wzbudził dziwaczne echa w krótkim tunelu. Noc okrywała ponury krajobraz. Pendergast trzymał uchwyt reflektora i kierował snop światła na kolejne przeszkody, prowadząc łódź slalomem pomiędzy na wpół zatopionymi kadłubami starych barek, gnijącymi szczątkami dawno zawalonych mostów i wystającymi nad powierzchnią szkieletami starych wagonów metra.

Bronx Kill nagle znowu się rozszerzył w rozległą zatokę, otwartą na górny bieg cieśniny Hell Gate i północny koniec East River. Rozległy

kompleks więzienny na Rikers Island wznosił się prosto przed łodzią – niesławne cementowe wieże w kształcie X, skąpane w bezlitosnym blasku lamp sodowych, rysowały się na tle czarnego nieba.

Pendergast zwiększył prędkość i szybko zostawił Manhattan za sobą, linia dachów Midtown malała, kiedy pędził z hukiem w stronę ujścia cieśniny Long Island. Przemknął pomiędzy latarnią Stepping Stones Light a City Island, skręcił łukiem w cieśninę i otworzył przepustnicę do końca. Wiatr ryczał mu w uszach, rozbryzgi piany leciały do tyłu, mała łódka plaskała o fale i kołysała się na boki, pędząc przez cieśninę. Księżyc w pełni odbijał się w wodzie. Wieczór był spokojny, tylko kilka łodzi pływało po cieśninie. Boje na kanale jaśniały w blasku księżyca.

Liczyła się każda minuta. Możliwe, że już się spóźnił.

Kiedy na horyzoncie pojawiła się latarnia morska Sands Point, Pendergast skręcił do brzegu, minął szerokie nabrzeże Glen Cove i skierował łódź prosto do głównego lądu. Wpatrywał się w nadbrzeżne rezydencje przesuujące się jedna za drugą. Pojawił się długi pomost przy zalesionym brzegu i agent tam skręcił. Za pomostem ciemna połać trawnika wznosiła się ku wieżyczkom i gontowym dachom okazałej rezydencji Złotego Wybrzeża.

Pendergast dopłynął do pomostu z przerażającą szybkością, w ostatniej chwili wrzucił wsteczny bieg i obrócił łódź tak, że dziób skierował się z powrotem na cieśninę. Zanim jeszcze motorówka się zatrzymała, wpełznął odbijacz pomiędzy przepustnicę a koło sterowe, przeskoczył z dziobu na pomost i pobiegł w stronę ciemnego, cichego domu. Łódź bez załogi, perkocząc na pierwszym biegu, odbiła od pomostu i wkrótce zniknęła w bezmiarze cieśniny Long Island; czerwone i zielone światła pozycyjne rozpląnęły się w ciemności.

73.

Kapitan Laura Hayward wpatrywała się nienawistnie w roztrzaskane drzwi prowadzące w ciemną czeluść Ville, skąd dochodziły odgłosy zamieszania. Jej obawy się spełniły. Akcja protestacyjna została zaplanowana fachowo. To nie było przypadkowe, chaotyczne zgromadzenie; to była dobrze zorganizowana i zdecydowana grupa. Chislett bez nadziejnie się pogubił; to go najwyraźniej przerastało. Przez pięć krytycznych minut, kiedy tłum materializował się nie wiadomo skąd, zastępca szefa policji stał bezradny i zdumiony i nic nie robił. Stracono cenne minuty; minuty, podczas których policja mogła przynajmniej spowolnić marsz demonstrantów albo wbić klin w czoło pochodu. Kiedy wreszcie Chislett się opamiętał, zaczął wykrzykiwać sprzeczne rozkazy, które tylko spotęgowały zamęt wśród funkcjonariuszy. Widziała, że kilku policjantów z wysuniętych pozycji wzięło sprawy we własne ręce i pobiegło z gazem łzawiącym oraz sprzętem do tłumienia zamieszek w stronę bramy Ville. Ale za późno: demonstranci wtargnęli już do środka, wskutek czego powstała wyjątkowo trudna i skomplikowana sytuacja taktyczna.

Jednak Hayward nie potrafiła się tym przejmować. Myślała tylko o telefonie od Pendergasta. „Jego życie jest w niebezpieczeństwie” – powiedział. A Pendergast nie zdradzał skłonności do przesady.

Twarz jej pociemniała. Nie pierwszy raz współpraca Vinniego z Pendergastem skończyła się katastrofą – oczywiście dla Vinniego. Pendergast zawsze jakoś wychodził bez szwanku – podobnie jak tym razem

– zostawiwszy Vinniego na łasce losu.

Zapanowała nad gniewem. Później zdąży się policzyć z Pendergastem. Teraz musiała działać.

Podeszła do Ville, wypatrując sposobu, żeby ominąć bijatykę w kościele. Z szeroko otwartych głównych drzwi padało pełgające światło. Siły policyjne właśnie wkraczały do środka z pałkami i paralizatorami. Trzymając własną broń w pogotowiu, szybko ruszyła za nimi.

Za wyłamanymi wrotami znajdowała się wąska alejka biegnąca pomiędzy szeregami pochylonych drewnianych domów. Hayward szła za mundurowymi, mijając zaryglowane drzwi i zasłonięte okiennicami okna. Z oddali dochodził zgiełk tysiąca głosów.

Za zakrętem wyszli na kamienny plac, gdzie wznosił się ogromny kościół. Tutaj Laura ujrzała widok tak niesamowity, że stanęła jak wryta. Na placu trwało pandemonium, scena niczym z filmu Felliniego: mężczyźni w brązowych szatach uciekali z kościoła, niektórzy krwawili, inni krzyczeli lub jęczeli. Tymczasem demonstranci demolowali wnętrza, wybijali okna i niszczyli wszystko dookoła. W kościele panował nieopisany rwetes. Mnóstwo zwierząt – owce, kozy, kury – biegało po placu, wpadając pod nogi uciekającym i dodając własne beczenie i meczenie do ogólnego harmidru. A wśród tego wszystkiego kręcili się policjanci z oddziału tłumienia zamieszek, bez planu, bez rozkazów – niepewni i oszołomieni.

To na nic. Musiała się dostać do podziemi, gdzie Vinnie szukał Norry Kelly.

Odwróciła się plecami do tego domu wariatów i pobiegła brukowaną ciemną alejką. Po drodze próbowała otworzyć któreś drzwi. Większość okazała się zamknięta na klucz, ale jedne ustąpiły. Zobaczyła jakiś warsztat, garbarnię albo prymitywną pasmanterię. Rozejrzała się szybko, ale nie znalazła żadnej drogi na dół. Wróciła na ulicę i pobiegła dalej, szarpiąc za klamki. Kolejne ciężkie dębowe drzwi kilka domów dalej otworzyły się i Laura wpadła do środka. Zamknęła drzwi za sobą, odcinając hałasy.

Ten budynek również wydawał się opuszczony. Wyglądał jak sklep rzeźnika. Laura przeszła obok rzędu oszklonych gablot na zaplecze, gdzie wypatrzyła schody prowadzące do piwnicy. Wyciągnęła z kieszeni kurtki małą latarkę, zapaliła ją i zeszła na dół. Znalazła się w zimnym pomieszczeniu wyłożonym staroświeckimi płytami ocynkowanej blachy: spiżarnia. Szyunki, żeberka, grube kielbasy i półtusze dojrzewały zawieszzone pod sufitem. Laura ostrożnie przesunęła się pomiędzy wędlinami, wprawiając kilka z nich w lekkie kołysanie, przesuwając światłem latarki po ścianach i podłodze. Drzwi na końcu spiżarni prowadziły do następnej klatki schodowej, wyłożonej kamieniem i znacznie starszej, opadającej w ciemność. Z otchłani wionęło nieprzyjemnym zapachem. Hayward zawahała się, przypominając sobie, co jeszcze powiedział Pendergast: „Stwór, który niegdyś był człowiekiem, teraz zmieniony w coś wyjątkowo groźnego. Powtarzam: Vincent potrzebuje pomocy. Jego życie jest w niebezpieczeństwie”.

„Jego życie jest w niebezpieczeństwie...”.

Bez dalszego wahania Laura oświetliła schody latarką i – z bronią w ręku – zaczęła schodzić w ciemność.

74.

Alexander Esteban skręcił z Pond Road, wjechał przez otwieraną automatycznie bramę i ruszył nieskazitelnym żwirowym podjazdem wijącym się pomiędzy potężnymi dębami. Jechał powoli, rozkoszując się uczuciem powrotu do domu. Obok niego, na fotelu pasażera, leżał zwykły, dwustronicowy dokument na welinie, podpisany, poświadczony i legalnie nie do podważenia.

Dokument, który – niewątpliwie po krótkiej walce – uczyni go jednym z najbogatszych ludzi na świecie.

Było późno, prawie dziewięta, ale już się nie spieszył. Koniec z planowaniem, reżyserowaniem, produkowaniem, realizowaniem. Poświęcał na to każdą chwilę przez tyle miesięcy, że nawet nie chciało mu się liczyć. Ale to już skończone. Przedstawienie odegrano idealnie aż do owacji na stojąco, a teraz pozostał do zamknięcia tylko jeden drobny wątek. Ostatnie wywołanie przed kurtynę, można powiedzieć: finalny ukłon.

Kiedy samochód łagodnie zahamował przed stacją, Esteban poczuł wibrację swojego blackberry. Syknął z irytacją i sprawdził: w tylnych drzwiach kuchennych uaktywnił się alarm. Esteban zeszytniał. Z pewnością alarm był fałszywy – to się często zdarzało w jego wielkiej rezydencji, jedna z wad tak rozległego systemu bezpieczeństwa. A jednak musiał się upewnić. Sięgnął do schowka na rękawiczki i wyjął swoją ulubioną broń, browninga Hi-Power 9 milimetrów parabellum z celownikiem regulowanym. Sprawdził magazynek, który okazał się

załadowany do pełna: trzynaście pocisków z okrągłymi czubkami. Wsunął pistolet do kieszeni, wysiadł z samochodu i zanurzył się w pachnącą noc. Obejrzał świeżo zagrabiony żwir na podjeździe – żadnych śladów samochodu. Przemierzywszy rozległą połąć trawnika, spojrzął na pusty pomost, na światelka migające pod drugiej stronie cieśniny, i uznał, że wszystko w porządku. Z bronią w ręku minął cieplarnię, wszedł do ogrodu otoczonego murem i bezszelestnie zbliżył się do tylnych drzwi kuchni, tych, które zarejestrowały alarm. Ujął klamkę, nacisnął. Zamknięte na klucz. Nie zauważył żadnych śladów manipulowania przy starej mosiężnej dziurce od klucza, żadnych zadrapań na szlachetnej patynie, żadnych wybitych szyb, niczego wskazującego na włamanie.

Fałszywy alarm.

Wyprostował się, spojrzął na zegarek. Prawie nie mógł się doczekać tego, co miało nastąpić. Perwersyjna przyjemność, jasne, ale jaka prastara. Przyjemność zakodowana w samych genach: radość zabijania. Robił to już przedtem i uznał za przedziwnie oczyszczające doświadczenie. Gdyby nie był reżyserem filmowym, może zostałby znakomitym seryjnym zabójcą.

Chichocząc z tego prywatnego żarciku, wyjął klucz, otworzył drzwi kuchenne i wstukał kod, żeby wyłączyć system alarmowy w domu. Ale kiedy szedł przez kuchnię w stronę drzwi do piwnicy, zawahał się mimo wszystko. Skąd ten fałszywy alarm? Zwykle zdarzały się podczas burzy albo przy silnym wietrze. Ta noc była cicha i pogodna, bezwietrzna. Czyżby nastąpiło krótkie spięcie, przypadkowe wyładowanie elektryczne? Zrobiło mu się nieswojo, a tego uczucia nauczył się nigdy nie ignorować.

Zamiast zejść do piwnicy, zawrócił i przeszedł cicho przez ciemne pokoje do swojego gabinetu. Włączył maca, wprowadził hasło i załogował się na stronę webową, która obsługiwała jego kamery bezpieczeństwa. Jeśli ktoś wszedł przez drzwi kuchenne, musiał przeciąć

trawnik za starą cieplarnią, gdzie wyłapała go kamera. Praktycznie nie dało się wejść do domu niepostrzeżenie – zasięg kamer wynosił ponad sto procent – ale gdyby ktoś jednak spróbował, kuchenna strona z ogrodem za murem i zrujnowaną cieplarnią stanowiła chyba najłabszy punkt całego systemu. Esteban wpisał drugie hasło i na ekranie wyskoczył obraz z kamery na żywo. Sprawdził w blackberry, że alarm włączył się o dwudziestej czterdzieści jeden. Wstukał „20.36” w pole cyfrowego znacznika czasu, wybrał kamerę i zaczął oglądać.

Słońce już dawno zaszło i obraz był ciemny – podczerwień się nie włączyła. Esteban przesunął suwak, żeby maksymalnie zwiększyć jasność. Rozbawiła go własna paranoja; jak zwykle był zanadto drobiazgowy. Pomyślał, ironicznie się uśmiechając, że to zarówno jego największa zaleta, jak i najgorsza wada. A jednak uczucie niepokoju pozostało...

I wtedy zobaczył błysk czerni przecinający róg ekranu.

Zatrzymał nagranie, cofnął i odtworzył w zwolnionym tempie. Znowu: postać w czerni przelatuje przez sam skraj pola widzenia kamery. Lodowate ciarki przeszły mu po kręgosłupie. Bardzo, bardzo sprytnie; sam by tak zrobił, gdyby chciał się zakraść do domu.

Zatrzymał film i cofnął jeszcze raz, klatka po klatce. Biegący człowiek znalazł się tylko na sześciu klatkach, przez mniej niż jedną piątą sekundy, ale kamera o wysokiej rozdzielczości dobrze go uchwyciła; a na środkowej klatce Esteban wyraźnie zobaczył bladą twarz i ręce intruza.

Wstał gwałtownie, przewracając krzesło. To był ten agent FBI, który przed tygodniem złożył mu wizytę. Chwilowy przypływ paniki pozbawił go tchu, stalowa obręcz ścisnęła klatkę piersiową. Do tej pory wszystko szło tak gładko – a teraz to. Skąd on wiedział? Skąd wiedział?!

Ogromnym wysiłkiem woli stłumił panikę. Myślenie pod presją należało do jego mocnych stron, nauczył się tego w branży filmowej.

Kiedy coś źle poszło na planie, w środku zdjęć, i wszyscy stali dookoła, czekając, żeby załatwił sprawę, a każda minuta kosztowała tysiąc dolarów, musiał podejmować błyskawiczne, trafne decyzje.

Pendergast. Tak się nazywał ten agent. Był sam. Zostawił gdzieś swojego napakowanego pomagiera, tego z włoskim nazwiskiem. Dlaczego? To znaczyło, że kierował się przecuciem, działał na własną rękę. Gdyby miał konkretne dowody, sprowadziłby tu oddział SWAT uzbrojony po zęby. To po pierwsze.

Po drugie, Pendergast nie wiedział, że został nakryty. Pewnie zauważył samochód Estebana albo spodziewał się jego przyjazdu. Ale nie zdawał sobie sprawy, że Esteban wie o jego obecności. To dawało Estebanowi sporą przewagę.

Po trzecie, Pendergast nie znał rozkładu rezydencji, zwłaszcza rozległych i zagmatwanych podziemi. Esteban znał je na pamięć.

Nadal stał przy biurku, myśląc intensywnie. Pendergast skierował się do podziemi – z całą pewnością. Szukał tej kobiety. Pewnie zszedł kuchennymi schodami, najbliższymi drzwiami, którymi się dostał do domu. I niewątpliwie właśnie tam teraz przebywał: pod domem, myszkował wśród starych filmowych rekwizytów, przedzierał się przez południowe piwnice. Straci co najmniej piętnaście minut, zanim znajdzie w tym śmietniku tunel, który prowadzi do stajni.

Na szczęście dziewczyna była w piwnicy pod stajnią. Na nieszczęście tunel łączył podziemia pod stajnią i rezydencją.

Nagle Esteban podjął decyzję. Wsunął broń za pasek, szybko wyszedł z domu drzwiami frontowymi i ruszył przez trawnik do stajni. Kiedy przecinał podjazd, nikły uśmiezek zagościł na jego twarzy. Plan nabierał kształtu. Biedny facet nawet nie podejrzewał, w co się wpakował. Ten mały dramacik będzie miał urocze zakończenie – naprawdę urocze. Całkiem jak w jego ostatnim filmie *Ucieczka z Sing Singu*. Szkoda, że nie mógł tego sfilmować.

75.

Rich Plock stał w ciemności, gdzie krzyki i wrzaski demonstrantów i wyznawców mieszały się z porykiwaniami zwierząt, terkotaniem grzechotek i łomotem bębnow. Po pierwszym starciu w kościele wyznawcy tylko na krótko skupili siły, a teraz znowu się wycofywali; wielu umykało bocznymi drzwiami w wąskie, kręte alejki i labirynt budynków tworzących Ville.

Plock nie spodziewał się takiego rozwoju wydarzeń i nawet trochę się rozczarował. Udało im się uwolnić zwierzęta – teraz jednak uświadomił sobie, że nie mają gdzie ich trzymać. Puszczony samopas zwierzaki uciekły przez roztrzaskane drzwi na dziedziniec. Nie pomyślał o tym wcześniej i teraz nie miał pojęcia, co robić. Planował wypędzić mieszkańców z Ville, ale nie wziął pod uwagę rozmiarów tej ogromnej osady. Nie przypuszczał również, że mieszkańcy tak nagle się wycofają i skryją w zakamarkach Ville, zamiast stawić czoło intruzom i pozwolić się wypędzić. Przypominali dawnych Indian rozplywających się w powietrzu pod nosem wroga.

Teraz musiał ich znaleźć.

A podczas tych poszukiwań rozejrzął się również za porwaną kobietą. Ponieważ Plock zaczynał rozumieć, że jeśli nie usprawiedliwią swego najazdu na Ville koniecznością ratowania tej kobiety, prawdopodobnie – nie, na pewno – czekają ich poważne kłopoty, kiedy to wszystko się skończy. Przejdą przez Ville, oczyszczą ją, pozamiatają, wypędzą rzeźników, pokażą im, że nie ma gdzie się ukryć, nie ma

dokąd uciekać – a przy okazji uratują życie tej kobiety. Jeśli tego dokonają, opinia publiczna stanie murem po ich stronie. I cała akcja zyska pewne pozory legalności. Jeśli nie...

Demonstranci nadal wlewali się przez wyłamane drzwi do kościoła, podczas gdy ostatni mieszkańcy Ville znikli. Pozostał tylko przywódca, który stał nieruchomo jak posąg, wciąż krwawiąc z rany na czole, i spoglądał na intruzów nienawistnym wzrokiem.

Kiedy demonstranci wypełnili kościół po brzegi, Plock wspiął się na podwyższenie.

– Ludzie! – krzyknął, podnosząc ręce.

Zgromadzenie się uciszyło. Plock próbował ignorować Bossonga, który stał w kącie i roztaczał wokół siebie złowrogą atmosferę.

– Musimy trzymać się razem! – zawołał. – Oprawcy zesłi pod ziemię... musimy ich znaleźć i wykurzyć! A nade wszystko musimy uratować tę kobietę!

Nagle Bossong odezwał się z kąta:

– To jest nasz dom.

Plock odwrócił się do niego z twarzą wykrzywioną w furii.

– Wasz dom? Ta izba tortur? Nie zasługujecie na dom!

– To jest nasz dom – powtórzył przywódca zniżonym głosem. – I w ten sposób czcimy naszych bogów.

Plocka ogarnęła wściekłość.

– W jaki sposób czcicie bogów? Podrzynając gardła niewinnym zwierzętom? Porywając i zabijając ludzi?

– Odejdźcie teraz. Odejdźcie, dopóki możecie.

– Oooo, ale się boję. Więc gdzie jest ta kobieta? Gdzie ją zamknęliście?

Tłum poparł go gniewnym szmerem.

– Robimy zaszczyt zwierzętom, kiedy składamy je w ofierze, żeby nakarmić naszego... obrońcę. Z błogosławieństwem naszych bogów...

– Oszczędź mi tych bzdur! – Plock dygotał z oburzenia, wrzeszcząc

na mężczyznę w długiej szacie. – Powiedz swoim ludziom, że to koniec, że mają się wynosić. Bo inaczej ich wypędzimy! Zrozumiano? Idźcie gdzie indziej ze swoją zбочzoną religią!

Bossong podniósł palec i wycelował w Plocka.

– Boję się, że dla ciebie jest już za późno – powiedział cicho.

– Trzęsę się ze strachu! – Plock wyciągnął ramiona zapraszającym gestem. – Ukarzcie mnie, bogowie oprawców zwierząt! Proszę bardzo!

W tejże chwili w jednym z mrocznych transeptów nastąpiło nagle poruszenie, zaskoczeni demonstranci przez chwilę się wahali. A potem ktoś wrzasnął i tłum cofnął się jak odbita fala. Pierwsze szeregi cisnęły się na następne, spychały je do tyłu – kiedy w drżącym półmroku pojawiła się groteskowa, zniekształcona postać. Plock ze zgrozą i niedowierzaniem zagapił się na stwora – ale nie, to nie był stwór. To był człowiek. Plock widział szeroką, płaską twarz, wargi pokryte strupami, zepsute zęby, blade, oślizłe ciało okryte brudnymi łachmanami. Jedna ręka trzymała zakrwawiony nóż. Kościół wypełnił się smrodem. Stwór odchylił głowę do tyłu i zaryczał jak ranny cielak. Jedyne oko pokryte bielmem obróciło się w oczodole, po czym spoczęło na Plocku.

Stwór zrobił krok, potem drugi, przesuwał nogi powolnymi, celowymi, ukradkowymi ruchami. Plock zamarł, przykuty do miejsca, niezdolny się ruszyć, odezwać, nawet odwrócić wzrok.

W nagłej ciszy zaszleściła zgrzebna szata, kiedy Bossong uklęknął. Pochylił głowę i wyciągnął ręce w geście suplikacji.

– *Envoye* – wymówił cicho, niemal z żalem.

Człowiek potwór natychmiast ruszył w stronę podwyższenia, powłócząc nogami jak krab, wskoczył na górę, otworzył przegniłe usta i rzucił się na Plocka.

Plock wreszcie odzyskał głos i próbował wrzeszczeć, kiedy stwór go rozszarpywał, ale za późno: nie zdołał wydobyć żadnego dźwięku z rozdartej tchawicy. Skonał w bezgłośnej męce.

Wszystko skończyło się bardzo, bardzo szybko.

76.

Pendergast oświetlił piwnicę miniaturową latarką. Wąski promień wydobył z mroku chaos dziwacznych przedmiotów, lecz agent je zignorował i skupił uwagę na ścianie – którą tworzyły płaskie, nieobrobione granitowe głązy, ułożone jeden na drugim i starannie spojone zaprawą.

Twarz mu się ściągnęła, widok był znajomy.

Teraz przeniósł spojrzenie na śmiecie zalegające piwnicę. Przed nim wznosił się egipski obelisk z popękanego gipsu, ociekający wilgocią i pokryty festonami pleśni. Obok stała ścięta wieżyczka ze średnio-wiecznego zamku, zbita ze zbutwiałej sklejki, z blankami i machikułami, mająca około jednej dziesiątej naturalnej wielkości; dalej leżały na stosie połamane gipsowe rzeźby, spiętrzone jak drewno na opał, w których Pendergast rozpoznał pomniejszone kopie Dawida, Nike z Samotraki i Grupy Laokoona, splątane ręce, nogi i głowy, odłamane palce walające się na cementowej podłodze. W następnej kolejności latarka oświetliła rekina z włókna szklanego, kilka plastikowych szkieletów, prymitywny relikwiarz plemienny wycięty ze styropianu oraz gumowy ludzki mózg z odgryzionym kawałkiem.

Cała ta rupieciarnia utrudniała marsz i nie pozwalała ocenić pełnych rozmiarów podziemi. Przeciskając się wśród stosów odrzuconych dekoracji filmowych – ponieważ najwyraźniej tym właśnie były – Pendergast trzymał latarkę nisko i starał się poruszać jak najciszej. Chociaż zwalone byle jak na stertę, rekwizyty były zadziwiająco czyste, bez

śladu kurzu, podobnie jak cementowa podłoga, co świadczyło o pedanterii Estebana.

Latarka błyskała tu i tam, kiedy Pendergast zagłębiał się coraz bardziej w hollywoodzki śmietnik. Klaustrofobiczne pomieszczenia rozgałęziały się coraz dalej pod ziemią, sięgały już poza obręb domu, wszelkiego rodzaju dziwaczne schowki i zakamarki, zagracone starymi dekoracjami w różnych stadiach zniszczenia i rozkładu, w większości pochodzącymi z epickich historycznych produkcji, z których sływał Esteban. Piwnice ciągnęły się bez końca; widocznie należały do starszego, jeszcze większego budynku dawniej zajmującego miejsce rezydencji Estebana.

Esteban. Niedługo wróci do domu, jeśli już nie wrócił. Czas uciekał – cenny czas, którego Pendergast nie mógł tracić.

Wszedł do następnej piwnicy – dawnej wędzarni – gdzie stało teraz krzesło do pławienia czarownic, szubienica, dyby oraz wyjątkowo realistyczna gilotyna z czasów rewolucji francuskiej, z uniesionym ostrzem, z koszem wypełnionym odciętymi woskowymi głowami o wytrzeszczonych oczach i ustach rozwartych w krzyku.

Ruszył dalej.

Na końcu ostatniej piwnicy znalazł zardzewiałe lekko uchylone żelazne drzwi. Pchnął je i zdziwił się, że otworzyły się bezgłośnie na naoliwionych zawiasach. Długi, wąski tunel prowadził prosto w ciemność – na pierwszy rzut oka wyglądał jak wykopany w surowej ziemi. Pendergast podszedł bliżej, dotknął ściany i odkrył, że to wcale nie ziemia, tylko pomalowany gips. Jeszcze jedna dekoracja filmowa, której do budowy wykorzystano widocznie starszy tunel. Po kierunku Pendergast odgadł, że tunel prowadzi do stajni; takie tunele łączące stajnie z dworem powszechnie budowano w dziewiętnastym wieku.

Agent poświecił w głąb mrocznego korytarza. Miejscami gips odpadł i odsłonił takie same granitowe głązy, z jakich zbudowano piwnice pod domem i jakie znalazły się na filmie wideo z Norą.

Pendergast ostrożnie ruszył tunelem, osłaniając ręką latarkę. Jeśli Nora była uwięziona na terenie posiadłości – w co nie wątpił – na pewno przetrzymywano ją w piwnicach pod stajnią.

Esteban wszedł do stajni bocznymi drzwiami i cicho przemknął przez rozległe pomieszczenie wypełnione zapachem siana i starego tynku. Wokół piętrzyły się rekwizyty i dekoracje z jego licznych filmów, które tak wytrwale kolekcjonował za ciężkie pieniądze. Przechowywał je z przyczyn sentymentalnych, których sam nie potrafił wytłumaczyć. Jak wszystkie filmowe dekoracje sklecono je w pośpiechu, na słowo honoru, byle wytrzymały do końca zdjęć. Teraz szybko niszczały. A jednak był do nich głęboko przywiązany, nie mógł się z nimi rozstać, nie chciał, żeby je rozebrano i wywieziono. Spędził wiele rozkosznych wieczorów, spacerując wśród nich z kieliszkiem brandy, dotykając ich, podziwiając, czule wspominając dni chwały swojej kariery.

Teraz niespodziewanie posłużyły do innego celu: zatrzymywały tego agenta FBI, przeszkadzały mu i odwracały jego uwagę, a jednocześnie maskowały poczynania Estebana.

Esteban prześliznął się pomiędzy dekoracjami na sam koniec stajni, gdzie odryglował i otworzył kluczem żelazne drzwi. Schody opadały w chłodną ciemność, w przestronne podziemia pod stajnią – niegdyś przechowałnie owoców, dojrzewalnie serów, piwnice na ziemniaki, wędliniarnie i piwnice win wytwornego hotelu, który dawniej tutaj stał. Nawet te pomieszczenia, najgłębsze na terenie posiadłości, były wypełnione po brzegi starymi rekwizytami. Z wyjątkiem dawnej chłodni na mięso, którą wysprzątał, zanim tam zamknął dziewczynę.

Jak ślepiec we własnym domu Esteban prześliznął się przez dżunglę rekwizytów, nawet nie zapalając latarki. Poruszał się zrećnie i pewnie w ciemności. Wkrótce dotarł do wylotu tunelu, który prowadził ze stajni do domu. Teraz włączył małą kieszonkową latarkę: w błękitnym

światle widział fałszywe gipsowe ściany i stemplowania pozostałe po kręceniu *Ucieczki z Sing Singu*, w której wykorzystał właśnie ten tunel jako plan zdjęciowy i zaoszczędził na tym ładną sumkę. Jakies pięć jardów w głębi tunelu osadzono w ścianie płytę ze sklejki, z której wystawała niewielka dźwignia z kątownika. Esteban obejrzał ją szybko i upewnił się, że jest w dobrym stanie. Zresztą to był prosty mechanizm niewymagający elektryczności, tylko siły grawitacji – w branży filmowej należało stosować niezawodne i łatwe w obsłudze urządzenia, ponieważ wiadomo, że jeśli coś się może zepsuć, to się zepsuje w najgorszym momencie, kiedy kamery pracują i gwiazdor wreszcie wytrzeźwia. Z ciekawości Esteban sprawdził urządzenie przed rokiem – urządzenie, które sam zaprojektował – i działało równie dobrze jak w dniu, kiedy nakręcił nieśmiertelną scenę ucieczki do filmu, za który prawie dostał Oscara. Prawie.

Zaczerwieniony na myśl o Oscarze, zgasił latarkę i nasłuchiwał. Tak, słyszał ciche kroki nadchodzącego agenta. Facet dokona makabrycznego odkrycia. Ale oczywiście żaden nieszczęsny agent FBI – nawet nadludzko inteligentny – nie mógł przewidzieć, co go wkrótce spotka.

77.

Harry R. Chislett, zastępca szefa policji okręgu Washington Heights North, stał w głównym punkcie kontrolnym na Indian Road z krótkofalówką w każdej ręce. W obliczu bezprecedensowych i całkowicie niespodziewanych wydarzeń zareagował jednak – jak sam uważał – niezwykle szybko i sprawnie. Kto mógł przewidzieć, że w mgnieniu oka zwali się tyłu demonstrantów, działających z taką bezlitosną precyzją, jednomyślnie i zdecydowanie? A jednak Chislett sprostał wymogom sytuacji. Co za tragedia zatem, że otaczali go ludzie niekompetentni i nieudolni. Jego rozkazy przekręcano, niewłaściwie wykonywano, nawet ignorowano. Tak: nie można tego określić innym słowem niż tragedia.

Podniósł lornetkę polową i nastawił na wejście do Ville. Demonstranci zdołali się wdrzeć do środka, a jego ludzie poszli za nimi. Otrzymywał chaotyczne i sprzeczne meldunki; Bóg jeden wie, co tam się działo. Poszedłby tam, ale dowódcy nie wolno się narażać na niebezpieczeństwo. Mogło dojść do przemocy, nawet do morderstwa. Z winy jego terenowych funkcjonariuszy, czego nie omieszka podkreślić w swoim raporcie.

Podniósł krótkofalówkę trzymaną w prawej ręce.

– Przednia pozycja alfa – wyszczekał. – Przednia pozycja alfa. Przesunąć się na pozycję obronną.

Krótkofalówka zatrzeszczała.

– Przednia pozycja alfa, odbieracie?

– Pozycja alfa, roger – odezwał się głos. – Proszę potwierdzić ostatni rozkaz.

– Powiedziałem, przesunąć się na pozycję obronną. – Oburzające.
– Na przyszłość będę wdzięczny, jeśli nie każecie mi powtarzać moich rozkazów, tylko je wypełnicie.

– Chciałem tylko się upewnić – odezwał się znowu głos – bo dwie minuty temu kazał nam pan się wycofać i...

– Po prostu zróbcie, co kazałem!

Od grupki funkcjonariuszy kręcących się chaotycznie po boisku baseballowym oderwała się jedna postać w ciemnym garniturze i podbiegła truchcikiem. Inspektor Minerva.

– Tak, inspektorze – powiedział Chislett, starannie przybierając pełen godności, autorytatywny ton w stylu generała McClellana*.

* George Brinton McClellan (1826–1885) – generał-major podczas wojny secesyjnej, niezbyt wysoko oceniany jako dowódca, jednak popularny wśród żołnierzy.

– Nadchodzą raporty z Ville.

– Kontynuujcie.

– Doszło do ostrego starcia pomiędzy mieszkańcami a demonstrantami. Są ranni, niektórzy poważnie. Wnętrze kościoła zostało zdemolowane. Ulice Ville zapełniają się wysiedleńcami.

– To mnie nie dziwi.

Minerva się zawahał.

– Tak, inspektorze?

– Jeszcze raz sugeruję, żeby pan podjął... no, bardziej stanowcze działania.

Chislett zmierzył go wzrokiem.

– Stanowcze działania? O czym pan mówi, do diabła?

– Z całym szacunkiem, kiedy demonstranci zaczęli marsz na Ville, radziłem, żeby pan natychmiast wezwał jednostki wsparcia. Musimy mieć więcej ludzi.

– Mamy dość ludzi – odparł Chislett z urazą.

– Radziłem również, żeby nasi funkcjonariusze szybko zajęli pozycje na drodze do Ville, żeby powstrzymać demonstrantów.

– Dokładnie taki rozkaz wydałem.

Minerva odchrząknął.

– Rozkazał pan, żeby wszystkie jednostki pozostały na pozycjach.

– Nie wydałem takiego rozkazu!

– Jeszcze nie jest za późno, żeby...

– Otrzymał pan rozkazy – przerwał mu Chislett. – Proszę je wykonać.

Spiurunował wzrokiem inspektora, który spuścił oczy, wymamrotał: „Tak jest”, i powoli wrócił do pozostałych funkcjonariuszy. Doprawdy, nic, tylko niekompetencja, niekompetencja, nawet u tych, na których powinien najbardziej polegać.

Znowu podniósł lornetkę. No, to interesujące. Widział demonstrantów – najpierw zaledwie kilku, potem coraz więcej – którzy wybiegali z Ville i zmykali drogą. Twarze mieli ściągnięte strachem. Policjanci wreszcie ich wykurzyli. Wśród nich dostrzegał zakapturzone postacie w długich szatach, mieszkańców Ville. Wszyscy wylewali się z bramy, uciekali jak najdalej od starych drewnianych budynków, potykali się i przewracali w panicznym popłochu.

Doskonale, doskonale.

Opuścił lornetkę i podniósł krótkofalówkę.

– Przednia pozycja delta, zgłoś się. Po chwili krótkofalówka zaskrzeczała:

– Przednia pozycja delta, mówi Wegman.

– Wegman, demonstranci zaczynają się rozpraszać – oznajmił skromnie Chislett. – Widocznie moja taktyka przyniosła zamierzone skutki. Chcę, żeby pan ze swoimi ludźmi skierował demonstrantów z powrotem na boisko baseballowe i na ulicę, dopilnował porządku.

– Ale jesteśmy teraz aż po drugiej stronie parku, gdzie pan nam kazał...

– Proszę wykonać rozkaz.

Naciśnięciem guzika Chislett uciął protesty funkcjonariusza. Banda nieudaczników, jeden w drugiego. Czy w całej historii zorganizowanej agresji istniał dowódca, który musiał się borykać z równie monumentalną nieudolnością?

Opuścił krótkofalówkę z westchnieniem zniechęcenia i patrzył, jak strumień ludzki wypływający z Ville zmienia się w rzekę, a potem w powódź.

78.

Pendergast posuwał się tunelem, trzymając się blisko lewej ściany i starannie osłaniając wąski promyk światła latarki. Wyszedł zza zakrętu i dostrzegł coś w półmroku – długi, białawy przedmiot leżący na podłodze.

Podszedł bliżej. To był plastikowy worek, zapięty z jednej strony na zamek błyskawiczny, umazany błotem, brudem i trawą, jakby go wleczono po ziemi. Na boku wydrukowano słowa: KOSTNICA MIEJSKA NOWY JORK, i numer.

Pendergast uklęknął i chwycił zawieszkę zamka. Powoli pociągnął ją w dół, starając się jak najmniej hałasować. W nozdrza buchnął mu duszący smród formaliny, alkoholu i rozkładu. Cał po calu wyłoniło się ciało spoczywające w środku. Agent otworzył zamek do połowy, ujął krawędzie plastiku i rozchylił je, żeby odsłonić twarz.

William Smithback junior.

Pendergast patrzył przez długą chwilę. Potem z niemal nabożną ostrożnością rozsunał zamek do końca i odkrył całe ciało. Znajdowało się w najgorszym stadium rozkładu. Zwłoki Smithbacka zostały poddane autopsji, a potem na dzień przed zniknięciem przygotowane do oddania rodzinie: narządy włożono z powrotem na miejsce, rozcięcie w kształcie litery Y zaszyto, wierzch czaszki przymocowano do czubka głowy, twarz naprawiono, ubytki wypełniono, dziury zaczerowano. Prymitywna robota – finezja nie należała do mocnych stron lekarzy sądowych – ale przynajmniej dobry przedsiębiorca pogrzebowy mógł

na tym pracować. Tylko że zwłoki nie pojechały do zakładu pogrzebowego. Zostały ukradzione. A teraz znalazły się tutaj.

Nagle Pendergast się pochylił. Sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął pensetę i posługując się nią, wyluskał kilka strzępków białej lateksowej gumy przyklepionej do twarzy trupa: jeden z nozdrza, drugi z ucha. Obejrzał je dokładnie przy latarce, po czym troskliwie schował do kieszeni.

Powoli poświęcił dookoła i w odległości piętnastu jardów zobaczył następne gnijące zwłoki przygotowane do pogrzebu i ubrane w czarny garnitur. Obcy mężczyzna, ale wysoki i chudy, mniej więcej tego samego wzrostu i budowy co Smithback i Fearing.

Kiedy agent spoglądał na dwa trupy, w jego umyśle skrytyzowały się ostatnie szczegóły intrygi Estebana. Bardzo elegancki plan. Teraz pozostało tylko jedno pytanie: co za dokument Esteban zrabował z grobowca? Z pewnością coś naprawdę niezwykłego, coś ogromnie cennego, skoro poważył się na takie ryzyko. Pendergast zamyślił się. Zdumiewała go nie tylko złożoność, ale zuchwałość planu Estebana. Tylko człowiek obdarzony wyjątkowymi zaletami – cierpliwością, strategicznym geniuszem i siłą charakteru – mógł dokonać czegoś takiego. I dokonał: gdyby agent przypadkiem nie natrafił na obrabowany grób w podziemiach Ville i nie połączył tego szczegółu z zakrwawionym opakowaniem po żeberkach jagnięcych znalezionym w śmieciach, zbrodnia uszłaby bezkarnie.

Ostrożnie i po cichu Pendergast zasunął zamek błyskawiczny. Potem zgasił latarkę i dalej rozmyślał w ciemnościach. Pędził tutaj w szaleńczym pośpiechu, żeby ratować Norę, i nie zdążył dokładnie zaplanować, jak się rozprawić z Estebanem. Zrozumiał teraz, że nie doceniał tego człowieka. To był groźny przeciwnik. Z pewnością już wrócił do domu – Inwood i Glen Cove dzieliła odległość niezbyt wielka dla samochodu. Taki człowiek wiedziałby, że Pendergast też tu jest. Taki człowiek czekałby na agenta, zawczasu przygotowany. Pendergast

musiał pokrzyżować mu szyki. Musiał – dosłownie – uderzyć z zaskoczenia. Ostrożnie, bezgłośnie zawrócił tą samą drogą, która przyszedł.

Esteban czekał w tunelu, obok dźwigni, wyżej słuch. Agent FBI poruszał się cholernie cicho, ale w tych izolowanych podziemiach każdy najmniejszy dźwięk niósł się bez końca. Esteban mógł ze słuchu odtworzyć, co się działo. Najpierw cichy zgrzyt zamka błyskawicznego; potem szelest plastiku; kilka minut ciszy – i znowu zamek. Potem słaby odbłask w tunelu: latarka Pendergasta. Esteban wciąż czekał.

Zabawne doprawdy, że agent FBI znalazł dwa ciała. Cóż to za wstrząs. Ciekawiło go, jak wiele tamten odgadł. Z dwoma trupami pod nosem pewnie całkiem sporo – ten cały Pendergast to inteligentny facet. Prawdopodobnie odgadł wszystko oprócz zasadniczego punktu: rodzaju dokumentu, który Esteban zabrał z grobowca swojego przodka.

Najważniejsze, że Pendergast działał na wycucie, bez dowodów – i dlatego zjawił się sam, bez wsparcia i oddziału SWAT.

Na myśl o dokumencie Esteban poczuł nagłą falę paniki. Nie miał go przy sobie. Gdzie go zostawił? W niezamkniętym samochodzie na podjeździe przed domem. Ten cholerny alarm w blackberry odwrócił uwagę Estebana. A gdyby dokument skradziono? Gdyby Pendergast go znalazł? Ale to niemądre obawy: brama posiadłości była zamknięta na klucz, a Pendergast był tutaj, w tunelu. Przy najbliższej sposobności Esteban zabierze dokument, teraz jednak miał pilne sprawy do załatwienia.

W tunelu panowała absolutna cisza. Wstrzymując oddech, Esteban nasłuchiwał i czekał.

I czekał. Słabe, rozproszone światło latarki trwało w bezruchu. Minuty wlokły się powoli i stopniowo Esteban zdał sobie sprawę, że coś poszło nie tak.

– Panie Esteban? – odezwał się przyjemny głos w ciemności za jego plecami. – Zechce pan zachować absolutny spokój, powoli rozluźnić

palce i pozwolić, żeby broń upadła na podłogę. Ostrzegam pana, że najmniejsze poruszenie, nawet mrugnięcie okiem w nieodpowiedniej chwili, spowoduje pańską natychmiastową śmierć.

79.

Esteban upuścił broń. Upadła na ziemię z głuchym stuknięciem.

– Teraz niech pan powoli podniesie ręce i zrobi dwa kroki do tyłu, a potem stanie twarzą do ściany.

Esteban zrobił dwa kroki i wykonał polecenie. Pendergast podniósł browninga i wsunął do kieszeni marynarki. Następnie przeszukał kieszenie Estebana i wyjął jego latarkę. Odsunął się, zapalił latarkę.

– Proszę posłuchać... – zaczął Esteban.

– Niech pan się nie odzywa, tylko odpowiada na moje pytania. Teraz proszę mnie zaprowadzić do Nory Kelly. Niech pan kiwnie głową, jeśli pan zrozumiał.

Esteban kiwnął głową. Jeszcze nie wszystko stracone... Zawsze ktoś może być zbyt inteligentny. Powoli ruszył w stronę domu.

– Tam jej nie ma – oświadczył Pendergast. – Sprawdziłem już tamte miejsca. Zużył pan swój kredyt. Następnym razem, kiedy pan spróbuje kręcić, uznam, że nie chce pan współpracować, zabiję pana bez dalszych dyskusji i sam znajdę panią Kelly. Proszę kiwnąć głową, jeśli pan zrozumiał.

Esteban kiwnął głową.

– Ona jest w podziemiach pod stajnią?

Esteban pokręcił głową.

– Gdzie, jest? Może pan mówić.

– Jest w pomieszczeniu ukrytym w tym tunelu, pod tynkiem. Nie-
daleko ciała Smithbacka.

- W tym tunelu nie ma świeżego tynku.
- Drzwi są pod warstwą starego okablowanego tynku, którą mogę dowolnie przesuwać.

Pendergast chyba to rozważał. Potem machnął pistoletem.

- Pan pierwszy. Proszę nie zapominać, co się stanie, jeśli nie będzie pan współpracował.

Esteban jeszcze raz ruszył tunelem w stronę Smithbacka, trzymając się prawej ściany. Pendergast szedł jakieś dziesięć stóp z tyłu. Esteban przestąpił nad małą kieszonkową latarką – najwyraźniej należąca do agenta – która leżała na podłodze tunelu. Kiedy minął dźwignię, udał, że się potknął. Padając, szarpnął dźwignię.

Huknął strzał, ale poszedł górą i tylko zmierzwił Estebanowi włosy. Z sufitu dobiegł przeraźliwy zgrzyt, kiedy mechanizm uruchomił sztuczne oberwanie ziemi. Oczywiście to nie był prawdziwy zawał, tylko styropianowe głązy, połamane i pobrudzone wcześniej belki z dykty, piasek i żwir zmieszane z zabarwionym popcornowym wypełniaczem. Choć nie tak groźne jak obwał skał stropowych, runęły przerażająco gwałtownie. Pendergast uskoczył w bok, ale pomimo swojej szybkości nie mógł uciec przed materiałami, które zwały się na głowę. Masa dykty, styropianu i popcornu przewróciła go i zasypała z przeciągłym hurgotem. Esteban rzucił się do przodu i sam ledwie umknął przed forpocztą lawiny.

Zrobiło się ciemno jak w grobie – latarki zostały pogrzebane razem z agentem. Esteban słyszał, jak osuwają się ostatnie ziarenka żwiru. Zaśmiał się głośno. Ta lawina zasypała więziennych strażników ścigających zbiegów w kulminacyjnej scenie *Ucieczki z Sing Singu*, a bohater wyskoczył z tunelu na wolność. A teraz reżyser odtworzył tę scenę w rzeczywistości!

Widocznie Pendergast nie chodził do kina. Inaczej mógłby rozpoznać tunel i domyślić się, co go czeka. Tym gorzej dla niego.

Esteban wszedł po kolana w sztuczny obwał, rozgarniając nogami

wypełniacz i szukając agenta. Po pięciu minutach grzebania w śmieciach dostrzegł błysk własnej latarki, wciąż zapalonej, obok zaś Pendergasta, zakrwawionego, zakurzonego i ogłuszonego. Przy nim leżał browning. Agent trzymał w ręku własny rewolwer, trochę dalej tkwiła jego komórka. Został mocno poturbowany przez lawinę i może nawet nie żył, ale Esteban musiał mieć pewność. Najpierw chwycił oba pistolety. Następnie zmiążdżył stopą telefon komórkowy. Potem podniósł browninga, sprawdził magazynek, wycelował w mostek Pendergasta i wystrzelił dwa pociski z bliska, podwójna porcja w serce i trzeci dla pewności. Ciało podskakiwało po każdym strzale, kłęby kurzu wzbijały się z ramion i klatki piersiowej.

Na podłodze zaczęła się rozszerzać kałuża krwi.

Esteban stał w obłoku kurzu i leciutko się uśmiechnął. Szkoda, że ta scenka nigdy nie trafi na srebrny ekran. Teraz nadszedł czas na ostatni akt jego prywatnej epopei: zabicie dziewczyny i pozbycie się ciała.

Wszystkich czterech.

80.

Laura Hayward ostrożnie posuwała się przez mroczne piwnice, głęboko pod alejkami i zaułkami Ville. Krzyki i wrzaski na górze osiągnęły crescendo i nagle ucichły: albo bijatyka przeniosła się na teren Inwood Hill Park, albo jej odgłosy nie docierały tak głęboko pod ziemię. Tunele pod Ville miały wiele poziomów i mogły się poszczycić rozmaitymi stylami architektonicznymi, od prymitywnych, ręcznie wykutych grot po starannie oblicowane kamieniami krypty z żebrowym sklepieniem. Zupełnie jakby kolejne fale mieszkańców, różniące się gustami i stopniem wyrafinowania, przez lata rozbudowywały podziemia na własne potrzeby.

Szybkie spojrzenie na zegarek uświadomiło Laurze, że bada podziemia już od piętnastu minut – piętnaście minut błędzenia po krętych odnogach i ślepych zaułkach, coraz bardziej zagmatwanych i przerażających. Jak daleko mógł sięgać ten podziemny labirynt? I gdzie jest Vincent? Niejeden raz miała ochotę go zawołać, ale za każdym razem jakiś szósty zmysł ostrzegał ją, żeby milczała. Krótkofalówka tu na dole przestała działać.

Teraz zatrzymała się na skrzyżowaniu, z którego cztery krótkie korytarze prowadziły do czworga okutych żelazem drzwi. Wybrała na chybił trafił jeden korytarz, przystanęła pod drzwiami, żeby posłuchać, potem otworzyła je i przekroczyła próg. Dalej zaczynał się brudny i śmierdzący tunel z podłogą gąbczastą od pleśni i sufitem obwieszonym pajęczynami. Wszędzie rozbrzmiewało nieustanne kap, kap, kap wilgoci

spływającej z oślizłych kamieni. Hayward ze wstrętem strącała tłuste krople, które upstrzyły jej włosy i ramiona.

Po jakichś dwudziestu jardach tunel rozgałęział się w dwóch kierunkach. Hayward skręciła w prawo, w stronę głównego kościoła, jak oceniała. Tutaj trochę mniej śmierdziało. Ściany zbudowano z topornie obrobionego kamienia. Przyjrzała im się uważnie, przyświecając sobie latarką. Stanowczo nie taką ścianę widziała na wideo z Norą Kelly.

Nagle się wyprostowała. Czy to był krzyk?

Stała bez ruchu w ciemnościach i wytężyła słuch. Ale cokolwiek słyszała – jeśli w ogóle coś słyszała – więcej się nie powtórzyło.

Ruszyła przed siebie. Kamienny korytarz kończył się masywnym, sklepionym przejściem. Zanurkowała pod niskim łukiem i znalazła się w prymitywnym mauzoleum oszalowanym gnijącymi belkami. W glinianych ścianach wydrążono tuzin nisz grzebalnych, każda zawierała spróchniałą trumnę. Wszędzie walały się amulety i fetysze, skórzane woreczki naszywane cekinami, groteskowe lalki z wielkimi głowami i chytrze łypiącymi oczami. Na deskach i naciągniętych skórach wymalowano szalenie skomplikowane desenie spirali i kreseczek. Wydawało się, że to podziemna świątynia zmarłych przywódców Ville – a może nieumarłych. Same trumny wyglądały dziwnie, okute żelaznymi pasami i zamknięte na kłódki niczym więzienia dla nieboszczyków, niektóre przebite na wylot grubymi kołkami, których końce tkwiły głęboko w glinie. Hayward zadrżała, przypominając sobie niektóre co barwniejsze opowieści swoich dawnych kolegów z nowoorleańskiej policji.

...Znowu ten dźwięk, i tym razem Hayward nie miała wątpliwości: kobiecy głos, cicho szlochający w ciemnościach, dokładnie na wprost.

Nora Kelly? Laura ruszyła jak najciszej przez komnatę voodoo, z bronią w pogotowiu, osłaniając latarkę. Stłumiony szloch rozbrzmiewał gdzieś blisko, dwa czy trzy pomieszczenia dalej. Komnata z niszami kończyła się korytarzem, który znowu się rozdwajał; odgłosy dochodziły z lewej strony i Hayward tam się skierowała. Jeśli to Nora, pewnie

jest pod strażą – z Ville wysłano kogoś na dół przy pierwszej zapowiedzi kłopotów.

Korytarz ostro zakręcał, potem nagle wychodził na rozległą kryptę z krzyżowym sklepieniem wspartym na ciężkich kolumnach. W pachnącej kurzem ciemności Hayward ujrzała szeregi drewnianych sarkofagów ciągnące się aż do tylnej ściany. Tam, w oddali dostrzegła trzy sylwetki podświetlane sporadycznymi błyskami czegoś, co wyglądało na zapalniczkę. Dwie kobiety, jedna cicho płakała. Trzecia sylwetka to był mężczyzna, który mówił coś do nich zniżonym głosem. Stał tyłem do Hayward, ale gesty i ton głosu świadczyły, że o czymś je przekonuje.

Serce Laury zabiło szybciej. Zrobiła krok do przodu, potem drugi. I wtedy się upewniła: mężczyzna po drugiej stronie krypty to był Vincent D'Agosta.

– Vinnie!

Odrzucił się. Przez chwilę wydawał się zaskoczony. Potem uśmiech ulgi rozjaśnił jego twarz.

– Laura! Co ty tu robisz?

Podeszła szybko, nie próbując już osłaniać latarki. Kobiety spojrzały na nią z twarzami ściągniętymi strachem.

Prawe ramię D'Agosty wisiało na zaimprovizowanym temblaku; twarz miał brudną i podrapaną; garnitur pognieciony i podarty. Ale tak się ucieszyła na jego widok, że ledwie to zauważyła.

Uściskała go pośpiesznie, niezręcznie z powodu temblaka. Potem odsunęła się, żeby na niego spojrzeć.

– Vinnie, wyglądasz jak kupka nieszczęścia.

– I tak się czuję. Mam tutaj kobiety, które potrzebują pomocy. Brały udział w demonstracji, zostały zaatakowane przez mieszkańców Ville i zgubiły się podczas ucieczki. – Przerwał. – Ty też szukasz Norry?

– Nie. Przyszłam po ciebie.

– Po mnie? Czemu? – Wydawał się niemal obrażony.
– Pendergast mi powiedział, że tu jesteś i grozi ci niebezpieczeństwo.

– Szukałem Nory. Pendergast?
– Mówił, że idzie po Norę. Że tu jej nie ma.
– Co?! Więc gdzie ona jest?
– Nie powiedział. Ale mówił, że coś zaatakowało was obu. Coś dziwnego.

– Zgadza się. Lauro, jeśli naprawdę Nory tutaj nie ma, musimy się stąd wydostać. Jak najszybciej.

Nagle zamilkł. Po chwili Hayward też to usłyszała: płaskanie dochodzące z ciemności, jakby mięsiste dłonie wybijały rytm na zimnych kamieniach. Dochodziło z daleka, ale się zbliżało. Po chwili na płaszczący dźwięk nałożyło się wilgotne cmokanie i ciche jęki niczym rżenie przebitych miechów:

– Aaaahuuuuuu...

Jedna z kobiet wydała stłumiony okrzyk i instynktownie cofnęła się o krok. D'Agosta drgnął.

– Za późno – powiedział. – Wróciło.

81.

Nora czekała w wilgotnych ciemnościach. W głowie ją łupało; przy każdym ruchu ostrze bólu przebijało czaszkę od skroni do skroni. Cios zadany przez porywacza jeszcze bardziej pogorszył jej stan. Pomimo bólu musiała walczyć z tępym odrętwieniem, które ją ogarniało. Ile godzin upłynęło? Dwadzieścia cztery? Trzydzieści sześć? Dziwne, jak ciemność zakłóca ocenę czasu.

Leżała oparta o ścianę obok drzwi, czekając na powrót więziennego strażnika. Zastanawiała się, czy wystarczy jej sił, żeby znowu go zaatakować. Musiała przyznać, że to wyglądało beznadziejnie – podstęp nie udał się za pierwszym razem, więc tym bardziej nie wypali po raz drugi. Ale co innego jej pozostało? Gdyby wybrała inne miejsce, porywacz mógłby ją zastrzelić przez okienko. Wiedziała, że nie wypuści jej na wolność. Trzymał ją żywą w jakimś niejasnym celu, a kiedy osiągnie ten cel, zabije ją.

W ponurej ciszy jej myśli wędrowały swobodnie. Napłynął obraz czarnej limuzyny na przystani w miasteczku Page w Arizonie. Na drugim planie wznosiły się czerwone klify nad jeziorem Powell, a niebo wyglądało jak bezchmurna czasza idealnego błękitu. Powietrze na parkingu drgało z gorąca. Drzwi limuzyny otworzyły się i ze środka niezgrabnie wygramolił się tyczkowaty facet, otrzepał się i wyprostował. Głupio wyglądał w ray-banach, brązowe włosy sterczały mu we wszystkich kierunkach. Garbił się lekko, jakby skrzepowany swoim wzrostem; pamiętała jego orli nos i długą, chudą twarz, pamiętała, jak

się rozglądał, mrużąc oczy, skonsternowany, lecz pewny siebie. Wtedy po raz pierwszy zobaczyła człowieka, który miał zostać jej mężem, który przyłączył się do jej ekspedycji archeologicznej w kaniony Utah jako dziennikarz rezydent. Z miejsca oceniła go jako idiotę. Dopiero później poznała jego lepsze cechy, jego cudowne zalety, skrywane głęboko, jakby trochę się ich wstydził.

Napływały inne przypadkowe urywki wspomnień z tych pierwszych dni w Utah: Bill nazywający ją „pani przewodnicząca”. Bill wsiadający na swojego konia Hurricane Decka, przeklinający na czym świat stoi, kiedy koń pod nim tańczył. Te obrazy ustąpiły miejsca wspomnieniom z początków ich wspólnego życia w Nowym Jorku: Bill rozlewający sos koniakowy na swój nowy garnitur w Café des Artistes. Bill przebrany za włóczęgę, żeby wśliznąć się w nocy na teren budowy, gdzie znaleziono trzydzieści sześć ciał. Bill leżący w szpitalnym łóżku, uratowany przed Lengiem... Obrazy powracały niechciane, nieproszone, a jednak dziwnie pocieszające. Nie miała już siły się opierać, więc pozwoliła im dryfować przed oczami i stopniowo zapadła w stan pomiędzy snem a jawą. Teraz, w krytycznej sytuacji, kiedy sama lada chwila mogła stracić życie, wreszcie zdołała się jakoś pogodzić ze stratą Billa.

Do terazniejszości przywrócił ją stłumiony łoskot, głębokie drżenie przenikające powietrze i ściany. Usiadła, nagle czujna, chwilowo zapomniawszy o bólu głowy. Dudnienie trwało przez jakiś czas, zanim ucichło. Po paru chwilach rozległy się głośne dwa szybkie wystrzały, potem przerwa i huknęła po raz trzeci.

Te hałasy, tak nagłe i głośne po długiej ciszy, pobudziły ją do działania. Coś się stało, i to mogło oznaczać dla niej jedyną szansę. Nasłuchiwała uważnie, z napięciem. Najpierw słabo, a potem wyraźniej dotarł do niej odgłos przeciągania czegoś ciężkiego po podłodze. Sieknięcie, przerwa, znowu szuranie. Cisza. A potem zgrzyt otwieranej kraty w drzwiach. Rozległ się głos porywacza:

– Masz gościa!

Nora ani drgnęła.

Przez otwór zaświeciła latarka, pręty krat rzuciły czarne cienie na ścianę naprzeciwko.

Nora wciąż czekała. Zmusić go, żeby wszedł do środka, a potem zaatakować – to była jej jedyna szansa.

Usłyszała przekręcanie klucza w zamku, zobaczyła, że drzwi się uchylają. Ale zamiast wejść do środka, porywacz zwałił coś na podłogę – ciało – natychmiast się cofnął i zatrzasnął za sobą drzwi. W słabnym świetle Nora spojrzała na twarz trupa: rzeźbione rysy, wysokie kości policzkowe, marmurowa skóra i jedwabiste włosy; oczy jak szparki ukazujące tylko białka; kurz i krew we włosach; niegdyś czarny garnitur teraz zszarzały, pognieciony i podarty; ciemna plama krwi wciąż rozszerzająca się na koszuli.

Pendergast. Martwy.

Krzyknęła ze zdumienia i rozpaczy.

– Twój znajomy? – zapytał szyderczo głos zza kraty.

Szczękniętą zamek, zagrzechotała kłódka i znowu zapadła ciemność.

82.

Alexander Esteban spiesznie wracał przez podziemne tunele, które znał tak dobrze. Wbiegł po schodach na powierzchnię, pokonując po dwa stopnie naraz. Po chwili wyszedł ze stajni w rześką, chłodną jesienną noc. Gwiazdy błyszczały zimno na aksamitnym niebie. Esteban pobiegł do samochodu, gwałtownie otworzył drzwi i – dzięki Bogu, dzięki Bogu – chwycił brązową kopertę leżącą na fotelu pasażera. Otworzył ją, wyjął stare welinowe arkusze, przejrzał je i powoli wsunął je z powrotem.

Oparł się o samochód, dysząc ciężko. To głupie tak panikować. Oczywiście dokument był bezpieczny. Zresztą i tak nie miał żadnej wartości dla nikogo oprócz niego. Niewiele osób nawet by go zrozumiało. A jednak straszliwie dręczyła go świadomość, że dokument został w otwartym samochodzie. Tyle planowania, nawiązywania znajomości, wydawania bajońskich sum, kłamania, przekupywania, zastraszania i mordowania, żeby zdobyć dwie kartki welinu. Myśl, że leżały niestrzeżone w samochodzie, narażone na zakusy jakiegoś złodziejzaka czy nawet kaprysy pogody, stanowiła istną torturę. Ale wszystko się dobrze skończyło. Dokument był bezpieczny. Teraz, mając go z powrotem w ręku, Esteban mógł się śmiać z własnej paranoi.

Uśmiechając się z lekką skruchą, wrócił do domu, przeszedł przez ciemne pokoje do gabinetu i otworzył sejf. Włożył kopertę do stalowej skrzyni i spoglądał na nią czule przez chwilę. Teraz nic go nie absorbowало. Teraz mógł wrócić do piwnicy i dokończyć dzieła. Pendergast

nie żył; musiał tylko załatwić dziewczynę. Ich ciała spoczną głęboko pod podłogą piwnicy – zrobił już miejsce – i nikt ich więcej nie zobaczy.

Zamknął masywne stalowe drzwi i wstukał kod elektroniczny. Słuchając szmerów i kliknięć w mechanizmie zamka, kiedy zapadki zaskakiwały na miejsce, myślał o nadchodzących tygodniach, miesiącach, latach... i uśmiechał się do siebie. Czekala go walka, z której wyjdzie jako bardzo, bardzo bogaty człowiek.

Wyszedł z domu i ruszył przez trawnik, oddychając swobodnie, z ręką na kolbie rewolweru, który zabrał martwemu agentowi FBI. Była to wyraźnie przydzielona policyjna broń, idealna do anonimowego zadania, które zamierzał wykonać. Pozbędzie się jej, kiedy zastrzeli dziewczynę.

Dziewczyna. Zdążyła go już zadziwić swoją pomysłowością i odpornością fizyczną. Nigdy nie wolno nie doceniać ludzkiej przedsiębiorczości w obliczu śmierci. Chociaż była ranna i zamknięta, powinien zachować ostrożność – nie warto się pośliznąć w ostatniej chwili, kiedy zdobył wszystko, czego pragnął.

W stajni zapalił latarkę i zszedł do piwnicy. Zastanawiał się, czy dziewczyna będzie mu utrudniać robotę, znowu zaczai się za cholernymi drzwiami jak poprzednim razem. Chociaż nie przypuszczał – wrzucenie zwłok Pendergasta do celi z pewnością ją przeraziło. Może wpadnie w histerię, zacznie błagać, przekonywać, argumentować. Powodzenia – nawet nie zamierzał jej dopuścić do głosu.

Dotarł do drzwi jej celi, otworzył zakratowane okienko i poświecił do środka. Znowu była na środku piwnicy – leżała na słomie i szlochała, obejmując głowę rękami. Opuściła ją cała waleczność. Jej szerokie plecy stanowiły idealny cel. Po prawej stronie, nadal widoczne, leżały zwłoki agenta FBI.

Ubranie miał w nieładzie, jakby go zrewidowała w poszukiwaniu broni. Nic nie znalazła i pewnie dlatego straciła wszelką nadzieję.

Drgnęło w nim sumienie. To był podły postępek. Nie jak zabicie Fearinga czy Kidd – oportunistycznych mętów, drobnych kryminalistów, gotowych zrobić wszystko dla pieniędzy. A jednak zabicie tej kobiety było złem koniecznym, nieuniknionym. Mrużąc oczy, spojrział przez celownik, starannie wymierzył w górną część jej pleców, dokładnie nad sercem, i nacisnął spust colta. Impet pocisku odrzucił ją w bok. Krzyknęła – ostry, urywany krzyk. Drugi strzał trafił niżej, tuż nad nerkami, i ponownie rzucił ją na bok. Tym razem nie krzyczała.

To załatwiało sprawę.

Ale musiał się upewnić. Kula w mózg dla obojga po kolei – a potem szybki pochówek w wybranym miejscu. Jednocześnie usunie ciało Smithbacka i researchera. Mąż i żona razem – czy to nie stosowne?

Z bronią w pogotowiu włożył klucz do zamka i otworzył drzwi.

83.

D'Agosta odwrócił się do dwóch demonstrantek. Twarze miały ściągnięte strachem, ich kaszmirowe swetry i sportowe pantofle wyglądały rażąco nie na miejscu w tym gotyckim przybytku śmierci.

– Schowajcie się za tym grobowcem – polecił, wskazując najbliższy blok marmuru. – Kucnijcie, żeby was nie zobaczył. Szybko.

Obrócił się do Hayward, jego złamane ramię zaprotestowało przeciwko temu gwałtownemu ruchowi.

– Daj mi latarkę.

Podawała mu ją, a on szybko osłonił ją dłonią, tłumiąc blask.

– Lauro, nie mam broni. Nie możemy się przed nim schować ani uciec. Kiedy podejdzie, strzelaj.

– Kiedy kto podejdzie?

– Zobaczysz. On jakby nie czuje bólu, strachu, niczego. Wygląda jak człowiek, na pierwszy rzut oka... ale nie jest do końca człowiekiem. Jest szybki i cholernie zawzięty. Oświetlę go dla ciebie. Jeśli się zawałasz, zginiemy.

Przełknęła ślinę, kiwnęła głową, sprawdziła broń.

D'Agosta wsadził latarkę do kieszeni, zajął pozycję za dużym marmurowym grobowcem i kiwnął na Hayward, żeby ustawiła się za sąsiednim. Potem czekali. Przez chwilę D'Agosta słyszał tylko przyspieszony oddech Hayward; ciche pojękiwanie jednej z demonstrantek; łomotanie własnego serca. Potem znowu rozległo się człapanie bosych stóp na wilgotnych kamieniach. Teraz wydawało się bardziej odległe.

szybkości ani determinacji. Z kolejnym głodnym jękiem skoczył w stronę światła.

Pistolet Hayward wypalił trzykrotnie.

D'Agosta zgasił latarkę, żeby nie stanowili zbyt łatwego celu. W uszach mu dzwoniło od wystrzałów i urywanych wrzasków demonstrantek.

Echo wystrzałów przetoczyło się przez podziemne korytarze i powróciła cisza.

– Mój Boże – szepnęła Hayward. – Mój Boże.

– Trafiłaś go?

– Chyba tak.

D'Agosta przykucnął i czekał, aż ucichnie dzwonięcie w uszach. Wrzaski za jego plecami przycichły do urywanych szlochów. Nie słyszał nic więcej oprócz dyszenia Hayward.

Czy zabiła stwora?

Odczekał następną minutę i jeszcze jedną. Potem zapalił latarkę i oświetlił przestrzeń przed sobą. Nic.

Żywy czy martwy wróg znajdował się na swoim terenie, a oni musieli uciekać.

– Chodźmy – powiedział. – Wynośmy się stąd w diabły.

Zagarnął dwie demonstrantki, pomógł im wstać. Szybko przemknęli wśród grobowców i dotarli do łukowego przejścia w przeciwległej ścianie. D'Agosta osłonił dłonią latarkę i poświecił na podłogę dookoła. Kilka kropli świeżej krwi i nic więcej. Przekroczył próg, wszedł do wielkiego magazynu i kiwnął na kobiety, żeby szły za nim.

– Ostrożnie – szepnął. – Na środku jest głęboka dziura. Przechodźcie pod ścianą.

Kiedy zaczęli torować sobie drogę przez stosy pleśniejących książek w skórzanych oprawach i staroświeckich, rozpadających się mebli, z boku rozległ się ostry syk. D'Agosta odwrócił się i podniósł latarkę w tej samej chwili, kiedy stwór wyskoczył z ciemności i rzucił się na

nich, z szeroko rozdziawionymi zabloconymi ustami, z czarnymi, połamanymi paznokciami wystawionymi, żeby szarpać i rozdzierać. Hayward uniosła broń, ale stwór dopadł do niej w okamgnieniu i zwałił ją z nóg. Pistolet, wirując, poleciał na drugą stronę pomieszczenia. D'Agosta, zapominając o bólu w strzaskanym przedramieniu, skoczył na napastnika i zaczął go walić pięścią. Ale stwór nie zważał na ciosy, tylko mocniej ścisnął szyję wrywającej się Hayward, przez cały czas pohukując z krwiożerczą radością:

– Aihu! Aihu! Aihu!

Nagle magazyn wypełniło ostre pomarańczowe światło. D'Agosta obejrzał się: w drzwiach naprzeciwko stał Bossong, trzymając w uniesionej ręce wielką płonąca pochodnię. Twarz miał zakrwawioną, ale nie stracił wyniosłej, niemal królewskiej postawy.

– *Arrêt!* – krzyknął i jego głęboki głos zawibrował w podziemnej komnacie.

D'Agosta zauważył, że pistolet Hayward leży prawie przy stopach przywódcy wspólnoty. Chciał po niego skoczyć, ale Bossong natychmiast go podniósł i wymierzył w nich.

– Bossong! – krzyknął D'Agosta. – Odwołaj go!

Przywódca Ville milczał, celując do nich z broni.

– O to chodzi w twojej religii? O tego potwora?

– Ten „potwór” – Bossong wypluł to słowo – jest naszym obrońcą.

– I w ten sposób was broni? Próbując zabić oficera policji na służbie?

Bossong przeniósł spojrzenie z D'Agosty na zombie, na Hayward i z powrotem na porucznika.

– Ona nic nie zrobiła! Odwołaj go!

– Wtargnęła do naszej wspólnoty, zbezpieściła nasz kościół.

– Przyszła tu, żeby mnie ratować, żeby ratować innych. – D'Agosta wpatrzył się w przywódcę. – Zawsze uważałem was za zwykłych, krwiożerczych kultystów zabijających zwierzęta dla jakiejś perwersyjnej

przyjemności. No, Bossong, udowodnij, że się myliłem. Teraz masz szansę. Pokaż mi, że jesteście czymś więcej. Że wasza religia jest czymś więcej.

Przez chwilę Bossong trwał w bezruchu. Potem wyprostował się na pełną wysokość. Odwrócił się do zombie.

– *C'est suffice!* – krzyknął. – *N'est-ce envoi pas!*

Stwór wydał nieartykułowany, siorbiący dźwięk. Ślina wezbrała mu w gardle, kiedy podniósł wzrok na kapłana. Rozluźnił uścisk na gardle Hayward, która wygramoliła się spod ohydneho cielska, kaszłąc i łapiąc powietrze. D'Agosta pomógł jej wstać i razem się cofnęli.

– To musi się skończyć! – oświadczył Bossong. – Przemoc musi się skończyć.

Człowiek potwór dygotał i przenosił spojrzenie z Hayward na Bossonga i z powrotem. A potem D'Agosta znowu zobaczył w jedynym oku stwora szaleńczy głód. Zombie przykucnęła, skoczył na Hayward.

Strzał huknął ogłuszająco w zamkniętej przestrzeni. Stwór, trafiony w pół skoku, okręcił się i upadł na podłogę. Z rykiem bólu, w zwierzęcej furii dźwignął się na kolana, tryskając krwią z drugiej rany w boku. Chwiejnie z początku, potem coraz szybciej i szybciej, z nowym, przerażającym zdecydowaniem ruszył w stronę Bossonga. Następną kulą trafiła go w brzuch i zgiął się wpół, okropnie charkocząc. Nie do wiary, ale jeszcze próbował wstać, chociaż krew buchała z jego ran i z rozdziawionych ust. Trzecia kula trafiła go w pierś i znowu upadł. Przetaczał się po podłodze w niekontrolowanych, spazmatycznych drgawkach. D'Agosta próbował go złapać, ale nie zdążył; wijąc się i jęcząc obrzydliwie, stwór przetoczył się przez krawędź studni i runął w głąb. Wydał bulgoczący wrzask, który – po straszliwie długiej sekundzie – zakończył się cichym pluskiem.

Bossong powoli opuścił dymiącą broń.

– Więc kończy się tak, jak się zaczęło – powiedział. – W ciemności.

84.

Esteban wszedł do celi i przystanął. Które najpierw? Ale nie należał do osób męczących się z podjęciem decyzji. Przesząpił nad ciałem dziewczyny i poszedł do zakrwawionych zwłok agenta FBI. On szczególnie zasłużył na śmierć. Ale oczywiście, pomyślał Esteban z ironicznym uśmiechem, on już nie żyje albo prawie nie żyje. Zrobi się bałagan, od huku wystrzału w zamkniętej przestrzeni rozbołą go uszy. Przeładowując magazynek, przebiegał w myślach kolejne czynności, które musiał wykonać. Zakopać własne ubranie razem z ciałami i bronią – żaden problem. W obecnych czasach, kiedy ekipy śledcze mają taki skuteczny sprzęt do analizy, zawsze wykryją krew; ale samą celę można zamurować bez śladu. Wszystkie ciała tam trafiają. Może w najbliższych dniach zjawią się tu gliny, żeby węszyć, szukać agenta FBI. Może nawet powiedział komuś, dokąd się wybiera. Ale nie było żadnego dowodu, że tutaj dotarł; żadnego samochodu, żadnej łodzi, nic.

Włożył magazynek, wprowadził nabój do komory i podniósł broń jedną ręką, drugą starannie kierując światło latarki na nieruchomą postać.

Cios padł z tyłu, ogłuszające uderzenie w głowę, a potem coś skończyło na niego jak małpa, dwie ręce z rozczapierzonymi palcami orały jego twarz, jeden palec zaczepił o krawędź oczodołu i wepchnął się głębiej, naciskając gałkę oczną. Esteban wrzasnął z bólu, okręcił się i próbował zrzucić napastnika, szarpiąc go jedną ręką; pistolet trzymany w drugiej ręce strzelał raz po raz ogłuszającym hukiem. Latarka upadła

na ziemię, coś trzasnęło i zapadła ciemność.

Przez chwilę Esteban, zaskoczony i oszołomiony bólem, nie wiedział, co się dzieje. Potem zrozumiał: dziewczyna. Krzyczał, szarpał się i wierzgał, okładał ją szaleńczo wolną ręką, ale ona nie puszczała, naciskała dalej bez litości, aż jego gałka oczna wyskoczyła z oczodołu z wilgotnym cmoknięciem.

Pod wpływem bólu i zgrozy na chwilę przestał myśleć racjonalnie. Z rykiem runął na ziemię. Impet upadku wreszcie oderwał od niego dziewczynę, ale kiedy się przetoczył i chciał użyć broni, zorientował się, że teraz walczy z nim druga osoba – niewątpliwie agent FBI. Brutalny kopniak wytrącił mu broń. Uderzył na oślep, wyrwał się, dźwignął na nogi i rzucił do ucieczki. Z rozpędu walnął w ścianę, a potem macał rozpaczliwie po murze, słysząc nad głową dyszenie swoich prześladowców.

...Drzwi! Wypadł za próg i pobiegł w ciemność, oślepiiony i oszołomiony, odbijał się od ścian, drzwi i dekoracji jak kulka w bilardzie elektrycznym, z bólu i paniki stracił orientację, przedzierał się przez dżunglę rupieci, byle dalej. Dziewczyna i agent FBI – jakim cudem oboje przeżyli? Lecz gdy tylko zadał sobie to pytanie, odgadł odpowiedź – i przeklął swoją kolosalną, monumentalną głupotę. Czuł, jak gałka oczna dyndająca na nerwie wzrokowym podskakuje przy każdym ruchu, zataczając bolesny łuk.

Browning! Zapomniał o drugim pistolecie. Sięgnął za pas, wyciągnął go, odwrócił się i strzelił w kierunku swoich prześladowców. Chwilę później odpowiedział mu huk colta i łupnięcie kuli dużego kalibru, która przebiła na wylot dekorację obok jego prawego ucha i obsypała go deszczem odłamków.

Jezu, mało brakowało. Odwrócił się i pobiegł dalej, gorączkowo przepychając się wśród starych dekoracji, próbując ustalić swoje położenie. Słyszał, jak go ścigają po omacku. Strzelając do nich w ciemności, tylko wystawiłby się na cel.

Wpadł na coś i stwierdził, że z powodu paniki najwyraźniej kręcił się w kółko. Gdzie ja jestem, do cholery? – pomyślał. Co to za dekoracje? Masywny gipsowy mur... kontury bloków... czy to wieżyczka zamkowa? Tak na pewno! Wepchnął broń z powrotem za pasek i po omacku wdrapał się na parapet. Jeszcze trochę, jeszcze troszeczkę... Parapet się skończył i Esteban zeskoczył na drugą stronę. Wylądował na jakiejś rampie. Co to było? Spodziewał się niby-kamiennego sarkofagu egipskiego faraona Raneba, ale znalazł coś całkiem innego. Czyżby pobiegł w drugą stronę? W głowie mu się zakręciło, kiedy ponownie usiłował się zorientować wśród nieskończonych dekoracji. Ruszył w górę po rampie, potknął się i spadł. Leżał na drewnianej platformie, dysząc ciężko. Jeśli zachowa absolutną ciszę, może go nie zauważą. Ale nie, to głupie. Znajdą go, znajdą i... Musiał się stąd wydostać, żeby z nimi walczyć. Albo uciekać.

Słyszał ich w ciemności, jak przesuwiają się po parapecie, jak go szukają.

Nagle załamanie wszystkich planów stanowiło dla niego bolesny wstrząs. Musiał spojrzeć prawdzie w oczy: teraz pozostawała mu tylko ucieczka. Meksyk albo Indonezja, może Somalia. Najpierw jednak musiał się wydostać z tego czarnego więzienia, dać sobie opatrzeć oko. Usiadł. Jakaś zwisająca lina musnęła mu twarz. Chwycił ją i zaczął się podciągać – ale lina nagle ustąpiła i usłyszał nad głową dziwny szurający dźwięk, i ułamek sekundy później zrozumiał, co zrobił, jaką linę pociągnął, ale było już za późno i jego świat nagle się skończył wraz z krótkim, mocnym wstrząsem.

Nora usłyszała drapanie, potem syk i pojawiło się drżące żółte światło. Pendergast trzymał zwiniętą gazetę z zapalonym końcem. Na cementowej podłodze leżała łuska pocisku, z której wydłubał kordyt, żeby rozpalić ogień.

– Chodź i popatrz – powiedział słabym głosem.

Nora wzięła jego wyciągniętą rękę. Wszystko ją bolało; żebra miała z pewnością połamane od uderzeń kul; rozbita głowa pulsowała. Kulo-odporna kamizelka Pendergasta, którą agent jej przekazał w ciemnej celi, ciążyła nieprzyjemnie pod szpitalną koszulą. Nora okrążyła dawną część średniowiecznego zamku i zobaczyła przed sobą gilotyne, z opuszczonym ostrzem, z ciałem rozciągniętym na platformie; a w koszu poniżej spoczywała świeża głowa. Głowa jej porywacza, z jednym okiem szeroko otwartym ze zdziwienia, drugim okropnie okaleczonym, dyndającym na nerwie wzrokowym.

– O mój Boże... – Przycisnęła rękę do ust.

– Przyjrzyj się dobrze – powiedział Pendergast. – To jest człowiek odpowiedzialny za zamordowanie twojego męża i Caitlyn Kidd. Człowiek, który zabił Colina Fearinga i Martina Warteka, i próbował zabić nas oboje.

Zachłysnęła się.

– Dlaczego?

– Niemal perfekcyjna choreografia... czy raczej scenariusz dramatu. Poznamy ostateczny powód, kiedy odnajdziemy pewien dokument. – Mówił tak cicho, niemal szeptem, że ledwie go słyszała. – Teraz musimy wezwać karetkę pogotowia. Jak tylko... jak tylko skończysz.

Wpatrując się w tę scenę z horroru, Nora rzeczywiście poczuła ponurą satysfakcję ukrytą za zasłoną bólu. Odwróciła wzrok.

– Napatrzyłaś się?

Kiwnęła głową.

– Musimy się stąd wydostać. Ty krwawisz... mocno.

– Trzecia kula Estebana nie trafiła w kamizelkę. Chyba przebiła mi lewe płuco. – Zakaszał; kropelki krwi poleciały mu z ust.

Oświetlając sobie drogę fidybusem z gazety, powoli, mozolnie przeszli przez piwnice, wspięli się po schodach, przecięli ciemny trawnik i

dotarli do rezydencji. Tam, w zaciemnionym salonie, Pendergast posadził Norę na sofie, wyjął telefon i wybrał 911.

A potem osunął się bezwładnie na podłogę, gdzie leżał nieprzytomny w rozlewającej się kałuży własnej krwi.

85.

Z nadejściem nocy na siódmym piętrze szpitala Uniwersytetu North Shore zapanował spokój. Skrzypienie wózków i przetaczanych noszy, brzęczyki i wezwania z głośników w dyżurce pielęgniarek prawie ucichły. Pozostały jednak dźwięki, które nigdy nie cichną: syczenie respiratorów, chrapanie i mamrotanie pacjentów, popiskiwanie urządzeń monitorujących funkcje życiowe.

D'Agosta nic nie słyszał. Siedział w tym samym miejscu od osiemnastu godzin: obok samotnego łóżka w separacie. Wzrok miał wbity w podłogę i na zmianę to zaciskał, to rozwierał zdrową dłoń.

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Nora Kelly stała w drzwiach. Miała obandażowaną głowę, na żebrach pod szpitalną koszulą nosiła wyściełany opatrunek. Podeszła do stóp łóżka.

– Co z nim? – zapytała.

– Bez zmian. – Westchnął. – Az tobą? Jak się czujesz?

– Dużo lepiej. – Zawahała się. – A ty?

D'Agosta pokręcił spuszczoną głową.

– Poruczniku, chcę panu podziękować. Za wsparcie. Za to, że mi uwierzyłeś. Za wszystko.

D'Agosta poczuł, że twarz go pali.

– Ja nic nie zrobiłem.

– Zrobiłeś wszystko. Naprawdę. – Położyła mu rękę na ramieniu, a potem wyszła.

Zanim ponownie podniósł wzrok, upłynęły dwie godziny. Tym razem w drzwiach stała Laura Hayward. Zobaczyła go i szybko podeszła, pocałowała go lekko, usiadła na sąsiednim krześle.

– Musisz coś zjeść – powiedziała. – Nie możesz tu siedzieć bez przerwy.

– Nie jestem głodny – mruknął.

Nachyliła się bliżej.

– Winnie, przykro mi, że cię widzę w takim stanie. Kiedy Pendergast zadzwonił do mnie i powiedział, że zszedłeś do podziemi Ville... – Przerwała, wzięła go za rękę. – Nagle zrozumiałam, że po prostu nie zniosę tego, jeśli cię stracę na zawsze. Posłuchaj. Nie możesz ciągle się obwiniać.

– Byłem za bardzo wkurzony. Gdybym panował nad sobą, on by nie dostał kulki. Taka jest prawda, sama wiesz.

– Nie, wcale nie wiem. Kto wie, co by się stało, gdyby wydarzenia potoczyły się inaczej? To odwieczne pytanie policjantów... wszyscy z tym żyjemy. Zresztą słyszałeś, co mówią lekarze: kryzys minął. Pendergast stracił dużo krwi, ale się wyliże.

Na łóżku coś się lekko poruszyło. Oboje podnieśli wzrok. Agent Pendergast przyglądał im się spod przymkniętych powiek. Był blady jak jeszcze nigdy dotąd – śmiertelnie blady – a jego ręce, zawsze szczupłe, teraz wydawały się wychudzone jak patyki.

Agent patrzył na nich bez słowa, nie mrugając ciężkimi powiekami. Przez okropną chwilę D'Agosta myślał, że Pendergast nie żyje. Potem jednak poruszył wargami. Oboje nachylili się, żeby lepiej słyszeć.

– Cieszę się, że dobrze wyglądacie – powiedział.

– Ty też – odparł D'Agosta, siłąc się na uśmiech. – Jak się czujesz?

– Leżałem tu i sporo myślałem. Dziękuję, że dotrzymywałeś mi towarzystwa, Vincent. Co ci się stało w rękę?

– Złamana kość łokciowa. Nic wielkiego.

Powieki Pendergasta zatrzepotały i opadły. Po chwili znowu się uniosły.

- Co tam było? – zapytał.
- Gdzie? – zdziwił się D'Agosta.
- W sejfie Estebana.
- Stary testament i akt własności.
- Ach – szepnęła Pendergast. – Ostatnia wola i testament Elijaha Estebana.

D'Agosta drgnął.

- Skąd wiedziałeś?
- Znalazłem grobowiec Elijaha Estebana w podziemiach Ville. Włamano się do niego dosłownie parę minut wcześniej... niewątpliwie, żeby zabrać właśnie ten testament i akt własności. Zakładam, że własności gruntowej.

– Zgadza się. Do dwudziestoakrowej farmy – potwierdził D'Agosta.

Powolne skinienie głową.

- Farmy, która już nie jest farmą, jak przypuszczam.
- Trafiliś. Teraz to dwadzieścia akrów pierwszorzędných nieruchomości na Manhattanie, rozciągające się pomiędzy Times Square a Madison Avenue, większość budynków z połowy lat czterdziestych. Testament sformułowano w taki sposób, że Esteban otrzymałby bezsporny tytuł własności jako jedyny spadkobierca.

– Naturalnie nie próbowałyby naprawdę przejąć tej ziemi. Wykorzystałby dokument jako podstawę prawną do niezwykle lukratywnego procesu... nie wątpię, że zakończonego wielomiliardową ugodą. Warte zabójstwa, Vincencie?

– Może dla niektórych ludzi.

Pendergast rozprostował ramiona i ułożył z drobiazgową starannością na pościeli, dotykając białymi palcami czegoś, co wyglądało na niezwykle kosztowny len. Niewątpliwie należało za to podziękować Proctorowi.

– Tam, gdzie teraz jest Ville, istniała wcześniej wspólnota religijna... bardzo odmiennego rodzaju – powiedział. – Wren poinformował

mnie, że jej pierwotny założyciel został później farmerem na południowym Manhattanie, kiedy wspólnota upadła. Widocznie ten farmer i Elijah Esteban to jedna i ta sama osoba. Po śmierci pochowano go w podziemiach osady, którą założył... razem z kluczowymi dokumentami: testamentem i aktem własności.

– To ma sens – przyznał D'Agosta. – Tylko jak Esteban się o tym dowiedział?

– Zdaje się, że kiedy odszedł z Hollywood, rozwinął w sobie pasję do studiów genealogicznych. Zatrudnił researchera, żeby dla niego przeglądał stare dokumenty. Właśnie researcher dokonał tego odkrycia... i w nagrodę został zamordowany. Przy okazji, do niego należy to dowieść, niezidentyfikowane ciało w tunelu.

– Znaleźliśmy je – odezwała się Hayward.

– W dodatku bardzo przydatny trup. Został zrzucony z mostu do rzeki Harlem i błędnie zidentyfikowany jako Fearing przez naszego zapracowanego przyjaciela Wayne Hefflera z pomocą tak zwanej siostry.

– Więc Colin Fearing jednak żył – stwierdził D'Agosta. – To znaczy kiedy zabił Smithbacka.

Skinienie głowy.

– Zadziwiające, czego można dokonać z teatralnym makijażem. Esteban był reżyserem filmowym *par excellence*.

– Chyba powinniśmy pozwolić odpocząć agentowi Pendergastowi – odezwała się ponownie Hayward.

– Nonsens, pani kapitan. Rozmowa pomaga mi uporządkować myśli.

– Ciągle tego nie rozumiem – wyznał D'Agosta.

– To proste, kiedy się złapie trop. – Pendergast zamknął oczy, złączył blade dłonie na kółdrze. – Esteban dowiedział się o istnieniu i miejscu ukrycia dokumentu, dzięki któremu mógł się bajecznie wzbogacić. Niestety, dokument spoczywał w zapieczętowanym grobowcu

w podziemiach obecnej Ville des Zirondelles, zajętej przez tajemniczą sektę, nader podejrzliwą wobec obcych. Tak bardzo tajemniczą, że liczyła sobie tylko stu czterdziestu czterech członków; tylko kiedy jeden z nich umierał, mogli zwerbować następnego. Esteban nie mógł do nich przeniknąć. Więc spróbował podburzyć opinię publiczną przeciwko Ville, zmusić miasto, żeby przeznaczyło budynki do rozbiórki i wysiedliło dzikich osadników. Dlatego wstąpił do organizacji Ludzie dla innych Zwierząt i nakłonił Smithbacka, żeby napisał o tym do „Time-sa”.

– Teraz rozumiem – powiedział D'Agosta. – Samo to nie wystarczyło. Więc Esteban nasilił działania: zamordował Smithbacka i zrzucił winę na Ville... i wymyślił ten numer z voodoo i zombie.

Pendergast ledwie zauważalnie przytaknął.

– Nie całkiem prawidłowo zastosował *vôdou*... na przykład ta trumienka w pustej krypcie Fearinga... co tak zbulwersowało mojego przyjaciela Bertina. Poszłaka, którą niestety przeoczyłem. Jak na ironię, ponieważ w Ville praktykowano już nie tyle *vôdou*, ile ich własny dziwny kult, zniekształcony i wypaczony przez dekady zaściankowego myślenia. – Zrobił przerwę. – Zatrudnił dwoje współpracowników. Colina Fearinga... i Caitlyn Kidd.

– Caitlyn Kidd? – powtórzył D'Agosta z niedowierzaniem. – Tę reporterkę?

– Właśnie. Ona należała do spisku. Esteban sporządził szczegółową listę wymaganych cech, po czym poszukał ludzi, którzy dokładnie do tego pasowali. Przypuszczam, że stało się jakoś tak: Fearing był bezrobotnym aktorem podejrzanej konduity, rozpaczliwie potrzebującym pieniędzy. Mieszkał w tym samym budynku co Smithback, był mniej więcej jego wzrostu i wagi. Idealny wybór dla Estebana. Caitlyn Kidd była reporterką pozbawioną skrupułów, która koniecznie chciała się wybić. – Zerknął na Hayward. – Nie wydajesz się zdziwiona.

Hayward zahała się na chwilę, zanim odpowiedziała.

– Zażądałam dokładnego sprawdzenia przeszłości wszystkich osób zamieszanych w tę sprawę. Wyniki Kidd nadeszły parę godzin temu. Była karana... całkiem dobrze to ukryła... za oszustwo. Wyłudzała pieniądze od starszych mężczyzn.

D'Agosta popatrzył na nią zaszokowany. Pendergast tylko kiwnął głową.

– Wyobrażam sobie, że Esteban znalazł ją właśnie przez jej kryminalną kartotekę. W każdym razie sporo jej zapłacił za odegranie głównej roli. Esteban napisał scenariusz tego małego dramatu, w którym Fearing upozorował własną śmierć, posługując się ciałem researchera. Caitlyn Kidd udawała jego siostrę, która rozpoznała zwłoki, a przepracowany doktor Heffler dopełnił dzieła. Jak już wszyscy uznali Fearinga za zmarłego, Esteban po prostu wzmocnił iluzję za pomocą makijażu... ostatecznie był reżyserem filmowym. Fearing, który grał samego siebie, tylko wskrzeszonego jako zombie, na jego rozkaz zabił Smithbacka i zaatakował Norę Kelly.

D'Agosta ze skruczą pokręcił głową.

– To się wydaje takie oczywiste, kiedy to wytłumaczyłeś.

– Pamiętajsz, jak Fearing umyślnie spojrział w kamerę ochrony, kiedy wychodził z budynku? Jak się postarał, żeby sąsiedzi dobrze go obejrzeni? Wtedy to mi się wydało dziwne, ale teraz nabrało sensu. Ludzie musieli zobaczyć i rozpoznać Fearinga, to stanowiło kluczowy element... może nawet decydujący element planu Estebana.

Zapadło dłuższe milczenie. Pendergast w końcu otworzył oczy.

– Potem Esteban zaczął realizować następną część scenariusza. Caitlyn Kidd zwróciła się do pogrążonej w żalobie Nory, żeby pomogła jej udowodnić, że to ludzie z Ville odpowiadają za morderstwo. Najpierw miała zbliżyć się do Nory i zasugerować jej, że Nora sama wpadła na trop Ville. Wywierali na nią stałą presję, Fearing prześladował ją w muzeum i gdzie indziej.

Następnie Esteban wykradł ciało Smithbacka z kostnicy... żeby

stworzyć iluzję, że Smithback również zmartwychwstał jako zombie. Ale potrzebował ciała Smithbacka również z innego, jeszcze ważniejszego powodu: żeby sporządzić maskę jego twarzy na użytek Fearinga. Znalazłem drobinki gumy lateksowej na twarzy Smithbacka, resztki formy. Fearing nałożył tę maskę... odpowiednio ukształtowaną dla makabrycznego efektu... żeby zamordować Kidd na oczach ludzi, którzy znali Smithbacka z widzenia.

– Ale po co zabijać Kidd? – zapytał D'Agosta.

– Odegrała perfekcyjnie swoją rolę... i przestała być potrzebna. Nadszedł czas, żeby się jej pozbyć. Łatwiej ją zabić, niż jej płacić, zresztą zawsze lepiej się pozbyć współników. Lekcja, którą Fearing powinien był sobie wziąć do serca. Pamiętacie, jak Kidd wykrzykiwała nazwisko Smithbacka, zanim została zabita? Przypuszczam, że Esteban jej powiedział, że Fearing przebrany za martwego Smithbacka zabije kogoś innego na tamtej uroczystości. Jej rola... jej ostatnia scena... polegała na wykrzykiwaniu nazwiska Smithbacka z udawanym przerażeniem, żeby natychmiast potwierdzić przed zebranymi jego tożsamość, żeby wzmocnić iluzję. Tylko że dostała więcej, niż się spodziewała.

– A potem Esteban kazał Fearingowi zabić Warteka, jak tylko tamten rozpoczął procedurę eksmisji z Ville – dodał D'Agosta.

Pendergast przytaknął.

– Porwał Norę i znowu zrobił w to Ville.

– Tak. Nastroje przeciwko Ville należało podgrzewać do punktu wrzenia. Esteban nie zamierzał czekać na zakończenie przewlekłej procedury eksmisji. Wyliczył czas idealnie, jak przystało na wielkiego reżysera. Kiedy przysłał wideo z Norą i wszyscy założyli, że nakręcono je w podziemiach Ville, trzeci akt niemal dobiegał końca. Wiedział, że pora uderzyć.

– Więc Esteban sam zamordował Fearinga? – zapytała Hayward.

– Tak myślę. Esteban niewątpliwie chciał się pozbyć drugiego współnika tak samo jak pierwszego. Porzucił ciało w pobliżu Ville,

żeby dodatkowo zrobić jej mieszkańców w następne morderstwo.

– Jednego nie rozumiem – odezwał się znowu D'Agosta. – Ten pierwszy marsz na Ville... Esteban podburzył tłum, a potem uśmierzył nastroje. Dlaczego? Dlaczego po prostu nie wszedł tam z nimi?

Pendergast przez chwilę nie odpowiadał.

– Początkowo mnie to zdziwiło. Potem się zorientowałem, że było ich za mało, żeby odnieść sukces. Przedwczesna próba. Esteban miał tylko jedną szansę, żeby dostać się do Ville i obrabować grób. Potrzebował tłumy... wielkiego tłumy, zamieszek na poważną skalę, żeby niepostrzeżenie dostać się do środka, zabrać łup i zniknąć. Pierwsza demonstracja stanowiła jedynie próbę generalną. Dlatego Esteban nie poprowadził drugiej, wielkiej demonstracji. Sprowokował ją, a potem udawał, że się wycofuje. Był tam na dole, Vincencie, razem z nami. Tylko przez przypadek się nie spotkaliśmy. Zanim stwór nas zaatakował, Esteban już odszedł.

Hayward zmarszczyła brwi.

– A w ogóle czym był ten stwór?

– Człowiekiem. Przynajmniej niegdyś. Rytuał zmienił go w coś innego.

– Jaki rytuał? – zapytał D'Agosta.

– Pamiętasz te dziwaczne narzędzia, które znaleźliśmy na ołtarzu w Ville? Przyrząd z kościaną rączką i długim, skręconym metalowym szpikulcem z małym ostrzem na czubku? Służył do tego samego co dawny instrument medyczny nazywany leukotomem.

– Leukotom? – powtórzył D'Agosta.

– Instrument do przeprowadzania lobotomii... w tym przypadku lobotomii transorbitalnej, gdzie dociera się do mózgu przez boczną ściankę oczodołu. Członkowie Ville nauczyli się dawno temu, że zniszczenie określonej części mózgu, w obszarze nazywanym ośrodkiem Broki, sprawia, że nieszczęsna ofiara staje się niewrażliwa na ból, pozbawiona zahamowań moralnych, skłonna do przemocy, a jednak

posłuszna swoim opiekunom. Coś mniej niż człowiek, ale więcej niż zwierzę.

– I mówisz, że w Ville robiono to komuś celowo?!

– Absolutnie. Sekta wybierała kogoś na ofiarę, żeby go poświęcić dla wspólnoty, ale również oddawano mu cześć i szanowano za to poświęcenie. Nawet traktowano to jak zaszczyt, o który wielu się ubiegało. Człowiek potwór stanowił przecież ośrodek religijnego rytuału: jego stworzenie, jego pielęgnowanie, jego szkolenie, jego karmienie i wypuszczanie należało do rytualnego cyklu. Bronił wspólnoty przed wrogim światem, a oni go żywili, czcili, opiekowali się nim. W niektórych społecznościach wybranym osobnikom udziela się zezwolenia na dokonywanie czynów zwykle uznawanych za złe. Może w Ville poddawano takiego osobnika lobotomii, żeby chronić jego duszę, żeby mógł zabijać, mordować w obronie Ville, nie plamiąc duszy grzechem.

– Ale jak operacja może zmienić człowieka w takiego potwora? – zapytała Hayward.

– Operacja nie jest trudna. Wiele lat temu lekarz o nazwisku Walter Freeman potrafił przeprowadzić lobotomię szpikulcem do lodu w parę minut. Wsadzasz narzędzie, szybki ruch tam i z powrotem i niepożądana część mózgu jest zniszczona. Razem z połową osobowości delikwenta, jego duszą, jego poczuciem własnej tożsamości. Ville tylko poszła o krok dalej.

– A tamte dawne morderstwa, które odkrył Wren? – zapytał D'Agosta. – Może też popełnione przez zombie.

– Właśnie: stworzenie żywego zombie, który morderstwem i strachem zmusił Isidora Strausa, żeby nie wycinał Inwood Hill Park. Wydaje się, że dozorca Strausa sam dał się nawrócić na kult Ville... po czym dostąpił zaszczytu wyniesienia na stanowisko świętego i stał się zombie.

Hayward się wzdrygnęła.

– Jakie to okropne.

– W istocie. Ironia niemal bije po oczach: Esteban kazał Fearingowi odgrywać zombie, by przekonać opinię publiczną, że stworzono go w Ville. A jednak w Ville w pewnym sensie tworzone zombie... chociaż dla celów innych, niż Esteban mógł przypuszczać. Przy okazji, co się stało z mieszkańcami Ville?

– Chyba tam zostaną na razie. Obiecali nie składać więcej ofiar ze zwierząt.

– I żadnych więcej zombie, miejmy nadzieję. Nie zdziwiłbym się, gdyby w przyszłości Bossong, którego postrzegaliśmy jako złego ducha, stał się raczej czynnikiem uzdrawiającym w Ville. Wyczuwałem napięcie pomiędzy nim a najwyższym kapłanem.

– To Bossong zastrzelił zombie – oznajmił D'Agosta. – Na końcu, kiedy potwór zamierzał nas zabić.

– Doprawdy? To krzepiące: prawdziwy wyznawca, że tak powiem, nie popełniłby takiego heroicznego czynu, nie zabiłby narzędzia własnych bogów. – Pendergast spojrział na Hayward. – Przy okazji, pani kapitan, chciałem powiedzieć, jak mi przykro, że pominięto panią przy awansie do sił specjalnych burmistrza.

– Niepotrzebnie. – Hayward odgarnęła do tyłu czarne włosy. – Chyba lepiej się stało, że straciłam tę okazję... według ostatnich plotek te siły specjalne zapowiadają się na dokładnie taki biurokratyczny koszmar, od jakiego wszyscy się odzegnywali. Co mi przypomina: pamięta pan naszego przyjaciela Kline'a, producenta software'u? Zdaje się, że facet pożałuje, że terroryzował komendanta. Właśnie się dowiedziałam, że FBI założyło podsłuch na telefon Rockera w ramach prowokacji i mają nagraną całą rozmowę o szantażu. Obaj polecą... z hukiem. Kline jest skończony.

– Szkoda. Rocker nie był zły.

Hayward kiwnęła głową.

– Zrobił to ze szlachetnych pobudek... Fundusz Dysona. Tragedia na swój sposób. Ale jeden ze skutków ubocznych polega na tym, że

odchodzę z biura komendanta i dostaję dawne stanowisko w wydziale zabójstw.

W pokoju zapadło milczenie.

D'Agosta zaczął pospiesznie mówić:

– Słuchaj, Pendergast, chciałem tylko przeprosić za moją cholerną głupotę... za to, że zaciągnąłem cię do Ville, że przeze mnie dostałeś postrzał, że mało nie straciliśmy Nory. Popełniłem wiele idiotyzmów, ale to już szczyt wszystkiego.

– Mój drogi Vincencie – mruknął Pendergast – gdybyśmy nie weszli do Ville, nigdy nie znalazłbym ograbionego grobu, nigdy nie zobaczyłbym nazwiska Estebana... i co wtedy? Nora by nie żyła, a Esteban zostałby nowym Donaldem Trumpem. Więc widzisz, że twoja „głupota” walenie przyczyniła się do rozwiązania tej sprawy.

D'Agosta nie bardzo potrafił na to odpowiedzieć.

– A teraz, jeśli pozwolisz, Vincencie, chciałbym odpocząć.

Kiedy wyszli ze szpitalnego pokoju, D'Agosta odwrócił się do Hayward.

– Co z tym dokładnym sprawdzaniem wszystkich zamieszanych w tę sprawę?

Hayward wydawała się nietypowo zakłopotana.

– Nie mogłam po prostu siedzieć beczynn timer i patrzeć, jak Pendergast wciąga cię w kłopoty. Więc... zaczęłam sama badać tę sprawę. Tylko troszeczkę.

D'Agosta poczuł dziwną mieszankę emocji: lekkie rozdrażnienie na myśl, że potrzebował pomocy, wielką satysfakcję ze świadomości, że zależało jej na nim dostatecznie, by wyruszyć mu na pomoc.

– Zawsze się mną opiekujesz – mruknął.

W odpowiedzi wsunęła mu rękę pod ramię.

– Masz jakieś plany na obiad?

– Tak. Zabieram cię do restauracji.

- Dokąd?
- Co powiesz na Le Cirque?

Popatrzyła na niego ze zdumieniem.

- O rany. Drugi raz w tym roku. Co to za okazja?
- Żadna okazja. Po prostu wyjątkowa kobieta.

W tej samej chwili zatrzymał ich starszy mężczyzna idący korytarzem. D'Agosta spojrział na niego ze zdumieniem. Starszy pan był niski, przysadzisty i ubrany jak dandys z epoki edwardiańskiej: czarny frak dzienny, biały goździk w butonierce, nieskazitelny melonik.

– Przepraszam – powiedział. – Czy państwo wyszli z pokoju Aloysiusa Pendergasta?

- Tak – potwierdził D'Agosta. – Czemu pan pyta?
- Mam list, który muszę mu doręczyć.

Rzeczywiście mężczyzna trzymał list: wytworny kremowy papier, ręcznie czerpany, sądząc po wyglądzie. Na kopercie widniało nazwisko Pendergasta napisane zamaszystym charakterem pisma.

– Będzie pan musiał wrócić później z tym listem – oświadczył D'Agosta. – Pendergast odpoczywa.

- Zapewniam pana, że on zechce natychmiast przeczytać ten list.

Mężczyzna ominął ich i ruszył w stronę drzwi. D'Agosta położył mu rękę na ramieniu.

- Kim pan właściwie jest?
- Nazywam się Ogilby i jestem prawnikiem rodziny Pendergastów.

A teraz zechce mi pan wybaczyć? I – uwolniwszy się od D'Agosty ręką w rękawicze ze skóry jelonka – skłonił się, uchylił melonika przed Hayward i zniknął w pokoju Pendergasta.

Epilog

Mała motorówka gładko przecinała szkliste wody jeziora Powell. W ten zimny, pogodny dzień na początku kwietnia powietrze Arizony było czyste i rześkie jak świeże pranie. Poranne słońce malowało na pomarańczowo wyniosłe piaskowcowe urwiska Grand Bench, a kiedy łódź minęła zakręt, daleko za nią ukazał się dziób płaskowyżu Kaiparowits, purpurowy w słońcu, dziki i niedostępny.

Nora Kelly stała przy sterze, wiatr rozwiewał jej krótkie włosy. Warkot silnika odbijał się od zboczy łagodnym echem, woda syczała wokół kadłuba. Motorówka sunęła przez mistyczny kamienny świat. Powietrze pachniało cedrowymi szpilkami i rozgrzanym piaskowcem. W katedralnej ciszy złocisty orzeł, szybujący ponad krawędziami kanionu, wydał przenikliwy okrzyk.

Nora zmniejszyła gaz i łódź zwolniła do spacerowego tempa. Za następnym zakrętem ukazał się wylot wąskiego, zatopionego kanionu – Serpentine Canyon, dwie gładkie ściany z czerwonego piaskowca podzielone pasem zielonej wody.

Nora skierowała motorówkę do kanionu. Warkot silnika zabrzmiał głośniejsz w zamkniętej przestrzeni. Wierny swojej nazwie kanion wił się i zakręcał niczym polna droga. Tutaj było chłodniej, wręcz zimno, Nora widziała swój parujący oddech. Po jakiejś mili łódź dotarła do szczególnie pięknego miejsca, gdzie maleńki wodospad przewijał się i spływał kaskadami w kamiennym łożysku, otoczony mikrokosmosem mchów i zwisających paproci, ze stanowiskiem miniaturowych

powykręcanych sosen rosnących krzywo w skalnej szczelinie. Nora zgasila silnik i dryfowała, słuchając plusku wodospadu, wdychając aromat wody i słodkich paproci.

Pamiętała to magiczne miejsce, jakby to było wczoraj. Tutaj, podczas ekspedycji do Quiviry prawie pięć lat wcześniej, ich motorówka minęła ten sam wodospad. Bill Smithback, którego poznała zaledwie dzień wcześniej, stał przy relingu łodzi i machał do niej.

– Widzisz to, Noro? – powiedział, szturchając ją z uśmiechem. – Tutaj wróżki płuczą swoje przejrzyste skrzydełka. To przysnuc wróżek.

Wtedy po raz pierwszy zaskoczył ją swoją wrażliwością, poetycką naturą, poczuciem humoru i uwielbieniem piękna. To jej kazało spojrzeć na niego uważnie, nie ufać pierwszemu wrażeniu. I chyba właśnie w tamtej chwili zaczęła się w nim zakochiwać.

Przed dwoma tygodniami wróciła do Nowego Meksyku, gdzie zaproponowano jej posadę kustosa w Instytucie Archeologicznym w Santa Fe. Zamieszkała u swojego brata Skipa i przez ostatni tydzień rozmawiała z dyrektorem muzeum i radą nadzorczą. Gdyby przyjęła propozycję, od tego zależałoby dopracowanie szczegółów sfinansowania jej wcześniej zaplanowanej ekspedycji do Utah następnego lata. Skip był dla niej wielką pomocą i wsparciem, chętnie odwdzięczał się za przysługę sprzed lat, kiedy to ona pomogła mu poskładać kawałki roztrzaskanego życia.

Ale miała jeszcze jeden, bardziej prywatny powód do wyjazdu. Prawie się pogodziła z koszmarem śmierci Billa. Nowy Jork – ich ulubione restauracje i parki, nawet samo mieszkanie – już jej nie przerażał. A jednak przeszłość to co innego. Nie miała pojęcia, jak na nią wpłynęła kraina kanionów południowego zachodu. Miejsca jak Page w Arizonie, gdzie się pierwszy raz spotkali, albo samo jezioro Powell, albo dzikie okolice, gdzie szukali na wpol mitycznego miasta Quiviry. Musiała jeszcze raz zobaczyć te miejsca, może po to, żeby odesłać duchy na

wieczny spoczynek. Kiedy motorówka dryfowała przez kanion, wspomnienia – okryte nostalgicznym całunem czasu, raczej gorzko-słodkie niż bolesne – zaczęły wypływać na powierzchnię. Bill narzekający głośno, kiedy ugryzł go jego koń Hurricane Deck. Bill osłaniający ją własnym ciałem przed nagłą powodzią. Bill wyciągający do niej rękę, jego sylwetka obrysowana blaskiem gwiazd. Ten magiczny kraj przywołał na powrót wspomnienia i za to była wdzięczna.

Motorówka zwolniła i niemal zatrzymała się na lustrzanej tafli wody. Nora sięgnęła w dół i podniosła małą urnę z brązu. Zerwała papierowe zabezpieczenie z krawędzi, zdjęła wieko. Przechyliła urnę nad wodą i wytrząsnęła kilka garści popiołu. Spadły z pluskiem i powoli zatonęły w nefrytowej głębi. Patrzyła, jak rozplývają się w wirujących smugach, coraz bledszych. A potem znikły.

– Żegnaj, drogi przyjacielu – powiedziała cicho.

Od autorów

Często nas pytają, w jakiej kolejności, jeśli takowa istnieje, należy czytać nasze książki.

Pytanie dotyczy zwłaszcza powieści, w których występuje agent specjalny Pendergast. Choć większość naszych książek stanowi odrębne historie, bardzo niewiele zostało osadzonych w oddzielnych światach. Wręcz przeciwnie: im więcej książek piszemy razem, tym więcej „przenikania” zachodzi pomiędzy postaciami i wydarzeniami, które się na nie składają. Na przykład postacie z jednej książki pojawiają się w późniejszej albo zdarzenia z jednej powieści rozwijają się w kolejną historię. Krótko mówiąc, powoli budujemy wszechświat, w którym wspólnie istnieją wszystkie postacie z naszych powieści i wszystko, czego doświadczyły.

Jednakże czytanie tych książek w określonej kolejności nie jest konieczne. Bardzo się staraliśmy, żeby większość naszych powieści można było czytać, nie znając pozostałych, z kilkoma wyjątkami.

Oto więc szczegółowy spis naszych książek.

Powieści z Pendergastem

Relikt (Zysk i S-ka 2001) był naszą pierwszą książką i pierwszą, w której wystąpił agent Pendergast, i jako taka nie ma poprzedniczek. *Relikwiarz* (Zysk i S-ka 2002) to sequel *Reliktu*.

Gabinet osobliwości (Zysk i S-ka 2005) to następna powieść z Pendergastem, całkowicie odrębna.

Martwa natura z krukami (Zysk i S-ka 2005) jest następną. To również odrębna historia (choć osoby zainteresowane postacią Constanccie Greene znajdą tam więcej informacji, a także w *Gabinecie osobliwości*).

Siarka (G+J 2005) to następna w kolejności i pierwsza powieść z cyklu, który nieformalnie nazywamy trylogią Diogenesa. Choć również stanowi odrębną całość, podejmuje pewne wątki rozpoczęte w *Gabinecie osobliwości*.

Taniec śmierci (G+J 2006) to drugi tom trylogii Diogenesa. Wprawdzie można ją przeczytać jako oddzielną historię, warto jednak najpierw zapoznać się z *Siarką*.

Księża umarłych (G+J 2006) to ostatni tom trylogii Diogenesa. Dla większej przyjemności czytelnik powinien najpierw zapoznać się przynajmniej z *Tańcem śmierci*.

Krąg ciemności to następna, oddzielna powieść, której akcja rozgrywa się po wydarzeniach opisanych w *Księdze umarłych*.

Kult, który obecnie trzymacie w rękach, to najnowsza powieść z Pendergastem. Stanowi zamkniętą całość, ale – jak to jest naszym zwyczajem – miejscami odwołuje się do wcześniej opisanych wydarzeń albo opiera się na poprzednich książkach.

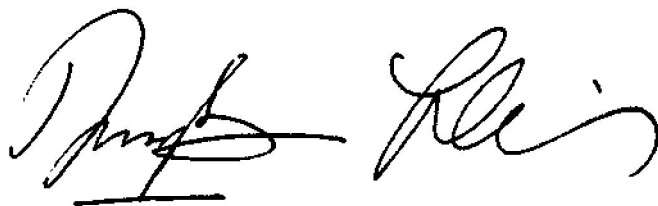
Powieści bez Pendergasta

Stworzyliśmy również kilka samodzielnych powieści przygodowych, w których nie występuje agent specjalny Pendergast. Według kolejności ukazania się drukiem są to: *Laboratorium* (Albatros 2001), *Zabójcza fala* (Zysk i S-ka 2002), *Nadciągająca burza* (Zysk i S-ka 2003) i *Granica lodu* (Zysk i S-ka 2008).

W *Nadciągającej burzy* występuje archeolog Nora Kelly, która pojawia się w większości późniejszych książek o Pendergaście. *Granica lodu* wprowadza postać Eli Glinna, który pojawia się w *Tańcu śmierci* oraz w *Księdze umarłych*.

Na zakończenie pragniemy zapewnić naszych Czytelników, że nie zamierzaliśmy przedstawiać im spisu lektur obowiązkowych, tylko udzielić odpowiedzi na pytanie: „W jakiej kolejności powinienem czytać wasze książki?”. Czujemy się bardzo szczęśliwi, że znaleźli się ludzie tacy jak wy, którzy czytają nasze książki z przyjemnością, podobnie jak my z przyjemnością je piszemy.

Pozdrawiamy serdecznie

A handwritten signature in black ink, consisting of two parts. The first part is a stylized, cursive 'A' followed by a horizontal line. The second part is a cursive 'Kłacz'.